



KATE
ATKINSON
Jej wszystkie życia

Spis treści

Dedykacja

Motto

Bądźcie waleczni Listopad 1930

Śnieg 11 lutego 1910

Śnieg 11 lutego 1910

Życie jak pory roku 11 lutego 1910 Maj 1910 Czerwiec 1914

Śnieg 11 lutego 1910

Wojna Czerwiec 1914 Lipiec 1914 Styczeń 1915

Śnieg 11 lutego 1910

Wojna 20 stycznia 1915

Rozejm Czerwiec 1918 11 listopada 1918

Śnieg 11 lutego 1910

Rozejm 12 listopada 1918

Śnieg 11 lutego 1910

Rozejm 11 listopada 1918

Śnieg 11 lutego 1910

Rozejm 11 listopada 1918

Śnieg 11 lutego 1910

Rozejm 11 listopada 1918

Pokój Luty 1947

Śnieg 11 lutego 1910

Jak lis w norze Wrzesień 1923 Grudzień 1923 11 lutego 1926 Maj 1926 Sierpień 1926 Czerwiec 1932 11 lutego 1926 Sierpień 1926

Jutro będzie piękny dzień 2 września 1939 Listopad 1940

Jutro będzie piękny dzień 2 września 1939 Kwiecień 1940 Listopad 1940

Jutro będzie piękny dzieńWrzesień 1940Listopad 1940Sierpień 1926

Kraina nowych początkówSierpień 1933Sierpień 1939Kwiecień 1945

Długa, ciężka wojnaWrzesień 1940Październik 1940Październik 1940Listopad 1940Maj 1941Listopad 1943Luty 1947Czerwiec 1967

Koniec początku

Bądźcie waleczniGrudzień 1930

Śnieg11 lutego 1910

Rozległe, słoneczne wyżynyMaj 1945

Śnieg11 lutego 1910

Podziękowania

Przypisy

Dla Elissy

A gdyby tak pewnego dnia lub nocy jakiś demon wpłynął za tobą w twą najsamotniejszą samotność i rzekł ci: „Życie to, tak jak je teraz przeżywasz i przeżywałeś, będziesz musiał przeżywać raz jeszcze i niezliczone jeszcze razy”. (...) Czy nie padłbyś na ziemię i nie zgrzytał zębami i nie przeklął demona, który by tak mówił? Lub czy przeżyłeś kiedy ogromną chwilę, w której byś był mu rzekł: „Bogiem jesteś i nigdy nie słyszałem nic bardziej boskiego!”.

Fryderyk Nietzsche, *Wiedza radosna*
(w przekładzie Leopolda Staffa)

πάντα χωρεῖ καὶ οὐδὲν μένει

Wszystkie rzeczy się poruszają i nic nie stoi w miejscu.

Platon, *Kratylos*
(w przekładzie Witolda Stefańskiego)

A gdybyśmy tak mogli przeżywać nasze życie raz za razem, żeby wreszcie zrobić to jak należy? Czy to nie byłoby wspaniałe?

Edward Beresford Todd

Bądźcie waleczni

Listopad 1930

Owionął ją zaduch papierosów, powietrze było lepkie i wilgotne. Weszła do kawiarni prosto z ulewy; na futrach niektórych siedzących w środku kobiet wciąż drżały krople deszczu niczym delikatna rosa. Zastępy kelnerów w białych fartuchach sprawnie uwijały się po sali, zaspokajając zachcianki monachijczyków spragnionych kawy, ciasta i plotecek.

Siedział przy stoliku w głębi lokalu, jak zwykle otoczony wianuszkami zauszników i pochlebców. Wśród nich dostrzegła kobietę, której nigdy przedtem z nim nie widziała: platynową blondynkę z trwałą ondulacją i w mocnym makijażu – na pierwszy rzut oka aktorka. Blondynka w wyzywający sposób zapaliła papierosa; falliczna symbolika tego gestu nie budziła wątpliwości. A przecież wszyscy wiedzieli, że on woli kobiety nieśmiałe i skromne, najchętniej pochodzące z Bawarii. Te całe ich dirndle i podkolanówki, Boże, ratuj!

Stół uginał się od tamtejszych smakołyków, drożdżowych i serowych *Bienenstich*, *Gugelhupf*, *Käsekuchen*. On jadł kawałek tortu szwarcwaldzkiego. Przepadał za nim. Nic dziwnego, że miał taką ziemistą cerę, cud, że nie miał jeszcze cukrzycy. Odrażające, miękkie ciało (kojarzące się jej z surowym ciastem), zawsze ukryte pod ubraniem, nigdy nieeksponowane. Wyjątkowo niemęski mężczyzna. Dostrzegłszy ją, uśmiechnął się i uniósł lekko z miejsca na powitanie: – *Guten Tag, gnädiges Fräulein*. – Jednocześnie wskazał jej krzesło obok siebie. Zajmujący je sługus natychmiast się poderwał i odszedł.

– *Unsere Englische Freundin* – przedstawił angielską przyjaciółkę blondynce, która wolno wypuściła z ust kłęb dymu i przyjrzała jej się bez szczególnego zainteresowania, by na koniec odpowiedzieć z berlińskim akcentem: – *Guten Tag*.

Odłożyła ciężką torebkę na podłogę obok krzesła i zamówiła gorącą czekoladę. Nalegał, aby spróbowała *Pflaumen Streusel*, placca śliwkowego z kruszonką.

– *Es regnet* – zauważyła tonem luźnej konwersacji. – Pada deszcz.

– Tak, pada – powtórzył z twardym akcentem. Roześmiał się, bardzo z siebie zadowolony. Inni przy stole także się roześmiali. – Brawo – pochwalił ktoś jego angielski. – *Sehr gutes Englisch*. – Był w dobrym humorze; z rozbawionym uśmiechem dotykał warg wierzchem palca wskazującego, jakby wystukiwał rytm jakiejś sobie tylko znanej melodii.

Placek okazał się wyśmienity.

– *Entschuldigung* – wymamrotała przepaszająco, sięgając do stojącej na podłodze torebki po chustkę do nosa. Rogi obszyte koronką, monogram z jej inicjałów: „UBT” – urodzinowy prezent od Pammy. Dyskretnie otarła z ust okruszy placca i schyliła się, żeby schować chustkę z powrotem do torebki, a przy okazji wydobyć ukryty w niej ciężki przedmiot. Stary wojskowy rewolwer ojca z czasów Wielkiej Wojny, model Webley Mark V.

Ruch przeciwiony setki razy. Jeden strzał. Wszystko odbyło się błyskawicznie, poza jedną chwilą, która niczym pęcherzyk powietrza zawisała w czasie, gdy wycelowała broń w jego serce, i wszystko jakby się zatrzymało.

– *Führer* – powiedziała i czar prysł. – *Für Sie*.

Siedzący wokół stołu wyszarpnęli z kabur pistolety i wycelowali je prosto w nią. Jeden odech. Jeden strzał.

Ursula pociągnęła za spust.

Zapadła ciemność.

Śnieg

11 lutego 1910

Mroźny powiew, lodowaty dotyk powietrza na świeżo obnażonej skórze. Nagle i bez uprzedzenia zostaje wyciągnięta na zewnątrz, a znajomy, wilgotny, tropikalny świat niespodziewanie znika bez śladu. Jest wystawiona na działanie żywołów, jak obrana krewetka, wyłuskany orzech.

Nie oddycha. Cały świat sprowadzony do tego jednego. Do jednego oddechu.

Niedojrzałe płuca niczym skrzydła ważki niezdolne rozpostrzeć się w nieznannej atmosferze. Brak powietrza w zdławionej tchawicy. Brzęczenie tysiąca pszczoł w maleńkim, pofałdowanym, perłowym uszku.

Panika. Tonąca dziewczynka, spadający ptak.

*

– Doktor Fellowes powinien już tu być – jęknęła Sylvia. – Dlaczego jeszcze nie przyjechał? Gdzie on się podziewa? – Krople potu na skórze, wielkie niczym perły. Czowała się jak koń u kresu morderczego wyścigu. Ogień w kominku w sypialni buzował jak w kotłowni na statku, a grube zasłony z brokatowej tkaniny były ciasno zaciągnięte dla obrony przed wrogiem – nocą, czarnym nietoperzem.

– Paniny mąż musiał utknąć w jakiejś zaspie. Okrutna dziś zamieć na dworze. Droga na pewno cała zasypana.

Sylvie i Bridget, samotne w swej męce. Służąca Alice pojechała odwiedzić chorą matkę, a Hugh oczywiście akurat teraz uganiał się za Isobel, swoją postrzeloną siostrą, gdzieś *à Paris*. Sylvie nie miała ochoty angażować do pomocy pani Glover, chrapiącej właśnie jak wieprz w swoim pokoju na poddaszu. Przypuszczała, że ta wzięłaby się za nią z werwą sierżanta przeprowadzającego musztrę. To dziecko trochę się pospieszyło. Sylvie spodziewała się, że tak jak inne przyjdzie na świat po terminie. Myślał indyk, i tak dalej.

– Ojej, proszę pani! – wykrzyknęła naraz Bridget – ona jest całkiem sina!

– Dziewczynka?

– Pępowina owinęła jej się wokół szyi. O Matko Przenajświętsza! Uduśliła się, bidulka.

– Nie oddycha? Daj mi ją. Trzeba coś zrobić. Jak ją ratować?

– Och, pani Todd, już po niej. Umarła, zanim zdążyła sobie pożyć. Tak mi przykro, proszę pani, tak okropnie przykro. Ta maleńka już jest aniołkiem w niebie. Żeby tak pan Todd był tutaj! Jaka szkoda. Czy mam obudzić panią Glover?

Maleńkie serce. Bezradne, maleńkie serce bije jak szalone. Nagle nieruchomieje niczym spadający z nieba ptak. Jeden strzał.

Zapada ciemność.

Śnieg

11 lutego 1910

– Na litość boską, dziewczyno, przestań latać jak kot z pęcherzem i przynieś tu zaraz wrzątek i ręczniki. Gdzieś ty się chowała? W lesie?

– Przepraszam, sir. – Bridget przepraszająco dygnęła, co najmniej jakby doktor Fellowes był samym następcą tronu.

– Dziewczynka, panie doktorze? Mogę ją zobaczyć?

– Tak, pani Todd, śliczniutka, zdrowiutka dziewczyneczka. – Sylvie pomyślała, że doktor Fellowes chyba trochę przesadził z tymi zdrobnieniami. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach trudno byłoby go nazwać serdecznym. Miało się wrażenie, iż nic go tak nie irytuje jak zdrowie jego pacjentów, a już zwłaszcza ich narodziny oraz zgony.

– Uduśiłaby się przez tę owiniętą wokół szyi pępowinę. Zjawiłem się w Fox Corner dosłownie w ostatniej chwili. – Doktor Fellowes uniósł w górę nożyczki chirurgiczne i z dumą zaprezentował je Sylvie. Były małe, zgrabne, z wygiętymi w górę ostrymi końcami. – Ciach, ciach – dodał. Z roztargnieniem – całkiem zrozumiałym, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności i towarzyszące im fizyczne wyczerpanie – Sylvie odnotowała w pamięci, że musi koniecznie sprawić sobie takie nożyczki, na wypadek gdyby podobna sytuacja powtórzyła się kiedyś w przyszłości (jakkolwiek było to mało prawdopodobne). Ewentualnie nóż – dobry, ostry nóż, który nosiłaby stale przy sobie jak ta mała rozbójniczka z *Królowej Śniegu*.

– Miała pani szczęście, że zdążyłem w samą porę – ciągnął doktor Fellowes. – Zanim śnieg całkiem zasypał drogi. Wezwałem położną, panią Haddock, ale podejrzewam, że utknęła gdzieś w okolicach Chalfont St Peter.

– Panią *Haddock* łupacz, jak gatunek ryby? – powtórzyła Sylvie, marszcząc brwi. Bridget wybuchnęła głośnym śmiechem, ale zaraz wymamrotała: – Proszę o wybaczenie, sir. – Sylvie pomyślała, że obie muszą być na granicy hysterii. I nic dziwnego.

– Irlandzka hołota – mruknął doktor Fellowes.

– Bridget to tylko pomywaczka, sama jest jeszcze dzieckiem. Jestem jej bardzo wdzięczna. To wszystko stało się tak szybko. – Sylvia myślała o tym, jak bardzo chciałaby zostać teraz sama; nigdy jej się to nie udawało. – Chyba musi pan zostać u nas do rana, doktorze – dodała niechętnie.

– Tak, chyba rzeczywiście nie mam innego wyjścia – przyznał równie niechętnie doktor Fellowes.

Sylvie westchnęła i zaproponowała, żeby nalał sobie w kuchni kieliszek brandy. I może poczęstował się szynką z piklami. – Bridget się panem zajmie. – Chciała się go jak najszybciej pozbyć. Odbierał każde z jej trojga (trojga!) dzieci, a mimo to ani trochę go nie lubiła. To widok tylko dla męża, nie dla niego. Tymczasem to on ją obmacywał i grzebał tymi swoimi instrumentami w jej najdelikatniejszych i najbardziej intymnych miejscach (choć z drugiej strony, czy wolałaby, aby jej dziecko odbierała położna o nazwisku Haddock?). Lekarze od spraw kobiecych sami powinni być kobietami – niewielka szansa.

Doktor Fellowes zwlekał z odejściem, wydając półgłosem urywane polecenia i nadzorując mycie oraz opatulanie noworodka przez zaczerwienioną Bridget. Jako najstarsza z siedmiorga rodzeństwa Bridget umiała przewijać niemowlęta. Miała czternaście lat – o dziesięć mniej niż Sylvie, która w tymże wieku sama była jeszcze dzieckiem, zakochanym w kucyku zwanym Tiffinem. Nie miała pojęcia, skąd się biorą dzieci, więcej, jej własna noc poślubna okazała się dla niej sporym zaskoczeniem. Matka coś tam jej wcześniej napomykała, ale na zgłębianie szczegółów anatomicznych już nie starczyło jej śmiałości. W jej mniemaniu stosunki małżeńskie sprowadzały się do wspólnego podziwiania skowronków o świcie. Lottie była powściągliwą kobietą. Niektórzy powiedzieliby, że wręcz żyła w pewnym odrętwieniu. Jej mąż, a ojciec Sylvie, Llewellyn Beresford, był znanym

w kręgach socjety malarzem, jednak w żadnym razie nie można by go uznać za członka artystycznej cyganerii. W ich domu nie tolerowano żadnej nagości ani dwuznacznych zachowań. Ojciec sportretował samą królową Aleksandrę, gdy ta była jeszcze księżniczką, i zawsze powtarzał, że to przemiła osoba.

Pan Beresford zajmował wraz z rodziną przyjemny dom w Mayfair, Tiffina zaś ulokowano w stajniach w pobliżu Hyde Parku. Później w trudnych chwilach Sylvie zdarzało się szukać pocieszenia w owej szczęśliwej przeszłości; wyobrażała sobie, że w rześki wiosenny poranek siedzi zgrabnie w damskim siodle, umieszczonym na szerokim grzbiecie kucyka kłusującego przez Rotten Row, podczas gdy drzewa mienią się barwnym kwieciami.

– Może miałyby pani ochotę na filiżankę mocnej, gorącej herbaty i świeżutką grzanekę z masłem, pani Todd? – zagadnęła ją Bridget.

– Z przyjemnością.

Noworodek opatulony niczym egipska mumia został nareszcie przekazany Sylvie. Delikatnie pogłaskała brzoskwiniowy policzek. – Witaj, małeńka – rzekła, na co doktor Fellowes odwrócił się, żeby nie być świadkiem tak ckliwej sceny. Gdyby to od niego zależało, wszystkie dzieci od małego chowałyby się w spartańskich warunkach.

– No cóż, chyba rzeczywiście miło byłoby przekąsić coś na zimno – stwierdził. – Zostało może trochę tej wybornej warzywnej marynaty pani Glover?

Życie jak pory roku

11 lutego 1910

Oślepiający promień słońca niczym lśniący srebrzysty miecz przeszył zasłony i obudził Sylvie. Przeciągała się jeszcze leniwie w pościeli z koronek i kaszmiru, gdy do sypialni weszła pani Glover, dumnie taszcząc przed sobą wielką tacę ze śniadaniem. Trzeba było naprawdę wyjątkowej okazji, żeby aż tak oddaliła się od swego królestwa. Na tacy stał wazonik, a z niego zwieszał się smętnie pojedynczy, na wpół zamrożony kwiatek. – Ojej, przebiśnieg! – zawołała Sylvie. – Pierwszy kwiat, który ośmiela się wychylić nad ziemię swoją biedną główkę. Prawdziwy z niego bohater!

Pani Glover, według której kwiaty nie były zdolne do bohaterstwa ani – skoro już o tym mowa – w ogóle nie przejawiały żadnych cech charakteru, chwalebnych czy nie, była wdową, od kilku zaledwie tygodni zatrudnioną w Fox Corner. Przed jej nastaniem zatrudniano w kuchni kobietę o imieniu Mary, która ruszała się jak mucha w smole i stale przypalała pieczeń. Dla odmiany pani Glover zdarzało się serwować raczej niedogotowane posiłki. W zamożnym gospodarstwie rodziców Sylvie na gosposię wołano po prostu „gosposia”, pani Glover wołała jednak, aby się do niej zwracać: „pani Glover”. Dzięki temu mogła się czuć niezastąpiona. Mimo to Sylvie z uporem nazywała ją w myślach gosposią.

– Dziękuję, gosposiu. – Pani Glover powoli zamruła powiekami jak jakaś jaszczurka. – To znaczy pani Glover – poprawiła się Sylvie.

Pani Glover postawiła tacę na łóżku i rozsunała zasłony. Cóż za nadzwyczajna światłość, ani śladu czarnego nietoperza.

– Jak jasno – zauważyła Sylvie, osłaniając oczy dłonią.

– To przez ten śnieg – odparła pani Glover, kręcąc głową w sposób, który mógł wyrażać zarówno zachwyty, jak i niechęć. Zwykle niełatwo było wyczuć, co ma na myśli.

– A gdzie doktor Fellowes? – spytała Sylvie.

– Wezwali go do nagłego wypadku. Byk poturbował jakiegoś farmera.

– Co za okropność.

– Ludzie ze wsi przyszli i próbowali odkopać jego automobil, ale koniec końców musiał go podwieźć mój George.

– Ach – westchnęła Sylvie, jakby nagle zrozumiała coś, czego nie potrafiła wcześniej rozgryźć.

– I to mają być konie mechaniczne – parsknęła z pogardą pani Glover, zupełnie jak byk. – Tak to się kończy, kiedy człowiek próbuje polegać na tych nowomodnych maszynach.

– Mhm – mruknęła Sylvie, nie mając ochoty na kwestionowanie tak zdecydowanych poglądów. Była zaskoczona, że doktor Fellowes wyjechał, nie zbadawszy jej ani dziecka.

– Zaglądał tu, ale pani spała – wyjaśniła pani Glover.

Czasami Sylvie zastanawiała się, czy ich gosposia nie potrafi przypadkiem czytać w myślach. Co za przerażający pomysł.

– Oczywiście najpierw zjadł śniadanie – dodała pani Glover, zawierając w tym jednym zdaniu zarówno pochwałę, jak i przyganę. – Ten to ma apetyt, jak mi Bóg miły.

– Sama zjadłabym konia z kopytami – zaśmiała się Sylvie. Chociaż, rzecz jasna, nigdy by tego nie zrobiła. Pomyślała przelotnie o Tiffynie i ujęła srebrne sztucce, ciężkie jak broń sieczna, gotowa zabrać się do pikantnych cynaderek pani Glover. – Pyszności – powiedziała (to się dopiero okaże!), ale pani Glover już pochylała się nad leżącym w kołysce niemowlęciem („Tuściutka jak prosię”). Sylvie zastanowiła się z roztargnieniem, czy pani Haddock nadal tkwi uwięziona przez śnieżycę gdzieś w okolicach Chalont St Peter.

– Podobno o mały włos nie umarła? – zagadnęła pani Glover.

– No cóż... – odparła Sylvie. Życie i śmierć oddzielała taka cienka linia. Pewnego wieczoru,

po paru kieliszkach wybornego koniaku, jej rodzony ojciec, portrecista londyńskiej socjety, pośliznął się na isfahańskim dywaniku, pokrywającym podest schodów na pierwszym piętrze. Nikt nie usłyszał upadku ani krzyku. A przecież dopiero co zaczął malować portret hrabiego Balfour. Oczywiście nigdy go nie dokończył.

Później okazało się, że był bardziej rozrzutny, niż żona i córka mogłyby przypuszczać. Potajemny hazardzista, w całym mieście miał pozaciągane długi. Nie zadbał niestety o to, aby zabezpieczyć rodzinę na wypadek swojej nagłej śmierci, i wkrótce wierzyciele zaczęli oblegać ich przyjemny dom w Mayfair. Domek z kart, jak się okazało. Tiffin musiał zostać sprzedany, a jego odejście złamało serce Sylvie; jej rozpacz z tego powodu była o wiele większa niż po śmierci ojca.

– Myślałam, że jego jedyną słabością były kobiety – westchnęła matka, przysiadając na moment na walizce niczym modelka pozująca do piety.

Rozpoczął się dla nich okres szlachetnego ubóstwa, przy zachowaniu wszelkich form obowiązujących podupadłą klasę średnią. Matka Sylvie stawała się coraz bledsza i coraz mniej interesująca; skowronki całkiem wywietrzały jej z głowy, a ona zapadała się w sobie, zżerana przez galopujące suchoty. Od losu modelki jakiegoś podrzędnego malarzyny ocalił siedemnastoletnią Sylvie mężczyzna przypadkowo spotkany przy pocztowym okienku. Miał na imię Hugh i jak się okazało, był wschodzącą gwiazdą opływającego w dostatki świata bankowości, uosobieniem wszelkich burżuazyjnych cnót. Czy urodziwa dziewczyna bez grosza przy duszy mogłaby wymarzyć sobie lepszą partię?

Lottie odeszła z tego świata spokojniej, niż można się było spodziewać, a Hugh i Sylvie pobrali się po cichu w dniu osiemnastych urodzin dziewczyny. („W ten sposób – stwierdził Hugh – już zawsze będziesz pamiętała o rocznicy naszego ślubu”). W podróż poślubną udali się do Francji, gdzie spędzili rozkoszne dwa tygodnie w Deauville, by następnie osiąść pod Beaconsfield, w swoim małym, prowincjonalnym rajku, w domu zbudowanym z grubsza w stylu Lutynesa. Było w nim wszystko, czego dusza mogła zapragnąć: ogromna kuchnia, bawialnia z przeszklonymi drzwiami prowadzącymi na trawnik, ładny pokój śniadaniowy oraz kilka sypialni, gotowych na przyjęcie gromadki dzieci. Na tyłach domu znajdował się nawet mały pokoik, w którym Hugh urządził swój gabinet. Moja pustelnia, zażartował.

W sąsiedztwie stały podobne domy, rozmieszczone w rozsądnej odległości. Były też łąka i zagajnik, a za nim las z płynącym przez środek strumykiem. Na wiosnę rosły tu całe pola dzwonek. Dzięki położonej w pobliżu stacji kolejowej Hugh mógł znaleźć się za swoim biurkiem w banku w czasie krótszym niż godzina.

– Nasza własna Senna Kotlina – śmiał się Hugh, szarmancko przenosząc Sylvie przez próg domu. Ich nowe lokum było stosunkowo skromne (bez porównania z Mayfair), a i tak zapłacili za nie więcej, niż mogli sobie pozwolić – finansowa lekkomyślność, która zdumiała ich oboje.

– Powinniśmy jakoś nazwać ten dom – oświadczył Hugh. – Pod Wawrzynami, Pod Sosnami, Pod Wiązami...

– Przecież żadne z tych drzew nie rośnie w naszym ogrodzie – zauważyła trzeźwo Sylvie. Stali w przeszklonych drzwiach nowo zakupionego domu, spoglądając na przzerośnięty trawnik. – Trzeba będzie nająć ogrodnika – powiedział Hugh. Dom odpowiedział mu głuchym echem. Nie zdążyli go jeszcze wypełnić dywanami w stylu Voyseya, tkaninami od Morrisa ani innymi estetycznymi drobiazgami typowymi dla dwudziestowiecznej rezydencji. Sylvie z radością zamieszkałaby w luksusowym londyńskim domu towarowym Liberty's zamiast w tym wciąż jeszcze nienazwanym małżeńskim gniazdku.

– Zielone Łany, Piękny Widok, Słoneczna Łąka? – podsuwał kolejne propozycje Hugh, czule obejmując swoją młodą żonę.

– Nie!

Poprzedni właściciel ich bezimiennego domu sprzedał go i wyjechał do Włoch. – Wyobraź to sobie – powiedziała Sylvie z rozmarzeniem. We wczesnej młodości odwiedziła Włochy; wspólnie z ojcem wybrali się tam w podróż, podczas gdy jej matka leczyła płuca w Eastbourne.

– Pełno tam Włochów – rzucił lekceważąco Hugh.

– Racja. Ale to akurat zaleta – odparła Sylvie, wysuwając się z jego objęć.

– Zielone Wzgórze? Domostwo?

– Przestańże wreszcie – ucieła Sylvie.

Z zarośli wychnął lis i przebiegł przez trawnik. – Och, popatrz tylko! – zawołała Sylvie. – Wcale się nie boi, musiał się przyzwyczać, że dom stoi pusty.

– Miejmy nadzieję, że w ślad za nim nie zjawi się tu kawalkada myśliwych z całej okolicy – mruknął Hugh. – Toż to sama skóra i kości.

– To lisica! Matka karmiąca młode. Zobacz, widać jej sutki.

Hugh zamrugał powiekami, słysząc tak odważne słownictwo z ust swojej dziewiczej oblubienicy (tak przynajmniej zakładał; taką miał nadzieję).

– Popatrz! – szepnęła Sylvie. Na trawę wyskoczyły teraz dwa młode liski i zaczęły baraszkować, przewracając się nawzajem. – Och, jakie to śliczne stworzonka!

– Niektórzy powiedzieliby: szkodniki.

– A może to *my* jesteśmy dla nich szkodnikami – odparła Sylvie. – Fox Corner, Lisi Zakątek – tak powinniśmy nazwać ten dom. Nikt jeszcze nie wybrał tej nazwy, a chyba właśnie o to chodzi?

– Mówisz poważnie? – Hugh miał pewne wątpliwości. – Trochę to dziwaczne, nie sądzisz? Brzmi jak z bajki dla dzieci: *Dom w Lisim Zakątku*.

– Odrobina ekstrawagancji jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Jeśli chodzi o ścisłość – nie dawał za wygraną Hugh – to dom chyba nie może być zakątkiem, a tylko się *w nim* znajduje?

A więc to na tym polega małżeństwo, pomyślała Sylvie.

Dwoje małych dzieci zajrzało ostrożnie przez uchylone drzwi. – Jesteście wreszcie – powitała je z uśmiechem Sylvie. – Maurice, Pamelu, chodźcie i przywitajcie się z waszą nową siostrzyczką.

Dzieci z rezerwą zbliżyły się do kołyski, jakby nie wiedziały, czego się właściwie spodziewać. Sylvie pamiętała, że sama czuła się podobnie, gdy patrzyła na ciało swego ojca, leżące w ozdobnej, dębowej trumnie z mosiężnymi okuciami (za którą łaskawie zapłacili koledzy ojca z Akademii Królewskiej). A może po prostu bały się pani Glover?

– Jeszcze jedna dziewczyna – stwierdził ponuro Maurice. Dwa lata starszy od Pameli, pięcioletek był podczas nieobecności Hugh jedynym mężczyzną w gospodarstwie. – Interesy – tłumaczyła ludziom Sylvie, chociaż prawda była taka, że Hugh w pośpiechu przepłynął przez kanał La Manche, aby wyrwać swoją głupiutką najmłodszą siostrę z łap żonatego mężczyzny, z którym ta uciekła do Paryża.

Maurice dźgnął palcem twarzyczkę dziecka, na co mała przebudziła się i zaskrzeczała przestraszona. Pani Glover chwyciła chłopca za ucho. Sylvie aż się wzdrygnęła na ten widok, ale Maurice przyjął ból ze stoickim spokojem. Sylvie pomyślała, że jak tylko nabierze sił, będzie musiała koniecznie zamienić słówko z panią Glover.

– Jak jej dacie na imię? – spytała gospoia.

– Ursula – odparła Sylvie. – Będzie się nazywała Ursula. To znaczy mała niedźwiedzica.

Pani Glover niezobowiązująco skinęła głową. Klasa średnia rządziła się własnymi prawami. Jej rosy syn dostał na chrzcie zwyczajne imię – George – po grecku: rolnik, oracz, przynajmniej tak twierdził ksiądz. I rzeczywiście George orał pola w pobliskim gospodarstwie należącym do posiadłości Ettringham Hall, jakby o jego losie zdecydowało nadane mu imię. Nie żeby pani Glover miała czas zawracać sobie głowę takimi rzeczami jak przeznaczenie czy starożytni Grecy, jeśli o to chodzi.

– No, pora wracać do roboty – oznajmiła. – Na obiad będzie pyszna mięsna zapiekanka. A na deser egipski pudding.

Sylvie nie miała pojęcia, co by to mogło być. Wyobraziła sobie piramidy.

– Wszyscy musimy się trochę wzmocnić – dodała pani Glover.

– Tak, rzeczywiście – przyznała Sylvie. – Dlatego też powinnam chyba jeszcze raz nakarmić Ursulę! – Zirytował ją zawarty w tym zdaniu wykrzyknik. Z niejasnych dla siebie powodów w rozmowach z panią Glover często czuła się zmuszona do przybierania przesadnie radosnego tonu,

zupełnie jakby usiłowała w ten sposób przywrócić jakąś naturalną równowagę nastrojów w przyrodzie.

Pani Glover wyraźnie wzdrygnęła się na widok piersi Sylvie, bladych i pokrytych siateczką błękitnych żył, które wylewały się przez poły delikatnego, koronkowego peniuaru. Zaraz też przegoniła dzieci, wypychając je przed sobą z pokoju. – Dostaniecie owsiankę – zapowiedziała im ponuro.

*

– Panu Bogu musiało bardzo zależeć, żeby ta mała przeżyła – zauważyła Bridget, gdy zjawiała się u Sylvie później tego samego ranka z filiżanką gorącego rosółu wołowego.

– Zostałyśmy poddane próbie – odparła Sylvie – i Pan nas nie zawiódł.

– Tym razem – mruknęła Bridget.

Maj 1910

– Telegram – oznajmił Hugh, wchodząc nieoczekiwanie do pokoju dziecięcego i wyrywając Sylvie z przyjemnej drzemki, w którą zapadła podczas karmienia Ursuli. Okryła się prędko i zapytała: – Telegram? Czyżby ktoś zmarł? – ponieważ mina Hugh zwiastowała katastrofę.

– Z Wiesbaden.

– Ach – uspokoiła się Sylvie. – Czyli Izzie już urodziła.

– Gdyby tylko ten łajdak nie był żonaty – warknął Hugh. – Mógłby wtedy uczynić z mojej siostry uczciwą kobietę.

– Uczciwą kobietę? – powtórzyła Sylvie z zadumą. – Czy to w ogóle możliwe? (Chyba nie powiedziała tego na głos?). – Poza tym ona i tak jest jeszcze za *młoda* na małżeństwo.

Hugh zmarszczył brwi, dzięki czemu jeszcze bardziej wyprzystojniał. – Jest tylko dwa lata młodsza od ciebie, kiedy za mnie wychodziłaś – zauważył.

– A zarazem o ile dojralsza – mruknęła Sylvie. – Wszystko u niej dobrze? Dziecko zdrowe?

Okazało się, że Izzie była już gruba, wyraźnie *enceinte*, gdy Hugh odnalazł ją w Paryżu i siłą wsadził do pociągu. Ich matka Adelaide oświadczyła, iż wolałaby, aby Izzie została uprowadzona przez złoczyńców handlujących białymi niewolnicami, zamiast rzucać się z takim entuzjazmem w objęcia rozpusty. Sylvie pomysł handlu białymi niewolnicami wydał się całkiem atrakcyjny; wyobraziła sobie, jak uwozi ją na wierzchowcu czystej krwi arabskiej jakiś pustynny szejk, a potem ujrzała siebie leżącą na wymoszczonej poduszkami otomanie, spowitą w jedwabie i zasłony, zjadającą słodycze i sorbety przy wtórze szemrzących fontann i strumyczków. (Podejrzała, że rzeczywistość wygląda jednak trochę inaczej). Mimo wszystko idea haremu wybitnie jej odpowiadała – wspólne dźwiganie brzemienia obowiązków małżeńskich i tak dalej.

Adelaide, bohaterko hołdująca zasadom wiktoriańskiej obyczajowości, na widok rosnącego brzucha swojej najmłodszej córki dosłownie zatrzasnęła jej przed nosem drzwi rodzinnego domu i odesłała z powrotem na drugą stronę Kanału, aby przeczekała skandal za granicami kraju. Noworodek miał być czym prędzej oddany do adopcji. – Najlepiej jakiemuś szanowanemu niemieckiemu małżeństwu, niemogącemu mieć własnych dzieci – orzekła Adelaide. Sylvie usiłowała wyobrazić sobie, jak to jest oddać własne dziecko. („To już nigdy go nie zobaczymy?” – dziwiła się. „Mam taką nadzieję” – odparła Adelaide). Izzie natomiast miała trafić do prywatnej szwajcarskiej szkoły, przygotowującej dziewczęta do życia w wielkim świecie, choć zdaniem Sylvie wydawała się już do tego wszechstronnie przygotowana.

– To chłopak – oznajmił Hugh, machając telegramem niczym flagą. – Zdrów jak ryba i tak dalej.

Minęła pierwsza w życiu Ursuli wiosna. Leżąc w swoim wózek pod rozłożystym bukiem, śledziła refleksy światła wśród delikatnych zielonych liści, kołysanych delikatnym powiewem. Gałęzie przypominały jej ramiona, a liście były jak dłonie. Drzewo tańczyło dla niej. – *Wiatr chciał zgasić pierwszą gwiazdkę* – nuciła jej Sylvie – *na wieczornym niebie...*

– *Na wysokiej górze rosło drzewo duże* – podśpiewywała, sepleniąc, Pamela – *a zwało się ono Aplipapliblikeblau.*

Pod budką wózka dyndał podwieszony zajęczek; kręcił się jak fryga, a słońce odbijało się od srebrzystego futerka. Zajęczek siedział wyprostowany jak struna w koszyczku, który zdobił niegdyś grzechotkę małej Sylvie – grzechotkę, po której, tak jak po dzieciństwie Sylvie, dawno zagał wszelki ślad.

Nagie gałęzie, pąki, liście – cały znany jej dotąd świat zmieniał się i przemijał. Pierwszy raz widziała następujące po sobie pory roku. Urodziła się, czując w kościach chłód zimy, zaraz jednak

zawitała rześka wiosna, pełna obietnic ukrytych w pęczniejących pąkach, potem przyszło leniwe, upalne lato, a wreszcie nastąpiła jesień pachnąca pleśnią i grzybami. Ursula obserwowała to wszystko spod uchylonej budki swojego wózka, nie mówiąc o podziwianiu dodatkowych atrakcji, jakie niosły ze sobą kolejne pory roku: słońca, chmur, ptaków, zabłąkanej piłki do krykieta, która przecięła cicho niebo wysoko ponad jej głowę, jednej czy dwóch tęczy oraz deszczu w ilościach większych, niżby sobie tego życzyła (zdarzało się, że ratowano ją przed żywiołami z niejakim opóźnieniem).

Raz widziała nawet gwiazdy i wschodzący księżyc – równie zdumiewający, co porażający – gdy pewnego jesiennego wieczoru zwyczajnie o niej zapomniano. Bridget porządnie się za to oberwało. Wózek wystawiany był na zewnątrz bez względu na pogodę, ponieważ Sylvie odziedziczyła obsesję na punkcie świeżego powietrza po swojej matce Lottie, która za młodu spędziła trochę czasu w szwajcarskim sanatorium, gdzie całymi dniami przesiadywała zawinięta w koc na tarasie, wpatrując się obojętnie w ośnieżone alpejskie szczyty.

W końcu buk zaczął gubić liście, a niebo nad głową Ursuli wypełniły małe, szeleszczące, brązowe szybowce. Pewnego szczególnie wietrznego listopadowego dnia obok jej wózka wyrosła jakaś straszna postać i zajrzała do środka. Maurice zaczął stroić do niej miny, nawołując: – Hu, hu, hu! – a potem dźgnął patykiem jej kocyk. – Głupi dzieciak – orzekł, po czym przystąpił do przysypywania jej garściami miękkich liści. Już miała usnąć pod tą nową, lekką pierzynką, gdy nagle jakaś dłoń zdzieliła Maurice'a po głowie, ten zaś krzyknął: – Au! – i zaraz gdzieś przepadł. Srebrzysty zajączek kręcił piruety jak szalony, a tymczasem czyjeś wielkie ręce wyjęły ją z wózka i Hugh powiedział: – Tutaj jest nasza mała! – jakby gdzieś im się zagubiła.

– Wyglądała całkiem jak jeż, który zapadł w zimowy sen – dodał, zwracając się do Sylvie.

– Biedactwo – zaśmiała się jego żona.

Znów nadeszła zima. Ursula od razu ją rozpoznała.

Czerwiec 1914

Ursula bez większych przygód dobiła do swoich piątych urodzin. Matka odczuwała ulgę na myśl, że pomimo trudnych początków (a może właśnie dzięki nim) i dzięki jej zdrowym zasadom wychowawczym (a może na przekór im) córeczka najwyraźniej wyrasta na całkiem zrównoważone dziecko. Ursula nie rozmyślała za wiele, jak to czasami zdarzało się Pamelii, nie była też aż tak bezmyślna jak Maurice.

Mój mały żołnierz, myślała Sylvie, patrząc, jak Ursula maszeruje po plaży za swoim starszym rodzeństwem. Wydawali jej się tacy mali! I oczywiście *byli* mali, dobrze o tym wiedziała, czasem jednak zdumiewała ją siła uczuć, jakie w niej budzili. Najmniejsze i najmłodsze z jej dzieci – Edward – nie opuszczało na razie wiklinowego koszyka ustawionego obok na piasku i na szczęście nie nauczyło się jeszcze ryczeć wniebogłosy.

Dom w Kornwalii wynajęli na miesiąc. Hugh spędził z rodziną pierwszy tydzień, Bridget – całe wakacje. Wspólnie z Sylvie podzieliły się obowiązkami kuchennymi (z marnym skutkiem), ponieważ Sylvie dała pani Glover miesiąc wolnego, aby ta mogła odwiedzić w Salford jedną ze swych siostr, której syn zmarł niedawno na dyfteryt. Stojąca na peronie Sylvie wydała z siebie westchnienie ulgi, widząc szerokie plecy pani Glover znikające wewnątrz wagonu. – Nie musiałaś jej odprowadzać na pociąg – zauważył Hugh.

– Z przyjemnością popatrzyłam sobie, jak odjeżdża – przyznała Sylvie.

Słońce prażyło, od morza wiał silny wiatr, a niczym nieniekusiona Sylvie przesyiała całe noce w twardym, obcym łóżku. Kupowały paszteciki z mięsem, smażone ziemniaki oraz francuskie rożki z jabłkami i zjadały je, siedząc na rozłożonym na piasku kocu, z plecami wspartymi o skały. Wynajęcie kabiny plażowej rozwiązało zawsze krępującą kwestię karmienia niemowlęcia w miejscu publicznym. Czasami Bridget i Sylvie zdejmowały trzewiki i odważnie zanurzały w wodzie palce u nóg; kiedy indziej siedziały na plaży w cieniu olbrzymich parasoli, pogrążone w lekturze. Sylvie czytała Conrada, Bridget zaś pożyczony od Sylvie egzemplarz *Dziwnych losów Jane Eyre*, sama nie wpadła bowiem na pomysł, aby zabrać z domu jeden z ulubionych i mrozących krew w żyłach gotyckich romansów. Bridget okazała się wdzięczną czytelniką: a to wzdychała z przerażeniem, a to wstrząsała się ze wstrętem, by na koniec cieszyć się jak dziecko. W porównaniu z jej emocjonującą lekturą *Tajny agent* Conrada wypadał co najmniej blado.

Bridget była też zdecydowanie lądowym stworzeniem i ciągle przejmowała się pogodą, czy nastąpi przypyływ, czy odpływ, najwyraźniej nie mogąc pojąć ich przewidywalnego rytmu. – Każdego dnia jest trochę inaczej – tłumaczyła jej cierpliwie Sylvie.

– Ale dlaczego, na Boga? – pytała skołowana Bridget.

– No cóż... – Sylvie nie miała bladego pojęcia. – A dlaczego by nie? – zakończyła lakonicznie.

Dzieci wracały po całym dniu łowienia ryb w zagłębieniach skalnych na drugim końcu plaży. Pamela i Ursula przystanęły w pół drogi i zaczęły się pluskać przy brzegu, a Maurice tymczasem przyspieszył i ruszył biegiem w stronę Sylvie, by zaryć tuż przed nią, wzniciając przy tym fontanny piachu. Trzymał za szczypcę małego kraba, na którego widok Bridget aż zapiszczała z przerażenia.

– Zostały jakieś paszteciki? – zapytał.

– Gdzie twoje maniery, Maurice? – skarciła go Sylvie. Po wakacjach chłopiec wyjeżdżał do szkoły z internatem. Matka przyjmowała to z ulgą.

– Chodź, poskaczemy sobie przez fale – powiedziała Pamela. Bywała apodyktyczna, ale w sympatyczny sposób, i Ursula niemal zawsze pozwalała jej sobą dyrygować, nawet jeśli nie miała na to ochoty.

Obok nich po piasku przetoczyła się popychana wiatrem metalowa obręcz; Ursula chciała za nią pobiec i zwrócić ją właścicielowi, ale Pamela powstrzymała ją, mówiąc: – Zostaw, chodźmy pobrodzić – odłożyły więc swoje torby na piasek i zanurzyły stopy w morskiej pianie. Bez względu na to, jak były rozgrzane słońcem, woda zawsze wydawała się lodowata. Piszczwały więc i pokrzykiwały, a potem chwyciły się za ręce i czekały na fale. Gdy te wreszcie się pojawiły, okazały się zaskakująco małe, niewiele większe od zmarszczek na wodzie, przyozdobionych białą koronką piany. Dziewczynki weszły głębiej w morze.

Tam jednak wcale nie było fal, tylko wzbierające i cofające się prądy wodne lekko je unosiły. Za każdym razem czując napierający prąd, Ursula z całej siły ścisnęła dłoń Pameli. Woda sięgała jej już do pasa. Pamela niczym galion na dziobie statku brnęła dalej naprzeciw nacierającym falom. Woda sięgała teraz Ursuli po pachy, zaczęła więc płakać i ciągnąć siostrę za rękę, usiłując nakłonić ją do powrotu. Pamela obejrzała się i powiedziała: – Uważaj, bo obie się przewrócimy – w związku z czym nie zauważyła wznoszącego się ponad nią grzbietu potężnej fali. Fala ta zalała w okamgnieniu obie dziewczynki, porywając je z taką łatwością, jakby były liśćmi.

Ursula czuła, że prąd wciąga ją pod wodę, coraz głębiej i głębiej, zupełnie jakby znajdowała się na pełnym morzu, a nie zaledwie parę metrów od brzegu. Rozpaczliwie przebierała nóżkami, usiłując znaleźć dla nich jakieś oparcie. Gdyby tylko mogła stanąć i stawić opór falom, ale niestety nigdzie nie wyczuwała dna. Zaczęła dławić się wodą i miotać w narastającej panice. Na pewno ktoś zaraz nadbiegnie – Bridget albo Sylvie – i ją uratuje. Albo Pamela; co się z nią dzieło?

Ale nikt się nie zjawił. Wokół niej była tylko woda. Woda, coraz więcej wody. Jej bezradne maleńkie serce biło jak szalone niczym uwięziony w piersi ptak. Pofałdowane, perłowe uszko wypełniło się brzęczeniem tysiąca pszczoł. Brak oddechu. Tonąca dziewczynka, spadający ptak.

Zapadła ciemność.

Śnieg

11 lutego 1910

Gdy Bridget zabierała tacę ze śniadaniem, Sylvie poprosiła: – Zostaw mi ten malutki przebiśnieg. Postaw go tutaj, na nocnym stoliku. – Dziecko też chciała mieć przy sobie. W kominku buzował ogień, a wpadające przez okno, odbite od śniegu światło wydawało się jednocześnie radosne i dziwnie złowrogie. Śnieg zaciął o ściany domu, napierał na nie, otulając je grubą warstwą. Byli jak w kokonie. Sylvie wyobraziła sobie Hugh, przekopującego się heroicznie przez zaspy, żeby wrócić do niej do domu. Nie było go już od trzech dni, bo ciągle szukał swojej siostry Isobel. Poprzedniego dnia (teraz wydawało jej się to tak dawno) z Paryża przyszedł telegram następującej treści: „ZWIERZ PRZYCZAIŁ SIĘ W NORZE STOP ROZPOCZYNAM POSZUKIWANIA STOP”, choć Hugh w zasadzie nie pasjonował się myślistwem. Teraz ona będzie musiała wysłać mu wiadomość. Co by tu napisać? Najlepiej coś enigmatycznego. Hugh uwielbiał zagadki. „BYŁO NAS CZWORO STOP WYJECHAŁEŚ A NAS NADAL JEST CZWORO STOP” (Bridget i pani Glover w ogóle się dla Sylvie nie liczyły). Albo może coś bardziej prozaicznego: „URODZIŁAM STOP W PORZĄDKU STOP”. Ale czy rzeczywiście? Czy naprawdę wszystko było w porządku? Przecież ich córka o mały włos nie umarła. Zabrakło jej powietrza. Może coś było z nią nie tak? Tej nocy zatriumfowały nad śmiercią. Sylvie zastanawiała się, kiedy śmierć zechce się na nich odegrać.

W końcu jednak zasnęła i śniło jej się, że zamieszkali w nowym domu, a ona szuka dzieci, przetrząsa obce pokoje, woła je po imieniu, choć wie, że przepadły na zawsze i że już nigdy ich nie odnajdzie. Drgnęła i przebudziła się, stwierdzając z ulgą, że przynajmniej niemowlę wciąż przy niej jest, malutka wysepka na rozległej, śnieżnobiałej płaszczyźnie łóżka. Dzieciątko. Ursula. Sylvie wówczas wybrała dla niej imię; ale gdyby okazała się chłopcem, nazwałaby go Edwardem. Nadawanie dzieciom imion było jej domeną. Hugh zdawał się nie dbać o to, jak się nazywają, choć Sylvie podejrzewała, że były pewne granice, których zapewne nigdy by nie przekroczył. Dajmy na to Szeherezada. Albo Ginewra.

Ursula otworzyła swoje mleczne oczy. Wyglądało na to, że próbuje skupić wzrok na więdnącym przebiśniegu. – Aaa, kotki dwa – zanuciła Sylvie. Jak cicho było w ich domu. Jakie to mogło być zwodnicze. W okamgnieniu można stracić wszystko. – Musisz za wszelką cenę unikać czarnych myśli – pouczyła Ursulę.

Wojna

Czerwiec 1914

Pan Winton – Archibald – rozstawił na piasku sztalugi i za pomocą kilku wodnistych maźnięć błękitnej i zielonej farby – błękit pruski i kobaltowy, zieleń szmaragdowa oraz oliwkowa *terre verte* – usiłował oddać urodę nadmorskiego krajobrazu. Na namalowanym już niebie, które praktycznie zlewało się z falami poniżej, umieścił parę niewyraźnych mew. Wyobraził sobie, jak po powrocie do domu chwali się swoim obrazem, mówiąc: „Jak widać, jest w stylu impresjonistów”.

Pan Winton, kawaler, był z zawodu starszym referentem w fabryce w Birmingham, produkującej szpilki, i romantykiem z natury. Był też członkiem klubu cyklistów i co niedziela starał się pedałowac byle dalej od miejskiego smogu, a coroczny urlop spędzał zawsze nad morzem, gdzie przez okrągły tydzień rozkoszował się czystym powietrzem i bawił w malarza.

Przyszło mu do głowy, że mógłby umieścić na obrazie jakieś postacie; ożywiłoby to nieco pejzaż, wprowadzając do niego element ruchu – coś, do czego stale zachęcał go jego nauczyciel ze szkoły wieczorowej (Archibald uczył tam na zajęcia plastyczne). Te dwie dziewczynki bawiące się nad brzegiem morza świetnie się do tego nadawały. Na głowach miały plażowe kapelusiki, a to oznaczało, że nie będzie się musiał przykładać do wiernego oddania rysów ich twarzy; była to umiejętność, której wciąż jeszcze całkiem nie opanował.

– Chodź, poskaczemy przez fale – powiedziała Pamela.

– Ojej! – Ursula lekko się cofnęła. Siostra chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą do wody. – Nie bądź głuptasem. – Im bliżej do morza, tym Ursula bardziej panikowała, aż w końcu strach całkiem ją sparaliżował. Pamela jednak ze śmiechem brnęła dalej, chlapiąc naokoło wodą, i Ursula nie miała innego wyjścia, jak za nią podążyć. Próbowała wymyślić coś, co zachęciłoby siostrę do powrotu na brzeg – mapa z ukrytym skarbem, mężczyzna z pieskiem – ale było już za późno. Nadciągnęła olbrzymia fala, jej grzbiet załamał się nad ich głowami, a potem woda runęła, spychając je coraz głębiej i głębiej w otchłań podwodnego świata.

Zaskoczona Sylvie podniosła głowę znad książki i zdumiała się na widok obcego mężczyzny, zmierzającego ku niej plażą z jej córeczkami pod pachą, po jednej z każdej strony; wyglądało to tak, jakby dźwigał gęsi albo kurczęta. Dziewczynki ociekały wodą, a ich buzie były mokre od łez. – Trochę za głęboko zabrnęły – wyjaśnił. – Ale nic im nie będzie.

Wdzięczne za pomoc, zaprosiły swojego wybawcę, niejakiego pana Wintona, referenta („starszego referenta”), na herbatę i ciasteczka do hotelu przy plaży. – Przynajmniej tak mogę się panu odwdziaczyć – rzekła Sylvie. – Na dodatek całkiem zniszczył pan sobie buty.

– Nic takiego nie zrobiłem – odrzekł skromnie pan Winton.

– O nie, zdecydowanie zrobił pan *coś* – zapewniła go Sylvie.

– Cieszyć się, że już wróciliście? – powitał ich na peronie rozpromieniony Hugh.

– A ty cieszysz się z naszego powrotu? – odparła Sylvie nieco wojowniczym tonem.

– W domu czeka na was niespodzianka – oznajmił Hugh. Sylvie nie lubiła niespodzianek, wszyscy o tym wiedzieli.

– Zgadnijcie, co to takiego – zachęcił dzieci Hugh.

Odparły, że na pewno szczeniaczek, co nijak się miało do agregatu firmy Lister-Petter, który Hugh pod ich nieobecność zainstalował w piwnicy. Zeszli wszyscy na dół po stromych, kamiennych schodach, aby podziwiać błyszczącą od smaru, pulsującą maszynię z rzędami szklanych akumulatorów. – Niech się stanie światłość – powiedział Hugh.

Musiało minąć wiele czasu, zanim którekolwiek z nich odważyło się przekręcić przycisk w ścianie bez obawy, iż ten wybuchnie. Rzecz jasna, w grę wchodziło wyłącznie oświetlenie domu. Bridget co prawda liczyła, że szczotka do dywanów zostanie zastąpiona elektroluksem, lecz napięcie w sieci było niestety zbyt niskie. – I dzięki Bogu – stwierdziła Sylvie.

Lipiec 1914

Przez otwarte drzwi na taras Sylvie przyglądała się Maurice'owi, który rozwieszał w ogrodzie prowizoryczną siatkę do gry w tenisa, co z grubsza sprowadzało się do walenia młotkiem we wszystko, co popadnie. Mali chłopcy stanowili dla niej zagadkę. Satysfakcja, którą czerpali z wielogodzinnego ciskania patykami czy kamieniami, obsesyjne zbieranie przedmiotów martwych, brutalne niszczenie kruchej otoczenia – wszystko to zdawało się kłócić z obrazem mężczyzn, jakimi mieli się stać w przyszłości.

Głośna paplanina w holu zwiastowała nadejście Margaret i Lily, niegdyś szkolnych przyjaciółek, a obecnie rzadko widywanych znajomych, które radośnie wniosły przyozdobione wstążeczkami prezenty dla małego Edwarda.

Margaret była malarką, niezamężną z przekonania, i całkiem prawdopodobnie czyjąś kochanką – skandaliczna ewentualność, o której Sylvie wołała nie wspominać Hugh. Lily z kolei była socjalistką, członkinią Towarzystwa Fabiańskiego i znaną sufrażystką, w obronie swoich poglądów gotową na wszystko. Sylvie pomyślała o krępowanych kobietach, którym siłą wciskano rurki do gardeł, i mimowolnie dotknęła dłonią swojej pięknej białej szyi, żeby się uspokoić. Mąż Lily, Cavendish (doprawdy, nazwa dobra dla hotelu!), osaczył raz Sylvie na popołudniowych tańcach, przyciskając ją do kolumny swoim lubieżnym, cuchnącym cygarami cielskiem i sugerując coś tak oburzającego, że nawet teraz na samo wspomnienie spłonęła z zażenowania.

– Ach, jakie tu świeże powietrze! – wykrzyknęła Lily, gdy Sylvie zaprowadziła je do ogrodu. – Jak tutaj *wiejsko*. – Kobiety zaczęły gruchać jak turkawki albo pośledniejszego gatunku gołębice; pochylone nad dziecięcym wózkiem, zachwycały się malcem tak samo, jak wcześniej nie mogły się nachwalić smukłej sylwetki Sylvie.

– Zadzwoń, żeby podano nam herbatę – powiedziała Sylvie, już zmęczona.

*

Mieli psa. Duży, moregowaty mastif francuski o imieniu Bosman. – Zupełnie jak pies Byrona – oznajmiła Sylvie. Ursula nie miała pojęcia, kim jest ów tajemniczy Byron, ale nic nie wskazywało na to, żeby chciał im odebrać psa. Bosman miał dużo miękkiej, włochatej skóry, która przelewała się Ursuli pod palcami, a jego oddech czuć było podgardlem, które pani Glover, z obrzydzeniem, musiała dusić specjalnie dla niego. Hugh powtarzał, że to dobry pies – taki, co to wyciągnie człowieka z płonącego budynku i ocali od utonięcia.

Pamela lubiła przebierać Bosmana w stary czepek, owijając szalem i udawać, że to jej dziecko, choć w domu było prawdziwe niemowlę, chłopczyk o imieniu Edward. Wszyscy wołali na niego Teddy. Ich matka zdawała się zaskoczona jego narodzinami. – Doprawdy, nie wiem, skąd on się u nas wziął. – Śmiech Sylvie brzmiał jak czkawka. Jadła w ogrodzie podwieczorek z dwiema szkolnymi przyjaciółkami „z czasów londyńskich”, które przyjechały obejrzyć jej kolejną latorośl. Wszystkie trzy miały na sobie urocze lekkie suknie i wielkie słomkowe kapelusze. Siedziały w wiklinowych fotelach, popijały herbatę i zajadały babkę piaskową pani Glover. Ursula i Bosman przysiedli grzecznie na trawie w stosownej odległości, licząc na okruszki.

Maurice tymczasem zdołał umocować siatkę i bez zbytniego entuzjazmu próbował teraz uczyć Pamelę gry w tenisa. Ursula zajęła się pleceniem wianka ze stokrotek dla Bosmana. Jej paluszki były krótkie i niezgrabne. Sylvie miała długie, zręczne palce malarki albo pianistki. Grywała w salonie na pianinie („Chopina”) i czasami po podwieczorku śpiewali na głosy, lecz Ursuli nigdy nie udawało się wejść ze swoją partią w odpowiednim momencie. („Ale z niej głupek” – komentował Maurice. „Praktyka czyni mistrza” – odpowiadała mu Sylvie). Gdy podnosiła wieko pianina, jej nozdrza wypełniała woń podobna do zapachu wnętrza starej walizki. Woń ta kojarzyła się Ursuli

z jej babką Adelaide, która całymi dniami sączyła maderę, spowita w żalobną czerń.

Nowy członek ich rodziny spoczywał ciepło opatulony w wielkim wózku pod rozłożystym bukiem. Każde z dzieci było swego czasu lokatorem tego wspaniałego pojazdu, lecz żadne tego nie pamiętało. Pod budką wózka dyndał srebrny zajaczek, a niemowlę drzemało smacznie pod kołderką „wyszywaną przez zakonnice”, choć nikt im nigdy nie wyjaśnił, kim były owe zakonnice i czemu akurat spędzały dni na haftowaniu żółtych kaczuszek.

– Edward? – powtórzyła jedna z przyjaciółek Sylvie. – Teddy?

– Ursula i Teddy. Moje dwa niedźwiadki – odparła Sylvie i wybuchnęła tym swoim przypominającym czkawkę śmiechem. Ursula wcale nie była pewna, czy podoba jej się ten pomysł z niedźwiadkiem. Wolałaby być psem. Położyła się na wznak i patrzyła w niebo. Bosman wydał z siebie głęboki pomruk i wyciągnął się obok. Jaskółki brawurowo cięły skrzydłami bezkresny błękit. Do uszu Ursuli dobiegał delikatny brzęk odstawianych na talerzyki filiżanek, zgrzytanie i klekot kosiarki popychanej przez Starego Toma w ogrodzie ich sąsiadów Cole’ów. Czuła pieprzny i słodki zarazem aromat goździków oraz uderzający do głowy zapach świeżo skoszonej trawy.

– Ach... – westchnęła jedna z londyńskich przyjaciółek Sylvie, prostując nogi i ukazując przy tym zgrabne kostki obleczone w białe pończochy. – Długie, upalne lato. Czyż to nie rozkoszne?

Tę sielankę zakłócił zde gustowany Maurice. Cisnął swoją rakiętą na trawę tak mocno, że aż jęknęła i odbiła się z głośnym stukotem. – Nie dam rady niczego jej nauczyć, bo to dziewczyna! – wrzasnął, odmaszerował w zarośla i zaczął je siec patykiem, wyobrażając sobie, że to dżungla, a on ma w ręku maczetę. Po wakacjach wyjeżdżał do szkoły z internatem. Była to ta sama szkoła, do której uczęszczał Hugh, a *przed nim* jego ojciec. („I tak dalej, aż do najazdu Normanów na Anglię” – mruknęła Sylvie). Hugh twierdził, że dzięki temu Maurice wyrośnie na ludzi, chociaż Ursula uważała, że jej brat już dostatecznie wyrósł. Hugh wyznał im, że kiedy sam pierwszy raz znalazł się w tej szkole, co noc płakał w poduszkę, a mimo to Ursula miała wrażenie, że więcej niż chętnie skazuje syna na podobne katusze. Słyszając to, Maurice wypiął dumnie pierś i oznajmił, że *on* na pewno nie będzie płakać.

(„A co będzie z nami? – zaniepokoiła się Pamela. – Czy my też będziemy musiały wyjechać do szkoły?”

„Tylko jeśli będziecie bardzo niegrzeczne” – odparł Hugh ze śmiechem).

Zaczerwieniona Pamela zacisnęła piąstki i oparłszy je na biodrach, ryknęła za odchodzącym obojętnie Maurice’em: – Ale z ciebie prosię! – Postarała się, aby zabrzmiało to w jej ustach jak prawdziwa obelga. A przecież prosiaczki były całkiem miłe.

– Pammy – upomniała ją łagodnie Sylvie. – Co za niewyparzony język.

Ursula przysunęła się nieco bliżej ciasta.

– Podejdźże do nas – zwróciła się do niej jedna z kobiet. – Niech ci się przyjrzę. – Onieśmielona Ursula chciała umknąć, ale mocny uchwyt matki osadził ją na miejscu. – Ta mała jest bardzo ładna – stwierdziła. – Ma to po tobie, Sylvie.

– To język się wyparza? – spytała Ursula, na co szkolne przyjaciółki zaniósł się śmiechem – uroczym, radosnym śmiechem. – Co za zabawne stworzenie – zauważyła jedna.

– Tak, naprawdę boki można zrywać – przyznała Sylvie.

*

– Tak, naprawdę boki można zrywać – przyznała Sylvie.

– Dzieci – odezwała się Margaret – są takie słodkie, prawda?

Sylvie pomyślała, że nie tylko, ale jak wytłumaczyć rangę macierzyństwa komuś, kto sam nie ma dzieci? W towarzystwie przyjaciółek swojego krótkiego panieństwa, szczęśliwie zakończonego małżeństwem, czuła się niemal czcigodną matroną.

Bridget wyłoniła się z domu z tacą i zaczęła sprzątać po podwieczorku. Rano do prac domowych wkładała sukienkę w paski, popołudniami jednak przebierała się w czarną suknię z białymi mankietami i kołnierzykiem, do której nosiła śnieżnobiały fartuszek oraz czepek. Awansowała z posady pomywaczki. Gdy Alice wyszła za mąż i odeszła, Sylvie najęła dziewczynę z wioski, zezowatą

trzynastolatkę o imieniu Marjorie, do pomocy przy brudnej robocie. („Nie poradzilibyśmy sobie tylko z nimi dwiema? – spytał łagodnie Hugh. – Z Bridget i panią G.? Ostatecznie nie mieszkamy w rezydencji”).

„Nie, nie poradzilibyśmy sobie” – odparła Sylvie i to był koniec ich dyskusji).

Biały czepek był na Bridget za duży i stale zsuwał jej się na oczy jak opaska. Gdy wracała z tacą przez trawnik, czepek znów niespodziewanie ją oślepił i dziewczyna potknęła się – upadek jak z komedii, któremu zapobiegła dosłownie w ostatniej chwili. Jedynymi ofiarami tej przygody stały się srebrna cukiernica i szczypce do cukru, które wypadły jej z rąk i wystrzeliły w powietrze. Kostki cukru potoczyły się po zielonej murawie niczym pozbawione oczek kości do gry. Maurice śmiał się hałaśliwie z nieszczęścia Bridget, więc Sylvie skarciła go: – Maurice, przestań się wygłupiać.

A potem patrzyła, jak Bosman z Ursulą zbierają rozrzucone kostki cukru, pies za pomocą wielkiego, różowego języka, Ursula zaś, o dziwo, manipulując niewygodnymi szczypcami. Bosman prędko, bez przeżuwania, połykał swoje zdobycze, Ursula natomiast ssała je powoli, jedną po drugiej. Sylvie podejrzewała, że jej córka skazana jest na los odmieńca. Sama będąc jedynaczką, obserwowała własne dzieci i często zdumiewała ją złożoność relacji między rodzeństwem.

– Powinnaś przyjechać do Londynu – powiedziała nagle Margaret. – Zatrzymałabyś się u mnie na kilka dni. Doskonale byśmy się razem bawiły.

– A dzieci? – zaprotestowała Sylvie. – No i niemowlę. Nie mogę zostawić ich samych.

– Czemu nie? – spytała Lily. – Niania chyba poradzi sobie z nimi przez tych parę dni?

– Ale ja nie mam niani – odparła Sylvie. Lily rozejrzała się uważnie po ogrodzie, jakby spodziewała się zobaczyć przycupniętą wśród hortensji nianię. – I wcale nie chcę jej mieć – dodała Sylvie. (Czyżby?). Macierzyństwo było jej obowiązkiem, jej przeznaczeniem, wreszcie, z braku innego zajęcia (co by to zresztą mogło być?), jej całym życiem. Przyszłość Anglii tuliła się rozpaczliwie do jej piersi. Zastąpienie jej kimkolwiek nie było prostym przedsięwzięciem; w innym przypadku jej obecność czy nieobecność nie miałyby większego znaczenia. – Poza tym sama karmię małego – dorzuciła. Obie kobiety wyglądały na zszokowane. Lily mimowolnie przycisnęła nawet rękę do własnych piersi, jakby chciała je uchronić przed nagłym atakiem.

– Tak to już Bóg zaplanował – wyjaśniła Sylvie, chociaż po stracie Tiffina przestała wierzyć w Boga. Uratował ją Hugh, zbliżając się do nich przez trawnik zdecydowanym krokiem człowieka, który wie, czego chce. Roześmiał się i zagadnął: – A cóż tu się dzieje? – biorąc na ręce Ursulę i podrzucając ją od niechcenia do góry. Przestał dopiero, gdy mała zakrztusiła się kostką cukru. Wtedy uśmiechnął się do Sylvie i powiedział: – Twoje przyjaciółki – jakby mogła zapomnieć, kim są jej goście.

– Piątkowy wieczór – westchnął, stawiając Ursulę z powrotem na trawie. – Utrudzony człek może nareszcie odpocząć, dzień chyli się ku końcowi. Czy w związku z tym urocze panie nie miałyby ochoty na coś mocniejszego niż herbata? Na przykład na dzin z wodą i sokiem cytrynowym? – Hugh miał cztery młodsze siostry i czuł się swobodnie w towarzystwie kobiet. Już samo to wystarczyło, aby je oczarować. Sylvie wiedziała, że jej mąż stara się być miły i nie próbuje nikogo uwodzić, ale czasem zdarzało jej się rozmyślać nad tym, jak bardzo jest przez kobiety lubiany. Zastanawiała się przy tym, do czego to może doprowadzić albo do czego już doprowadziło.

Kiedy udało się wynegocjować zawieszenie broni między Maurice'em a Pamelą, Sylvie poprosiła Bridget o przesunięcie stołu na nieduży, lecz wygodny taras, aby dzieci również mogły zjeść podwieczorek na świeżym powietrzu: ikrę śledziową na toście oraz różową galaretkę, która ledwo się zsiadła i przy najlżejszym ruchu wpadała w trwożny dygot. Na jej widok Sylvie poczuła lekkie mdłości. – Kuchnia dla najmłodszych – powiedział Hugh z upodobaniem, przyglądając się pałaszującym posiłek pociechom.

– Austria wypowiedziała wojnę Serbii – dodał zaraz tonem luźnej konwersacji, na co Margaret zachnęła się: – Co za głupota! W ubiegłym roku spędziłam cudowny weekend w Wiedniu. W hotelu Imperial, znacie może to miejsce?

– Niezbyt dobrze – odparł Hugh.

Sylvie знаła, ale się nie przyznała.

Wieczór przeszedł w letni zmierzch. Sylvie, spowita delikatnymi oparami alkoholu, przypomniała sobie nagle spowodowany nadmiarem koniaku upadek swego ojca. Klasnęła w dłonie, jakby chciała zabić napastliwą muchę, i oznajmiła: – Pora spać, dzieci – a potem patrzyła, jak Bridget z wysiłkiem pcha przez trawnik ciężki wózek. Westchnęła, na co Hugh pomógł jej podnieść się z fotela, a kiedy wstała, cmoknął ją w policzek.

Sylvie otworzyła i zablokowała maleńki świetlik w dusznym pokoiku, w którym spało niemowlę. Nazywali to pomieszczenie „pokojem dziecięcym”, ale w rzeczywistości była to klitka wciśnięta pod okap dachu, gdzie latem nie dawało się oddychać, a zimą temperatura sięgała zera, co czyniło ją całkowicie nieodpowiednim miejscem dla tak delikatnego maleństwa. Podobnie jak Hugh, Sylvie uważała wszakże, że dzieci należy hartować od małego, aby później lepiej znosiły ciosy, jakich nie będzie im szczeni życie (takie jak utrata przyjemnego domu w Mayfair, ukochanego kucyka oraz wiary we wszechwiedzące bóstwo). Usiadła na fotelu z pikowanym oparciem i zaczęła karmić Edwarda. – Teddy – szeptała do niego czule, gdy łapczywie ssał i przełykał, powoli usypiając. Najbardziej lubiła dzieci, kiedy były małe, błyszczące i nowiutkie jak różowe poduszeczki na kocich łapkach. Jednak to było wyjątkowe. Sylvie ucałowała delikatne włoski na główce swojego synka.

Wieczorną ciszę przerwał męski głos. – Nic, co dobre, nie trwa wiecznie – usłyszała słowa Hugh, prowadzącego Lily i Margaret do jadalni, gdzie właśnie podano kolację. – Jak mniemam, nasza uduchowiona pani Glover upiekła na dzisiaj płaszczkę. Ale może najpierw chciałyby panie obejrzyć mój generator? – Na co obie kobiety zaczęły trajkotać jak głupiutkie dzierlatki, którymi zresztą nadal były.

Ursulę obudziły podniecone głosy i klaskanie w dłonie. – Elektryczność! – usłyszała okrzyk jednej z przyjaciółek Sylvie. – Jak wspaniale!

Dzieliła z Pamelą pokój na poddaszu. Ich identyczne łóżeczka oddzielały od siebie szmaciany dywanik oraz szafka nocna. Pamela spała z rękoma nad głową i od czasu do czasu z jej ust wyrwał się głośny krzyk, jakby ktoś kłuł ją szpilką (paskudny żart, ulubiony przez Maurice'a). Za ścianą po jednej stronie miały panią Glover, która chrapała jak parowóz, po drugiej bełkoczącą całymi nocami Bridget. Bosman spał za drzwiami na korytarzu, strzegąc ich czujnie nawet we śnie. Co jakiś czas cichutko skowyczał, ale czy z radości, czy z bólu, tego nie wiedziały. Krótko mówiąc, poddasze było tłoczonym i bardzo niespokojnym miejscem.

Ponownie zbudziły Ursulę rozmowy wychodzących gości. („To dziecko ma nienaturalnie lekki sen” – mawiała pani Glover, jakby to była wada, nad którą należy pracować). Wygramoliła się z łóżka i podeszła do okna. Gdyby wspięła się na krzesło i wyjrzała, czego zresztą stanowczo im zabraniało, ujrzałyby stojącą na trawniku Sylvie i jej przyjaciółki. Ich suknie trzepotały jak ćmy w zapadającym mroku. Hugh czekał przy tylnej bramie, aby odprowadzić je połą drogą na stację.

Czasami Bridget prowadziła tam dzieci, żeby mogły powitać ojca, gdy wracał pociągiem z pracy. Maurice twierdził, że kiedy dorośnie, zostanie maszynistą albo polarnikiem, jak sir Ernest Shackleton, który miał wkrótce wyruszyć statkiem na swoją wielką wyprawę. Ewentualnie będzie po prostu bankierem, jak jego ojciec.

Hugh pracował w Londynie, mieście, które odwiedzali od wielkiego dzwonu, aby spędzić sztywne popołudnie w salonie babki w Hampstead, podczas którego wiecznie skłóceni ze sobą Maurice i Pamela do tego stopnia „szarpali” nerwy biednej Sylvie, że w drodze powrotnej do domu zawsze była w okropnym humorze.

Gdy wreszcie Hugh i obie panie sobie poszli, a ich głosy ucichły w oddali, Sylvie odwróciła się i ruszyła przez trawnik do domu. Czarny nietoperz rozpostarł swoje skrzydła i jej postać była tylko ciemnym cieniem. Niezauważona przez Sylvie lisica ruszyła zdecydowanie w ślad za nią, by nagle gwałtownie skręcić i przepaść w zaroślach.

– Słyszałeś coś? – spytała Sylvie. Wsparta na poduszkach, czytała wczesnego Forstera. – Tak jakby mały...?

Hugh przekrzywił lekko głowę, na ułamek sekundy upodabniając się do Bosmana.

– Nie – odparł.

Ich najmłodsza pociecha przesypiała zwykle spokojnie całe noce. Istny aniołek, tyle że nie

w niebie. I chwała Bogu.

- Udał nam się najbardziej z całej czwórki – stwierdził Hugh.
 - Tak, chyba powinniśmy zatrzymać go na stałe.
 - W ogóle nie jest do mnie podobny – zauważył Hugh.
 - Rzeczywiście – przyznała zgodnie. – W niczym ciebie nie przypomina.
- Hugh roześmiał się i całując ją czule, rzekł: – Dobranoc, gaszę swoją lampkę.
- A ja chyba jeszcze trochę poczytam.

*

Kilka dni później, pewnego upalnego popołudnia, Sylvie i Bridget wybrały się popatrzeć na żniwa.

Wędrowały przez pole wraz z dziewczynkami; Sylvie dodatkowo dźwiżyła niemowlę w nosidle, które Bridget sporządziła z własnego szala i przewiesiła Sylvie na ukos przez ramię. – Wyglądasz zupełnie jak irlandzka wieśniaczka – podsumował rozbawiony Hugh. Była sobota, a on, nareszcie uwolniony od ponurych obowiązków bankiera, spoczywał na wiklinowym szezlongu wystawionym na taras za domem, w ramionach tuląc niczym Biblię *Wisdena almanach krykieta*.

Maurice przepadł gdzieś zaraz po śniadaniu. Miał już dziewięć lat i wolno mu było chodzić, gdzie chciał i z kim chciał; mimo to zwykł przebywać raczej wyłącznie w towarzystwie innych dziewięcioletnich chłopców. Sylvie nie miała pojęcia, co właściwie razem robili, ale Maurice zawsze zjawiał się pod wieczór brudny jak nieboskie stworzenie, dzierżąc w dłoni jakieś nieapetyczne trofeum: słój pełen żab lub robaków, martwego ptaka czy zbiełałą czaszkę jakiegoś zwierzątka.

Słońce dawno rozpoczęło swoją żmudną wspinaczkę po nieboskłonie, zanim wreszcie wyruszyły, uciążliwie objuczone niemowlęciem, koszami piknikowymi, kapelusikami i parasolkami. Bosman dreptał obok nich niczym mały kucyk. – Wielkie nieba, jesteśmy obładowane jak jacyś uchodźcy – zauważyła Sylvie. – Żydzi uchodzący z Izraela na przykład.

– Żydzi? – powtórzyła Bridget, krzywiąc z obrzydzeniem swoją brzydką twarz.

Teddy przespał całą drogę w zaimprovizowanym nosidle, podczas gdy one gramoliły się przez przelazy i potykały o koleiny, w których błoto zdążyło stwardnieć w prażącym słońcu na kamień. Bridget rozdarła sukienkę na gwoździu i narzekała na odciski na stopach. Sylvie miała ochotę zdjąć gorset i porzucić go gdzieś przy ścieżce; zaraz też wyobraziła sobie zdumienie kogoś, kto by się na niego natknął. Nieoczekiwanie coś jej się przypomniało – zaskakujące wspomnienie, zważywszy na palące słońce i fakt, że znajdowały się na polu pełnym pasących się krów. Hugh, manipulujący przy fiszbinach jej gorsetu w hotelu w Deauville podczas ich podróży poślubnej; przez otwarte okno słysząc skrzeczenie nawołujących się w locie mew oraz odgłosy sprzeczki jakiejś francuskiej pary, wyrzucającej z siebie inwektywy z prędkością karabinu maszynowego. W drodze powrotnej statkiem z Cherbourga Sylvie nosiła już pod sercem małego człowieczka, z którego miał później wyrosnąć Maurice, choć w owym czasie szczęśliwie nie była jeszcze tego świadoma.

– Pszepani? – Głos Bridget wyrwał ją z zamyślenia. – Pani Todd? To chyba nie są *krowy*.

*

Przystanęły, żeby podziwiać konie pociągowe George'a Glovera, ogromne zwierzęta rasy shire o imionach Samson oraz Nelson, które na widok gromadki ludzi zaczęły naraz parskać i potrząsać łbami. Ursula się ich bała, ale Sylvie nakarmiła każdego jabłkiem, one zaś dużymi, aksamitnymi, różowymi wargami delikatnie chwyciły owoce z jej otwartej dłoni. Sylvie stwierdziła, że taka maść nazywa się jabłkowita i że konie są o wiele piękniejsze od ludzi, na co Pamela natychmiast spytała: – Nawet od dzieci? – na co jej matka odparła: – Tak, szczególnie od dzieci – i się roześmiała.

Potem odnalazły George'a, który osobiście pomagał przy żniwach. Zobaczywszy je, ruszył przez pole na powitanie. – Dzień dobry pani – zwrócił się do Sylvie, zdejmując czapkę i ocierając pot z czoła dużą, nakrapianą, biało-czerwoną chustką. Do rąk przyczepiły mu się żdzibła słomy. Tak jak ona, również włosy na jego przedramionach były złote od słońca. – Ale dziś gorąc – zauważył całkiem niepotrzebnie i spojrzął na Sylvie spod długiego kosmyka włosów, stale opadającego mu na

piękne, błękitne oczy. Sylvie lekko się zarumieniła.

Oprócz lunchu dla siebie – kanapek z pastą śledziową i cytrynową, piwa imbirowego oraz placka z kminkiem – przyniosły też resztki wczorajszej wieprzowiny zapiekanej w cieście, którą pani Glover przekazała dla George’a wraz ze słoiczkiem swojej słynnej warzywnej marynaty. Placcek był już czerstwy, ponieważ Bridget zapomniała schować go do puszki i przez całą noc przeleżał w ciepłej kuchni. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby mrówki złożyły w nim jaja – mruzczała pani Glover. Gdy więc przyszło do konsumpcji, Ursula wydłubywała wszystkie ziarenka, których było istne mrowie, i sprawdzała, czy któreś z nich nie jest przypadkiem mrówczym jajem.

Robotnicy na polu również przerwali pracę, żeby się posilić; ich lunch składał się głównie z chleba, sera i piwa. Bridget, czerwona i rozchichotana, podała George’owi jego wieprzowinę. Pamela szepnęła Ursuli, że zdaniem Maurice’a Bridget czuje do George’a miętę, choć żadnej z nich nie wydawało się prawdopodobne, aby akurat Maurice mógł być wiarygodnym źródłem informacji, jeśli chodzi o sekrety serca. Zjedli swój posiłek na skraju rzyska; George, swobodnie wyciągnięty, przeżuwał olbrzymie kęsy wieprzowiny w cieście. Bridget wpatrywała się w niego z zachwytem, niczym w greckiego boga, podczas gdy Sylvie była zaabsorbowana swoim najmłodszym dzieckiem.

Koniec końców oddaliła się, żeby poszukać ustronnego zakątka, gdzie mogłaby nakarmić Teddy’ego. Dziewczeta wychowywane w przyzwoitych domach w Mayfair nie kucwały zwykle za żywopłotami, żeby podawać pierś niemowlęciu jak jakieś irlandzkie wieśniaczki. Z rozrzewnieniem wspominała kabinę plażową w Kornwalii. Zanim znalazła odpowiednią kryjówkę w zagłębieniu żywopłotu, Teddy zaczął ryczeć wniebogłosy, zaciskając wojowniczo swoje maleńkie piąstki w proteście przeciw niesprawiedliwości tego świata. Sylvie właśnie przystawiała go do piersi, gdy podniosła wzrok i dostrzegła George’a Glovera, wyłaniającego się spośród kępy drzew na skraju pola. Na jej widok przystanął, wybałuszając oczy jak spłoszony jeleń. Trwał tak w bezruchu może przez sekundę, po czym ściągnął z głowy czapkę i wykrztusił: – Ciągle gorąco, pszepani.

– Rzeczywiście – odparła żywo Sylvie.

Po chwili patrzyła, jak George Glover spieszy w stronę złożonej z pięciu poprzeczek bramy na środku pola i przeskakuje ją zwinnie jak myśliwy na koniu przez przeszkodę.

Z bezpiecznej odległości przyglądały się, jak olbrzymia żniwiarka z hałasem wgrzyza się w łan pszenicy. – Hipnotyczne, co nie? – odezwała się Bridget. Niedawno nauczyła się tego słowa. Sylvie wyjęła śliczny, złoty zegarek kieszonkowy, obiekt pożądania Pameli, i wykrzyknęła: – Wielkie nieba, spójrzcie tylko, która godzina! – czego żadna z nich oczywiście nie zrobiła. – Powinnyśmy już wracać.

Zbierały się do drogi, gdy George Glover zawołał: – Zaczekajcie! – i ruszył kłusem w ich stronę. W czapce niósł coś delikatnego – dwa młodziutkie króliczki. – Och! – wykrzyknęła Pamela, lejąc łzy z podniecenia.

– Króle – powiedział George Glover. – Znalazłem je na środku pola. Matki nigdzie nie widać. Może je weźmiecie? Dla każdej będzie akurat po jednym.

W drodze powrotnej do domu Pamela niosła maluchy w fartuszkach, dźwigając je przed sobą tak dumnie jak Bridget tacę z podwieczorkiem.

– Patrzcie państwo! – zawołał Hugh, kiedy zmęczone weszły przez ogrodową furtkę. – Całe wyzłocone i wycalowane przez słońce. Wyglądacie jak prawdziwe wieśniaczki.

– Więcej tu chyba czerwieni niż złota – odparła żałośnie Sylvie.

Za domem krzątał się ogrodnik. Wszyscy nazywali go Starym Tomem. („Zupełnie jakby był kotem – stwierdziła Sylvie. – Myślisz, że kiedyś mówili na niego: «Młody Tom»?”). Pracował przez sześć dni w tygodniu, dzieląc ten czas między ich ogród oraz pobliską posesję. Sąsiedzi, Cole’owie, zwracali się do niego: „panie Ridgely”, on sam jednak nigdy się nie wypowiedział, którą woli wersję. Dom Cole’ów był bardzo podobny do ich domu, a pan Cole pracował w banku, jak Hugh. – To Żydzi – rzuciła Sylvie tonem, jakiego używała, mówiąc: „katolicy” – zaintrygowana, a zarazem zaniepokojona ich odmiennością.

– Ale chyba niepraktykujący – odrzekł Hugh. Ursula była ciekawa, co takiego mieliby praktykować. Pamela musiała codziennie przed podwieczorkiem ćwiczyć na pianinie gamy, żeby nabrać wprawy, i całe to brzdąkanie było zwyczajnie nie do wytrzymania.

Według najstarszego syna sąsiadów, Simona, pan Cole urodził się pod całkiem innym nazwiskiem, którego wymowa była nazbyt skomplikowana dla angielskiego ucha. Ich średni syn Daniel przyjaźnił się z Maurice'em, bo choć dorośli nie utrzymywali ze sobą kontaktów, ich dzieci dobrze się znały. Simon, prawdziwy kujon (przynajmniej według Maurice'a), w każdy poniedziałkowy wieczór pomagał Maurice'owi w matematyce. Sylvie, zakłopotana jego żydowskim pochodzeniem, nie była pewna, jak ma mu wynagrodzić ów nieprzyjemny obowiązek. – A jeśli dam mu coś, co go obrazi? – myślała głośno. – Jeżeli mu zapłacę, może pomyśleć, że to przytyk do ich przysłowiowego skąpstwa. A jeśli dam mu słodycze, mogę niechcący złamać jakiś religijny zakaz.

– Przecież oni nie praktykują – powtórzył Hugh. – Nie przestrzegają zasad religijnych.

– Benjamin jest bardzo spostrzegawczy – wtrąciła Pamela. – Wczoraj wypatrzył gniazdo kosa. – Mówiąc to, wlepiła oskarżycielski wzrok w Maurice'a, który nakrył ich akurat, gdy podziwiali śliczne, błękitno-brązowe, nakrapiane jajka, a następnie wyrwał im je z rąk i rozbił o kamień. Jego zdaniem był to świetny dowcip. W odpowiedzi Pamela cisnęła w niego niedużym (no, wcale nie *takim* dużym) kamieniem i trafiła go w głowę. – A masz – powiedziała. – I jakie to uczucie, gdy ktoś rozbija *twoją* skorupkę? – Teraz Maurice miał na skroni paskudną ranę i sporego siniaka. – Przewróciłem się – wyjaśnił krótko, gdy Sylvie wypytywała go, jak do tego doszło. Normalnie narzuciłby na Pamelę, ale wówczas jego brzydki postępek wyszedłby na jaw i matka ukarałaby go surowo za stłuczenie jajek. Już wcześniej przyłapała go na kradzieży ptasich jaj i porządnie natarła mu uszu. Sylvie stale powtarzała, że powinni „szanować” przyrodę, jednak w naturze Maurice'a nie leżało niestety poszanowanie czegokolwiek.

– On chyba uczy się grać na skrzypcach? Mam na myśli Simona – upewniła się Sylvie. – Żydzi są niezwykle muzycalni, nieprawdaż? Może mogłabym mu podarować jakieś nuty albo coś podobnego. – Ich rozmowa dotycząca potencjalnego ryzyka obrazy wyznawców judaizmu toczyła się przy śniadaniu. Hugh zawsze sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego widokiem swoich dzieci, siedzących z nim przy jednym stole. On sam nie jadał śniadań z rodzicami, dopóki nie skończył dwunastu lat i nie uznano, że może już opuścić dziecięcy pokój. Był wówczas krępkim wychowankiem wszechstronnej niani, która w ich domu w Hampstead zarządzała swoistym państwem w państwie. Dla odmiany mała Sylvie jadała późne kolacje – najczęściej mus z kaczki – przycupnąwszy niebezpiecznie wysoko na piramidzie z poduszek, usypiana migotliwym światłem świec i brzękiem sreber, podczas gdy ponad jej głową toczyły się ożywione dyskusje rodziców. Obecnie podejrzewała, że nie miała całkiem normalnego dzieciństwa.

Stary Tom spulchniał grządkę, jak sam wyjaśnił, pod nowy zagon szparagów. Hugh dawno już zarzucił lekturę *Wisdena* i zajął się zbieraniem malin. Napelniał nimi białą, emaliowaną miskę, w której, jak przypomniały sobie właśnie Pamela z Ursulą, Maurice trzymał do niedawna kijanki. Obie jednak to przemilczały. Nalewając sobie piwa do szklanki, Hugh rzekł: – Aż pić się chce od tej pracy na roli – na co wszyscy się roześmiali, wszyscy z wyjątkiem Starego Toma.

Pani Glover wyszła przed dom i zażądała, aby Stary Tom nakopał jej ziemniaków do obiadu, na który miała zamiar podać zrazy wołowe. Na widok królików zaczęła gniewnie posapywać, gderając: – Nawet na gulasz nie starczy. – Słyszac te słowa, Pamela wybuchnęła płaczem i trzeba ją było uspokoić kropelką piwa Hugh.

Następnie Pamela wspólnie z Ursulą przygotowały w odległym zakątku ogrodu gniazdo uwite z trawy oraz gałązek topoli, przyozdobione płatkami róż, i ostrożnie umieściły w nim króliczki. Pamela zaśpiewała im kołysankę – umiała naprawdę czysto śpiewać – zupełnie nie zważając na to, iż spały nieprzerwanie od chwili, gdy George Glover im je podarował.

– Obawiam się, że są jeszcze za młode – powiedziała Sylvie. – Za młode na co? – chciała wiedzieć Ursula, lecz matka im tego nie wyjaśniła.

Siedzieli na trawie i jedli maliny ze śmietaną i cukrem. Hugh spojrział w górę na wyjątkowo błękitne niebo i rzekł: – Słyszeliście ten grzmot? Czuję, że wkrótce rozpęta się okropna burza. Ty też to czujesz, Stary Tomie? – Mówiąc to, podniósł głos, żeby Stary Tom usłyszał go hen, aż na grządce. Sądził, że jako ogrodnik Stary Tom musi się znać na pogodzie. Ten jednak nic mu nie odpowiedział i kopał dalej.

– Głuchy jak pień – mruknął Hugh.

– Wcale nie jest głuchy – zaprotestowała Sylvie, rozcierając maliny na piękny, gęsty krem w kolorze krwi. Nieoczekiwanie przypomniał jej się George Glover, syn ziemi, jego silne, kwadratowe dłonie, para pięknych siwych zwierząt jak wielkie konie na biegunach i to, jak wylegiwał się na trawie na skraju rżyska, jedząc swój lunch, upozowany jak Adam Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej, tyle że zamiast sięgać po dłoń swego Stworzyciela, wyciągał rękę po kolejny kawałek wieprzowiny w cieście. (Gdy Sylvie towarzyszyła swojemu ojcu Llewellynowi w podróży do Włoch, była zszokowana mnogością nagich męskich ciał prezentowanych publicznie jako sztuka). Wyobraziła sobie, że karmi George’a Glovera jabłkami, podsuwając mu je na otwartej dłoni, i parsknęła śmiechem.

– Co cię tak śmieszy? – spytał Hugh, a Sylvie odparła: – Ten George Glover to jednak przystojny chłopak.

– W takim razie musi być adoptowany – orzekł Hugh.

Tego wieczora w łóżku Sylvie porzuciła Forstera na rzecz mniej intelektualnych rozrywek. Rozgrzane ciała, splecione ze sobą w małżeńskim łożu; Sylvie pomyślała, że więcej w niej zziąjanego charta niż szybującego skowronka. Przyłapała się na tym, że nie myśli wcale o gładkim, szczupłym i silnym ciele swego męża, lecz o potężnych jak u centaura, błyszczących w słońcu ramionach George’a Glovera. – Jesteś dziś bardzo... – zauważył wyczerpany Hugh i w poszukiwaniu właściwego słowa zagapił się na gzyms na suficie. – Ożywiona – dokończył po chwili.

– Wszystko przez to świeże powietrze – odparła Sylvie.

Wyzłocone i wycalowane przez słońce, myślała, odpływając leniwie w sen. Niespodziewanie przyszły jej do głowy strofy Szekspira: „Was panny, chłopcy wyzłoceni, jak kominiarzy śmierć w proch zmieni”¹, a ona poczuła nagły lęk.

– Nareszcie burza – odezwał się Hugh. – Mam zgasić światło?

W niedzielny poranek ze spokojnego snu wyrwało Sylvie i Hugh głośnie zawodzenie Pameli. Razem z Ursulą zbudziły się wcześniej i wielce podekscytowane popędziły do ogrodu. Tam odkryły, że króliczki zniknęły. Został po nich tylko jeden puszysty jak pomponik ogonek, biały z małą kropką czerwieni.

– Lisy – stwierdziła pani Glover z pewną satysfakcją. – Można się było tego spodziewać.

Styczeń 1915

– Słyszała pani nowiny? – spytała Bridget.

Sylvie westchnęła i odłożyła list od Hugh; jego kartki były kruche jak zeschnięte liście. Minęło zaledwie kilka miesięcy od dnia, gdy wyjechał na front, a ona z trudem przypominała sobie, jak to było być jego żoną. Hugh został mianowany kapitanem w regimencie lekkiej piechoty Oxfordshire i Buckinghamshire. Ubiegłego lata był jeszcze bankierem. Wydawało jej się to czymś absurdalnym.

Jego listy były pogodne i powściągliwe. („Moi ludzie są wspaniali; co za charaktery!”). Wcześniej często wymieniał ich z imienia (Bert, Alfred, Wilred), lecz po bitwie pod Ypres pisał już tylko: „żołnierze”, i Sylvie zastanawiała się, czy to znaczy, że Bert, Alfred i Wilfred zginęli. Hugh nigdy nie wspominał o śmierci ani umieraniu, jakby wybrali się tam na wycieczkę albo na piknik. („W tym tygodniu okropnie u nas leje. Wszędzie pełno błota. Mam nadzieję, że cieszyć się lepszą pogodą!”).

– Na wojnę?! Ty idziesz na wojnę?! – krzyczała, kiedy oznajmił jej, że się zaciągnął. Uderzyło ją, że nigdy przedtem nie podniosła na niego głosu. A może powinna była.

Skoro już ma być wojna, wyjaśnił jej Hugh, on nie chce później oglądać się za siebie ze świadomością, że coś go ominęło, że inni w tym czasie bronili honoru ojczyzny, a on siedział w domu. – To może być jedyna prawdziwa przygoda w moim życiu – dodał.

– Przygoda? – powtórzyła z niedowierzaniem. – A co z dziećmi, co z twoją żoną?

– Przecież ja to robię właśnie dla ciebie – odparł zraniony do żywego; niezrozumiany Tezeusz. W tamtej chwili Sylvie szczerze go nienawidziła. – Chcę bronić domowego ogniska – podkreślił. – Wszystkiego, w co wierzę.

– A jednocześnie nazywasz to *przygodą*. – Sylvie odwróciła się do niego plecami.

Niemniej jednak pojechała, rzecz jasna, do Londynu, aby go pożegnać. Nieustannie poszturchiwani, tkwili w olbrzymim, machającym chorągiewkami tłumie, który wiwatował, jakby już odtrąbiono wielką wiktoryę. Sylvie zdumiewał patriotyczny zapach obecnych na peronie kobiet; zawsze uważała, że wojna zmienia wszystkie kobiety w pacyfistki.

Hugh tulił ją do siebie, jakby dopiero co się w sobie zakochali, wskoczył do pociągu dosłownie w ostatnim momencie i w ułamku sekundy zniknął w mrowiu umundurowanych mężczyzn. Jego regiment, pomyślała; jakie to dziwne. Podobnie jak zebrana na peronie tłuszcza, Hugh robił wrażenie głupio uradowanego.

Pociąg drgnął i zaczął wytaczać się ze stacji, a podniecone zbiorowisko wydało z siebie ryk zachwyty, wymachując gorączkowo chorągiewkami i wyrzucając w górę kapelusze. Sylvie mogła jedynie śledzić niewidzącym wzrokiem okna wagonów, które mijały ją najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż w końcu zlały się w jedną rozmazaną plamę. Nigdzie nie dostrzegła Hugh i nie sądziła, aby on mógł ją wypatrzeć.

Ludzie powoli opuszczali peron, a ona jeszcze długo tam stała, wpatrzona w punkt na horyzoncie, gdzie zniknął pociąg.

Sylvie odłożyła list i dla odmiany wzięła do ręki druty.

– No to jak, *słyszała* pani nowiny? – nie rezygnowała Bridget. Rozkładała na stole sztucce przed podwieczorkiem. Sylvie zmarszczyła brwi nad swoją robótką i pomyślała, że nie wie, czy ma ochotę na jakiegokolwiek informacje, których źródłem byłaby Bridget. Zrzuciła oczka pod skos rękawa typu raglan do solidnego szarego puloweru, który robiła dla Maurice’a. Wszystkie kobiety w ich domu poświęcały teraz wyjątkowo dużo czasu na dzierganie – szalików, jedno- i pięciopalczastych rękawiczek, skarpet, czapek, kamizelek oraz swetrów – byle tylko ogrzać swoich mężczyzn.

Pani Glover siadywała wieczorami przy kuchennym piecu i dziergała olbrzymie rękawice,

tak duże, że zmieściłyby się w nich kopyta roboczych koni George'a. Nie były one jednak, rzecz jasna, przeznaczone dla Samsona ani Nelsona, miały być wysłane dla George'a, który zaciągnął się jako jeden z pierwszych, co pani Glover z dumą podkreślała przy każdej nadarzającej się okazji, okropnie działając Sylvie na nerwy. Nawet pomywaczka Marjorie dała się porwać ogólnemu szaleństwu, trudząc się po lunchu nad czymś, co wyglądało jak ścierka do naczyń, gdyż przesadą byłoby nazwanie tego „robótką”. – Więcej w tym dziur niż wełny – orzekła pani Glover, a potem natarła dziewczynie uszu i kazała jej wracać do pracy.

Bridget dla odmiany produkowała niewydarzone skarpetki – za żadne skarby nie potrafiła wykończyć pięty – dla swojego nowego ukochanego. Ostatnio „oddała serce” stajennemu z Ettringham Hall, niejakiemu Samowi Wellingtonowi. – Och, wiem, że straszny z niego brzydal – powtarzała kilka razy na dzień, zaśmiewając się do rozpuku z własnego dowcipu, jakby opowiadała go po raz pierwszy.

Bridget posyłała Samowi Wellingtonowi sentymentalne pocztówki, na których aniołki unosiły się ponad głowami kobiet, w zaciszu swoich salonów łkających żałośnie przy stolikach nakrytych nicianymi serwetkami. Sylvie napomknęła jej nawet, że może powinna wysyłać walczącemu mężczyźnie nieco radośniejsze obrazki.

Bridget trzymała też na swojej skądinąd ubogiej toalecie portretową fotografię Sama Wellingtona. Zajmowała ona honorowe miejsce tuż obok emaliowanej szczotki i grzebienia, które Sylvie podarowała jej po tym, jak sama dostała od Hugh na urodziny nowiutki, posrebrzany komplet.

Podobna obowiązkowa podobizna George'a zdobiła nocną szafkę pani Glover. Wbity w mundur i sztucznie upozowany na tle widoczku kojarzącego się Sylvie z wybrzeżem Amalfi, George Glover w niczym nie przypominał już Adama z Kaplicy Sykstyńskiej. Sylvie myślała o innych poborowych, którzy przeszli przez ten sam rytuał wykonania pamiątkowej fotografii dla matki czy ukochanej, często jedynej, jaka miała po nich pozostać. – Przecież on może tam zginąć – mówiła o swoim wybranku Bridget – a wtedy mogłabym zapomnieć, jak wyglądał. – Sylvie miała mnóstwo fotografii Hugh; jej mąż wiódł dobrze udokumentowane życie.

Z wyjątkiem Pameli wszystkie dzieci były na górze. Teddy spał – albo i nie spał – w swoim małym łóżeczku; tak czy inaczej, nie było słyhać, żeby na coś narzekał. Maurice i Ursula zajmowali się nie wiadomo czym i na wszelki wypadek Sylvie wołała się nimi nie interesować. Ich nieobecność oznaczała, że w pokoju dziennym panował niczym niezmacony spokój, jeśli nie liczyć sporadycznych, podejrzanych łomotów na piętrze i metalicznego pobrzękiwania rondli dobiegającego z kuchni, gdzie pani Glover z jakiegoś powodu głośno demonstrowała swoje niezadowolenie; mogła nim być wojna albo niekompetencja Marjorie, albo i jedno, i drugie.

Od wybuchu walk na kontynencie jadalni wszystkie posiłki w pokoju dziennym, rezygnując z jadalni oraz stołu w stylu regencji, jako nazbyt ekstrawaganckiego w czasach wojennego zaciskania pasa, i przesiadając się do niewielkiego bawialnianego stolika. („Nie wystarczy wynieść się z jadalni, żeby wygrać wojnę” – mruzczała pod nosem pani Glover).

Sylvie dała znak Pameli, która posłusznie wykonała nieme polecenie matki, ruszając w ślad za Bridget dookoła stołu i przekładając sztuce na właściwe miejsca. Biedna Bridget nie potrafiła odróżnić lewej strony od prawej ani dołu od góry.

Osobisty wkład Pameli w pomoc dla brytyjskich sił ekspedycyjnych przyjął formę masowej produkcji burych szalików o nieprawdopodobnej i wielce niepraktycznej długości. Sylvie była przyjemnie zaskoczona upodobaniem starszej córki do monotonii – w dorosłym życiu będzie jak znalazł. Zgubiła oczko i wymamrotała przekleństwo, co zadziwiło zarówno Pamelę, jak i Bridget. – Jakie nowiny? – spytała wreszcie niechętnie.

– Na Norfolk spadły bomby – odpowiedziała Bridget, dumna z posiadanych informacji.

– Bomby? – powtórzyła Sylvie, podnosząc wzrok znad robótki. – Na *Norfolk*?

– Nalot zeppelinów – oświadczyła z przekonaniem Bridget. – Takie już są te Szwaby.

Wszystko im jedno, kogo zabijają. Są źli do szpiku kości. Zjadają belgijskie niemowlęta.

– Czy ja wiem... – westchnęła Sylvie, nabierając zgubione oczko – to już chyba lekka przesada.

Pamela zawahała się, z deserowym widelczykiem w jednej, a łyżką w drugiej ręce, jakby

miała właśnie zaatakować jeden z solidnych puddingów pani Glover. – Zjadają? – powtórzyła przeżona. – Niemowlęta?

– Oczywiście, że nie – odparła ze złością Sylvie. – Co za głuptas z ciebie.

Z czeluści kuchennych dobiegł je głos pani Glover, przywołującej Bridget, i dziewczyna pomknęła wykonać rozkaz. Sylvie usłyszała jeszcze, jak u podnóża schodów wrzeszczy do pozostałej dwójki dzieci: – Podwieczorek!!!

Pamela westchnęła jak ktoś, kto najlepsze lata życia ma już za sobą, i usiadła przy stole.

Wpatrując się tępo w obrus, powiedziała: – Tęsknię za tatusiem.

– Ja także, kochanie – odparła Sylvie. – Ja także. A teraz nie bądź gąską, idź i dopilnuj, żeby tamci dwoje umyli ręce.

Na Boże Narodzenie Sylvie przygotowała dla Hugh wielką paczkę: nie mogło w niej oczywiście zabraknąć nieśmiertelnych skarpet i rękawiczek oraz jednego z niezliczonych szalików Pameli. Dla przeciwwagi Sylvie dołączyła gruby kaszmirowy szal, który sama wydziergała i skropiła swoimi ulubionymi perfumami, La Rose Jacqueminot, żeby przypominał mężowi dom. Wyobraziła go sobie na polu walki, z jej szalem na nagiej piersi, niczym jakiegoś dzielnego rycerza stojącego do pojedynku w barwach damy swego serca. Już sama ta romantyczna wizja stanowiła dla niej pocieszenie i Sylvie wołała ją od zdecydowanie bardziej ponurych scenariuszy. Jakiś czas temu spędziły mroźny weekend w Broadstairs, okutane w onuce, ciepłą bielizną oraz kominiarki, nasłuchując dudnienia armat na przeciwległym brzegu.

W świątecznej paczce znalazł się także placek śliwkowy, upieczony przez panią Glover, puszka nieco niekształtnych miętówek w czekoladzie, będących dziełem Pameli, papierosy, butelka dobrej słodowej whisky oraz tomik wierszy – antologia poezji angielskiej, w większości sielanki, nic nazbyt skomplikowanego – jak również drobne upominki własnej roboty od Maurice'a (samolot z balsy) oraz rysunek wykonany przez Ursulę, przedstawiający błękitne niebo, zieloną trawę i nieforemną figurkę psa. „Bosman” – dopisała u góry pomocna ręka Sylvie. Nie miała pojęcia, czy Hugh otrzymał tę paczkę, czy nie.

Samo Boże Narodzenie było bardzo męczące. Odwiedziła ich Izzie i najpierw bez końca plotła o niczym (a w zasadzie o sobie), a następnie oznajmiła, że zaciągnęła się do Ochotniczych Oddziałów Pomocniczych i jak tylko świętowanie dobiegnie końca, wyjeżdża do Francji.

– Ależ Izzie – odparła Sylvie – przecież ty nie potrafisz pielęgnować rannych ani gotować, ani pisać na maszynie, ani w ogóle robić niczego pożytecznego. – Zabrzmiało to ostrzej, niż planowała, ale Izzie była taka postrzelona. („Trzpiotka” – brzmiała opinia pani Glover).

– No to przepadło – orzekła Bridget na wieść o dobroczynnej misji Izzie – do Wielkiego Postu przegramy tę wojnę. – Izzie ani razu nie wspomniała o swoim dziecku. Chłopiec został oddany do adopcji w Niemczech, więc Sylvie przypuszczała, że jest teraz obywatelem niemieckim. Jakie to dziwne: trochę tylko młodszy od Ursuli, oficjalnie był teraz ich wrogiem.

Na Nowy Rok dzieci jedno po drugim zapadły na ospę wietrzną. Ledwo na twarzy Pameli pojawiły się pierwsze ślady wysypki, Izzie już siedziała w pociągu powrotnym do Londynu. – Ładna mi siostra miłosierdzia – rzuciła gniewnie Sylvie, zwracając się do Bridget.

Choć jej paluszki były krótkie i nieporadne, Ursula również włączyła się w robótkowe szaleństwo. Dostała na Gwiazdkę francuską drewnianą laleczkę do dziergania, która nazywała się La Reine Solange, co – jak wyjaśniła jej Sylvie – znaczyło „Królowa Solange”, chociaż matka „szczerze wątpiła”, aby historia słyszała o jakiegokolwiek królowej tego imienia. Drewniany korpus Królowej Solange pomalowany był w królewskie barwy, a na jej głowie tkwiła wymyślna żółta korona, której wypustki podtrzymywały włóczkę. Ursula okazała się wierną poddaną, poświęcającą cały swój wolny czas, a miała go bez liku, na tworzenie długiśnych wełnianych serpentyn, dla których trudno było znaleźć praktyczne zastosowanie. Mogła je tylko zwijać w spirale i robić z nich podkładki pod filiżanki albo nieforemne ocieplacze na imbryk. („A gdzie otwory na dziobek i ucho?” – dziwiła się Bridget).

– Są śliczne, moja droga – uznała Sylvie, oglądając jedną z takich podkładek, która rozłaziła jej się w rękach jak coś budzącego się z długiego snu. – Pamiętaj, że praktyka czyni mistrza.

– Podwieczorek!!!

Ursula zignorowała wołanie Bridget. Dobrowolnie oddawszy się w niewolę jej królewskiej mości, siedziała na łóżku w swoim pokoju i marszcząc w skupieniu brwi, nawijała wełnę na koronę Królowej Solange. Wełna była spłowiała i zniszczona, ale, jak mawiała Sylvie, „skoro nie ma innej rady...”.

Maurice powinien był wrócić po świętach do szkoły, lecz akurat on najbardziej ucierpiał z powodu ospy i jego twarz wciąż pokrywały malutkie blizny, zupełnie jakby podziobał go ptak. – Czekaj cię jeszcze kilka dni w domu, młody człowieku – zdecydował doktor Fellowes, chociaż zdaniem Ursuli Maurice w bezczelny wprost sposób tryskał zdrowiem.

Krążył teraz niezmordowanie po pokoju, znudzony niczym lew w klatce. Dostrzegłszy pod łóżkiem Pameli kapeć, zaczął go kopać jak piłkę. Potem wziął do ręki porcelanowy bibelot, figurkę damy w krynolinie, niezwykle drogą sercu ich siostry, i podrzucił wysoko do góry, aż otarła się o szklany żółtozielony klosz. Rozległ się niepokojący brzęk. Ursula upuściła swoją laleczkę, z przerażenia zakrywając usta dłońmi. Na szczęście dama w krynolinie wylądowała bezpiecznie na obleczonej w atlasową powłoczkę miękkiej puchowej pierzynie Ursuli, a Maurice chwycił tymczasem porzuconą laleczkę drugiej siostry i zaczął biegać z nią dookoła, udając, że to samolot. Ursula patrzyła, jak biedna Królowa Solange fruwa po pokoju, a wychodzący z jej trzewi wełniany ogonek powiewa niczym cieniutki proporzec.

Naraz Maurice zrobił coś naprawdę okropnego. Otworzył okno w dachu, wpuszczając do środka podmuch nieprzyjemnie zimnego powietrza, i cisnął drewnianą laleczkę prosto we wrogą paszczkę nocy.

Ursula natychmiast przyciągnęła do okna krzesło, wdrapała się na nie i wyjrzała na zewnątrz. W plamie padającego z pokoju jasnego światła dostrzegła Królową Solange, leżącą w zagłębieniu między dwiema połaciami dachu.

Maurice, obecnie groźny czerwonoskóry, przeskakiwał z jednego łóżka na drugie, wznosząc wojenne okrzyki. – Podwieczorek na stole!!! – wrzasnęła jeszcze głośniejszą stojąca u podnóża schodów Bridget. Nie zwracając uwagi na żadne z nich, bohaterko, z bijącym sercem Ursula wygramoliła się przez okno – a nie było to łatwe zadanie – zdeterminowana ocalić swoją władczynię. Pokryte lodem dachówki były bardzo śliskie i ledwo Ursula postawiła swoją obutą w kapeć stópkę na pochyłości dachu, natychmiast straciła oparcie. Z jej ust wyrwał się cichy okrzyk. Wyciągnęła rączkę po swoją królową i już sunęła w dół nogami naprzód – jak saneczkarz bez saneczek. Żaden gzyms nie spowolnił jej upadku, nie było niczego, co powstrzymałoby jej lot w czarne objęcia nocy. Przelotne ukłucie strachu, dreszcz zaledwie, i już była w powietrzu, w otchłani bez dna. A potem – nic.

Zapadła ciemność.

Śnieg

11 lutego 1910

Warzywna marynata miała trupi, żółtawy kolor. Doktor Fellowes siedział przy kuchennym stole i jadł ją w świetle lampy naftowej, która irytująco kopciała. Nałożył marynatę na posmarowaną masłem kromkę chleba, a na wierzchu umieścił gruby plaster tłustej szynki. Pomyślał o polciu wędzonego boczku, wiszącym spokojnie w jego własnej spiżarni. Osobiście wybrał świnie i wskazał ją hodowcy, mając przed oczami nie żywe stworzenie, ale wykres anatomiczny: rozbratle i gonlonki, wieprzowe policzki i ozorek oraz wielkie kawały szynki do obgotowania. Mięso. Pomyślał o dziecku, które wyrwał z objęć śmierci za pomocą pary nożyczek chirurgicznych. – Cud narodzin – rzucił beznamiętnie w stronę małej, niezdarnej irlandzkiej służącej. („Bridget, sir”). – Zostanę u was na noc – dodał. – Z powodu śnieżycy.

Przychodziło mu do głowy całe mnóstwo miejsc, w których wolałby teraz być, zamiast tkwić tutaj, w Fox Corner. Dlaczego nazwali dom Lisim Zakątkiem? Po co ktoś miałby w ten sposób upamiętniać siedlisko tak przebiegłych stworzeń? Za młodych lat doktor Fellowes brał udział w polowaniach, olśniewający w szkarłatnej kurtce. Ciekaw był, czy z rana ta mała Irlandka wpadnie w podrygach do jego pokoju, niosąc na tacy herbatę i tosty. Wyobraził sobie, jak nalewa mu z dzbana gorącej wody do miednicy i namydła go przed kominkiem w sypialni, jak to całe wieki temu robiła jego matka. Doktor Fellowes z uporem dochowywał wierności żonie, ale jego myśli pozostawały nieskrępowane.

Bridget zaprowadziła go na górę, przyświecając sobie świecą. Płomień gwał się i migotał jak szalony, gdy doktor Fellowes podążał w ślad za kościstym tyłeczkiem dziewczyny do wychłodzonego pokoju gościnnego. Służąca zapaliła świecę stojącą na komódce, po czym zniknęła w mrocznych czeluściach korytarza, rzucając mu pospieszne: – Dobranoc, sir.

Leżał teraz w zimnym łóżku i czuł, jak odbija mu się marynata. Żałował, że nie jest we własnym domu i nie czuje obok obfitego, ciepłego ciała pani Fellowes, kobiety, której natura odmówiła elegancji i która zawsze roztaczała wokół siebie lekką woń smażonej cebuli. Co niekoniecznie musiało być nieprzyjemne.

Wojna

20 stycznia 1915

– Ruszycie się wreszcie czy nie? – zapytała rozzłoszczona Bridget. Stała niecierpliwie na progu, niańcząc w objęciach Teddy’ego. – Ile razy mam wam powtarzać, że *podwieczorek stoi na stole*? – Teddy wiercił się w jej ciasnym uścisku. Maurice nie zwrócił na nią żadnej uwagi, całkowicie pochłonięty skomplikowaną choreografią wojennego tańca Indian. – Ursulo, na litość boską, zejdziesz z tego okna! Czegoście je otworzyli? W taki mróz! Jak nie pozamarzacie na śmierć.

Ursula już miała wyskoczyć przez okno w ślad za Królową Solange, gnana pragnieniem ocalenia jej z ziemi niczyjej, obejmującej całą połać dachu, gdy coś sprawiło, że się zawahała. Jakaś wątpliwość, niepewna stopa i myśl, że przecież dach jest tak wysoko, a ciemność taka przepastna. W tej samej chwili do pokoju wpadła Pamela, wołając: – Mamusia mówi, że macie umyć ręce do podwieczorku! – a tuż za nią nadciągnęła Bridget, tupiąc na schodach do wtóru niez mordowanego refrenu: „Podwieczorek na stole!”, i tak oto przepadła ostatnia nadzieja na ocalenie koronowanej głowy. – A co się tyczy ciebie, Maurice – ciągnęła Bridget – to jesteś gorszy od dzikusa.

– Ale ja *jestem* dzikusiem! – odrzyknął chłopak. – Jestem Apaczem!

– Możesz sobie być choćby samym władcą Hotentotów, jeśli o mnie chodzi, ale **PODWIECZOREK STOI NA STOLE!**

Maurice wzniósł ostatni okrzyk wojenny, po czym z hałasem zbiegł ze schodów, Pamela zaś przywiązała starą siatkę do *lacrosse* do drewnianej laski i za jej pomocą wciągnęła Królową Solange do środka ze złodowiałego dachu.

Na podwieczorek był gotowany kurczak, a Teddy dostał jajko na miękko. Sylvie westchnęła. Od kiedy trzymali własne kury, podstawę wielu posiłków stanowił drób. Na miejscu zaplanowanego przed wojną zagonu szparagów mieli teraz kurnik i wybieg ogrodzony siatką. Stary Tom od nich odszedł, choć Sylvie słyszała, że „pan Ridgely” nadal pracuje u ich sąsiadów, państwa Cole’ów. Może jednak nie lubił, kiedy wołało się na niego „Stary Tom”.

– Ale to chyba nie jest żaden z naszych kurczaków? – chciała wiedzieć Ursula.

– Nie, skarbie – odparła Sylvie. – Na pewno nie.

Kurczak był twardy i żyłasty. Potrawy pani Glover nie smakowały już tak samo od czasu, gdy George został ranny podczas ataku gazowego. Nadal leżał we frontowym lazarecie we Francji, ale gdy Sylvie chciała się dowiedzieć, na ile poważne są jego obrażenia, pani Glover odparła, że nic jej na ten temat nie wiadomo. – Coś okropnego – westchnęła Sylvie i pomyślała, że gdyby to jej syn został ranny gdzieś z dala od domu, natychmiast wyruszyłaby, aby go odnaleźć, a następnie pielęgnowałaby swojego chłopczyka, dopóki by nie wyzdrowiał. No, może nie Maurice’a, ale Teddy’ego na pewno. Myśl o Teddym, rannym i leżącym bezradnie gdzieś daleko od niej, sprawiła, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Coś się stało, mamusiu? – spytała Pamela.

– Absolutnie nic – odrzekła szybko Sylvie. Wyciągnęła z kurzego kadłuba rozwidloną kość piersiową i podała ją Ursuli, która stwierdziła, że nie wie, jak się z niej wroży. – Cóż, w zasadzie chodzi o to, żeby spełniły się nasze marzenia – powiedziała Sylvie.

– Ale nie sny? – upewniła się Ursula z wyrazem przerażenia na twarzy.

– Ale nie sny? – upewniła się Ursula, myśląc o gigantycznej kosiarce, która ścigała ją przez całą noc, i plemieniu czerwonoskórych, którzy związali ją, umieścili na stosie, a potem otoczyli go, uzbrojeni w łuki i strzały.

– To *jest* jedna z naszych kur, prawda? – wtrącił Maurice.

Ursula lubiła kury, ciepłą słomę i pełen pierza kurnik, lubiła wsuwać rączkę pod ich ciężkie, rozgrzane ciała w poszukiwaniu najcieplejszego jajka.

– To na pewno Henrietta – nie ustępował Maurice. – Była już stara i pani Glover mówiła, że

najwyższy czas, żeby wylądowała w garnku.

Ursula przyjrzała się uważnie zawartości swojego talerza. Henriette lubiła szczególnie, lecz twarde, biały plaster mięsa nie skrywał żadnych podpowiedzi.

– Henrietta? – zapiszczała wzburzona Pamela.

– To ty ją zabiłaś? – Maurice zwrócił się żywo do matki. – Dużo było krwi?

Wcześniej kilka ich kur padło ofiarą lisów. Sylvie stwierdziła wtedy, że dziwi ją głupota tych ptaków, na co pani Glover odparła, że nie są głupsze niż ludzie. Minionego lata lisy porwały też króliczka Pameli. George Glover ocalił dwa maluchy z pola i Pamela uparła się zrobić dla swojego specjalne gniazdo w ogrodzie. Ursula sprzeciwiła się siostrze, zaniósł swojego króliczka do domu i umieściła w domku dla lalek, gdzie wszystko natychmiast poprzewracał, pozostawiając po sobie nieczystości podobne do kawałeczków lukrecji. Gdy Bridget to odkryła, wyniosła go do oficy i wszelki słuch po nim zaginął.

Na deser podano roladę z dżemem i budyń; dżem był z tegorocznych malin. Lato jest już odległym wspomnieniem, pomyślała Sylvie.

– Martwe niemowlę – odezwał się nagle Maurice tym swoim wstrętnym, obcesowym tonem, który pobyt w szkole z internatem zdawał się jedynie utrwalać. Wpakował sobie kawał ciasta do ust i dodał: – Tak mówimy w szkole na roladę z dżemem.

– Zachowuj się, Maurice – upomniała go Sylvie. – I proszę cię, nie bądź taki podły.

– Martwe niemowlę? – powtórzyła Ursula, odkładając łyżeczkę i wpatrując się z przerażeniem w stojący przed nią deser.

– Niemcy je pożerają – powiedziała ponuro Pamela.

– Rolady? – nie zrozumiała Ursula. Chyba nic w tym dziwnego, wszyscy lubią jeść ciasto, nawet wrogowie?

– Nie, *niemowlęta* – odparła Pamela. – Ale tylko belgijskie.

Sylvie spojrzała na roladę, na okrągły, czerwony szew z dżemu, który wyglądał jak krew, i zadrżała. Rano patrzyła, jak pani Glover za pomocą kija od szczotki ukręca łeb biednej starej Henriette, pozbawiając ją życia z obojętnością zawodowego kata. Skoro nie ma innej rady, pomyślała Sylvie. – Jest wojna – oznajmiła pani Glover – więc nie czas na grymasy.

Pamela z uporem trzymała się tematu. – To *prawda*, mamusiu? – spytała cicho. – To naprawdę jest nasza Henrietta?

– Nie, kochanie – odrzekła Sylvie. – Słowo honoru, że nie.

Dalszą rozmowę przerwało im gwałtowne łomotanie do kuchennych drzwi. Siedzieli nieruchomo, wpatrzeni w siebie nawzajem, jakby właśnie przyłapano ich na jakimś przestępstwie. Ursula nie wiedziała dlaczego. – Oby to tylko nie były jakieś złe nowiny – powiedziała Sylvie. Niestety. Chwilę później z kuchni dobiegł potworny krzyk. Sam Wellington, ukochany brzydal Bridget, zginął na froncie.

– Co za okropna wojna – westchnęła Sylvie.

*

Pamela podarowała Ursuli napoczęty przez siebie motek grubej, burej owczej wełny, dziewczynka zaś przyrzekła, że z wdzięczności za ocalenie Królowej Solange utka siostrze malutką podkładkę pod szklaneczkę do wody.

Tego wieczoru, kładąc się spać, umieściły porcelanową damę w krynolinie i Królową Solange obok siebie na nocnym stoliku – dwie bohaterkie ofiary, którym szczęśliwie udało się przeżyć potyczkę z wrogiem.

Rozejm

Czerwiec 1918

Urodziny Teddy'ego. Przyszedł na świat pod znakiem Raka. Zagadkowy znak, stwierdziła Sylvie, chociaż w zasadzie uważała takie rzeczy za nonsens. – Do czterech razy sztuka – zauważyła Bridget, co w zamierzeniu miało być chyba żartem.

Sylvie i pani Glover przygotowywały małe przyjęcie niespodziankę. Sylvie lubiła swoje dzieci. Może nie tak bardzo Maurice'a, ale Teddy'ego wprost ubóstwiała.

Ten zaś nie wiedział nawet, że zbliżają się jego urodziny, ponieważ przez ostatnich kilka dni wszystkich domowników obowiązywał całkowity zakaz przypominania mu o tym fakcie. Ursula nie przypuszczała, że tak trudno będzie jej dochować sekretu. Za to Sylvie była w tym prawdziwą mistrzynią. Kazała im wyprowadzić „jubilatą” poza dom, żeby można było wszystko spokojnie przygotować. Pamela poskarżyła się, że *dla niej* nigdy nie zorganizowano przyjęcia niespodzianki, na co Sylvie odrzekła: – Ależ oczywiście, że była, po prostu tego nie pamiętasz. – Czy rzeczywiście? – Pamela zmarszczyła brwi, poirytowana niemożnością potwierdzenia słów matki. Ursula nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek wydano na jej cześć przyjęcie niespodziankę albo choćby takie, które by niespodzianką nie było. Dla niej przeszłość była płataniną zdarzeń, a nie prostą linią jak dla Pameli.

Bridget zawołała: – Chodźcie, pójdziemy na spacer! – a Sylvie jej zawtórowała: – Świetnie, a przy okazji zanieście pani Dodds trochę dżemu. – Cały poprzedni dzień Sylvie z zakasnymi rękawami i w chustce na głowie pomagała pani Glover robić dżem. Zagotowały kilka rondli ogrodowych malin z dodatkiem cukru, odkładanego z własnych szczupłych racji żywnościowych. – Zupełnie jak w fabryce amunicji – zauważyła Sylvie, przelewając wrzący dżem do kolejnych słoików za pomocą lejka. – Wątpię – mruknęła pod nosem pani Glover.

Ogród wydał tego lata rekordowy plon; Sylvie naczytała się książek o uprawie owoców i uważała się teraz za ogrodniczkę pełną gębą. Pani Glover stwierdziła na to ponuro, że maliny to nic trudnego, niechby tylko spróbowała uprawiać kalafiory. Do cięższych prac ogrodowych Sylvie najmowała Clarence'a Doddsa, niegdyś najlepszego kumpla brzydala Sama Wellingtona. Przed wojną Clarence był pomocnikiem ogrodnika w Ettringham Hall. Potem się zaciągnął, został ranny, wrócił do domu w zakrywającej połowę twarzy blaszanej masce i oświadczył, że chce pracować w sklepie spożywczym. Ursula natknęła się na niego po raz pierwszy, gdy przygotowywał zagon pod marchew. Kiedy się odwrócił, na widok jego twarzy wydała okrzyk, co było bardzo nieuprzejme. Na masce widniało namalowane oko, szeroko otwarte i niebieskie, tak żeby pasowało do drugiego, zdrowego. – Wróble by można było straszyć, prawda, panienko? – zagadnął i uśmiechnął się szeroko. Ursula natychmiast tego pożałowała, ponieważ maska przesunęła się na bok, odsłaniając usta. Wargi Clarence'a były dziwnie wykrzywione i sprawiały wrażenie niedopasowanych, jakby doczepiono mu je naprędce już po urodzeniu.

– Należę do grona nielicznych szczęśliwców – powiedział. – Ogień artyleryjski to coś okropnego. – Mimo to jakoś nie wyglądał Ursuli na szczęśliwego.

Ledwo marchewki zdążyły wypuścić z ziemi pierzastą nać, Bridget zaczęła się umawiać z Clarence'em. A zanim Sylvie zaczęła wykopywać pierwsze ziemniaki gatunku król Edward, Bridget i Clarence byli już zaręczeni. Ponieważ Clarence'a nie było stać na kupno pierścionka, Sylvie oddała Bridget swój pierścionek z oczkiem, który, jak stwierdziła, „miała od zawsze” i nigdy nie nosiła. – To zwykła jarmarczna błyskotka – dodała – niewiele warta – chociaż Hugh kupił jej go na New Bond Street wkrótce po narodzinach Pameli i nie pożałował na niego pieniędzy.

Fotografia Sama Wellingtona została skazana na banicję w starej drewnianej skrzynce w szopie. – Nie mogę jej zatrzymać – zwierzała się niespokojnie Bridget pani Glover – ale przecież nie mogę jej ot tak wyrzucić, prawda?

– Mogłabyś ją pogrzebać, tak jak to się robi w czarnej magii – podsunęła ponuro pani Glover.

ver, lecz pomysł ten przyprawił Bridget o ciarki na plecach.

Wyruszyli zatem do pani Dodds, obładowani słoikami z dżemem oraz imponującym bukietem rdzawoczerwonego pachnącego groszku, z którego Sylvie była niesłychanie dumna, więc poinformowała na odchodnym Bridget: – Jakby pani Dodds pytała, to ta odmiana nazywa się Senator.

– Na pewno nie zapyta – mruknęła dziewczyna.

Maurice'a oczywiście z nimi nie było. Zaraz po śniadaniu wybrał się na rower z prowiantem w chlebaku i na cały dzień przepadł gdzieś z kolegami. Ursula i Pamela nie interesowały się szczególnie życiem Maurice'a, z wzajemnością zresztą. Teddy był całkiem innym bratem, lojalnym i czułym jak psiak i podobnie jak psiak rozpieszczanym.

Matka Clarence'a nadal pełniła w Ettringham Hall „na wpeł poddańczą służbę”, jak uważała Sylvie, mieszkała zaś na terenie posiadłości, w ciasnej, wiekowej chatynce cuchnącej stęchlizną i starym gipsem. Na wilgotnej powale farba klejowa wzdymała się purchlami jak obwisła skóra. Rok wcześniej Bosman zdechł na nosówkę² i został pochowany pod krzewem róży burbońskiej, którą Sylvie zamówiła specjalnie, żeby oznaczyć jakoś jego grób. – Ten gatunek nazywa się Louise Odier – oznajmiła. – O ile kogoś to interesuje. – Mieli teraz nowego psa, młodego, ruchliwego, czarnego charta, suczkę o imieniu Trixie, która w zasadzie mogłaby się nazywać Utrapienie, ponieważ Sylvie ciągle powtarzała ze śmiechem: „Oho, idzie nasze utrapienie!”. Raz Pamela podpatrzyła, jak pani Glover wymierza Trixie celnego kopniaka swoim ciężkim buciorem, i Sylvie musiała „zamienić z nią słówko”. Bridget nie chciała, żeby Trixie towarzyszyła im do domu pani Dodds, bo, jak stwierdziła, „znów będzie gadanie”. – Pani Dodds nie wierzy w psy – oświadczyła.

– Przecież psy nie stanowią dogmatu wiary – odparła Sylvie.

Przy bramie posiadłości czekał na nie Clarence. Sama rezydencja znajdowała się kawał drogi stąd, u wylotu długiej więzowej alei. Rodzina Dauntów mieszkała tu od wieków, od czasu do czasu wystawiając nos na świat, żeby zaszczyścić swoją obecnością jakąś dobroczynną imprezę lub uroczystość albo przelotnie zagościć na organizowanym w wiosce dorocznym bożonarodzeniowym przyjęciu. Ponieważ Dauntowie mieli własną kaplicę, nie widywano ich w kościele, ostatnio zaś już wcale ich nie widywano, ponieważ stracili na wojnie trzech synów – jednego po drugim – i właściwie wycofali się z życia publicznego.

Niemożliwością było nie gapić się na blaszaną twarz Clarence'a („To galwanizowana miedź” – sprostował). Dziewczynki żyły w nieustannym strachu, że pewnego dnia zdejmie przy nich maskę. Bo przecież musiał ją ściągać przed snem? Jeżeli Bridget za niego wyjdzie, czy pozna skrywany pod nią koszmarny widok? – Mniej boję się tego, co tam jest – podслуchały kiedyś, jak Bridget mówiła pani Glover – a bardziej tego, czego tam *nie ma*.

Pani Dodds („mateczka Dodds”, jak nazywała ją Bridget; brzmiało to tak, jakby była bohaterką jakiegoś wierszyka dla dzieci) zrobiła dorosłym herbaty, która, jak doniosła później Bridget, była „cienka jak przedziwo”. Bridget lubiła herbatę tak „mocną, że można by w niej łyżkę postawić”. Ani Pamela, ani Ursula nie wiedziały, co to jest „przedziwo”, ale ich zdaniem brzmiało to całkiem ładnie. Pani Dodds dała im ciepłego mleka prosto od krów z mleczarni w Ettringham Hall, którego nabrała chochlą z dużego emaliowanego dzbana. Ursulę natychmiast zemdlilo. – Wielka mi łaskawość – mruknęła pani Dodds do Clarence'a, gdy wręczyły jej słoje z dżemem oraz bukiet groszku, na co syn szepnął karcąco: – *Mamo!* – Pani Dodds oddała kwiaty Bridget, ta zaś stała, tuląc je do piersi niczym panna młoda, dopóki pani Dodds jej nie ofuknęła: – Wstaw je do wody, ty durna dziewczucho!

– Jeszcze ciasta? – spytała matka Clarence'a i wydzieliła im po cienkim plasterku piernika, równie wilgotnego jak jej chałupa. – Miło jest popatrzeć na dzieci – dodała, przyglądając się Teddy'emu jak jakiemuś rzadkiemu okazowi zwierzęcia. Teddy był nieustraszonym malcem i niestraszne mu było mleko ani ciasto. Pod nosem miał białe wąsy, więc Pamela wytarła mu buzię swoją chusteczką. Ursula podejrzewała, że tak naprawdę pani Dodds wcale nie cieszy się z widoku dzieci; przypuszczała wręcz, że w temacie dzieci podziela zdanie pani Glover. Teddy był oczywiście wyjątkiem. Wszyscy lubili Teddy'ego, nawet Maurice. Czasami.

Pani Dodds obejrzała pierścionek z oczkiem, który od niedawna zdobił dłoń Bridget, ciągnąc ku sobie jej palec, jakby to była kość kurczaka, a ona chciała sobie powróżyć. – Rubiny

i diamenty – powiedziała. – No, no, no.

– Ale malutkie – odparła Bridget obronnym tonem. – To zwykła jarmarczna błyskotka.

Dziewczynki pomogły Bridget pozmywać po podwieczorku, pozostawiając Teddy’ego sam na sam z panią Dodds. Zmywało tu się w wielkim kamiennym zlewie w komórce przy kuchni, z pompą zamiast kranu. Bridget powiedziała, że gdy była jeszcze małą dziewczynką „w hrabstwie Kilkenny”, chodzili po wodę do studni. Następnie ułożyła ładnie kwiaty w starym słoju po marmoladzie i odstawiała go na drewnianą suszarkę. Kiedy już powycierały wszystkie naczynia jedną z przetartych, starych ścierek pani Dodds (wilgotną, rzecz jasna), Clarence zaproponował przechadzkę do Ettringham Hall, gdzie chciał pokazać gościom ukryty za kamiennym murem ogród. – Nie powinieneś tam ciągle chodzić, synu – powiedziała pani Dodds – tylko ci od tego gorzej.

Przeszli przez stare, drewniane drzwi w murze. Zawiasy były zardzewiałe i Bridget wydała cichy okrzyk, gdy Clarence napał na drzwi barkiem, aby je otworzyć. Ursula spodziewała się ujrzeć tam jakieś cudowności – tryskające fontanny, tarasy, kamienne figury, ścieżki, altany i – jak okiem sięgnąć – kwiatowe rabaty, a tymczasem ogród okazał się niczym więcej jak zarośniętym ugorem, pełnym panoszących się wszędzie jeżyn i ostów.

– Faktycznie, istna dżungla – przyznał Clarence. Dawniej był tu ogród kuchenny; przed wojną w posiadłości pracowało dwunastu ogrodników. – Jedyne pnące się po murach róże wciąż jeszcze kwitły, a drzewa owocowe w sadzie ugięły się pod ciężarem owoców. Śliwki gniły na gałęziach, podniecone osy śmigają to tu, to tam. – W tym roku nikt nie myślał o zbiorach – wyjaśnił Clarence. – Trzech synów, i wszyscy zginęli na tej cholernej wojnie. Pewnie wielmożni państwo nie mieli wielkiej ochoty na placek ze śliwkami.

– Ciii – syknęła Bridget. – Uważaj, co mówisz.

Była tam też szklarnia, w której nie ostała się prawie żadna szyba. W środku widać było uschnięte drzewka brzoskwiniowe i morelowe. – Cholerna szkoda – westchnął Clarence, na co Bridget znowu syknęła i upomniała go: – Nie przy dzieciach! – zupełnie jak Sylvie. – Wszystko zeszło na psy – mruknął Clarence, nie zwracając na nią uwagi. – Aż się płakać chce.

– Znów mógłbyś się u nich nająć – podsunęła Bridget. – Na pewno by się ucieszyli. Przecież to nie tak, że nie możesz pracować z tą swoją... – Zawahała się i wykonała nieokreślony gest w kierunku twarzy Clarence’a.

– Nie chcę do nich wracać – mruknął na to szorstko. – Koniec z wysługiwaniem się bogaczom. Tęsknię tylko za ogrodem, nie za tamtym życiem. Ten ogród to było istne dzieło sztuki.

– Moglibyśmy mieć swój własny ogródek – powiedziała Bridget. – Albo kawałek ziemi. – Wyglądało na to, że Bridget poświęca masę czasu na pocieszanie Clarence’a. Ursula domyślała się, że ćwiczy już teraz, żeby być później gotową na małżeństwo z nim.

– Jasne, czemu nie? – odparł Clarence ponuro, jakby ta perspektywa wcale go nie cieszyła. Wziął do ręki małe, kwaśne jabłko, które za wcześnie spadło, i cisnął nim z całej siły, wykonując zamach jak przy grze w krykieta. Owoc trafił w szklarnię, roztrzaskując jedną z ostatnich szyb. – Psiakrew – zaklął Clarence, na co Bridget zamachała rękoma i syknęła: – Dzieci!

(„Prawdziwe dzieło sztuki – powtórzyła z zachwytem Pamela tamtego wieczoru, gdy przed snem szorowały twarze ciężką kostką mydła karbolowego. – Istny poeta z tego Clarence’a”).

W drodze powrotnej do domu Ursula przez cały czas czuła zapach wonnego groszku, który został w kuchni pani Dodds. Pozostawienie kwiatów w miejscu, gdzie nikt ich nie doceni, wydawało jej się niepowetowaną stratą. Do tego czasu zdążyła już całkiem zapomnieć o urodzinowym przyjęciu, była więc niemal równie zaskoczona jak Teddy, gdy dotarli do domu i zastali cały hol udekorowany chorągiewkami oraz girlandami. Rozpromieniona Sylvie czekała na nich, dzierżąc pięknie opakowany prezent, którym, sądząc po kształcie, był samolot zabawka.

– Niespodzianka! – powitała ich.

11 listopada 1918

– Cóż za melancholijna pora roku – rzuciła Sylvie gdzieś w przestrzeń.

Ziemię pokrywał gruby dywan liści, a lato znów było tylko wspomnieniem. Ursula powoli dochodziła do wniosku, że po każdym lecie zostaje tylko wspomnienie. Z drzew spadały ostatnie liście i wielki buk był prawie nagi. Wiadomość o zawieszeniu broni przygnębiła Sylvie chyba bardziej niż wojna („Wszyscy ci biedni chłopcy, którzy zginęli – pokój nie przywróci im życia”).

W szkole z okazji wielkiej wiktorii ogłoszono dzień wolny, więc z samego rana dzieci zostały wyekspediowane na dwór, gdzie kazano im się bawić w siąpiącej mżawce. Mieli teraz nowych sąsiadów, majora Shawcrossa z żoną, w związku z czym znaczna część dżdżystego poranka upłynęła im na gapieniu się przez szczeliny w żywopłocie w nadziei ujrzania córeczek Shawcrossów. Poza nimi w całej okolicy nie było innych dziewczynek w ich wieku, gdyż państwo Cole’owie mieli samych synów. Na szczęście nie byli oni tak nieokrzesani jak Maurice, mieli dobre maniery i nigdy nie sprawiali przykrości Ursuli ani Pameli.

– Chyba bawią się w chowanego – donosiła Pamela z frontu Shawcrossów. Ursula też usiłowała coś zobaczyć, ale została brutalnie zaatakowana przez kolczasty ostrokrzew. – Wygląda na to, że są w naszym wieku – dodała Pamela. – Widzę nawet jedną młodszą, będzie w sam raz dla ciebie, Teddy. – Teddy uniósł brwi i odparł: – Och. – Bardzo lubił dziewczynki, a dziewczynki lubiły jego. – Czekajcie, tam jest ktoś jeszcze – wyszeptła Pamela. – Wprost mnożą się w oczach.

– Starszy czy młodszy? – dopytywała się Ursula.

– *Młodsza*. To też dziewczynka. A właściwie niemowlę. Ta starsza niesie ją na rękach. – Ursula zaczynała gubić się w kalkulacjach; to ile w końcu było tych dziewczynek?

– Pięć! – zameldowała Pamela zdyszczanym głosem, najwyraźniej zakończywszy swoje obliczenia. – Jest ich pięć.

Tymczasem Trixie zdołała precyzyjnie się przez dolną część żywopłotu i już po chwili dotarli do nich podniecone piski, towarzyszące wynurzeniu się sukki po drugiej stronie zarośli ostrokrzewu.

– Halo! – powiedziała Pamela, podnosząc głos – czy możemy odzyskać naszego psa?

Na lunch były kielbaski zapiekane w cieście oraz pudding z rodzynekami. – Gdzie wyście byli? – spytała Sylvie. – Ursulo, masz gałazki we włosach. Wyglądasz jak jakaś poganka.

– To ostrokrzew – wyjaśniła Pamela. – Byliśmy u sąsiadów. Poznaliśmy córki Shawcrossów. Jest ich aż pięć.

– Wiem. – Sylvie liczyła głośno na palcach: – Winnie, Gertie, Millie, Nancy i...

– Beatrice – podsunęła Pamela.

– Zostaliście zaproszeni? – chciała wiedzieć pani Glover, zawsze skrupulatna, jeśli chodzi o zasady dobrego wychowania.

– Znaleźliśmy dziurę w żywopłocie – wyznała Pamela.

– Na pewno tamtędy przełazą te cholerne lisy – mruknęła pani Glover. – Zakradają się z zagajnika. – Sylvie zmarszczyła brwi, niezadowolona z doboru słów gospodyni, ale nic nie powiedziała, jako że oficjalnie panował świąteczny nastrój. Wspólnie z Bridget i panią Glover „wzniosły toast za pokój” kieliszkiem sherry. Jednak ani Sylvie, ani pani Glover nie miały najwyraźniej nastroju do świętowania. Hugh oraz Izzie wciąż byli na froncie i Sylvie zapowiedziała, iż dopóki mąż nie stanie w drzwiach domu, nie uwierzy, że nic mu nie grozi. Izzie przez całą wojnę prowadziła ambulans, chociaż żadne z nich nie potrafiło sobie tego wyobrazić. Z kolei George Glover przechodził „rehabilitację” w domu opieki gdzieś pośród wzgórz Cotswolds. Raz pani Glover wybrała się do niego w odwiedziny, lecz niechętnie opowiadała o tym, co tam zastała. Wspomniała tylko, że George nie jest już tym samym George’em. – Chyba żaden z nich nie jest już sobą po tym wszyst-

kim – westchnęła Sylvie. Ursula próbowała sobie wyobrazić, że nie jest Ursulą, lecz niewykonalność tego zadania całkiem ją przerosła.

Dwie dziewczyny z Kobiecej Służby Rolnej przejęły na farmie obowiązki George'a. Obie pochodziły z Northamptonshire i miały bzika na punkcie koni. Sylvie stwierdziła, że gdyby wiedziała, iż kobietom wolno będzie się opiekować Samsonem i Nelsonem, sama podjęłaby się tego zadania. Przy różnych okazjach dziewczęta kilkakrotnie gościły u nich na podwieczorku. Przesiadywały w kuchni w ubłoconych owijaczach na łydki, ku wielkiemu zgorszeniu pani Glover.

*

Bridget siedziała w kapeluszu, gotowa do wyjścia, gdy Clarence wsunął się nieśmiało przez drzwi kuchenne, mamrocząc pod nosem słowa powitania adresowane do Sylvie i pani Glover. „Szczęśliwi zakochani”, jak mówiła o nich pani Glover bez cienia radości, wybierali się pociągiem do Londynu, gdzie mieli wziąć udział w uroczystościach z okazji zwycięstwa. Bridget była wprost nieprzytomna z podniecenia. – Na pewno nie chce się pani z nami zabrać, pani Glover? Założę się, że będzie mnóstwo uciechy! – Pani Glover przewróciła tylko oczami jak niezadowolona krowa. Gospodyni „unikala tłumów” z powodu szalejącej właśnie epidemii grypy. Jej rodzony siostrzeniec padł z tego powodu trupem na środku ulicy – rano okaz zdrowia, „w południe był już martwy”. Sylvie uważała, że nie powinni się obawiać grypy. – Życie musi toczyć się swoim torem – stwierdziła.

Po tym, jak Bridget i Clarence udali się na stację, pani Glover i Sylvie usiadły przy kuchennym stole i wypity jeszcze po jednym kieliszku sherry. – Uciecha, też mi coś – mruknęła pani Glover. W tej samej chwili nadbiegł Teddy, a tuż za nim rozentuzjasmowana Trixie, i oznajmił, że umiera z głodu, a w ogóle to wszyscy „chyba zapomnieli o lunchu”. Rzeczywiście, beza na czubku puddingu zapadła się i przypaliła, stając się ostatnią ofiarą Wielkiej Wojny.

Dziewczynki nadaremno usiłowały nie zasnąć przed powrotem Bridget. Oczy kleiły im się nad wieczorną lekturą. Pamela zaczytywała się powieścią *Na skrzydłach północnej wichury*, Ursula zaś mozolnie brnęła przez *O czym szumią wierzyby*. Jej szczególnym ulubieńcem był Kret. Ursula czytała i pisała zadziwiająco wolno („Praktyka czyni mistrza, skarbie”), najbardziej więc lubiła, gdy Pamela czytała jej na głos. Obie uwielbiały bajki i miały wszystkie książki Andrew Langa, cały komplet w dwunastu kolorach – prezenty od Hugh na kolejne urodziny i Gwiazdki. „Dzieła sztuki”, mówiła o nich Pamela.

Hałas przebudził Ursulę, która z kolei zbudziła Pamelę i obie zeszły na paluszkach do kuchni, gdzie rozbawiona Bridget i nieco poważniejszy Clarence uraczyli je opowieściami o londyńskich uroczystościach, o „morzu ludzi” i radosnych tłumach aż do zachrypnięcia wiwatujących na cześć króla („My chcemy króla! My chcemy króla!” – demonstrowała z entuzjazmem Bridget), dopóki nie pojawił się on wreszcie we własnej osobie na balkonie pałacu Buckingham. – No i te dzwony – dodał Clarence – nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. Wszystkie dzwony w całym Londynie oznajmiały nam pokój.

– Prawdziwe dzieło sztuki – powiedziała Pamela.

Bridget zgubiła gdzieś w tłoku swój kapelusz, jak również kilka szpilek do włosów oraz górny guzik od bluzki. – Taki był ścisk, że stopami w ogóle nie dotykałam ziemi – oznajmiła im radośnie.

– Wielkie nieba, a cóż to za wrzawa – powiedziała Sylvie, wchodząc do kuchni, rozspana i urocza w koronkowej narzutce, z włosami luźno opadającymi na plecy. Clarence zarumienił się i spuścił wzrok. Sylvie zrobiła wszystkim kakao i cierpliwie słuchała paplaniny Bridget, aż w końcu nawet podniecenie na myśl o tym, że jest już po północy, a oni jeszcze nie śpią, nie mogło ich dłużej powstrzymać od rozpaczliwego ziewania.

– Od jutra wszystko wróci do normy – stwierdził Clarence i zanim wyruszył do matki, dał Bridget śmiałego całusa w policzek. Ostatecznie mieli za sobą niezwykły dzień.

– Myślisz, że pani Glover będzie zła, że jej nie obudziliśmy? – szepnęła Sylvie do Pameli, gdy wchodziły schodami na piętro.

– Będzie wściekła – odparła Pamela i obie parsknęły konspiracyjnym śmiechem.

Kiedy Ursula ponownie usnęła, przyśnili jej się Clarence i Bridget. Wędrowali przez

zarośnięty ogród, szukając kapelusza dziewczyny. Clarence płakał; po zdrowym policzku płynęły mu prawdziwe łzy, a z drugiej strony miał na masce namalowane, niczym sztuczne krople deszczu na obrazie przedstawiającym okno.

Nazajutrz obudziła się cała rozpalona i wszystko ją bolało. – Jest rozgrzana jak piec – stwierdziła pani Glover, poproszona przez Sylvie o wyrażenie swojej opinii. Bridget także leżała w łóżku. – I nie dziwota – orzekła pani Glover, w geście potępienia krzyżując ramiona pod swoim obfitym, acz nieprzyjaznym biustem. Ursula miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała być przez nią karmiona piersią.

Oddech dziewczynki był ciężki i chrapliwy, powietrze gęstniało jej w piersiach. Cały świat falował jak morze w gigantycznej muszli, wszystko było przyjemnie rozmyte. Trixie leżała w nogach łóżka Ursuli, a Pamela czytała jej na głos bajki z *Czerwonej księgi bajek*, lecz jej słowa były niezrozumiałe, napływały i odpływały. Podobnie rysy twarzy Pameli na przemian to się zamazywały, to wyostrzały. Przyszła Sylvie i próbowała nakarmić Ursulę rosółkiem wołowym, ale gardło Ursuli było zbyt ściśnięte i wszystko wypłuła na pościel.

W pewnym momencie rozległ się chrząst kół na żwirze i Sylvie powiedziała do Pameli: – To na pewno doktor Fellowes – po czym zerwała się, dodając: – Zostań z Ursulą, Pammy, tylko nie wpuszczaj do niej Teddy’ego, dobrze?

*

W domu panowała większa cisza niż zwykle. Gdy Sylvie nie wracała, Pamela odezwała się: – Pójdę poszukać mamusi. Zaraz wracam. – Ursula słyszała jakieś mamrotania i dobiegające z dołu okrzyki, lecz nic z nich nie rozumiała.

Sen, w który zapadła, był dziwnie niespokojny. Nagle przy jej wezglowiu stanął doktor Fellowes. Sylvie usiadła po drugiej stronie łóżka i wzięła Ursulę za rękę, mówiąc: – Ma liliową skórę, tak samo jak Bridget. – „Liliowa skóra” – to brzmiało bardzo ładnie, prawie jak *Liliowa księga bajek*. Sylvie miała dziwny głos, zduszony i pełen paniki, jak wtedy, gdy zobaczyła nadchodzącego ścieżką chłopca z telegramem, który na szczęście okazał się tylko urodzinowymi pozdrowieniami od Izzie dla Teddy’ego („Co za bezmyślność” – stwierdziła wówczas Sylvie).

Ursula nie mogła oddychać, ale cały czas czuła zapach perfum matki i słyszała jej szept przypominający brzęczenie pszczoł w upalny letni dzień. Była jednak zbyt zmęczona, żeby otworzyć oczy. W pewnej chwili dobiegł ją szelest sukni oddalającej się Sylvie, a następnie dźwięk otwieranego okna. – Wpuszczę ci trochę świeżego powietrza – powiedziała Sylvie, wracając do Ursuli i przytulając ją do swojej delikatnej, marszczonej bluzki, przesyconej kojącą wonią krochmalu i róż. Przez otwarte okno wpadł pachnący drewnem dym z kominka i wypełnił niewielki pokój na poddaszu. Ursula usłyszała stukot kopyt, a potem charakterystyczny łoskot, gdy węglarz opróżnił worki w szopie na węgiel. Życie toczyło się swoim torem. Istne dzieło sztuki.

Jeden oddech, tylko tyle potrzebowała, ale płuca nie chciały napełnić się powietrzem.

Ciemność zapadła gwałtownie – zrazu wroga, lecz już po chwili przyjazna.

Śnieg

11 lutego 1910

Doktor Fellowes przebudził się, gdy potężnie zbudowana kobieta o ramionach palacza z głośnym brzękiem postawiła na stoliku przy jego łóżku filiżankę z herbatą, by następnie jednym szarpnięciem rozsunać zasłony, choć na dworze było jeszcze ciemno. Musiała minąć dobra chwila, zanim przypomniał sobie, gdzie się znajduje – w lodowatym pokoju gościnnym w Fox Corner – a ta wzbudzająca lęk postać z filiżanką i spodkiem to gospodyni Toddów. Doktor Fellowes przekopywał zakurzone archiwum pamięci w poszukiwaniu jej nazwiska, którego wymówienie jeszcze kilka godzin wcześniej przychodziło mu z łatwością.

– Pani Glover – mruknęła kobieta, jakby czytała w jego myślach.

– Oczywiście. Ta od niezrównanych marynat. – Czuł mętlik w głowie i krępowała go świadomość, że pod cienką kołdrą ma na sobie jedynie bieliznę. Zauważył puste palenisko kominka i poczuł zimno.

– Jest pan potrzebny – oznajmiła pani Glover. – Zdarzył się wypadek.

– Wypadek? – powtórzył doktor Fellowes. – Czy coś się stało dziecku?

– Byk poturbował jakiegoś farmera.

Rozejm

12 listopada 1918

Ursula drgnęła niespokojnie i otworzyła oczy. W sypialni było ciemno, słyszała jednak dobiegające z dołu odgłosy. Trzask zamykanych drzwi, jakieś chichoty, szuranie stóp. Dobiegł ją cieniutki, gdaczący śmiech, po którym natychmiast rozpoznała Bridget, i towarzyszący mu dudniący męski bas. Bridget i Clarence wrócili z Londynu.

W pierwszej chwili chciała wygramolić się z łóżka i mocno potrząsnąć śpiącą Pamelą, żeby mogły zejść razem na dół i wypytać Bridget o te wszystkie uciechy, ale coś ją powstrzymało. Gdy tak leżała, nasłuchując w ciemności, zalała ją naraz fala okropnego przeczucia i ogarnął ją wielki strach, jakby miało się wydarzyć coś naprawdę potwornego. To samo czuła, wchodząc za Pamelą do morza, gdy byli na wakacjach w Kornwalii, tuż przed wybuchem wojny. Wtedy uratował je jakiś nieznajomy. Po tym wydarzeniu Sylvie zadbała, aby wszyscy chodzili w mieście na basen i brali lekcje pływania od emerytowanego majora wojny burskiej, który tak długo wyszczeniwał pod ich adresem najrozmaitsze rozkazy, aż ze strachu przestali tonąć. Sylvie często opowiadała później różnym ludziom o tamtej przygodzie w Kornwalii, jakby to była jakaś komiczna eskapada („Bohaterski pan Winton!”), chociaż Ursula wciąż pamiętała, jak bardzo była wówczas przerażona.

Pamela wymamrotała coś przez sen, więc Ursula szepnęła uspokajająco: – Ciii... – Pamela nie powinna się zbudzić. Nie wolno im schodzić na dół. Nie wolno im spotkać się z Bridget. Ursula nie wiedziała, dlaczego tak jest i skąd bierze się owo uczucie strasznego zagrożenia, naciągnęła jednak koc wysoko na głowę, pragnąc się ukryć przed nadciągającym niebezpieczeństwem, czymkolwiek by ono było. Miała nadzieję, że czai się ono gdzieś na zewnątrz, a nie w niej samej. Postanowiła udawać, że śpi, i po kilku minutach naprawdę zasnęła.

*

Teddy przepadał za zabawą w chowanego i ponieważ nie odpowiadał na jej wołanie, Ursula zajrzała do jego wszystkich ulubionych kryjówek – za zasłony w salonie, pod stół w jadalni – a gdy nigdzie nie znalazła ani śladu braciszka, ruszyła na górę, żeby przeszukać sypialnie.

Za jej plecami rozległ się głośny dzwonek do drzwi frontowych i odbił echem aż na schodach. Stojąca na półpiętrze Ursula ujrzała, jak w holu wyrasta jak spod ziemi Sylvie i otwiera drzwi doktorowi Fellowesowi. Domyśliła się, że matka musiała zejść kuchennymi schodami i jej pojawienie się nie ma nic wspólnego z czarną magią. Doktor Fellowes i Sylvie rozmawiali niespokojnie ściszonymi głosami, zapewne o Bridget, lecz Ursula nie zdołała wychwycić żadnych słów.

Teddy’ego nie było w pokoju Sylvie (dawno już przestali myśleć o nim jak o sypialni obojga rodziców) ani u Maurice’a, w sypialni aż nazbyt obszernej dla kogoś, kto ponad połowę życia spędzał w internacie. Nie było go też w żadnym z dwóch pokoi gościnnych ani w jego własnym pokoiku na tyłach domu, niemal w całości zajętym przez kolejkę elektryczną. Nie było go w łazience ani w bieliźniarce. Ursula zajrzała pod łóżka, do szaf oraz licznych kredensów – ani śladu Teddy’ego. Nie znalazła go też pod wielką puchową pierzyną Sylvie, gdzie najbardziej lubił się ukrywać, leżąc na wznak nieruchomo jak trup.

– Na dole czeka ciasto! – zawołała w stronę pustych pokoi. Obietnica ciasta, prawdziwa lub nie, zwykle wystarczała, żeby wyciągnąć braciszka z ukrycia.

Ursula postanowiła wdrapać się po ciemnych, wąskich, drewnianych schodach wiodących do pokoiów na poddaszu, lecz gdy tylko postawiła stopę na pierwszym stopniu, poczuła w żołądku nagłe ukłucie strachu. Nie wiedziała, skąd jej się to wzięło ani czego właściwie się boi.

– Teddy! Teddy, gdzie jesteś? – próbowała podnieść głos, ale z jej gardła wydobył się tylko zduszony szept.

Nie było go w sypialni, którą dzieliła z Pamelą, ani w dawnym pokoju pani Glover. Nie było

go w składziku, niegdyś pokoju dzieciennym, a obecnie rupieciarni zastawionej skrzyniami, kuframi oraz pakami pełnymi starych ubrań i zabawek. Tylko jedno pomieszczenie nie zostało jeszcze zbadane: pokój Bridget.

Drzwi były uchylone i Ursula zmusiła się do pójścia w ich stronę. Za nimi kryło się coś potwornego. Nie chciała tego oglądać, ale wiedziała, że musi.

– Teddy! – wykrzyknęła z przemożną ulgą na widok braciszka. Teddy siedział na łóżku Bridget ze swoim urodzinowym samolocikiem na kolanach. – Wszędzie cię szukałam – dodała. Leżąc na podłodze przy łóżku Trixie poderwała się radośnie.

– Pomyślałem, że Bridget lepiej się poczuje, jak go zobaczy. – Teddy pogłaskał swój samolocik. Głęboko wierzył w uzdrawiającą moc kolejek elektrycznych i zabawkowych samolotów (zapewniał przy tym całą rodzinę, że jak dorośnie, zostanie pilotem). – Ale ona chyba śpi, tylko że ma otwarte oczy – dodał.

Rzeczywiście. Szeroko otwarte, wpatrywały się niepokojąco w sufit nic niewidzącym wzrokiem. Pokrywała je jakby wodnista błękitnawa błona, a skóra Bridget miała dziwny liliowy odcień. W należącem do Ursuli komplecie akwareli taki kolor nosił miano fioleto kobałtowego. Zauważyła wystający z ust dziewczyny czubek języka i na ułamek sekundy stanęła jej przed oczami pani Glover, wypychająca ożór cielecy do maszynki do mielenia mięsa.

Ursula nigdy dotąd nie widziała martwego ciała, lecz nie miała żadnych wątpliwości, na co właśnie patrzy. – Zejdź z łóżka, Teddy – powiedziała powoli, jakby jej braciszek był gotowym do skoku dzikim zwierzęciem. Poczowała, że cała się trzęsie. Nie chodziło tylko o to, że Bridget nie żyje, choć już samo to było okropne; po prostu w tym pokoju czaiło się coś o wiele groźniejszego. Pozbawione ozdób ściany, cienka żakardowa narzuta na żelaznej ramie łóżka, emaliowany grzebień i szczotka do włosów na toalecie, szmaciany dywanik na podłodze – wszystko to wydało jej się nagle niezwykle niebezpieczne, jakby żaden z tych przedmiotów nie był tym, czym się wydawał. Na schodach rozległy się głosy Sylvie i doktora Fellowesa. Ton matki był nagły, doktora Fellowesa zdecydowanie bardziej obojętny.

Stając w progu i widząc ich oboje, siedzących na łóżku Bridget, Sylvie wydała z siebie głębokie westchnienie: – Dobry Boże! – Chwyciła Teddy’ego na ręce i pociągnęła Ursulę za sobą na korytarz. Podniecona Trixie wyskoczyła za nimi, merdając ogonem. – Marsz do swoich pokoi! – nakazała im matka. – Albo nie, idźcie do pokoju Teddy’ego. Albo nie, lepiej do mnie. *Natychmiast!* – rozkazywała gorączkowo, całkiem niepodobna do Sylvie, którą znali. Następnie wróciła do pokoju Bridget i zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi. Po chwili słyszeli już tylko przyciszzone głosy matki i doktora Fellowesa i w końcu Ursula zwróciła się do Teddy’ego: – Chodźmy – i wzięła go za rękę. Potulnie pozwolił jej się zaprowadzić na dół, do sypialni Sylvie. – Mówiłaś, że będzie ciasto? – zapytał tylko.

– Teddy ma skórę tego samego koloru co Bridget – szepnęła Sylvie i żołądek ścisnął jej się z przerażenia. Wiedziała, z czym ma do czynienia. Ursula była tylko blada, choć jej zamknięte powieki ściemniały, a skóra miała dziwny, niezdrowy połysk.

– Ten fiołkowy rumień wokół oczu to obrzęk heliotropowy – orzekł doktor Fellowes, mierząc Teddy’emu puls. – Widzi pani te brunatne plamki na jego policzkach? Obawiam się, że to bardziej zjadliwy wirus.

– Błagam, niech pan przestanie – syknęła Sylvie. – Niech mi pan nie robi wykładu, nie jestem studentką medycyny, jestem tylko ich *matką*. – Ależ nienawidziła w tej chwili doktora Fellowesa. Bridget leżała na piętze w swoim łóżku, jeszcze ciepła, lecz równie martwa jak nagrobna rzeźba. – To grypa – ciągnął nieubłagany lekarz. – Wczoraj w Londynie państwa służąca przebywała w ogromnym skupisku ludzi, a to idealne warunki dla rozwoju epidemii. Choroba może zaatakować w każdej chwili, zbierając śmiertelne żniwo.

– Ale nie jego – oświadczyła Sylvie gwałtownie, ściskając Teddy’ego za rączkę. – Nie moje dziecko. Nie moje dzieci – poprawiła się, wyciągając dłoń, żeby pogłaskać Ursulę po rozpalonym czole.

W progu nieśmiało kręciła się Pamela, ale Sylvie ją przegoniła. Dziewczynka wybuchnęła płaczem, lecz matka nie miała czasu na łzy. Nie teraz, nie w obliczu śmierci.

- Chyba musi być coś, co mogłabym zrobić – zwróciła się do doktora Fellowesa.
- Może się pani pomodlić.
- Pomodlić?

Sylvie nie wierzyła w Boga. Biblijny Stwórca był jej zdaniem absurdalną, mściwą istotą (Tiffin i tak dalej), nie bardziej realną niż Zeus czy wielki bożek Pan. Z obowiązku co niedziela uczęszczała wszakże do kościoła, wołała bowiem nie niepokoić Hugh swoimi heretyckimi przemyśleniami. Skoro nie ma innej rady i tak dalej. Teraz jednak zaczęła się modlić i modliła się z rozpaczliwym przekonaniem, ale bez wiary, podejrzewając, że i tak nie ma to żadnego znaczenia.

Kiedy w nozdrzach Teddy'ego zabułgotała bladokrwista piana podobna do wydzieliny, jaką pozostawiają na łodygach roślin niektóre pluskwiaki, z gardła Sylvie wyrwał się skowyt rannego zwierzęcia. Pamela i pani Glover, nasłuchujące przez zamknięte drzwi, chwyciły się mocno za ręce w jakże rzadkim poczuciu wspólnoty. Sylvie porwała Teddy'ego w ramiona, przycisnęła mocno do piersi i wyła z rozpaczy.

Dobry Boże, pomyślał doktor Fellowes, ta kobieta oplakuje swoje dziecko jak jakaś pogan-ka.

Pocili się zgodnie w kłębowisku lnianej pościeli Sylvie. Teddy, wsparty na poduszkach, leżał na wznak z rozrzuconymi rękami i nogami. Ursula chciała go przytulić, ale był tak gorący, że zamiast tego złapała go za kostkę u nogi, jakby w ten sposób mogła go zatrzymać, żeby jej nie uciekł. Miała wrażenie, że jej własne płuca są pełne budyniu, wyobraziła go sobie nawet jako gęstą, żółtą, słodką masę.

Teddy odszedł, zanim zapadła noc. Ursula natychmiast poczuła, że umarł, poczuła to w głębi swych trzewi. Do jej uszu dobiegł pojedynczy rozpaczliwy jęk Sylvie, a potem ktoś podniósł Teddy'ego z łóżka. I choć był tylko małym chłopcem, wydało się Ursuli, że ktoś zdjął z łóżka olbrzymi ciężar. Teraz była już sama. Słyszała zduszone łkanie Sylvie – okropne, zbolale odgłosy, jakby ktoś odrąbał jej rękę albo nogę.

Z każdym oddechem budyń w jej płucach gęstniał coraz bardziej. Świat oddalał się od Ursuli, a ją samą ogarnęło nagle uczucie niespokojnego oczekiwania, jakby właśnie było Boże Narodzenie albo jej urodziny, a potem wzniósł się czarny nietoperz, okrywając ją swymi skrzydłami. Jeszcze jeden, ostatni oddech i będzie koniec. Wyciągnęła rękę do Teddy'ego, zapominając, że już go przy niej nie ma.

Zapadła ciemność.

Śnieg

11 lutego 1910

Sylvie zapaliła świecę. Zimowy mrok; niewielki złożony zegar stojący na gzymsie kominka w sypialni wskazywał piątą rano. Owo angielskie cacko („Lepsze niż francuskie zegary” – mawiała jej matka) było jednym z prezentów ślubnych i pamiątką po rodzicach. Gdy po śmierci słynnego portrecisty londyńskiej socjety w ich domu pojawili się wierzyciele, wdowa ukryła zegar pod fałdami spódnicy, nie mogąc odżałować, że krynoliny dawno już wyszły z mody. Co kwadrans Lottie dyskretnie podzwaniała, rozpraszając tym wierzycieli swego zmarłego męża. Szczęśliwie nie było ich w pokoju, gdy zegar zaczął wybijać pełną godzinę.

Noworodek spał spokojnie w kołysce. Niespodziewanie Sylvie przypomniały się słowa Coleridge’a: „Dziecię me, przy mnie w kołysce uspięne...”³. Co to był za wiersz?

Ogień przygasł w kominku i wśród węgla płasał już tylko słabutki płomyk. Dziecko zaczęło kwilić i Sylvie ostrożnie podniosła się z łóżka. Poród był takim brutalnym wydarzeniem. Gdyby to ona była odpowiedzialna za stworzenie ludzkiej rasy, rozwiązałyby ten problem całkiem inaczej (dajmy na to, złoty promień światła, wpadający przez ucho, załatwiałby poczęcie, a dziewięć miesięcy później nowy człowiek wydostawałby się na świat przez dobrze dopasowany, zamykany wąż odpowiedniej wielkości w jakimś dyskretnym miejscu). Opuściła ciepłe łóżko i wyjęła Ursulę z kołyski. W tej samej chwili śnieżną ciszę poranka przerwało ciche rżenie i słysząc ten zaskakujący dźwięk, Sylvie poczuła, jak jej duszę przenika przyjemny, jakby elektryczny prąd. Z niemowlęciem na rękach podeszła do okna i odsunęła ciężką zasłonę, żeby móc wyjrzeć na zewnątrz. Śnieg zatarł znajome kontury i cały świat spowijał biały szal. Na dole ujrzała fantastyczny widok: George’a Glovera, nadjeżdżającego na oklep zaśnieżoną drogą na jednym ze swoich potężnych koni roboczych (jeżeli jej wzrok nie mylił, był to chyba Nelson). Wspaniale się przy tym prezentował, jak jakiś starożytny bohater. Sylvie zaciągnęła zasłony i pomyślała, że udręki minionej nocy musiały chyba wpłynąć jakoś na jej mózg, przyprawiając ją o halucynacje.

Zaniosła Ursulę do swojego łóżka, czując, jak maleńkie wargi szukają jej sutka. Sylvie była wielką zwolenniczką karmienia dzieci piersią. Szklane butelki i gumowe smoczki wydawały jej się czymś nienaturalnym, co nie znaczy, że nie czuła się przy tym jak dojna krowa. Dziecko było powolne i nieudolne; nowe okoliczności wyraźnie je przerastały. Ciekawe, kiedy będzie śniadanie? – pomyślała Sylvie.

Rozejm

11 listopada 1918

„Droga Bridget, zamknęłam drzwi na zamki i rygle. W okolicy grasuje szajka zbójów”. Czy „zbójów” na pewno pisze się przez dwa „ó”? Ursula ogryzała koniec ołówka, aż ten się odłupał. Niezdecydowana, wykreśliła „zbójów”, zastępując ich „złodziejami”. „W okolicy grasuje szajka złodziei. Czy możesz dziś przenocować u matki Clarence’a?”. Na wszelki wypadek dopisała jeszcze: „Tylko nie pukaj, bo okropnie boli mnie głowa”, i podpisała się: „pani Todd”. Zaczekała, aż w kuchni nikogo nie będzie, wymknęła się na dwór i przyszpiliła liścik do drzwi kuchennych.

– Co ty tam knujesz? – spytała pani Glover, gdy tylko Ursula wróciła do środka. Dziewczynka aż podskoczyła ze strachu; pani Glover potrafiła poruszać się bezszelestnie jak kot.

– Nic – odparła. – Patrzyłam tylko, czy Bridget wróciła.

– Wielkie nieba – westchnęła pani Glover. – Przyjedzie pewnie ostatnim pociągami, za ładnych parę godzin. A teraz zmykaj stąd, już dawno powinnaś leżeć w łóżku. Co tu się dzisiaj wyrabia, istny cyrk!

Ursula nigdy nie była w cyrku, ale pomyślała, że to musi być bardzo ciekawe miejsce.

Nazajutrz rano Bridget nadal nie było. Co dziwniejsze, nigdzie nie było też śladu Pameli. Ursulę przepełniało poczucie ulgi, równie niewytłumaczalne co panika, która poprzedniego wieczoru pchnęła ją do napisania liściku.

– Wczoraj wieczorem ktoś zrobił głupi dowcip i powiesił na drzwiach zmyślane ostrzeżenie – oznajmiła Sylvie. – Bridget nie mogła się dostać do domu. Charakter pisma wygląda mi na twój, Ursulo. Potrafisz to jakoś wyjaśnić?

– Nie, nie potrafię – odparła mężnie Ursula.

– Posłałam Pamelę do pani Dodds, żeby przyprowadziła Bridget – powiedziała Sylvie.

– Posłałaś *Pamelę*? – powtórzyła Ursula z przerażeniem.

– Tak, Pamelę.

– To Pamela jest teraz z *Bridget*?

– Owszem – odparła Sylvie. – Twoja siostra jest z Bridget. Co się z tobą dzieje?

Ursula wybiegła z domu. Słyszała, że matka coś do niej woła, ale się nie zatrzymała. Nigdy jeszcze w ciągu swojego ośmioletniego życia nie biegła tak prędko, nawet wtedy, gdy Maurice ją gonił i chciał jej wykręcić rękę. Biegła przez pole w stronę chaty pani Dodds, rozchlapując po drodze błoto, i gdy wreszcie dostrzegła w oddali Pamelę i Bridget, od stóp do głów była cała umorusana.

– Co się *stało*? – spytała zaniepokojona Pamela. – Chodzi o tatusia? – Bridget aż się przeżegnała. Ursula zarzuciła siostrze ręce na szyję i zalała się łzami.

– O co chodzi? *Powiedzże* wreszcie – prosiła Pamela, zdjeta wielkim strachem.

– Sama nie wiem – wychlipała Ursula. – Po prostu strasznie się o ciebie bałam.

– Ależ z ciebie gaska – powiedziała z czułością Pamela, tuląc siostrę.

– Trochę boli mnie głowa – wtrąciła Bridget. – Chodźmy już do domu.

Wkrótce znowu zapadła ciemność.

Śnieg

11 lutego 1910

– To prawdziwy cud, jak mówi ten, no, jak mu tam, Fellowes – poinformowała panią Glover Bridget. Przy dzbanku porannej herbaty wznosiły właśnie toast za zdrowie nowo narodzonego dziecka. Jeśli chodzi o panią Glover, to według niej cuda mogły się zdarzać w Biblii, a nie podczas krwawej jatki, jaką był poród. – Może poprzestanie na trójce – mruknęła.

– A czemu miałyby robić coś takiego, skoro ma takie śliczne zdrowe dzieciaczki i wystarczająco dużo pieniędzy w domu, żeby na wszystko starczyło?

Pani Glover zignorowała ten argument, dźwignęła się od stołu i rzekła: – No, pora zanieść pani Todd śniadanie. – Wyjęła ze spiżarni miseczkę z namoczoną w mleku wątróbką i zaczęła ściągać z mięsa tłustawą białą błonę podobną do tej, którą czasami można zobaczyć na główce „w czepku urodzonego” niemowlęcia. Bridget spojrzała na mleko, białe z czerwonymi zaciekami, i nieoczekiwanie ją zemdlilo.

Doktor Fellowes zjadł już swoje śniadanie – bekon, kaszanekę, grzanki oraz jajka – i wyszedł. Przyszli ludzie ze wsi i próbowali odkopać jego auto ze śniegu, a gdy to się nie powiodło, ktoś poleciał po George'a, który zjawił się na ratunek, galopując na grzbiecie jednego ze swych potężnych koni. Pani Glover pomyślała o świętym Jerzym, ale pospiesznie odegnała od siebie to skojarzenie jako nazbyt śmiałe. Z niemałym trudem doktor Fellowes został usadzony za plecami jej syna, po czym obaj odjechali, przekopując się tym razem przez świeży śnieg, a nie orne pole.

Jakiś farmer został poturbowany przez byka, ale nadal żył. Rodzony ojciec pani Glover, który był mleczarzem, został zabity przez krowę. Pani Glover, młoda, ale już harda i nieznająca jeszcze pana Glovera, znalazła go martwego w oborze. Wciąż miała przed oczami zakrwawioną słomę i zdziwiony wyraz pyska tamtej krowy, ulubienicy ojca, na którą wołali Maisie.

Bridget grzała ręce o imbryk, gdy pani Glover oznajmiła: – No, to biorę się za wątróbkę. A ty poszukaj jakiegoś kwiatka, żeby postawić go na tacy ze śniadaniem dla pani Todd.

– Kwiatka? – zdumiała się Bridget, wyglądając przez okno na śnieg. – W taką pogodę?

Rozejm

11 listopada 1918

– Och, to ty, Clarensie – powiedziała Sylvie, otwierając kuchenne drzwi. – Obawiam się, że Bridget miała drobny wypadek. Potknęła się na progu i upadła. Na szczęście chyba tylko skręciła kostkę, ale wątpię, aby mogła pojechać z tobą do Londynu na uroczystości z okazji zwycięstwa.

Bridget popijała brandy, siedząc przy piecu na miejscu pani Glover, w obszernym fotelu typu Windsor z wysokim oparciem. Spuchniętą w kostce nogę oparła na stołeczku i rozkoszowała się dramatyzmem swojej przygody.

– Właśnie wchodziłam do kuchni, jak pragnę zdrowia. Wcześniej rozwieszałam pranie, chociaż szkoda było mojego zachodu, bo zaraz znowu się rozpadało. No i nagle poczułam, jak ktoś mnie z tyłu popycha, i już leżałam jak długa, skręcając się z bólu. To były małe dłonie – dodała po namyśle. – Może to duch jakiegoś dziecka?

– Och, dałabyś spokój – skarciła ją Sylvie. – W tym domu nie ma żadnych duchów, ani dzieci, ani dorosłych. Może ty coś zauważyłaś, Ursulo? Bawiłaś się wtedy w ogrodzie, prawda?

– E, tam. Głupia dziewczucha potknęła się, i tyle – mruknęła pani Glover. – Przecież wie pani, jaka z niej niezdara. W każdym razie – dodała z pewną satysfakcją – to by było na tyle, jeśli chodzi o twoje londyńskie uciechy.

– Wcale nie – zaprotestowała stanowczo Bridget. – Za nic nie przepuszczę takiej okazji do świętowania. Chodź no tu, Clarensie, i podaj mi rękę. Jakoś *dokuśtykam* do stacji.

Ciemność, i tak dalej.

Śnieg

11 lutego 1910

– Zanim zapytacie: będzie się nazywała Ursula – oznajmiła pani Glover, nakładając pełne łyżki owsianki do talerzy Maurice’a i Pameli, którzy siedzieli w kuchni przy dużym drewnianym stole.

– Ursula – powtórzyła z uznaniem Bridget. – To dobre imię. A podobał jej się przebiśnieg?

Rozejm

11 listopada 1918

Wszystko wydawało jej się dziwnie znajome. – To się nazywa *déjà vu* – rzekła Sylvie. – Taki figiel, splątany przez umysł. Nasz mózg to niezgłębiona tajemnica. – Ursula była przekonana, że pamięta, jak będąc małym dzieckiem, leżała w wózku pod drzewem. – To niemożliwe – stwierdziła Sylvie. – Nikt nie pamięta swojego niemowlęstwa. – A jednak Ursula pamiętała liście podobne do wielkich zielonych dłoni, które machały do niej, kołysane lekkim wiatrem, oraz srebrzystego zajączka wiszącego pod budką wózka i wirującego tuż nad jej twarzą. Sylvie westchnęła. – Masz bardzo bogatą wyobraźnię, córeczko. – Ursula nie wiedziała, czy to ma być komplement, czy wręcz przeciwnie; z pewnością było jednak prawdą, że często nie potrafiła odróżnić, co jest rzeczywistością, a co nie. I do tego jeszcze ten okropny lęk – paraliżująca ją panika – który stale w sobie nosiła. Mroczny krajobraz w jej wnętrzu. – Nie rozmyślaj o takich rzeczach – ucięła ostro Sylvie, gdy Ursula próbowała jej to wytłumaczyć. – Masz mieć radosne myśli.

Czasem wydawało się też Ursuli, że wie, co ktoś powie, zanim jeszcze to powiedział, albo co się za chwilę wydarzy – na przykład ktoś upuści naczynie albo jabłko roztrzaska szybę w szklarni – jakby to się zdarzyło już wielokrotnie w przeszłości. Słowa i zdania rozbrzmiewały echem w jej głowie, obcy ludzie wydawali się starymi znajomymi.

– Od czasu do czasu każdy dziwnie się czuje – pocieszała ją Sylvie. – Pamiętaj, kochanie: radosne myśli.

Bridget słuchała jej znacznie chętniej, powtarzając, że Ursula ma „zdolność jasnowidzenia”. Powiedziała dziewczynce, że między tym a innym światem istnieją tajemne przejścia, ale tylko niektórym udaje się przez nie przeniknąć. Ursula pomyślała, że wcale nie chciałaby być jedną z tych osób.

W ostatni bożonarodzeniowy poranek Sylvie wręczyła Ursuli pudełko, pięknie zapakowane i obwiązane wstążką w taki sposób, żeby nie było widać, co jest w środku, i powiedziała: – Wesołych świąt, skarbie – na co Ursula odparła: – Och, wspaniale! Komplet mebelków do jadalni w moim domku dla lalek – w związku z czym została natychmiast złażana za podglądanie świątecznych prezentów.

– Wcale nie podglądałam – utrzymywała z uporem, żaląc się później w kuchni Bridget, która właśnie próbowała przymocować korony z białego papieru do pozbawionych płetw nóg świątecznej gęsi. (Na ten widok Ursula pomyślała o pewnym mężczyźnie z wioski, właściwie chłopcu, któremu urwało obie stopy w bitwie pod Cambrai). – Naprawdę wcześniej nie patrzyłam. Po prostu *wiedziałam*, i już.

– No tak – ucieszyła się Bridget. – Na pewno masz szósty zmysł.

Pani Glover, która zmagala się ze śliwkowym puddingiem, parsknęła z dezaprobatą. Jak dla niej pięć zmysłów to było aż nadto – na co komu jeszcze jeden?

Wygonieni na dwór, cały ranek spędzili w ogrodzie. – Ładne mi świętowanie zwycięstwa – mruknęła Pamela, gdy przeczekiwali mżawkę pod rozłożystym bukiem. Tylko Trixie dobrze się bawiła. Uwielbiała ogród, głównie z powodu mnogości żyjących tam królików, które wbrew najlepszym chęciom lisów wciąż panoszyły się w warzywniku. Przed wojną George Glover podarował Ursuli i Pameli dwa małe króliczki. Ursula przekonała siostrę, że powinny trzymać je w domu, ukryły więc zwierzątka w szafce w swojej sypialni i karmiły je znalezionym w apteczce zakraplaczem, dopóki pewnego dnia nie wyskoczyły z szafki, nieomal przygotowując Bridget o zawał.

– *Fait accompli*, wydało się – orzekła Sylvie, gdy pokazano jej puszystych winowajców. – Ale nie możecie trzymać ich w domu. Będziecie musiały poprosić Starego Toma, żeby zbudował dla nich klatkę.

Rzecz jasna, króliki dawno już uciekły i od tamtej pory radośnie pomnażały swoje szeregi.

Na próżno Stary Tom rozkładał trutkę i pułapki w ogrodzie. („Wielkie nieba! – wykrzyknęła pewnego ranka Sylvie na widok królików, spokojnie spożywających śniadanie na trawie przed domem. – Toż to istna Australia”). Rok wcześniej Maurice, który w szkole uczył się strzelać na kursach lotniczego przysposobienia wojskowego, spędził całe letnie wakacje, strzelając do królików z okna swojego pokoju ze starej, zapomnianej myśliwskiej strzelby Hugh. Pamela tak była na niego wściekła, że nasypała mu do łóżka jego własnego swędzącego proszku (Maurice stale coś kupował w sklepach ze śmiesznymi rzeczami). Burę dostała Ursula, co zmusiło Pamelę do natychmiastowego przyznania się do winy, choć siostra była całkiem gotowa nadstawić za nią głowy. Ale Pamela już taka była – zawsze dbała o to, żeby być w porządku wobec innych.

Naraz z sąsiedniego ogrodu dobiegły ich dziewczęce głosy – mieli teraz nowych sąsiadów, których jeszcze nie poznali, Shawcrossów – więc Pamela zaproponowała: – Chodźcie, zobaczymy, czy coś widać przez żywopłot. Ciekawe, jak się nazywają.

Winnie, Gertie, Millie, Nancy i malutka Bea, pomyślała Ursula, ale nic nie powiedziała. Jeśli chodzi o umiejętność dochowywania sekretów, zaczynała dorównywać Sylvie.

Bridget wsadziła szpilkę w zęby i podniosła ręce, żeby poprawić kapelusz. Wcześniej przyszła do niego nowy bukiet papierowych fiołków, specjalnie z okazji zwycięstwa. Stojąc u szczytu schodów, nuciła pod nosem popularną żołnierską piosenkę i myślała o Clarensie. Gdy już się pobiorą („Na wiosnę” – obiecał, chociaż jeszcze niedawno miało być „przed Bożym Narodzeniem”), odejdzie ze służby w Fox Corner. Będzie miała swoje własne malutkie gospodarstwo i swoje własne dzieci.

Sylvie mówiła, że schody to bardzo niebezpieczne miejsce. Ludzie się na nich zabijali. Zawsze powtarzała dzieciom, żeby się nie bawiły u ich szczytu.

Ursula podkradła się niepostrzeżenie, lekko stąpając po miękkim chodniku. Wzięła głęboki oddech, po czym, wyciągając przed siebie rozpostarte dłonie, jakby usiłowała zatrzymać pociąg, rzuciła się naprzód i z rozpędu pchnęła Bridget gdzieś w okolicach krzyża. Ta zdążyła jeszcze odwrócić głowę – na widok Ursuli szeroko otworzyła oczy i usta ze zdumienia – a potem runęła ze schodów, spadając na dół w szaleńczej płataninie rąk i nóg. Ursula dosłownie w ostatniej chwili zdołała się zatrzymać; w przeciwnym razie sama też by spadła.

Praktyka czyni mistrza.

– Obawiam się, że ręka jest złamana – stwierdził doktor Fellowes. – Nieźle się poturbowałaś, spadając z tych schodów.

– Zawsze była niezdarna – mruknęła pani Glover.

– *Ktoś* mnie popchnął – broniła się Bridget. Na jej czole rósł wielki guz, w dłoniach ścisnęła kapelusz; bukiet papierowych fiołków był całkiem zgnieciony.

– Ktoś? – powtórzyła Sylvie. – Ale kto? Kto mógłby cię zepchnąć ze schodów, Bridget? – Popatrzyła po twarzach zebranych w kuchni osób. – Teddy? – Teddy zasłonił buzię rączką, jakby chciał powstrzymać cisnące się na usta słowa. Sylvie odwróciła się do Pameli. – Ty, Pamelu?

– Ja? – odparła urażona dziewczynka, przyciskając dłonie do serca gestem męczennicy. Sylvie spojrzała na Bridget, a ta lekkim ruchem głowy wskazała Ursulę.

– Ursulo? – Sylvie zmarszczyła brwi. Ursula wbiła przed siebie niewidzący wzrok jak ktoś, kto odmawia służby wojskowej ze względu na swe przekonania i jest gotowy na egzekucję. – Ursulo – zwróciła się do niej surowo matka – czy coś ci wiadomo na ten temat?

Ursula zrobiła coś bardzo złego, zepchnęła ze schodów Bridget, która mogła przecież umrzeć, a wówczas Ursula stałaby się morderczynią. Wiedziała jedynie, że *musiała* to zrobić. Ogarnął ją wszechpotężny lęk i po prostu musiała.

Ursula wybiegła z pokoju i schowała się w jednej z tajemnych kryjówek Teddy’ego, w szafce pod schodami. Po pewnym czasie drzwiczki otworzyły się, a do środka wsunął się cicho Teddy i usiadł obok na podłodze. – Nie wierzę, że to ty zepchnęłaś Bridget – powiedział i wsunął swoją małą ciepłą rączkę w jej dłoń.

– Dzięki. A jednak to zrobiłam.

– No, trudno. I tak cię kocham.

Pewnie nigdy nie wyszłaby ze swej kryjówki, gdyby u frontowych drzwi nie rozległ się

dzwonek, a zaraz potem w holu nie wybuchło wielkie zamieszanie. Teddy otworzył drzwiczki, żeby sprawdzić, co się dzieje. Po chwili znów wsunął się do środka i zameldował: – Mamusia całuje jakiegoś pana i strasznie płacze. Ten pan też płacze. – Ursula wystawiła głowę z szafki, żeby na własne oczy zobaczyć to dziwo, po czym wielce zdumiona odwróciła się do Teddy’ego. – To chyba jest nasz tatuś – powiedziała.

Pokój

Luty 1947

Ursula przeszła ostrożnie przez ulicę. Powierzchnia jezdni była zdradliwa – pokarbowane, zlodowaciałe bruzdy, wszędzie grudy i szczeliny. Chodniki były jeszcze bardziej niebezpieczne, całe pokryte zwałami ubitego śniegu albo, co gorsza, wyslizgane na podobieństwo torów saneczkowych przez okoliczne dzieciaki, które z powodu zamknięcia szkół nie miały nic lepszego do roboty. Dobry Boże, pomyślała Ursula, ale się zrobiłam małoduszna. Przeklęta wojna. Przeklęty pokój.

Zanim wsunęła klucz do zamka bramy, całkiem opadła z sił. Nigdy przedtem wyprawa po zakupy nie była aż takim wyzwaniem, nawet podczas najgorszych nalotów. Mroźny wiatr do żywego chłostał jej twarz, palce u nóg całkiem ścierpły z zimna. Od tygodni temperatura nie przekroczyła zera stopni; było nawet zimniej niż w czterdziestym pierwszym. Ursula wyobrażała sobie, jak w dalekiej przyszłości próbuje przypomnieć sobie ten przenikliwy mróz, i była pewna, że nigdy nie zdoła go przywołać. Był tak bardzo *fizyczny*; człowiek niemal spodziewał się, że lada chwila jego kości się potrzaskają, a skóra popęka od chłodu. Poprzedniego dnia widziała dwóch mężczyzn, którzy próbowali otworzyć uliczną studzienkę za pomocą czegoś, co wyglądało jak miotacz płomieni. Może ocieplenie i roztopy już nigdy nie nadejdą, może właśnie zaczęła się nowa epoka lodowcowa? Najpierw ogień, teraz lód.

Dobrze się stało, stwierdziła, że wojna oduczyła ją dbałości o szykowny wygląd. W tej chwili miała na sobie kolejno, poczynając od wewnętrznej warstwy: podkoszulek z krótkim rękawem, podkoszulek z długim rękawem, pulower z długim rękawem, blezer, a na to wszystko jeszcze mocno sfatygowany, stary zimowy płaszcz, kupiony u Petera Robinsona dwa lata przed wojną. Nie wspominając, rzecz jasna, o zwyczajowej burej bieliźnie, grubej tweedowej spódnicy, szarych wełnianych pończochach, rękawiczkach z pięcioma palcami i jeszcze jednej parze z jednym palcem, szaliku, czapce oraz starych, wykończonych futerkiem botkach matki. Mężczyzna, który zapragnąłby ją teraz zniewolić, byłby godzien najwyższego pożałowania. – Pomarzyć zawsze można, no nie? – rzuciła kiedyś Enid Barker, jedna z sekretarek, gdy wzmacniały się herbatą z termosu. Gdzieś w okolicach tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Enid wcieliła się w postać młodej, mężnej mieszkanki Londynu i od tamtej pory odgrywała tę rolę z wielkim entuzjazmem. Ursula zganiła się za tę nową złośliwość. Enid była równą babką, fantastycznie uzdolnioną, jeśli chodzi o tworzenie tabel – coś, czego Ursula nigdy dobrze nie opanowała, chociaż chodziła do szkoły dla sekretarek. Całe wieki temu – wszystko, co wydarzyło się przed wojną, wydawało jej się równie odległe jak historia starożytna (jej własna) – zrobiła kurs maszynopisania i stenografii, okazując się zaskakująco zdolną uczennicą. Pan Carver, kierownik szkoły dla sekretarek, sugerował nawet, że stenografuje na tyle dobrze, aby ubiegać się o staż reporterki sądowej w Old Bailey. Mogło to dla niej oznaczać całkiem inne, może nawet lepsze życie. Oczywiście teraz już nie sposób było się o tym przekonać.

Stąpając z trudem, wspięła się po nieoświetlonych schodach do swojego mieszkania. Była teraz jego jedyną lokatorką. Millie poślubiła amerykańskiego oficera lotnictwa i wyjechała z nim do Nowego Jorku. („Ja wojenną panną młodą! Kto by pomyślał?”). Ściany klatki schodowej pokrywała cienka warstewka sadzy i czegoś, co wyglądało jak tłuszcz. Była to stara kamienica, na dodatek w Soho („Skoro nie ma innej rady...” – usłyszała w głowie głos matki). Kobieta piętro wyżej przyjmowała wielu odwiedzających i Ursula zdążyła się już przyzwyczaić do dobiegającego z góry skrzypienia sprężyn łóżka i różnych dziwnych odgłosów. Mimo tych uciążliwości sąsiadka była całkiem sympatyczna, zawsze radośnie ją pozdrawiała i nigdy nie wymigiwała się od pracy, gdy wypadała jej kolej zamiatania schodów.

Od początku swego istnienia był to budynek po dickensowsku obskurny, a teraz stał się jeszcze bardziej zaniedbany i przez nikogo niekochany. Z drugiej strony, cały Londyn fatalnie się pre-

zentował, był brudny i ponury. Ursula przypomniała sobie słowa panny Woolf, która obawiała się, że „biedny, stary Londyn” nigdy już nie będzie tak czysty jak dawniej. („Wszystko tak okropnie *podupadło*”). Niewykluczone, że miała rację.

– Doprawdy aż trudno uwierzyć, że to my wygraliśmy tę wojnę – stwierdził Jimmy, gdy przyjechał ją odwiedzić, szykowny w swoim amerykańskim ubraniu: błyszczącym nowością, jasnym i pełnym obietnic. Chętnie wybaczyła młodszemu bratu tę elegancję rodem z Nowego Świata, ostatecznie wojna nie była dla niego łatwa. Tak jak dla nich wszystkich. Churchill obiecał im „długą i trudną wojnę” i dotrzymał słowa.

Kwaterna była tymczasowa. Ursula mogła pozwolić sobie na coś lepszego, lecz tak naprawdę nie przywiązywała wagi do warunków mieszkaniowych. Miała raptem jeden pokój z oknem tuż nad zlewem, bojlerem i wspólną ubikacją na korytarzu. Nadal tęskniła za dawnym mieszkaniem w Kensington, które dzieliła z Millie. Zostało ono zbombardowane w czasie wielkiego nalotu w maju czterdziestego pierwszego. Ursuli przyszły wówczas na myśl słowa piosenki Bessie Smith, śpiewającej: *Jak lis bez nory*, chociaż w rzeczywistości wróciła tam jeszcze na parę tygodni, decydując się zamieszkać pod gwiazdami. Bez dachu było bardzo zimno, ale nie dla dobrej obozowiczki. Nauczyła się tego jeszcze w Związku Niemieckich Dziewcząt, choć nie należało się tym chwalić w tak ponurych czasach.

W mieszkaniu czekała na nią uroczą niespodzianka. Prezent od Pammy – drewniana skrzynka z ziemniakami, porami, cebulami i ogromną, szmaragdowozieloną włoską kapustą (istne dzieło sztuki). A na wierzchu spoczywał tuzin jaj, starannie umoszczonych na wacie wewnątrz starego filcowego kapelusza Hugh. Jajka były śliczne, całe brązowe i nakrapiane, drogocenne jak nieoszlifowane klejnoty; tu i ówdzie sterczały poprzyklejane piórka. „Ucałowania z Fox Corner” – głosił przyczepiony do skrzynki bilecik. Zupełnie jakby dostała paczkę z Czerwonego Krzyża. Jak to wszystko, u licha, tutaj dotarło? Pociągi nie kursowały, a Pamela z pewnością była odcięta od świata przez śnieg. Jeszcze bardziej zagadkowe było to, skąd u jej siostry takie obfite plony w samym środku zimy, gdy „cała ziemia zamarzła na kamień”, jak w tej starej kolędzie.

Kiedy otworzyła drzwi, na podłodze leżała kartka papieru. Musiała nałożyć okulary, żeby ją odczytać. Wiadomość od Bei Shawcross. „Byłam u ciebie, ale cię nie zastałam. Całuję, Bea”. Ursula pożałowała, że się rozminęły; przyjemniej byłoby spędzić sobotnie popołudnie z przyjaciółką, niż snuć się samotnie po odrealnionym West Endzie. Ogromnie ucieszył ją za to widok kapusty. Niespodziewanie jednak, jak to zwykle bywa, pękata główka przywołała niechciane wspomnienie małego zawiniątka w piwnicy na Argyll Road i ponownie ogarnęło ją przygnębienie. Ostatnimi czasami przeżywała stałą huśtawkę nastrojów. Doprawdy, zganiła samą siebie, weź się w garść, na litość boską.

W mieszkaniu było chyba jeszcze zimniej niż na zewnątrz. Ursula nabawiła się paskudnych bolesnych odmrożeń. Nawet uszy miała lodowate. Żałowała, że nie ma nauszników albo kominiarki, takiej jak te szare, wełniane, które Teddy i Jimmy nosili do szkoły. W poemacie *Wigilia świętej Agnieszki* był taki fragment... Zaraz, jak to szło? Coś o kościele i posągach z kamienia, „w zbrojach, w szatach lodowatych”⁴. Robiło jej się zimno za każdym razem, gdy go recytowała. W szkole nauczyła się na pamięć całego wiersza – osiągnięcie, które obecnie było chyba poza jej zasięgiem – i właściwie po co, skoro nie potrafiła teraz przypomnieć sobie choćby jednej pełnej linijki? Poczula nagłą tęsknotę za futrem z norek Sylvie, uparcie zaniechanym przez matkę, a obecnie należącym do Pameli, które zawsze przypominało jej duże przyjazne zwierzę. Sylvie wybrała śmierć w Dniu Zwycięstwa. Podczas gdy inne kobiety szykowały smakołyki na podwieczorki i potańcówki, organizowane na ulicach całej Wielkiej Brytanii, Sylvie położyła się na łóżku, w którym w dzieciństwie sypiał Teddy, i połknęła całą fiolkę proszków nasennych. Nie zostawiła listu, lecz jej intencje i motywacja były całkowicie jasne dla rodziny, którą osierociła. Po jej pogrzebie w Fox Corner odbyła się okropna stypa. Pamela stwierdziła, że matka zachowała się jak tchórz, ale Ursula nie była tego taka pewna. Jej zdaniem ten czyn dowodził raczej podziwu godnej determinacji. Sylvie była jeszcze jedną ofiarą wojny, jeszcze jedną pozycją w statystykach.

– Wiesz – zwierzyła jej się kiedyś Pamela – często się z nią kłóciłam, bo stale powtarzała, że nauka zmienia świat na gorsze i nie chodzi w niej o nic innego, jak tylko o wymyślanie coraz to no-

wych sposobów na zabijanie ludzi. A teraz się zastanawiam, czy jednak nie miała racji. – Było to oczywiście jeszcze przed Hiroszimą.

Ursula zapaliła piecyk gazowy – żalosalne maleństwo marki Radiant, wyglądające, jakby pochodziło z przełomu wieku – i wrzuciła monety do licznika. Wieść niesła, że kończą się zapasy pensów i szylingów. Ursula zastanawiała się, czemu nikt nie wpadł na to, żeby zacząć przetapiać broń. Karabiny na lemieszce i tak dalej.

Rozpakowała paczkę od Pameli, wykładając wszystko na niewielką drewnianą suszarkę do naczyń na podobieństwo martwej natury dla ubogich. Warzywa były brudne, lecz nie mogła liczyć, że oplucze je z ziemi, gdyż wszystkie rury pozamarzały, nawet te w jej małym bojlerze. Zresztą ciśnienie gazu było tak niskie, że i tak raczej nie podgrzałyby wody. „Woda jak kamień...”. Na dnie skrzynki znalazła pół butelki whisky. Kochana wierna Pammy, jak zawsze myśląca o innych.

Nabrała trochę wody z wiadra, które wcześniej napełniła przy ulicznym hydrancie, wlała do garnka i postawiła na gazie z nadzieją, że ugotuje sobie jajko, choć prawdopodobnie potrwa to całe wieki, bo w palniku pełgał sła biutki błękitny płomyk. Stale powtarzano ludziom, żeby uważali na ciśnienie gazu, na wypadek gdyby po zgaśnięciu kontrolki nieoczekiwanie wróciło.

Czy to by było takie złe zostać zagazowanym? – zastanawiała się Ursula. *Zagazowanym*. Natychmiast przysły jej do głowy Auschwitz i Treblinka. Jimmy służył w jednostce komandosów i pod koniec wojny wcielono go, dość przypadkowo, jak twierdził (choć wszystko, co dotyczyło Jimmy’ego, miało nieco przypadkowy charakter), do pułku przeciwpancernego, który wyzwalał obóz Bergen-Belsen. Ursula nalegała, aby opowiedział jej, co tam widział. Jimmy mówił niechętnie i najprawdopodobniej zataił przed nią to, co najgorsze, a przecież ludzie musieli wiedzieć. Trzeba dawać świadectwo. (Usłyszała głos panny Woolf, mówiącej: „Musimy pamiętać o tych ludziach, gdy już znajdziemy się bezpiecznie w przyszłości”).

Podczas wojny praca Ursuli polegała na liczeniu ofiar; przez jej biurko płynął niekończący się strumień liczb, za którymi kryli się wszyscy, którzy zginęli w nalotach i bombardowaniach, a teraz czekali, aby trafić do zestawień i archiwów. Już tamte liczby wydawały jej się przytłaczające; inne, większe – sześć milionów zabitych, pięćdziesiąt milionów zabitych, niezliczone, nieskończone zastępy dusz – przekraczały możliwości ludzkiego pojmowania.

Wodę przydzwigała poprzedniego dnia. *Oni* – kim właściwie byli? Po sześciu latach wojny wszyscy przywykli wykonywać „ich” rozkazy, cóż za karny naród z tych Anglików – otóż jacyś *oni* zamontowali hydrant na sąsiedniej ulicy, w związku z czym Ursula mogła napełnić swój czajnik oraz wiadro. Kobieta stojąca przed nią w kolejce była wręcz niewiarygodnie elegancka, ubrana w godne pozazdrosczenia, sięgające ziemi srebrnoszare futro z soboli, a mimo to tkwiła w tej samej kolejce co wszyscy, czekając na trzaskającym mrozie, żeby napełnić swoje wiadra. Zupełnie nie pasowała do Soho, ale nikt nie znał jej historii.

Kobiety przy studni. Jak przez mgłę pamiętała, że Jezus wdał się raz w wyjątkowo burzliwą dyskusję z kobietą przy studni. To była Samarytanka. Rzecz jasna, bezimienna. Ursula przypomniała sobie, że kobieta miała wcześniej pięciu mężów, obecnie zaś mieszkała z mężczyzną, który jej mężem nie był. Niestety, Biblia Króla Jakuba nie podawała, co się stało z tamtymi pięcioma. Może babka zatrąła wodę w tej swojej studni.

Pamiętała też opowieści Bridget, która jako jeszcze mała dziewczynka co dzień wędrowała w Irlandii po wodę do studni. I to by było na tyle, jeśli chodzi o postępek. Jakże szybko cywilizacja ulegała rozpadowi na poszczególne pierwiastki. Weźmy choćby Niemców, taki kulturalny i dobrze wychowany naród, a tu proszę... Auschwitz, Treblinka, Bergen-Belsen. Niewykluczone, że w podobnych okolicznościach to samo mogłoby się stać z Anglikami, była to wszakże jeszcze jedna kwestia, której się nigdy nie poruszało. Panna Woolf szczerze w to wierzyła, powiedziała jej nawet kiedyś...

– Bardzo przepraszam – odezwała się kobieta w sobolowym futrze, wrywając Ursulę z zamyślenia. – Wie pani może, dlaczego u mnie w domu rury zamarzły na kamień, a tutaj nadal jest woda? – Mówiła z wyraźnym akcentem z wyższych sfer.

– Naprawdę nie wiem – odparła Ursula. – Nic już nie wiem. – Kobieta roześmiała się i odrzekła: – Och, proszę mi wierzyć, czuję się tak samo. – Ursula pomyślała, że chyba mogłaby się

z nią zaprzyjaźnić, ale w tej samej chwili stojąca za nimi inna kobieta powiedziała: – Ruszaj się, kochanieńka – na co tamta w futrze dźwignęła swoje wiadra, jakby należała do Kobiecej Służby Rolnej, i rzuciła: – Cóż, muszę już lecieć. Pa!

Ursula włączyła radio. Emisja Programu Trzeciego została zawieszona aż do odwołania. Teraz wojowali z pogodą. Zważywszy na to, ile było przerw w dostawie prądu, człowiek miał szczęście, gdy posiadał dach nad głową i światło. Brakowało jej gwaru, znajomych odgłosów codziennego życia. Przed wyjazdem Jimmy podarował jej swój stary gramofon – jej własny przepadł w Kensington, niestety wraz z większością płyt. Zdołała ocalić kilka, które jakimś cudem się nie połamały, i teraz umieściła jedną z nich na talerzu gramofonu. *Wolałabym być martwa i leżeć w grobie...* Ursula parsknęła śmiechem. – A niech to, co za wesoły kawałek – powiedziała na głos. Przez chwilę słuchała trzasków i szumów starej płyty. Czy sama też się tak czuła?

Spojrzała na zegar – mały, złożony zegar podróży Sylvie. Po pogrzebie matki wzięła go ze sobą. Dopiero czwarta. Wielkie nieba, jakżeż dłużyły jej się dni. W radiu rozległ się sygnał, więc włączyła wiadomości. Po co tego słuchać?

Całe popołudnie snuła się po Oxford i Regent Street, byle się tylko czymś zająć – naprawdę chodziło jej o to, żeby wyrwać się ze swojej jednopokojowej klasztornej celi. Wszystkie sklepy były ciemne i ponure. Lampy parafinowe u Swana i Edgara, świece u Selfridge’a, a na tym tle wynędziały, widmowe twarze ludzi, zupełnie jak postaci z obrazów Goi. Nie było tam nic do kupienia, a już na pewno nic, co Ursula chciałaby kupić, wszystko zaś, czego istotnie potrzebowała, jak na przykład para ślicznych i wyglądających na ciepłe botków wykończonych u góry futerkiem, było szokująco drogie (piętnaście gwinej!). Jakie to przygnębiające. – Gorsze niż wojna – stwierdziła panna Fawcett z jej biura. Odchodziła z pracy, ponieważ wychodziła za męża, więc wszystkie zrzuciły się na wspólny prezent – zdecydowanie niegustowny wazon. Ursula chciała dać jej coś bardziej osobistego i wyjątkowego, lecz nic jej nie przychodziło do głowy i miała nadzieję, że może w domach towarowych na West Endzie znajdzie coś odpowiedniego. Niestety.

Wstąpiła do Lyona na filiżankę słabej herbaty; „cienka jak przedziwo”, powiedziała by Bridget. Do tego niewyszukane ciasto, w którym naliczyła dwa twarde rodzynki, oraz odrobina margaryny. Spróbowała wyobrazić sobie, że je coś pysznego – na przykład rozplywającą się w ustach pyszną kremówkę, *Cremeschnitte*, albo kawałek biszkoptu z kremem czekoladowym, *Dobostorte*. Podejrzewała, że ostatnio Niemcom musi bardzo brakować wypieków.

Ku swojemu zaskoczeniu wymamrotała: *Schwarzwälder Kirschtorte* (cóż za niezwykła nazwa, coś za niezwykły tort), zwracając na siebie niechący uwagę kobiety przy sąsiednim stoliku, która ze stoickim spokojem zjadała wielką bułkę z lukrem. – Musiałaś uciekać ze swojego kraju, co, skarbie? – zagadnęła Ursulę zaskakująco współczującym tonem.

– Coś w tym rodzaju – odparła Ursula.

Czekając, aż jajko się ugotuje – woda wciąż była zaledwie letnia – Ursula przeszukiwała karton z książkami, którego nie rozpakowała po przenosinach z Kensington. Znalazła podarowany jej przez Izzie egzemplarz Dantego – pięknie tłoczone okładki z czerwonej skóry, ale całkiem pożółkłe strony – tomik poezji Donne’a (jej ulubiony), *Ziemię jałową* (rzadkie pierwsze wydanie skradzione Izzie), *Dziela zebrane* Szekspira, swoich ukochanych poetów metafizycznych i wreszcie, na samym dnie pudła, mocno podniszczony tomik wierszy Keatsa z dedykacją: „Dla Ursuli Todd w nagrodę za pilną pracę”. Nadałoby się i na epitafium, pomyślała. Niecierpliwie przerzucała dawno niedotykane kartki, aż znalazła *Wigilię świętej Agnieszki*.

Ach! mróz taki srogi!

Sowa się trzęsie nastroszona, cicha;

Zając kusztyka przez zmarzłe odłogi;

Owce drżą w wełnie – ich beku nie słyszać.

Przeczytała wiersz na głos i aż zadrżała, słysząc te słowa. Powinna była wybrać coś rozgrze-

wającego, Keatsa z jego pszczołami – „Pszczoły w ule wracając z nektarem, myślą, że lato nigdy nie przeminie”². Keats powinien umrzeć na angielskiej ziemi. Usnąć w jakimś angielskim ogrodzie w letnie popołudnie. Tak jak Hugh.

Zjadła jajko, przeglądając wczorajsze wydanie „Timesa”; pan Hobbs z działu pocztowego oddawał jej pismo po przeczytaniu, tak się umówili. Nowy, pomniejszony format gazety sprawiał kuriozalne wrażenie, jakby same wiadomości stały się nagle mniej ważne. Choć w zasadzie tak właśnie było, czyż nie?

*

Za oknem sypał śnieg – płatki przypominające szary, rozmiękły popiół. Ursula pomyślała o krewnych Cole’ów w Polsce, unoszących się ponad Auschwitz na podobieństwo chmury wulkanicznego pyłu, okrążającej Ziemię i przesłaniającej Słońce. Mimo to nawet teraz, kiedy już ludzie dowiedzieli się o obozach koncentracyjnych i tak dalej, antysemityzm wciąż się szerzył. „Żydek” – usłyszała wczoraj na ulicy, a gdy panna Andrews chciała się wykręcić od finansowania wspólnego prezentu ślubnego dla panny Fawcett, Enid Barker zażartowała z niej, mówiąc: „Co za Żydówka”, jakby to była najłagodniejsza z inwektyw.

Ostatnimi czasy przebywanie w biurze stało się dla Ursuli męczące i często irytujące; najpewniej to przez zmęczenie, które było wynikiem zimna i braku dobrego, wartościowego pożywienia. Sama praca też była męcząca – niekończące się zestawienia i obliczenia statystyczne, które należało archiwizować, zapewne dla przyszłych historyków, którzy będą nad nimi ślezcęć. Poza tym nieustannie coś „uprzętał i przywracali porządek”, według Maurice’a, tak jakby ofiary wojny były jakimiś rupieciami, które należy pochować, a następnie o nich zapomnieć. Obrona cywilna została rozwiązana już ponad półtora roku temu, a mimo to Ursula wciąż nie zdołała się wyrwać z okowów biurokracji. Boże młyny (albo młyny rządowe) rzeczywiście meły wolno i dokładnie.

Jajko było wyborne, smakowało jak zniesione tego samego ranka. Ursula znalazła starą widokówkę, przedstawiającą rezydencję królewską w Brighton (zakupioną podczas jednodniowej wycieczki nad morze z Crightonem), której nigdy nie wysłała, i szybko nagryzmoliła podziękowania dla Pammy – „Coś wspaniałego! To prawie jak paczka z Czerwonego Krzyża” – a następnie postawiła ją na gzymsie kominka obok zegara Sylvie i fotografii Teddy’ego. Teddy i załoga jego halifaksa, sfotografowani pewnego słonecznego popołudnia, leniwie rozparci na zbieraniu starych foteli. Na kolanie Teddy’ego, niczym figurka na dziobie statku, tkwił na baczność ich ostatni psiak, Lucky. Miło byłoby nadal mieć go przy sobie. Zaszczytny Krzyż Lotniczy Teddy’ego stał oparty o szybkę, za którą umieszczona była fotografia. Ursula też dostała medal, lecz nic dla niej nie znaczył.

Wyśle widokówkę jutrzejszą pocztą. Przypuszczała, że miną całe wieki, zanim dotrze do Fox Corner.

Piąta. Wstawiła talerz do zlewu, obok innych niezmytych naczyń. Na tle ciemnego nieba szalała teraz zadymka w kolorze popiołu i Ursula ściągnęła cienką bawełnianą roletę, żeby na to nie patrzeć. Roleta beznadziejnie się zacinała i Ursula poddała się, zanim zdołała opuścić ją do końca. Futryny były stare i wypaczone i z zewnątrz ciągnęło lodem.

Wyłączono prąd, więc po omacku odszukała stojącą na gzymsie kominka świeczkę. Czy mogło być jeszcze gorzej? Zniosła świeczkę i butelkę whisky do łóżka i nie zdejmując płaszcza, włożyła pod kołdrę. Była potwornie zmęczona.

Płomień piecyka gazowego zadrzał niepokojąco. Czy to by naprawdę było takie straszne? „Bardziej niż kiedykolwiek, w połowie tej nocy jakże byłoby piękne, odejść bez konania”⁶. Bywały przecież gorsze rodzaje śmierci. Auschwitz, Treblinka. Halifaks Teddy’ego spadający na ziemię w płomieniach. Jedynym sposobem na powstrzymanie łez była whisky. Kochana, wierna Pammy. Płomień zamigotał i zgasł, podobnie jak kontrolka. Była ciekawa, kiedy znów puszcza gaz. I czy – jeśli zapach gazu ją obudzi – zdoła wstać i na nowo zapalić piecyk. Nigdy nie myślała, że umrze jak lis, zamrożony w swojej norze. Pammy dostanie widokówkę i dowie się, że Ursula była jej bardzo wdzięczna. Zamknęła oczy. Miała wrażenie, jakby nie spała od z górą stu lat. Była naprawdę bardzo, ale to bardzo zmęczona.

Powoli zapadała ciemność.

Śnieg

11 lutego 1910

Ciepły, mleczny i całkiem nowy zapach podziałał na Queenie niczym syreni śpiew. Queenie była kotką i, ściśle rzecz biorąc, należała do pani Glover, ale trwała w wyniosłym przekonaniu, że nie należy do nikogo. Wielki, szylkretowy zwierzak wszedł w progi tego domu wraz z gospodynią, jako pasażer podróżnej torby w orientalne wzory, i natychmiast objął w posiadanie fotel typu Windsor tuż przy kuchennym palenisku, będący mniejszą wersją fotela pani Glover. Fakt, iż Queenie miała własny fotel, nie oznaczał, że nie zostawiała sierści na pozostałych miękkich meblach w domu, nie wyłączając łóżek. Hugh, który nie pałał szczególną miłością do kotów, nieustannie skarżył się, że „tej liniejącej bestii” w tajemniczy sposób udaje się pozostawiać kłaki na jego garniturach.

Bardziej wojownicza niż większość kotów, Queenie potrafiła skoczyć na człowieka niczym walczący zając, jeśli nieopatrznie nazbyt się do niej zbliżył. Bridget, która także nie przepadała za kotami, uważała, że zwierzaka opętał jakiś demon.

Skąd brał się ten rozkoszny, nowy zapach? Queenie podreptała na piętro i weszła do dużej sypialni. Pokój ogrzewały rozżarzone węgle, pozostałość po buzującym wcześniej w kominku ogniu. Był to miły pokój, z łóżkiem okrytym grubą, miękką kapą, wypełniony rytmicznymi, delikatnymi oddechami śpiących w łóżku ciał. No i proszę: stało tu malutkie łóżeczko w sam raz dla kota, wygrzane już przez idealnie dopasowaną poduszeczkę, również w sam raz dla kota. Queenie z przyjemnością ugniatała łapkami miękkie ciało, przenosząc się z powrotem do czasów, gdy sama była kociakiem. Następnie ułożyła się wygodnie, wydając z gardła głębokie, basowe, pełne zadowolenia mruczenie.

Ostre igły, wbijające się w jej miękką skórę, sprawiły, że gwałtownie się ocknęła. Ból był czymś nowym i zdecydowanie niepożądanym. Po chwili poczuła, że coś ją przygniata; jej usta były pełne czegoś, co ją dusiło, nie pozwalało oddychać. Im bardziej chciała zaczerpnąć powietrza, tym było to trudniejsze. Coś przygwoździło ją do materaca, leżała więc bezradna, pozbawiona tchu. Zaczęła spadać i spadała coraz szybciej, jak zestrzelony ptak.

Queenie zdążyła ukołysać się do snu własnym mruzeniem i znajdowała się właśnie w stanie przyjemnej nieświadomości, gdy naraz tuż nad nią rozległ się przenikliwy wrzask, a czyjaś ręka chwyciła ją za kark i cisnęła przez pokój. Sycząc i fukając, kotka wycofała się na korytarz, przeczuwała bowiem, że tej walki nie wygra.

Nic. Bezwładna i nieruchoma. Drobną klatka piersiowa ani drgnie. Serce samej Sylvie waliło tymczasem tak mocno, jakby ktoś wewnątrz niej bił pięściami w jej mostek, usiłując wydostać się na zewnątrz. I ta groza! Jej ciałem wstrząsały dreszcze, czuła się tak, jakby runęła na nią olbrzymia fala.

Instynktownie pochyliła się nad twarzyczką dziecka, nakrywając wargami usteczka i nosek. Delikatnie dmuchnęła. Jeszcze raz. I jeszcze.

Wtedy jej dziecko ożyło. Jakie to było proste! („Jestem pewien, że to zwykły przypadek – orzekł doktor Fellowes, gdy opowiedziano mu o tym medycznym cudzie. – Wydaje mi się mało prawdopodobne, aby można było w ten sposób przywrócić kogokolwiek do życia”).

Bridget wróciła do kuchni z sypialni na piętrze, dokąd zaniosiła właśnie wołowy rosółek, i posłusznie zameldowała pani Glover: – Pani Todd prosiła przekazać gosposi, to jest pani, pani Glover, że ma się pani natychmiast pozbyć tego kota. Najlepiej, żeby kazała go pani zabić.

– Zabić? – powtórzyła wzburzona pani Glover. Kotka, wygodnie umoszczona na swoim zwykłym miejscu przy piecu, podniosła głowę i wbiła w Bridget złowrogie spojrzenie.

– Ja tylko powtarzam, co pani powiedziała.

– Po moim trupie – warknęła pani Glover.

Pani Haddock sączyła grzany rum, usiłując robić to w sposób godny damy. Była to już jej trzecia szklaneczka i powoli zaczynała rozgrzewać się od środka. Jechała akurat pomóc przy narodzinach dziecka, gdy śnieżycy zmusiła ją do schronienia się w wydzielonej części pubu Pod Błękitnym Lwem, tuż za Chalfont St Peter. Nie był to lokal, do którego normalnie by wstąpiła, chyba że z konieczności, ale w kominku huczał ogień, a i towarzystwo okazało się zaskakująco serdeczne. Mosiężne ozdoby końskiej uprzęży połyskiwały i migotały, podobnie jak miedziane kufle. Ze swego miejsca widziała wewnątrz pubu, gdzie po drugiej stronie kontuaru rozmaite napitki lały się wyjątkowo szerokim strumieniem. Była to zdecydowanie bardziej hałaśliwa część lokalu. Jakiś czas wcześniej zaczęły się wspólne śpiewy i ku swemu zdziwieniu pani Haddock przyłapała się na tym, że wybija rytm stopą.

– Żeby pani widziała, jak sypie – zagadnął ją właściciel, pochylając się nad wypolerowaną połacią mosiężnego kontuaru. – Wygląda na to, że utknęliśmy tu na wiele dni.

– Dni?

– Może pani spokojnie zamówić jeszcze jedną szklaneczkę. Dziś wieczór już nigdzie nie musi się pani spieszyć.

Jak lis w norze

Wrzesień 1923

– A więc nie musisz już odwiedzać doktora Kelleta? – spytała Izzie, z cichym trzaskiem otwierając emaliowaną papierošnicę. Oczom Ursuli ukazał się równy rząd czarnych rosyjskich papierosów. – Zapalisz? – zaproponowała, podsuwając jej papierošnicę. Izzie zwracała się do wszystkich tak, jakby byli w jej wieku. Było to zarówno uwodzicielskie, jak i lekceważące.

– Mam trzynaście lat – odparła Ursula. Uważała, że odpowiedziała na oba pytania.

– W dzisiejszych czasach trzynastolatka to już prawie dorosła osoba. A życie potrafi być bardzo krótkie, wierz mi – dodała Izzie, ujmując długą cygarniczkę z hebanu i kości słoniowej. Rozejrzała się leniwie po restauracji w poszukiwaniu kelnera, który mógłby jej służyć ogniem. – Właściwie brakuje mi tamtych twoich odwiedzin w Londynie. Tego, jak odprowadzałam cię na Harley Street, a potem szłyśmy razem na herbatkę do Savoya. To była taka mała przyjemność dla nas obydwu.

– Już od ponad roku nie byłam u doktora Kelleta – wyjaśniła Ursula. – Podobno zostałam wyleczona.

– No to świetnie! Ja dla odmiany jestem uważana przez *la famille* za beznadziejny przypadek. Ty jesteś młoda i dobrze wychowana, rzecz jasna, *la jeune fille bien élevé*, więc nigdy nie dowiesz się, jak to jest być kozłem ofiarnym, cierpiącym za cudze grzechy.

– No nie wiem. Chyba się trochę domyślałam.

Była sobota w porze lunchu, a one siedziały u Simpsona. – Wypoczynek godny damy – rzuciła Izzie ponad grubymi plastrami krwistego rostbefu, odkrawanymi w ich obecności przez kelnera. Matka Millie, pani Shawcross, była wegetarianką i Ursula wyobraziła sobie jej zgrozę na widok takiej masy mięsa. Hugh mawiał, że pani Shawcross (Roberta) to „artystyczna dusza”; pani Glover nazywała ją po prostu wariatką.

Izzie pochyliła się ku młodemu kelnerowi, który nadbiegł, żeby zapalić jej papierosa. – Dziękuję, mój drogi – zamruczała, spoglądając przy tym prosto w jego oczy w taki sposób, że chłopak zrobił się zaraz różowutki jak rostbef na półmisku. – *Le ros bif* – zwróciła się do Ursuli, odprawiając kelnera nonszalanckim machnięciem. Nieustannie okraszała swoje wypowiedzi francuskimi wtrętami („W młodości spędziłam trochę czasu w Paryżu. No a potem jeszcze całą wojnę...”). – A ty mówisz po francusku?

– Tak, w szkole – odrzekła Ursula. – Ale to nie znaczy, że znam ten język.

– Zabawne z ciebie stworzenie, wiesz? – Izzie zaciągnęła się głęboko papierosem, po czym wywinęła do góry swoją (zadziwiająco) czerwoną górną wargę, jakby miała zamiar grać na trąbce, i wypuściła z ust obłoczek dymu. Kilku siedzących w pobliżu mężczyzn gapiło się na nią zafascynowanym wzrokiem. Izzie mrugnęła do Ursuli. – Założę się, że pierwszym francuskim wyrażeniem, jakie poznałaś, było *déjà vu*. Moje biedactwo. Może w niemowlęctwie ktoś upuścił cię na głowę. Domyślałam się, że tak było w moim przypadku. No dalej, wcinajmy, jestem głodna jak wilk, a ty? Miałam się odchudzać, ale, doprawdy, ileż można się dręczyć? – paplała Izzie, biorąc się z entuzjazmem za mięso.

Była to miła odmiana, ponieważ gdy spotkały się wcześniej na peronie w Marylebone, Izzie miała zielonkawą cerę. Stwierdziła, że „ma lekkie nudności” po ostrygach i rumie („fatalne połączenie”), spożytych poprzedniej nocy w cieszącym się złą sławą klubie na Jermyn Street. Ostrygi najwyraźniej poszły już w zapomnienie, a Izzie zajadała jak ktoś, kto przymiera głodem, choć jak zwykle zarzekała się, że musi „dbać o figurę”. Twierdziła także, że jest „całkiem spłukana”, a zarazem szastała pieniędzmi na prawo i lewo. – Co warte jest życie, jeśli nie można się choć trochę zabawić? – mawiała. („O ile mi wiadomo, jej życie to nieustająca zabawa” – zrzędził Hugh).

Zabawa – oraz towarzyszące jej przyjemności – były konieczne, według Izzie, gdyż pozwa-

łały jej osłodzić nieco świadomość, iż „wstąpiła właśnie w szeregi robotników” i musi „całymi dniami stukać na maszynie”, żeby zarobić na swe utrzymanie. – Na litość boską, można by pomyśleć, że każą jej przerzucać węgiel – prychnęła ze złością Sylvie po jednym z ich rzadkich wspólnych obiadów w Fox Corner, który upłynął w dość napiętej atmosferze. Po odjeździe Izzie Sylvie, waląc gniewnie porcelanowymi paterami na owoce, które pomagała Bridget uprzętać ze stołu, oznajmiła: – Jedyne, co potrafi, to pleść bzdury. I robi to stale od dnia, gdy tylko nauczyła się mówić.

– Uważaj, to rodzinna porcelana – mruknął Hugh, ratując cenną patere.

Mimo wszystko Izzie zdołała dostać posadę („Bóg jeden wie, jak ona to zrobiła” – stwierdził Hugh) jako autorka cotygodniowej rubryki w gazecie, zatytułowanej „Przygody nowoczesnej starej panny”, w której opisywała życie „samotnej kobiety”. – Każdy wie, że zwyczajnie zaczyna nam brakować mężczyzn – perorowała podczas obiadu w Fox Corner, rwąc na kawałki bułkę przy stole jadalnym w stylu regencji. („Ty jakoś znajdujesz ich bez problemu” – mruknął Hugh). – Wszyscy poginęli na wojnie, biedaczyska – ciągnęła Izzie, nie zwracając na niego uwagi. Obficie posmarowała bułkę masłem, bez żadnego szacunku dla ciężkiej pracy ich krowy. – Nic na to nie poradzimy, dlatego trzeba iść naprzód i nauczyć się jakoś bez nich obywać. Nowoczesna kobieta musi umieć o sobie zadbać, nie licząc na to, że zdoła się ogrzać w ciepłe domowego ogniska. Musi nauczyć się być niezależna emocjonalnie, finansowo, a przede wszystkim pod względem *duchowym*. („Banaluki” – skwitował znowu Hugh). Nie tylko mężczyźni poświęcali życie w czasie Wielkiej Wojny. („Tyle że oni już nie żyją, w przeciwieństwie do ciebie” – zauważyła tym razem Sylvie. Bardzo chłodno).

– Rzecz jasna – dodała Izzie, mając na uwadze obecność pani Glover, która właśnie wniosła wazę pełną sycącej zupy warzywnej – kobiety z niższych klas nie od dzisiaj wiedzą, co znaczy ciężka praca. – Pani Glover rzuciła jej złowrogie spojrzenie i mocniej ścisnęła w dłoni chochlę. („Pani Glover, zupa z pęczakiem, pyszności! Co pani do niej dodaje, że tak wspaniale smakuje? Naprawdę? Co pani *powie!*”). – Zmierzamy ku bezklasowemu społeczeństwu, to oczywiste. – Ostatnia uwaga była skierowana do Hugh, lecz to nieprzejednana pani Glover skwitowała ją drwiącym parsknięciem.

– Od kiedy to zostałaś bolszewikiem? – zainteresował się Hugh.

– Dziś wszyscy jesteśmy bolszewikami – odparła lekko Izzie.

– Na dodatek przy moim stole! – śmiał się Hugh.

– Ależ ona jest głupia – westchnęła Sylvie, gdy Izzie wyruszyła w końcu na stację. – I ten mocny makijaż! Jej się oczywiście wydaje, że występuje na scenie. W swoim *własnym* teatrze.

– I ta jej fryzura – dodał z zalem Hugh. Nikogo właściwie nie zdziwiło, że zanim którakolwiek ze znanych im kobiet odważyła się to zrobić, Izzie jako pierwsza ścięła włosy na krótko. Hugh stanowczo zabronił swoim kobietom podobnych ekscesów. Ledwie jego ojcowski zakaz zdążył wybrzmieć, zwykle posłuszna rodzicom Pamela wybrała się z Winnie Shawcross do miasta, gdzie odbyły się postrzyżyny ich obydwu. („Będzie mi wygodniej uprawiać sport” – brzmiało jej racjonalne tłumaczenie). Pamela zachowała swoje ciężkie warkocze, lecz czy na pamiątkę, czy jako trofeum, trudno było powiedzieć. – Bunt w szeregach, hę? – zauważył Hugh. Żadne z nich nie lubiło się kłócić i tym samym dyskusja dobiegła końca, warkocze zaś zamieszkały w głębi szuflady wraz z bielizną Pameli. – Może jeszcze się na coś przydadzą. Nigdy nie wiadomo – oznajmiła. Nikt jednak w rodzinie nie potrafił sobie wyobrazić, co by to mogło być.

Uczucia Sylvie wobec Izzie sięgały głębiej i nie dotyczyły wyłącznie fryzury i makijażu. Nigdy nie wybaczyła szwagierce, że oddała swoje dziecko obcym ludziom. Chłopczyk miałby teraz trzynaście lat, tyle co Ursula. – Mały Fritz albo Hans – lamentowała Sylvie. – W jego żyłach płynie krew moich dzieci. Ale oczywiście jedyne, co interesuje Izzie, to ona sama.

– Nie może być chyba zupełnie płytka – bronił siostry Hugh. – Domyślam się, że podczas wojny była świadkiem okropnych rzeczy. – Tak jakby jego to nie dotyczyło.

Sylvie potrząsnęła głową, jak gdyby jej śliczną fryzurę zaatakowała chmara komarów. Zazdrościła Izzie udziału w wojnie, ze wszystkimi jej okropieństwami. – I tak jest głupia – powiedziała, na co Hugh roześmiał się i odparł: – Masz rację.

Rubryka Izzie nie była w zasadzie niczym więcej niż zapisem jej burzliwego osobistego życia, okraszonym tu i ówdzie ogólną uwagą czy towarzyskim komentarzem. Felieton z poprzedniego tygodnia nosił tytuł *Jak wysoko zajdziemy?* i był poświęcony „coraz wyższym aspiracjom rąbka sukni wyemancypowanej kobiety”, lecz w rzeczywistości zawierał głównie wskazówki autorki radzącej, co robić, żeby mieć kształtne łydki. „Stań tyłem na palcach na najniższym stopniu schodów i opuść pięty poza jego krawędź”. Pamela przez cały tydzień ćwiczyła na schodach wiodących na poddasze, by na koniec oznajmić, że nie zauważyła żadnej poprawy.

Chcąc nie chcąc, Hugh czuł się w obowiązku kupować co piątek gazetę Izzie i czytać jej felietony w pociągu w drodze do domu, „tylko po to, żeby wiedzieć, co ona tam wypisuje” (następnie zaś porzucał kłopotliwy egzemplarz na stoliku w holu, skąd mogła go przechwycić Pamela). Hugh żył w nieustannym lęku, że Izzie napisze coś o *nim*; jedyne pocieszenie stanowił dla niego fakt, iż drukowała pod pseudonimem Delphine Fox, zdaniem Sylvie „najgłupszym, jaki można sobie wyobrazić”. – No cóż – odrzekł Hugh. – Na drugie imię ma właśnie Delphine, po naszej babce. A Todd to dawne słowo oznaczające lisa, więc chyba jest w tym jakaś logika. Nie żebym ją bronił...

– Przecież to moje *imię*, figurujące na moim akcie urodzenia. – Izzie wyglądała na autentycznie zranioną, kiedy zaatakowano ją na tę okoliczność podczas aperitif. – Pochodzi od Delf, wiecie, wyrocznia i tak dalej. Powiedziałabym więc, że jest dość stosowne. – („A więc na dodatek uważa się teraz za wyrocznię? – oburzyła się Sylvie. – Jeśli ona jest wyrocznią, to ja jestem najwyższą kapłanką Tutenchamona”).

Izzie-Delphine zdążyła już co najmniej raz wspomnieć w felietonach o „swoich dwóch bratankach” („Kochane łobuziaki!”), na szczęście nie wymieniając żadnego z nich z imienia. – Do czasu – mruknął ponuro Hugh. Opisała też kilka „zabawnych przygód” owych najwyraźniej fikcyjnych bratanków. Osiemnastoletni obecnie Maurice („krzepkie chłopaczki” Izzie liczyły sobie lat dziewięć i jedenaście) nadal przebywał w szkole z internatem i w ciągu swego życia spędził w towarzystwie ciotki niewiele ponad dziesięć minut. Co do Teddy’ego, ten zwykł był unikać sytuacji, które mogłyby stać się pożywką dla jakiegokolwiek anegdota.

– Kim w takim razie są ci chłopcy? – dopytywała się Sylvie znad wyjątkowo zaskakującej wariacji na temat soli Veronique autorstwa pani Glover. Obok jej nakrycia leżała złożona gazeta i Sylvie z obrzydzeniem dotykała rubryki Izzie palcem wskazującym, jakby roilo się tam od zarazków. – Czy ich pierwowzorami mogli być Maurice i Teddy?

– A co z Jimmym? – Teddy zwrócił się do Izzie. – Dlaczego ciocia o *nim* nie pisze? – Jimmy, żywy chłopaczek w błękitnym, robionym na drutach sweterku, pakował sobie właśnie do buzi łyżkę ziemniaczanego purée i wyglądało na to, że nie martwi go zbytnio perspektywa wyeliminowania z annałów światowego dziennikarstwa. Był dzieckiem pokoju; ostatecznie ta wojna, która miała położyć kres wszystkim innym, została stoczona właśnie dla niego. Po raz kolejny Sylvie sprawiała wrażenie kompletnie zaskoczonej pojawieniem się nowego potomka („Sądziłam, że czwórka to już komplet”). Tak jak dawniej nie miała zielonego pojęcia, skąd się biorą dzieci, tak teraz zdawała się nie wiedzieć, jak można powstrzymać ich stały napływ. („Jimmy musiał być chyba efektem głębszego namysłu” – stwierdziła).

„Jeśli o mnie chodzi, to niewiele wówczas *myślałem*” – odparł Hugh i oboje się roześmiali. („Doprawdy, Hugh” – skarciła męża Sylvie).

Narodziny Jimmy’ego sprawiły, że Ursula poczuła się wypchnięta poza nawias rodziny, jak przedmiot na zagraconym stole. Kukułka; podsłuchiwała raz, jak Sylvie mówiła do Hugh: – Ursula to takie kukulcze jajo. – Tylko jak można być podrzutkiem we własnym gnieździe? – Ale ty jesteś moją prawdziwą mamą, prawda? – spytała kiedyś, na co Sylvie wybuchnęła śmiechem i odparła: – Ponad wszelką wątpliwość, kochanie.

– Jestem odmieńcem – poskarżyła się doktorowi Kelletowi.

– No cóż, ktoś musi nim być – odrzekł.

– *Nie pisz* o moich dzieciach, Isobel – Sylvie zwróciła się do Izzie podniesionym głosem.

– Na litość boską, Sylvie, oni są *zmyśleni*.

– Zabraniam ci pisać nawet o moich zmyślonych dzieciach. – Sylvie uniosła krawędź obrusa i spojrzała na podłogę. – Co ty wyprawiasz z nogami? – skarciła gniewnie siedzącą naprzeciwko

niej Pamelę.

– Wykonuję krążenia stopami – wyjaśniła Pamela, nie przejmując się wcale irytacją matki. Ostatnimi czasy nabrała śmiałości, chociaż pozostała tą samą rozsądną dziewczyną, jaką zawsze była; połączenie tych dwóch cech najwyraźniej wytrącało Sylvie z równowagi. („Jesteś zupełnie taka sama jak twój ojciec” – zarzuciła Pamelę wcześniej tego ranka, po tym, jak starły się z powodu jakiegoś drobiazgu. „A czemu miałyby to być wada?” – odparowała Pamela). Starła ziemniaczaną papkę z różowych policzków Jimmy’ego i dodała: – Jeden obrót zgodnie z ruchem wskazówek zegara, drugi w odwrotną stronę. Według cioci Izzie to ćwiczenie gwarantuje kształtne łydki.

– Izzie nie jest osobą, której ktokolwiek przy zdrowych zmysłach powinien się radzić. („Słucham?” – oburzyła się Izzie). A poza tym jesteś o wiele za młoda na to, żeby mieć kształtne łydki.

– Hm – mruknęła Pamela. – Jestem niemal w tym samym wieku co ty, kiedy wyszłaś za mąż za tatusia.

– Znakomicie – odetchnął z ulgą Hugh na widok stojącej w progu pani Glover, która czekała na swoje wielkie wejście z półmiskiem deseru ryżowego. – Towarzyszy pani dzisiaj duch słynnego francuskiego kucharza, samego Escoffiera, pani Glover. – Na co gosposia mimowolnie obejrzała się za siebie.

– Znakomicie – powiedziała Izzie. – Pudding chlebowy. Jeśli chodzi o papki dla dzieci, zawsze można liczyć na kuchnię u Simpsona. Wiesz, że mieliśmy olbrzymi pokój dziecięcy? Zajmował całe piętro domu.

– W Hampstead? W domu babci?

– Tym samym. Byłam najmłodsza, jak teraz Jimmy. – Izzie lekko posmutniała, jakby na wspomnienie jakiejś dawno zapomnianej krzywdy. Strusie pióro przy jej kapeluszu zadrżało ze współczuciem. Ożywiła się jednak zaraz na widok srebrnej sosjerki z budyniem. – A więc nie mie-wasz już tych dziwnych myśli? Déjà vu i tak dalej?

– Kto, ja? – zdziwiła się Ursula. – Nie. Może czasami. Ale coraz rzadziej. To było dawniej. Teraz tamte myśli zniknęły. W pewnym sensie. – Czyżby? Ursula nigdy nie miała co do tego pewności. Jej wspomnienia były niczym kaskada echa. Czy echo może powracać kaskadą? Chyba nie. Pod wpływem doktora Kelleta od dawna usiłowała (z dość marnym skutkiem) nauczyć się precyzyjnie wyrażać. Brakowało jej tej pełnej poczucia bezpieczeństwa godziny w czwartkowe popołudnia (nasze małe tête-à-tête, jak mawiał doktor Kellet. I znowu francuski). Miała dziesięć lat, gdy pierwszy raz przysłała do niego na wizytę, szczęśliwa, że mogła wyrwać się z Fox Corner i znaleźć w towarzystwie kogoś, kto poświęca całą swoją uwagę jej i tylko jej. Sylvie, a zdecydowanie częściej Bridget, wsadzała Ursulę do pociągu, w Londynie zaś odbierała ją Izzie, choć zarówno Sylvie, jak i Hugh mieli wątpliwości co do tego, czy ciotka jest wystarczająco odpowiedzialna, aby można jej było powierzyć dziecko. („Względy praktyczne – zauważyła Izzie, zwracając się do Hugh – zwykle wygrywają z etyką, jak niejednokrotnie miałam okazję się przekonać. Osobiście gdybym to ja miała dziesięcioletnie dziecko, chyba nie byłabym całkowicie spokojna, pozwalając mu samotnie podróżować koleją”. „Przecież ty *masz* dziesięcioletnie dziecko – odrzekł Hugh. – Małego Szwaba”. „Może spróbowałibyśmy go odnaleźć?” – zaproponowała Sylvie. „To jak szukać nie igły w stogu siana – stwierdził Hugh. – Są ich nieprzeliczone zastępy”).

– Tak więc brakuje mi twoich odwiedzin – podjęła Izzie – i dlatego zaproponowałam, żebyś przyjechała do mnie na jeden dzień. Szczerze mówiąc, byłam zdziwiona, że Sylvie się zgodziła. Między twoją matką a mną zawsze wyczuwało się pewien chłód, nazwijmy to *froidueur*. W waszej rodzinie uważa się mnie oczywiście za wariatkę i złego człowieka, kogoś, kogo niebezpiecznie jest znać. Tak czy inaczej, postanowiłam wyróżnić cię ze stada, że tak powiem, bo trochę przypominasz mi mnie samą. („Czy to aby dobrze?” – zaniepokoiła się Ursula). Mogłybyśmy być najlepszymi przyjaciółkami, jak sądzisz? Pamela jest trochę nudna – ciągnęła Izzie. – Ciągłe tylko tenis i jazda na rowerze, nic dziwnego, że ma takie grube łydki. Jest *très sportive*, zapewne, ale jednak! I jeszcze te nauki ściśle! Gdzie w tym wszystkim zabawa? A twoi bracia... Cóż, to tylko chłopcy, ty za to jesteś interesująca, Ursulo. To, co ci się roi w głowie, twoje przekonanie, że znasz swoją przyszłość... Mój ty mały jasnowidzu. Może powinniśmy sprawić ci cygański wóz, kryształową kulę i talię kart

do tarota? Utopiony Żeglarz Fenicki i tak dalej. Ale mojej przyszłości nie znasz, co?

– Nie.

– Reinkarnacja – powiedział doktor Kellet. – Słyszałaś może o czymś takim? – Dziesięcioletnia Ursula pokręciła głową. W ogóle słyszała o niewielu rzeczach. Doktor Kellet zajmował kilka ładnych pokoi przy Harley Street. Ten, do którego wprowadził Ursulę, był wyłożony boazerią z jasnego dębu. Na podłodze leżał gruby dywan w czerwono-niebieskie wzory, a po obu stronach opalanego węglem kominka stały dwa duże fotele obite skórą. Doktor Kellet miał na sobie trzyczęściowy tweedowy garnitur od Harrisa, ozdobiony wielkim złotym zegarkiem na dewizce. Pachniał goździkami oraz tytoniem i promieniał tak, jakby miał zaraz upiec dla niej słodkie babeczki albo przeczytać jej jakąś wyjątkowo ciekawą bajkę. Zamiast tego uśmiechnął się szeroko i dodał: – Podobno próbowałaś zabić waszą pokojówkę? („Aha, więc dlatego tu jestem” – zrozumiała Ursula).

Doktor Kellet zaproponował jej herbatę, którą zaparzył w czymś, co nazywało się samowar i stało w kącie pokoju. – Co nie znaczy, że jestem Rosjaninem, broń Boże, pochodzę z Maidstone, ale przed rewolucją miałem okazję odwiedzić Petersburg. – Tak jak Izzie traktował Ursulę jak dorosłą osobę, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie, lecz na tym ich podobieństwo się kończyło. Herbata była czarna i cierpka. Ursula zdołała ją wypić tylko dzięki całej masie cukru oraz zawartości puszek herbatników Huntley & Palmers, stojącej między nimi na małym stoliku.

Doktor Kellet studiował w Wiedniu („A gdzieżby indziej?”), szedł jednak, jak się wyraził, swoją własną drogą. Nie był niczym uczniem, dodał, chociaż kształcił się u „najlepszych nauczycieli”. – Trzeba sunąć naprzód – tłumaczył jej – dyskretnie przedzierać się przez płataninę własnych myśli. Jednocześnie podzielone „ja”. – Ursula nie rozumiała z tego wywodu ani jednego słowa.

– No więc jak to było z tą pokojówką? Zepchnęłaś ją ze schodów? – Dość bezpośrednio pytanie jak na kogoś, kto chwilę wcześniej mówił coś o dyskrecji.

– To był nieszczęśliwy wypadek. – Nigdy nie myślała o Bridget jak o „pokojówce”; Bridget to była Bridget. Poza tym to wszystko zdarzyło się tak dawno temu.

– Twoja matka martwi się o ciebie.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa, kochanie – usłyszała od matki po tym, jak Sylvie umówiła ją na wizytę u doktora Kelleta.

– To ja nie jestem szczęśliwa? – spytała Ursula, zbita z tropu.

– A jak sądzisz?

Ursula nie wiedziała. Wydawało jej się, że nie dysponuje żadną miarą, którą mogłaby zmierzyć swoje szczęście albo nieszczęście. Miała niejasne wspomnienia euforii i upadku w ciemność, ale należały one do świata cieni i marzeń sennych, wciąż obecnego w jej życiu, a zarazem tak bardzo nieuchwytnego.

– Tak jakby istniał gdzieś jakiś inny świat? – podsunął doktor Kellet.

– Właśnie. A jednocześnie to ten sam świat, w którym teraz żyjemy.

(„Wiem, że wygaduje niestworzone rzeczy, ale żeby od razu do *psychiatry*? – zwrócił się do Sylvie Hugh, marszcząc z powagą brwi. – Jest jeszcze taka mała. Przecież nic jej nie *dolega*”).

„Oczywiście, że nie. Trzeba ją tylko odrobinę podregulować”).

– No i proszę: raz-dwa i już jesteś zdrowa! Cudownie! – uśmiechnęła się Izzie. – Z tego twojego doktora był jednak lepszy dziwak, co? Zaryzykujemy coś z deski serów – ten stilton wygląda na tak dojrzały, że mógłby stąd wyjść o własnych siłach – czy podziękujemy i pójdziemy do mnie?

– Ja już niczego nie przełknę – odparła Ursula.

– Ja też nie. A zatem wychodzimy. Pozwolisz, że ja zapłacę?

– I tak nie mam pieniędzy. Mam dopiero trzynaście lat – przypomniała jej Ursula.

Wyszły z restauracji i ku wielkiemu zdumieniu dziewczynki po przejściu paru kroków w górę Strandu Izzie zasiadła za kierownicą błyszczącego kabrioletu, dość niedbale zaparkowanego przed pubem o oryginalnej nazwie „Komórka na Węgiel”.

– Masz własne auto! – wykrzyknęła Ursula.

– Świetne, prawda? Nie *całkiem* słacone. Wskakuj do środka. To sunbeam, model sportowy. Prowadzi się bez porównania lepiej niż ambulans. A przy tej pogodzie jest wprost fantastyczny.

Pojedziemy trasą widokową, wzdłuż nabrzeża, dobrze?

– Tak, proszę.

– Ach, Tamiza – westchnęła Izzie, gdy w zasięgu ich wzroku pojawiła się rzeka. – Po nich niestety nie ma już ani śladu. – Było wspaniale popołudnie: późny wrzesień, a powietrze rzeńskie jak o poranku. – Londyn jest wspaniały, nieprawdaż? – dodała. Prowadziła tak, jakby znajdowały się na torze wyścigowym Brooklands. Było to przerażające i ekscytujące zarazem. Ursula pomyślała, że skoro Izzie udało się przeżyć cało wojnę za kierownicą ambulansu, powinny bez większych przeszkód pokonać nabrzeże Wiktorii.

Zbliżywszy się do mostu Westminsterkiego, musiały zwolnić ze względu na tłumy ludzi, którym stanęła na drodze zasadniczo milcząca demonstracja bezrobotnych mężczyzn. „Walczyłem na froncie” – głosił wzniesiony wysoko w górę transparent. A inny obwieszcał: „Głoduję i chcę pracować”. – Są tacy potulni – stwierdziła Izzie lekceważąco. – W tym kraju nigdy nie będzie rewolucji. A w każdym razie ponownej rewolucji. Wystarczyło, że raz ścięliśmy króla, i to wpędziło nas w takie poczucie winy, że od tamtej pory nieustannie staramy się naprawić swój błąd. – Jakiś obdarty mężczyzna zbliżył się z boku do ich samochodu i krzyknął coś niezrozumiale do Izzie, choć znaczenie jego słów było raczej jasne.

– *Qu'ils mangent de la brioche* – mruknęła Izzie. – Wiesz, że w rzeczywistości ona nigdy tego „Niech jedzą ciastka” nie powiedziała? Maria Antonina. Historia niesłusznie ją oczernia. Nigdy nie wierz we wszystko, co się o kimś mówi. Ogólnie rzecz biorąc, większość to zwykłe kłamstwa, a w najlepszym razie półprawdy. – Trudno było się zorientować, czy Izzie jest rojalistką, czy republikanką. – Lepiej nie wiązać się zbyt blisko z żadną ze stron – odrzekła.

Big Ben uroczyście wybił trzecią, podczas gdy sunbeam przeciskał się przez tłum. – *Si lingua tratta di gente, ch'io non avrei mai creduto che morte tanta n'avesse disfatta*². Czytałaś Dantego? Powinnaś koniecznie, jest znakomity. – Skąd Izzie wiedziała aż tyle rzeczy? – Och – odparła lekko – ze szkoły dla dziewcząt. Poza tym po wojnie spędziłam trochę czasu we Włoszech. Rzecz jasna, od razu wzięłam sobie kochanka. Zubożałego hrabiego. To jest w zasadzie *de rigueur*, obowiązkowe, kiedy się tam mieszka. Jesteś zaszokowana?

– Nie. – Chociaż była. Naprawdę nic dziwnego, że w stosunkach Izzie z matką Ursuli dominował *froidueur*.

– Koncepcja reinkarnacji leży u podstaw filozofii buddyjskiej – mówił doktor Kellet, ssąc ustnik fajki z morskiej pianki. Przedmiot ten wyznaczał rytm wszystkich ich rozmów, służąc bądź to do wymownej gestykulacji – mnóstwo wymachiwania fajką i wskazywania różnych przedmiotów ustnikiem albo główką w kształcie głowy Turka (która sama w sobie była fascynująca) – bądź to jako centralny element nieodzownego rytuału opróżniania, napelniania, ubijania, zapalania i tak dalej. – Słyszałaś o buddyzmie? – Ursula nie słyszała.

– Ile ty masz lat?

– Dziesięć.

– To niewiele. Może wciąż jeszcze pamiętasz swoje poprzednie życie. Oczywiście wyznawcy Buddy nie wierzą w to, że można nieustannie powracać na ziemię jako *ta sama* osoba, żyjąca w *tych samych* okolicznościach, jak to się tobie wydaje. Dusza przemieszcza się w górę albo w dół, jak sądzę, czasem też na boki. Jej celem jest nirwana. Innymi słowy, niebyt. – W wieku dziesięciu lat Ursula była zdania, że lepszym celem byłby chyba *byt*. – W większości dawnych wierzeń – ciągnął lekarz – występowała koncepcja obiegu czasu, wąż pożerający własny ogon i tak dalej.

– Byłam bierzowana – wtrąciła Ursula, pragnąc być pomocną. – W Kościele angikańskim.

Doktora Kelleta poleciła Sylvie pani Shawcross za pośrednictwem swego męża, majora Shawcrossa. Kellet doskonale się spisywał, twierdził major, jeśli chodzi o mężczyzn, którzy po powrocie z wojny „potrzebowali pomocy” (między wierszami dano im do zrozumienia, że to sam major „potrzebował pomocy”). Od czasu do czasu Ursula spotykała w jego poczekalni innych pacjentów. Raz był to przygnębiony młody człowiek, który siedział ze wzrokiem wbitym w dywan, szepcząc coś sam do siebie. Inny bez wytchnienia wybijał stopą sobie tylko znany rytm. Recepcjonistka doktora Kelleta, niejaka pani Duckworth, która na wojnie straciła męża, a pracowała w laza-

recie jako pielęgniarka, była zawsze bardzo miła dla Ursuli, częstowała ją miętówkami i zagadywała o rodzinę. Pewnego dnia do poczekalni wtoczył się jakiś człowiek, choć z dołu wcale nie było słyhać dzwonka. Sprawiał wrażenie oszołomionego i wyglądał trochę groźnie, gdy tak stał jak słup na środku pokoju, gapiąc się na Ursulę, jakby *nigdy* przedtem nie widział dziecka. Pani Duckworth musiała doprowadzić go do krzesła, a następnie usiadła obok i objęła go, mówiąc: – Już dobrze, Billy, a cóż to się stało? – tonem troskliwej matki, on zaś oparł jej głowę na piersi i zaniósł się łkaniem.

Gdy Teddy’emu zdarzało się płakać, kiedy był młodszy, Ursula nie potrafiła tego znieść. Tak jakby wewnątrz niej samej otwierała się jakaś otchłań, głęboka, przerażająca i pełna smutku. Za każdym razem myślała tylko o tym, jak sprawić, żeby już nigdy więcej nie płakał. Tamten człowiek w poczekalni doktora Kelleta podział na nią w identyczny sposób. („Tak właśnie każdego dnia czuje się matka” – usłyszała od Sylvie).

W tej samej chwili z gabinetu wyszedł doktor Kellet i powiedział: – Wejdz, Ursulo. Billym zajmę się później – lecz kiedy wizyta Ursuli dobiegła końca, Billy’ego nie było już w poczekalni. – Biedak – westchnęła ze smutkiem pani Duckworth.

Wojna, wyjaśnił Ursuli doktor Kellet, zmusiła wielu ludzi do szukania sensu w nowych miejscach. – Teozofia, różokrzyżowcy, antropozofia, spirytualizm. Każdy musi nadać jakiś sens własnej stracie. – Sam doktor Kellet stracił na wojnie, pod Arras, syna Guya, kapitana królewskiego pułku Zachodniego Surrey. – Człowiek musi wierzyć w ideę poświęcenia, Ursulo. To także rodzaj powołania. – Pokazał jej fotografię, nie tę w mundurze, fotkę właściwie, przedstawiającą chłopaka w białym stroju do krykieta, stojącego z dumnie wzniesionym kijem. – A mógł reprezentować swoje hrabstwo – dodał zasmucony. – Lubię myśleć o nich, o nich wszystkich, że rozgrywają w niebie niekończący się mecz. Jest cudowne czerwcowe popołudnie, zawsze tuż przed przerwą na podwieczorek.

Myśl, że wszyscy ci młodzi mężczyźni nigdy już nie zjedzą podwieczorku, wydała się Ursuli okropnie smutna. Bosman również był w niebie, podobnie jak „brzydal” Sam Wellington oraz Clarence Dodds, który w zaskakującym tempie zmarł na hiszpańską gripę zaledwie dzień po zawieszeniu broni. Ursula nie potrafiła jednak wyobrazić sobie żadnego z nich podczas gry w krykieta.

– Z naukowego punktu widzenia – rzekł doktor Kellet – część twojego mózgu odpowiadająca za pamięć może mieć jakąś drobną wadę i to z powodu tego neurologicznego problemu wydaje ci się, że już czegoś doświadczyłaś. Tak jakby coś się tam zacięło. – W rzeczywistości wcale nie umierała i nie rodziła się na nowo, stwierdził, tylko *myślała*, że tak się z nią dzieje. Ursula nie mogła zrozumieć, na czym właściwie polega różnica. Czy to znaczyło, że gdzieś utknęła? A jeśli tak, to gdzie?

– Nie chcemy jednak, żebyś z tego powodu mordowała waszą biedną służbę, prawda?

– Przecież to było tak dawno temu – zaprotestowała Ursula. – Zresztą od tamtej pory nie próbowałam już nikogo zabić.

– Jest przybita – powiedziała Sylvie podczas ich pierwszego spotkania z doktorem Kelletem; był to jedyny raz, kiedy zawitała z Ursulą do gabinetu na Harley Street, choć najwyraźniej rozmawiała z doktorem już wcześniej, *bez niej*. Ursula była bardzo ciekawa, co o niej wówczas mówiono. – A do tego robi wrażenie osamotnionej – ciągnęła Sylvie. – Mogłabym jeszcze zrozumieć, gdyby to dotyczyło osoby dorosłej...

– Naprawdę? – wtrącił doktor Kellet, pochylając się naprzód, wyrażając zainteresowanie ruchem swojej fajki. – Pani *też* się tak czuje?

– To nie we mnie tkwi problem – odparła Sylvie, uśmiechając się najuprzejmiej, jak potrafiła.

„Tylko we mnie?” – pomyślała Ursula. Poza tym wcale nie próbowała *zabić* Bridget, chciała tylko ją *ocalić*. A jeśli nie ocalić, to może poświęcić. Czyż doktor Kellet sam nie powiedział, że poświęcenie jest powołaniem?

– Na twoim miejscu trzymałbym się tradycyjnych zasad moralnych – pouczył ją. – Przeznaczenie nie jest w twoich rękach. Byłoby to o wiele za ciężkie brzemie dla tak małej dziewczynki. – Wstał z fotela i dorzucił do ognia jeszcze jedną szufelkę węgla.

– Pewni buddyjscy filozofowie (wyznawcy odmiany buddyzmu zwanej zen) uważają, że czasami złe rzeczy dzieją się po to, aby zapobiec czemuś o wiele gorszemu – powiedział. – Choć oczywiście bywają i takie sytuacje, gdy nie sposób sobie wyobrazić nic gorszego. – Ursula przypuszczała, że myśli o Guyu, *zabitym pod Arras* i na całą wieczność pozbawionym popołudniowej herbaty oraz kanapek z ogórkiem.

– Powąchaj te – zachęciła ją Izzie, rozpylając perfumy w kierunku Ursuli. – Chanel numer 5, zupełna nowość. Ona *sama* jest nieprawdopodobna. Woń „jej dziwnych, syntetycznych perfum”⁸. – Roześmiała się, jakby to był świetny dowcip, i rozpyliła w łazience kolejny niewidoczny obłok. Ten zapach był całkiem inny od kwiatowych aromatów, którymi skrapiała się Sylvie.

Dotarły w końcu do mieszkania Izzie przy Basil Street („Raczej nieciekawe *endroit*, za to z tego miejsca blisko do Harrodsa”). Łazienka Izzie była wyłożona różowym i czarnym marmurem („Sama ją zaprojektowałam, rozkoszna, prawda?”) – same proste linie i ostre kanty. Ursula wolała nie myśleć, co by się mogło stać, gdyby ktoś się tu pośliznął i upadł.

Całe mieszkanie lśniło nowością. Nic tu nie przypominało Fox Corner, gdzie czas odmierzano leniwe tykanie stojącego w holu szafkowego zegara, a parkiety pokrywała błyszcząca patyna lat. Miśnieńskie figurki z brakującymi palcami u rąk i odłupanymi palcami u stóp oraz ceramiczne psy z przypadkowo utraconymi uszami nie wytrzymywały porównania z bakelitowymi podpórkami na książki i onyksowymi popielniczkami w pokojach Izzie. Na Basil Street wszystko było tak nowe, jakby prosto ze sklepu. Nawet książki były nowe – powieści oraz tomy esejów i poezji autorów, o których Ursula nigdy nie słyszała. – Trzeba być na bieżąco – podsumowała Izzie.

Ursula przyjrzała się swemu odbiciu w łazienkowym lustrze. Izzie stanęła za nią, niczym Mefistofeles za plecami swego Fausta, i powiedziała: – Dobry Boże, robi się z ciebie prawdziwa ślicznotka – po czym zaczęła układać włosy bratanicy na różne sposoby. – Musisz je koniecznie obciąć – zawyrokowała. – Powinnaś odwiedzić mojego *coiffeur*. Jest naprawdę znakomity. Jeszcze chwila i będziesz wyglądała jak wieśniaczka, a tymczasem coś mi się wydaje, że wyrośnie z ciebie rozkosznie zepsuta osóbką.

Izzie wirowała po sypialni, podśpiewując słowa znanej piosenki: *Chciałabym tańczyć tak jak moja siostra Kate*. – Potrafisz tańczyć *shimmy*? Spójrz, to bardzo łatwe. – Ale wcale nie było łatwe i wkrótce obie padły, śmiejąc się do rozpuku, na aksamitną pościel. – Trza się czasem zabawić, no nie? – wysapała Izzie, koszmarnie naśladowując akcent londyńskich robotników. W sypialni panował okropny bałagan, wszędzie walały się ubrania, aksamitne halki, koszulki nocne z krepdeszynu oraz jedwabne pończochy, pantofle bez pary leżały porzucone na dywanie, a wszystko pokrywała cieniutka warstewka pudru Coty. – Przymierzaj, co tylko chcesz – zachęciła ją Izzie niedbałym tonem. – Chociaż w porównaniu ze mną jesteś ładna i raczej drobna. *Jolie et petite*. – Ursula podziękowała, obawiając się złych czarów. Miała wrażenie, że ubrania Izzie mogłyby ją przemienić w kogoś całkiem innego.

– No i co teraz? – spytała Izzie, nagle znudzona. – Może zagramy w karty? Na przykład w bezika? – Tanecznym krokiem przebiegła przez pokój, torując sobie drogę do dużego, połyskującego chromem sprzętu, który wyglądał, jakby został przeniesiony wprost z mostka kapitańskiego oceanicznego liniowca, a okazał się zwykłym barkiem. – Drinka? – Spojrzała z powątpiewaniem na swoją bratanicę. – Wiem, nic już nie mów, masz dopiero trzynaście lat. – Westchnęła, zapaliła papierosa i spojrzała na zegar. – Za późno na popołudniowy spektakl, za wcześniej na wieczorne przedstawienie. W teatrze Duke of York grają *Londyn wzywa!*, ponoć to bardzo zabawne. Mogłybyśmy pójść, wróciłybyś późniejszym pociągiem.

Ursula przesunęła palcami po klawiszach amerykańskiej maszyny do pisania, stojącej na biurku pod oknem. – Moja praca – rzuciła Izzie tonem wyjaśnienia. – Może opiszę cię w przyszlotygodniowym felietonie?

– Naprawdę? A co napiszesz?

– Nie wiem, pewnie coś nazmyślam – odparła Izzie. – Tak robią pisarze. – Z szafki pod gramofonem wyjęła płytę i umieściła ją na obrotowym talerzu. – Posłuchaj tylko – powiedziała. – Jeszcze czegoś takiego nie słyszałaś.

Miała rację. Najpierw słychać było pianino, ale w niczym nie przypominało to Chopina czy

Liszta, których Sylvie grywała z takim wdziękiem (a Pamela w tak przyziemny sposób).

– Mówią na to chyba *honky tonk* – powiedziała Izzie. Z głośnika rozległ się śpiew kobiety: chropawy głos, amerykański akcent. Brzmiała jak ktoś, kto całe życie spędził w więziennej celi. – To Ida Cox – wyjaśniła Izzie. – Murzynka. Prawda, że jest nadzwyczajna?

Pełna zgoda.

– Śpiewa o tym, jak okropnie jest być kobietą – dodała Izzie, zapalając następnego papierosa i zaciągając się głęboko. – Gdybyż tylko można było znaleźć jakiegoś obrzydliwie bogatego kandydata na męża. „Duży dochód to najlepsza recepta na szczęście, o jakiej słyszałam”² – wiesz, kto to powiedział? Nie? A powinnaś. – Niespodziewanie sprawiała wrażenie poirytowanej, jak niecałkowicie udomowione zwierzę. Zadzwoił telefon i Izzie rzuciła: – Uratowana przez dzwonek – po czym wdała się w bardzo ożywioną rozmowę z niewidocznym i niesłyszalnym rozmówcą, którą zakończyła słowami: – Byłoby wybornie, kochanie. Widzimy się za pół godziny. – A zwracając się do Ursuli, rzekła: – Zaproponowałabym, że cię odwiezę, ale wybieram się do hotelu Claridge’s, a to tak *daleko* od Marylebone. Później jestem jeszcze zaproszona na przyjęcie przy Lowndes Square, więc naprawdę nie sposób, żebym cię odprowadziła na stację. Możesz chyba raz pojechać metrem do Marylebone, co? Wiesz jak, prawda? Pociągiem linii Piccadilly do Piccadilly Circus, tam przesiądziesz się w pociąg linii Bakerloo w kierunku Marylebone. No chodź, wyjdziemy razem.

Gdy znalazły się na ulicy, Izzie odetchnęła głęboko, jakby zdjęto jej z barków niechciany ciężar. – Ach, już zmierzcha – powiedziała. – Fioletowa godzina. Coś pięknego, prawda? – Ucałowała Ursulę w policzek i dodała: – Cudownie było się spotkać, musimy to kiedyś powtórzyć. Dasz sobie radę sama? *Tout droit* Sloane Street, potem skręcisz w lewo i ani się obejrzysz będziesz na stacji metra Knightsbridge. No to pa, pa.

– *Amor fati* – rzekł doktor Kellet. – Słyszałaś o czymś takim? – Zabrzmiało to zupełnie jak: *a more fatty*, „trochę tłustszy”. Ursula bardzo się zdziwiła, ponieważ zarówno ona sama, jak i doktor Kellet byli raczej szczupli. Nietzsche („filozof”), wyjaśnił jej lekarz, był wprost zafascynowany tą koncepcją. – Chodzi o akceptację wszystkiego, co nas spotyka, bez wartościowania, czy jest to złe, czy dobre.

– *Werde, der du bist*, mawiał – ciągnął doktor Kellet, wysypując popiół z fajki do pustego paleniska, skąd, jak przypuszczała Ursula, ktoś inny miał go później uprzętnąć. – Czy wiesz, co to znaczy? – Ursula zastanowiła się, z iloma dziesięcioletnimi dziewczynkami miał wcześniej do czynienia doktor Kellet. – To znaczy: „stań się, kim jesteś” – wyjaśnił, ponownie napełniając fajkę tytoniem. (Był przed niebytem, domyśliła się Ursula). – Nietzsche zapożyczył to od Pindara. Pindar mówił: γένου’ οἷος ἔσσι μαθών. Znasz grekę? – O co mu znowu chodziło? – To znaczy: „stań się, kim jesteś, poznawszy to wprzód”.

Zamiast „Pindar” Ursula usłyszała „Pinner”. Tak nazywała się dzielnica Londynu, dokąd na starość przeniosła się dawna niania Hugh, zamieszkawszy wraz z siostrą w lokalu nad sklepem w bardzo starym budynku tuż przy głównej ulicy. Pewnego niedzielnego popołudnia Hugh zawiózł tam Ursulę i Teddy’ego swoim pięknym bentleyem. Niania Mills była dość przerażająca (choć najwyraźniej nie dla Hugh). Mnóstwo czasu poświęciła na odpytywanie Ursuli z etykiety i szukanie brudu za uszami Teddy’ego. Jej siostra była znacznie miłsza – podsuwała im szklaneczki nalewki z czarnego bzu oraz kromki mlecznej bułki z galaretką z jeżyn. – Co słyhać u Isobel? – spytała niania Mills, ściągając wargi tak, że przypominały suszoną śliwkę. – Izzie to Izzie – odparł na to Hugh, co powtarzane odpowiednio szybko, jak odkrył później Teddy, przypominało brzęczenie roju os. Wyglądało na to, że Izzie stała się sobą już bardzo dawno temu.

– Miło spędziłaś czas z Izzie? – zapytał Hugh, odbierając ją ze stacji. W wyglądzie Hugh, w jego szarym kapeluszu i długim, granatowym wełnianym płaszczu było coś, co dodawało Ursuli otuchy. Przyjrzał się jej uważnie, szukając jakichś widocznych zmian. Ursula pomyślała, że lepiej będzie nie przyznawać się ojcu do samodzielnej podróży metrem. Okazało się to przerażającym doświadczeniem, porównywalnym do spędzenia samotnej nocy w lesie, z którego wyszła wszakże bez szwanku, jak na bohaterkę powieści przystało. Wzruszyła więc tylko ramionami. – Poszliśmy na lunch do Simpsona.

– Hm – mruknął Hugh, jakby usiłował znaleźć w tym jakieś drugie dno.

- A potem słuchałyśmy śpiewającej Murzynki.
- U Simpsona? – zdziwił się Hugh.
- Z płyty u Izzie.

W odpowiedzi usłyszała ponowne chrząknięcie. Hugh otworzył drzwiczki auta i Ursula umościła się wygodnie na ślicznej skórzanej tapicerce bentleya, której dotyk był niemal równie kojący jak sam Hugh. Sylvie uważała ten samochód za ekstrawagancję, która ich „zrukuje”. I rzeczywiście, cena auta zapierała dech w piersiach. Wojna sprawiła, że Sylvie stała się skąpa: kawałki mydła były starannie zbierane, a następnie gotowane, gdy przychodziła pora prania, prześcieradła rozcinane i na powrót zszywane w taki sposób, żeby przetarcia znalazły się na krawędziach, a kapełusze odświeżane. – Gdyby to od niej zależało, jedlibyśmy tylko jajka i kurczaki – śmiał się Hugh. On sam dla odmiany stał się po wojnie jakby mniej rozważny, co – jak uznała Sylvie – „nie było chyba najlepszą cechą, jaką mógłby się poszczycić bankier”. – *Carpe diem* – odpowiedział Hugh, na co Sylvie mruknęła: – Wcześniej cię takim nie znałam.

- Izzie też ma auto – odezwała się Ursula.
- Naprawdę? Jestem pewien, że daleko mu do tej oto bestii. – Hugh poklepał czule deskę rozdzielczą bentleya. A gdy ujechali już kawałek od stacji, dodał cicho: – Nie można jej ufać.
- Komu? (Matce? Bestii, czyli autu?).
- Izzie.
- Tak, chyba masz rację – przyznała Ursula.
- Jak się zachowywała?
- Och, wiesz, jaka ona jest. Niepoprawna. Izzie to Izzie.

Po powrocie do domu zastali Teddy’ego i Jimmy’ego grających grzecznie w domino na stole w pokoju dziennym, Pamela zaś udała się do sąsiadów odwiedzić Gertie Shawcross. Winnie była nieco starsza od Pameli, a Gertie nieco młodsza, i Pamela dzieliła swój czas sprawiedliwie pomiędzy obydwie, choć rzadko widywała się z nimi jednocześnie. Ursula, bez reszty oddana Millie, uważała ten układ za co najmniej dziwny. Teddy uwielbiał wszystkie Shawcrossówny, lecz swoje serce złożył w drobnych dłoniach Nancy.

Po Sylvie nigdzie nie było śladu. – Nie wiem, dokąd poszła – odparła dość obojętnie Bridget, indagowana na tę okoliczność przez zaskoczonego Hugh.

Pani Glover zostawiła im na piecu jeszcze ciepłą i raczej niewyszukaną potrawkę z baraniny. Gospodyni nie mieszkała już z nimi w Fox Corner. Wynajmowała teraz domek we wsi, żeby móc zajmować się zarówno George’em, jak i nimi. George prawie nie wychodził z domu. Bridget mówiła o nim „nieborak” i trudno było się z nią nie zgodzić. Przy dobrej pogodzie (a także przy trochę gorszej) przesiadywał przed domem na dużym, brzydkim wózku inwalidzkim i patrzył, jak życie toczy się swoim torem. Jego piękna głowa („Miał kiedyś grzywę jak lew” – zauważyła ze smutkiem Sylvie) zwisała mu na piersi, a z ust sączyła się strużka śliny. – Biedaczysko – stwierdził Hugh. – Lepiej by mu było zginąć.

Czasami w ciągu dnia któreś z nich zabierało się wraz z Sylvie – albo ze znacznie mniej chętną Bridget – żeby odwiedzić George’a. Wydawało się dziwne, że podczas gdy oni idą do niego, jego matka zostaje u nich, żeby ich obsługiwać. Sylvie zawsze otulała mu kocem nogi, podawała kufel piwa, a na koniec ocierała usta tak, jak to robiła Jimmy’emu.

W okolicy byli też inni weterani, wyróżniający się z powodu swego utykania lub brakujących kończyn. Wszystkie te bezpańskie ręce i nogi, rozsiane po polach Flandrii – Ursula wyobrażała sobie, jak zapuszczają w błocie korzenie, po czym wystrzelują w niebo i wyrastają z nich całkiem nowi ludzie. Armia mścicieli szukających odwetu. („Ursula ma chorobliwą wyobraźnię” – podsłuchiwała raz Sylvie mówiącą do Hugh. Ursula osiągnęła ostatnio prawdziwe mistrzostwo w podsłuchiowaniu; był to jedyny sposób, aby dowiedzieć się, co inni naprawdę myślą. Nie zdążyła jednak usłyszeć odpowiedzi ojca, gdyż Bridget wtargnęła do pokoju wściekła na kotkę – Hattie, jedną z kociąt Queenie; charakter odziedziczyła po matce – która porwała z kuchni przeznaczonego na lunch gotowanego łososia).

Byli też tacy, którzy, jak pacjenci w poczekalni doktora Kelleta, doznali ran niewidocznych gołym okiem. Jak choćby były żołnierz Charles Chorley z ich wioski, który służył w królewskim

pułku Wschodniego Kentu i przeżył wojnę bez jednego draśnięcia, aż pewnego dnia wiosną 1921 roku zadźgał nożem żonę i trójkę dzieci, gdy ci spali smacznie we własnych łózkach, a następnie strzelił sobie w głowę z mauzera, odebranego jakiemuś Niemcowi, którego zabił pod Bapaume. („Potworna jatka – poinformował ich doktor Fellowes. – Tacy jak on powinni choć raz pomyśleć o nieszczęśnikach, którzy później muszą po nich sprzątać”).

Bridget, rzecz jasna, miała swój własny „krzyż do dźwigania”, straciła bowiem swojego Clarence’a. Podobnie jak Izzie pogodziła się ze swym staropanieństwem, choć o wiele poważniej do tego podchodziła. Cała rodzina wzięła udział w pogrzebie Clarence’a, nie wyłączając Hugh. Pani Dodds zachowywała swoją zwykłą powściągliwość i wzdrygnęła się, gdy Sylvie współczująco oparła dłoń na jej ramieniu. Ale gdy odchodzili ciężkim krokiem od zięjącej w ziemi dziury (*to* już nie było dzieło sztuki, absolutnie nie), pani Dodds powiedziała do Ursuli: – Jakaś jego część umarła już w czasie wojny. Teraz tylko dołącza do tego reszta. – Po czym dotknęła palcem kącika oka, aby obetrzeć ślad wilgoci – nazwanie tego łzą byłoby zdecydowaną przesadą. Ursula nie wiedziała, dlaczego akurat ją wybrano na powierniczkę tego rodzaju zwierzeń, może po prostu była najbliższej. Nikt nie oczekiwał od niej jakiegokolwiek reakcji, więc nie zareagowała.

– Można powiedzieć, że to ironia losu – orzekła Sylvie. – Clarence przeżył wojnę tylko po to, żeby umrzeć z powodu choroby. („Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby to któreś z was zaraziło się wtedy grypą” – powtarzała często).

Ursula i Pamela długo debatowały nad tym, czy Clarence został pochowany z maską na twarzy, czy bez niej (a jeśli bez niej, to gdzie się podziewała?). Nie sądziły, aby było to coś, o co można by spytać Bridget. Bridget stwierdziła gorzko, że stara pani Dodds nareszcie ma syna tylko dla siebie i już żadna inna kobieta mu jej nie odbierze. („Dosyć mocne słowa” – mruknął Hugh). Podobnie Clarence’a – odbitka fotografii, którą zrobił dla matki, zanim jeszcze poznał Bridget i wyruszył na front na spotkanie z przeznaczeniem – dołączyła do zdjęcia Sama Wellingtona w ogrodowej szopie. – Niekończące się zastępy zmarłych – powiedziała gniewnie Sylvie. – Wszyscy chcą o nich zapomnieć.

– Ja na pewno – przyznał Hugh.

Sylvie wróciła w sam raz na szarlotkę pani Glover. Z ich własnych jabłek – niewielki sad, posadzony przez Sylvie pod koniec wojny, zaczynał rodzić owoce. Gdy Hugh spytał ją, gdzie była, wspomniała coś niejasno o wizycie w Gerrards Cross. Zasiadła do stołu w jadalni, mówiąc: – Właściwie to nie jestem głodna.

Hugh przechwycił jej spojrzenie i wskazując ruchem głowy Ursulę, rzucił: – Izzie. – Przepiękny przykład skrótovej komunikacji.

Ursula spodziewała się drobiazgowego śledztwa, lecz Sylvie powiedziała tylko: – Wielkie nieba, całkiem zapomniałam, że byłaś w Londynie. Cieszę się, że wróciłaś w jednym kawałku.

– Nieskalana – odparła radośnie Ursula. – Nie wiesz przypadkiem, kto to powiedział: „Duży dochód to najlepsza recepta na szczęście, o jakiej słyszałam”? – Wiedza Sylvie, tak jak Izzie, była niekompletna, acz wszechstronna; „Widomy znak, że czerpie się ją z powieści, a nie zdobywa dzięki starannej edukacji” – mawiała Sylvie.

– Jane Austen – odparła natychmiast. – To z *Mansfield Park*. W powieści autorka wkłada te słowa w usta Mary Crawford, której postać, rzecz jasna, ma w najwyższej pogardzie, choć osobiście sądzę, że w istocie droga ciocia Jane sama głęboko w to wierzyła. A dlaczego pytasz?

Ursula wzruszyła ramionami: – Bez powodu.

– „Nim przyjechałam do Mansfield, nie wyobrażałam sobie, by prowincjonalny pleban mógł aspirować do posiadania krzewów ogrodowych czy czegoś podobnego”. Wspaniała rzecz. Kiedyś sądziłam, że słowo „pleban” odnosi się raczej do pewnych cech charakteru.

– My też mamy krzewy w ogrodzie – zauważył Hugh, lecz Sylvie zignorowała go i zwracając się do Ursuli, ciągnęła: – Naprawdę, powinnaś poczytać Jane Austen. Na pewno jesteś już w odpowiednim wieku. – Sylvie robiła wrażenie wyjątkowo radosnej, co w dziwny sposób kontrastowało z baraniną, która wciąż tkwiła na stole w nieciekawym, brązowym garnku; na powierzchni sosu zdążyły się potworzyć białawe oka tłuszczu. – Doprawdy – rzuciła ostro Sylvie; jej nastrój zmieniał się jak pogoda. – Wszyscy obniżają standardy, nawet nasza własna służba. – Hugh uniósł

brwi i zanim Sylvie zdążyła wezwać Bridget, wstał od stołu i sam odniósł garnek z potrawką do kuchni. Ich mała posługaczka Marjorie nie była już taka mała i niedawno się ulotniła, pozostawiając Bridget i pani Glover cały ciężar prowadzenia gospodarstwa. („Nie można powiedzieć, żebyśmy byli choć trochę wymagający – zachnęła się gniewnie Sylvie, gdy Bridget nieśmiało wspomniała, że od końca wojny nie dostała podwyżki. – Ta dziewczyna powinna być nam wdzięczna”).

Gdy tamtego wieczoru leżały już w łózkach – Ursula i Pamela dzieliły wciąż tę samą ciasną sypialnię na poddaszu („Jak więźniowie w jednej celi” – podsumował Teddy) – Pamela zapytała: – Dlaczego ona mnie nigdy nie zaprasza? Razem z tobą albo nawet zamiast ciebie? – Pytanie to, jak przystało na Pamelę, zostało zadane z autentyczną ciekawością, broń Boże złośliwie.

– Uważa, że jestem interesująca.

Pamela roześmiała się i odparła: – Zupa z pęczakiem pani Glover też jest dla niej *interesująca*.

– Wiem. Dlatego wcale mi to nie pochlebia.

– Pewnie chodzi o to, że jesteś taka ładna i bystra – stwierdziła Pamela. – A ja jestem tylko bystra.

– To nieprawda i dobrze o tym wiesz – odparła Ursula, żarliwie broniąc siostry.

– W ogóle mi to nie przeszkadza.

– Powiedziała, że opisze mnie w przyszłotygodniowym felietonie, ale pewnie tego nie zrobi.

Zdając Pameli raport ze swoich londyńskich przygód, Ursula pominęła pewną scenę, jakiej była świadkiem, niezauważoną przez Izzie, która była akurat pochłonięta zawracaniem auta na środku drogi przed pubem, gdzie wcześniej zaparkowała. Z hotelu Savoy wyszła kobieta w futrze z nerek, wsparta na ramieniu bardzo eleganckiego mężczyzny. Kobieta śmiała się beztrosko z czegoś, co właśnie powiedział jej towarzysz, lecz zaraz puściła jego rękę, żeby poszukać czegoś w torbie, po czym wrzuciła garść monet do miski siedzącego na chodniku weterana. Mężczyzna ten nie miał obu nóg i przycupnął na czymś w rodzaju skleconego naprędce drewnianego wózka. Ursula widziała już innego beznogiego mężczyznę na podobnym urządzeniu przed stacją Marylebone. Potem im bardziej rozglądała się po ulicach Londynu, tym więcej takich inwalidów zauważała.

Hotelowy odźwierny wyskoczył z Savoy Court i ruszył w stronę beznogiego mężczyzny, ten jednak prędko odjechał, odpychając się od chodnika rękoma tak jak wiosłami. Kobieta, która dała mu pieniądze, zaczęła robić wymówki odźwiernemu – Ursula wyraźnie widziała rysy jej pięknej, teraz zniecierpliwionej twarzy – lecz już po chwili jej elegancki towarzysz ujął ją delikatnie za łokieć i poprowadził w górę Strandu. To, co było tak niezwykle w tej scenie, to nie jej treść, lecz główne postacie dramatu. Ursula nigdy wcześniej nie widziała tego eleganckiego mężczyzny, lecz wzburzoną kobietą była – z całą pewnością – Sylvie. Nawet gdyby jej nie rozpoznała, poznałaby futro z nerek, podarowane Sylvie przez Hugh na dziesiątą rocznicę ich ślubu. Nie ulegało wątpliwości, że matka znajdowała się kawał drogi od Gerrards Cross.

– I co ty na to? – odezwała się Izzie, gdy samochód został wreszcie skierowany we właściwą stronę. – Bardzo skomplikowany manewr, prawda?

*

Gdy nadszedł kolejny tydzień, okazało się, że Ursula rzeczywiście nie figuruje w felietonie Izzie, nawet jako fikcyjna postać. Zamiast o niej autorka rozpisывała się o wolności, jaką może dać samotnej kobiecie posiadanie „małego auta”. „Radość, jaką można czerpać z jazdy przed siebie, nie może się równać z krępującą podróżą brudnym omnibusem czy koniecznością salwowania się ucieczką przed nieznanym w jakiejś ciemnej uliczce. Siedząc za kierownicą sunbeama, nie trzeba nerwowo oglądać się za siebie”.

– Ależ to ponure – zauważyła Pamela. – Myślisz, że faktycznie musiała uciekać na ulicy przed jakimś natrętem?

– Przypuszczam, że całe mnóstwo razy.

Ursula nie doczekała się ponownego zaproszenia, żeby odgrywać rolę „najlepszej przyjaciółki” Izzie. W rzeczy samej żadne z nich nie miało od niej wiadomości, dopóki nie zjawiała się w ich domu w Wigilię (zaproszona, lecz nie oczekiwana) i nie oznajmiła, że „ma pewne kłopoty”.

Natychmiast też zamknęła się z Hugh w jego „pustelni”, skąd wyłoniła się godzinę później z niemal skruszoną miną. Nie przywiozła ze sobą żadnych prezentów i paliła papierosy przez cały czas trwania świątecznego obiadu, bez przekonania gmerając widelcem w zawartości swojego talerza. – Roczny dochód dwadzieścia funtów – powiedział Hugh, gdy Bridget postawiła na stole nasączony brandy bożonarodzeniowy pudding – przy rocznych wydatkach dwudziestu funtów i sześciu pensów to murowana bieda.

– Och, zamknij się – warknęła Izzie i gwałtownie wstała od stołu, zanim Teddy zdążył przyłożyć zapalnik do puddingu.

– Dickens – wyjaśniła Ursuli Sylvie.

– *J'étais un peu dérangée* – wyznała nazajutrz Ursuli Izzie z pewną skruchą, żeby wyjaśnić swoje wzburzenie. – Doprawdy, głupio postąpiłam – dodała. – Wpakowałam się w tarapaty.

W następnym roku sunbeam zniknął, a mieszkanie przy Basil Street zastąpiło bardziej sprzyjające zdrowemu stylowi życia lokum w Swiss Cottage (jeszcze nudniejsze *endroit*), niemniej jednak nikt nie miał wątpliwości, że Izzie pozostała wciąż tą samą Izzie.

Grudzień 1923

Jimmy był przeziębiony, więc Pamela zaofiarowała się, że z nim zostanie i wspólnie przygotowują dekoracje ze srebrnych kapsli z butelek po mleku. Ursula i Teddy zaś wyruszyli tymczasem polną drogą na poszukiwanie ostrokrzewu. Rosło go mnóstwo w zagajniku, położonym dość daleko, a ponieważ pogoda tego dnia była wprost parszywa, oboje chcieli jak najszybciej się z tym uwinąć. Pani Glover, Bridget oraz Sylvie przez całe popołudnie nie opuszczały kuchni, ogarnięte szaleem przedświątecznych przygotowań.

– Tylko nie przynóście gałązek bez jagód – przypomniła im jeszcze Pamela, gdy wychodzili z domu. – I nie zapomnijcie narwać trochę jemioli.

Wyruszyli więc zaopatrzeni w nożyce oraz parę skórzanych ogrodniczych rękawic Sylvie, wyciągnąwszy wnioski z bolesnych lekcji odebranych podczas poprzednich bożonarodzeniowych wypraw. Ponieważ ich dawny żywopłot z ostrokrzewu został po wojnie zastąpiony łatwiejszym w pielęgnacji ligustrem, Ursula i Teddy, pozbawieni dostępu do łatwej zdobyczy, już wcześniej upatrzyli sobie spory krzak rosnący na polu przy samym krańcu drogi. Cała ich okolica w ogóle stała się ostatnio mniej dzika, a bardziej podmiejska. Sylvie uważała, że wkrótce wioska tak się rozrośnie, iż zewsząd otoczą ich inne domy. – Przecież ludzie muszą gdzieś mieszkać – zauważył rozsądnie Hugh. – Byle nie tutaj – mruknęła Sylvie.

Wiał nieprzyjemny wiatr, zaczął deszcz i Ursula zdecydowanie wolałaby grzać się teraz przy kominku w pokoju dziennym i cieszyć się perspektywą świątecznych babeczek z bakaliami pani Glover, których zapach unosił się już w całym domu. Nawet Teddy, który zwykle w najgorszych sytuacjach potrafił dostrzec promyk nadziei, mozolnie maszerował obok niej z niepokieszoną miną, kuląc się na wietrze; mały, męzny rycerzyk w szarej dzierganej kominiarce. – Co za plucha – jęczał. I tylko Trixie cieszyła się ze spaceru, myszkując po żywopłotach i co raz znikając w jakimś rowie, jakby otrzymała zadanie odnalezienia ukrytego skarbu. Była psem hałaśliwym i często szczekała z sobie tylko znanych powodów, gdy więc wyprzedziwszy ich znacznie, zanosła się na poboczu drogi gwałtownym ujadaniem, nie zwrócili na to większej uwagi.

Zanim się z nią zrównali, zdążyła już ucichnąć i stała nieruchomo, wystawiając zdobycz. – Pewnie jakieś zdechłe zwierzę – domyślił się Teddy. Trixie miała szczególny talent do wynajdywania rozkładających się martwych ptaków i wysuszonej zwierzęcej padliny. – Szczer albo nornica – dodał. Lecz zaraz z jego ust wyrwało się wymowne: – Och! – gdy odkrył prawdziwą naturę znalezionej w rowie.

– Ja tu zaczekam – powiedziała Ursula – a ty biegnij z powrotem do domu i sprowadź kogoś. – Ale już po chwili, widząc drobną figurkę, oddalającą się opustoszałą drogą i znikającą w szybko zapadającym, zimowym zmroku, zawołała, żeby na nią zaczekał. Kto wie, jakie niebezpieczeństwa tam czyhały? Na Teddy'ego, na nich wszystkich.

Nikt nie wiedział, co w Boże Narodzenie zrobić z ciałem i ostatecznie postanowiono złożyć je w lodowni w Ettringham Hall, dopóki nie miną święta.

Doktor Fellowes, który zjawił się wraz z posterunkowym, orzekł, iż dziecko nie zmarło z przyczyn naturalnych. Dziewczynka, ośmio- lub dziewięcioletnia; zdążyły jej już wyrosnąć stałe zęby, chociaż morderca wybił je, zanim umarła. Nikt nie zgłosił policji żadnego zaginięcia, a już na pewno nie w tej okolicy. Podejrzewano, że ofiara mogła być Cyganką, choć Ursuli zawsze się wydawało, że Cyganie raczej *kradną* dzieci, niż je porzucają.

Dopiero przed Nowym Rokiem lady Daunt niechętnie i z ociąganiem zgodziła się wydać dziewczynkę odpowiednim władzom. Gdy zabierano ją z lodowni, okazało się, że ktoś ustroił ją jak relikwię: na zwłokach spoczywały kwiaty i drobne ozdoby, ciało zostało obmyte, a włosy uczesane i przyozdobione wstążką. Poza trzema synami, którzy zginęli na Wielkiej Wojnie, państwo Daunt

stracili też niegdyś córeczkę, zmarłą we wczesnym dzieciństwie. Opieka nad martwą dziewczynką sprawiła, że w lady Daunt na nowo ożyły bolesne wspomnienia i na pewien czas straciła zmysły. Pragnęła pochować małą na terenie posiadłości, lecz pomysł ów spotkał się natychmiast z szemranem niezadowolonych mieszkańców wioski, którzy nalegali, aby spoczęła na ich cmentarzu. – A nie zakopana nie wiadomo gdzie, jak jakaś maskotka lady Daunt – powiedział ktoś. Doprawdy, dziwna maskotka, pomyślała Ursula.

Nigdy nie ustalono, kim była ofiara ani kto ją zabił. Policja przesłuchiwała wszystkich w okolicy. Pewnego wieczoru zawitała też do Fox Corner i Pamela z Ursulą niemal przewiesiły się przez barierkę schodów, żeby podsłuchać, o czym rozmawiają dorośli. Tym sposobem dowiedziały się, że nikt z mieszkańców ich wioski nie jest podejrzany i że z dziewczynką wyczyniano „okropne rzeczy”.

Koniec końców pochowano ją ostatniego dnia roku, najpierw jednak została ochrzczona, panna bowiem powszechna zgoda co do tego, że choć zbrodnia miała najwyraźniej już na zawsze pozostać zagadką, jej ofiara nie powinna spocząć w bezimiennym grobie. Nie wiadomo, kto wpadł na pomysł nazwania jej Angelą, ale wszyscy uznali, że to odpowiedni wybór. W pogrzebie uczestniczyła niemal cała wioska i wielu oplakiwało małą Angelę bardziej serdecznie niż kiedykolwiek swoich własnych krewnych. Ogólnie dominowało raczej uczucie smutku niż lęku i Pamela z Ursulą często się zastanawiały, dlaczego właściwie wszyscy zostali uznani za niewinnych.

Lady Daunt nie była jedyną osobą, którą szczególnie głęboko dotknęło to morderstwo. Sylvie wyjątkowo wzburzyło, z tym że ona zareagowała raczej gniewem niż smutkiem. – Nie chodzi o to – żołądkowała się – że ktoś ją zabił, choć Bóg wie, że już to samo jest potworne, ale o to, że *nikomu jej nie brak*.

Przez wiele kolejnych tygodni Teddy miał koszmary i w środku nocy wślizgiwał się do łóżka Ursuli. Już zawsze mieli być tymi, którzy ją znaleźli, tymi, którzy jako pierwsi ujrzeli jej bosą stópkę, bez trzewika i skarpetki, poranioną i brudną, sterczącą spośród suchych gałęzi wiązu, podczas gdy jej ciało spowijał zimny całun liści.

11 lutego 1926

– Moja szesnastolatka – powiedział Hugh, całując ją czule. – Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, niedźwiadku. Masz przed sobą całą przyszłość. – Ursula wciąż nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jakąś część przyszłości ma też za sobą, ale dawno już nauczyła się nie mówić o tym głośno. Zamierzali wybrać się wszyscy do Londynu na popołudniową herbatę w hotelu Berkeley (wypadała właśnie połowa szkolnego semestru), ale Pamela zwichnęła niedawno nogę w kostce podczas meczu hokeja, a Sylvie dochodziła do siebie po zapaleniu opłucnej, w związku czym zmuszona była spędzić noc w wiejskiej izbie chorych („Wygląda na to, że mam płuca swojej matki” – ta niewinna uwaga wzbudzała u Teddy’ego wesołość za każdym razem, gdy ją sobie przypomniął). Jimmy z kolei dopiero co przeszedł anginę, na którą często zapadał. – Padają kolejno jak muchy – zauważyła pani Glover, kręcąc na ciasto masło z cukrem. – Ciekawe, kto będzie następny?

– Czy to w ogóle trzeba jeździć aż do hotelu, żeby się napić herbaty? – dziwiła się Bridget. – Jakby tutejszej czegoś brakowało.

– Jest nawet *lepsza!* – podkreśliła pani Glover, choć oczywiście ani ona, ani Bridget nie zostały zaproszone do Berkeley. Bridget nie była zresztą nigdy w londyńskim hotelu ani w ogóle w żadnym hotelu, jeśli chodzi o ścisłość, może z wyjątkiem hotelu Shelbourne, którego hol miała okazję podziwiać w Dublinie przed wejściem w dzielnicę Dún Laoghaire na pokład promu płynącego do Anglii, „całe wieki temu”. Pani Glover natomiast deklarowała, że „dobrze jest jej znany” hotel Midland w Manchesterze, do którego jeden z jej siostrzeńców (a najwyraźniej miała ich na pęczki) „przy więcej niż jednej okazji” zapraszał ją wraz z siostrą na kolację.

Tak się złożyło, że Maurice przyjechał ze szkoły na weekend, choć oczywiście zapomniał o urodzinach Ursuli („O ile w ogóle o nich pamiętał” – zauważyła Pamela). Był obecnie na ostatnim roku w Balliol, gdzie studiował prawo, w związku z czym stał się według Pameli „jeszcze większym zarozumiałcem niż zwykle”. Jego rodzice również nie byli nim szczególnie zachwyceni. Ursula podsłuchiwała raz, jak Hugh pytał żartem Sylvie: – Ale to na pewno *mój* syn, prawda? Nie spłatałaś mi czasem jakiegoś figła w Deauville z tym koszmarnym nudziarzem z Halifaxu, tym od młyna?

– Masz zadziwiająco dobrą pamięć – śmiała się Sylvie.

Pamela znalazła wśród swych rozlicznych zajęć czas, żeby zrobić dla siostry śliczną okolicznościową kartkę, wyklejankę z kwiatów wyciętych z czasopism Bridget, a także upiec swoje słynne (przynajmniej wśród mieszkańców Fox Corner) herbatniki „murzynki”. Pamela przygotowywała się do egzaminów wstępnych w Girton College. – Wyobrażcie to sobie – mówiła z roziskrzonym wzrokiem – będę studentką w Girton. – Podczas gdy ona miała już wkrótce ukończyć szkołę średnią, do której obie chodziły, Ursula rozpoczynała tam właśnie ostatnie dwa lata nauki. Była dobra z języków klasycznych. Według Sylvie studiowanie łaciny i greki było pozbawione najmniejszego sensu (sama nigdy się ich nie uczyła i najwyraźniej zdawała się odczuwać ich brak). Ursulę dla odmiany pociągały słowa, będące obecnie jedynie szeptem nekropolii dawnych imperiów. („Jeżeli chodzi ci o to, że te języki są «martwe», to mów: «martwe»” – irytowała się pani Glover).

Millie Shawcross również została zaproszona na podwieczorek i zjawiała się przed czasem, jak zwykle w świetnym humorze. Podarowała Ursuli komplet ślicznych atlasowych wstążek, które kupiła za własne pieniądze w pasmanterii w mieście. („Teraz już nigdy nie będziesz mogła obciąć włosów” – rzekł Hugh z pewną satysfakcją, zwracając się do Ursuli).

Maurice przywiózł ze sobą na weekend dwóch kolegów, Gilberta oraz Amerykanina Howarda („Mówcie mi «Howie», jak wszyscy”). Goście mieli dzielić łóżko w pokoju gościnnym i fakt ten wyraźnie nie dawał Sylvie spokoju. – Możecie spać „na waleta” – zaproponowała żywo. – Albo jeden z was może nocować na polówce razem z Wielką Zachodnią Koleją Żelazną. – Chodziło, rzecz

jasna, o elektryczną kolejkę Teddy'ego, która zajmowała na poddaszu niemal cały dawny pokój pani Glover. Jimmy'emu także pozwalano się nią bawić. – To twój kumpel, co? – zagadnął Teddy'ego Howie, mierzwiąc Jimmy'emu włosy tak energicznie, że mały aż stracił równowagę. To, że Howie był Amerykaninem, przydawało mu pewnego rodzaju atrakcyjności, chociaż to Gilbert miał ów egzotyczny, rozmarzony wygląd gwiazdy filmowej. Jego nazwisko – Gilbert Armstrong – ojciec (sędzia Sądu Najwyższego) oraz wykształcenie (Stowe) wskazywały na czysto angielskie pochodzenie, tymczasem jego matka wywodziła się ze starej hiszpańskiej arystokracji („Cyganie, i tyle” – podsumowała pani Glover, jako że zaliczała do tej grupy z grubsza wszystkich cudzoziemców).

– Ojej – szepnęła Millie do Ursuli – bogowie zstąpili między nas. – Mówiąc to, skrzyżowała dłonie na sercu i zamachała nimi jak skrzydłami. – Chyba nie masz na myśli Maurice'a? – zauważyła kwaśno Ursula. – Z miejsca wyrzuciliby go z Olimpu, bo działałby innym na nerwy.

– Zarozumiałość bogów – westchnęła Millie – cóż za wspaniały tytuł powieści. – Nie trzeba dodawać, że Millie pragnęła zostać pisarką. Lub malarką, ewentualnie pieśniarką, tancerką albo aktorką. Byle tylko być w centrum zainteresowania.

– O czym tak paplacie, dziewczynki? – chciał wiedzieć Maurice. Był bardzo wrażliwy na krytykę, niektórzy powiedzieliby nawet, że przewrażliwiony.

– O tobie – odparła Ursula. Maurice podobał się dziewczętom, co nie przestawało zdumiewać kobiet z jego własnej rodziny. Miał jasne włosy, wyglądające, jakby je ondulował, i mocno zbudowane ciało wioślarza; nie można było wszakże nie zauważyć, iż był zupełnie pozbawiony uroku. Gilbert natomiast składał właśnie pocałunek na dłoni Sylvie („Och – jęknęła Millie – czy może być *jeszcze* lepiej?”). Maurice przedstawił ją jako swoją „*mater* staruszkę”, na co Gilbert od-rzekł: – Jest pani zdecydowanie za młoda, aby być czyjąkolwiek matką.

– Wiem – odparła Sylvie.

(„Podejrzany typ” – brzmiał wyrok Hugh. „Uwodziciel” – stwierdziła pani Glover).

Trzej młodzi mężczyźni do tego stopnia wypełnili Fox Corner swoją obecnością, że dom nagle jakby się skurczył i zarówno Hugh, jak i Sylvie poczuli ulgę, słysząc propozycję Maurice'a, który chciał „pokazać gościom okolicę”. – Świetny pomysł – powiedziała zaraz Sylvie. – Wyładujecie choć trochę ten nadmiar energii. – Cała trójka wybiegła więc do ogrodu na wzór olimpijczyków (sportowców, nie bogów), po czym bezceremonialnie zaczęli kopać piłkę, którą Maurice znalazł w szafie w holu. („Tak się składa, że to moja piłka” – zauważył Teddy, nie zwracając się do nikogo konkretnego). – Zadepczą nam trawnik – mruknął Hugh, przypatrując się grającym, którzy wyjąc jak chuligani, ryli trawę zabłoconymi półbutami.

– Och! – wykrzyknęła Izzie, gdy po swoim przyjeździe dostrzegła przez okno owo atletyczne trio. – Oni są doprawdy cudni! Mogę sobie jednego wziąć?

Izzie, od stóp do głów otulona futrem z lisa, oznajmiła: – Przywiozłam podarki – całkiem zbędna informacja, zważywszy na to, że była obładowana paczkami o różnych kształtach, zawiniętymi w drogi papier, „dla ulubionej bratanicy”. Ursula zerknęła na Pamelę, wruszając żałośnie ramionami. Pamela przewróciła oczyma. Ursula nie widziała Izzie od miesięcy, od czasu ich przelotnej wizyty w Swiss Cottage, dokąd wybrali się samochodem wraz z Hugh, żeby podrzucić ciotce skrzynkę warzyw z obfitych późnojesiennych zbiorów w ogrodzie w Fox Corner. („Dyńka? – zdziwiła się Izzie, oglądając zawartość skrzynki. – I co ja niby mam z nią zrobić, na litość boską?”).

Wcześniej Izzie wpadła jeszcze do nich na długi weekend, lecz wtedy ignorowała w zasadzie wszystkich z wyjątkiem Teddy'ego, którego zabierała na długie spacerunki i zasypywała gradem pytań. – Wygląda na to, że teraz to jego oddzieliła od stada – szepnęła Pamela Ursula. – Tylko po co? – zdziwiła się Pamela. – Chce go pożreć?

Indagowany (szczegółowo przez Sylvie) Teddy okazał się równie jak one zaskoczony tymi szczególnymi względami. – Chciała wiedzieć, jak spędzam czas, jak mi idzie w szkole, jakie są moje zainteresowania, co lubię jeść, z kim się przyjaźnię, takie tam.

– Może zamierza go adoptować – zażartował Hugh. – Albo sprzedać. Jestem pewien, że dostałaby za Teda dobrą cenę. – Na co Sylvie zareagowała ostro: – Nie mów przy mnie takich rzeczy, nawet żartem. – Nie minęło wszakże wiele czasu i Izzie porzuciła Teddy'ego równie nagle, jak się nim zainteresowała, a cała sprawa szybko poszła w niepamięć.

Pierwszym rozpakowanym przez Ursulę prezentem było nagranie Bessie Smith, które Izzie natychmiast umieściła na talerzu gramofonu, gdzie zwykle królował Elgar czy ulubiony przez Hugh *Mikado*. – Blues z St Louis – objaśniła Izzie. – Posłuchajcie tylko tego kornetu! Ursula uwielbia tę muzykę. („Naprawdę? – zdziwił się Hugh. – Nie miałem o tym pojęcia”). W drugim zawiniątku kryło się piękne wydanie przekładu Dantego w okładce z czerwonej wytłaczanej skóry. Następnie oczom zebranych ukazała się atlasowa, ozdobiona koronką lizeska z domu towarowego Liberty – „Jak wam wiadomo, jest to sklep niezwykle ceniony przez waszą matkę” – którą Sylvie z miejsca uznała za „zupełnie nieodpowiednią dla dziewczynki w tym wieku” („Ursula sypia we flanelce”). Kolejnym podarunkiem okazał się flakonik perfum Shalimar („Nowy zapach Guerlaina, po prostu boski!”), który spotkał się z podobnym werdyktem ze strony Sylvie.

– I to mówi nastoletnia panna młoda – zakpiła Izzie.

– Miałam lat osiemnaście, a nie szesnaście – odrzekła Sylvie, zaciskając usta. – Musimy kiedyś porozmawiać o tym, co ty wyczyniałaś jako szesnastolatka, Isobel.

– A co takiego? – spytała żywo Pamela.

– *Il n'avait pas d'importance* – zbyła ją lekceważąco Izzie. Jako ostatnia z tego rogu obfitości wyłoniła się butelka szampana. („Na alkohol jest zdecydowanie za młoda!”).

– Najlepiej od razu wstaw ją do lodu – powiedziała Izzie, wręczając butelkę Bridget.

Zakłopotany Hugh wlepił wzrok w siostrę. – Na Boga, czyś ty to wszystko ukradła? – zapytał.

– O, murzyńska muzyka! – zawołał Howie, gdy trójka przyjaciół wróciła wreszcie z ogrodu. Tłoczyli się teraz w salonie, roztaczając wokół siebie zapach dymu z ogniska i czegoś jeszcze, co trudno byłoby zdefiniować („Aromat samca” – mruknęła Izzie, pociągając nosem). Bessie Smith bisowała już po raz trzeci i Hugh zauważył: – Po pewnym czasie człowiek zaczyna się nawet do tego przekonywać. – Howie wykonał do piosenki jakiś przedziwny, na poły barbarzyński taniec, po czym szepnął coś Gilbertowi na ucho. Tamten wybuchnął śmiechem – dość prostackim jak na kogoś, w czyich żyłach płynęła błękitna krew, choćby i hiszpańska – na co Sylvie klasnęła w dłonie i zapytała: – Chłopcy, macie ochotę na krewetki w sosie maślano-kukurydzianym? – po czym odprowadziła ich do jadalni, gdzie poniewczasie zauważyła brudne ślady, jakie pozostawili po sobie w całym domu.

– Nie byli na wojnie – rzekł Hugh, jakby to miało wyjaśnić powstanie plam błota.

– I całe szczęście – odrzekła twardo Sylvie. – Choćby nawet mieli być z tego powodu nie wiem jak niewydarzeni.

– A teraz – powiedziała Izzie, gdy tort został już pokrojony, a porcje rozdzielone – pora na jeszcze jeden, ostatni prezent...

– Na litość boską, Izzie – przerwał jej Hugh, nie mogąc dłużej powstrzymać irytacji. – Kto za to wszystko zapłacił? Przecież sama nie masz pieniędzy, siedzisz po uszy w długach. Obiecałaś mi, że nauczysz się oszczędzać.

– Hugh, *proszę* cię – wtrąciła Sylvie. Każda rozmowa na temat pieniędzy (nawet jeśli dotyczyła Izzie), tocząca się w obecności obcych ludzi, wprawiała ją w starannie skrywaną panikę. Nad jej sercem zawisła czarna chmura i wiedziała, że ma to związek z Tiffinem.

– *Ja* zapłaciłam – odparła z godnością Izzie. – I nie jest to wcale prezent dla Ursuli, przywiozłam go Teddy’emu.

– Mnie? – przestraszył się Teddy, znalazłszy się nagle w centrum zainteresowania.

Delektował się właśnie tortem, rozmyślając przy tym, jakie ma szanse na dokładkę, i z całą pewnością nie pragnął znaleźć się w świetle reflektorów.

– Właśnie dla ciebie, mój drogi chłopcze – rozpromieniła się Izzie. Teddy wyraźnie nie miał ochoty na bliższy kontakt ani z ciotką, ani z prezentem, który położyła przed nim na stole. – Śmiało – zachęciła go Izzie – rozpakuj. Przecież nie wybuchnie. (A jednak!).

Teddy ostrożnie odwinął kosztowny papier. Po rozpakowaniu podarunek okazał się dokładnie tym, na co wcześniej wyglądał, a mianowicie książką. Siedząca naprzeciwko brata Ursula usiłowała odcyfrować widziany do góry nogami tytuł: – *Przygody...*

– *Przygody Augustusa* – przeczytał na głos Teddy. – Spisane przez Delphie Fox. („Del-

phie?” – zdziwił się Hugh).

– Dlaczego dla ciebie wszystko musi być „przygodą”? – zwróciła się do Izzie poirytowana Sylvie.

– Ponieważ nasze życie jest przygodą, to chyba oczywiste.

– Powiedziałabym, że to raczej bieg na wytrzymałość – mruknęła Sylvie. – Albo z przeszkodami.

– Ależ moja droga – wtrącił Hugh, nagle zatroskany. – Chyba nie może być aż tak źle?

– Tak czy inaczej – podjęła Izzie – wróćmy do prezentu Teddy’ego.

Gruba tekturowa okładka była zielona, a litery i rysunki złożone. Tytułowa ilustracja przedstawiała chłopca mniej więcej w wieku Teddy’ego, w szkolnej czapce na głowie. W ręku trzymał procę, a obok niego biegł nieduży pies, brudnawy terier rasy west highland. Chłopiec był rozczochrany i miał obłęd w oczach. – To jest właśnie Augustus – zwróciła się Izzie do Teddy’ego. – I jak ci się podoba? Jesteś jego pierwowzorem.

– Ja? – spytał Teddy przerażony. – Przecież ja wcale tak nie wyglądam! Nawet psa mam innego.

Zdumiewająca rzecz. – Podrzucić kogoś do miasta? – zaproponowała Izzie od niechcienia.

– Chyba nie kupiłaś nowego auta? – jęknął Hugh.

– Zaparkowałam u wylotu podjazdu – odparła słodko Izzie – żeby cię nie denerwować. –

Wylegli więc wszyscy na podjazd, żeby obejrzeć jej nowy samochód; pochód zamykała Pamela, wciąż niezdarnie kuśtykająca o kulach. – Ubodzy, ułomni, niewidomi i chromi – rzuciła w kierunku Millie, która parsknęła śmiechem i zauważyła: – Jak na naukowca to całkiem dobrze znasz Biblię.

– Warto znać wroga – odparła Pamela.

Było zimno, lecz nikt z nich nie pomyślał, żeby narzucić płaszcz. – I tak jest całkiem ciepło jak na tę porę roku – stwierdziła Sylvie. – Nie to, co przy twoich narodzinach, Ursulo. Dobry Boże, nigdy później nie widziałam takiej śnieżycy.

– Wiem – odrzekła Ursula. Śnieżycy towarzysząca jej narodzinom zdążyła obrosnąć w ich rodzinie prawdziwą legendą. Ursula słyszała tę historię już tyle razy, że miała wręcz wrażenie, iż sama wszystko pamięta.

– To tylko austin – powiedziała Izzie. – Kabriolet, co prawda czterodrzwiowy, ale na Boga! jeśli chodzi o cenę, gdzie mu tam do *bentleya*! W porównaniu z *twoją* ekstrawagancją, Hugh, to właściwie auto mas pracujących.

– Domyślam się, że wzięłaś go na kredyt – mruknął Hugh.

– Skądże znowu, został już spłacony, i to *gotówką*. Mam teraz *wydawcę* i własne *pieniądze*, Hugh. Nie musisz się już o mnie martwić.

Podczas gdy wszyscy podziwiali (lub nie, jak w przypadku Hugh i Sylvie) lśniący, wiśniowy wehikuł, Millie rzekła: – Muszę już iść, mam jeszcze dziś wieczorem pokaz taneczny. Dziękuję bardzo za uroczy podwieczorek, pani Todd.

– Chodź, odprowadzę cię – zaproponowała Ursula.

W drodze powrotnej, przechodząc dobrze sobie znanym skrótem na krańcu ogrodu, Ursula przeżyła nieoczekiwaną przygodę – coś równie niezwykłego jak kabriolet Izzie – gdy niemal potknęła się o Howiego, który na czworakach przeszukiwał zarośla. – Zginęła nam piłka – wyjaśnił przepraszająco. – Należy do tego malca, twojego brata. Musiała chyba wpaść w... – Przysiadł na piętach i rozejrzał się bezradnie po rosnących wokół berberysach i budlejach. – W krzewy ogrodowe – podsunęła Ursula. – Aspirujemy do ich posiadania.

– Że co? – Howie poderwał się z ziemi jednym szybkim ruchem i stanął, górując nad nią wzrostem. Wyglądał na kogoś, kto uprawia boks, miał nawet siniec pod okiem. Fred Smith, który był kiedyś pomocnikiem rzeźnika, a teraz pracował na kolei, również był bokserem. Maurice zaprosił raz paru kumpli, żeby wspólnie kibicować Fredowi podczas amatorskiego meczu na East Endzie, który – jak wieść niesie – przerodził się potem w pijacką bijatykę. Howie pachniał olejkiem pimentowym – zapach Hugh – i było w nim coś gładkiego i nowego, co kojarzyło się Ursuli ze świeżo wybitą monetą.

– Znalazłeś ją? – spytała. – Tę piłkę? – W jej własnych uszach zabrzmiało to dziwnie piskli-

wie. Wcześniej sądziła, że to Gilbert jest z nich dwóch przystojniejszy, lecz znalazłszy się naraz twarzą w twarz z proporcjonalnie zbudowanym ciałem Howiego, emanującym czystą, nieskomplikowaną siłą na podobieństwo dużego zwierzęcia, poczuła się trochę głupio.

– Ile ty masz właściwie lat? – dopytywał chłopak.

– Szesnaście – odparła. – Dziś są moje urodziny. Przecież jadłeś tort. – Najwyraźniej nie tylko ona jedna nie grzeszyła tutaj mądrością.

– HUUU-iii – rzucił; niejednoznaczna reakcja (Ursula pomyślała, że zabrzmiało to jak jego imię), mająca chyba wyrażać najwyższe zdumienie, jakby osiągnięcie takiego wieku było nie lada wyczynem. – Cała drżysz – zauważył.

– Bo jest lodowato.

– Mogę cię rozgrzać – powiedział i w tej samej chwili – zdumiewająca rzecz – ujął ją za ramiona, przyciągnął do siebie i – zginając się niemal w pół – przycisnął swoje wielkie wargi do jej ust. „Pocałunek” byłby zbyt wyszukany słowem na to, co się wydarzyło. Howie naparł wielką siłą jak u wołu językiem na jej zęby, z werwą atakując tę ostatnią linię obrony. Ursula zaś stwierdziła zdumiona, że najwyraźniej oczekuje się od niej otwarcia ust i wpuszczenia go do środka. A przecież wtedy z pewnością by się zadusiła. Mimowolnie przyszła jej na myśl maszynka do mięsa pani Glover, przez którą gospodyni przepuszczała ozorki.

Zastanawiała się właśnie, co robić, a od zapachu olejku pimentowego i z braku powietrza na dobre zaczynało jej się kręcić w głowie, gdy nagle gdzieś całkiem blisko nich rozległo się wołanie Maurice’a: – Howie! Bo odjedziemy bez ciebie, stary! – Howie przestał wgryzać się w jej usta i nie zaszczyciwszy jej choćby słowem, wrzasnął: – Już leczę! – tak głośno, że aż zakłuło ją w uszach. Następnie puścił ją i pobiegł, trując zarośla, pozostawiając Ursulę całkiem bez tchu.

Jak w malignie wróciła do domu. Całe towarzystwo wciąż stało na podjeździe i choć wydawało jej się, że minęło wiele godzin, od jej odejścia musiało upłynąć zaledwie kilka minut, jak to się zwykle dzieje w najlepszych bajkach. W jadalni kotka Hattie ostrożnie wylizywała pozostałości urodzinowego tortu. Leżące na stole *Przygody Augustusa* nosiły ślady lukru. Serce Ursuli wciąż biło jak szalone na skutek wstrząsu, który wywołały zaloty Howiego. Pocałunek w dniu szesnastych urodzin, na dodatek tak nieoczekiwany, wydawał jej się sporym osiągnięciem. Nie ulegało wątpliwości, że właśnie przemaszzerowała pod łukiem triumfalnym prowadzącym ku kobiecości. Szkoda tylko, że to nie był Benjamin Cole – wtedy byłoby wprost idealnie!

Do jadalni wpadł „malec” Teddy we własnej osobie, okropnie zdenerwowany, i oznajmił: – Zgubili moją piłkę.

– Wiem – odparła Ursula.

Teddy otworzył książkę na stronie tytułowej, gdzie widniała dedykacja, skreślona przez Izzi ozdobnym charakterem pisma: „Dla mego bratanka Teddy’ego – mojego drogiego Augustusa”.

– Co za brednie – skrzywił się.

Ursula wzięła do ręki niedopity kieliszek szampana, którego brzeg zdobiła czerwona szminka, i odławszy połowę do kompotierki, podała ją bratu. – Na zdrowie! – powiedziała. Brzęknęło szkło, a oni wypili do dna.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin – rzekł Teddy.

Maj 1926

Z początkiem miesiąca Pamela, nareszcie uwolniona od inwalidzkich kul i znów grająca w tenisa, dowiedziała się, że nie zdała egzaminu wstępnego na uniwersytet w Cambridge. – Spanikowałam – wyznała. – Zobaczyłam pytania, na które nie znałam odpowiedzi, rozkleiłam się i oblałam. Gdybym wcześniej więcej zakuwała albo nie straciła panowania nad sobą i spokojnie przemyślała odpowiedzi, prawdopodobnie poradziłabym sobie całkiem nieźle.

– Są jeszcze inne uczelnie, skoro tak się uparłaś być emancypantką – stwierdziła Sylvie. Osobiście uważała, że wykształcenie akademickie nie jest dziewczętom do niczego potrzebne, choć nigdy otwarcie tego nie przyznała. – Ostatecznie najważniejszym powołaniem kobiety jest być matką oraz żoną.

– Wolałabyś widzieć mnie harującą przy piecu niż nad palnikiem bunsenowskim?

– A jaki pożytek ma świat z naukowców, poza tym, że wymyślają wciąż nowe sposoby zabijania ludzi? – spytała retorycznie Sylvie.

– Moim zdaniem to wielka szkoda z tym Cambridge – rzekł Hugh. – Maurice ma ukończyć studia z wyróżnieniem, a przecież kompletny z niego cymbał. – Aby wynagrodzić Pameli rozczarowanie, kupił jej damkę marki Raleigh. Teddy zastanawiał się, co dostanie, jeśli to *jemu* powinno się noga na egzaminie, a Hugh roześmiał się i odparł: – Uważaj, bo przemawia przez ciebie Augustus.

– Och, błagam, tylko nie to – wzdrygnął się Teddy, zażenowany na samą wzmiankę o nieszczęsnej książce. Ku utrapieniu wszystkich, a zwłaszcza Teddy’ego, *Przygody Augustusa* odniosły spektakularny sukces i „sprzedawały się jak świeże bułeczki”. Według Izzie wznawiano je już trzykrotnie, a ona sama zainkasowała „pokaźny czek” i przeniosła się do mieszkania przy Ovington Square. Udzieliła także wywiadu gazecie, w którym nie omieszkła wspomnieć o „pierwowzorze” głównego bohatera, swoim bratanku, „uroczym łobuziaku”.

– Nie wymieniła chyba mojego imienia? – upewnił się Teddy, chwytając się ostatniej deski ratunku. W geście pojednania dostał od Izzie prezent: nowego psa. Kilka tygodni wcześniej zdechła Trixie i od jej śmierci Teddy trwał w nieutulonej żałobie. Nowy psiak był terierem rasy west highland, identycznym jak pies Augustusa, i nie była to rasa wybrana przez kogokolwiek z ich rodziny. Izzie zdążyła już nadać mu imię – Jock, naturalnie – które miał wygrawerowane na zawieszce przy kosztownej obróżce.

Sylvie sugerowała, aby zmienić je na Pilot. – Tak się nazywał pies Charlotte Brontë – poinformowała Ursulę. („Pewnego dnia – szepnęła Pameli Ursula – z naszą matką będą mnie łączyć już tylko nazwiska wielkich, nieżyjących pisarzy”. Na co Pamela odparła: „Moim zdaniem już tak jest”).

Było jednak za późno na zmianę, gdyż psiak reagował na imię Jock i mącenie mu w głowie nie wydawało się właściwe. Pozostał więc Jockiem i z czasem wszyscy pokochali go bardziej niż inne psy, pomimo irytującego pochodzenia.

Pewnego sobotniego ranka do Fox Corner zawitał Maurice, tym razem tylko w towarzystwie Howiego. Ani śladu Gilberta, którego wydalono z uczelni za „nieroztropność”. Gdy Pamela spytała: – Jaką nieroztropność? – Sylvie odparła, iż nieroztropność ma to do siebie, że nieroztropnie jest o niej mówić.

Ursula dość często myślała o Howiem od czasu ich ostatniego spotkania. Mniej pociągał ją jego wygląd – szerokie oksfordzkie spodnie, koszula z miękkim kołnierzykiem, błyszczące od brylantyny włosy – natomiast bardziej to, iż był na tyle troskliwy, aby próbować odnaleźć zagubioną piłkę Teddy’ego. Ta troska łagodziła jego niesłychaną, niepokojącą wręcz *inność*, na dodatek wyrażającą się aż na trzech płaszczyznach: Howie był ogromny, był mężczyzną i Amerykaninem. Pomimo mieszanych uczuć, jakie w niej budził, nie mogła nie poczuć lekkiego dreszczu podniece-

nia, widząc, jak wyskakuje lekko z kabrioletu zaparkowanego przed frontowymi drzwiami ich domu.

– Cześć – rzucił, spostrzegłszy ją, ona zaś w tej samej chwili uświadomiła sobie, że ten książę z bajki nie zna nawet jej imienia.

Dzbanek kawy i talerz gorących bułeczek z masłem zostały błyskawicznie wyczarowane spod ziemi przez Sylvie oraz Bridget. – Nie zostaniemy na obiad – zapowiedział Maurice, na co Sylvie odparła: – I dzięki Bogu. Nie miałabym czym nakarmić takich dwóch osiłków.

– Wybieramy się do Londynu, żeby pomóc strajkującym – wyjaśnił Maurice. Hugh głośno wyraził swoje zdziwienie. Stwierdził, że nigdy nie przypuszczał, aby przekonania polityczne Maurice’a stawiały go po stronie robotników, na co z kolei Maurice wyraził zaskoczenie tym, iż ojciec mógł w ogóle tak pomyśleć. Wraz z Howiem zamierzali prowadzić autobusy i pociągi, czy co tam jeszcze trzeba, żeby „ten kraj mógł funkcjonować jak należy”.

– Nie wiedziałem, że potrafisz prowadzić pociąg, Maurice – zdziwił się Teddy, dla którego starszy brat okazał się nagle całkiem interesujący.

– Zawsze mogę ładować węgiel do pieca – obruszył się Maurice. – To chyba nie może być trudne.

– Ktoś taki nazywa się palacz – pouczyła go Pamela – i jest to zawód wymagający szczególnych umiejętności. Spytaj swojego przyjaciela Smithy’ego. – Jej uwaga z jakichś powodów jeszcze bardziej zdenerwowała Maurice’a.

– Usiłujesz ratować cywilizację, która jest już w agonii – rzucił lekko Hugh takim tonem, jakby wymieniał uwagi o pogodzie. – Naprawdę, nie ma sensu.

W tym kluczowym momencie Ursula wyszła z pokoju; jeżeli istniało coś, co nudziło ją bardziej niż myślenie o polityce, to właśnie *rozmowy* o niej.

Naraz – zdumiewająca rzecz. Znowu. Gdy wbiegała po schodach do swojej sypialni na poddaszu, skąd zamierzała coś przynieść – coś całkiem niewinnego, książkę albo chusteczkę do nosa; później nie mogła już sobie przypomnieć, co to było – została z nich niemal strącona przez zbiegającego na dół Howiego. – Szukałem łazienki – wyjaśnił.

– Mamy tylko jedną – odparła Ursula – i nie tędy się do niej... – Zanim wszakże zdołała dokończyć zdanie, została niezgrabnie przygwożdżona do wyblakłej tapety w kwiaty przy kuchennych schodach, zdobiącej tę ścianę od czasu, gdy zbudowano ich dom. – Ślicznotka z ciebie – powiedział Howie. Jego oddech pachniał miętą. Chwilę później znów coś na nią napało, lecz tym razem nie był to język wyrośniętego Amerykanina, usiłujący wedrzeć się do jej ust, tylko coś niewypowiedziane bardziej intymnego.

Chciała coś powiedzieć, lecz zanim zdołała wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, silna ręka zakryła jej usta, a właściwie niemal połowę twarzy, Howie zaś wyszczerzył się w uśmiechu i wyszeptał: – Ciii – jakby byli spiskowcami, bawiącymi się w jakąś grę. Drugą ręką zaczął manipulować przy jej ubraniu, pisnęła więc w gwałtownym proteście. Zaraz potem natarł na nią tak, jak młode byczki nacierały na bramę na dolnym pastwisku. Ursula usiłowała się uwolnić, ale był od niej dwa-trzy razy większy i równie dobrze mogłaby być myszą w pysku Hattie.

Próbowała zobaczyć, co właściwie jej robi, ale przyciskał ją do siebie tak mocno, że widziała jedynie jego kwadratową szczękę i cień słabego zarostu, niezauważalny z większej odległości. Już wcześniej widywała swoich braci nago, wiedziała, co kryje się między ich nogami – pomarszczone ślimaki, coś jakby dziobek od imbryka – lecz nie mogło mieć to chyba nic wspólnego z tą sprawiającą jej ból, pracującą niczym tłok rzeczczą, która teraz wbijała się w nią jak taran. W jej ciele nastąpił wyłom. Wiodący ku kobiecości łuk triumfalny nie był już tak triumfalny; pozostała brutalność i kompletny brak czułości.

A potem Howie wydał z siebie gardłowy ryk, godny raczej bydlęcia niż bywalca sal wykładowych, i już po chwili zapinał spodnie, szczerząc do niej zęby. – Ach, te Angielki – powiedział, kręcąc głową i śmiejąc się. Pogroził jej palcem, niemal z przyganą, jakby to ona doprowadziła do tego obrzydliwego wydarzenia, i dorzucił: – Ale z ciebie numer! – Znow się roześmiał i chwilę później pędził już na dół po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, jak gdyby ich dziwna schadzka jedynie na chwilę przerwała mu tę czynność.

Ursula została sama, ze wzrokiem wbitym w kwiecistą tapetę. Nigdy przedtem nie zauważyła, że jej wzór przedstawia kwiaty glicynii, tej samej, która porastała łukowate zwieńczenie werandy na tyłach domu. W literaturze coś takiego określa się chyba mianem „zerwania wianka”, pomyślała. Zawsze jej się wydawało, że to całkiem ładnie brzmi.

Gdy po pół godzinie wypełnionej rozmyślaniami i emocjami nazbyt gwałtownymi jak na sobotni poranek zesza wreszcie na dół, Sylvie i Hugh stali w progu, machając mechanicznie na pożegnanie znikającemu w oddali tyłowi auta Howiego.

– Dzięki Bogu nie zostali na obiad – westchnęła Sylvie. – Chyba nie zniósłabym dzisiaj przechwałek Maurice’a.

– Durnie – zawyrokował radośnie Hugh. – Wszystko w porządku? – spytał, dojrzwawszy w holu sylwetkę Ursuli.

– Tak – odparła. Każda inna odpowiedź byłaby nie do przyjęcia.

Puszczenie całego wydarzenia w niepamięć poszło jej łatwiej, niż przypuszczała. Ostatecznie czyż to nie Sylvie powiedziała, iż nieroztropne zachowanie ma to do siebie, że nieroztropnie jest o nim mówić? Ursula wyobraziła więc sobie narożny kredens, taki ze zwykłych sosnowych desek. Następnie na najwyższej półce umieściła w nim Howiego wraz ze schodami kuchennymi i jednym ruchem przekręciła klucz w zamku.

Roztropna dziewczyna nie pozwoliłaby się zaskoczyć na tych schodach – ani w krzewach ogrodowych – jak bohaterka jakiejś gotyckiej powieści, jednej z tych, za którymi tak przepadała Bridget. Kto by jednak przypuszczał, że rzeczywistość okaże się tak plugawa i krwawa? Howie musiał coś w niej wyczuć – coś nieczystego, o czym nawet ona sama nie miała pojęcia. Zanim zamknęła ów incydent w wyimaginowanym kredensie, raz za razem wracała do niego pamięcią, usiłując zrozumieć, czym właściwie zawiniła. Musiała mieć coś wypisane na ciele, na twarzy, coś, co jedni potrafili odczytać, a inni nie. Izzie też to w niej dostrzegła. „Jakiś potwór tu nadchodzi”¹⁰. A ten potwór to nikt inny, tylko ona sama.

Lato było w pełni. Pamela dostała się na uniwersytet w Leeds, na wydział chemii, i stwierdziła, że bardzo się cieszy, bo ludzie na prowincji są bardziej prostolinijni i nie tak snobistyczni. Grywała teraz często w tenisa z Gertie i w mieszanego debła z Danielem Cole’em oraz jego bratem Simonem. W związku z tym równie często pożyczala Ursuli swój rower, żeby ta mogła urządzać dłuższe wycieczki z Millie, podczas których zjeżdżały rozpędzone z pagórków, piszcząc przy tym z uciechy. Czasami Ursula udawała się na leniwe przechadzki wiejskimi drogami w towarzystwie Teddy’ego i Jimmy’ego, z Jockiem biegającym w kółko wokół nich. Ani Teddy, ani Jimmy nie odczuwali potrzeby izolowania się od swoich sióstr tak, jak czynił to Maurice.

Razem z Pamelą zabierały obu braci na jednodniowe wycieczki do Londynu, połączone ze zwiedzaniem Muzeum Historii Naturalnej, Muzeum Brytyjskiego czy ogrodów w Kew, nigdy jednak nie informowały Izzie o tym, że są w mieście. Ich ciotka ponownie się przeprowadziła, tym razem do wielkiego domu w Holland Park („Bardzo artystyczne *endroit*”). Pewnego dnia, gdy wędrowali po Piccadilly, zauważyli na wystawie księgarni stos egzemplarzy *Przygód Augustusa* z „fotografią autorki – panny Delphie Fox – wykonaną przez pana Cecila Beatona”, na której Izzie wyglądała jak gwiazda filmowa albo jakaś piękność z wyższych sfer. – O Boże – jęknął Teddy, a Pamela nie zrugowała go za to, mimo że występowała przeciw *in loco parentis*, jako opiekunka.

W posiadłości Ettringham Hall ponownie zaczęto wydawać przyjęcia. Dawni właściciele Dauntowie po upływie tysiąca lat opuścili swoje włości, gdyż lady Daunt nigdy nie doszła do siebie po morderstwie małej Angeli. Obecny właściciel był dość tajemniczy człowiek, niejaki pan Lambert. Niektórzy uważali go za Belgę, inni za Szkota, nikt jednak nie rozmawiał z nim na tyle długo, aby poznać jego korzenie. Wieść niesła, że dorobił się majątku na wojnie, lecz wszyscy odbierali go jako nieśmiałego i małomównego. Poza tym były jeszcze tańce w wiejskiej świetlicy w piątkowe wieczory. Na jednej z takich potańcówek pojawił się Fred Smith, do czysta wymyty z sady po całym dniu pracy, i poprosił kolejno do tańca Pamelę, Ursulę oraz trzy najstarsze Shawcrossówny. Nie przygrywała im orkiestra, więc tańczyli przy gramofonie same staroświeckie tańce, żadnych tam charlestonów czy fokstrotów. Przyjemnie było wirować w walcu po sali, kiedy z zaskakującą wprawą prowadził Fred Smith. Ursula pomyślała nawet, że miło byłoby mieć kogoś ta-

kiego jak on za fatyganta, choć oczywiście Sylvie nigdy by do tego nie dopuściła. („*Kolejarz?!*”).

Gdy tylko pomyślała w ten sposób o Fredzie, drzwi jej wymyślanego kredensu otworzyły się z hukiem i wyskoczyła przez nie tamta wstrętne scena na kuchennych schodach.

– Spokojnie, panno Todd – powiedział Fred Smith. – Widzę, że trochę panią pobladła. – Ursula musiała zrzucić winę na upał i nalegać, aby pozwolił jej w samotności zaczerpnąć świeżego powietrza. Ostatnio zresztą często męczyły ją nudności. Sylvie składała to na karb letniego przeziębienia.

Z końcem roku akademickiego Maurice otrzymał spodziewane wyróżnienie („*Jakim cudem?*” – nie mogła zrozumieć Pamela) i na kilka tygodni przyjechał do domu, żeby się trochę polenić przed rozpoczęciem praktyk adwokackich w korporacji prawniczej Lincoln’s Inn. Howie, jak się okazało, wrócił „do swoich”, to znaczy do rodzinnego letniego domu nad cieśniną Long Island. Maurice wydawał się lekko zawiedziony, że nie poproszono go, aby mu towarzyszył.

– Co się z tobą dzieje? – spytał pewnego popołudnia Ursulę, wyciągnięty na leżaku przed domem, czytając „*Puncha*” i jednocześnie wpychając sobie do ust niemal cały kawałek ciasta z marmoladą pani Glover.

– A co ma się dziać?

– Zrobiła się z ciebie istna jałówka.

– Jałówka? – Prawdą było, że Ursula w niepokojącym tempie przestawała się mieścić w swoich letnich sukienkach; nawet jej dłonie i stopy jakby nabrały masy. – To tylko młodzieńcza pulchność, kochanie – pocieszała ją Sylvie. – Nawet ja tak miałam. Mniej ciasta, a więcej tenisa, oto jest lekarstwo.

– Koszmarne wyglądasz – zauważyła Pamela. – Coś ci dolega?

– Nie mam pojęcia – odparła Ursula.

Naraz jednak przyszło jej do głowy coś okropnego – coś tak straszliwego, haniebnego i *nieodwracalnego*, że na samą myśl poczuła, iż cała płonie żywym ogniem. Odszukała będący własnością Sylvie egzemplarz *Edukacji reprodukcyjnej dzieci i młodych dziewcząt* pióra doktor Beatrice Webb, który matka, przynajmniej teoretycznie, trzymała pod kluczem w komodzie w swojej sypialni. Komoda ta jednak nigdy nie była zamykana, gdyż Sylvie dawno zgubiła od niej klucz. Niestety, reprodukcja wydawała się ostatnią rzeczą, jaka interesowała autorkę. Radziła ona zajmować umysły młodych dziewcząt czym innym, faszerując je dużymi ilościami „chleba własnego wypieku, ciast, owsianki i puddingu, a także regularnie polewając zimną wodą ich intymne części ciała”. Jak widać, nie na wiele się to zdało. Ursula wzdrygnęła się na wspomnienie „intymnych części ciała” Howiego i tego, jak złączyły się one z jej „częściami ciała” w akcie ohydnej koniugacji. Czy Hugh i Sylvie też robili takie rzeczy? Nie potrafiła wyobrazić sobie matki znoszącej podobne okropieństwa.

Postanowiła ukradkiem skorzystać z encyklopedii medycznej pani Shawcross. Shawcrossowie wyjechali na wakacje do Norfolk, lecz ich pokojówka nie zadawała żadnych pytań, gdy pewnego dnia Ursula stanęła w progu, mówiąc, że chciałaby zajrzeć do pewnej książki.

W encyklopedii wyjaśniono mechanikę „aktu seksualnego”, który najwyraźniej miał prawo dokonywać się wyłącznie w „dyskretnym zaciszu małżeńskiego łóżka”, a nie na kuchennych schodach, gdy szło się akurat po książkę albo chustkę do nosa. Encyklopedia opisywała też dokładnie, jakie mogą być konsekwencje takiej nieudanej wyprawy po książkę czy chustkę: brak krwawień miesięcznych, nudności, przybieranie na wadze. Trwało to, jak się okazuje, całe dziewięć miesięcy. A była już prawie połowa lipca. Niedługo będzie musiała na powrót wciskać się w granatowy strój do ćwiczeń gimnastycznych i co rano czekać z Millie na szkolny autobus.

Zaczęła chodzić na długie samotne spacerunki. Nie było przy niej Millie, której mogłaby się zwierzyć (czy zresztą miałyby na to ochotę?), Pamela zaś czmychnęła do Devon ze swoją drużyną skautek. Ursula nigdy nie przekonała się do skautingu, czego obecnie żałowała – być może miałyby wówczas więcej odwagi, żeby się przeciwstawić Howiemu. Skautka przyniosłaby tamtą książkę czy chustkę do nosa i nie pozwoliłaby, aby cokolwiek jej w tym przeszkodziło.

– Czy coś cię gryzie, skarbie? – spytała raz Sylvie, gdy wspólnie cerowały pończochy. Sylvie interesowała się sprawami swoich dzieci jedynie wtedy, gdy miała z nimi do czynienia poje-

dynczo. W grupie stanowiły trudną do opanowania gromadę; w pojedynkę przejawiały konkretne cechy charakteru.

Ursula wyobraziła sobie, jak odpowiada: „Pamiętasz kolegę Maurice’a, Howiego? Wygląda na to, że zostanę matką jego dziecka”. Spojrzała na Sylvie, spokojnie przewlekającą wełnianą przędzę wzdłuż i w poprzek dziury na dużym palcu jednej ze skarpet Teddy’ego. Nie wyglądała na kobietę, której części intymne ulegałyby czyjemuś naporowi (encyklopedia pani Shawcross mówiła o „pochwie”, lecz nie było to słowo, które kiedykolwiek padłoby w domu Toddów).

– Nie, skądże – odparła. – Wszystko jest w porządku. W jak najlepszym porządku.

Tego samego popołudnia udała się na stację, przysiadła na peronowej ławce i rozważała, czy nie rzucić się pod pędzący ekspres. Ten jednak okazał się pociągiem do Londynu, który wtoczył się powoli i zatrzymał przed nią, ciężko posapując. Było w tym coś tak znajomego, że nieomal się rozpłakała. Dostrzegła Freda Smitha, gramolącego się z lokomotywy w zatłuszczonym kombinezonie i z twarzą uczernioną węglowym pyłem. Widząc ją, podszedł bliżej i powiedział: – A to niespodzianka. Wybiera się panienka do miasta?

– Nie mam biletu – odrzekła Ursula.

– Nic nie szkodzi – uspokoił ją Fred. – Wystarczy, że mrugnę konduktorowi, a już on dopilnuje, żeby mojej przyjaciółce nie stała się żadna krzywda. – Czyżby Fred Smith był jej przyjacielem? Była to krzepiąca myśl. Rzecz jasna, gdyby Fred wiedział o jej stanie, nie chciałby się z nią przyjaźnić. Nikt by nie chciał.

– Dobrze, dziękuję – odparła. Brak biletu wydawał się takim *drobiazgiem*.

Patrzyła, jak Fred wdrapuje się z powrotem do swojej lokomotywy. Zawiadowca przeszedł wzdłuż peronu, zatraskując drzwi wagonów z taką stanowczością, jakby już nigdy nie miały się otworzyć. Z komina buchnęła para, a Fred Smith wystawił głowę z kabiny i zawołał: – Proszę się pospieszyć, panno Todd, bo odjedziemy bez panienki! – więc wsiadła posłusznie do pociągu.

Gwizdek zawiadowcy zaświergotał, najpierw krótko, potem bardziej przeciągle, i pociąg wytoczył się ze stacji. Ursula siedziała na siedzeniu wyściełanym miękkim pluszem i dumiała nad swoją przyszłością. Przyszło jej do głowy, że mogłaby zagubić się wśród innych upadłych kobiet, lamentujących na ulicach Londynu. Zwinąć się w kłębek na ławce w parku i zamarznąć w nocy na śmierć – tyle że była akurat pełnia lata i raczej nie miała na to większej szansy. Albo wejść do Tamizy i dać się ponieść łagodnemu prądowi. Dryfować przez Wapping, Rotherhithe i Greenwich, aż do Tilbury, a potem prosto do morza. Ależ zdziwiliby się jej najbliżsi, gdyby jej ciało zostało wyłowione z jakiejś morskiej głębiny. Wyobraziła sobie Sylvie, jak marszczy czoło nad swoim cerowaniem i mówi: „A przecież poszła się tylko przejść. Powiedziała, że nazbiera na łące dzikich malin”. Ursula pomyślała ze skruchą o białej porcelanowej salaterce, którą porzuciła w żywopłocie, zamierzając zabrać ją stamtąd w drodze powrotnej. Do połowy zdążyła wypełnić ją drobnymi, kwaśnymi owocami, a jej palce wciąż były czerwone od ich soku.

Resztę popołudnia spędziła, spacerując po wspaniałych londyńskich parkach: przez St James i Green Park, obok pałacu, a potem przez Hyde Park, aż do Kensington Gardens. Niewiarygodne, jak daleko można było zajść w Londynie, praktycznie nie stawiając stopy na chodniku ani nie przechodząc przez ulicę. Oczywiście nie miała przy sobie żadnych pieniędzy – idiotyczny błąd, teraz to wiedziała – i nie mogła sobie pozwolić choćby na filiżankę herbaty w Kensington. Nie było też przy niej Freda Smitha, który by „dopilnował, żeby nie stała jej się żadna krzywda”. Była zgrzana, zmęczona i zakurzona i czuła się równie spieczona słońcem jak trawa w Hyde Parku.

Czy można było pić wodę ze stawu Serpentine? Pierwsza żona Shelleya utopiła się w tym miejscu, lecz Ursula nie przypuszczała, aby w taki dzień – gdy wokół tłumi spacerowiczów korzystały ze słońca – zdołałaby uniknąć ratunku ze strony jakiegoś pana Wintona, który z pewnością wskoczyłby w ślad za nią.

Rzecz jasna, dobrze wiedziała, dokąd zmierza. Było to w jakiś sposób nieuniknione.

– Wielkie nieba, co ci się stało?! – wykrzyknęła Izzie, z teatralnym rozmachem otwierając drzwi frontowe swojego domu, jakby spodziewała się wizyty kogoś bardziej interesującego. – Wyglądasz jak jakieś straszidło.

– Całe popołudnie spacerowałam – wyjaśniła Ursula. – Nie mam pieniędzy – dodała – i chy-

ba spodziewam się dziecka.

– W takim razie wejdź lepiej do środka – powiedziała Izzie.

W ten sposób się tu znalazła, w wielkim domu w Belgravii, przycupnięta na niewygodnym krześle w pokoju, który niegdyś musiał być jadalnią. Obecnie, odarty z dawnego wystroju i zamieniony w poczekalnię, wydawał się po prostu nijaki. Flamandzka martwa natura nad kominkiem i waza z najwyraźniej przykurzonymi chryzantemami na stoliku w stylu Pembroke nie pozwalały się domyślać, co działo się w pozostałych pomieszczeniach. Ursuli trudno było połączyć to wszystko z tamtym wstrętnym *rendez-vous* z Howiem na kuchennych schodach. Kto by pomyślał, że można się tak łatwo prześliznąć z jednego życia do drugiego. Była ciekawa, co doktor Kellet powiedziałby o jej kłopotliwym położeniu.

Po niespodziewanym przybyciu Ursuli na Melbury Road Izzie zaprowadziła ją do łóżka w pokoju gościnnym. Ursula leżała w lśniącej, aksamitnej pościeli, szlochając i starając się nie słuchać karkołomnych kłamstw Izzie, które ta wygadywała do telefonu w holu. – No przecież wiem! Po prostu zapukała do moich drzwi. Biedne jagniątko... Chciała się ze mną zobaczyć... Krótka wizyta, muzea i tak dalej, może teatr, nic *risqué*... naprawdę nic nieprzyzwoitego... Nie bądź takim zrzędą, Hugh... – Całe szczęście, że nie trafiła na Sylvie; ta by się z nią nie patyczkowała. W rezultacie pozwolono Ursuli zostać na kilka dni w Londynie – „muzea i tak dalej”.

Po skończonej rozmowie Izzie weszła do pokoju z tacą.

– Brandy – oznajmiła. – I tost z masłem. Obawiam się, że w tej chwili tylko tyle mogę ci na szybko zaoferować. Ależ z ciebie idiotka – westchnęła. – Przecież są sposoby, no wiesz, rzeczy, które można zrobić. Lepiej zapobiegać, niż leczyć, itepe. – Ursula nie miała pojęcia, o czym ciotka mówi.

– A teraz musisz się tego pozbyć – ciągnęła Izzie. – Co do tego chyba się obie zgadzamy, prawda? – Na co z ust Ursuli wyrwało się żarliwie: – Tak!

Kobieta w stroju pielęgniarki otworzyła drzwi poczekalni w Belgravii i zajrzała do środka. Fartuch miała tak nakrochmalony, że stałyby samodzielnie nawet bez niej w środku.

– Tędy – rzuciła sztywno, nie zwracając się do Ursuli po imieniu ani po nazwisku. Ursula poszła za nią posłusznie niczym jagnię prowadzone na rzeź.

Izzie, raczej konkretna niż współczująca, podwiozła ją tu swoim autem („Powodzenia!”), obiecując, że wróci po nią „później”. Ursula nie wiedziała, co ma się wydarzyć w czasie między ciotczynym „Powodzenia!” a owym „później”, domyślała się jednak, że nie będzie to nic przyjemnego. Jakiś ohydny w smaku syrop do wypicia albo może naczynie w kształcie nerki pełne trudnych do przełknięcia tabletek. No i niewątpliwie ostra połajanka na temat jej moralności i charakteru. To akurat miała w nosie, o ile tylko koniec końców uda jej się cofnąć czas. Zastanawiała się, jak duże może być teraz to dziecko? Pobieżna konsultacja z encyklopedią Shawcrossów niewiele jej w tym względzie wyjaśniła. Podejrzewała, że z pewnym trudem zostanie wydobyte na świat, a następnie owinięte szalem, umieszczone w kołysce i otoczone troskliwą opieką do czasu, aż przekaże się je jakiemuś miłemu małżeństwu, które pragnęło potomstwa równie mocno, jak Ursula pragnęła go nie mieć. A po wszystkim będzie mogła złapać pociąg do domu i przejść się spacerkiem po Church Lane, zabierając po drodze białą porcelanową salaterkę z malinami, by na koniec wrócić do Fox Corner, jakby nic się nie stało, tylko „muzea i tak dalej”.

*

To był pokój jak każdy inny. W wysokich oknach wisiały zasłony, udrapowane i ozdobione frędzlami. Wyglądały jak pamiątka poprzedniego życia tego domu, podobnie jak marmurowy kominek, obecnie opalany gazem, czy stojący na gzymsie kominka prosty zegar z wielkimi cyframi na cyferblacie. Pokrywające podłogę zielone linoleum i stół operacyjny na środku pokoju wyglądały tu równie absurdalnie. Wewnątrz unosiła się woń szkolnego laboratorium chemicznego. Ursulę zaskoczył widok groźnie wyglądających, lśniących metalowych przyrządów, leżących równym rzędkiem na lnianej serwetce na stoliku na kółkach. Na pierwszy rzut oka wydawały się mieć więcej wspólnego z rzeźnictwem niż z dziećmi. Nigdzie też nie zauważyła czekającej na maleństwo kołyski. Jej serce wpadło w trwożny trzepot.

W tej samej chwili do pokoju wpadł jakiś mężczyzna, starszy od Hugh, ubrany w długi lekarski kitel. Wyglądał, jakby się dokądś spieszył, i niecierpliwie nakazał Ursuli położyć się na stole operacyjnym oraz wsunąć stopy „w strzemiona”.

– W strzemiona? – powtórzyła. Chyba nie będą mieszać do tego koni? Polecenie było dla niej całkiem niezrozumiałe, dopóki wykrochmalona pielęgniarka nie pchnęła jej na stół i nie umieściła jej nóg w specjalnych uchwytach. – Będę miała operację? – zaprotestowała Ursula. – Przecież nie jestem chora. – Pielęgniarka nałożyła jej na twarz jakąś maskę. – Odliczaj od dziesięciu do jednego – poleciła. – Ale po co? – chciała zapytać Ursula, lecz nim słowa te zdążyły się uformować w jej umyśle, pokój i wszystko, co się w nim znajdowało, znikło jej sprzed oczu.

Gdy odzyskała świadomość, siedziała po stronie pasażera w austinie Izzie, gapiąc się przed siebie półprzymotnym wzrokiem.

– Ani się obejrzyysz, a będziesz zdrowa jak ryba – mówiła Izzie. – Nic się nie martw, nafaszrowali cię lekami. Przez pewien czas możesz się dziwnie czuć. – Skąd Izzie wiedziała aż tyle o tym szokującym zabiegu?

Po powrocie na Melbury Road ciotka pomogła jej się położyć i Ursula natychmiast zapadła w głęboki sen pod lśniącą atlasową pościelą w pokoju gościnnym. Gdy Izzie weszła z tacą, za oknem było już całkiem ciemno. – Zupa ogonowa – oznajmiła radośnie. – Prosto z puszek. – Czuła ją było alkoholem, czymś słodkim i mdlącym, a pod fasadą makijażu i wesołości kryło się wyczerpanie. Ursula domyśliła się, że jej obecność musi być dla ciotki okropnym ciężarem. Spróbowała usiąść, ale woń alkoholu w połączeniu z aromatem zupy ogonowej okazała się zbyt trudna do zniesienia i zwymiotowała prosto na lśniące atlasy.

– O Boże – jęknęła Izzie, zakrywając dłonią usta. – Ja się naprawdę do tego nie nadaję.

– Co się stało z dzieckiem? – wykrztusiła Ursula.

– Słucham?

– Co się stało z dzieckiem? – powtórzyła. – Oddali je jakiejś miłej rodzinie?

W nocy obudziła się, żeby ponownie zwymiotować, po czym natychmiast zasnęła, nie sprząając po sobie ani nie wołając Izzie. Gdy rankiem znów się przebudziła, była bardzo rozgrzana. Za bardzo. Serce waliło jej w piersiach, z trudem chwytała oddech. Próbowwała wstać z łóżka, ale kręciło jej się w głowie, a nogi nie chciały jej utrzymać. Potem już niczego nie pamiętała. Izzie musiała zatelefonować po Hugh, bo w pewnym momencie Ursula poczuła jego chłodną dłoń na swoim spoconym czole, a gdy otworzyła oczy, ojciec uśmiechnął się do niej uspokajająco. Siedział na łóżku w płaszczu, najwyraźniej dopiero co przyjechał. Ursula zwymiotowała prosto na ten płaszcz.

– Zawieziemy cię do szpitala – rzekł niczym niezrażony Hugh. – Wdała się lekka infekcja. – Gdzieś w tle Izzie gwałtownie protestowała. – Zostanę oskarżona – syknęła do brata, na co Hugh odparł: – I bardzo dobrze, mam nadzieję, że zamkną cię w celi i wyrzucą klucz. – Potem wziął Ursulę na ręce i powiedział: – Chyba szybciej będzie bentleyem. – Ursula czuła się nieważka, jakby lada moment miała się unieść w powietrze i odlecieć. Gdy znów otworzyła oczy, znajdowała się w przepastnej szpitalnej sali, a obok niej siedziała Sylvie z twarzą zaciętą i złą. – Jak mogłaś? – wycedziła. Ursula ucieszyła się, kiedy nadszedł wieczór i Sylvie została zmieniona przez Hugh.

I to on był przy niej, gdy nadleciał czarny nietoperz. Noc wyciągnęła ku niej dłoń i Ursula wstała, aby ją powitać. Czuła ulgę, radość niemal; czuła, jak wzywa ją połyskliwy, rozświetlony świat poza tym światem, miejsce, gdzie wszystkie zagadki zostaną rozwikłane. Mrok otulił ją niczym aksamitny przyjaciel. W powietrzu wirował śnieg drobny jak talk i lodowaty jak ukłucia wschodniego wiatru na skórze niemowlęcia, lecz nagle Ursula opadła z powrotem na szpitalne łóżko. Jej dłoń została odepchnięta.

Na bladej szpitalnej koldrę padał jasny ukośny promień słońca. Hugh spał, a jego twarz była zmięta i umęczona. Niewygodnie skulony, drzemał na krześle przy jej łóżku. Jedną nogawkę miał lekko podciągniętą, tak że Ursula widziała zrolowaną, szarą, fildekosową skarpetę i gładką skórę ojcowskiej łydki. Kiedyś był taki jak Teddy, pomyślała, a pewnego dnia Teddy będzie taki jak on. Chłopiec ukryty w mężczyźnie, mężczyzna ukryty w chłopcu. Na tę myśl zaczęła jej się płakać.

Hugh otworzył oczy, a widząc ją, uśmiechnął się blado i powiedział: – Dzień dobry,

niedźwiadku. Witaj z powrotem.

Sierpień 1926

„Pióro należy ująć lekko i w taki sposób, ażeby stawianie znaków stenograficznych nie nastęczało trudności. Nadgarstek nie może spoczywać na notesie ani na biurku”.

Reszta wakacji była okropna. Ursula siedziała pod jabłonią w sadzie i usiłowała czytać podręcznik stenografii Pitmana. Postanowiono, że zamiast wracać jesienią do szkoły, zrobi kurs maszynopisania i stenografii. – Nie mogę tam wrócić – oświadczyła Ursula. – Po prostu nie mogę.

Nie było jednak ucieczki od chłodu, emanującego od Sylvie za każdym razem, gdy wchodziła do pokoju i zastawała w nim Ursulę. Zarówno Bridget, jak i pani Glover głowiły się, czemu „poważna choroba”, którą Ursula zaraziła się w Londynie podczas pobytu u ciotki, wywołuje w Sylvie aż taką rezerwę, choć można by się spodziewać, że właśnie w takim momencie zbliży się do córki. Izzie, rzecz jasna, miała wieczysty zakaz wstępu w ich skromne progi. *Persona non grata in perpetuum*. Nikt nie znał prawdy o tym, co się wydarzyło, z wyjątkiem Pameli, która kawałek po kawałku wyciągnęła z Ursuli całą historię.

– Przecież on cię *zniewolił* – denerwowała się. – Jak w ogóle możesz myśleć, że to była twoja wina?

– Ale konsekwencje... – wymamrotała Ursula.

Sylvie oczywiście winiła wyłącznie ją. – Odrzuciłaś precz swoją cnotę, moralność i dobrą opinię, jaką się cieszyłaś.

– Przecież nikt o niczym nie wie.

– *Ja* wiem.

– Zachowujesz się jak postać z jednej z tych powieści Bridget – stwierdził Hugh, zwracając się do żony. Czyżby czytywał to samo co Bridget? Wydawało się to nieprawdopodobne. – A właściwie – dodał – to mam wrażenie, jakbym słyszał własną matkę. („Teraz wydaje się to okropne – pocieszała ją Pamela – ale kiedyś poczujesz się lepiej”).

Nawet Millie dała się nabrać na kłamstwa Ursuli. – Posocznica! – wykrzyknęła. – Jakie to dramatyczne. Czy w szpitalu było bardzo okropnie? Nancy powiedziała, że Teddy mówił jej, iż o mały włos nie umarłaś. Jestem pewna, że mnie nigdy nie spotka nic równie ekscytującego.

Jakże olbrzymia przepaść dzieliła tych, którzy umarli, od tych, którzy o mały włos nie umarli. W istocie całe ludzkie życie. Ursula czuła, że nie ma co zrobić z tym życiem, które zostało jej darowane. – Chciałabym się znowu zobaczyć z doktorem Kelletem – poprosiła Sylvie.

– Chyba już przeszedł na emeryturę – odparła obojętnie matka.

Ursula wciąż nosiła długie włosy, głównie po to, żeby sprawić przyjemność Hugh, aż pewnego dnia wybrała się z Millie do Beaconsfield i obcięła je na krótko. Był to akt pokuty, który sprawił, że poczuła się raczej męczennicą niż zakonnica. Przypuszczała, że tak właśnie przeżyje resztę życia – gdzieś między jednym a drugim.

Hugh robił raczej wrażenie zaskoczonego niż zasmuczonego. Domyślała się, że jej postrzyżyny to drobiazg w porównaniu z Belgravią. – Dobry Boże – powiedział, gdy usiadła przy stole, na którym królowały nieapetyczne kotlety cielęce *à la Russe*. („Wygląda jak psie żarcie” – stwierdził Jimmy, choć jako chłopiec o nieposkromionym apetycie zjadłby zapewne chętnie również porcję Jocka).

– Wyglądasz jak całkiem nowa osoba – zauważył Hugh.

– To chyba bardzo dobrze, prawda? – odparła Ursula.

– Wołałem dawną Ursulę – wtrącił Teddy.

– Wygląda na to, że tylko ty jeden – mruknęła Ursula. Sylvie wydała z siebie nieokreślony dźwięk, a Hugh zwrócił się do córki: – Och, daj spokój. Moim zdaniem jesteś...

Nigdy nie miała się dowiedzieć, co sądził o niej ojciec, ponieważ w tej samej chwili roz-

legło się głośne pukanie do drzwi, zwiastujące przybycie silnie wzburzonego majora Shawcrossa, który chciał się dowiedzieć, czy przypadkiem nie ma u nich Nancy. – Przepraszam, że przeszkodziłem państwu w obiedzie – sumitował się w progu jadalni.

– Nie ma jej z nami – odparł Hugh, choć nieobecność Nancy wprost rzucała się w oczy.

Major Shawcross zmarszczył brwi i zapatrzył się na kotlety na ich talerzach. – Wyszła na zbierać liści na polnej drodze – wyjaśnił. – Do swojego albumu. Wiesz, jaka ona jest. – To ostatnie zdanie było skierowane do Teddy’ego, bratniej duszy Nancy. Dziewczynka uwielbiała przyrodę, nieustannie zbierała jakieś gałązki i szyszki, muszelki, kamyki i kości, niczym wyznawczynie jakiejś prymitywnej religii. „Dziecko natury”, mówiła o niej pani Shawcross („Tak jakby natura była czymś wspaniałym” – burczała Sylvie).

– Szukała liści dębu – dodał major Shawcross. – W naszym ogrodzie nie rosną żadne dęby.

Nastąpiła krótka dyskusja na temat znikających angielskich dębów, po której zapadła pełna zadumy cisza. Major Shawcross odchrząknął. – Według Roberty nie ma jej już od godziny. Przeszedłem całą drogę w tę i z powrotem, wołając ją po imieniu. Nie mam pojęcia, gdzie indziej mogłaby być. Winnie i Millie też jej szukają. – Major Shawcross robił się coraz bledszy. Sylvie nalala szklankę wody i podała mu, żeby wypił. – Niechże pan usiądzie – powiedziała. Lecz on dalej stał. Ursula nie miała żadnych wątpliwości, że myśli o Angeli.

– Na pewno znalazła coś ciekawego – odezwał się Hugh – ptasie gniazdko albo kota z gromadką kociąt na jakiejś farmie. Wiecie, jaka ona jest. – Nagle wszyscy zdawali się wiedzieć, jaką dziewczynką była Nancy.

Major Shawcross wziął ze stołu łyżkę do zupy i wpatrywał się w nią nieobecnym wzrokiem. – Nie wróciła na obiad.

– Pomogę panu jej szukać – powiedział Teddy, zrywając się od stołu. On też wiedział, jaka była Nancy, wiedział, że nigdy nie opuściłaby obiadu.

– Ja także – zaoferował się Hugh i porzucając kotlety cielęce, poklepał majora Shawcrossa po ramieniu, żeby mu dodać otuchy.

– Może ja też pójdę? – zaproponowała Ursula.

– Nie – ucięła Sylvie. – Jimmy też zostanie. Wspólnie przeszukamy ogród.

Tym razem lodownia nie była potrzebna. Nancy złożono od razu w szpitalnej kostnicy. Gdy ją znaleźli, jej ciało było jeszcze ciepłe i miękkie, wciśnięte w stare, puste koryto dla bydła. – Była molestowana – powiedział Hugh do Sylvie, podczas gdy Ursula jak szpieg kryła się za drzwiami pokoju dziennego. – Dwie dziewczynki w ciągu trzech lat – to chyba nie może być zbieg okoliczności, prawda? Uduszona, tak jak wcześniej Angela.

– Wśród nas mieszka potwór – stwierdziła Sylvie.

Major Shawcross był tym, który ją znalazł. – Bogu niech będą dzięki, że tym razem nie trafiło na biednego Teda – mówił dalej Hugh. – Chybaby tego nie zniósł. – Teddy i tak z trudem zniósł to, co się stało. Przez wiele tygodni prawie się nie odzywał. Oderwano mu połowę jego duszy, powiedział, kiedy w końcu przemówił. – Rany z czasem się goją – pocieszyła go Sylvie. – Nawet te najgłębsze.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytała Ursula, myśląc o tapecie we wzór kwiatów glicynii i poczekalni w Belgravii, na co Sylvie odrzekła: – No, może nie wszystkie – nie zadając sobie nawet trudu, żeby skłamać.

Słyszeli panią Shawcross, jak krzyczała przez całą noc po znalezieniu ciała. Później jej twarz już nigdy nie wyglądała normalnie, a od doktora Fellowesa dowiedzieli się, że miała „lekki udar”.

– Biedna, nieszczęsna kobieta – westchnął Hugh.

– Nigdy nie wiedziała, gdzie są jej córki – mruknęła Sylvie. – Pozwalała im biegać samopas. Teraz płaci cenę własnej lekkomyślności.

– Och, Sylvie – rzekł ze smutkiem Hugh. – Gdzie ty masz serce?

Pamela wyjechała do Leeds. Hugh odwiózł ją swoim bentleyem. Jej kufer nie zmieścił się do bagażnika i trzeba go było wysłać koleją. – Jest taki wielki, że można by w nim ukryć trupa – żartowała Pamela. Miała zamieszkać w domu akademickim dla dziewcząt i poinformowano ją już,

iż będzie dzielić pokój z inną studentką o imieniu Barbara, pochodzącą z Macclesfield. – Będzie tak samo jak w domu, zobaczysz – pocieszał ją Teddy – tyle że zamiast z Ursulą, będziesz dzieliła pokój z kimś innym.

– W takim razie na pewno *nie będzie* tak samo jak w domu – odparła Pamela. Uściskała Ursulę może nazbyt gwałtownie, zanim wsiadła do auta i zajęła miejsce obok Hugh.

– Nie mogę się doczekać wyjazdu – wyznała jej poprzedniego wieczoru, gdy obie leżały już w łóżkach – ale mam wyrzuty sumienia, że zostawiam cię samą.

Gdy Ursula nie wróciła do szkoły na jesienny semestr, nikt jej nie wypytywał o powody tej decyzji. Millie była nazbyt przybita śmiercią Nancy, aby cokolwiek ją obchodziło.

Co rano podróżowała koleją do High Wycombe na zajęcia w prywatnym college’u dla sekretarek. „College” był przesadnie górnolotną nazwą dla dwóch pokoi, zimnej umywalni i jeszcze zimniejszej komórki z WC, ulokowanych nad sklepem warzywniczym przy głównej ulicy miasteczka. Szkołę prowadził niejaki pan Carver, który poświęcił swe życie dwóm pasjom: esperanto oraz stenografii według systemu Pitmana, przy czym to drugie było zdecydowanie bardziej użyteczne od pierwszego. Ursuli podobało się nawet stenografowanie, zupełnie jak sekretny szyfr, z całkiem nowym słownictwem – spółgłoski przydechowe i haczyki, grupy spółgłoskowe, specjalne skróty, półznaki i znaki podwojone – język ni to martwych, ni to żywych, a tylko dziwnie bezwolnych. Było coś kojącego w monotonnej intonacji pana Carvera, dyktującego im listy wyrazów: „powtarzać, powtarzanie, potwarz, spotwarzyć, spotwarzony, książę, książęcy, książęta, księżna, księżne...”.

Dziewczęta z kursu były bardzo miłe i sympatyczne – ufne, praktyczne osóbkami, które nigdy nie zapomniały swoich notesików i linijek i zawsze miały w torebkach tusze w co najmniej dwóch różnych kolorach.

Podczas przerw na lunch, jeśli pogoda akurat nie sprzyjała, zostawały w klasie, częstując się nawzajem kanapkami i cerując pończochy wśród rzędów maszyn do pisania. Wakacje upłynęły im na pieszych wycieczkach, pływaniu i wyjazdach pod namiot. Ursula zastanawiała się, czy patrząc na nią, domyślają się, jak bardzo odmienne było jej lato. Słowo „Belgravia” stało się dla niej stenograficznym skrótem obejmującym wszystko, co się wydarzyło. („Aborcja – powiedziała Pamela. – Miałaś nielegalną aborcję”. Pamela nigdy nie owijała w bawełnę; Ursula żałowała, że tym razem nie jest inaczej). Zazdrościła nowym koleżankom ich zwyczajnego życia. (Jakże Izzie by nią za to pogardzała!). Jej własna szansa na zwyczajność zdawała się już na wieki zaprzepaszczone.

Co by się stało, gdyby rzuciła się wtedy pod pociąg albo umarła tuż po Belgravi, albo gdyby teraz najzwyczajniej w świecie otworzyła okno sypialni i rzuciła się z niego głową w dół? Czy rzeczywiście wróciłaby, żeby jeszcze raz zacząć wszystko od początku? Czy – jak wszyscy wokół ją przekonywali i w co z pewnością powinna wierzyć – były to wyłącznie jej urojenia? A jeśli tak, to czy i pozostałe zdarzenia również były tylko wytworami jej umysłu? Co, jeśli dająca się udowodnić rzeczywistość zwyczajnie nie istniała? Jeżeli nie istniało nic poza umysłem? Filozofowie już dawno temu „stawili czoło” temu problemowi, jak z pewnym znużeniem poinformował ją niegdyś doktor Kellet; była to jedna z pierwszych kwestii, jakimi się zajęli, więc doprawdy nie było sensu dłużej się tym zamartwiać. Lecz chyba z natury rzeczy każdy na nowo i po swojemu zmagają się z tym dylematem?

(„Daj spokój maszynopisanu – radziła z Leeds Pamela – powinnaś studiować filozofię na uniwersytecie, masz do tego odpowiednie nastawienie. Jesteś jak terier, który do znudzenia ogryza tę samą kość”).

Koniec końców Ursula postanowiła odszukać doktora Kelleta. Okazało się, że jego gabinet zajmuje obecnie kobieta o stalowych włosach, posiadaczka okularów w stalowych oprawkach. Poinformowała ją, iż doktor Kellet w istocie przeszedł już na emeryturę, ale może Ursula chciałaby umówić się do niej na konsultację? Nie, odparła Ursula, dziękuję bardzo. Od czasu Belgravi była to jej pierwsza wizyta w Londynie i gdy wracała z Harley Street linią Bakerloo, przeżyła w metrze atak paniki. Musiała wybiec ze stacji Marylebone, żeby złapać oddech. Jakiś gazeciarz zagadnął ją: – Dobrze się panienka czuje? – a ona odparła: – Tak, wszystko w porządku, dziękuję panu.

Pan Carver lubił dotykać swoich uczennic (mówił o nich: „Moje dziewczęta”). Kładł im lek-

ko dłoń na ramieniu i głąskał bołerko z angory jednej albo wełniany sweter drugiej, jakby były jego ulubionymi zwierzątkami.

Z rana ćwiczyły maszynopisanie na wielkich underwoodach. Czasem pan Carver kazał im ćwiczyć z zawiązanymi oczyma, gdyż – jak twierdził – tylko w ten sposób mógł je oduczyć patrzenia na klawisze, a co za tym idzie, spowalniania tempa. W opasce na oczach Ursula czuła się jak żołnierz prowadzony na rozstrzelanie za dezercję. Przy takich okazjach często słyszała w klasie dziwne odgłosy – stłumione posapywanie i postękiwanie – ale nie chciała podglądać, co pan Carver właściwie robi.

Popołudniami miały stenografię – usypiające dyktanda, obejmujące każdy rodzaj korespondencji handlowej. „Szanowny Panie, w dniu wczorajszym przedstawiłem Pański list na zebraniu Zarządu, lecz po krótkiej dyskusji Zarząd zmuszony był przesunąć termin rozpatrzenia Pańskiej sprawy na kolejne zebranie, które odbędzie się w ostatni wtorek...”. Treść owych listów była w najwyższym stopniu nużąca, co stało w dziwnej sprzeczności z istnym gradem znaków, kreślonych przez nie na podkładach w szaleńczym tempie, byle tylko nadażyć.

Pewnego dnia po południu, dyktując im kolejny list – „Obawiamy się, że osoby zgłaszające swoje obiekcje co do mianowania nie mogą liczyć na sukces w tym względzie” – pan Carver stanął za plecami Ursuli i delikatnie musnął palcami jej kark, którego nie chroniły już długie włosy. Przeszedł ją dreszcz, lecz nawet na chwilę nie oderwała wzroku od klawiszy stojącej na stoliku maszyny. Co takiego w niej było, co prowokowało tego rodzaju zachowania? Czy to znaczyło, że nie jest dobrym człowiekiem?

Czerwiec 1932

Pamela wybrała dla siebie biały brokat, a żółty atlas dla druchen. Żółć była nieco zjadliwa i nadawała ich twarzom niezdrowy, wątrobiany odcień. Druhny były cztery: Ursula, Winnie Shaw-cross (która ostatecznie wygrała rywalizację z Gertie) oraz dwie młodsze siostry Harolda. Harold pochodził z licznej hałaśliwej rodziny zamieszkałej przy Old Kent Road, którą Sylvie uważała za stojącą „niżej” od nich. Fakt, iż Harold był lekarzem, dodatkowo przemawiał na jego niekorzyść (Sylvie była dziwnie uprzedzona do przedstawicieli medycznej profesji). – Sądziłem, że twoja własna rodzina również była nieco *déclassé* – zauważył Hugh, zwracając się do Sylvie. Nowy zięć bardzo mu się podobał, uważał jego towarzystwo za „ożywcze”. Polubił również matkę Harolda, Olive. – Zawsze mówi to, co myśli – zachwalał ją przed Sylvie. – I myśli to, co mówi. W przeciwieństwie do niektórych.

– W katalogu wyglądała bardzo ładnie – rzuciła z powątpiewaniem Pamela podczas trzeciej i ostatniej przymiarki sukni Ursuli w salonie krawieckim, i to gdzie: jak na ironię w Neasden, dzielnicy Londynu rozświetlonej przez dwutygodnik satyryczny „Private Eye”. Szyta ze skosu suknia ciasno opinała talię Ursuli.

– Od czasu ostatniej przymiarki przybrała pani na wadze – stwierdziła krawcowa.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdziła Pamela. Ursuli przypomniał się ostatni raz, kiedy przybrała na wadze. Belgravia. Jednak tym razem powód był z pewnością inny. Stała na krześle, a krawcowa kręciła się wokół niej z poduszczką pełną szpilek przymocowaną do nadgarstka. – Mimo to ślicznie wyglądasz – dodała Pamela.

– W pracy spędzam całe dnie na siedząco – tłumaczyła się Ursula. – Chyba powinnam więcej spacerować. – Tak łatwo było się lenić. Mieszkała teraz sama, ale nikt o tym nie wiedział. Hilda, dziewczyna, z którą miała dzielić mieszkanie – najwyższe piętro w Bayswater – wyprowadziła się jakiś czas temu, choć chwala Bogu nadal płaciła czynsz. Opuściwszy Ursulę, zamieszkała w Ealing, w „prawdziwym pałacu rozkoszy”, z jakimś Ernestem, któremu żona nie chciała dać rozwodu. Musiała jednak udawać przed rodzicami, że wciąż prowadzi w Bayswater życie samotnej i cnotliwej panny. Ursula podejrzewała jednak, że jest tylko kwestią czasu, aby rodzice Hildy stanęli niespodziewanie w drzwiach ich mieszkania, a wówczas to ona będzie musiała wymyślić naprędce jakieś kłamstwo, może nawet kilka, żeby wyjaśnić nieobecność ich córki. Hugh i Sylvie byliby zszokowani, gdyby wiedzieli, że Ursula mieszka sama w Londynie.

– Bayswater? – rzekła z powątpiewaniem Sylvie, gdy Ursula oznajmiła im, że wyprowadza się z Fox Corner. – Czy to naprawdę konieczne? – Wspólnie z Hugh poddali szczegółowej inspekcji jej nowe mieszkanie, zlustrowali też Hildę, która dzielnie stawiała czoło krzyżowemu ogniovi pytań Sylvie. Niemniej jednak matka uznała, że zarówno lokum, jak i Hilda pozostawiają sporo do życzenia.

„Ernest z Ealing”, jak nazywała go w myślach Ursula, był tym, który opłacał czynsz („Jestem utrzymanką” – śmiała się Hilda), mimo to Hilda wpadała do niej co kilka tygodni, żeby odebrać pocztę i przekazać Ursuli pieniądze. – Mogę poszukać sobie innej współlokatorki – zaproponowała Ursula, choć na samą myśl odczuwała głęboką niechęć.

– Jeszcze trochę zaczekajmy – poprosiła Hilda – zobaczymy, jak się wszystko ułoży. Piękno życia w grzechu polega na tym, że w każdej chwili mogę po prostu wstać i wyjść.

– Tak jak i Ernest. (Z Ealing).

– Mam dwadzieścia jeden lat, on czterdzieści dwa. Wierz mi, na pewno mnie nie zostawi.

Wyprowadzka Hildy była dla niej ogromną ulgą. Teraz Ursula mogła snuć się wieczorami po domu w szlafroku i wałkach, podjadając pomarańcze oraz czekoladę i słuchając radia. Nie cho-

dziło o to, że Hilda miałyby coś przeciwko temu, przeciwnie, sama zapewne postępowałaby podobnie. Po prostu od wczesnego dzieciństwa Sylvie wbijała im do głowy zasady obyczajnego zachowania się w towarzystwie i trudno było ot tak o nich zapomnieć.

Po paru tygodniach samotności Ursula uświadomiła sobie, że w zasadzie nie ma żadnych przyjaciół, a ci, których miała, nie dbają o nią na tyle, aby zabiegać o podtrzymywanie z nią znajomości. Millie została aktorką i niemal przez cały czas podróżowała z objazdową trupą teatralną. Co pewien czas przysyłała Ursuli pocztówki z miejsc, których w innych okolicznościach najpewniej by nie odwiedziła – Staffordu, Gateshead, Grantham – rysując na odwrocie karykaturę siebie samej w takiej czy innej roli („Ja jako Julia, co za kpina!”). Ich przyjaźń właściwie nie przetrwała śmierci Nancy. Przygnieciona żałobą rodzina Shawcrossów zamknęła się w sobie, a gdy wreszcie Millie na nowo zaczęła żyć swoim życiem, odkryła, że Ursula jest już kimś zupełnie innym. Ursula często miała ochotę opowiedzieć jej o Belgrawii, wołała jednak nie ryzykować utraty tego, co zostało z ich kruchej relacji.

Pracowała teraz w dużej firmie importowej i nieraz, przysłuchując się paplaninie koleżanek z biura, zwierających się sobie z tego, co i z kim robiły, zachodziła w głowę, gdzie u licha poznały tych wszystkich ludzi – Gordonów, Charliech i Dicków, te wszystkie Mildred, Eileen i Very – wesołą, ruchliwą gromadkę przyjaciół, z którymi wychodziły do wodewilu i do kina, jeździły na łyżwach, pływały na kąpieliskach oraz pływalniach i jeździły na wycieczki do Epping Forest albo Eastbourne. Ursula nigdy tego nie robiła.

Pragnęła być sama, ale nie cierpiała samotności i była to zagadka, której nie potrafiła w żaden sposób rozwiązać. W pracy wyraźnie odstawała od pozostałych dziewcząt, zupełnie jakby uważały ją za starszą od siebie wiekiem i rangą, choć wcale tak nie było. Raz na jakiś czas ta czy inna z biurowej kliki proponowała Ursuli: – Może wyszłabyś z nami gdzieś po pracy? – Słowa te wynikały z życzliwości, lecz odbierała je jako jałmużnę, którą zapewne były. Zawsze im odmawiała. Podejrzewała – nie, *wiedziała* – że plotkują o niej za plecami, nie złośliwie, po prostu ze zwykłej ciekawości. Wyobrażały sobie, że w jej życiu musi być coś więcej: „zagadkowa z niej postać”, „cicha woda”. Byłyby rozczarowane, wiedząc, że *nie ma* niczego więcej, a ich stereotypowe domysły są znacznie ciekawsze od rzeczywistości, w jakiej żyła. Żadnej głębi, żadnych mrocznych sekretów (może w przeszłości, ale nie obecnie). Chyba żeby za coś takiego uznać alkohol. Domyślała się, że to by je zszokowało.

Praca była udręką – niekończące się listy przewozowe, deklaracje celne i zestawienia bilansowe. Same towary – rum, kakao, cukier – i ich egzotyczne miejsca pochodzenia wydawały się stać w sprzeczności z codzienną biurową nudą. Zdarzało jej się myśleć, że jest maleńkim trybikiem w wielkiej maszynie Imperium. – Nie ma nic złego w byciu trybikiem – twierdził Maurice, sam będący obecnie wielkim kołem zamachowym w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. – Świat potrzebuje trybików. – Ursula nie chciała być trybikiem, ale wyglądało na to, że Belgravia odebrała jej szanse na cokolwiek wspanialszego.

Dobrze wiedziała, jak zaczęło się jej picie. Nic dramatycznego, zwyczajna, swojska rzecz w rodzaju *boeuf bourguignon* – wołowiny po burgundzku, którą zamierzała przyrządzić dla Pameli, gdy ta kilka miesięcy wcześniej przyjechała z wizytą na weekend. Wciąż pracowała w laboratorium w Glasgow i chciała przed ślubem zrobić trochę zakupów. Harold też się jeszcze nie przeprowadził; w ciągu paru tygodni miał objąć nowe stanowisko w Royal London Hospital. – Spędzimy miły weekend tylko we dwie – cieszyła się Pamela.

– Hilda wyjechała – skłamała z łatwością Ursula. – Spędza weekend w Hastings ze swoją matką. – Nie było powodu, aby nie wyznać Pameli prawdy o jej układzie z Hildą, zwłaszcza że siostra była zawsze jedyną osobą, z którą mogła być szczerą, a jednak coś ją powstrzymało.

– Cudownie – powiedziała Pamela. – Przeciągnę materac Hildy do twojego pokoju i będzie jak za dawnych dobrych czasów.

– Cieszysz się, że wychodzisz za męża? – spytała Ursula, gdy leżały już w łóżkach. Wcale nie było jak za dawnych dobrych czasów.

– Oczywiście, że tak, dlaczego nie miałabym się cieszyć? Podoba mi się idea małżeństwa. Jest w niej coś gładkiego, krągłego i solidnego.

- Jak kamyk? – podsunęła Ursula.
- Jak symfonia. A raczej jak duet.
- To niepodobne do ciebie tak poetyzować.
- Podoba mi się to, co jest między naszymi rodzicami – odparła szczerze Pamela.
- Naprawdę? – Uplynęło sporo czasu, od kiedy Pamela przebywała dłużej w towarzystwie Hugh i Sylvie. Mogła nie wiedzieć, jak teraz między nimi jest. Raczej dysonans niż harmonia.
- A ty, poznałaś kogoś? – spytała ostrożnie Pamela.
- Nie. Nikogo.
- Na razie – powiedziała Pamela, siląc się na optymizm.

Żeby przyrządzić *boeuf bourguignon*, potrzebowała, rzecz jasna, burgundzkiego wina, wyskoczyła więc w porze lunchu do sklepu z winami, który codziennie mijała w drodze do pracy w City. Był to bardzo stary sklep; drewno, jakim był wyłożony, wyglądało, jakby wiekami moczone je w winie, a ciemne butelki opatrzone pięknymi etykietami zdawały się kryć w sobie obietnicę czegoś, co wykraczało daleko poza ich zawartość. Sprzedawca wybrał dla niej butelkę. Niektórzy używają do gotowania gorszego wina, powiedział, ale takie nadaje się wyłącznie do stosowania jako ocet. Sam był raczej skwaszony niż wylewny. Obchodził się z butelką czule i z troską przynależną niemowlęciu. Delikatnie zawinął ją w bibułę i wręczył Ursuli, ta zaś umieściła ją bezpiecznie w swoim plecionym koszyku na zakupy, w którym pozostała w ukryciu przez resztę popołudnia, aby koleżanki z pracy nie wzięły jej przypadkiem za ukrytą alkoholiczkę.

Zakup wina poprzedził zakup wołowiny i jeszcze tego samego wieczoru Ursula stwierdziła, że otworzy butelkę i wypije kieliszek na próbę – skoro sprzedawca tak wysoko je oceniał... Zdecydowanie nie była abstynentką i piła już wcześniej alkohol, lecz nigdy przedtem nie robiła tego w samotności. Nigdy też nie zdarzyło jej się otworzyć butelki drogiego burgunda i napełnić kieliszek tylko dla siebie (szlafrok, wałki, przyjemny ogień w gazowym kominku). Pomyślała, że to zupełnie tak, jakby w mroźną noc zanurzyć się w ciepłej kąpieli; wino miało głęboki, pełny bukiet i niesło nieoczekiwaną pociechę. Tak musiał smakować „kielich pełen Południa skwarnego”¹¹ Keatsa. Jej zwykle przygnębienie zdawało się ustępować, wypila więc kolejny kieliszek. – Tyci, tyci – powiedziała w przestrzeń i przyłapała się na myśli, że chciałaby mieć psa; wtedy miałyby przynajmniej z kim porozmawiać. Takiego jak Jock, który każdego ranka witałby ją z radosnym optymizmem i może nawet zaraziłby ją tą swoją wesołością. Jocka niestety nie było już wśród żywych – zawał serca, jak stwierdził weterynarz. – A przecież miał takie mocne serduszko – rozpaczał Teddy, którego własne serce po raz kolejny zostało złamane. Jego miejsce zajął smutnooki chart, który wydawał się zbyt delikatny jak na burzliwe koleje psiego losu.

Ursula umyła kieliszek i zatkała butelkę korkiem, pozostawiając w niej wystarczająco dużo wina, żeby nazajutrz przyrządzić wołowinę, po czym chwiejnie udała się do łóżka.

Zasnęła i spała jak zabita, dopóki nie rozległo się brzęczenie budzika – miła odmiana od zwykle niespokojnych nocy. „O, gdybyż go wychylić i w ten bór bezdenny, zostawiając świat, zapaść”¹². Po przebudzeniu zdała sobie sprawę, że w żaden sposób nie zdołałaby zająć się psem.

Kolejny dzień w pracy i popołudnie wypełnione żmudnym uzupełnianiem ksiąg; jedyną pociechę stanowiła myśl o do połowy pełnej butelce, czekającej na nią w kuchni na drewnianej suszarce do naczyń. Ostatecznie mogła przecież kupić jeszcze jedno wino do tej wołowiny.

– Aż tak smakowało? – zdziwił się sprzedawca, gdy dwa dni później Ursula zjawiała się ponownie w jego sklepie.

– Nie, nie – zaśmiała się – nic jeszcze nie ugotowałam. Pomyślałam, że powinnam podać gościom równie dobre wino do picia. – Mówiąc to, uświadomiła sobie, że nie będzie już mogła tu wrócić, do tego uroczego sklepu; ileż razy można bowiem przyrządzać *boeuf bourguignon*?

Na przyjazd Pameli zrobiła skromną zapiekankę z mielonego mięsa i ziemniaków, a na deser pieczone jabłka i słodki krem z mleka oraz jaj. – Przywiozłam ci prezent ze Szkocji – oznajmiła Pamela, wyciągając butelkę słodowej whisky.

*

Gdy butelka whisky została opróżniona, Ursula znalazła inny sklep z winem, którego

właściciel traktował swój towar z nieco mniejszym nabożeństwem. – Będę przyrządzać *boeuf bourguignon* – wyjaśniła, choć mężczyzna nie okazał najmniejszego zainteresowania powodem jej zakupów. – Wezmę od razu dwie butelki, bo gotuję dla większej liczby osób. – Potem było kilka butelek guinnessa z pubu na rogu. – To dla brata – dodała – wpadł z nieoczekiwaną wizytą. – Teddy nie miał jeszcze skończonych osiemnastu lat i Ursula wątpiła, aby pijał alkohol. Kilka dni później sytuacja się powtórzyła. – Znowu brat wpadł w odwiedziny? – spytał właściciel pubu i mrugnął do niej porozumiewawczo, a ona się zarumieniła.

We włoskiej restauracji w Soho, którą „mijała przypadkiem”, szczęśliwie nikt nie zadawał żadnych pytań, gdy kupowała dwie butelki chianti. Później była jeszcze „sherry prosto z beczki” – Ursula mogła pójść z dzbankiem do magazynu na końcu ulicy i po prostu go tam napełnić („To dla matki”) – oraz rum z pubów oddalonych od jej miejsca zamieszkania („Dla ojca”). Czuli się jak naukowiec, eksperymentujący z różnymi rodzajami alkoholi, a zarazem wiedziała, co smakowało jej najbardziej – tamten pierwszy kielich „prawdziwej, dziewiczej pełen Hippokreny”¹³, wino czerwone jak krew. Obmyślała, jak to zrobić, żeby zamówić go całą skrzynkę („Na rodzinną uroczystość”).

Zaczęła pić w ukryciu. Był to sekretny akt, intymny i celebrowany w samotności. Na samą myśl o alkoholu serce zaczynało jej mocniej bić, zarówno ze strachu, jak i z wyczekiwania. Niestety, ograniczana przez restrykcyjne przepisy dotyczące sprzedaży alkoholu z jednej strony, a obawę przed upokorzeniem z drugiej, młoda mieszkanka Bayswater, pragnąca zaspokoić swój nałóg, napotykała na znaczne trudności. Bogatym było znacznie łatwiej; Izzie na przykład miała gdzieś otwarty rachunek – zapewne w Harrodsie – dzięki czemu dostarczano jej zakupy pod same drzwi.

Ledwo Ursula zanurzyła stopy w wodach Lety, szybko straciła grunt pod nogami – od trzeźwości do pijaństwa w zaledwie parę tygodni. Picie stało się dla niej źródłem wstydu i sposobem na to, aby go nie odczuwać. Co rano budziła się z myślą: „Nie dziś; dzisiaj niczego nie wypiję”, lecz już po południu zaczynała w niej narastać tęsknota. Wyobrażała sobie, jak pod wieczór wraca do mieszkania, a tam czeka na nią zapomnienie. Czytała sensacyjne doniesienia o palarniach opium w Limehouse i zastanawiała się, czy są prawdziwe. Opium wydawało się lepszym lekarstwem na zagłuszenie bólu istnienia niż burgund. Izzie mogłaby jej zapewne wskazać jakąś chińską palarnię, już kiedyś „ciągnęła dymka”, jak się niefrasobliwie wyraziła, lecz Ursula czuła, że to pytanie zwyczajnie nie przejdzie jej przez gardło. Zamiast nirwaną (koniec końców okazała się jednak pojętną uczennicą doktora Kelleta) mogłoby się to skończyć nową Belgravią.

Izzie sporadycznie pozwalano wracać na łono rodziny („Wyłącznie z okazji ślubów i pogrzebów – zdecydowała Sylvie. – Ale nie na chrzciny”). Zaproszona na ślub Pamelii, ku przegromnej uldze Sylvie przysłała list z przeprosinami. „Weekend w Berlinie”, wyjaśniła. Znała kogoś, kto miał samolot („ekscytujące!”) i właśnie się tam wybierał. Ursula odwiedzała ją od czasu do czasu. Łączył je koszmar Belgravii – wspomnienie, które już na wieki uczyniło z nich współniczki – lecz nigdy do tego nie wracały.

W zastępstwie Izzie przysłała ślubny prezent, komplet srebrnych widelczyków deserowych, który niezwykle rozbawił Pamelę. – Co za banał – powiedziała do Ursuli. – Ona nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać.

– Prawie skończyłam – oznajmiła krawcowa z Neasden z ustami pełnymi szpilek.

– Chyba rzeczywiście trochę się zaokrągliłam – przyznała Ursula, patrząc na swoje odbicie w lustrze; żółty atlas niebezpiecznie się napinał, usiłując pomieścić jej wydatny brzuch. – Może powinienam wstąpić do Kobiecej Ligi Zdrowia i Urody.

Kompletnie trzeźwa potknęła się na drodze z pracy do domu. Był paskudny listopadowy wieczór, ciemny i deszczowy, kilka miesięcy po ślubie Pamelii, a ona zwyczajnie nie zauważyła płyty chodnikowej, której krawędź uniosła się lekko na wystającym korzeniu. Miała zajęte obie ręce – książki z bibliotek i zakupy spożywcze, wszystko zdobyte pośpiesznie w porze lunchu – i w pierwszym odruchu próbowała chronić zakupy oraz książki, a nie siebie. W rezultacie rąbnęła twarzą o chodnik, a cała siła uderzenia skupiła się na jej nosie.

Ból ją ogłuszył; nigdy jeszcze nie czuła czegoś porównywalnego. Przyklękła i objęła się ramionami, podczas gdy zakupy i książki wały się zapomniane na mokrym chodniku. Słyszała swoje zawodzenie, głośny lament – i nie mogła nic zrobić, żeby ucichł.

– Ojej – usłyszała nagle głos jakiegoś mężczyzny – ale się pani urządziła. Proszę pozwolić, że pomogę. Pani śliczny brzoskwiniowy szaliczek jest cały ubrudzony krwią. To kolor brzoskwiniowy czy raczej łososiowy?

– Brzoskwiniowy – wymamrotała Ursula, pomimo bólu zdobywając się na uprzejmość. Nigdy nie zwracała większej uwagi na moherowy szalik, który miała na szyi. Rzeczywiście silnie krwawiła. Czuła, że twarz jej puchnie; nozdrza wypełniała jej woń krwi, intensywna i metaliczna, jednak ból jakby odrobinę zelżał.

Mężczyzna okazał się dość przystojny, nie za wysoki, z płowymi włosami, błękitnymi oczyma i gładką, jakby wypolerowaną skórą, opinającą ładne kości policzkowe. Pomógł jej się podnieść. Jego dłoń była silna i sucha. – Nazywam się Derek, Derek Oliphant – powiedział.

– *Elephant?*

– Oliphant.

Trzy miesiące później wzięli ślub.

Derek pochodził z Barnet i jego korzenie były zdaniem Sylvie równie nieciekawe, jak wcześniej Harolda. W oczach Ursuli, rzecz jasna, właśnie na tym polegał cały jego urok. Nauczał historii w Blackwood, niewielkiej prywatnej szkole dla chłopców („Dzieciaki aspirujące do roli przyszłych sklepikarzy” – stwierdziła lekceważąco Sylvie) i w ramach zalotów zapraszał Ursulę na koncerty do Wigmore Hall i spacerów na Primrose Hill. Jeździli razem na długie wycieczki rowerowe, które kończyli w miłych pubach na peryferiach miasta – dla niego małe piwo, dla niej lemoniada.

Jej nos okazał się złamany. („Moje ty biedactwo – napisała do niej Pamela. – A miałaś taki ładny nos?”). Zanim odeskortaował Ursulę do szpitala, Derek zaprowadził ją do pobliskiego pubu, żeby doprowadziła się trochę do porządku. – Pozwoli pani, że zamówię jej kieliszeczek brandy – zaproponował, kiedy usiadła, lecz ona odparła: – Nie, nie, dziękuję. Wystarczy szklanka wody. Rzadko pijam alkohol – choć poprzedniego wieczoru straciła przytomność na podłodze swojej sypialni w Bayswater za sprawą butelki dżinu, wykradzonej Izzie. Nie miała oporów, żeby okradać Izzie, która tyle jej odebrała; Belgravia i tak dalej.

Jej pijaństwo skończyło się niemal równie nagle, jak się zaczęło. Ursula podejrzewała, że jest w niej pustka, którą pozostawił pobyt w Belgravii. Usiłowała wypełnić ją alkoholem, teraz jednak jego miejsce zajęły uczucia dla Dereka. Cóż to były za uczucia? Głównie ulga na myśl, że ktoś pragnie się nią zaopiekować – ktoś, kto nie ma pojęcia o jej wstydlivej przeszłości. „Zakochałam się” – pisała rozgorączkowana do Pameli. „Hura!” – odpisała Pamela.

Matka Dereka nadal mieszkała w Barnet, a jego ojciec nie żył, podobnie jak młodsza siostra. – Potworny wypadek – powiedział Derek. – W wieku czterech lat wpadła do kominka. – Sylvie zawsze zwracała szczególną uwagę na to, aby osłona kominkowa była rozstawiona. Sam Derek, będąc chłopcem, omal nie utonął, jak wyznał jej po tym, gdy opowiedziała mu o swojej przygodzie w Kornwalii. Było to jedno z nielicznych wydarzeń w jej życiu, którego – jak sądziła – była niemal całkowicie niewinną uczestniczką. A Derek? Silny przypływ, przewrócona łódź wiosłowa, heroiczna próba dopłynięcia na brzeg. Żaden pan Winston nie był mu potrzebny. – Sam się uratowałem – pochwalił się.

– W takim razie nie może być *całkiem* zwyczajny – orzekła Hilda, częstując Ursulę papierosem. Ta zawahała się, lecz odmówiła, niegotowa na kolejny nałóg. Była właśnie w trakcie pakowania swojego dobytku. Nie mogła się już doczekać, kiedy opuści Bayswater. Derek mieszkał w wynajętym pokoju w Holborn, ale właśnie finalizował zakup ich własnego domu.

– Tak przy okazji: napisałam do właściciela – powiedziała Hilda. – Poinformowałam, że obie się stąd wyprowadzamy. Mówiłam ci już, że żona Erniego da mu wreszcie rozwód? – Ziewnęła. – Oświadczył mi się, więc pomyślałam: czemu nie? Tak więc obie zostaniemy szanowanymi mężatkami. Będę cię mogła odwiedzać – gdzie to właściwie jest?

– W Wealdstone, w północno-zachodnim Londynie.

Lista gości zaproszonych na ich ślub w urzędzie stanu cywilnego została, zgodnie z życzeniem Dereka, ograniczona do jego matki oraz rodziców Ursuli. Pamela bardzo nad tym ubolewała. – Nie chcieliśmy dłużej czekać – tłumaczyła jej Ursula. – A Derek nie życzył sobie żadnego

zamieszania.

– A ty? Nie chciałaś mieć uroczystego ślubu? – spytała Pamela. – Chyba o to właśnie chodzi, kiedy ludzie się pobierają?

Nie, Ursula również nie życzyła sobie zamieszania. W końcu miała do kogoś należeć, narzeczona, bezpieczna, i tylko to się liczyło. Rola panny młodej nie miała dla niej żadnego znaczenia, w przeciwieństwie do roli żony. – Chcieliśmy, żeby wszystko odbyło się kameralnie – odparła rezydentnie („I tanio, jak widzę” – stwierdziła Izzie. Kolejny komplet banalnych srebrnych widelczyków deserowych powędrował do adresatki).

– Wygląda na całkiem przyjemnego gościa – zauważył Hugh podczas spotkania, będącego namiastką przyjęcia weselnego: trzydaniowy lunch w restauracji obok urzędu.

– I taki jest – zgodziła się Ursula. – Bardzo przyjemny.

– Niemniej jednak trochę to wszystko dziwaczne, niedźwiadku – rzekł Hugh. – Nie to, co wesele Pammy, prawda? Stawiła się na nim chyba połowa mieszkańców Old Kent Road. No i biedny Ted trochę się złościł, że go nie zaprosiłaś. Ale oczywiście liczy się przede wszystkim to, żebyś była szczęśliwa – dodał krzepiąco. – To jest najważniejsze.

Ursula włożyła do ślubu kostium w kolorze gołębim. Sylvie zadbała, aby wszyscy mieli przypięte na piersi bukietki ze szklarnianych róż, zamówione przez nią w kwiaciarni. – Niestety, to nie moje róże – wyjaśniła pani Oliphant. – Odmiana *Gloire des Mousseux*, jeśli to panią interesuje.

– Naprawdę bardzo ładne – odparła pani Oliphant takim tonem, że nie zabrzmiało to wcale jak komplement.

– Pospieszny ślub i żal po sam grób – mruknęła Sylvie, nie kierując tej uwagi do nikogo konkretnego, a następnie wzniosła kieliszek sherry w powściągliwym toaście za pomyślność młodej pary.

– Mam rozumieć, że ty żałowałaś? – spytał ją łagodnie Hugh. Sylvie uśmiechnęła się, że nie słyszy. Była tego dnia w wyjątkowo kłótliwym nastroju. – Moim zdaniem zaczynasz po prostu nowe życie – szepnął do Ursuli zażenowany ojciec.

– Moim też – odszepnęła. Hugh ścisnął ją za rękę i powiedział: – Moja córeczka.

– A czy Derek wie, że nie jesteś nietknięta? – spytała ją Sylvie, gdy zostały same z Ursulą w toalecie dla pań. Siedziały na miękko wyściełanych stołeczkach, poprawiając przed lustrem szminkę. Pani Oliphant siedziała nadal przy stole, jako że nie miała co poprawiać.

– Nietknięta? – powtórzyła Ursula, wpatrując się w odbicie matki w lustrze. Co Sylvie miała na myśli? Że jest uszkodzona? Ma jakąś ukrytą wadę?

– Mówię o twoim dziewictwie – odparła Sylvie. – O zerwaniu wianka – dodała niecierpliwie, widząc nic nierozumiejące spojrzenie Ursuli. – Jak na kogoś, kto dawno stracił niewinność, wydajesz się zaskakująco naiwna.

Kiedyś matka mnie kochała, pomyślała Ursula. Teraz już nie. – Nietknięta – powtórzyła raz jeszcze. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby roztrząsać tę kwestię. – Jak miałby się zorientować?

– Po krwi, rzecz jasna – rzuciła gniewnie Sylvie.

Ursula pomyślała o tapecie w glicynie. Zerwanie wianka. Nie widziała wówczas żadnego związku. Myślała, że krew pochodzi z jakiejś rany, a nie jest skutkiem sforsowania jej murów obronnych.

– Cóż, może niczego nie zauważy – westchnęła Sylvie. – To pewne, że nie będzie jedynym mężem oszukany w swoją noc poślubną.

– Świeże barwy wojenne? – zażartował lekko Hugh, gdy wróciły do stołu. Ted odziedziczył jego uśmiech. Za to Derek i pani Oliphant tak samo marszczyli czoła. Ursula była ciekawa, jak wyglądał pan Oliphant. Rzadko się o nim mówiło.

– „Próżności, twe imię kobieta” – wyrecytował Derek z – jak się wydawało – sztuczną jowialnością. Ursula zauważyła, że w przeciwieństwie do tego, co wcześniej sądziła, jej mąż nie czuje się zbyt swobodnie w większym towarzystwie. Uśmiechnęła się do niego, czując łączącą ich nową więź. Zrozumiała, że poślubiła obcego człowieka. („Każdy poślubi obcego człowieka” – stwierdził sentencjonalnie Hugh).

– W istocie chodzi o słabość – rzekła słodko Sylvie. – „*Słabości*, twe imię kobieta”. Hamlet.

Wielu ludzi z jakiegoś powodu mylnie cytuje ten fragment.

Przez twarz Dereka przemknął cień, ale zaraz zbył go śmiechem. – Chylę czoło przed pani imponującą wiedzą, pani Todd.

Ich nowy dom w Wealdstone został wybrany ze względu na swe położenie; względnie nieduża odległość dzieliła go od szkoły, w której uczył Derek. Dzięki różnorodnym inwestycjom rzadko wspomniany ojciec pozostawił mu w spadku „niewielką sumkę”. Był to „solidny” segment przy Masons Avenue, z szachulcowym murem w stylu tudoriańskim, oprawionymi w olów szybkami okiennymi i panelem witrażowym w drzwiach wejściowych, przedstawiającym galeon pod pełnymi żaglami, mimo że Wealdstone zdawało się leżeć kawał drogi od jakiegokolwiek oceanu. Sam dom miał wszystkie nowoczesne udogodnienia, a w pobliżu były sklepy, lekarz, dentysta oraz plac zabaw dla dzieci, słowem wszystko, czego młoda żona (i matka, zdaniem Dereka „zapewne już niedługo”) mogła potrzebować.

Oczywiście wyobraźni Ursula widziała siebie, jak je z Derekiem śniadanie, zanim wyprawi go do pracy, widziała siebie pchającą wózek z jego dziećmi – najpierw gondolę, potem spacerówkę – bujającą je na huśtawce, urządzającą im wieczorną kąpiel, a potem czytającą im bajki na dobranoc w ich ślicznym pokoiku. Wraz z Derekiem będą spędzali spokojne wieczory w salonie, słuchając radia. On będzie mógł pracować nad książką, którą pisał, podręcznikiem *Od Plantagenetów do Tudorów*. („O rety! – rzuciła Hilda. – Brzmi ekscytująco”). Wealdstone znajdowało się daleko od Belgravii. I dzięki Bogu.

Pokoje, w których miało się toczyć ich małżeńskie życie, musiały pozostać w sferze jej wyobraźni aż do końca miodowego miesiąca, jako że Derek kupił i umeblował dom, nie pokazując jej go wcześniej.

– Trochę to dziwne, nie uważasz? – stwierdziła Pamela. – Nie – odparła Ursula. – To ma być niespodzianka. Mój ślubny prezent od niego.

Gdy wreszcie Derek niezdarnie przeniósł ją przez próg w Wealdstone (weranda wyłożona czerwonymi płytkami, których nie zaakceptowałyby ani Sylvie, ani budowniczy „czerwonego domu” William Morris), Ursula nie mogła nie poczuć ukłucia rozczarowania. Ich dom okazał się bowiem o wiele bardziej staroświecki, niż to sobie wyobrażała. Raziła w nim ponura monotonia, która – jak przypuszczała – wynikała z braku kobiecej ręki podczas jego urządzania. Tym bardziej się zdumiała, gdy Derek przyznał: – Mama mi pomagała. – Ale rzeczywiście w obskurnym mieszkanku wdowy Oliphant w Barnet czuło się tę samą przytłaczającą atmosferę.

Sylvie spędziła swój miesiąc miodowy w Deauville, Pamela uprawiała piesze wędrówki w Szwajcarii, a małżeńskie życie Ursuli zaczęło się od wyjątkowo deszczowego tygodnia w Worthing.

Poślubiła jednego człowieka („całkiem przyjemnego gościa”), a obudziła się u boku innego, precyzyjnego jak słynny podróżny zegarek Sylvie.

Zmiana nastąpiła niemal natychmiast, wyzwolona przez ich miesiąc miodowy, jakby był on dla Dereka długo wyczekiwany rytuał przejścia od troskliwego zalotnika do rozczarowanego małżonka. Ursula winiła pogodę, która rzeczywiście była paskudna. Gospodyni pensjonatu, w którym się zatrzymali, oczekiwała, że będą opuszczali swój pokój między śniadaniem a kolacją o szóstej, spędzali więc długie godziny, chroniąc się przed deszczem w kawiarniach, galerii sztuki albo muzeum lub walcząc z wiatrem na molo. Wiezorami grywali w parze w wista z innymi (mniej zgnębionymi) gośćmi, a następnie udawali się na spoczynek do swojej chłodnej sypialni. Derek pod wieloma względami był kiepskim graczem, przegrywali więc nieomal każde rozdanie. Ursula miała wręcz wrażenie, że mąż celowo ignoruje jej próby zasygnalizowania mu swojej „ręki”.

– Dlaczego wyszedłeś w atu? – zapytała go później, autentycznie zaciekawiona, gdy obyczajnie rozbierali się przed snem w swoim pokoju. – Myślisz, że przykładam jakąkolwiek wagę do takich nonsensów? – odparł z wyrazem takiej pogardy na twarzy, że Ursula doszła do wniosku, iż w przyszłości lepiej będzie nie wciągać Dereka w jakiegokolwiek gry.

Podczas ich pierwszej wspólnej nocy krwawienie, czy raczej jego brak, przeszło niezauważone, ku jej olbrzymiej uldze. – Myślę, iż powinnaś wiedzieć, że nie jestem całkiem niedoświadczony – oświadczył dość pompatycznie Derek, gdy po raz pierwszy kładli się razem do łóżka. –

Uważam, że obowiązkiem męża jest poznać życie również i od tej strony. Jakże inaczej mógłby ochronić czystość swojej żony? – Dla Ursuli jego argument zabrzmiał co najmniej bałamutnie, lecz z oczywistych względów nie mogła się z nim spierać.

*

Każdego ranka Derek zrywał się wcześniej i niezmiernie wykonywał serię pompek, zupełnie jakby był w koszarach, a nie w podróży poślubnej. – W zdrowym ciele zdrowy duch, *mens sana in corpora sana* – powtarzał. Ursula uznała, że lepiej go nie poprawiać. Derek był bardzo dumny ze swojej łaciny, jak i z powierzchownej znajomości klasycznej greki. Jego matka zaciskała pasa i odkładała każdy grosz, aby zapewnić mu dobre wykształcenie – „Nic nie zostało mi podane na tacy, w przeciwieństwie do niektórych”. Ursula była całkiem niezła z łaciny, i z greki także, ale wolała się tym nie przechwalać. Choć oczywiście wtedy była to całkiem inna Ursula, nienaznaczona Belgravią.

Pożycie małżeńskie w wydaniu Dereka bardzo przypominało jego poranną gimnastykę, miał wówczas nawet ten sam wyraz twarzy, bolesny i pełen skupienia. Jeśli o niego chodziło, Ursula mogłaby równie dobrze być częścią materaca. Z drugiej strony, jakie właściwie miała porównanie? Bo przecież nie tamtą przygodę z Howiem? Żałowała teraz, że nie wypytała lepiej Hildy o to, co właściwie działo się w jej „pałacu rozkoszy” w Ealing. Myślała o Izzie, flirtującej na prawo i lewo, oraz o pełnym ciepła i czułości związku Pameli i Howarda. Wszystko to zdawało się sugerować, że uciechy cielesne mogą zapewnić człowiekowi jeśli nie pełnię szczęścia, to przynajmniej rozrywkę. Izzie mawiała: „Co warto jest życie, jeśli nie można się choć trochę zabawić?”. Ursula przeczuwała, że w Wealdstone nie będzie jej grozić nadmiar rozrywek.

Choć praca w biurze niewymownie męczyła ją swoją monotonią, było to nic w porównaniu z mordęgą codziennego prowadzenia domu. Stale trzeba było coś prac, szorować, odkurzać, polerować i zamiatać, nie mówiąc już o prasowaniu, składaniu, rozwieszaniu i wygładzaniu. I to wieczne *poprawianie*. Derek był człowiekiem, dla którego liczyły się proste kąty i linie. Ręczniki, serwetki, zasłony, dywaniki – absolutnie wszystko wymagało ciągłego poprawiania i wyrównywania (podobnie jak sama Ursula, jak się wkrótce okazało). Ale koniec końców był to jej obowiązek – czy nie na tym polegało małżeństwo? Mimo to Ursula nie mogła się pozbyć wrażenia, że jakby zatrudniono ją na permanentny okres próbny.

Łatwiej było jej zaakceptować niezachwianą wiarę Dereka w domowy porządek, niż z nią walczyć. („Miejsce na wszystko i wszystko na swoim miejscu”). Naczynia musiały być do czysta wyszorowane, sztućce wypolerowane i równo ułożone w szufladach – noże niczym żołnierze na paradzie, łyżki ciasno do siebie przytulone. Gospodyni domowa musi pełnić sumienną służbę przy ołtarzu Larów i Penatów, mawiał Derek. Zdaniem Ursuli słowo „ołtarz” należałoby w jej przypadku zastąpić „kominkiem”, zważywszy na czas, jaki spędzała na wymiataniu popiołu z paleniska i usuwaniu osadu z bojlera.

Derek zwracał szczególną uwagę na porządek. Twierdził, że nie potrafi myśleć, jeśli coś leży krzywo lub nie na swoim miejscu. „Czysty dom, czysty umysł”, powtarzał. Ursula przekonała się, że miał wielką słabość do aforyzmów. Z pewnością zaś nie mógł pracować nad podręcznikiem *Od Plantagenetów do Tudorów* w bałaganie, jaki Ursula zdawała się tworzyć przez samo swoje wejście do pokoju. Pilnie potrzebowali pieniędzy za książkę – pierwszą w jego dorobku – która miała się ukazać nakładem wydawnictwa Williama Collinsa, w związku z czym Derek zarekwirował ciasną jadalnię na tyłach domu (stół, kredens i tak dalej) na swój „gabinet”. Przez większość wieczorów Ursula obywatowała się bez jego towarzystwa, ponieważ musiał pisać. Ich dwoje powinno żyć za tyle co jedno, twierdził Derek, a tu proszę, ledwo są w stanie zapłacić rachunki z powodu jej rozrzutności, mogłaby więc przynajmniej dać mu trochę spokoju, żeby mógł zarobić na jej utrzymanie. I nie, uprzejmie dziękuje, ale nie potrzebuje jej pomocy w przepisywaniu manuskryptu na maszynie.

Dawne domowe nawyki Ursuli zakrawały teraz na niechlujstwo, nawet w jej własnych oczach. W Bayswater często pozwalała sobie na to, żeby nie ścielić łóżka i nie zmywać naczyń. Chleb z masłem wystarczył za dobre śniadanie, a jeśli o nią chodziło, gotowane jajko znakomicie

zastępowało podwieczerek. Życie w małżeństwie okazało się dużo bardziej wymagające. Śniadanie miało być podane na ciepło i każdego ranka czekać na stole o wyznaczonej porze. Derek nie mógł się spóźnić do szkoły, a śniadanie – stałą litanię owsianki, jajek i tostów – traktował z powagą godną (przyjmowanej samotnie) komunii świętej. W ciągu tygodnia jajka występowały w zmieniających się wariantach, jako jajecznicą, sadzone, gotowane i w koszulkach, z wyjątkiem piątku, gdy dla urozmaicenia w ich jadłospisie pojawiał się wędzony śledź. W weekendy Derek życzył sobie do jajek bekon, kielbaskę albo kaszankę. Jajka nie mogły pochodzić ze sklepu, lecz z odległego o trzy mile niewielkiego gospodarstwa, dokąd Ursula co tydzień szła na piechotę, ponieważ po przeprowadzce do Wealdstone Derek „dla oszczędności” sprzedał ich rowery.

Podwieczerek był kolejnym koszmarem, jako że musiała stale wymyślać nowe dania. Jej życie toczyło się teraz pod znakiem niekończących się kotletów, steków, zapiekanek, gulaszy i pieczeni, nie mówiąc już o puddingu, który wymagany był każdego dnia i zawsze w innej formie. „Stałam się niewolnicą książek kucharskich!” – pisała do Sylvie z fałszywym optymizmem, bo jej codzienne samopoczucie, gdy zgłębiała skomplikowane przepisy, było od tego dalekie. Pani Glover zyskała w jej oczach nowy szacunek. Rzecz jasna, pani Glover miała do dyspozycji wielką kuchnię, znacznie większy budżet i całą baterię przyborów kuchennych, podczas gdy ich kuchnia w Wealdstone była dość skromnie wyposażona, a pieniądze, jakie Ursula otrzymywała na prowadzenie domu, dziwnym sposobem nigdy nie wystarczały do końca tygodnia, ona zaś była stale rugana przez męża za swoją rozrzutność.

Mieszkając w Bayswater, nie przejmowała się zbyt swoimi finansami; jeżeli akurat brakowało jej pieniędzy, po prostu mniej jadła albo chodziła na piechotę, zamiast jeździć metrem. Kiedy szczególnie ją przycisnęło, zawsze mogła liczyć na pomoc Hugh czy Izzie, teraz jednak, gdy była zamężna, nie wypadało jej prosić ich o pieniądze. Derek byłby potwornie zażenowany i uznałby to za obrazę dla swojej męskości.

Po kilku miesiącach ograniczeń i niemających końca codziennych obowiązków Ursula doszła do wniosku, że oszaleje, jeśli nie znajdzie sobie jakiejś rozrywki, która da jej oddech od wypełnionych pracą dni. W drodze na zakupy mijała codziennie klub tenisowy. Przez drewniane ogrodzenie widać było tylko paliki od siatek, lecz zza zielonych drzwi w murze pokrytym białym, mozaikowym tynkiem dobiegały znajome, kojarzące się z wakacjami odgłosy odbijanych piłek, i pewnego dnia Ursula po prostu zastukała z pytaniem, czy mogłaby się zapisać.

– Zapisałam się do klubu tenisowego – oznajmiła Derekowi tego samego wieczoru po jego powrocie do domu.

– Nie pytałaś mnie – odparł Derek.

– Nie wiedziałam, że też grasz w tenisa.

– Nie gram. Miałem na myśli to, że nie pytałaś mnie o pozwolenie.

– Nie wiedziałam, że muszę o nie prosić. – Jakiś cień przemknął przez jego twarz, tak samo jak w dniu ich ślubu, gdy Sylvie poprawiła przywołany przez Dereka cytat z Szekspira. Tym razem jednak zagościł na dłużej, a Ursula wyczuła w mężu jakąś nieuchwytną zmianę, która pojawiła się wraz z ową chmurą, jakby coś wewnątrz niego zwiędło i się skurczyło.

– To co, mogę? – spytała, myśląc, że lepiej być potulną i nie szukać zwady. Czy Pammy też pytałaby Harolda o pozwolenie? I czy on by w ogóle tego oczekiwał? Ursula nie była pewna. Uświadomiła sobie, że nic nie wie o małżeństwie. Oczywiście związek Sylvie i Hugh wciąż pozostawał dla niej nieodgadnioną zagadką.

Zastanawiała się, jaki argument mógłby mieć jej mąż przeciwko grze w tenisa. On sam chyba żadnego nie znalazł, bo koniec końców odparł niechętnie: – Chyba tak. Pod warunkiem, że starczy ci czasu na zajmowanie się domem. – Po czym gdzieś w połowie podwieczorku – duszone kotlety jagnięce i ziemniaczane purée – gwałtownie wstał od stołu, wziął do ręki swój talerz i cisnął nim przez cały pokój, a następnie wyszedł z domu bez jednego słowa. Wrócił dopiero, gdy Ursula szykowała się do snu. Na twarzy miał wciąż ten sam grymas, jak wówczas, gdy wychodził, a kiedy kładli się do łóżka, rzucił jej krótkie „dobranoc”, które najwyraźniej z trudem przeszło mu przez gardło.

W środku nocy Ursula obudziła się, czując na sobie jego ciężar. Wtargnął w nią bez słowa,

a ona znów pomyślała o glicyniach.

Od tamtej pory na twarzy Dereka regularnie gościł ów marsowy wyraz (Ursula nazywała go w myślach „tą miną”) i sama była zdumiona, jak daleko jest gotowa się posunąć, byle tylko ugłaskać męża. Było to jednak całkiem beznadziejne zadanie, bo gdy raz wpadł w odpowiedni nastrój, Ursula działała mu na nerwy bez względu na to, co by zrobiła czy powiedziała, a wszelkie próby udobruchania go zdawały się jedynie pogarszać sytuację.

Nadszedł w końcu czas, aby złożyć wizytę pani Oliphant w jej domu w Barnet, pierwszą od czasu ich ślubu. Wcześniej wpadli tam tylko raz, na krótko – herbata i czerstwe bułeczki – żeby powiadomić ją o swoich zaręczynach, i więcej jej nie odwiedzali.

Tym razem pani Oliphant ugościła ich nie najświeższą sałatką z szynką i powściągliwą rozmową. Miała „w zanadrzu” kilka zaległych napraw, które czekały na Dereka, więc zaraz po posiłku przepadł gdzieś z narzędziami, pozostawiając swoim kobietom sprzątanie ze stołu. Gdy wszystko było już pozmywane, Ursula zaproponowała: – Może zrobię nam po filiżance herbaty? – na co pani Oliphant odrzekła: – Jeżeli chcesz – bez większej zachęty w głosie.

Zasiadły sztywno w bawialni, popijając gorący napój. Na ścianie wisiała oprawiona w ramki fotografia, ślubny portret pani Oliphant i jej świeżo upieczonego małżonka; pani Oliphant wyglądała bardzo pruderyjnie w stroju z początku stulecia. – Bardzo ładna – pochwaliła Ursula. – A ma pani może jakieś zdjęcia Dereka, kiedy był małym chłopcem? Albo jego siostry? – dodała, gdyż uważała, iż nie byłoby w porządku wykluczać dziewczynkę z rodzinnej historii tylko dlatego, że biedaczka nie żyła.

– Siostry? – powtórzyła pani Oliphant, marszcząc brwi. – Jakiej siostry?

– Tej, która umarła – odparła Ursula.

– Umarła? – Pani Oliphant wyglądała na zaskoczoną.

– Miałam na myśli pani córkę – wyjaśniła Ursula. – Tę, która wpadła do kominka – dodała, czując się jak idiotka; ostatecznie nie był to szczegół, o którym można by zapomnieć. Przyszło jej do głowy, że matka Dereka może być nieco ograniczona. Sama pani Oliphant robiła wrażenie zbitej z tropu, jakby usiłowała przypomnieć sobie dawno zapomniane dziecko. – Miałam tylko Dereka – oznajmiła wreszcie stanowczo.

– Tak czy inaczej – podjęła Ursula, jakby był to trywialny temat, który można ot tak zastąpić innym – teraz, kiedy już się urządziliśmy, musi nas pani koniecznie odwiedzić w Wealdstone. Jesteśmy bardzo wdzięczni za pieniądze, wie pani, te, które zostawił Derekowi w spadku pan Oliphant.

– Zostawił? Pieniądze?

– Zdaje się, że zapisał mu w testamencie jakieś akcje – tłumaczyła Ursula. Być może pani Oliphant została wyłączona z dziedziczenia.

– W testamencie? Gdy odszedł, zostawił po sobie wyłącznie długi. Mój mąż nie umarł – dodała, jakby to Ursula była lekko ograniczona. – Mieszka teraz w Margate.

Jakie inne kłamstwa i półprawdy czekały jeszcze, aby wyjść na światło dzienne? – zastanawiała się Ursula. Czy Derek rzeczywiście w dzieciństwie omal nie utonął?

– Utonął?

– Wypadł z łodzi wiosłowej i wpław dotarł do brzegu?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Mam was – rzucił Derek, stając w drzwiach tak nieoczekiwanie, że aż obie podskoczyły. –

O czym to tak plotkujecie?

– Schudłaś – zauważyła Pamela.

– Tak, chyba masz rację. Gram teraz w tenisa. – Zabrzmiało to tak, jakby wiodła całkiem normalne życie. Ursula zawzięcie uczęszczała do klubu tenisowego, bo tylko to dawało jej ulgę od klaustrofobicznego życia przy Masons Avenue, chociaż wiązało się z nieustającymi przesłuchaniami ze strony Dereka. Co wieczór po powrocie do domu pytał ją, czy grała w tenisa, mimo że zajęcia odbywały się popołudniami dwa razy w tygodniu. Stale też wypytywał Ursulę o jej partnerkę, żonę dentysty o imieniu Phyllis. Derek zdawał się pogardzać Phyllis, choć nigdy jej nie poznał.

Pamela przyjechała w odwiedziny aż z Finchley. – Najwyraźniej tylko w ten sposób można

się z tobą zobaczyć. Musisz bardzo lubić swoje małżeńskie życie. Albo Wealdstone – zaśmiała się. – Mama mówiła, że jej unikasz. – Po ślubie Ursula wszystkich unikała, odrzucając zaproszenia Hugh, żeby „wpadła” do nich na herbatkę, oraz aluzje Sylvie sugerującej, że najwyższa pora, aby Ursula zaprosiła ich do siebie na niedzielny lunch. Jimmy był w szkole, Teddy na pierwszym roku studiów w Oksfordzie – pisał jednak do niej urocze, długie listy – Maurice zaś, rzecz jasna, nie miał najmniejszego zamiaru odwiedzać nikogo ze swojej rodziny.

– Jestem pewna, że nie zależy jej aż tak bardzo na odwiedzinach. Wealdstone, sama rozumiesz. To zupełnie nie w jej guście.

Obie się roześmiały. Ursula prawie już zapomniała, jak to jest się śmiać. Poczula napływające do oczu łzy i musiała się odwrócić, udając, że zajmuje ją szykowanie podwieczorku. – Tak się cieszę, że przyjechałaś, Pammy.

– Przecież wiesz, że zawsze jesteś mile widziana w Finchley. Powinnaś sobie sprawić telefon, mogłybyśmy wtedy częściej rozmawiać. – Derek uważał telefon za kosztowny zbytek, ale Ursula podejrzewała, że po prostu nie chce, żeby się z kimkolwiek kontaktowała. Nie mogła jednak podzielić się z nikim swoimi podejrzeniami (a zresztą z kim? Z Phyllis? Z mleczarzem?), żeby ktoś przypadkiem nie uznał, że zwariowała. Odwiedzin Pameli wyczekiwała tak niecierpliwie, jak ludzie wyczekują upragnionych wakacji. W poniedziałek poinformowała Dereka: – W środę po południu przyjedzie do nas Pamela. – On zaś odparł: – Tak? – Robił wrażenie całkiem obojętnego, lecz ona poczuła ulgę, że przynajmniej tym razem obyło się bez marsowej miny.

Jak tylko skończyły jeść, Ursula szybko sprzątnęła ze stołu, pozmywała naczynia, wytarła je do sucha i odstawiła na swoje miejsce.

– A niech mnie – zdziwiła się Pamela – kiedy to stałaś się taką gospodynią, wzorową *Hausfrau*?

– Czysty dom, czysty umysł – odparła Ursula.

– Porządek jest przereklamowany – oświadczyła Pamela. – Na pewno wszystko gra?

Wyglądasz na okropnie przybitą.

– To ta pora miesiąca – skłamała Ursula.

– Och, co za pech. Ja przez najbliższych kilka miesięcy nie będę musiała się tym przejmować. Wiesz, o czym mówię?

– Będziesz miała dziecko? Ależ to wspaniała wiadomość!

– Prawda? Mama znowu zostanie babcią. – Maurice zdążył już dać początek nowemu pokoleniu Toddów. – Myślisz, że się ucieszy?

– Kto wie? Ostatnio jest dość nieprzewidywalna.

– Miło spędziłaś czas z siostrą? – spytał Derek, gdy tego wieczoru wrócił do domu.

– Cudownie. Spodziewa się dziecka.

– Doprawdy?

*

Nazajutrz jej jajka w koszulkach nie były „takie jak trzeba”. Ursula sama musiała przyznać, że jajko, które podała Derekowi na śniadanie, przedstawiało żaloszny widok; przypominało chorowitą meduzę, którą ktoś porzucił na toście, aby tam dokonała swego nędznego żywota. Na twarzy Dereka pojawił się chytry uśmieszek, jakby triumf na myśl, że udało mu się przyłapać ją na jakimś przewinieniu. Była to całkiem nowa mina. Gorsza niż poprzednia.

– Naprawdę spodziewasz się, że zjem coś takiego? – zapytał.

Przez myśl przemknęło jej kilka odpowiedzi, wszystkie jednak odrzuciła jako zbyt prowokujące. Odpowiedziała tylko: – Mogę ci zrobić jeszcze jedno.

– Dobrze wiesz – odparł – że godzinami muszę harować w pracy, którą gardzę, tylko po to, żeby cię utrzymać. Ty nie musisz sobie niczym zaprzętać tej swojej głupiutkiej makówki, prawda? Całymi dniami nic nie robisz – o, bardzo przepraszam – dodał sarkastycznym tonem – całkiem zapomniałem, że grasz w tenisa – i nie potrafisz nawet ugotować mi jajka.

Ursula nie miała pojęcia, że Derek gardzi swoją pracą. Co prawda wiecznie narzekał na zachowanie uczniów trzeciej klasy i nieustannie skarżył się, że dyrektor nie docenia jego wysiłków,

nigdy jednak nie przypuszczała, że jej mąż *nie cierpi* uczyć. Wyglądał, jakby zbierało mu się na płacz. Nieoczekiwanie zrobiło jej się go żal i powiedziała: – Zrobię ci jeszcze jedno.

– Nie fatyguj się. – Spodziewała się, że jajko wyląduje na ścianie – od czasu gdy zapisała się do klubu tenisowego, Derek nabrał zwyczaju rzucania jedzeniem – lecz zamiast tego wymierzył jej otwartą dłoń siarczyste uderzenie w bok głowy, tak mocne, że zatoczyła się na kuchenkę i osunęła na podłogę, gdzie pozostała na kolanach, jakby się modliła. Ból zaskoczył ją bardziej niż sam czyn.

Derek przeszedł przez kuchnię i stanął nad nią z talerzem, na którym wciąż spoczywało feralne jajko. Przez chwilę myślała, że roztrzaska go na jej głowie, lecz on jedynie przechylił talerz tak, że jajko zsunęło się prosto na czubek jej głowy. Następnie sztywnym krokiem opuścił kuchnię, a minutę później usłyszała trzask drzwi wejściowych. Jajko spłynęło jej po włosach i twarzy na podłogę, gdzie cicho pękło, tworząc niewielką żółtą kałużę. Ursula z trudem dźwignęła się na nogi i poszła po ścierkę.

Tamten ranek najwyraźniej zerwał w nim jakąś tamę. Ursula zaczęła łamać zasady, których istnienia nie była dotąd świadoma – za dużo węgla w kominku, za dużo zużytego papieru toaletowego, pozostawione przez zapomnienie światło. Skrupulatnie sprawdzał wszystkie paragony i rachunki, a ona musiała się tłumaczyć z każdego wydanego pensa i nie miała już żadnej luźnej gotówki.

Derek okazał się zdolny do niewiarygodnych awantur, prowokowanych przez najbanalniejsze drobiazgi, a gdy już raz zaczął, wyglądało na to, że nie potrafi przestać. Stale był podenerwowany. *Ona* stale go denerwowała. Co wieczór domagał się teraz szczegółowej relacji na temat tego, jak spędziła dzień. Ile książek wymieniła w bibliotece, co powiedział do niej rzeźnik, czy ktokolwiek ich odwiedził? Zrezygnowała z tenisa. Tak było łatwiej.

Drugi raz jej nie uderzył, ale przemoc zdawała się nieustannie wzbierać w jego wnętrzu niczym uspiiony wulkan, który Ursula niechętnie obudziła do życia. Stale usiłował przyłapać ją na jakimś błędzie, do tego stopnia, że nie miała chwili, żeby uspokoić skołowany umysł. Samo jej istnienie zdawało się wyprowadzać go z równowagi. Czy życie miało tak właśnie wyglądać, jak niekończąca się kara? (W zasadzie czemu nie, czy ostatecznie na to nie zasłużyła?).

Ursula popadła w dziwną apatię, jakby jej głowę wypełniła gęsta mgła. Doszła do wniosku, że jak sobie poszła, tak musi się wyspać. Może to była nowa odmiana *amor fati* doktora Kelleta. Ciekawe, co by powiedział o jej obecnym położeniu? A ściśle rzecz biorąc, co by powiedział o osobliwym charakterze jej męża?

Ursula miała być obecna na szkolnych zawodach sportowych. Było to ważne wydarzenie w kalendarium Blackwood i oczekiwano, że stawią się na nie żony wszystkich nauczycieli. Derek dał jej pieniądze na nowy kapelusz i zastrzegł: – Postaraj się ładnie wyglądać.

Poszła więc do pobliskiego sklepu z odzieżą dla kobiet i dzieci o nazwie A La Mode (choć próżno by tam szukać jakichś modnych strojów). To tam kupowała zawsze pończochy i bieliznę. Od ślubu nie sprawiła sobie żadnych nowych ubrań. Nie dbała o wygląd na tyle, żeby zadręczać Dereka o pieniądze.

Był to nijaki sklep w szeregu innych nijakich lokali – salonu fryzjerskiego, sklepu rybnego, warzywniaka i poczty. Ursula nie miała serca ani ochoty (ani pieniędzy), żeby pofatygować się do centrum do któregoś z eleganckich londyńskich domów towarowych (co zresztą powiedziałby Derek na taką wycieczkę?). Dawniej, gdy pracowała jeszcze w Londynie, zanim za sprawą małżeństwa w jej życiu nastąpił przełom, spędzała mnóstwo czasu u Selfridge'a i Petera Robinsona. Teraz miejsca te wydawały jej się równie odległe jak zamorskie kraje.

Wnętrze sklepu wraz z jego zawartością chroniła przed słońcem żółtopomarańczowa zasłona, coś w rodzaju grubego celofanu, który kojarzył jej się z etykietą na butelkach napoju energetycznego Lucozade i sprawiał, że wszystko, co znajdowało się w sklepowej witrynie, wyglądało zgoła nieciekawie.

Kapelusz nie był najpiękniejszy, ale Ursula uznała, że może być. Niechętnie przyjrzała się swemu odbiciu w sięgającym od podłogi do sufitu trzyczęściowym sklepowym lustrze. Widziana potrójnie, wyglądała trzy razy gorzej niż w swoim łazienkowym lusterku (jedynym w domu,

którego nie mogła uniknąć). Pomyślała, że już siebie nie rozpoznaje. Obrwała złą ścieżkę, otworzyła niewłaściwe drzwi i nie potrafiła odnaleźć powrotnej drogi.

Nagle ku swemu przerażeniu uświadomiła sobie, że z jej ust wyrwał się przeciągły jęk, żalony odgłos kompletnej rozpacz. Właścicielka sklepu wybiegła zza lady, wołając: – Już dobrze, moja droga, tylko nie płacz. To ta pora miesiąca, prawda? – Następnie kazała jej usiąść i podała filiżankę herbaty z herbatnikiem. Ursula nie wiedziała, jak wyrazić jej swoją wdzięczność za ten prosty gest dobroci.

Szkoła była oddalona o jedną stację, a po wyjściu z pociągu czekał ją jeszcze krótki spacer opustoszałą drogą. Potem Ursula włączyła się w strumień rodziców, płynący ku bramom Blackwood. Było to ekscytujące – i nieco przerażające – znaleźć się naraz w takim ścisku. Choć od jej ślubu minęło niecałe pół roku, zdążyła już zapomnieć, jak to jest przebywać w tłumie.

Nigdy wcześniej nie była w tej szkole i zaskoczył ją widok zwyczajnych, ceglanych murów i obrośniętych trawą chodników, całkiem inny od wiekowej instytucji, w której kształcili się mężczyźni z rodu Toddów. Teddy, a po nim Jimmy uczęszczali wzorem Maurice'a do dawnej szkoły Hugh, pięknego budynku z jasnoszarego kamienia, który urodą nie ustępował słynnym oksfordzkim college'om. („Ale w środku istna dzicz” – skonstatował Teddy). Tereny wokół szkoły były wyjątkowo pięknie utrzymane i nawet Sylvie podziwiała mnogość kwiatowych rabat. „Bardzo romantyczne nasadzenia”, skomentowała. W szkole Dereka nie uświadczyło się ani śladu romantyzmu, a teren przyszkolny zdominowały boiska. Chłopcy z Blackwood nie byli szczególnie oddani nauce, przynajmniej zdaniem Dereka, a czas wypełniali im niekończące się mecze rugby oraz krykieta. Kolejne zdrowe duchy w zdrowych ciałach. Tylko czy Derek był zdrowy na duchu?

Było już za późno, żeby zapytać go o siostrę i ojca; Ursula obawiała się, że wówczas nic nie powstrzymałoby wybuchu wulkanu. Tylko dlaczego ktoś miałby w ogóle zmyślać coś podobnego? Doktor Kellet na pewno znałby odpowiedź.

Wzdłuż krańca boiska lekkoatletycznego rozstawiono na krzyżakach stoły z przekąskami dla rodziców i pracowników szkoły. Herbata, kanapki i kawałki suchego szkockiego ciasta z owocami, które należało jeść palcami. Ursula zabawiła nieco dłużej przy bufetowym termosie z herbatą, rozglądając się za Derekiem. Uprzedził ją, że nie poświęci jej wiele czasu, ponieważ jest potrzebny „do pomocy”, i rzeczywiście, gdy wreszcie wyłowiła go wzrokiem na odległym skraju boiska, sumiennie dźwigał naręcze wielkich obręczy, których przeznaczenie było dla niej zagadką.

Wszyscy zgromadzeni wokół stołów zdawali się ze sobą dobrze zaznajomieni, zwłaszcza żony nauczycieli, i Ursula zdała sobie sprawę, że w Blackwood musiało się odbywać więcej towarzyskich spotkań, niż wspominał Derek.

Do stołu z herbatą podeszło dwóch starszych nauczycieli, spowitych w togi jak nietoperze, a ona w ogólnym gwarze wychwyciła nazwisko „Oliphant”. Na tyle dyskretnie, na ile to było możliwe, Ursula zbliżyła się do nich, udając ogromne zainteresowanie pastą krabową na swojej kanapce.

– Słyszałem, że młody Oliphant znów ma kłopoty.

– Doprawdy?

– Podobno uderzył chłopca.

– Nie widzę w tym nic złego. Ja sam stale swoich biję.

– Tyle że tym razem to coś poważnego. Rodzice zagrozili, że powiadomią policję.

– Nigdy nie potrafił zapanować nad klasą. Sakramencko zły z niego nauczyciel.

Wyładowawszy talerze ciastem, mężczyźni oddalili się, a Ursula podreptała za nimi.

– Mówią, że jest zadłużony po uszy.

– Może dorobi się na tej swojej książce.

Na te słowa obaj wybuchnęli serdecznym śmiechem, jakby usłyszeli świetny dowcip.

– Podobno zaprosił na dziś żonę.

– Serio? W takim razie lepiej uważajmy. Słyszałem, że jest niezrównoważona. – To też najwyraźniej bardzo ich rozbawiło. Nagły wystrzał z pistoletu startera, oznajmiający początek wyścigu, sprawił, że Ursula aż podskoczyła. Pozwoliła tamtym dwóm się oddalić. Jakoś przeszła jej ochota na podsłuchiwanie.

Dostrzegła idącego ku niej Dereka; zamiast obręczy dźwigał teraz inne nieporęczne brzemie: oszczepy. Krzyknął na dwóch chłopców, żeby mu pomogli, a ci posłusznie podbiegli. Przymykając koło Ursuli, jeden z nich zachichotał z cicha: – Tak jest, panie Słoni, już pędzę, panie Słoni. – Derek z wielkim łoskotem rzucił oszczepy na trawę i nakazał chłopcom: – Zanieście je na drugi koniec boiska. No, dalej, ruszać się. – Po czym podszedł do Ursuli i pocałował ją lekko w policzek, mówiąc: – Witaj, moja droga. – Wybuchnęła śmiechem, najzwyczajniej nie mogła się powstrzymać. Od wielu tygodni była to najmielsza rzecz, jaką od niego usłyszała, w dodatku przeznaczona nie dla jej uszu, lecz stojących w pobliżu dwóch żon nauczycieli.

– Powiedziałem coś zabawnego? – spytał, przyglądając się jej odrobinę zbyt długo, żeby mogła się czuć bezpieczna. Widziała, że aż kipi z wściekłości. W odpowiedzi pokręciła przecząco głową. Bała się, że wrzaśnie, czuła w sobie własny bulgoczący wulkan, gotów lada chwila wybuchnąć. Pomyślała, że zachowuje się jak histeryczka. *Nieźrównoważona*.

– Muszę obejrzeć skoki wzwyż starszych klas – powiedział Derek, obrzucając ją surowym spojrzeniem. – Wkrótce do ciebie dołączę. – Po czym odszedł, wciąż nachmurzony, a ona znów zaczęła się śmiać.

– Pani Oliphant? To pani jest żoną pana Oliphanta, prawda? – Żony nauczycieli rzuciły się na nią jak lwice na ranną zwierzynę.

Do domu wróciła również sama, jako że Derek musiał nadzorować wieczorną naukę i zapowiedział, że zje podwieczorek w szkole. Przyrządziła sobie byle jaki posiłek złożony ze smażonego śledzia oraz zimnych ziemniaków i poczuła nagłą tęsknotę za butelką dobrego czerwonego wina. A właściwie kilkoma butelkami pitymi kolejno, dopóki nie zapiałaby się na śmierć. Wyrzuciła ości śledzia do śmieci. „Jakże byłoby piękne, odejść bez konania...”. Wszystko byłoby lepsze od tej żalostnej egzystencji.

Derek był obiektem drwin – dla chłopców, dla innych nauczycieli. *Pan Słoń*. Z łatwością wyobraziła sobie, jak uczniowie trzeciej klasy swoim zachowaniem doprowadzają go do wściekłości. A książka, którą pisał? Co z nią?

Do tej pory nie zaprzętała sobie nigdy głowy tym, co kryło się w „gabiniecie” Dereka. Nigdy też nie interesowała się Plantagenetami ani Tudorami, jeśli o to chodzi. Gdy odkurzała i pucowała jadalnię (jak wciąż lubiła ją w myślach nazywać), miała wyraźny zakaz dotykania jakichkolwiek jego papierów czy książek i wcale jej one nie obchodziły, rzucała tylko okiem na ogólny postęp prac nad wiekopomnym dziełem Dereka.

Ostatnio pisał zapamiętałe, cały stół pokryty był notatkami i kawałkami papieru. Same odezwane zdania i myśli: „dość zabawne, choć poniekąd prymitywne przekonanie”; „*planta genista*, z łac. janowiec, stąd nazwa rodu Andegawenów”; „ród ten wywodzi się od diabła i składa się z diabłów wcielonych”. Ani śladu gotowego manuskryptu, wyłącznie poprawki i skreślenia, jeden i ten sam akapit wciąż na nowo przepisywany, za każdym razem z drobnymi zmianami; poza tym całe sterty zeszytów w linie, z herbem i mottem szkoły Blackwood na okładce (*A posse ad esse* – „Od móc do być”), pełnych brudnopisów i wprawek. Nic dziwnego, że nie chciał, żeby przepisywała mu książkę na maszynie. Zrozumiała, że poślubiła kogoś, kto poświęcił się dziełu, które go przerastało.

Całe życie Dereka było fikcją. Nawet pierwsze słowa, jakie od niego usłyszała („Ojej, ależ się pani urządziła. Proszę pozwolić, że pomogę”) nie były szczere. Czego on od niej chciał? Potrzebował kogoś słabszego od siebie? A może żony, matki dla swoich dzieci, kogoś, kto prowadziłby mu dom, całej tej otoczki codzienności *la vie quotidienne*, tyle że bez nieodłącznego chaosu? Poślubiła go właśnie dlatego, żeby uciec od tego chaosu, teraz zaś rozumiała, że on ożenił się z nią dokładnie z tego samego powodu. Tymczasem oboje byli ostatnimi ludźmi na ziemi, którzy mogliby dać komukolwiek poczucie bezpieczeństwa.

Ursula przejrzała zawartość szuflad w kredensie i znalazła plik listów. Na pierwszym z wierzchu widniał nagłówek wydawnictwa William Collins i Synowie, które „z wielkim żalem” zawiadamiało Dereka o odrzuceniu jego pomysłu na książkę z uwagi na „i tak już bogaty rynek książek historycznych”. Były tam jeszcze podobne listy od innych wydawców podręczników i – co gorsza – niezapłacone rachunki wraz z ostatecznymi wezwaniem do ich uregulowania. Nadawca

wyjatkowo szorstkiego w tonie listu żądał natychmiastowej spłaty pożyczki zaciągniętej najwyraźniej na zakup domu. Treścią dokładnie przypominał te, które Ursula zwykła była spisywać ze słuchu podczas dyktand w szkole dla sekretarek: „Szanowny Panie, zwrócono mi uwagę na fakt, iż...”.

Na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych serce stanęło jej w piersi. W progu jadalni stanął Derek, niczym złowrogi intruz z kart mrocznej powieści. – Co ty tu robisz?

Uniosła w ręce list od Williama Collinsa i powiedziała: – Jesteś skończonym kłamcą. Dlaczego się ze mną ożeniłeś? Dlaczego unieszczęśliwiłeś nas oboje? – Jego twarz. *Ta mina*. Wystawiała się na pewną śmierć, ale czy nie było to lepsze od śmierci z własnej ręki? Nic już jej nie obchodziło, całkiem straciła wolę walki.

Spodziewała się pierwszego ciosu, ale ten i tak ją zaskoczył; dostała pięścią w sam środek twarzy z taką siłą, jakby Derek chciał jej roztrzaskać czaszkę.

*

Zasnęła, a może straciła przytomność na podłodze w kuchni; w każdym razie tam się obudziła kilka minut przed szóstą. Było jej niedobrze, miała zawroty głowy, wszystko ją bolało, całe jej ciało było jak z ołowiu. Rozpaczliwie pragnęła choć łyka wody, lecz nie ośmieliła się odkręcić kranu z obawy, że zbudzi Dereka. Z pomocą krzesła, a następnie stołu zdołała jakoś dźwignąć się na nogi. Odszukała buty i przemknęła się do holu, gdzie zdjęła z wieszaka swój płaszcz i chustkę na głowę. W marynarce Dereka był jego portfel, wyjęła więc z niego dziesięciofuntowy banknot – starczy aż nadto na bilet do metra, a później na taksówkę. Na samą myśl o wyczerpującej podróży zrobiło jej się słabo; nie była pewna, czy zdoła dojść pieszo choćby do stacji Harrow & Wealdstone.

Włożyła płaszcz i naciągnęła chustkę na twarz, unikając patrzenia w wiszące w holu lustro. Widok byłby zbyt przerażający. Drzwi wejściowe zostawiła lekko uchylone, nie chcąc ryzykować, że szcęk zamka wyrwie go ze snu. Przyszła jej na myśl Ibsenowska Nora, zatrząskująca za sobą drzwi; z pewnością darowałyby sobie teatralne gesty, gdyby musiała uciekać przed Derekiem Oliphantem.

To był najdłuższy spacer w jej życiu. Serce biło jej tak prędko, iż bała się, że zaraz pęknie. Przez całą drogę spodziewała się usłyszeć za sobą jego kroki, ujrzeć, jak za nią biegnie, wykrzykując głośno jej imię. Przy kasie z trudem zdołała wykrztusić: – Do Euston – przez połamane zęby, z ustami pełnymi krwi. Kasjer spojrzał na nią i widząc, w jakim jest stanie, szybko odwrócił wzrok. Domyśliła się, że nie ma wielkiego doświadczenia w kontaktach z pasażerkami, które wyglądały, jakby dopiero co stoczyły pojedynek na gołe pięści.

Przez kolejne koszarne dziesięć minut czekała w toalecie dla pań na pierwszy tego dnia pociąg, ale przynajmniej zdołała napić się wody i choć trochę obmyć z twarzy zaschniętą krew.

W wagonie usiadła ze spuszczoną głową, osłaniając twarz ręką. Mężczyźni w garniturach i melonikach starannie ją ignorowali. Czekając na odjazd pociągu, odważyła się zerknąć na peron i z ulgą stwierdziła, że nigdzie nie widać Dereka. Przy odrobinie szczęścia nie zauważył jeszcze jej nieobecności i nadal ćwiczył pompki na podłodze ich sypialni, przekonany, że Ursula szykuje mu w kuchni śniadanie. Był piątek, dzień wędzonego śledzia. A tymczasem śledź wciąż leżał na półce w spiżarni, zawinięty w gazetę. Derek będzie wściekły.

Gdy wysiadła na stacji w Euston, nogi prawie się pod nią ugięły. Ludzie omijali ją szerokim łukiem i bała się, że taksówkarz nie zechce jej zabrać, zgodził się jednak, gdy pokazała mu pieniądze. W milczeniu jechali przez mokry po nocnym deszczu Londyn. Kamienne budynki błyszczały w pierwszych promieniach słońca, a lekko zachmurzony świt mienił się różem i błękitem. Już zapomniała, jak bardzo lubiła to miasto. Jej serce napełniło się otuchą. Minionej nocy wybrała życie i teraz bardzo chciała żyć.

Gdy dojechali na miejsce, taksówkarz pomógł jej wysiąść z auta. – Jest panienka pewna, że to właściwy adres? – spytał, spoglądając z powątpiewaniem na wielki dom z czerwonej cegły przy Melbury Road. Ursula bez słowa skinęła głową.

To było nieuniknione – dokąd indziej miałyby pójść?

Zadzwoniła do frontowych drzwi, a te stanęły otworem. Na widok jej twarzy przerażona Iz-

zie zasłoniła usta dłonią. – O mój Boże! Co ci się *stało*?

– Mój mąż usiłował mnie zabić.

– W takim razie wejdź lepiej do środka – powiedziała Izzie.

Rany goiły się bardzo powoli. – Blizny wojenne – mówiła Izzie.

Jej dentysta zajął się zębami Ursuli, przez pewien czas musiała też nosić prawą rękę na temblaku. Miała złamany nos – po raz kolejny – pękniętą szczękę i zgruchotane kości policzkowe. Przestała być *nietknięta* i teraz rzeczywiście była uszkodzona. Z drugiej strony miała takie wrażenie, jakby ktoś do czysta ją wyszorował. Przeszłość nie ciążyła już tak bardzo na jej teraźniejszości. Napisała do Fox Corner, że wyjeżdża na całe lato „zwiedzać północną Szkocję z Derekiem”. Była niemal pewna, że mąż nie skontaktuje się z jej rodziną. Gdzie indziej będzie lizał swoje rany, na przykład w Barnet. Dzięki Bogu nie miał pojęcia, gdzie mieszka Izzie.

Izzie zaś okazała jej zaskakująco dużo współczucia. – Możesz tu zostać, jak długo zechcesz – rzekła. – Dla mnie to będzie miła odmiana, gubię się już sama w tych wszystkich pokojach. A Bóg jeden wie, że mam aż nadto pieniędzy, żeby cię utrzymać. Nie musisz się nigdzie spieszyć – dodała. – Naprawdę. Poza tym masz dopiero dwadzieścia trzy lata, na litość boską. – Ursula nie wiedziała, co było bardziej zdumiewające: autentyczna gościnność ciotki czy to, że wiedziała, ile jej bratanica ma lat. Może Izzie też się zmieniła po Belgravii.

Pewnego wieczoru siedziała sama w domu, gdy nagle w drzwiach stanął Teddy. – Nielatwo było cię znaleźć – powiedział, mocno ją przytulając. Serce Ursuli podskoczyło z radości. Dziwnym zrządzeniem losu Teddy zawsze wydawał jej się bardziej rzeczywisty niż inne znane jej osoby. A teraz jeszcze zmęźniał i opalił się, spędziwszy długie lato w gospodarstwie należącym do Ettringham Hall. Jakiś czas wcześniej oświadczył, że zamierza zostać rolnikiem. – W takim razie poproszę o zwrot pieniędzy, które wydałam na twoją edukację – odparła Sylvie z uśmiechem; Teddy był w końcu jej ulubieńcem.

– Jeśli się nie mylę, to były *moje* pieniądze – zauważył Hugh. (Czy Hugh miał swojego ulubieńca? – Jeśli już, to ciebie – rzekła Pamela).

– Co się stało z twoją twarzą? – spytał ją Teddy.

– Mały wypadek. Szkoda, że wcześniej mnie nie widziałeś – zaśmiała się.

– No i nie jesteś w Szkocji.

– Na to wygląda.

– Mam rozumieć, że od niego odeszłaś?

– Tak.

– I bardzo dobrze. – Teddy, podobnie jak Hugh, unikał zbędnych słów. – A gdzie nasza szalona cioteczka? – zapytał.

– Znów gdzieś szaleje. W klubie Embassy, jak sądzę. – Żeby uczcić wolność Ursuli, wypili nieco szampana Izzie.

– Obawiam się, że w oczach mamy będziesz zhańbiona – powiedział Teddy.

– Nie martw się. I tak byłam już od dawna.

We dwójkę usmażyli omlet i zjedli go z sałatką z pomidorów, trzymając talerze na kolanach i słuchając w radiu Berta Ambrose’a i jego orkiestry. Gdy skończyli, Teddy zapalił papierosa. – Ależ ty ostatnio wydorostałaś – zaśmiała się Ursula. – Mam nawet mięśnie – odparł, demonstrując jej swoje bicepsy niczym siłacz w cyrku. Studiował literaturę angielską w Oksfordzie i – jak powiedział – wspaniale było przestać myśleć i „po prostu pracować na roli”. Okazało się też, że pisał wiersze. O ziemi, nie o „uczuciach”. Śmierć Nancy złamała mu serce, a gdy już coś raz zostanie złamane, powiedział, nigdy nie będzie jak nowe. – Bardzo w duchu Henry’ego Jamesa, prawda? – zauważył ze smutkiem. (Ursula natychmiast pomyślała o sobie).

Osamotniony Teddy pielęgnował swe rany wewnątrz; miejsce w sercu, z którego wyrwano małą Nancy Shawcross, znaczyła szeroka blizna. – To tak – próbował wyjaśnić Ursuli – jakbyś weszła do pokoju i twoje życie nagle się skończyło, a mimo to nadal żyjesz.

– Chyba rozumiem. Tak, na pewno rozumiem – odrzekła.

Ursula zdrzemnęła się z głową na ramieniu Teddy'ego. Nadal czuła potworne zmęczenie. („Sen jest najlepszym lekarzem” – mawiała Izzie, przynosząc jej co rano tacę ze śniadaniem).

W końcu Teddy westchnął, wyprostował się i rzekł: – Powiniennem chyba wracać do Fox Corner. Mam im powiedzieć, że cię widziałem? Czy nadal bawisz w pięknej Szkocji? – Odniósł talerze do kuchni. – Namyśl się, a ja w tym czasie posprzątam.

Gdy rozległ się dźwięk dzwonka, Ursula uznała, że to na pewno Izzie. Teraz, gdy mieszkały razem przy Melbury Road, ciotka miała bardzo lekceważący stosunek do noszenia kluczy. – Przecież stale jesteś w domu, kochanie – tłumaczyła, gdy Ursula musiała gramolić się z łóżka o trzeciej nad ranem, żeby jej otworzyć.

Tyle że tym razem była to nie Izzie, ale Derek. Ursula stanęła tak zaskoczona, że aż zaniemówiła. Do tego stopnia zostawiła za sobą przeszłość, że myślała o nim jak o kimś, kto dawno przestał istnieć. Nie pasował do Holland Park, gościł w jakimś mrocznym zakątku jej wyobraźni.

Wykręcił jej rękę za plecy i zmusił, żeby weszła do holu, a następnie do salonu. Tam spojrział na stolik do kawy, ciężki drewniany mebel rzeźbiony na orientalną modłę. Na widok wciąż tam stojących pustych kieliszków po szampanie i dużej, onyksowej popielniczki z niedopałkami papierosów Teddy'ego, syknął: – Kto tu z tobą jest? – Cały płonął z wściekłości. – Z kim tu cudzołożyłaś?

– Cudzołożyłam? – powtórzyła Ursula, zdumiona jego doborem słów. Jakże to było biblijne. Do pokoju wszedł Teddy, ze ścierką do naczyń niedbale przerzuconą przez ramię. – Co tu się dzieje? – zapytał i zaraz dodał: – Puść ją!

– Czy to on? – zwrócił się Derek do Ursuli. – Czy to z nim się łajdaczysz po całym Londynie? – i nie czekając na odpowiedź, uderzył jej głową o blat rzeźbionego stolika, a ona osunęła się na podłogę. Ból był okropny i z chwili na chwilę potężniał, jakby jej głowa znalazła się w imadle, które ktoś bezlitośnie zaciskał. Derek ujął w dłonie onyksową popielniczkę, jakby to był kielich mszalny, zupełnie nie zważając na niedopałki, które posypały się na dywan. Ursula wiedziała, że umysł płata jej figle, ponieważ zamiast kulić się ze strachu, potrafiła jedynie myśleć o tym, jak bardzo ta scena przypomina jej tamten incydent z jajkiem i jak idiotyczne potrafi być życie. Teddy wrzasnął coś, na co Derek cisnął w niego popielniczką, zamiast roztrzaskać nią czaszkę Ursuli. Nie widziała, czy pocisk trafił do celu, gdyż Derek znów chwycił ją za włosy, poderwał jej głowę do góry i po raz drugi uderzył nią o blat stolika. Przed oczyma przemknęła jej błyskawica, ale ból zaczął powoli ustępować.

Osunęła się na dywan, niezdolna wykonać żadnego ruchu. Krew zalewała jej oczy tak, że prawie nic nie widziała. Gdy jej głowa po raz kolejny złączyła się z blatem stolika, Ursula poczuła, że coś w niej pękło – może wola życia? Z odgłosów dziwnego tańca, rozgrywającego się obok niej na dywanie, pełnego szurania i sapania, wiedziała, że Derek i Teddy mocują się ze sobą. Przynajmniej Teddy mógł stać o własnych siłach, a nie leżał gdzieś nieprzytomny. Nie chciała jednak, żeby walczył, wołałaby, aby uciekał stąd, gdzie groziło mu niebezpieczeństwo. Chciała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobył się tylko gardłowy bełkot. Było jej bardzo zimno i czuła się zmęczona. Pamiętała, że tak samo było kiedyś w szpitalu, zaraz po Belgravii. Ale wtedy był przy niej Hugh i ścisnął ją za rękę, utrzymując przy życiu.

W radiu wciąż grał Ambrose, a Sam Browne śpiewała piosenkę *Słońce jest dziś w kapeluszu*. Przy czymś takim przyjemnie było rozstawać się ze światem. Nie tego się spodziewała.

Czarny nietoperz przybył po nią, lecz ona nie chciała odejść. Ciemność ją osaczała. *Cicha śmierć*. Zrobiło się okropnie zimno. Wieczorem spadnie śnieg, pomyślała, choć to nie była zima. Już teraz padało, zimne płatki rozpuszczały jej się na skórze jak mydło. Ursula wyciągnęła dłoń do Teddy'ego, żeby ją zatrzymał, ale tym razem nic nie mogło jej ocalić przed upadkiem w mrok.

11 lutego 1926

– Auć! Dlaczego to zrobiłaś? – wrzasnął Howie, pocierając policzek w miejscu, gdzie Ursula go uderzyła, zupełnie nie jak na damę przystało. – Cholernie mocny prawy sierpowy jak na taką drobinę – dodał niemal z podziwem.

Znów próbował ją pochwycić, ale wyśliznęła mu się, zwinna jak kotka. Niemal w tej samej chwili dostrzegła piłkę Teddy’ego, wbitą głęboko w zarośla irgi. Dobrze wymierzony kopniak w goleń Howiego dał jej akurat tyle czasu, ile potrzebowała na wydobywanie piłki z objęć opornego krzewu.

– Chodziło mi tylko o buziaka – powiedział Howie, nieprawdopodobnie urażony. – Przecież nie próbowałem cię *zgwalczyć* ani nic z tych rzeczy. – Emanujące przemocą słowo zawisło między nimi w chłodnym powietrzu. Normalnie Ursula zarumieniłaby się na jego dźwięk – powinna się była zarumienić – lecz nagle wydało jej się ono dziwnie bliskie i znajome. Przeczuwała, że gwałt to coś, czego chłopcy tacy jak Howie dopuszczają się wobec dziewcząt takich jak ona. Wszystkie dziewczęta, a zwłaszcza te obchodzące właśnie swoje szesnaste urodziny, musiały bardzo uważać, przemierzając ciemny groźny las. Albo, jak w jej przypadku, zarośla w głębi ogrodu w Fox Corner. Ursula odczuła pewną satysfakcję, widząc, że Howie wygląda na lekko zawstydzonego.

– Howie! – dobiegło ich wołanie Maurice’a. – Bo odjedziemy bez ciebie, stary!

– Lepiej już idź – poradziła mu Ursula, odnotowując mały triumf swej nowo odkrytej kobiecości.

– Znalazłam twoją piłkę – poinformowała Teddy’ego.

– Doskonale – ucieszył się brat. – Wielkie dzięki. Może zjemy jeszcze po kawałku twojego urodzinowego tortu?

Sierpień 1926

Il se tenait devant un miroir long, appliqué au mur entre les deux fenêtres, et contemplait son image de très beau et très jeune homme, ni grand ni petit, le cheveu bleuté comme un plumage de merle¹⁴.

Nie mogła czytać, bo oczy same jej się zamykały. Było cudowne upalne lato, czas płynął leniwie, a dni snuły się, wypełnione z braku lepszego zajęcia czytaniem książek i długimi spacerami – zwykle w nadziei na to, że wpadnie przypadkiem na Benjamina Cole’a albo kóregokolwiek z synów ich sąsiadów, wszyscy bowiem wyrosli na śniadych, ciemnowłosych i bardzo przystojnych młodzieńców. – Mogliby udawać Włochów – mawiała Sylvie. Tylko po co mieliby kogokolwiek udawać?

– Czy wiesz – zagadnęła Ursulę, zastając ją leżącą pod jabłonką z egzemplarzem *Chéri* bez trosko porzuconym na rozgrzanej trawie – że w twoim życiu już nigdy nie powtórzą się takie długie leniwe dni? Wydaje ci się, że znowu nadejdą, ale niestety.

– Chyba że będę niewiarygodnie wprost bogata – odparła Ursula. – Wtedy całe dni spędzę na próżnowaniu.

– Być może – przyznała Sylvie, niechętnie rezygnując z nowo nabytej pesymistycznej postawy. – Ale każde lato kiedyś się kończy. – Opadła na trawę obok córki. Jej skóra była cała usiana piegami od pracy w ogrodzie. Sylvie zawsze wstawiała razem ze słońcem, podczas gdy Ursula byłaby najszczęśliwsza, mogąc cały dzień spać. Matka przerzuciła od niechcenia kilka kartek powieści Colette i zauważyła: – Powinnaś się bardziej przykładać do francuskiego.

– Mogłabym zamieszkać w Paryżu.

– Akurat nie *to* miałam na myśli.

– Sądzi mama, że po skończeniu szkoły mogłabym złożyć podanie o przyjęcie na uniwersytet?

– Doprawdy, kochanie, nie szkoda ci czasu? Nie nauczą cię tam, jak być żoną i matką.

– A jeśli ja nie chcę być żoną i matką?

Sylvie roześmiała się. – Pleciesz trzy po trzy, żeby mnie sprowokować. – Poglaskała Ursulę po policzku. – Zawsze było z ciebie zabawne stworzenie. Przed domem czeka podwieczorek – dodała, wstając niechętnie. – Jest ciasto. I, niestety, Izzie.

– Kochanie! – wykrzyknęła Izzie, widząc nadchodzącą przez trawnik Ursulę. – Ależ ty urosłaś od naszego ostatniego spotkania. Jesteś już kobietą, i w dodatku jaką ładną!

– Niezupelnie – mruknęła Sylvie. – Właśnie rozmawialiśmy o jej przyszłości.

– Naprawdę? – zdziwiła się Ursula. – Myślałam, że rozmawialiśmy o moim francuskim. Potrzebuję solidniejszego wykształcenia – zwróciła się do ciotki.

– Jaka poważna – zauważyła Izzie. – Mając szesnaście lat, powinnaś kochać się na zabój w jakimś nieodpowiednim chłopcu. – I tak jest, pomyślała Ursula; kocham się na zabój w Benjamine Cole’u. Przypuszczała, że rzeczywiście jest dla niej nieodpowiedni. (Wyobraziła sobie Sylvie mówiącą: – „Żyd?!”. Ewentualnie katolik, górnik – rzecz jasna, każdy cudzoziemiec – sklepikarz, urzędnik, stajenny, tramwajarz czy nauczyciel. Nieodpowiednich mężczyzn była cała masa).

– A *ty*? – spytała ciotkę Ursula.

– Co ja? – nie zrozumiała Izzie.

– Kochałaś się w kimś na zabój jako szesnastolatka?

– Och, i to jeszcze jak!

– Ty też? – zwróciła się do matki.

– Dobry Boże, skąd – odrzekła Sylvie.

– Ale mając siedemnaście lat, musiałaś już być zakochana – stwierdziła Izzie, przypatrując

się uważnie Sylvie.

– Musiałam?

– Przecież właśnie wtedy poznałaś Hugh.

– Oczywiście.

Izzie nachyliła się do Ursuli, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu: – Kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku, uciekłam z domu z ukochanym.

– Bzdury – ucięła Sylvie, zwracając się do Ursuli. – Nic podobnego się nie wydarzyło. A oto i Bridget z herbatą. – Sylvie odwróciła się do Izzie. – Czy przyjechałaś tu dziś w jakimś konkretnym celu, czy tylko po to, żeby mnie zdenerwować?

– Przejeżdżałam w pobliżu i pomyślałam, że wpadnę z wizytą. Jest coś, o co cię chciałam zapytać.

– Boże drogi – westchnęła Sylvie ze znużeniem.

– Długo się zastanawiałam – zaczęła Izzie.

– No nie!

– Czy mogłabyś wreszcie przestać, Sylvie?

Ursula nalala wszystkim herbaty i pokroiła ciasto. Czowała wiszącą w powietrzu kłótnię. Na szczęście Izzie chwilowo zaniemówiła z ustami pełnymi ciasta. Ten biszkopt niespecjalnie się pani Glover udał.

– Jak już mówiłam – podjęła, z trudem przelękając – długo się nad tym zastanawiałam i, tylko nic już nie mów, Sylvie! *Przygody Augustusa* wciąż są *szalenie* popularne, a ja co pół roku wydaję nową książkę. Istne szaleństwo! Poza tym mam dom w Holland Park i pieniądze, ale, rzecz jasna, nie mam męża. Nie mam też dziecka.

– Doprawdy? – mruknęła Sylvie. – Jesteś tego pewna?

Izzie zignorowała jej uwagę. – Krótko mówiąc, nie mam się z kim dzielić swoim majątkiem. Pomyślałam więc, że mogłabym zaadoptować Jimmy’ego.

– Słucham?!

– Ona jest po prostu niemożliwa – syknęła Sylvie do Hugh. Izzie nadal siedziała w ogrodzie i zabawiała Jimmy’ego, czytając mu manuskrypt swojej nieskończonej książki, *Augustus jedzie nad morze*, który wyjęła z przepastnej torby.

– Dlaczego to nie mnie chce adoptować? – dziwił się Teddy. – Ostatecznie to ja jestem Augustusem.

– A chciałbyś być adoptowany przez Izzie? – zdziwił się Hugh.

– Dobry Boże, skąd! – wzdrygnął się Teddy.

– Nikt tu nikogo nie zaadoptuje – oświadczyła z furią Sylvie. – Idź z nią porozmawiać,

Hugh.

Ursula weszła do kuchni w poszukiwaniu jabłka i zastała tam panią Glover, rozbijającą plasty cielęciny tłuczkiem do mięsa. – Wyobrażam sobie, że to szwabskie łby – wysapała.

– Serio?

– Łby tych, którzy rozpylili ten okropny gaz. Ten, który zniszczył płuca mojego George’a.

– Co dziś na kolację? Umieram z głodu. – Jeśli chodzi o płuca George’a, Ursula reagowała dość gruboskórnie; tyle się już o nich nasłuchiwała, że wydawało jej się, iż żyją własnym życiem, tak jak płuca matki Sylvie: narządy wyróżniające się większą osobowością niż ich właściciel.

– Kotlety cielęce *à la Russe* – odrzekła pani Glover, przewracając mięso na drugą stronę i znów łapiąc za tłuczek. – Ruscy są tak samo źli, pamiętaj. – Ursula była ciekawa, czy pani Glover spotkała kiedykolwiek jakiegoś cudzoziemca.

– Cóż, w Manchesterze jest sporo Żydów – odparła gospodyni.

– Poznała pani jakiegoś?

– Ja? A po co miałabym ich poznawać?

– Ale Żydzi to właściwie nie cudzoziemcy, prawda? Nasi sąsiedzi Cole’owie są przecież Żydami.

– Nie bądź głupia – ofuknęła ją pani Glover. – Tacy sami z nich Anglicy jak ty czy ja. – Pani Glover żywiła pewną sympatię do chłopaków Cole’ów ze względu na ich doskonałe maniery. Ursu-

la doszła do wniosku, że chyba nie warto się z nią spierać. Wzięła jeszcze jedno jabłko, a pani Glover wróciła do kotletów.

Zjadła to jabłko na ławce w ustronnym zakątku ogrodu, w jednej z ulubionych kryjówek Sylvie. W jej uszach brzęczały sennie słowa „kotlety cielęce *à la Russe*”. Naraz z bijącym sercem poderwała się na nogi, ogarnięta nagłym, dobrze znanym, lecz dawno już zapomnianym uczuciem paniki – ale z jakiego powodu? Jej przerażenie kłóciło się ze spokojem ogrodu, przedwieczornym, ciepłym podmuchem na jej twarzy i widokiem kotki Hattie, myjącej się leniwie na rozslonecznionej ścieżce.

Żadnych złowróżbnych znaków, nic, co by wskazywało, że na świecie dzieje się coś niedobrego; a mimo to Ursula rzuciła ogryzek jabłka w krzaki i wybiegła przez furtkę z ogrodu wprost na polną drogę, czując depczące jej po piętach dawne demony. Hattie przerwała swoją toaletę i z pogardą spoglądała na huśtającą się furtkę.

Może w pobliżu zdarzy się wypadek kolejowy, a ona będzie musiała oderwać kawałek halki, jak te dziewczynki z powieści *Przygoda przyjeżdża pociągiem*, żeby ostrzec maszynistę? Ale nie – gdy dotarła na stację, pociąg o piątej trzydzieści do Londynu właśnie spokojnie wtaczał się na peron pod bezpieczną kuratelą Freda Smitha i maszynisty.

– Panienko Todd! – zawołał Fred, uchylając daszka swojej kolejarzkiej czapki. – Nic paniencie nie jest? Wygląda panienka na zmartwioną.

– Nic mi nie jest, Fred, dziękuję, że pytasz. – Jestem tylko śmiertelnie przerażona, nie ma o czym mówić. Fred Smith nie wyglądał na kogoś, kto odczuwałby kiedykolwiek śmiertelne przerażenie.

Wracała tą samą ścieżką, wciąż przepelniona nienazwanym lękiem. W połowie drogi spotkała Nancy Shawcross i zagadnęła ją: – Serwus, co ty tutaj robisz? – na co Nancy odparła: – Szukam ciekawych okazów do mojego zielnika. Mam już liście dębu i trochę młodych żółdzi.

Lęk powoli ją opuszczał, więc zaproponowała: – W takim razie chodźmy razem, odprowadzę cię do domu.

Gdy były już blisko pastwiska należącego do mleczarni, przez drewnianą bramę przeskoczył jakiś mężczyzna i wylądował ciężko wśród trybuli leśnej. Uchyliwszy czapki, wymamrotał do Ursuli: – Dobry wieczór, panienko – po czym ruszył dalej w kierunku stacji kolejowej. Utykał i w związku z tym miał bardzo komiczny chód, jak Charlie Chaplin. Pewnie jeszcze jeden weteran Wielkiej Wojny, pomyślała Ursula.

– Kto to był? – spytała Nancy.

– Nie mam pojęcia – odparła. – O, popatrz, tam, na drodze! Martwy chrząszcz. To próchniaczek czarniawy. Przyda ci się do czegoś?

Jutro będzie piękny dzień

2 września 1939

– Maurice twierdzi, że za parę miesięcy będzie po wszystkim. – Pamela oparła talerz na zgrabnej kopule, pod którą rosło jej kolejne dziecko. Tym razem miała nadzieję na dziewczynkę.

– Będziesz próbować do skutku, dopóki się choć jednej nie doczekasz? – uśmiechnęła się Ursula.

– Aż do utraty tchu – zgodziła się radośnie Pamela. – Więc tak jak mówiłam, zaproszono nas, ku mojemu *wielkiemu* zaskoczeniu, na niedzielny lunch do Surrey, całą naszą gromadkę. Ich nieco dziwaczne dzieci, Philip i Hazel...

– Chyba widziałam je tylko dwa razy.

– Na pewno więcej niż dwa, po prostu nie zwróciłaś na nie uwagi. Maurice twierdził, że zaprosił nas do siebie, żeby „kuzynostwo mogli się lepiej poznać”, ale moi chłopcy wcale ich nie polubili. Philip i Hazel nie mają pojęcia o *zabawie*. A ich matka z cierpiętniczą miną podawała pieczeń wołową i szarlotkę. Równie cierpiętniczo odnosi się do Maurice’a. W ogóle z cierpieniem jej do twarzy. Edwina jest doprawdy *zagorzałą* chrześcijanką, zważywszy na to, że należy do Kościoła anglikańskiego.

– Bardzo bym nie chciała być żoną Maurice’a. Nie wiem, jak ona to wytrzymuje.

– Myślę, że jest mu wdzięczna. Podarował jej Surrey. A do tego kort tenisowy, przyjaciół w rządzie i całe mnóstwo pieczeni wołowej. Stale kogoś *podejmują*, samą śmietankę towarzyską. Niektóre kobiety gotowe są cierpieć, byle mieć takie życie. Są nawet gotowe ścierpieć Maurice’a.

– Domyślam się, że małżeństwo z nim to jeden wielki sprawdzian dla jej chrześcijańskiej cierpliwości.

– I wielki sprawdzian dla poglądów Harolda. Posprzeczał się z Maurice’em o politykę socjalną, a z Edwiną na temat predestynacji.

– Ona naprawdę w to wierzy? Myślałam, że jest anglikanką.

– No właśnie! Ale nigdy nie grzeszyła logiką. Jest niewiarygodnie głupia i podejrzewam, że to dlatego Maurice się z nią ożenił. Jak myślisz, dlaczego on twierdzi, że wojna potrwa tylko kilka miesięcy? Czy to tylko takie rządowe przechwałki? Możemy wierzyć we wszystko, co mówi? Powinnyśmy w ogóle wierzyć w *cokolwiek*, co mówi?

– Ogólnie rzecz biorąc, nie powinnyśmy – odparła Ursula. – Ale ponieważ jest teraz grubą rybą w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, to chyba *powinien* coś wiedzieć. Nowy Departament Bezpieczeństwa Narodowego, od tego tygodnia, do usług.

– Ty też? – spytała Pamela.

– Tak, ja też. Obrona przeciwlotnicza podlega teraz Ministerstwu Obrony, wszyscy cały czas przyzwyczajamy się do myśli, że jesteśmy już dorośli.

Skończywszy w wieku osiemnastu lat szkołę, Ursula nie wyjechała do Paryża, nie złożyła też, wbrew zachętom kilku nauczycieli, podania o przyjęcie jej na studia w Oksfordzie ani w Cambridge i nie uzyskała dyplomu ze znajomości jakichkolwiek języków, żywych czy martwych. Jej edukacja zakończyła się w istocie na High Wycombe i niewielkiej szkole dla sekretarek. Chciała *iść naprzód* i zacząć na siebie zarabiać, zamiast dać się zamknąć w murach kolejnej uczelni. – „Lotny czas w swoim rydwanie”¹⁵ i tak dalej – tłumaczyła rodzicom.

– Cóż, każdy z nas *idzie naprzód* – stwierdziła Sylvie – w taki czy inny sposób. A potem i tak wszyscy kończymy w tym samym miejscu. Więc chyba nie ma znaczenia, *jak* tam dotrzemy.

Ursula była przekonana, że liczy się przede wszystkim owo *jak*, wiedziała jednak, że nic nie zyska, spierając się z matką, gdy ta jest akurat w minorowym nastroju. – Będę mogła znaleźć interesującą pracę – powiedziała, odrzucając obiekcje rodziców. – W redakcji jakiejś gazety albo nawet w wydawnictwie. – Wyobrażała sobie atmosferę kulturalnej bohemy, męzczyzn w tweedowych ma-

rynarkach i fularach, kobiety zmysłowo palące papierosy nad swoimi maszynami do pisania.

– Tak czy inaczej, dobrze zrobiłaś – pochwaliła ją Izzie w czasie dość wystawnego podwieczorku w hotelu Dorchester, na który zaprosiła obie, Ursulę z Pamelą („Musi czegoś od nas chcieć” – stwierdziła Pamela).

– Kto zresztą chciałby być starą, nudną sawantką? – spytała retorycznie ciotka.

– Ja – odparła Pamela.

Okazało się, że Izzie rzeczywiście miała ukryty motyw. *Augustus* odniósł tak wielki sukces, że wydawca zaproponował jej napisanie „czegoś podobnego” dla dziewczynek. – Tyle że bohaterka nie może być *niegrzeczna* – wyjaśniła. – To najwyraźniej nie przejdzie. Chcą kogoś zawadiackiego, wysportowanego, mnóstwo psot i figli, ale w granicach dobrego smaku, niczego niestosownego. – Izzie zwróciła się do Pameli i dodała słodko: – Dlatego pomyślałam o tobie, moja droga.

Szkołę dla sekretarek prowadził niejaki pan Carver, człowiek będący zagorzałym wielbicielem zarówno systemu stenograficznego Pitmana, jak i esperanto. Usiłował nakłonić swoje „dziewczęta” do noszenia opasek na oczach podczas ćwiczeń z maszynopisania bezwzrokowego. Ursula, podejrzewając, iż chodzi o coś więcej niż tylko o monitorowanie ich postępów, wzniciła rebelię, stając na czele „dziewcząt” pana Carvera. – Ależ z ciebie buntowniczką – zauważyła z podziwem jedna z nich o imieniu Monica. – Właściwie to nie – odrzekła Ursula. – Po prostu staram się być rozsądna.

I była. Stała się rozsądną dziewczyną.

W szkole pana Carvera Ursula dała się poznać jako zaskakująco zdolna adeptka zarówno maszynopisania, jak i stenografii, a mimo to mężczyźni, którzy przyjmowali ją do pracy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych – mężczyźni, których nigdy nie miała ponownie zobaczyć – najwyraźniej uważali, iż biegła znajomość kultury klasycznej z jakiegoś powodu bardziej jej się przyda przy otwieraniu i zamykaniu ministerialnych szuflad oraz przeprowadzaniu niekończących się kwerend w morzu płożożółtych teczek. Nie była to do końca ta „interesująca praca”, jaką sobie wymarzyła, niemniej jednak pochłaniała jej uwagę i przez kolejne dziesięć lat Ursula z wolna pięła się w górę po szczeblach urzędniczej kariery w ów typowy dla kobiet, powściągliwy sposób. („Pewnego dnia kobieta zostanie premierem – oznajmiła jej kiedyś Pamela. – Może nawet za naszego życia”). Obecnie miała pod sobą młodsze stażem urzędniczki, które z jej polecenia przekopywały się przez sterty płożożółtych teczek, co Ursula uznawała za pewien postęp. Począwszy od tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, pracowała w Departamencie Obrony Przeciwlotniczej.

– Może więc *ty* słyszałaś jakieś pogłoski? – dopytywała się Pamela.

– Jestem tylko nic nieznaczącym pionkiem. Jedyne, do czego mam dostęp, to pogłoski.

– Maurice nie może rozmawiać o swojej pracy – mruknęła Pamela z niezadowolaniem. –

Twierdzi, że nie mógłby w żaden sposób naruszyć tajemnicy tego, co się dzieje w uświęconych murach jego ministerstwa. Wiesz, że naprawdę użył tego sformułowania: „uświęcone mury”?

Myślałby kto, że własną krwią podpisał zobowiązanie do zachowania tajemnicy państwowej, dając swoją duszę w zastaw.

– No cóż, wszystkich nas to obowiązuje – rzuciła Ursula, biorąc sobie jeszcze jeden kawałek ciasta. – *De rigueur*, przecież wiesz. Osobiście podejrzewam, że Maurice po prostu zajmuje się *liczeniem* tego i owego.

– I jest przy tym bardzo z siebie zadowolony. Będzie zachwycony wojną: tyle władzy i żadnego osobistego zagrożenia.

– A do tego całe *mnóstwo* rzeczy do policzenia. – Wybuchnęły śmiechem. Ursulę uderzyła myśl, że są bardzo rozbawione jak na osoby na krawędzi straszliwego konfliktu. Siedziały w ogrodzie przylegającym do domu Pameli w Finchley, było sobotnie popołudnie, a na bambusowym stoliczku o patykowatych nogach stała taca z podwieczorkiem. Zajadały ciasto z migdałami i kawałkami ciemnej czekolady, upieczone według starego przepisu pani Glover, zanotowanego na świstku papieru pokrytym tłustymi odciskami palców. W niektórych miejscach papier był niemal przezroczysty, jak brudna szyba okienna.

– Korzystaj, póki możesz – zachęciła ją Pamela. – Domyślam się, że wkrótce będziemy mogły zapomnieć o cieście. – Podała kawałeczek ciasta Heidi, niezbyt urodziwemu kundlowi oca-

lonemu z Battersea. – Wiesz, że ludzie usypiają swoje zwierzęta, całymi tysiącami?

– Coś okropnego.

– Tak jakby one nie były częścią *rodziny* – dodała Pamela, drapiąc za uszami Heidi. – Jest o wiele miłsza niż moi chłopcy. I lepiej od nich wychowana.

– A jak tam twoi ewakuowani?

– Brudni. – Pomimo swojego stanu Pamela spędziła większą część poranka na Ealing Broadway, zajmując się ewakuowanymi, podczas gdy jej teściowa Olive opiekowała się chłopcami.

– Jeśli chodzi o wkład ludności cywilnej w działania wojenne, byłby z ciebie znacznie większy pożytek niż z kogoś takiego jak Maurice – zawyrokowała Ursula. – Gdyby to ode mnie zależało, zrobiłabym cię premierem. Poradziłabyś sobie o wiele lepiej od Chamberlaina.

– Też tak uważam. – Pamela odstawiła talerzyk i wzięła robótkę: coś różowego i koronkowego. – Jeśli znów urodzi się chłopak, będę po prostu *udawać*, że to dziewczynka.

– A wy nigdzie nie wyjeżdżacie? – zaciekała się Ursula. – Chyba nie chcesz trzymać chłopców w Londynie? Moglibyście przyjechać do Fox Corner. Nie przypuszczam, żeby Niemcom przyszło do głowy bombardować taką senną wioskę.

– I zamieszkać z mamą? Dobry Boże, nie! Moja przyjaciółka ze studiów, Jeanette, jest córką pastora, chociaż to chyba nieistotne. Ma w Yorkshire chałupkę, która należała do jej babki, w Hut-ton-le-Hole. Dwa domy na krzyż, wiesz, co mam na myśli? Przenosi się tam z dwoma synami i zaproponowała, żebym dołączyła do niej z naszymi trzema urwisami. – Pamela dotychczas, z krótkimi przerwami, wydała na świat Nigela, Andrew oraz Christophera i bardzo sobie chwaliła macierzyństwo. – Heidi też będzie się tam podobało. Warunki podobno kompletnie prymitywne, żadnej elektryczności czy bieżącej wody. Istny raj dla chłopców, będą mogli tam szaleć jak małe dzikusy. W Finchley trudno być dzikusiem.

– Przypuszczam, że niektórym się to udaje – stwierdziła Ursula.

– A co u twojego mężczyzny? – zapytała Pamela. – U „człowieka z Admiralicji”?

– *Możesz* wymienić jego nazwisko – mruknęła Ursula, strzepując ze spódnicy okruchy ciasta. – Ostatecznie lwie paszcze nie mają uszu.

– W dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo. Czy *on* wie cokolwiek na temat wojny?

Od roku (licząc od Monachium) Ursula była związana z niejakim Crightonem – „człowiekiem z Admiralicji”. Poznali się na jednym z ministerialnych zebrań. Był od niej o piętnaście lat starszy i bardzo pociągający z tym swoim na poły wilczym wyglądem, a dobrego wrażenia nie psuła przedsiębiorcza żona (o imieniu Moira) i gromadka córek (trzy), uczennic prywatnej szkoły. – Nie zostawię ich, żeby nie wiem co – zapowiedział jej zaraz po tym, jak się pierwszy raz kochali w dość spartańskich warunkach jego „awaryjnej meliny”.

– Wcale tego od ciebie nie żądam – odparła Ursula, choć uważała, że lepiej by się stało, gdyby owa deklaracja poprzedziła sam akt, zamiast wybrzmieć jako jego koda.

„Melina” (Ursula podejrzewała, że nie jest pierwszą kobietą, która na zaproszenie Crightona poznała jej cztery ściany) znajdowała się w mieszkaniu, które Admiralicja zapewniała Crightonowi na nocleg w te dni, gdy zostawał w mieście, dzięki czemu nie musiał „wlec się” aż do Wargrave, do Moiry i dziewczynek. Crighton nie miał na nie wyłączności i gdy akurat było zajęte, „wyprawiał się” do Ursuli na Argyll Road, gdzie spędzali długie wieczory w jej pojedynczym łóżku (Crighton miał praktyczne, żeglarskie podejście do ciasnych pomieszczeń) albo na kanapie, oddając się „rozkoszom ciała”, jak to raz ujął, zanim musiał „pociągnąć” z powrotem do Berkshire. Każda podróż lądowa, nawet jeśli było to tylko kilka stacji metrem, miała dla niego posmak wojennej ekspedycji. Ursula przypuszczała, że w głębi duszy jest człowiekiem morza i byłby o wiele szczęśliwszy, żeglując w pojedynkę do Home Counties, niż udając się do tych hrabstw wokół Londynu drogą lądową. Pewnego razu wybrali się łódką na Monkey Island i urządzili piknik nad brzegiem rzeki. – Jak normalna para – powiedział wówczas przeprasząc.

– W takim razie jeśli nie miłość, to co? – chciała wiedzieć Pamela.

– *Lubię go*.

– Ja lubię chłopaka, który dostarcza nam warzywa – odparła Pamela. – Ale nie dzielę z nim łoża.

– No cóż, mogę cię zapewnić, że Crighton znaczy dla mnie o niebo więcej niż byle sklepi-
karz. – Niewiele brakowało, żeby zaczęły się kłócić. – Poza tym nie jest smarkaczem – ciągnęła Ur-
sula obronnym tonem. – Jest dojrzałym człowiekiem, tworzy pewną całość... skończoną i gotową.
Rozumiesz?

– Całość z rodziną w komplecie – mruknęła Pamela, nagle rozdrażniona. Mimo to z auten-
tycznym zaciekawieniem zapytała: – Czy na jego widok serce nie bije ci choć odrobinę szybciej?

– Może i bije – przyznała łaskawie Ursula, nie chcąc się dłużej spierać; podejrzewała, że
nigdy nie zdoła wyjaśnić siostrze zawilości cudzołóstwa. – Kto by pomyślał, że z całej naszej rodzi-
ny akurat ty okażesz się romantyczką?

– O nie, moim zdaniem ten zaszczyt przypadł w udziale Teddy’emu – odrzekła Pamela. – Ja
po prostu wolę wierzyć, zwłaszcza ostatnio, w istnienie pewnych fundamentów i więzów, spa-
jających nasze społeczeństwo, a małżeństwo do nich należy.

– Nie ma nic romantycznego w fundamentach i więzach.

– Podziwiam cię, naprawdę – wyznała Pamela. – Podziwiam twoją niezależność. To, że nie
podążasz za stadem i tak dalej. Nie chcę tylko, żeby ktoś cię zranił.

– Wierz mi, ja też tego nie chcę. *Pax*?

– *Pax*, zgoda – zgodziła się chętnie Pamela. I dodała ze śmiechem: – Jakże nudne byłoby
moje życie, gdyby nie twoje nieobyczajne doniesienia z pierwszej linii frontu. Pośrednio czerpię
mnóstwo uciechy z twojego życia uczuciowego, czy jak chcesz to nazywać.

W ich wypadzie na Monkey Island nie było doprawdy nic nieobyczajnego: siedzieli grzecz-
nie na kraciastym kocu, jedząc zimnego kurczaka i zapijając go ciepłym czerwonym winem. –
„Kielich dziewiczej pełen Hipokreny” – wyrecytowała Ursula, a Crighton roześmiał się i rzekł: – To
brzmi podejrzenie literacko. Osobiście nie mam w sobie ani krztyny poezji. Powinnaś to już wie-
dzieć.

– Przecież wiem.

Z Crightonem rzecz się miała tak, że zawsze wydawał się więcej skrywać, niż ujawniać. Ur-
sula podsłuchiwała raz w biurze, jak ktoś nazwał go „sfinksem”, i rzeczywiście roztaczał on wokół
siebie aurę tajemniczości, sugerującej istnienie niezbadanych obszarów i głęboko skrywanych se-
kretów – jakiejś doznanej w dzieciństwie krzywdy, jakiejś wszechpotężnej obsesji. Jądra pełnego
tajemnic, pomyślała, obierając ugotowane na twardo jajko i zanurzając je w papierowej tulejce
z solą. Ciekawe, kto przygotował produkty na ich piknik – chyba nie sam Crighton? Ani Moira,
uchowaj Boże.

Wyznał jej, iż z powodu sekretnego charakteru ich związku odczuwa coraz większe wyrzuty
sumienia. Ursula wniosła odrobinę świeżości do jego życia, które od jakiegoś czasu było nieznośnie
nużące. Crighton walczył w bitwie jutlandzkiej pod admirałem Jellicoe i „wiele tam widział”, a te-
raz był „niewiele więcej jak zwykłym biurokratą”, narzekał.

– Teraz albo wyznasz mi miłość – wtrąciła Ursula – albo powiesz, że wszystko między nami
skończone. – W koszyku były też owoce, starannie zawinięte w bibułę brzoskwinie.

– Granica jest bardzo cienka – odparł ze smutnym uśmiechem. – A ja balansuję na linie. –
Ursula roześmiała się, tak bardzo to określenie do niego nie pasowało.

Następnie Crighton zaczął snuć opowieść o swojej żonie Moirze – coś o jej życiu na wsi
i potrzebie pracy w jakimś Komitecie – więc Ursula odpłynęła myślami, bardziej zainteresowana
nieoczekiwanym odkryciem w koszyku migdałowej tarty, która najwyraźniej została wyczarowana
gdzieś w kuchennych zakamarkach Admiralicji. („Dobrze o nas dbają” – przyznał. Zupełnie jakbym
słyszała Maurice’a, pomyślała Ursula. Przywileje mężczyzn u steru władzy, niedostępne tym dry-
fującym po morzu teczek).

Gdyby starsze koleżanki Ursuli zwietrzyły ich romans, rozpoczęłyby się wyścigi po sole
trzeźwiące, szczególnie gdyby wiedziały, z kim konkretnie w Admiralicji flirtuje (Crighton należał
do wyższych rangą). Na szczęście jeśli chodzi o dochowywanie sekretów, Ursula była mistrzem.

– Słynie pani ze swojej dyskrecji, panno Todd – powiedział Crighton, gdy mu ją przedsta-
wiono.

– Wielkie nieba – roześmiała się Ursula – brzmi to okropnie nudno.

– Raczej intrygująco. Przypuszczam, że byłby z pani znakomity szpieg.

– A *jak* się miewa nasz Maurice? Jest w dobrej formie? – zainteresowała się Ursula.

– Maurice jest zawsze w świetnej formie, kiedy jest sobą, a to się nigdy nie zmieni.

– *Ja* dziwnym trafem nigdy nie jestem zapraszana na niedzielne lunche do Surrey.

– W takim razie możesz się uważać za szczęściarę.

– Właściwie to prawie go nie widuję. Nikt by nie powiedział, że pracujemy w tym samym ministerstwie. On przechadza się szerokimi korytarzami władzy...

– W uświęconych murach.

– W uświęconych murach. A ja przemykam się po moim bunkrze.

– Naprawdę pracujesz w bunkrze?

– No cóż, nasz budynek właściwie znajduje się nad ziemią. W South Kensington, wiesz, przed Muzeum Geologicznym. Ale to nie miejsce dla Maurice’a. Woli Whitehall od naszej skromnej kwatery głównej.

Gdy początkowo ubiegała się o pracę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, spodziewała się, że Maurice szepnie gdzieś słówko, on jednak zrugał ją, grząc coś o nepotyzmie i o tym, że musi być poza wszelkimi podejrzeniami o faworyzowanie kogokolwiek. – Żona Cezara i tak dalej – rzekł.

– Czy mam rozumieć, że w swoim zadufaniu Maurice uważa się za Cezara, a nie za jego żonę? – zakpiła Pamela.

– Och, nie podsuwaj mi nawet takich pomysłów – roześmiała się Ursula. – Maurice jako kobieta, wyobraź to sobie tylko!

– Owszem, ale wyłącznie *Rzymianka*. To by mu nawet pasowało. Pamiętasz, jak miała na imię matka Koriolana?

– Wolumnia.

– Och, wiem już, co chciałam ci powiedzieć: Maurice zaprosił na lunch przyjaciela – podjęła Pamela. – Znają się jeszcze z Oksfordu. Taki wielki Amerykanin. Pamiętasz go?

– Tak! – Ursula szukała w pamięci jego imienia. – Och, do diaska, jakże on się nazywał... Jakoś tak amerykańsko. Próbował skraść mi całusa w moje szesnaste urodziny.

– A to świnia! – zaśmiała się Pamela. – Nic mi nie mówiłaś.

– Bo nie było to nic, czego można by oczekiwać po pierwszym pocałunku. Bardziej przypominało zapasy. Trochę był z niego gbur. – Ursula wybuchnęła śmiechem. – Zdaje mi się, że uraziłam jego dumę, a może coś więcej niż dumę.

– Howie! – przypomniała sobie Pamela. – Tyle że teraz to Howard. Howard S. Landsdowne Trzeci, jak podobno brzmi jego pełny tytuł.

– Howie – powtórzyła Ursula z zadumą. – Całkiem o nim zapomniałam. Czym się teraz zajmuje?

– Ma chyba coś wspólnego z dyplomacją. Był jeszcze bardziej tajemniczy od Maurice’a. W ambasadzie Kennedy jest dla niego bogiem. Ale miałam wrażenie, że Howie darzy podziwem starego Adolfa.

– Maurice prawdopodobnie też. Gdybyż tylko nie był takim *cudzoziemcem*! Widziałam go raz na spotkaniu czarnych koszul.

– Maurice’a? Niemożliwe! Może tylko szpiegował, nie wyobrażam go sobie w roli *agent provocateur*. A co ty tam robiłaś?

– Och, no wiesz, szpiegowałam, jak Maurice. A tak serio, to był zwykły zbieg okoliczności.

– Mnóstwo sensacyjnych wiadomości jak na jeden imbryczek herbaty. Trzymasz coś jeszcze w zanadrzu? Mam zaparzyć jeszcze jeden?

Ursula roześmiała się. – Nie, to już chyba wszystko.

Pamela westchnęła. – Koszmar, prawda?

– A co z Haroldem?

– Biedaczysko, przypuszczam, że będzie musiał zostać w mieście. Nie mogą chyba zmobilizować lekarzy szpitalnych, prawda? Będą potrzebni, gdy zostaniemy zbombardowani i zagazowani. Bo *zostaniemy* zbombardowani i zagazowani, wiesz o tym, prawda?

– Tak, oczywiście – odparła Ursula tak obojętnie, jakby rozmawiały o pogodzie.

– Co za okropna myśl – westchnęła znów Pamela, odkładając druty i wyciągając ramiona nad głową. – Jaki cudowny dzień! Aż nie do wiary, że to prawdopodobnie ostatni taki zwyczajny dzień na bardzo długo.

W poniedziałek Ursula miała rozpocząć swój coroczny urlop. Już wcześniej zaplanowała sobie tydzień relaksujących wycieczek – do Eastbourne i Hastings albo może gdzieś na zachód, aż do Winchester czy Bath – lecz w obliczu mogącej wybuchnąć lada dzień wojny myślenie o jakichkolwiek wyjazdach wydawało się niemożliwością. Ursula przygasła nagle na myśl o tym, co ich może czekać. Cały poranek spędziła na Kensington High Street, przeglądając swoje zapasy: baterie do laski, nowy termofor, świece, zapalniczki, ogromne ilości czarnego papieru, jak również puszek fasolki w sosie pomidorowym oraz ziemniaków i pakowanej próżniowo kawy. Kupiła też nowe ubrania, porządną wełnianą sukienkę za osiem funtów, zielony aksamitny żakiet za sześć, pończochy oraz parę ładnych, jasnobrązowych skórzanych półbutów, które wyglądały na bardzo solidne. Była dumna, że oparła się pokusie zakupu żółtej krepdeszynowej sukienki koktajlowej we wzór przedstawiający maleńkie, czarne jaskółki. – Mój płaszcz zimowy ma raptem dwa lata – zwróciła się do Pameli – więc chyba przetrzyma wojnę, jak sądzisz?

– Wielkie nieba, mam taką nadzieję.

– To wszystko jest takie potworne.

– Wiem – przytaknęła Pamela, krojąc więcej ciasta. – Okropność. Jestem taka *zła*. Szaleństwem jest brać udział w tej wojnie. Proszę, weź sobie dokładkę ciasta. Śmiało, dopóki chłopcy są jeszcze u Olive. Po powrocie spustoszą wszystko jak szarańcza. Bóg jeden wie, jak przetrwamy to racjonowanie żywności.

– Przecież będziecie na wsi. Możecie uprawiać warzywa, hodować kury. Albo świnię. Poradzicie sobie. – Na myśl o wyjeździe Pameli Ursula poczuła się bardzo nieszczęśliwa.

– Ty też powinnaś z nami pojechać.

– Obawiam się, że powinnam zostać.

– Och, świetnie, jest już Harold! – zawołała Pamela na widok męża, niosącego wielki bukiet dalii zawinięty w wilgotną gazetę. Uniosła się lekko, żeby go przywitać, a on pocałował ją w policzek, mówiąc: – Nie wstawaj. – Potem ucałował też Ursulę i wręczył Pameli kwiaty.

– Jakaś dziewczyna sprzedawała je na rogu w Whitechapel – powiedział. – Całkiem jak z *Pigmaliona*. Mówiła, że zerwała je z ogródka swojego dziadka. – Crighton dał raz Ursuli bukiet róż, ale szybko opadły im płatki i zwiędły. Właściwie to zazdrościła Pameli tych krzepkich dalii z przydomowego ogródka.

– A zmieniając temat – podjął Harold, gdy już nalał sobie filiżankę letniej herbaty z imbryczka – rozpoczęliśmy ewakuację pacjentów, których stan na to pozwala. Jutro rząd na pewno wypowie wojnę. Mają to zrobić z samego rana. Chyba dlatego wybrali taką porę, żeby cały naród zdążył paść w kościołach na kolana i modlić się o wybawienie.

– No tak, wojna zawsze budzi w ludziach *chrześcijan*, prawda? – zauważyła sarkastycznie Pamela. – Zwłaszcza jak się jest Anglikiem. Mam w Niemczech kilkoro przyjaciół – zwróciła się do Ursuli. – To naprawdę dobrzy ludzie.

– Wiem.

– Czy to znaczy, że teraz będą naszymi wrogami?

– Nie denerwuj się, Pammy – poprosił ją Harold. – Dlaczego tu jest tak cicho? Co zrobiłaś z chłopcami?

– Sprzedałam ich – odparła jego żona, rozweselając się. – Trzech w cenie dwóch.

– Zostań u nas na noc, Ursulo – zaproponował życzliwie Harold. – Nie powinnaś być jutro sama. To będzie jeden z tych okropnych dni. Posłuchaj rady lekarza.

– Dziękuję – odrzekła Ursula. – Ale mam już inne plany.

– I bardzo dobrze – pochwaliła ją Pamela, znów biorąc do ręki robótkę. – Nie wolno nam myśleć, że wojna to koniec świata.

– Nawet jeśli tak jest? – spytała Ursula. Pożałowała teraz, że nie kupiła tej żółtej sukienki z krepdeszynu.

Listopad 1940

Leżała na wznak w płytkiej kałuży wody, który to fakt z początku nieszczególnie ją martwił. Najgorszy był ten okropny smród, połączenie różnych woni, wszystkich równie nieprzyjemnych. Ursula usiłowała rozłożyć go na części składowe. Rozpoznawała cuchnący odór gazu (domowego) i fetor kanalizacji, tak obrzydliwie intensywny, że zbierało jej się na wymioty. Do tego dochodził koktajl złożony z zapachu wilgotnego starego tynku i ceglanego pyłu, zmieszanego ze śladami ludzkiej bytności – zaduchem tapet, ubrań, książek oraz żywności – i kwaśną, nieznaną jej wcześniej wonią materiałów wybuchowych. Słowem, esencja umarłego domu.

Miała wrażenie, że spoczywa na dnie głębokiej studni. Przez szarą zasłonę pyłu jak przez mgłę widziała skrawek czarnego nieba i wąski paznokiec księżycy; pamiętała, że zauważyła go już wcześniej, wyglądając wieczorem przez okno. Wydawało się to tak dawno temu.

Samo okno, a przynajmniej jego framuga, wciąż było na miejscu, wysoko, wysoko nad nią, całkiem nie tam, gdzie być powinno. Zdecydowanie było to jej okno, rozpoznawała nawet zasłony – obecnie łopoczące na wietrze osmalone szmaty, a niegdyś grube, żakardowe, z wypukłym wzorem przetykanym złotą przędzą od Johna Lewisa, które wybrała wspólnie z Sylvie. Jej wynajęte mieszkanie przy Argyll Road było już umeblowane, ale matka uznała zasłony i dywaniki za „kompletnie tandetne” i zaraz po przeprowadzce dała Ursuli pieniądze, żeby je wymieniła.

W tamtym czasie Millie zaproponowała jej, że mogłyby razem zamieszkać w Phillimore Gardens. Millie nadal grywała naiwne podlotki i spodziewała się, że od roli Julii przejdzie wprost do grania starej niani, z pominięciem bohaterki w wieku średnim. – Wspaniale będzie – namawiała ją – mieszkać pod jednym dachem. Zabawimy się. – Jednak Ursula nie była wcale pewna, czy wyobrażenia przyjaciółki o tym, czym jest dobra zabawa, pokrywają się z jej własnymi. W porównaniu z żywiołowością Millie często czuła się rzeczową nudziarą. Niczym pokrzywnica w towarzystwie zimorodka. A czasami Millie bywała nieco zbyt żywiołowa jak na jej gust.

Było to tuż po Monachium, Ursula zdążyła właśnie nawiązać romans z Crightonem i uważała, że wygodniej będzie jej mieszkać w pojedynkę. Z perspektywy czasu zrozumiała, że dostosowała się raczej do potrzeb Crightona niż swoich, tak jakby życie Moiry i dziewczynek było ważniejsze od jej własnego.

Myśl o Millie, powtarzała sobie teraz, myśl o zasłonach, nawet o Crightonie, skoro już musisz – o wszystkim z wyjątkiem swojego obecnego położenia. A już na pewno nie myśl o gazie. Szczególnie ważne wydawało jej się odwrócenie swojej uwagi od gazu.

Po zakupieniu tekstyliów Sylvie i Ursula wybrały się na popołudniową herbatkę do restauracji w domu towarowym Johna Lewisa, gdzie obsługiwała je ponura, ale sprawna kelnerka. – Zawsze bardzo cieszy mnie myśl – powiedziała Sylvie – że nie muszę zamieniać się na życie z innymi ludźmi.

– Bardzo dobrze wychodzi ci bycie sobą – zauważyła Ursula, świadoma, że niekoniecznie zabrzmiało to jak komplement.

– Cóż, mam za sobą lata praktyki.

Podwieczorek był bardzo smaczny, taki, jakiego nie podają już w domach towarowych. Niestety, potem sklep Johna Lewisa uległ zniszczeniu; została z niego tylko czarna wypalona skorupa. („Coś okropnego” – skomentowała to w swoim liście Sylvie, najwyraźniej bardziej poruszona zagładą sklepu niż potwornymi nalotami na East End). Jednak już po kilku dniach sklep podjął działalność. „Oto prawdziwy duch walki”, powiedział ktoś, ale czy w zasadzie istniała jakaś inna możliwość?

Sylvie była tego dnia w dobrym humorze i nawet zbliżyły się do siebie z Ursulą, omawiając temat zasłon oraz głupotę ludzi wierzących, że świstek przywieziony przez Chamberlaina naprawdę

coś znaczy.

Było tak cicho, że Ursula zaniepokoiła się, czy przypadkiem nie popękały jej w uszach bębenki. Jak się tutaj znalazła? Pamiętała, że wyjrzała przez okno mieszkania przy Argyll Road – okno, które było teraz tak daleko od niej – i dostrzegła sierp księżyca. Wcześniej zaś siedziała na kanapie, szyla – nicowała kołnierz bluzki – i słuchała radia, w którym na krótkich falach nadawała jakaś niemiecka stacja. Uczyła się wieczorowo niemieckiego („Poznaj swojego wroga”), ale trudno było jej cokolwiek zrozumieć z audycji, poza wychwytywanymi sporadycznie twardymi rzeczownikami (*Luftangriffe*, *Verluste*, znaczącymi „ataki z powietrza”, „straty”). Zrozpaczona swoim brakiem postępów wyłączyła radio i nastawiła płytę Ma Rainey. Przed wyjazdem do Ameryki Izzie podarowała Ursuli swoją kolekcję płyt – imponujące archiwum twórczości amerykańskich piosenek bluesowych. – Już tego nie słucham – wyjaśniła. – Strasznie to *passé*. Przyszłość należy do artystów, którzy są nieco bardziej eleganccy, *soigné*. – Jej rezydencja w Holland Park była teraz zamknięta na cztery spusty, a meble przykryte pokrowcami dla ochrony przed kurzem. Izzie wyszła za mąż za znanego dramaturga i latem czmychnęła razem z nim do Kalifornii. („Para tchórzy” – podsumowała tę decyzję Sylvie).

„No, nie wiem – odparł Hugh – sądzę, że też wolałbym przeczekać wojnę w Hollywood, gdybym tylko mógł”).

– Słucha pani interesującej muzyki – zagadnęła ją kiedyś pani Appleyard, gdy mijaly się na schodach. Ściana dzieląca ich mieszkania była cienka jak papier, więc Ursula zaczęła się usprawiedliwiać: – Bardzo przepraszam, nie chciałam pani przeszkadzać – choć właściwie mogłaby dodać, że sama słyszy, jak niemowlę pani Appleyard wrzeszczy po nocach, co *bardzo* jej przeszkadza. Dziecko miało cztery miesiące i było duże jak na swój wiek, tłuste i rumiane, jakby wyssało całe życie z pani Appleyard.

Pani Appleyard, obarczona balastem w postaci niemowlęcia śpiącego w jej ramionach, machnęła lekceważąco ręką. – Niech się pani nie przejmuje, w ogóle mi to nie przeszkadza. – Miała smętny, wschodnioeuropejski wygląd – Ursula domyślała się, że musiała przybyć w grupie uchodźców – lecz jej angielski był bez zarzutu. Pan Appleyard przepadł gdzieś kilka miesięcy wcześniej; niewykluczone, że został wcielony do wojska, ale Ursula wolała o niego nie pytać, jako że dało się zauważyć (i usłyszeć), iż małżeństwo sąsiadki nie należało do szczęśliwych. Gdy jej mąż odszedł, pani Appleyard była przy nadziei, lecz mimo to, na ile Ursula mogła to stwierdzić (i usłyszeć), ani razu się nie pojawił, żeby zobaczyć swoją skrzeczącą latorośl.

Pani Appleyard musiała być kiedyś ładna, teraz jednak z każdym dniem stawała się chudsza i smutniejsza – do tego stopnia, iż wydawało się, że już tylko (solidny) ciężar dziecka wraz z jego potrzebami trzyma ją jeszcze jako tako zakotwiczoną w codziennym życiu.

We wspólnej łazience, którą dzieliły na pierwszym piętrze, stało zawsze emaliowane wiadro pełne śmierdzących pieluch, moczących się przed wygotowaniem w garnku na dwupalnikowej kuchence pani Appleyard. Drugi palnik zajmował zwykle gar z kapustą i być może z tego powodu sąsiadka zawsze roztaczała wokół siebie delikatny zapaszek starych warzyw i mokrego prania. Ursula dobrze go znała: właśnie tak pachniała bieda.

Gnieżdżące się na najwyższym piętrze siostry Nesbit strasznie się trzęsły nad panią Appleyard i jej dzieckiem, jak to stare panny mają w zwyczaju. Lavinia i Ruth, drobne kobietki, zamieszkiwały ciasne pokoiki na poddaszu („Pod okapem, jak jaskółki” – szczebiotały). Sądząc po wyglądzie, z powodzeniem mogłyby być bliźniaczkami, i Ursula musiała włożyć mnóstwo wysiłku w zapamiętanie, która z nich jest która.

Siostry dawno przeszły na emeryturę – obie pracowały niegdyś jako telefonistki u Harrod-sa – i żyły bardzo oszczędnie, a ich jedyną słabostką okazała się imponująca kolekcja sztucznej biżuterii, kupowanej głównie u Woolwortha podczas przerw na lunch w czasach ich „aktywności zawodowej”. Ich mieszkanie pachniało całkiem inaczej niż lokal pani Appleyard, wodą lawendową i pastą do podłóg „Mansion House” – zapachem starszych pań. Zdarzało się, że Ursula robiła zakupy także dla panien Nesbit i pani Appleyard. Ta ostatnia czekała wówczas zawsze przy drzwiach swego mieszkania z dokładnie odliczoną kwotą w ręku (znała ceny wszystkich produktów) i grzecznym „dziękuję” na ustach, natomiast panny Nesbit niestrudzenie usiłowały zwabić ją do

środką, kusząc cienką herbatą i czerstwymi herbatnikami.

Pod nimi, na drugim piętrze, mieszkał niejaki pan Bentley (wszystkie cztery zgodnie uważały, że „niezły z niego dziwak”), którego lokum pachniało (całkiem stosownie) wędzonym łupaczem, co wieczór obgotowywanym w mleku na kolację. Obok niego zaś ulokowała się wyniosła panna Hartnell (jej mieszkanie nie wydzielalo żadnego zapachu), która pracowała jako sprzątaczką w hotelu Hyde Park i emanowała surowością, jakby nic nie miało szans sprostać jej wysokim wymaganiom. Na jej widok Ursula boleśnie odczuwała wszystkie swoje braki.

– Zawiedziona miłość, jak sądzę – szepnęła jej kiedyś na ucho Ruth Nesbit, przyciskając do piersi kruchą dłoń, jakby jej słabe serce lada moment miało zrejterować i oddać się w posiadanie komuś nieodpowiedniemu. Obie siostry Nesbit miały niezwykle romantyczne wyobrażenie o miłości, jako że same nigdy nie doświadczyły jej słodkich udręek. Panna Hartnell wyglądała raczej na kogoś, kto może kogoś unieszczęśliwić, niż samemu zostać unieszczęśliwionym.

– Ja też mam kilka płyt – wyjawila Ursuli pani Appleyard z powagą godną konspiratorki. – Niestety, nie posiadam gramofonu. – Jej „nietetyż” zdawało się zawierać w sobie całą rozpacz zrujnowanego wojną kontynentu. Emocjonalnie niosło cięższy ładunek, niż było w stanie udźwignąć.

– W takim razie proszę się nie krępować, tylko wpadać i puszczać je u mnie – zachęciła ją Ursula, mając zarazem nadzieję, że zdruzgotana pani Appleyard nie skorzysta z tej propozycji. Choć ciekawiło ją, jakie płyty może mieć jej sąsiadka. Jakoś trudno było sobie wyobrazić, aby mogło to być coś wesołego.

– Mam Brahmsa – rzekła pani Appleyard, odpowiadając na niezadane pytanie. – I Mahlera. – Jej dziecko zaczęło wiercić się niespokojnie, jakby wzburzone perspektywą słuchania Mahlera. Za każdym razem, gdy spotykały się na schodach lub na piętrze, dziecko pani Appleyard spało, tak jakby miała dwoje niemowląt, jedno w mieszkaniu, które nie przestawało zawodzić, i drugie na wyjścia, które nigdy nawet nie zaczynało.

– Mogłaby pani potrzymać przez chwilę Emila, żebyśmy mogła poszukać kluczy? – spytała pani Appleyard i nie czekając na odpowiedź, podała jej nieporęczny tłumoczek.

– Emila? – wymamrotała Ursula. Nigdy nie myślała o tym dziecku jak o istocie posiadającej imię. Emil był jak zwykle ubrany w sam raz na arktyczną zimę: w wypchane pieluchami gumowane majtki, śpiochy i rozmaite inne części garderoby, dziergane i przyozdobione wstążeczkami. Niemowlęta nie były jej obce – wspólnie z Pamelą matkowały przeciw Teddy’emu i Jimmy’emu z takim samym entuzjazmem, z jakim opiekowały się szczeniętami, kociętami i królikami, a jeśli chodzi o Pamelę i jej chłopców, Ursula była wzorem kochającej ciotki – lecz dziecko pani Appleyard aż tak bardzo jej nie pociągało. Dzieci Toddów pachniały słodko mlekiem, zasypką dla niemowląt i świeżym powietrzem, a ich ubranka były zawsze dobrze wysuszone, podczas gdy mały Emil zalał lekko stęchlizną.

Pani Appleyard przetrząsnęła w poszukiwaniu kluczy swoją wielką, mocno sfatygowaną torbę, która wyglądała tak, jakby też przejechała całą Europę z jakiegoś odległego kraju (o którym Ursula ewidentnie nic nie wiedziała). Wzdychając ciężko, zlokalizowała je wreszcie na dnie torby. Niemowlę, być może wyczuwając bliskość mieszkania, wierciło się w ramionach Ursuli, jakby szykując się do rychłej przemiany. Otworzyło oczy i spojrzało na nią spode łba.

– Dziękuję pani, panno Todd – powiedziała pani Appleyard, odbierając od niej dziecko. – Miło było z panią pogawędzić.

– Ursula – odparła Ursula. – Proszę mi mówić Ursula.

Pani Appleyard zawahała się, po czym odrzekła, niemal nieśmiało: – Eryka. E-r-y-k-a. – Mieszkały obok siebie już od roku, był to jednak pierwszy taki moment względnej bliskości między nimi.

Prawie natychmiast po tym, jak drzwi się za nimi zamknęły, niemowlę jak zwykle się rozdarło. „Może ona wbija w niego szpilki?” – sugerowała w liście Pamela, która wydawała na świat wyłącznie pogodne dzieci. – Dziejcej dopiero w wieku dwóch lat – twierdziła. Tuż przed ostatnim Bożym Narodzeniem urodziła kolejnego chłopca o imieniu Gerald. – Następnym razem musi się udać – pocieszała ją Ursula, kiedy się widziały. Wybrała się na północ pociągiem specjalnie, żeby

zobaczyć „nowy nabytek” siostry. Podróż okazała się długa i niewygodna; większą jej część Ursula spędziła w brankardzie, ponieważ cały pociąg wypchany był żołnierzami udającymi się na ćwiczenia. W związku z tym stała się obiektem niewybrednych żartów i aluzji, które z początku nawet ją bawiły, lecz na koniec stały się męczące. – Nie byli to raczej rycerze bez skazy – pożaliła się Pamela, gdy wreszcie dotarła na miejsce, przebywszy ostatni etap drogi na wozie zaprzęgniętym w osła, zupełnie jakby przeniosła się w czasie do innego wieku, a nawet innego kraju.

Biedna Pammy miała dosyć tej dziwnej wojny i przebywania w zamknięciu z tyloma małymi chłopcami – „całkiem jak kierowniczką szkoły dla chłopców”. Nie mówiąc już o Jeanette, która okazała się „okropnym obibokiem” (a oprócz tego chrapała i wiecznie na coś narzekała). „Po córce pastora człowiek spodziewałby się czegoś więcej – pisała Pamela – choć Bóg jeden wie dlaczego”. Wiosną Pamela uciekła z powrotem do Finchley, a gdy zaczęły się nocne naloty, czmychnęła wraz ze swym potomstwem do Fox Corner, „nie wiadomo na jak długo”, pomimo swych wcześniejszych obiekcji dotyczących mieszkania pod jednym dachem z Sylvie. Harold, obecnie lekarz w szpitalu św. Tomasza, pracował na pierwszej linii frontu. Przed kilkoma tygodniami Niemcy zbombardowali kwatery tamtejszych pielęgniarek, pięć z nich zginęło. „Każda noc to koszmar” – donosił Harold. Te same wieści z miejsc zniszczonych podczas bombardowań słyszała z ust Ralpha.

Ralph! Oczywiście, Ralph. Ursula zupełnie o nim zapomniała. On też był w mieszkaniu przy Argyll Road. Tylko czy akurat wtedy, gdy wybuchła bomba? Ursula z wysiłkiem przekręciła głowę, żeby się rozejrzeć, jakby mogła go wypatrzeć pośród gruzów. Ale nikogo nie zauważyła, była sama. Sama i unieruchomiona w klatce z potrzaskanych drewnianych belek i wyszczerbionych krokwii, a wokół niej cały czas opadał pył – miała go w ustach, nozdrzach i oczach. Nie, Ralph wyszedł, zanim zawyły syreny.

Ursula nie sypiała już ze swoim „człowiekiem z Admiralicji”. Wypowiedzenie wojny wzbudziło w jej kochanku nagłe i przemożne poczucie winy. Crichton oznajmił jej, iż muszą natychmiast zakończyć romans. Rozkosze ciała miały najwyraźniej drugorzędne znaczenie wobec działań wojennych – zupełnie jakby Ursula była Kleopatram, gotową z miłości zniszczyć swojego Antoniusza. Wyszło na to, że na świecie panuje wystarczająco duże zamieszanie, żeby podejmować dodatkowe ryzyko, jakim jest „utrzymywanie kochanki”. – To ja jestem twoją kochanką? – zdziwiła się Ursula. Do tej pory nie myślała o sobie jak o cudzołżnicy – wszak do tej kategorii należały chyba bardziej zepsute kobiety?

Równowaga sił została naruszona. Crichton się wahał. – Zgoda – odparła więc ze spokojem. – Skoro tego właśnie chcesz. – Mniej więcej w tym czasie zaczęła podejrzewać, że pod maską tajemniczości nie kryje się żaden inny, bardziej intrygujący Crichton. Koniec końców nie był wcale aż tak nieodgadniony. Crichton to był po prostu Crichton: Moira, dzieci i Jutlandia, choć może niekoniecznie dokładnie w tej kolejności.

I choć do zerwania związku doszło z jego inicjatywy, był tym wyraźnie przygnębiony. A ona nie? – Jesteś taka zimna – powiedział.

Ale przecież ona nigdy nie była w nim zakochana, jak zresztą uczciwie przyznała.

I dodała: – Spodziewam się, że pozostaniemy przyjaciółmi.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – odparł Crichton, już ogarnięty nostalgią na myśl o tym, co właśnie przeszło do historii.

Niemniej jednak Ursula spędziła cały następny dzień, sumiennie oplakując swoją stratę. Jej *lubienie* nie było tak całkiem błahym uczuciem, za jakie zdawała się je uznawać Pamela. Następnie otarła łzy, umyła włosy i położyła się do łóżka z talerzem tostów z pastą bovril oraz butelką Château Haut-Brion 1929, podwędzoną z bogatej piwniczki Izzie na Melbury Road, którą ciotka tak lekkomyślnie porzuciła. Ursula miała w swojej pieczy klucze od jej domu. „Bierz, co ci tylko wpadnie w ręce” – zachęciła ją Izzie. I tak też robiła.

Doszła do wniosku, że w zasadzie szkoda, iż nie jest już związana z Crichtonem. Wojna sprzyjała romansom. Zaciemnienie stanowiło idealną zasłonę dla potajemnych schadzek, a zamęt spowodowany bombardowaniami – gdy te się w końcu zaczęły – byłby dla niego doskonałą wymówką, żeby nie być w Wargrave z Moirą i dziewczynkami.

Tymczasem zaś w całkowicie otwarty sposób romansowała z kolegą z kursu języka niemieckiego. Zaraz po pierwszych zajęciach, kiedy się dowiedziała, że Ralph ma trzydzieści lat (*Gu-ten Tag. Mein Name ist Ralph. Ich bin dreizig Jahre alt*), udali się do kawiarni Kardomah na Southampton Row, ostatnimi czasy niemal całkowicie ukrytej za murem worków z piaskiem. Okazało się, że Ralph pracował w tym samym budynku co ona, gdzie aktualizował mapy zniszczeń po kolejnych nalotach.

Dopiero gdy wyszli z zajęć – odbywających się w dusznym pomieszczeniu na trzecim piętrze w Bloomsbury – Ursula zauważyła, że Ralph utyka. Zanim zdążyła go o to zapytać, wyjaśnił, że został ranny pod Dunkierką. Postrzał w nogę, akurat jak czekał w wodzie, żeby dostać się do jednej z tych małych łódek, kursujących w tę i z powrotem między brzegiem a większymi łodziami. Na pokład wciągnął go jakiś rybak z Folkestone, który parę minut później sam oberwał prosto w szyję. – Teraz już wiesz – zakończył, zwracając się do Ursuli – i nie musimy więcej o tym rozmawiać.

– Rzeczywiście, nie musimy – zgodziła się. – Jednak to okropna historia. – Rzecz jasna, oglądała kroniki filmowe. – Dobrze rozegraliśmy to kiepskie rozdanie – stwierdził Crichton. Ursula wpadła na niego w Whitehall niedługo po ewakuacji oddziałów. Wyznał, że za nią tęskni. (Pomyślała, że znowu się waha). Ursula z rozmysłem zachowała się wtedy nonszalancko i przyciskając swoje płowożółte teczki do piersi niczym kirys, powiedziała, że musi odnieść sprawozdania do kwatery głównej. Ona też za nim tęskniła. Z jakichś względów wydawało jej się ważne nie dać tego po sobie poznać.

– Współpracujesz z gabinetem wojennym? – zdziwił się Crichton, wyraźnie pod wrażeniem.

– Tylko z asystentką podsekretarza. Właściwie nawet nie z asystentką, tylko ze zwykłą „dziewczyną”, taką jak ja.

Uznała, że ich rozmowa trwa już zbyt długo. Crichton wpatrywał się w nią w taki sposób, że narastało w niej pragnienie, aby poczuć wokół siebie jego ramiona. – Muszę już pędzić – rzuciła lekko. – Jak wiesz, mamy wojnę.

Ralph pochodził z Bexhill i był nieco sardonicznym, lewicowym utopistą. („Czyż wszyscy socjaliści nie są utopistami?” – stwierdziła Pamela). W niczym nie przypominał Crichtona, który z perspektywy czasu wydawał się Ursuli nieco zbyt wpływowy.

– Podobno prowadzasz się teraz z czerwonym? – zaczął ją kiedyś Maurice, natknąwszy się na Ursulę wewnątrz uświęconych murów ministerstwa. Miała wrażenie, że specjalnie jej szukał. – Gdyby ktoś się o tym dowiedział, mogłabyś mieć kłopoty.

– On nawet nie należy do partii – odrzekła.

– Mimo to. – Maurice był nieubłagany. – Z drugiej strony ten przynajmniej nie wypaple ci w łóżku wszystkiego o pozycjach naszych okrętów wojennych.

Co chciał przez to powiedzieć? Czyżby Maurice wiedział o Crichtonie?

– Dopóki trwa wojna, twoje życie osobiste nie należy do ciebie – pouczył ją z niesmakiem. – A tak swoją drogą, po co właściwie uczysz się niemieckiego? Spodziewasz się inwazji? Chcesz być gotowa na powitanie wroga?

– Wydawało mi się, że zarzucasz mi bycie komunistką, a nie faszystką – odparła gniewnie Ursula. („Co za osioł – skwitowała całe zajście Pamela. – Maurice po prostu umiera ze strachu, że mógłby na niego paść jakikolwiek cień. Nie zebym go broniła, Boże uchronaj!”).

*

Ze swego miejsca na dnie studni Ursula wyraźnie widziała, że zniknęła większość cieniutkiej ściany, oddzielającej jej mieszkanie od mieszkania pani Appleyard. Spoglądając w górę przez popękane deski podłogowe i strzaskane belki stropu, mogła dostrzec sukienkę, wiszącą bezwładnie na wieszaku zaczepionym o wbity w ścianę hak. Był to hak w salonie Millerów z parteru – Ursula rozpoznała tapetę w blade przekwitłe róże. Wcześniej tego samego wieczoru widziała na schodach Lavinie Nesbit ubraną właśnie w tę sukienkę i wówczas miała ona kolor kremu z zielonego groszku (i była tak samo mdła). Teraz, po bombardowaniu, była szarej barwy pyłu i przemieściła się o całe piętro w dół. Kilka metrów ponad głową widziała swój własny czajnik, duży i brązowy, zbędny ele-

ment wyposażenia kuchni w Fox Corner. Rozpoznała go po grubym szpagacie, którym pani Glover owinęła uchwyt dawno, dawno temu. Wszystko znajdowało się nie na swoim miejscu, nie wyłączając jej samej.

Tak, Ralph był u niej na Argyll Road. Zjedli razem kolację – chleb z serem – i wypili butelkę piwa. Potem ona rozwiązała krzyżówkę z wczorajszego wydania „Daily Telegraph”. Ostatnimi czasy zmuszona była nabyć parę okularów do czytania z bliska, raczej dość brzydkich. Dopiero wróciwszy z nimi do domu, zdała sobie sprawę, że są niemal identyczne z tymi, które nosiła jedna z panien Nesbit. Czy mnie również czeka ten sam los? – zastanawiała się, kontemplując w lustrze nad kominkiem odbicie swojej twarzy w okularach. Czy też skończę jako stara panna? Taka, której „młodzież będzie dokuczać po prostu dla zabawy”¹⁶? Czy zresztą można być starą panną, będąc jednocześnie cudzołożnicą? Dzień wcześniej, podczas przerwy na lunch, gdy Ursula pospiesznie konsumowała kanapkę w parku św. Jakuba, na jej biurku w tajemniczy sposób zmateriałizowała się koperta. Ujrzawszy na niej własne nazwisko, skreślone ręką Crichtona (miał zaskakująco ładne, pochyłe pismo), natychmiast podarła list na strzępy i nie czytając, wyrzuciła go do kosza. Później jednak, gdy pozostałe urzędniczki niczym gołębie stłoczyły się wokół wózka z herbatą, wydobyła zmalretowane skrawki i złożyła je w całość.

*Zapodziałem gdzieś swoją złotą papierośnicę. Wiesz którą – ojciec podarował mi ją po Ju-
tlandii. Nie przypuszczam, abys przypadkiem się na nią natknęła?*

Twój C.

Mimo że w istocie nigdy nie był jej. Przeciwnie, należał do Moiry. (A może do Admirali-
cji?). Wyrzuciła podarty list z powrotem do kosza. Papierośnica była w jej torebce. Ursula znalazła ją pod łóżkiem kilka dni po tym, jak Crichton ją zostawił.

– Dam pensa za twoje myśli – zagadnął Ursulę Ralph.

– Wierz mi, nie są tyle warte.

Ralph leżał wyciągnięty obok niej, z głową na oparciu kanapy i stopami w skarpetkach na jej podolku. Chociaż wyglądał, jakby spał, mamrotał coś w odpowiedzi za każdym razem, gdy rzucała w jego stronę kolejne hasło z krzyżówki. – „Roland dla Oliviera”? Może „paladyn”? – mówiła na przykład. – Jak sądzisz?

Poprzedniego dnia przydarzyła jej się dziwna rzecz. Jechała akurat metrem – nie lubiła me-
tra, przed nalotami wszędzie jeździła rowerem, lecz teraz było to niemożliwe ze względu na szkło i gruzu zaścielające ulice. Rozwiązywała krzyżówkę w „Daily Telegraph”, wmawiając sobie, że wcale nie znajduje się w tunelu. Większość ludzi pod ziemią czuła się bezpieczniej, ale Ursuli przeszkadzała myśl, że tkwi w zamkniętej przestrzeni. Raptem kilka dni wcześniej zdarzył się wypadek: bomba spadła na wejście do metra, cały impet wybuchu poszedł w tunele i skutki tego okazały się tragiczne. Nie była pewna, ale gazety chyba nic na ten temat nie pisały; takie informacje fatalnie wpływały na morale.

Siedzący obok niej mężczyzna nieoczekiwanie nachylił się do niej – automatycznie się od-
sunęła – i wskazując ruchem głowy w połowie wypełnioną krzyżówkę, powiedział: – Widzę, że je-
steś w tym całkiem niezła. Dać ci swoją wizytówkę? Mogłabyś wpaść do mnie do biura. Potrzebu-
jemy takich bystrych dziewcząt. – Nie wątpię, pomyślała. Natręt wysiadł na stacji Green Park,
uchyliwszy na pożegnanie kapelusza. Na wizytówce widniał adres Whitehall, ale Ursula zaraz ją wyrzuciła.

Ralph wytrząsnął z paczki dwa papierosy i oba zapalił, po czym podał Ursuli jednego,
mówiąc: – Bystra z ciebie istotka, co?

– Tak sądzę – odparła. – Dlatego ja pracuję w sekcji wywiadowczej, a ty w Sali Map.

– Cha, cha! Bystra i zabawna.

Było między nimi koleżeństwo typowe raczej dla kumpli niż dla kochanków. Szanowali
odrębność swoich charakterów i rzadko stawiali sobie jakiegokolwiek żądania. Pomagało im to, że
oboje pracowali w kwaterze głównej. Dzięki temu nie musieli sobie wyjaśniać wielu rzeczy.

Ralph dotknął grzbietu jej dłoni i zapytał: – Jak się czujesz? – Ona zaś odrzekła: – Dziękuję, znakomicie. – Jego ręce wciąż były rękoma architekta, którym był przed wojną, niezniszczonymi walką. Można by przypuszczać, że posada kartografa w Królewskim Korpusie Inżynieryjnym, ślęczącego nad mapami, fotografiami i tak dalej, zapewni mu bezpieczne schronienie z dala od bitewnego zgiełku. Z pewnością nie spodziewał się brać czynnego udziału w walce i brodzić pod ostrzałem w brudnej wodzie morskiej, gęstej od ropy oraz krwi. (Koniec końców coś tam jej jednak na ten temat powiedział).

I choć bombardowania były prawdziwym koszmarem, zdaniem Ralpha ostatecznie mogły wyjść wszystkim na dobre. Gdy chodziło o przyszłość, był pełen optymizmu (w przeciwieństwie do Hugh czy Crightona). – Pomyśl o tych wszystkich ruderach – mówił. Woolwich, Silvertown, Lambeth i Limehouse zostały zniszczone i po wojnie czekała je gruntowna odbudowa. Ralph uważał, że to świetna okazja, aby postawić tam czyste, nowoczesne domy z wszelkimi wygodami – całe osiedla sięgających nieba konstrukcji ze szkła i stali w miejsce wiktoriańskich dzielnic nędzy. – Takie San Gimignano przyszłości.

Jego wizje modernistycznych wież nie przekonywały Ursuli; gdyby to od niej zależało, miasta przyszłości byłyby pełne ogrodów i wygodnych domków w otoczeniu kwiatów i zieleni. – Ależ z ciebie stara konserwatystka – żartował z czułością.

Mimo to sam także kochał dawny Londyn („Jaki architekt by go nie kochał?”) – kościoły Wrena, miejskie rezydencje i eleganckie budowle publiczne – „kamienie Londynu”, jak je nazywał. Raz lub dwa razy w tygodniu Ralph pełnił nocną straż przy katedrze św. Pawła, jako jeden z mężczyzn gotowych „w razie konieczności” wspiąć się na krokwie, aby ratować ową wspaniałą świątynię przed bombami zapalającymi. Według niego wystarczyłaby jedna iskra, aby katedra stanęła w ogniu: gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie tylko stare drewno, ołów, płaskie dachy, masa schodów i mrocznych zakamarków. Ralph zgłosił się na ochotnika, w odpowiedzi na ogłoszenie poszukujące architektów gotowych pełnić straż ogniową, ponieważ tylko oni mogli „połapać się w planach budynku i tak dalej”. – Całkiem możliwe, że będziemy musieli sprawnie się uwijać – powiedział, a Ursula zadała sobie pytanie, jak on to sobie wyobraża, skoro utyka na jedną nogę. Oczywiście wyobraźni widziała go osaczonego przez płomienie na jakichś schodach albo w którymś z owych mrocznych zakamarków. Na razie jednak dyżury zdawały się przebiegać w sympatycznej atmosferze: ochotnicy grali w karty i toczyli między sobą długie dyskusje na tematy filozoficzne oraz religijne. Ursula podejrzewała, że Ralphowi bardzo to odpowiada.

Ledwie parę tygodni wcześniej skamieniali z przerażenia patrzyli razem na pożar Holland House. Byli akurat na Melbury Road, gdzie pustoszyli piwniczkę z winami. – Możesz u mnie zamieszkać – rzuciła niezobowiązująco Izzie przed swoim wyjazdem do Ameryki. – Zaopiekujesz się domem. Będziesz tu bezpieczna. Nie wyobrażam sobie, aby Niemcy zechcieli zbombardować Holland Park. – Ursula pomyślała wówczas, że ciotka chyba trochę przecenia precyzję pilotów Luftwaffe. A skoro to takie bezpieczne miejsce, to czemu Izzie podwija ogon pod siebie i zmyka za ocean?

– Nie, dziękuję – odparła. Ten dom był dla niej za duży, zbyt pusty. Przyjęła jednak klucz i od czasu do czasu ogałacała mieszkanie ciotki z różnych przydatnych rzeczy. W kredensach wciąż było trochę puszek, które Ursula trzymała w zapasie na czarną godzinę, no i oczywiście była też piwniczka pełna doskonałych win.

Właśnie przeglądali stojaki, przyświecając sobie latarkami – po wyjeździe Izzie prąd w całym domu został wyłączony – a Ursula wyciągnęła z półki bardzo obiecującą butelkę Pétrus i spytała Ralpha: – Myślisz, że będzie pasowało do zasmażanych ziemniaków i mięsnej konserwy? – gdy nastąpił potężny wybuch, oni zaś, przekonani, że bomba trafiła w dom, rzucili się na twardą, kamienną posadzkę piwnicy, zakrywając głowy rękoma. Było to postępowanie zalecane przez Hugh, które ten wpoił Ursuli podczas jej ostatniej wizyty w Fox Corner. „Zawsze pamiętaj, żeby osłaniać głowę”. Hugh walczył wszak na wojnie. Ursuli zdarzało się o tym zapominać. Butelki z winem trzęsły się i grzechotały na swoich stojakach; Ursula dopiero po pewnym czasie z przerażeniem uświadomiła sobie, jak wielkie zagrożenie mogły stanowić te wszystkie Château Latour i Château d’Yquem, gdyby runęły wtedy na nich, zasypując ich odłamkami szkła niczym szrapnela-

mi.

Po wszystkim wybiegli na zewnątrz i patrzyli, jak Holland House zmienia się w ognisko; ogień pożerał wszystko, a Ursula pomyślała: „Boże, nie pozwól mi umrzeć w płomieniach. Niech to będzie szybka śmierć”.

Była ogromnie przywiązana do Ralpha. Nie było w tym nic z miłosnej udręki odczuwanej przez niektóre kobiety. Z Crightonem nieustannie igrała z samą *ideą* miłości, lecz w przypadku Ralpha wszystko było o wiele prostsze. I tym razem nie była to miłość, a raczej uczucie, jakie można by żywić do ulubionego psa (ale nie, oczywiście nigdy by mu tego nie powiedziała; niektórzy ludzie – większość nich – nie mieli pojęcia, jak bardzo można się przywiązać do psa).

Ralph zapalił kolejnego papierosa i Ursula odezwała się: – Harold mówi, że palenie jest bardzo niezdrowe. Na sali operacyjnej widuje podobno płuca, które wyglądają jak nieczyszczone kominy.

– Jasne, że nie jest zdrowe – przyznał Ralph, zapalając też papierosa dla Ursuli. – Ale niemiecki ostrzał i bombardowania również nie służą zdrowiu.

– Myślisz czasami o tym – zadumała się Ursula – co by było, gdyby zmienić tylko jedną małą rzecz – w przeszłości, rzecz jasna. Gdyby Hitler umarł zaraz po urodzeniu albo gdyby ktoś porwał go w niemowlęctwie i wychował, dajmy na to, w rodzinie kwakrów, to przecież wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

– Sądysz, że kwakrzy mogliby porwać dziecko? – spytał łagodnie Ralph.

– Gdyby tylko wiedzieli, co z niego wyrosnie, to czemu nie?

– Ale przecież nikt nie zna przyszłości. A poza tym mógłby się stać tym samym człowiekiem bez względu na to, kto go wychowywał. Może zamiast go porywać, trzeba by go raczej zabić. Byłabyś do tego zdolna? Potrafiłabyś zabić dziecko? Zastrzeliłabyś je? A gdybyś nie miała broni, zabiłabyś je gołymi rękoma? Z zimną krwią?

Gdybym wiedziała, że tak ocalę Teddy’ego, pomyślała Ursula. Nie tylko Teddy’ego, rzecz jasna, ale cały świat. Dzień po wypowiedzeniu wojny Teddy zaciągnął się do RAF-u. Wcześniej pracował w niewielkim gospodarstwie w Suffolk. Po studiach w Oksfordzie zaliczył jeszcze rok szkoły rolniczej, a następnie imał się różnych zajęć na farmach i w gospodarstwach w całym kraju. Chciał się wszystkiego nauczyć, jak twierdził, zanim kupi swoją własną ziemię. (*Rolnik?* – powtarzała ciągle Sylvie). Nie zamierzał być jednym z tych idealistów, którym marzył się powrót do natury i którzy lądowali później po kolana w błocie, z chorowitym bydłem, martwymi owcami i uprawami niewartymi zbiorów. (W jednym z takich miejsc podobno przyszło mu pracować).

Teddy wciąż pisał wiersze, więc Hugh żartował: – Rolnik i poeta w jednym, co? Zupełnie jak Wergiliusz. Spodziewamy się, że napiszesz nowe *Georgiki*. – Ursula często zastanawiała się, co Nancy myśli o byciu żoną rolnika. Ta niesłychanie bystra dziewczyna zgłębiała w Cambridge jakąś wyjątkowo zawiłą i tajemną dziedzinę matematyki. („Dla mnie to zupełna chińszczyzna” – mawiał Teddy). A teraz jego dziecięce marzenie o pilotowaniu samolotów nagle i nieoczekiwanie znalazło się w zasięgu ręki. W tej chwili był bezpieczny w Kanadzie, gdzie szkolił się w lataniu w Empire Training School i skąd słał do domu listy pełne zachwytów nad obfitością jedzenia oraz tamtejszą pogodą, sprawiające, że Ursula aż się skręcała z zazdrości. Żałowała, że brat nie może tam zostać na zawsze, z dala od wszelkich niebezpieczeństw.

– Jakim cudem zaczęliśmy rozmawiać o mordowaniu niemowląt z zimną krwią? – spytała Ralpha Ursula. – Chociaż... – Ruchem głowy wskazała ścianę, za którą jak syrena wznosiło się i opadało zawołanie małego Emila.

Ralph parsknął śmiechem. – Dziś wieczór i tak nie jest źle. Ale chyba bym oszalał, gdyby moje dzieci robiły taki rwetes.

Ursula pomyślała, jakie to ciekawe, że powiedział: „moje dzieci”, a nie: „nasze dzieci”. W czasach, gdy istnienie jakiegokolwiek przyszłości stało pod znakiem zapytania, myśl o posiadaniu dzieci była raczej dziwna. Podniosła się gwałtownie, mówiąc: – Wkrótce zacznie się nalot. – Na początku, gdy *Blitz* dopiero się zaczął, powtarzali: „Przecież nie mogą przylatywać *każdej* nocy”; teraz już wiedzieli, że mogą. („Czy nasze życie już zawsze będzie tak wyglądać? – pisała do Teddy’ego. – Stale mamy być nękani bombardowaniami?”). Teraz, po pięćdziesięciu sześciu nocnych

nalotach z rządu, zaczynało się wydawać całkiem prawdopodobne, że bombardowania nigdy się nie skończą.

– Jesteś jak pies – zauważył Ralph. – Wyczuwasz bombowce szóstym zmysłem.

– W takim razie lepiej będzie, jak mi uwierzysz na słowo i już pójdziesz. W przeciwnym razie będziesz musiał zejść z nami do naszego przepastnego lochu, a to ci się na pewno nie spodoba. – Liczna rodzina Millerów – Ursula naliczyła wśród nich co najmniej cztery pokolenia – mieszkała na parterze, w suterenie domu przy Argyll Road. Mieli oni również dostęp do piwnicy, którą wspólnie z pozostałymi mieszkańcami wykorzystywali jako schron przeciwlotniczy. Był to prawdziwy podziemny labirynt, nieprzyjemne, zagrzybione miejsce pełne pajaków i szczypawek, w którym panował okropny ścisk, gdy wszyscy się tam zbierali, zwłaszcza od czasu, gdy Millerowie zaczęli ściągać ze sobą po schodach swojego opornego kundla, bezkształtną kupę futra o imieniu Billy. Musieli także, rzecz jasna, znosić płacze i lamentowanie Emila, podawanego z rąk do rąk kolejnym lokatorom piwnicy na podobieństwo niechcianej paczki w daremnych próbach ukołysania go do snu.

Pan Miller, pragnąc uczynić piwnicę nieco bardziej „przytulną” (co było absolutnie niewykonalne), poprzyklejał do wyłożonych workami z piaskiem ścian reprodukcje „wielkiego angielskiego malarstwa”, jak to sam ujął. Owe barwne odbitki – *Wóz na siano*, *Państwo Andrews* Gainsborougha (ależ drobnomieszczkańsko się prezentowali) oraz *Bańki mydlane* (zdaniem Ursuli najmniej wyrazisty z obrazów Millaisa) – wyglądały podejrzanie, jakby ktoś wyrwał je z drogich albumów poświęconych sztuce. – Kultura – oznajmił pan Miller, kiwając mądrze głową. Ursula zastanawiała się, co sama by wybrała jako przykład „wielkiego angielskiego malarstwa”. Może Turnera, jedną z jego późnych prac: maźnięcia farby, zatrzymujące ulotną chwilę. Zupełnie nie w guście pana Millera, uznała.

*

Przeszyła kołnierz bluzki, uciszyła *Sturm und Drang* radiowej audycji i dla odmiany zasłuchiwała się w głos Ma Rainey, śpiewającej *Stamtąd przychodzi smutek* – doskonale antidotum na ten cały łatwy sentymentalizm, zaczynający się wylewać z radiodbiornika. Zjedli z Ralphem chleb z serem, próbowała rozwiązywać krzyżówkę, a potem wygoniła go za drzwi, żegnając pocałunkiem. Następnie zgasiła światło i odsunęła zaciemniającą pokój roletę, żeby popatrzeć, jak odchodzi w dół Argyll Road. Pomimo swojego utykania (a może z jego powodu) miał zamaszysty chód, jakby spodziewał się spotkać na swojej drodze coś interesującego. Przypominało jej to Teddy'ego.

Ralph wiedział, że będzie go obserwować, ale się nie obejrzał, uniósł tylko rękę w niemym pozdrowieniu i już po chwili pochłonęły go ciemności. Mimo to na ulicę padało nieco światła, a to za sprawą jasnego sierpa księżycy i rozsianych po niebie bledziutkich gwiazd, zupełnie jakby ktoś cisnął w mrok garść diamentowego pyłu. „Królowa nocy, Luna”, otoczona przez „Gwiazdy – Wróżki” – choć Ursula podejrzewała, że Keats pisał o księżycu w pełni, podczas gdy ten wiszący nad Argyll Road wyglądał raczej na początek nowiu. Była tego dnia w – dość kiepskim – poetyckim nastroju. To te potworności wojny, pomyślała; człowiek rozpaczliwie szukał słów, żeby je opisać.

Bridget zawsze powtarzała, że patrzenie na księżyc przez szybę przynosi pecha, więc Ursula opuściła roletę i zaciągnęła szczelnie zasłony.

Ralph lekko podchodził do kwestii swego bezpieczeństwa. Po Dunkierce, powtarzał, czuł się uodporniony na wszelkie rodzaje nagłej i gwałtownej śmierci. Ursula uważała jednak, że podczas wojny, gdy zewsząd czyha na człowieka nagła i gwałtowna śmierć, dotychczasowe zasady prawdopodobieństwa przestają obowiązywać i nigdzie nie można czuć się bezpiecznym.

Tak jak się spodziewała, wkrótce rozległo się wycie syren, po którym odezwała się artyleria przeciwlotnicza w Hyde Parku, zagłuszona zaraz przez wybuchy pierwszych bomb, spadających chyba znowu gdzieś w okolicy doków, sądząc po odgłosach. To pobudziło ją do działania: chwyciła latarkę z haka przy drzwiach wejściowych, gdzie wisiała niczym święta relikwia, i zabrała książkę, *W stronę Swanna*, również leżącą przy drzwiach. Była to jej „lektura do schronu” – *Du côté de chez*

Swann. Ostatnio, ponieważ nic nie wskazywało na to, aby wojna miała się prędko skończyć, Ursula doszła do wniosku, że może z powodzeniem zabrać się za Prousta.

Samoloty zawyły jej nad głową, usłyszała przerażające *szuuu* spadającej bomby, a potem ogłuszający huk, gdy ta uderzyła gdzieś w pobliżu. Czasem wydawało się, że wybuch miał miejsce bliżej niż w rzeczywistości. (Jakże szybko zdobywało się obecnie nową wiedzę w najmniej oczekiwanych dziedzinach). Ursula rozejrzała się za swoim kombinezonem do schronu. Miała na sobie dość cienką sukienkę jak na tę porę roku, a w piwnicy było przeraźliwie zimno i wilgotno. Kombinezon sprezentowała jej Sylvie, zjawiwszy się w mieście z jednodniową wizytą na krótko przed początkiem bombardowań. Wybrały się razem na spacer po Piccadilly, a Sylvie wypatrzyła w witrynie u Simpsona reklamę „szytych na miarę kombinezonów do schronu” i uparła się, żeby wejść i je przymierzyć. Ursula nie potrafiła wyobrazić sobie matki schodzącej do schronu, nie mówiąc już o kombinezonie, lecz Sylvie była najwyraźniej zachwycona tym na poły mundurowym okryciem. – Będzie jak znalazł do wybierania ściółki z kurnika – stwierdziła i kupiła im obu po jednej sztuce.

Kolejna potężna eksplozja zabrzmiała jak dzwonek alarmowy, więc Ursula zaprzestała poszukiwań cholernego kombinezonu i zamiast tego chwyciła koc patchworkowy z wełnianych kwadratów, wydzierganych na szydełku przez Bridget. („Miałam go spakować i wysłać do Czerwonego Krzyża – pisała Bridget swoją niewprawną ręką, okrągłymi literami – ale pomyślałam, że panience może się bardziej przydać”).

„Widzisz, nawet we własnej rodzinie mam status uchodźcy” – skomentowała to Ursula w liście do Pamelii).

Na schodach minęła siostry Nesbit. – Och, to zły znak, panno Todd – zachichotała Lavinia. – Wie pani, że mijanie się na schodach przynosi pecha.

Ursula schodziła na dół, one zaś szły na górę. – Idą panie w złym kierunku – stwierdziła raczej bez sensu.

– Zapomniałam swojej robótki – wyjaśniła Lavinia. Do sukni miała przypiętą emaliowaną broszkę w kształcie czarnego kota. W miejscu oka mrugał maleńki kryształ górski. – Dzierga rajtuzi dla synka pani Appleyard – dodała Ruth. – W ich mieszkaniu jest tak okropnie zimno. – Ursula zastanowiła się, ile jeszcze dzierganych sztuk odzieży da się wcisnąć na biednego dzieciaka, zanim ten zacznie wyglądać jak owca. Nie jagniątko; w niemowlęciu pani Appleyard nie było nic z jagnięcia. W Emilu, poprawiła się.

– Cóż, niech się panie pospieszą, dobrze? – poprosiła.

– Witamy, witamy, gromadka już niemal w komplecie – odezwał się pan Miller, gdy kolejni mieszkańcy ściągali do piwnicy. Zatechłe pomieszczenie wypełniała przypadkowa zbieranina krzesel i tymczasowych posłań. Stały tam dwa wiekowe polowe łóżka, które pan Miller skądś wyprosił i na których panny Nesbit miały złożyć swoje stare kości. Wobec ich chwilowej absencji jedno z nich zajął kundel Billy. Była tam także niewielka maszynka spirytusowa i druga naftowa. Ursula uważała, że wyjątkowo niebezpiecznie jest przebywać w ich pobliżu, zwłaszcza gdy z góry lecą na człowieka bomby. (Millerowie zachowywali naturalny spokój w obliczu tego zagrożenia).

Lista obecności była niemal kompletna: pani Appleyard z Emilem, stary dziwak Bentley, panna Hartnell i cały zastęp Millerów. Pani Miller głośno wyraziła niepokój z powodu nieobecności panien Nesbit, na co pan Miller zaofiarował się, że pójdzie je ponaglić („Te ich sakramenckie robótki”), lecz w tej samej chwili potworny wybuch wstrząsnął piwnicą. Gdy impet eksplozji przenikał ziemię pod ich stopami, Ursula czuła, jak drżą fundamenty budynku. Posłuszna zaleceniom Hugh padła na podłogę i osłoniła głowę rękoma, pociągnawszy jeszcze za sobą jednego z najmłodszych Millerów, który akurat stał najbliżej („Ej, łapy przy sobie!”). Niezgrabnie próbowała przykryć go własnym ciałem, ale malec jej się wysliznął.

Po chwili wszystko ucichło.

– To nie było w nasz dom – rzucił lekceważąco chłopak, zataczając się lekko i usiłując ocalić resztki zranionej męskiej dumy.

Pani Appleyard również rzuciła się na posadzkę, kryjąc pod sobą dziecko. Pani Miller złapała nie jedną ze swych pociech, ale starą puszkę po cukierkach toffi, w której znajdowały się jej oszczędności i polisy ubezpieczeniowe.

Pan Bentley, głosem nieco wyższym niż zwykle, zapytał: – Czy to w *nas* trafili? – Nie, pomyślała Ursula, wówczas już byśmy nie żyli. Ponownie usiadła na jednym z chwiejnych krzesel z giętego drewna, rozstawionych w piwnicy przez pana Millera. Serce biło jej głośno – za głośno. Zaczęła drżeć i okryła się kocem od Bridget.

– Chłopak ma rację – stwierdził pan Miller. – To brzmiało raczej jak Essex Villas. – Pan Miller zawsze udawał, że wie, gdzie spadają bomby. I, o dziwo, często miał rację. Wszyscy Millerowie byli zarówno biegli w wojennym żargonie, jak i pełni bojowego ducha. Potrafili wszystko znieść. („Ale i my umiemy się odgryzać, prawda? – pisała Pamela. – Myślałby kto, że *sami* nie mamy krwi na rękach”).

– Widać, że pochodzą z północy – podsumowała Sylvie po swoim pierwszym (i ostatnim) spotkaniu z Millerami. Pani Miller zaprosiła Sylvie do swojej kuchni na filiżankę herbaty, lecz ta wciąż była w pieskim humorze z powodu katastrofального stanu zasłon i dywaników w mieszkaniu Ursuli, o który obwiniała panią Miller, mylnie przekonana, iż jest ona gospodynią, a nie tylko jedną z lokatorek (przy czym pozostawała głucha na wyjaśnienia Ursuli). Sylvie zachowała się wówczas niczym udzielna księżna, odwiedzająca wiejską chatę kogoś ze swych dzierżawców. Ursula wyobrażała sobie, jak pani Miller mówi potem do męża: – Ta to dopiero zadziera nosa!

Gdzieś nad nimi na nowo rozpętała się nawałnica: słyszeli głęboki jak uderzenia w kotły huk wielkich bomb, świst pocisków i grzmot pobliskiego oddziału artylerii przeciwlotniczej. Co pewien czas fundamenty piwnicy trzęsły się i słychać było *łup, bum, trach* spadających na Londyn ładunków. Emil wył, kundel Billy wył, wyło też paru najmłodszych Millerów. A wszystko to w kompletnej dysharmonii, niczym nieproszony kontrpunkt do wygrywanego przez Luftwaffe *Donner und Blitzen*, polki Johanna Straussa. Jak jakaś okropna, niekończąca się nawałnica. „Rozpacz za mną, śmierć przede mną szczyrzy kły”¹⁷.

– Rety! Ten stary Szwab naprawdę chce nam dziś napędzić stracha – powiedział pan Miller, spokojnie regulując płomień lampy, jakby byli na jakimś kempingu. To on odpowiadał za morale w piwnicy. Podobnie jak Hugh walczył w okopach, przeżył i twierdził, że jest już uodporniony na szwabską nawałę. Mogliby utworzyć własny klub – Crighton, Ralph, pan Miller, a nawet Hugh; mężczyźni, którzy przeszli próbę ognia, błota oraz wody i uważali, że nic z tych rzeczy dwa razy się nie zdarza.

– Co też ten stary Szwab znowu wyczynia, hę? – zagadnął łagodnie jedno z młodszych i bardziej wystraszonych dzieci. – Chce, żebym się nie wyspał i miał zmarszczki? – Niemcy zawsze występowali dla niego w liczbie pojedynczej, w osobie Fritza, Jerry’ego, Ottona, Hermana, Hansa, a czasem samego Adolfa, który osobiście zrzucił bomby z wysokości czterech mil.

Pani Miller (Dolly), uosobienie triumfu doświadczenia nad nadzieją (odwrotnie niż jej małżonek), wydzielala zebranych „poczęstunek” w postaci herbaty, kakao, herbatników i chleba z margaryną. Millerowie byli niezwykle hojną rodziną, której dzięki ich najstarszej córce Renée, posiadającej odpowiednie „znajomości”, nigdy nie brakowało racji żywnościowych. Renée miała osiemnaście lat, była pod każdym względem dojrzała i wydawała się dziewczęciem o nader swobodnych obyczajach. Panna Hartnell nie kryła, iż jej zdaniem charakter Renée pozostawia wiele do życzenia, niemniej jednak nie miała nic przeciwko temu, aby korzystać z wiktuałów, które ta zносиła do domu. Ursula miała wrażenie, że jedna z młodszych pociec Millerów jest w istocie dzieckiem Renée, a nie pani Miller, które w pragmatyczny sposób zostało najzwyczajniej w świecie włączone w krąg rodziny.

„Znajomości” Renée były dość niejasne, lecz kilka tygodni wcześniej Ursula widziała ją w kawiarni na pierwszym piętrze hotelu Charing Cross, jak sączyła z gracją dzin w towarzystwie eleganckiego mężczyzny o zamożnym wyglądzie, który na czole miał wypisane: „aferzysta”.

– Co za śliski koleś – śmiał się Jimmy. Jimmy, dziecko poczęte dla uczczenia pokoju po wojnie, która miała położyć kres wszystkim innym wojnom, miał właśnie sam wziąć udział w kolejnej. Dostał akurat kilkudniową przepustkę z koszar i wspólnie z Ursulą schronili się w hotelu Charing Cross, podczas gdy na Strandzie usiłowano uporać się z jakimś niewybuchem. Z zewnątrz dobiegała kanonada działek przeciwlotniczych, rozmieszczonych na lawetach między Vauxhall i Waterloo – *bum, bum, bum* – lecz bombowce najwyraźniej szukały innych celów i zdawały się od

nich oddalać. – Czy oni nigdy nie przestają? – spytał Jimmy.

– Jak widać nie.

– W wojsku jest znacznie bezpieczniej – parsknął śmiechem. Zaciągnął się w stopniu szeregowca, chociaż armia proponowała mu żołd podoficera. On jednak wolał być jednym z chłopaków, jak stwierdził. („Przecież ktoś musi nimi dowodzić? – dziwił się Hugh. – I lepiej, żeby był to ktoś z odrobiną oleju w głowie”).

Jimmy’emu chodziło o zdobycie doświadczenia. Pragnął być pisarzem, jak mówił, a cóż lepiej niż wojna mogło mu ukazać wzloty i upadki człowieczeństwa? – *Pisarz?* – jęknęła na to Sylvie. – Obawiam się, że jego kołyski dotykała diabelska ręka. – Ursula domyśliła się, że matka ma na myśli Izzie.

Cudownie było móc spędzić trochę czasu z Jimmym. Olśniewająco się prezentował w mundurze i swoim wejściem robił wrażenie wszędzie, gdziekolwiek by się pojawili – w podejrzanych lokalach na Dean Street i Archer Street, w Boeuf sur le Toit przy Orange Street, który to lokal był już bardzo podejrzany (jeśli nie wręcz szemrany), i wszystkich tych miejscach, które kazały się Ursuli poważnie zastanowić nad stylem życia swojego najmłodszego brata. – Ja tylko zgłębiam ludzką naturę – bronił się Jimmy. Okropnie się wtedy upili i przednio bawili, co było miłą odmianą po kuleniu się ze strachu w piwnicy Millerów. – Obiecuj mi, że nie zginiesz – poprosiła Jimmy’ego, gdy przedzierali się po omacku przez Haymarket niczym para niewidomych, nasłuchując, jak jakaś inna dzielnica Londynu właśnie przestaje istnieć.

– Postaram się – odparł Jimmy.

*

Było jej zimno. A kałuża wody, w której leżała, sprawiała, że było jej jeszcze zimniej. Musiała zmienić pozycję. Czy w ogóle mogła się ruszyć? Najwyraźniej nie. Jak długo już tu tkwiła? Dziesięć minut? Dziesięć lat? Czas przestał istnieć. Najwyraźniej wszystko przestało istnieć. Pozostała jedynie ta okropna mieszanka różnych woni. Znajdowała się w piwnicy. Wiedziała o tym, ponieważ widziała reprodukcję *Baniek mydlanych*, wciąż jakimś cudem przytwierdzoną do worka z piaskiem obok jej głowy. Czyżby miała umrzeć, mając przed oczyma taki banał? Zaraz jednak ów banał wydał jej się czymś wielce pożądanym, ponieważ u jej boku wyrosła przerażająca zjawa. Straszliwy duch, z czarnymi oczyma w poszarzałej twarzy i rozwianymi włosami, szarpał ją swymi pazurami. – Widziałas moje dziecko? – spytał duch. Musiało minąć kilka chwil, zanim Ursula zrozumiała, że ma przed sobą nie ducha, tylko panią Appleyard; jej twarz pokryta była brudem i pyłem po wybuchu, zalana krwią i łzami. – Czy widziałas moje dziecko? – powtórzyła kobieta.

– Nie – odszepnęła Ursula. Usta miała całkiem zaschnięte od kurzu, czy co tam ich przysypało. Zamknęła oczy, a gdy znów je otworzyła, pani Appleyard zniknęła. Może była jedynie wytworem jej wyobraźni, może Ursula majaczyła. A może naprawdę ukazał jej się duch pani Appleyard i obie tkwiły w jakiejś ponurej otchłani.

Jej uwagę ponownie przykuła suknia Lavinii Nesbit, wisząca na haku wystającym ze ściany Millerów. Tyle że to nie była suknia Lavinii Nesbit. Suknia nie miałaby ramion. Nie rękawów – *ramion*. Zakończonych *dłońmi*. Coś mrugnęło do niej z gorsu sukni, oko emaliowanego kotka, w którym odbiło się światło księżycy w nowiu. Na haku wbitym w ścianę mieszkania Millerów wisiało bezgłowe, pozbawione nóg ciało Lavinii Nesbit. Ten widok był tak absurdalny, że Ursula poczuła wzbierający w jej piersi śmiech. Nie wybuchnęła nim jednak, bo coś się poruszyło – belka albo fragment muru – i obsypała ją chmura pyłu drobnego niczym talk. Jej serce biło w niekontrolowany sposób. Całe było obolałe, niczym bomba z opóźnionym zapłonem, gotowa w każdej chwili eksplodować.

Po raz pierwszy ogarnęła ją panika. Nikt nie przyjdzie jej z pomocą. A już na pewno nie obłąkany duch pani Appleyard. Umrze samotnie w piwnicy przy Argyll Road, za całe towarzystwo mając *Bańki mydlane* i pozbawione głowy zwłoki Lavinii Nesbit. Gdyby był tutaj Hugh, Teddy albo Jimmy czy choćby Pamela, walczyliby, żeby ją stąd wydostać, żeby ją *ocalić*. Zależałoby im na niej. Lecz nie było przy niej nikogo, kto by się o nią zatroszczył. Usłyszała, że kwili jak ranny kot. Tak bardzo było jej siebie żal; zupełnie jakby była kimś innym.

Pani Miller powiedziała: – Myślę, że wszystkim nam dobrze zrobiłby łyk kakao, prawda? – Pan Miller znów zaczął marudzić na temat panien Nesbit i Ursula, mając po dziurki w nosie tej klaustrofobicznej piwnicy, powiedziała: – Pójdę ich poszukać – i wstała ze swojego chwiejnego stołowego krzesła w momencie, gdy rozległ się szum oraz syk zwiastujący kolejną nadlatującą bombę. Zaraz potem usłyszeli huk jak od pioruna i ogłuszający trzask, jakby bramy piekieł nagle się rozstały, uwalniając wszystkie demony. Powietrze zostało zassane i ściśnięte, a Ursula miała wrażenie, jakby jej wnętrzności, płuca, serce i żołądek, a nawet jej gałki oczne miały zostać wyssane z jej ciała. „Pozdrówcie ostatni, wiecznotrwały dzień”. To już koniec, pomyślała. Tak właśnie umrę.

W ciszy, niemal tuż przy jej uchu, rozległ się głos mężczyzny mówiącego: – No, dalej, panienko, zobaczmy, czy uda nam się ciebie wyciągnąć. – Ursula widziała jego twarz, brudną i spocną, jakby musiał wykopać tunel, żeby się do niej przedostać. (Pomyślała, że pewnie tak właśnie było). Zdziwiona rozpoznała go. Był to jeden ze strażników ich miejscowej obrony cywilnej, ten nowy.

– Jak panience na imię? Może mi panienka powie? – Ursula wymamrotała swoje imię, ale wiedziała, że zabrzmiało to bardzo niewyraźnie. – „Urry”? – dopytywał się mężczyzna. – Co to ma niby znaczyć? Mary? Susie?

Nie chciała umrzeć jako Susie. Ale jakie to miało znaczenie?

– Dziecko – wybełkotała.

– Dziecko? – powtórzył ostro strażnik. – Było z tobą dziecko? – Cofnął się nieco i krzyknął coś do kogoś, kogo nie było widać. Ursulę dobiegły teraz inne głosy i zrozumiała, że jest tu mnóstwo ludzi. Jakby na potwierdzenie tego strażnik powiedział: – Jesteśmy tu wszyscy, żeby cię wyciągnąć. Chłopcy z gazowni zakręcili gaz i ani się obejrzyj, jak cię stąd zabierzemy. O nic się nie martw. A teraz opowiedz mi o swoim dziecku, Susie. Trzymałaś je na rękach? To jeszcze mały szkrab? – Ursula pomyślała o Emilu, ciężkim jak bomba (które z nich go trzymało, gdy muzyka nagle przestała grać i cały dom eksplodował?), i próbowała coś powiedzieć, ale znów tylko zakwiliła.

W gorze coś zatrzeszczało i zajęczało, strażnik chwycił ją za rękę i powiedział: – To nic, jestem tutaj – a ona poczuła, że jest mu niewypowiedzianie wdzięczna, jemu i wszystkim tym ludziom uwijającym się w pocie czoła, żeby ją ocalić. Pomyślała też, jak bardzo Hugh byłby im wdzięczny. Myśl o ojcu sprawiła, że zaczęła płakać, więc strażnik próbował ją pocieszyć: – Już dobrze, Susie, wszystko będzie dobrze, zaraz cię stąd wyciągniemy jak ślimaka z muszli. A potem dostaniesz filiżankę gorącej herbaty. I co ty na to? Świetny pomysł, prawda? Sam chętnie bym się napił.

Wydawało jej się, że pada śnieg; drobne, lodowate igielki wbijały jej się w skórę. – Tak tu zimno – wymamrotała.

– Nic się nie martw, raz-dwa cię stąd wydobędziemy – odparł strażnik. Z trudem uwolnił się z kurtki, którą miał na sobie, i okrył nią Ursulę. W piwnicy nie było miejsca na tak zamaszyste ruchy i mężczyzna coś przewrócił, sprowadzając na nich oboje lawinę gruzu.

– Och – jęknęła Ursula, ponieważ nagle ogarnęły ją gwałtowne mdłości, zaraz jednak minęły, a ona się uspokoiła. Teraz sypały się na nią liście zmieszane z pyłem, popiołem i szczątkami umarłych. Całkiem nieoczekiwanie otuliła ją gruba warstwa suchych bukowych liści. Pachniały grzybami, ogniskiem i czymś słodkim. Piernikiem pani Glover. Był to o wiele przyjemniejszy zapach niż woń gazu i nieczystości.

– Ejże, dziewczyno – usłyszała głos strażnika. – Daj spokój, Susie, nie zasypiaj mi tu teraz. – Mocniej ścisnął jej rękę, ale Ursula patrzyła na coś, co lśniło i obracało się w słońcu. Króliczek? Nie, zajaczek. Srebrny zajaczek, obracający się wolno tuż przed jej oczyma. Ten widok ją zahipnotyzował. Była to najładniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała.

Spadała z dachu prosto w noc. Stała na polu kukurydzy w żarze, który lał się z nieba. Zbierała maliny przy polnej drodze. Bawiła się w chowanego z Teddym. Zabawna z niej istotka, powiedział ktoś. Chyba nie strażnik? A potem znów zaczął sypać śnieg. Nocne niebo było już nie tylko

nad jej głową, otaczało ją całą niczym ciepłe ciemne morze.

Odpywała w mrok. Usiłowała jeszcze powiedzieć coś do strażnika – „dziękuję” – lecz to nie miało już żadnego znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Zapadła ciemność.

Jutro będzie piękny dzień

2 września 1939

– Nie denerwuj się, Pammy – powiedział Harold. – Dlaczego tu jest tak cicho? Co zrobiłaś z chłopcami?

– Sprzedałam ich – odparła jego żona, rozweselając się. – Trzech w cenie dwóch.

– Zostań u nas na noc, Ursulo – zaproponował życzliwie Harold. – Nie powinnaś być jutro sama. To będzie jeden z tych okropnych dni. Posłuchaj rady lekarza.

– Dziękuję – odrzekła Ursula. – Ale mam już inne plany.

Przymierzyła koktajlową sukienkę z krepdeszynu, którą kupiła wcześniej tego samego dnia na Kensington High Street w szale zakupów wywołanym świadomością mającej wybuchnąć wkrótce wojny. Materiał miał bardzo ładny wzór – maleńkie, czarne jaskółki ze skrzydłami rozpostartymi do lotu. Ursula podziwiała go teraz – a raczej samą siebie lub też to, co dało się dostrzec w lustrze toaletki, ponieważ żeby przejrzeć się od pasa w dół, musiała stanąć na łożku.

Przez cienkie ściany domu przy Argyll Road słyszała panią Appleyard, kłócącą się z kimś po angielsku, z jakimś mężczyzną – zapewne z tajemniczym panem Appleyardem, który zjawiał się i wychodził o najdziwniejszych porach dnia i nocy. Ursula spotkała go osobiście tylko raz, gdy mijali się na schodach, a wówczas rzucił jej gniewne spojrzenie i poszedł dalej bez słowa powitania. Był to rostry, rumiany chłop o nieco świńskiej twarzy. Ursula z łatwością mogła go sobie wyobrazić za ladą u rzeźnika albo przerzucającego worki z ziarnem w jakimś browarze, choć w istocie według panien Nesbit pracował w firmie ubezpieczeniowej.

Pani Appleyard była dla odmiany chuda i miała ziemistą cerę. Gdy jej męża nie było w domu, Ursula słyszała, jak sąsiadka śpiewa żałośnie w języku, którego nie potrafiła umiejscowić. Brzmiało to jakby wschodnioeuropejsko. Jakże przydatna byłaby teraz znajomość esperanta pana Carvera, pomyślała. (Oczywiście pod warunkiem, że wszyscy by się nim posługiwali). Zwłaszcza ostatnio, gdy do Londynu ściągająco tylu uchodźców. („To Czeszka – poinformowały ją w końcu siostry Nesbit. – Dawniej nikt nie wiedział, gdzie leży Czechosłowacja, prawda? Szkoda, że musimy się tego dowiedzieć”). Ursula domyślała się, że pani Appleyard również należy do tej grupy, tyle że szukając bezpiecznej przystani w ramionach angielskiego dżentelmena, trafiła niestety na gniewnego pana Appleyarda. Uznała, że jeśli kiedykolwiek usłyszy, jak pan Appleyard bije swoją żonę, będzie musiała zastukać do ich drzwi i jakoś temu zapobiec, chociaż nie miała bladego pojęcia, jak mogłaby tego dokonać.

Sprzeczka za ścianą osiągnęła właśnie swoje apogeum, po czym w ramach kropki nad i drzwi mieszkania sąsiadów teatralnie trzasnęły i zapadła cisza. Pan Appleyard, mistrz głośnych wejść i wyjść, zszedł ciężko po schodach, a w ślad za nim niosły się echem przekleństwa wygłoszone pod adresem kobiet i cudzoziemców, do których to obu kategorii należała nieszczęsna, uciskana pani Appleyard.

Gorzka atmosfera rozczarowania, przenikająca przez ściany wraz z mało apetycznym zapachem gotowanej kapusty, działała na nią naprawdę przygnębiająco. Ursula wolałaby mieć za sąsiadów sentymentalnych i romantycznych uchodźców – takich, którzy pragnęliby ocalić od zguby swoje nad wyraz kulturalne życie – a nie maltretowaną żonę pracownika firmy ubezpieczeniowej. Co było, rzecz jasna, śmieszne i niesprawiedliwe.

Zeskoczyła z łożka i okręciła się lekko przed lustrem. Stwierdziła, że w nowej sukience jest jej bardzo do twarzy; choć zbliżała się już do trzydziestki, nadal miała dobrą figurę. Czy w przyszłości groziła jej dostojna tusza Sylvie? Zaczynało się to wydawać mało prawdopodobne, zwłaszcza że nic nie wskazywało, aby kiedykolwiek sama miała zostać matką. Dobrze pamiętała, co czuła, gdy tuliła do siebie chłopców Pameli czy wcześniej małych Teddy’ego i Jimmy’ego: wszechogarniającą miłość i przerażenie, rozpaczliwe pragnienie, żeby ich ochronić. O ileż silniejsze

byłyby te uczucia, gdyby chodziło o jej własne dziecko? Może takie silne, że aż nie do zniesienia.

Podczas ich wspólnego podwieczorku u Johna Lewisa Sylvie zapytała ją: – Nigdy nie ogarnia cię melancholia?

– Jak twoje kury?¹⁸

– „Kobieta pracująca” – prychnęła Sylvie, jakby te dwa słowa z trudem mogły stać obok siebie w jednym zdaniu. – I do tego stara panna – dodała, smakując słowa. Ursula zastanawiała się, dlaczego matka tak usilnie stara się doprowadzić ją do wściekłości. – Może już nigdy nie wyjdiesz za mąż – stwierdziła Sylvie tonem podsumowania, jakby życie córki właśnie dobiegło końca.

– A czy to byłoby takie złe? „Niezamężna córka” – odparła Ursula, gryząc ciastko z lukrem. – Jane Austen jakoś to przeżyła.

Ściągnęła sukienkę przez głowę, po czym w samej halce i pończochach podreptała do niewielkiej komórki, gdzie napełniła szklankę wodą z kranu, a następnie odszukała samotnego krakersa. Więzienny wikt, pomyślała – dobre przygotowanie do tego, co miało wkrótce nadejść. Od śniadania jedyną rzeczą, jaką miała w ustach, było ciasto od Pameli. Miała nadzieję, że wieczorem Crichton zafunduje jej przynajmniej dobrą kolację. Poprosił ją wcześniej, aby spotkała się z nim w Savoyu – rzadko zdarzały im się takie publiczne wyjścia, zastanawiała się więc, czy ma się spodziewać dramatycznych scen; a może groźba wojny była wystarczająco dramatyczna i chciał z nią po prostu o tym porozmawiać?

Wiedziała, że wojna zostanie wypowiedziana nazajutrz, chociaż przy Pameli udawała głupią. Crichton mówił jej o wielu rzeczach, o których nie powinien jej mówić, pod pretekstem, że „oboje podpisali zobowiązanie do zachowania tajemnicy państwowej”. (Ona dla odmiany nie mówiła mu prawie o niczym). Ostatnio znowu się wahał i Ursula wcale nie była pewna, na co się w końcu zdecyduje. Nie była też pewna, jakiej decyzji od niego oczekiwała.

Zaprosił ją na drinka, a jego prośba została jej przekazana na druku Admiralicji, który zmaterializował się w tajemniczy sposób, gdy na krótko wyszła ze swojego gabinetu. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, kto przynosi owe liściki, lądujące na jej biurku jakby za sprawą pracowitych elfów. „Pani dział powinien spodziewać się kontroli” – przeczytała. Crichton uwielbiał szyfry. Ursula miała nadzieję, że szyfry wykorzystywane na co dzień w marynarce nie są aż tak przejrzyste jak te Crichtona.

Panna Fawcett, jedna z podległych jej urzędniczek, zauważyła leżącą na widoku wiadomość i rzuciła jej spojrzenie pełne paniki. – O rety – powiedziała. – Naprawdę? Będziemy mieć kontrolę?

– Ktoś chyba sobie z nas zażartował – odparła Ursula, skonsternowana tym, że się rumieni. W tych nieobyczajnych (jeśli nie wręcz sprośnych), lecz z pozoru niewinnych liścikach było coś, co zupełnie nie pasowało do Crichtona. „Mam wrażenie, że brakuje ołówków”. Albo: „Czy pani zapasy tuszu są aby wystarczające?”. Ursula wolałaby, żeby nauczył się systemu stenografii Pitmana albo przynajmniej większej dyskrecji. A najlepiej, żeby w ogóle przestał do niej pisać.

Gdy odzwrotny wpuścił ją do Savoya, Crichton czekał już w eleganckim lobby, lecz zamiast odeskortować ją do Baru Amerykańskiego, poprowadził ją schodami do apartamentu na drugim piętrze. Dominowało w nim ogromne miękkie łóżko. A więc po to tutaj przyszedł, pomyślała.

Krepdeszynowa sukienka wydała jej się nieodpowiednia na tę okazję, włożyła więc atłasową, w kolorze królewskiego błękitu – jedną z trzech porządnych, wieczorowych sukien, jakimi dysponowała – i teraz żałowała swojej decyzji, ponieważ wszystko wskazywało na to, że Crichton wkrótce ją z niej ściągnie, zamiast uraczyć Ursulę wystawnym posiłkiem.

Lubił ją rozbierać, lubił na nią patrzeć. – Jak u Renoira – mawiał, choć nie znał się zbytnio na sztuce. Lepszy już Renoir niż Rubens, myślała. Albo Picasso, skoro o tym mowa. Dzięki Crichtonowi Ursula zyskała wspaniały dar: umiejętność patrzenia na siebie nagą z niewielką tylko, jeśli w ogóle, dozą krytycyzmu. Moira należała, jak się okazało, do gatunku kobiet preferujących flanelowe koszule nocne do samej ziemi oraz zgaszone światło. Czasami Ursula zastanawiała się, czy Crichton aby nie przesadza w opisach bezkompromisowego charakteru swojej małżonki. Raz czy dwa przyszła jej do głowy myśl, że mogłaby wybrać się do Wargrave, przyjrzeć tej zdradzanej żonie i sprawdzić, czy rzeczywiście jest taka szpetna, jak mówił. Spotkanie z Moirą w jej własnej osobie (o kształtach rubensowskich raczej niż typowych dla Renoira, jak podejrzewała) ozna-

czaloby wszakże, że Ursuli trudniej byłoby oszukiwać prawdziwą, żywą osobę, a nie, jak dotąd, wyłącznie jej wyobrażenie.

(„Ale przecież ona *jest* prawdziwą, żywą osobą – dziwiła się Pamela. – To chyba dość bałamutny argument”.

„Owszem, jestem tego *świadoma*”. – To już padło później, w dniu sześćdziesiątych urodzin Hugh, podczas dość męczącego rodzinnego spotkania na wiosnę).

Z apartamentu roztaczał się wspaniały widok na rzekę, od mostu Waterloo aż po gmach Parlamentu i Big Bena wszystko spowijał cień, zapowiedź zapadającego zmierzchu. („Fioletowa godzina”). Ursula z trudem dostrzegała zarysy obelisku zwanego Igłą Kleopatry – ciemny palec, skierowany w niebo. Ani śladu zwykłej miejskiej poświaty i migoczących świateł Londynu. Obowiązywało już zaciemnienie.

– Melina nie była dziś dostępna? Czy może postanowiła się ujawnić? – spytała, podczas gdy Crighton otwierał butelkę szampana, która czekała na nich w spotniałym srebrnym wiaderku. – Coś świętujemy?

– Mówimy *adieu* – odparł Crighton, dołączając do stojącej przy oknie Ursuli i podając jej kieliszek.

– *Adieu?* – powtórzyła rozbawiona Ursula. – Zaprosiłaś mnie do dobrego hotelu, a teraz pusz mi szampanem tylko po to, żeby ze mną zerwać?

– Mówimy *adieu* pokojowi – wyjaśnił Crighton. – Żegnamy się ze światem, który znamy. – Wzniósł toast w kierunku okna i Londynu w całej swojej przedwieczornej krasie. – Za początek końca – powiedział ponuro. – Rozstałem się z Moirą – dodał mimochodem, jakby to nic nie znaczyło. Ursula aż zaniemówiła z wrażenia.

– A co z dziewczynkami? (Lepiej się upewnić, pomyślała).

– Je też zostawiłem. Życie jest zbyt cenne, żeby być nieszczęśliwym. – Ursula była ciekawa, ilu ludzi w Londynie miało tej nocy powiedzieć to samo. Może tylko w nieco mniej eleganckim otoczeniu. Rzecz jasna, będą i tacy, którzy wypowiedzą te słowa, trzymając się kurczowo tego, co mają, zamiast porzucić wszystko pod wpływem chwilowego kaprysu.

Czując, że ogarnia ją nagła i nieoczekiwana panika, Ursula odrzekła: – Ale ja nie chcę wyjść za ciebie za męża. – Dopóki te słowa nie wyrwały jej się z ust, nie wiedziała, jak bardzo było to dla niej ważne.

– Ja też nie chcę się z tobą żenić – odparł Crighton, a ona jak na ironię poczuła się rozczarowana.

– Wynająłem mieszkanie w Egerton Gardens – dodał. – Pomyślałem, że mogłabyś do mnie dołączyć.

– Mielibyśmy razem mieszkać? Żyć w grzechu w Knightsbridge?

– Skoro tak to nazywasz.

– Rety, jakiś ty odważny – zaśmiała się. – A co z twoją karierą?

W odpowiedzi mruknął coś lekceważąco. A więc to ona, a nie wojna, miała być jego nową Jutlandią.

– Zgadzasz się, Ursulo?

Ursula spoglądała przez okno na Tamizę. Rzeka była już prawie niewidoczna.

– Powinniśmy wnieść toast – powiedziała. – Jak to się mówi w marynarce? „Za żony i kochanki – oby się nigdy nie spotkały”? – Stuknęła się kieliszkiem z Crightonem i dodała: – Umieram z głodu, chyba coś zjemy?

Kwiecień 1940

Ciszę niedzielnego poranka w Knightsbridge przerwało głośne trąbienie klaksonu pod oknem. Ursula tęskniła za dźwiękiem dzwonów. Tyle było drobiazgów, które przed wojną traktowała jako coś całkiem oczywistego, a teraz żałowała, że nie może cofnąć czasu i odpowiednio ich docenić.

– Po co tak trąbić, skoro mamy sprawnie działający dzwonek? – zirytował się Crighton. Wyrzął przez okno. – Już jest – powiedział – o ile ten nadęty jak paw młody człowiek w trzyzęściowym garniturze to na pewno on.

– To do niego podobne. – W oczach Ursuli Maurice nie był już „młodym człowiekiem”; właściwie nigdy nie myślała o nim jako o kimś młodym, ale spodziewała się, że Crighton może go tak odbierać.

Tego dnia wypadały sześćdziesiąte urodziny Hugh i Maurice niechętnie zaproponował, że zawiezie ją do Fox Corner na rodzinną uroczystość. Było to coś nowego i niekoniecznie przyjemnego – być uwięzioną w jednym aucie z Maurice’em. Jak dotąd rzadko spędzali ze sobą czas sam na sam.

– Czy on ma aby benzynę? – spytał Crighton, unosząc w górę brew, choć było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Ma własnego *szofera* – odparła Ursula. – Zawsze wiedziałam, że Maurice wycisnie z wojny, ile tylko się da. – „Z jakiej wojny?” – powiedziałaaby Pamela. Jej siostra utknęła w Yorkshire „jak rozbitek na bezludnej wyspie”, za całe towarzystwo mając sześciu małych chłopców oraz Janet, która okazała się nie tylko marudna, ale też „okropnie *fainéante*. Po córce pastora spodziewałabym się czegoś lepszego. Taki z niej leniwy wałkoń, że całymi dniami muszę uganiać się za jej chłopakami jak za swoimi. Mam już po dziurki w nosie tej całej hecy z ewakuacją i chyba niedługo wrócimy do domu”.

– Podejrzewam, że raczej nie mógłby zjawić się u nas w domu samochodem, *nie zaproponowawszy*, że mnie podwiezie – stwierdziła. – Maurice za żadne skarby nie chciałby być uznany za źle wychowanego, nawet przez swoją własną rodzinę. Musi przecież dbać o swoją *reputację*. Poza tym są tam teraz jego żona i dzieci, a on ma ich dziś wieczorem przywieźć do Londynu. – Na Wielkanoc Maurice wysłał Edwinę z potomstwem do Fox Corner. Ursula zastanawiała się wówczas, czy w związku z wojną jej brat wie coś, czego nie podano do wiadomości publicznej. Może Wielkanoc miała być jakoś szczególnie niebezpiecznym czasem? Maurice’owi musiało być znanych mnóstwo faktów, o których inni nie mieli pojęcia. Wielkanoc minęła jednak bez żadnych incydentów, więc najprawdopodobniej chodziło po prostu o odwiedziny wnucząt u dziadków. Philip i Hazel były dziećmi wyjątkowo pozbawionymi wyobraźni i Ursulę ciekawiło, jak się dogadują z hałaśliwymi, ewakuowanymi z Londynu chłopcami, którzy pomieszkowali obecnie u Sylvie. – Z powrotem w aucie będzie straszny ścisk. Edwina, dzieci, o *szoferze* nie wspominając. Ale skoro nie ma innej rady, i tak dalej...

Na ulicy ponownie zabrzmiał klakson. Ursula dla zasady go zignorowała. Ależ bym miała uciechę, pomyślała, gdyby Crighton zgodził się ze mną pojechać; w pełnym marynarskim rynsztunku (wszystkie te medale i złote sznury) przewyższałby Maurice’a rangą – i nie tylko rangą. – Wiesz, mógłbyś się ze mną zabrać – zwróciła się do niego. – Nie będziemy nikomu wspominać o Moirze. Ani o dziewczynkach.

– Czy właśnie tam jest twój dom?

– Słucham?

– Przed chwilą powiedziałaś, że Maurice „nie mógłby zjawić się u nas w domu”. No więc jak? Tam jest twój dom?

– Oczywiście – odparła Ursula. Maurice przechadzał się niecierpliwie tam i z powrotem po chodniku, zastukała więc w szybę, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, po czym uniosła palec wskazujący, mówiąc bezgłośnie: „Jeszcze minuta”. W odpowiedzi jej brat zmarszczył gniewnie brwi. – Tak się przecież mówi – dodała, odwracając się do Crighтона. – Chyba każdy nazywa domem miejsce, gdzie mieszkają jego rodzice.

– Naprawdę? Ja tego nie robię.

Rzeczywiście, pomyślała Ursula, ty tego nie robisz. Dla Crighтона „domem” było Wargrave, choćby tylko w myślach. I miał, rzecz jasna, rację – nigdy nie myślała o mieszkaniu w Egerton Gardens jak o swoim domu. Było dla niej punktem w czasie, chwilowym przystankiem w kolejnej podróży, którą przerwała wojna. – Możemy przedyskutować tę kwestię, jeśli chcesz – zgodziła się uprzejmie. – Chodzi tylko o to, że... Maurice maszeruje wte i wewte jak ołowiany żołnierz.

Crighton roześmiał się. W jego naturze nie leżało szukanie zwady.

– Z ogromną przyjemnością pojechałbym z tobą i poznał twoją rodzinę – rzekł – ale wybieram się do Cytadeli. – Admiralicja budowała przy placu Horse Guards Parade podziemną fortecę zwaną Cytadelą i Crighton był właśnie w trakcie przenosin do nowego gabinetu.

– W takim razie do zobaczenia – powiedziała Ursula. – Mój powóz już czeka, a Maurice grzebie kopytami w ziemi.

– Obrączka – przypomniał jej Crighton, ona zaś odrzekła: – Ach tak, rzeczywiście, byłabym zapomniała. – Od jakiegoś czasu dla zachowania pozorów nosiła poza pracą obrączkę – „dla sklepi-karzy i tak dalej”. Chłopak rozwożący mleko, kobieta, która dwa razy w tygodniu przychodziła u nich sprzątać – Ursula nie chciała, aby myśleli, że żyje w niesakramentalnym związku. (Sama była zaskoczona własną pruderią).

– Wyobrazasz sobie, ile pytań by zaraz padło, gdyby *to* zobaczyli? – Z tymi słowy zsunęła obrączkę z palca i położyła na stoliku w holu.

Crighton pocałował ją lekko w policzek i powiedział: – Baw się dobrze.

– Tego nikt mi nie zagwarantuje – odparła.

– Wciąż nie przygruchałaś sobie żadnego faceta? – spytała Ursulę Izzie. – No jasne – dodała, odwracając się żywo do Sylvie – ile to już masz wnuków, siedmioro? Ośmioro?

– Sześcioro. Może i *ty* jesteś już babcią, Izzie.

– Co takiego? – zdziwił się Maurice. – Jakim cudem?

– Tak czy inaczej – podjęła lekko Izzie – Ursula może się czuć zwolniona z obowiązku wy-produkowania kolejnego wnuka.

– Wyprodukowania? – powtórzyła z niesmakiem Ursula, a widelec z łososiem w galarecie znieruchomiał w połowie drogi do jej ust.

– Wygląda na to, że trafiłaś do lamusa – zauważył Maurice.

– Słucham? – Widelec wylądował na talerzu.

– Kto trzy razy drzubuje...

– Raz – sprostowała Ursula. – Tylko raz byłam druhną. Na ślubie Pameli.

– Ja to zjem, jeśli ty nie zamierzasz – wtrącił się Jimmy, podbierając jej łososia.

– Tak się składa, że zamierzałam...

– Wobec tego tym gorzej – stwierdził Maurice. – Nikt nie chciał cię na druhną z wyjątkiem własnej siostry. – Zachichotał, bardziej jak uczeń niż dorosły mężczyzna. Jak na złość siedział zbyt daleko od niej, żeby mogła go kopnąć pod stołem.

– Maurice, gdzie twoje maniery – wymamrotała Edwina. Ile razy dziennie ktoś taki jak Maurice musiał rozczarowywać swoją żonę? – pomyślała Ursula. Doszła do wniosku, że spośród wszystkich argumentów przeciwko małżeństwu najlepszym jest samo istnienie Maurice’a. Ostatnio Edwina chodziła z nosem na kwintę z powodu *szofera*, który okazał się całkiem atrakcyjną dziewczyną w mundurze Pomocniczej Służby Terytorialnej. Ku wielkiemu skrępowaniu tej ostatniej (miała na imię Penny, ale wszyscy natychmiast o tym zapomnieli) Sylvie nalegała, aby zasiadła razem z nimi do stołu, choć było jasne, że czułaby się swobodniej w samochodzie albo w kuchni razem z Bridget. A tak utknęła w zatłoczonej części stołu razem z ewakuowanymi z Londynu dziećmi, raz po raz ściągając na siebie lodowate spojrzenia Edwiny. Maurice zaś starannie ją igno-

rował. Ursula usiłowała nadać temu jakieś znaczenie. Żałowała, że nie ma z nimi Pameli, która była świetna, jeśli chodzi o rozszyfrowywanie ludzi, choć może nie tak dobra jak Izzie. („No, widzę, Maurice, że niegrzeczny z ciebie chłopiec. Ta mała to prawdziwa ślicznotka. Kobiety w mundurach – który mężczyzna im się oprze?”).

Philip i Hazel siedzieli apatycznie między swoimi rodzicami. Sylvie nigdy szczególnie nie przepadała za dziećmi Maurice’a, zachwycała się natomiast powierzonymi jej opiece ewakuowanymi chłopcami, Barrym i Bobbym („Moje dwie pracowite pszczołki”), którzy właśnie w tej chwili chowali się pod stołem w stylu regencji, chichocząc przy tym jak wariaci. – Straszne z nich psotniki – rzekła z pobłażaniem Sylvie. Ewakuowani chłopcy, jak ich powszechnie nazywano, jakby obecny status całkowicie ich definiował, zostali wcześniej do czysta wyszorowani przez Bridget oraz Sylvie, pragnących nadać im pozory przyzwoitego wyglądu, nic jednak nie mogło zakamufłować ich szelmowskiej natury. („Co za potwory” – stwierdziła Izzie, wzdrygając się ze wstrętem). Ursula czuła do nich pewną sympatię, ponieważ przypominali jej małych Millerów. Gdyby byli psiakami, ich ogony byłyby w ciągłym ruchu.

Sylvie miała teraz parę prawdziwych szczeniąt, pobudliwych czarnych labradorów, także braci. Ich imiona brzmiały Hector i Hamish, ponieważ jednak trudno było je od siebie odróżnić, wszyscy nazywali je hurtowo: „psy”. Najwyraźniej właśnie za sprawą psów i ewakuowanych chłopców Fox Corner ostatnio w widoczny sposób podupadło. Sama Sylvie robiła wrażenie bardziej pogodzonej z obecną wojną, niż kiedykolwiek była z poprzednią. Hugh wręcz przeciwnie. „Zmuszono” go do prowadzenia szkoleń Cywilnej Obrony Terytorialnej i właśnie tego ranka po niedzielnym nabożeństwie pokazywał „paniom” z miejscowego kościoła, jak używać przenośnej pompy gaśniczej.

– Czy to aby odpowiednie zajęcia w szabat? – zaniepokoiła się Edwina. – Jestem pewna, że Bóg nam sprzyja, ale... – Urwała, nie będąc w stanie pociągnąć swoich teologicznych rozważań, choć była wszak „zagorzałą chrześcijanką”, co zdaniem Pameli oznaczało, że spuszczała porządne cięgi swoim dzieciom i kazała im jeść na śniadanie to, co zostawiły z podwieczorku.

– Oczywiście, że nie – poparł ją Maurice. – Gdy powierzono mi zadanie zorganizowania obrony cywilnej...

– Wcale nie uważam, że trafiłam „do lamusa”, jak to uroczo ująłeś – przerwała mu poirytowana Ursula. Znowu pożałowała, że nie ma przy niej ustrojonego w medale i złote sznury Crichtona. Ależ Edwina byłaby zgorszona, gdyby wiedziała o Egerton Gardens! („A jak tam nasz admirał?” – zagadnęła ją później w ogrodzie Izzie – *sotto voce*, jak prawdziwy konspirator – gdyż akurat ona wiedziała. Izzie wiedziała o wszystkim, a jeśli czegoś nie wiedziała, potrafiła to z łatwością wywęszyć. Podobnie jak Ursula mogłaby być doskonałym szpiegiem. „Nie jest żadnym admirałem – odparła – ale dziękuję, ma się bardzo dobrze”).

– Świetnie sobie radzisz sama – pocieszył Ursulę Teddy. – „Zaręczony z własnymi jedynie oczyma”¹⁹ i tak dalej. – Teddy pokładał wiarę w poezji, tak jakby jeden cytat z Szekspira mógł załagodzić sytuację. Ursuli wydawało się, że sonet, którego fragment przytoczył, traktuje o egoizmie, nic jednak nie powiedziała, ponieważ Teddy miał dobre intencje. W przeciwieństwie do całej reszty, która najwyraźniej nie miała nic innego do roboty, jak tylko roztrząsać jej staropanieństwo.

– Ma raptem trzydzieści lat, na litość boską. – Izzie znów musiała wtrącić swoje trzy grosze. (Dlaczego nie mogą po prostu zamilknąć, pomyślała Ursula). – Ostatecznie – ciągnęła uparcie Izzie – ja wyszłam za mąż dopiero po czterdziestce.

– A gdzie jest twój mąż? – spytała Sylvie, rozglądając się wokół stołu w stylu regencji, którego oba składane blaty zostały wysunięte, żeby pomieścić tak licznie zebranych gości. Mówiąc to, przybrała wyraz udawanego zakłopotania (zupełnie jej to nie pasowało). – Nigdzie go nie widzę.

Izzie skorzystała z nadarzającej się okazji i zjawiała się („Jak zwykle nieproszona” – burczała Sylvie), żeby powinszować bratu jego sześćdziesiątego krzyżyka. („Prawdziwy kamień milowy”). Pozostałe siostry Hugh uznały podróż do Fox Corner za „zbyt wielkie wyzwanie”.

– Co za wredne babsztyłe – powiedziała później Izzie do Ursuli. Izzie mogła być najmłodsza w rodzinie, lecz nigdy nie była niczyją faworytką. – Hugh zawsze był dla nich taki dobry.

– On zawsze jest dla wszystkich dobry – odrzekła Ursula i ku swemu zaskoczeniu, czy

wręcz zaniepokojeniu, poczuła, jak na myśl o kryształowym charakterze ojca łyzy napływają jej do oczu.

– Och, przestańże już – prychnęła Izzie, podając jej koronkową mgiełkę, która najwyraźniej pełniła funkcję chusteczki do nosa. – Bo i ja się rozplączę. – Wydawało się to mało prawdopodobne, jako że nigdy przedtem nie zdarzyło jej się płakać.

Przy okazji Izzie ogłosiła rodzinie swoje plany rychłego wyjazdu do Kalifornii. Jej mąż, słynny dramaturg, otrzymał propozycję pisania scenariuszy w Hollywood. – Wszyscy Europejczycy się tam wybierają – dodała.

– Od kiedy to jesteś Europejką? – zdziwił się Hugh.

– A czy nie wszyscy nimi jesteśmy?

Na przyjęciu urodzinowym zgromadziła się cała rodzina z wyjątkiem Pameli, dla której podróż byłaby rzeczywiście zbyt wielkim wyzwaniem. Jimmy zdołał wyłudzić kilkudniową przepustkę, a Teddy przywiózł ze sobą Nancy. Na powitanie dziewczyna w rozbrajający sposób uściślała jubilata, mówiąc: – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panie Todd – po czym wręczyła mu paczuszkę, ślicznie zapakowaną w kawałek starej tapety zwędzonej z domu Shawcrossów. W środku był egzemplarz *Wikariusza*. – Pierwsze wydanie – powiedziała Nancy. – Ted mówił mi, że lubi pana Trollope’a. (Co było kompletnym zaskoczeniem dla całej reszty rodziny).

– Kochany Ted – wzruszył się Hugh i pocałował ją w policzek. A zwracając się do Teddy’ego, dodał: – Masz tu prawdziwy skarb. Kiedy ty się wreszcie oświadczysz?

– Och! – Nancy splonęła rumieńcem i odparła ze śmiechem: – Na to mamy jeszcze mnóstwo czasu.

– Mam taką nadzieję – wtrąciła ponuro Sylvie. Teddy ukończył wstępne szkolenie („Ma teraz własne skrzydła! – ekscytowała się Nancy. – Zupełnie jak anioł!”) i czekał na rejs do Kanady, gdzie miał się kształcić na pilota. Po ukończeniu kursu czekały go powrót do kraju i szkolenie operacyjne na samolotach bojowych.

To ostatnie prędkiej mogło się skończyć jego śmiercią, jak twierdził, „niż prawdziwa akcja bojowa”. I miał rację. Ursula знаła dziewczynę z Ministerstwa Lotnictwa. (Wszędzie znała jakieś dziewczyny, jak wszyscy). Jadały wspólnie drugie śniadania w parku św. Jakuba, dzieląc się ponurymi statystykami, wbrew restrykcyjnej ustawie o tajemnicy państwowej.

– To dla mnie rzeczywiście ogromne pocieszenie – skrzywiła się Sylvie.

– Auć! – wrzasnął pod stołem jeden z ewakuowanych chłopców. – Jakiś drań mnie kopnął. – Wszyscy instynktownie spojrzeli na Maurice’a. Coś zimnego i mokrego dotknęło uda Ursuli. Miała ogromną nadzieję, że to nos któregoś z psów, a nie jednego z ewakuowanych. Jimmy uszczypnął ją w ramię (dość boleśnie) i rzekł: – Nie dają ci spokoju, co?

Biedna dziewczyna z Pomocniczej Służby Terytorialnej – tak jak psy i ewakuowani definiowana przez swój status – wyglądała, jakby się miała lada moment rozpląkać.

– Wszystko w porządku? – zagadnęła ją Nancy, jak zwykle chętna do pomocy.

– Jest jedynaczką – wyjaśnił rzeczowo Maurice. – Tacy jak ona nie rozumieją radości życia rodzinnego. – Jego wiedza na temat osobistego życia podwładnej chyba szczególnie rozwścieczyła Edwinę, bo ścisnęła nóż do masła tak, jakby zamierzała kogoś nim zaatakować: Maurice’a albo dziewczynę ze służby pomocniczej, albo kogokolwiek, kto znalazłby się w jej zasięgu, tak to przynajmniej wyglądało. Ursula zastanawiała się, jakie szkody może wyrządzić nóż do masła. Pewnie całkiem spore.

Nancy zerwała się od stołu, mówiąc do dziewczyny: – Chodź, przejdziemy się trochę, taka dziś piękna pogoda. W lesie będzie pełno dzwonek, jeśli masz ochotę na trochę dłuższy spacer. – Wzięła tamtą pod ramię i niemal siłą wyciągnęła z jadalni. Ursuli przeszło przez myśl, czyby za nimi nie pobiec.

– „Zaloty tak się mają do małżeństwa jak bardzo dowcipny prolog do bardzo nudnej sztuki” – wyrecytowała Izzie, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło. – Ktoś tak kiedyś powiedział.

– Congreve – podsunęła Sylvie. – Tylko co to ma, u licha, z czymkolwiek wspólnego?

– Tak tylko mówię – mruknęła Izzie.

– No tak. W końcu jesteś *żoną* dramaturga, prawda? – zauważyła kwaśno Sylvie. –

Tego, którego nigdy nie mamy okazji oglądać.

– Podróż jest inna dla każdego – odparła Izzie.

– Och, błagam – westchnęła Sylvie. – Daruj nam tę swoją pseudofilozofię.

– Dla mnie małżeństwo to wolność – stwierdziła Izzie. – A dla ciebie to zawsze było utrapienie i ograniczenie.

– O czym ty mówisz, na Boga? – zdumiała się Sylvie. (I jeśli chodzi o resztę zgromadzonych przy stole, nie była w swym zdumieniu odosobniona). – To jakieś kompletne bzdury.

– Pomyśl tylko, jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś nie wyszła za męża? – ciągnęła niefrasobliwie (lub, w zależności od punktu widzenia, nieubłaganie) Izzie. – Wydaje mi się, że miałaś wtedy siedemnaście lat i byłaś bez grosza przy duszy: córka nieżyjącego malarza bankruta. Bóg jeden wie, co by się z tobą stało, gdyby Hugh tak rycersko nie przyszedł ci z odsieczą.

– Niczego nie możesz pamiętać, byłaś wtedy jeszcze w powijakach.

– Dobrze sobie. No i oczywiście...

– Och, przymknijże się wreszcie – westchnął ciężko Hugh.

Napięcie rozładowało wejście Bridget (po tym, jak pani Glover odeszła z Fox Corner, często przypadała jej w udziale ta rola), która uroczyście wniosła do jadalni pieczoną kaczkę.

– Kaczka *à la surprise* – rzucił Jimmy, gdyż wszyscy naturalnie spodziewali się kurczaka.

Nancy oraz dziewczyna z Pomocniczej Służby Terytorialnej (*Penny* – jak przypomniała wszystkim Nancy) wróciły w samą porę, żeby dostać podgrzane talerze. – Macie szczęście, że cokolwiek na nich jest – powiedział Teddy do Nancy, podając jej talerz. – Biedne ptaszysko zostało ogryzione do czysta.

– Kaczką trudno się najeść – stwierdziła Izzie, zapalając papierosa. – Mięsa ledwie starcza dla dwóch osób. Doprawdy, nie wiem, co ty sobie wyobrażałaś.

– Wyobrażałam sobie, że trwa wojna – odgryzła się Sylvie.

– Gdybym wiedziała, że podasz *kaczkę* – brnęła dalej Izzie – postarałabym się przywieźć z miasta coś bardziej wyszukanego. Znam człowieka, który potrafi praktycznie wszystko załatwić.

– Nie wątpię – mruknęła Sylvie.

Jimmy podał Ursuli rozwidloną kość z piersi kaczki, po czym głośno i dobitnie wyrazili wspólne życzenie: miłych urodzin dla Hugh.

Zawieszenie broni ogłoszono wraz z wniesieniem tortu, kunsztownego dzieła sztuki cukierniczej, składającego się, rzecz jasna, głównie z jajek. Bridget podała go na stół, a jako osoba całkowicie pozbawiona wyczucia okazji, bezceremonialnie pacnęła nim o blat przed samym nosem Hugh. Ten zmusił ją, aby do nich dołączyła. – Na twoim miejscu bym tego nie robiła – dotarł do Ursuli szept dziewczyny z Pomocniczej Służby Terytorialnej.

– Przecież należysz do rodziny, Bridget – rzekł Hugh. Jednak żaden inny jej członek nie harował od świtu do zmierzchu tak jak Bridget, pomyślała Ursula. Pani Glover przeszła na emeryturę i wyjechała, aby zamieszkać z jedną ze swych sióstr; było to podyktowane nagłą, lecz nieoczekiwaną śmiercią jej syna George'a.

Akurat gdy Hugh nabrał w płuca powietrza – dość teatralnie, bo do zdmuchnięcia miał tylko jedną symboliczną świeczkę – w sieni wybuchło wielkie zamieszanie. Jeden z ewakuowanych chłopców poszedł zobaczyć, co się dzieje, po czym wrócił biegiem z nowiną, która brzmiała: – Przyjechała jakaś babka z całą chmarą cholernych dzieciaków!

*

– I jak było? – zapytał ją Crighton, gdy wreszcie wróciła do domu.

– Przyjechała Pammy, tym razem już chyba na dobre – odparła, wybierając najmilsze wydarzenie mijającego dnia. – Wyglądała na całkiem skonaną. Podróżowała sama koleją z trzema chłopcami i niemowlęciem na ręku, wyobrażasz to sobie? Zajęło jej to *wieki cale*.

– Coś koszmarnego – przyznał z uczuciem Crighton.

(„Pammy!” – wykrzyknął Hugh. Wyglądał na wielce uradowanego.

„Wszystkiego dobrego, tatusiu – powiedziała Pamela. – Obawiam się, że zjawiamy się bez prezentu, i musi ci wystarczyć sama nasza obecność”.

„Nic więcej mi nie trzeba” – odrzekł rozpromieniony Hugh).

– *Do tego* miała ze sobą walizki oraz psa. Jest taka dzielna. Dla odmiany moja podróż powrotna to całkiem inny koszmar. Maurice, Edwina, ich nudne potomstwo i *szofer*, który okazał się bardzo ładną dziewczyną z Pomocniczej Służby Terytorialnej.

– Wielkie nieba – zdumiał się Crighton – jak mu się to udało? Od miesięcy usiłuję przygruchać sobie którąś z Pomocniczej Morskiej Służby Kobiet. – Ursula roześmiała się i została z nim w kuchni, aż przygotował kakao dla nich obojga. Gdy pili je w łóżku, uraczyła go nieco upiękaszonymi (czuła, że jej obowiązkiem jest go rozbawić) rodzinnymi anegdotami. Czy jest coś, co odróżnia nas od zwykłego małżeństwa? – pomyślała. Może wojna. A może nie.

– Chyba też będę musiała się zaciągnąć albo coś w tym rodzaju – rzuciła, myśląc o dziewczynie z Pomocniczej Służby Terytorialnej. – „Zrobić, co do mnie należy”, jak to mówią. Ubrudzić sobie ręce. Co dzień czytam w raportach o ludziach, którzy dokonali czegoś odważnego, a moje ręce ciągle są czyste.

– Robisz już wystarczająco dużo – stwierdził Crighton.

– Na przykład co? Wspieram marynarkę wojenną?

Wybuchnął śmiechem, przewrócił się na bok i wziął ją w ramiona. Pieścił ustami jej szyję i gdy tak leżała, przemknęło jej przez myśl, iż to całkiem możliwe, że właśnie jest szczęśliwa. A przynajmniej, uznała, mitygując się, na tyle szczęśliwa, na ile można być w tym nędznym życiu.

Dom – olśniło ją w trakcie morderczej drogi powrotnej do Londynu – to nie Egerton Gardens, nawet nie Fox Corner. Dom to idea i podobnie jak Arkadia jest to idea zagubiona gdzieś w odległej przeszłości.

W jej pamięci ten dzień zdążył się już zapisać jako „sześćdziesiąte urodziny Hugh”, jeden z kolejnych rodzinnych zjazdów do zaliczenia. Później, kiedy już zrozumiała, że był to ostatni raz, gdy mogli się wszyscy spotkać, żałowała, że nie dała z siebie więcej.

*

Nazajutrz Crighton obudził ją, przynosząc do łóżka tacę z herbatą i tostem. To, iż był tak wprawiony w wykonywaniu domowych obowiązków, Ursula zawdzięczała raczej jego służbie w marynarce wojennej niż wpływowi Wargrave.

– Dziękuję – rzekła, siadając z wysiłkiem w pościeli, wciąż umęczona po minionym dniu.

– Obawiam się, że mam złe wieści – powiedział, odsłaniając zasłony.

Ursula natychmiast pomyślała o Teddym i Jimmym, choć wiedziała, że przynajmniej tego ranka śpią jeszcze całkiem bezpiecznie w swoich łóżkach w Fox Corner, jak za dawnych lat dzieląc pokój dziecienny należący wcześniej do Maurice’a.

– Jakie złe wieści? – zapytała.

– Norwegia skapitulowała.

– Biedna Norwegia. – To mówiąc, upiła łyk gorącej herbaty.

Listopad 1940

Pamela przysłała paczkę dziecięcych ubranek, z których wyrósł Gerald, i Ursula z miejsca pomyślała o pani Appleyard. Niewiele brakowało, a wcale by o niej nie pomyślała, ponieważ od czasu przeprowadzki do Egerton Gardens nie utrzymywała kontaktów z mieszkańcami kamienicy przy Argyll Road, czego w sumie żałowała, bo lubiła przecież panny Nesbit i często się zastanawiała, jak dają sobie radę podczas tych ciągłych bombardowań. Tak się jednak złożyło, że kilka tygodni wcześniej przypadkowo natknęła się na Renée Miller.

Ursula była z Jimmym „na mieście”, jak to ujął jej brat, który dostał kilka dni wolnego i spędzał je w stolicy. W pewnym momencie za sprawą niewybuchu utknęli w hotelu Charing Cross – Ursula myślała czasami, że bomby, które nie eksplodują, są bardziej irytujące od tych, które wybuchają – poszukali więc schronienia w kawiarni na pierwszym piętrze.

– Widzę jakąś wyzywającą dziewczynę, całą wytapetowaną i szczerzącą zęby, która najwyraźniej cię zna – powiedział naraz Jimmy.

– Dobry Boże, toż to Renée Miller – zdumiała się Ursula, widząc machającą do niej żywiółowo Renée. – Z kim ona jest, u licha? Facet wygląda mi na gangstera.

Renée przywitała się wylewnie, jakby w jakimś poprzednim życiu były z Ursulą najlepszymi przyjaciółkami („Rozrywkowa dziewczyna” – śmiał się Jimmy, kiedy już dali nogę), po czym zaczęła nalegać, żeby wypili drinka z nią i z „Nickym”. Sam Nicky robił wrażenie znacznie mniej entuzjastycznie nastawionego do tego pomysłu, niemniej jednak uściśnił im dłonie i przywołał kelnera.

Renée przekazała Ursuli wszystkie najnowsze „ploteczki” z Argyll Road, choć od czasu jej wyprowadzki przed rokiem najwyraźniej niewiele się tam zmieniło, może z wyjątkiem tego, że wojsko upomniało się w końcu o pana Appleyarda, a jego żona urodziła dziecko. – Chłopca – poinformowała ją Renée. – Okropne brzydactwo. – Jimmy parsknął śmiechem i rzekł: – Lubię dziewczyny, które walą prawdę prosto z mostu. – Nicky był nieco wytrącony z równowagi ujmującą powierzchownością Jimmy’ego, zwłaszcza że wławszy w siebie kolejny rozwodniony dzin, Renée zaczęła (i to całkiem profesjonalnie) z nim flirtować.

Ursula dosłyszała, jak ktoś mówi, że niewybuch został unieszkodliwiony, i gdy Renée zaproponowała: – Zamów dla nas jeszcze jedną kolejkę, Nicky – na co Nicky rzucił jej wściekle spojrzenie, uznała, że dyplomatycznie będzie się usunąć. Nicky nie chciał się zgodzić, aby za siebie zapłacili, stawiając to sobie wręcz za punkt honoru. Ursula nie była pewna, czy chce mieć jakiegokolwiek zobowiązania wobec osoby jego pokroju. Renée wyściskała i wycalowała ją na pożegnanie, dodając: – Wpadnij do nas na stare śmieci, wszyscy będą zachwyceni – więc Ursula przyrzekła, że na pewno to zrobi.

– Dobry Boże, myślałem, że ona pożre mnie żywcem – mruknął Jimmy, gdy lawirowali już między stosami gruzu na Henrietta Street.

Zmotywowana paczką ze starymi ubrankami Geralda dotzymała obietnicy złożonej Renée. Na Argyll Road dotarła chwilę po szóstej, pierwszy raz od dawna wymykając się wcześniej z biura. Ostatecznie nie przywdziała żadnego munduru, jako że pomiędzy pracą a nalotami ledwie starczało jej czasu na jedzenie i oddychanie. – Twoja praca to *też* wysiłek wojenny – zauważył Crighton. – Zawsze przypuszczałem, że i tak masz już pełne ręce roboty. Co tam ostatnio słyhać w twoim zapomnianym ministerstwie?

– No wiesz, masa pracy. – Mieli tyle informacji do odnotowania. Przez ich biurka przechodził każdy incydent z osobna; trzeba było opisać typ ładunku i dokonane zniszczenia, podać liczbę zabitych lub rannych (statystyki rosły w zastraszającym tempie).

Od czasu do czasu otwierała płożoźłą teczkę, wyciągała coś, co nazywała w myślach

„materiałami wyjściowymi” – wystukane na maszynie raporty obrony przeciwlotniczej czy zwykłe, odręcznie spisane notatki, na których te pierwsze się opierały – i zastanawiała się, jak to jest znaleźć się w ogniu bitwy, bo przecież tym właśnie był *Blitz*, czyż nie? Czasami w jej ręce trafiały mapy zniszczeń wojennych, raz nawet taka, którą nakreślił Ralph. Na odwrocie widniał jego błady, niemal nieczytelny podpis złożony ołówkiem. Przyjaźnili się – Ursula poznała go na kursie niemieckiego – chociaż Ralph nie ukrywał, że wolałby, aby połączyło ich coś więcej. „Twój drugi kochanek” – mawiał o nim rozbawiony Crighton.

– Jak miło – powiedziała pani Appleyard, gdy Ursula stanęła w jej drzwiach z paczką pełną dziecięcych ubranek. – Proszę, niech pani wejdzie.

Ursula niechętnie przekroczyła próg mieszkania. Znana jej wcześniej woń gotowanej kapusty mieszała się teraz z równie niemiłymi zapachami, towarzyszącymi pojawieniu się niemowlęcia. Niestety opinia Renée, dotycząca urody pociechy pani Appleyard – lub raczej braku – okazała się w pełni uzasadniona; dzieciak rzeczywiście był „okropnym brzydactwem”.

– Emil – przedstawiła go pani Appleyard, podając malca Ursuli. Przez gumowane majtki czuło się wilgoć. Ursula niemal natychmiast go oddała. – Emil? – zwróciła się do dziecka, strojąc miny i uśmiechając się z wymuszoną wesołością. Chłopczyk odwzajemnił się agresywnym spojrzeniem, które nie pozwalało podawać w wątpliwość ojcostwa pana Appleyarda.

Pani Appleyard zaproponowała herbatę, lecz Ursula prędko się wymówiła i pobiegła na górę, na poddasze panien Nesbit.

Nic się nie zmieniły – jak zwykle były łagodne i dobroduszne. Chyba musi być przyjemnie mieszkać z siostrą, pomyślała Ursula. Nie miałyby nic przeciwko temu, aby dożyć swych dni z Pamelą.

Ruth chwyciła ją za palec kruchą jak ptasie skrzydło dłonią. – Ojej, wyszła pani za męża! To wspaniale. – A niech to, pomyślała Ursula, zapomniałam zdjąć obrączkę. – No cóż... – zaczęła, pragnąc sprostować pomyłkę, lecz widząc, jak bardzo byłoby to skomplikowane, przyznała skromnie: – Tak, na to wygląda. – Obie siostry gorąco jej pogratulowały, jakby dokonała czegoś spektakularnego.

– Jaka szkoda, że nie ma pani pierścionka zaręczynowego – zauważyła Lavinia.

Ursula zdążyła zapomnieć o ich namietności do sztucznej biżuterii i żałowała teraz, że czegoś im nie przyniosła. Miała w domu pudełeczko starych dżetowych spinek i klipsów, które dostała od Izzie i które z pewnością by im się spodobały.

Lavinia miała przypiętą do sukni emaliowaną broszkę w kształcie czarnego kota. W miejscu oka połyskiwał maleńki kryształ górski. Ruth natomiast dumnie prezentowała na swojej ptasiej piersi ciężką broszkę z topazem. Jej drobna postać prawie ugięła się pod takim ciężarem.

– Jesteśmy jak dwie sroki – zaśmiała się Ruth. – Uwielbiamy wszystkie błyskotki.

Nastawiły czajnik i zaczęły radośnie roztrząsać, czym tu ją nakarmić – tostem marmite czy może raczej z dżemem – gdy syreny rozpoczęły swe piekielne zawodzenie. Ursula wyjrzała przez okno. Na razie ani śladu bombowców, ale reflektory czujnie omiały już nocne niebo. W ciemnościach lśnił jasnym światłem piękny sierp księżycy w nowiu.

– Chodź z nami, kochana. Do piwnicy Millerów – powiedziała Lavinia, w zaskakująco dobrym humorze. – Co noc jakaś przygoda – dodała Ruth, po czym obie zaczęły zbierać niezliczone ilości drobiazgów: szale i filizanki, książki i rzeczy do cerowania. – Latarka, latarka, nie zapomnij o latarce! – wołała wesoło Lavinia.

Gdy zeszły na parter, kilka ulic dalej rozległ się huk eksplozji. – No nie! – wykrzyknęła Lavinia. – Zapomniałam swojej robótki.

– Wrócimy po nią, moja droga – odparła Ruth, na co Ursula zaprotestowała: – Nie, musicie się schronić w piwnicy.

– Dziergam rajtuzy dla synka pani Appleyard – wyjaśniła Lavinia, jakby to był wystarczający powód, żeby narażać życie.

– Nie martw się o nas, kochana – dodała Ruth – wrócimy, zanim się obejrzysz.

– Na litość boską, skoro to takie ważne, to sama po nią pójde – zdecydowała Ursula, lecz siostry już wdrapywały się na górę, trzeszcząc starymi stawami, a pan Miller zaganiał ją do piwni-

cy.

– Renée, Dolly, zobaczcie wszyscy, kto odwiedził starych znajomych! – oznajmił jej przybycie zebranych, jakby Ursula występowała w rewii.

Zapomniała już, ilu członków liczyła sobie rodzina Millerów, jak sztywna potrafiła być panna Hartnell i jakim dziwakiem był stary pan Bentley. Co do Renée, zdawała się ona już całkiem nie pamiętać o ich jakże żywiołowym spotkaniu i rzuciła tylko: – O rany, jeszcze jedna para płuc w kolejce po powietrze w tej przeklętej norze. – Renée niechętnie kołysała na rękach marudnego Emila. Miała rację, to była przeklęta nora. W Egerton Gardens mieli do dyspozycji całkiem porządną piwnicę, w której się chronili, chociaż Ursula (a także Crichton, jeśli akurat był obecny) często ryzykowała, spędzając nalot we własnym łóżku.

Przypomniała sobie o obrączce i pomyślała, jak bardzo zdziwieni byliby Hugh i Sylvie, znajdując ją na jej palcu, gdyby miała zginąć podczas bombardowania. Czy Crichton przyszedłby na jej pogrzeb i wszystko im wytłumaczył? Chciała ją zsunąć, ale nie zdążyła, bo Renée wcisnęła jej Emila w ramiona, a tuż po tym budynkiem zatrzęsała potężna eksplozja.

– Rety! Ten stary Szwab naprawdę chce nam dziś napędzić stracha – rzucił wesoło pan Miller.

Wyglądało na to, że ma na imię Susie. Nie miała pojęcia, jak było naprawdę, właściwie to niczego nie pamiętała. Jakiś mężczyzna wołał do niej z ciemności. „Daj spokój, Susie, nie zasypiaj mi tu teraz” i „Susie, co powiesz na filiżankę gorącej herbaty, jak już się stąd wydostaniemy?”. Dusił ją popiół i pył. Wyczuwała, że coś wewnątrz niej pękło i jest nie do uratowania. Roztrzaskała jak złota czara. „Bardzo w duchu Henry’ego Jamesa, prawda?” – usłyszała głos Teddy’ego. (Naprawdę tak powiedział?). Była wielkim drzewem (jakie to dziwne). Okropnie marzła. Mężczyzna trzymał ją za rękę i mocno ścisnął. „Wytrzymaj, Susie, nie zamykaj oczu”. Ale ona nie mogła się powstrzymać, miękka ciemność kusila ją obietnicą snu, snu bez końca, a potem śnieg zaczął łagodnie sypać, aż pokrył ją całą niczym całun i wszystko pociemniało.

Jutro będzie piękny dzień

Wrzesień 1940

Tęskniła za Crightonem – bardziej, niż dawała poznać jemu samemu albo Pamelii. W przeddzień wypowiedzenia wojny wynajął pokój w Savoyu, a ona włożyła porządną atlasową suknię w kolorze królewskiego błękitu tylko po to, żeby usłyszeć od niego, że powinni zakończyć swój romans („Powiedzieć sobie *adieu*”). – To będzie prawdziwa jatka – dodał, ale czy miał na myśli wojnę, czy ich rozstanie, tego nie była pewna.

Pomimo to, a może właśnie na pożegnanie, poszli ze sobą do łóżka, gdzie on w nieskończoność powtarzał jej, jak bardzo będzie mu brakowało „tego ciała”, „dotyku jej skóry”, „tej ślicznej buzi” i tak dalej, aż wreszcie miała tego dosyć i stwierdziła: – Zaraz, przecież to *ty* chcesz się rozstać, a nie ja.

Zastanawiała się, czy z Moirą kochał się w ten sam sposób – w równej mierze namiętny, co obojętny – lecz było to jedno z tych pytań, których się nie zadaje, żeby przypadkiem nie usłyszeć prawdy. Jakie to zresztą miało znaczenie; Moira i tak dostanie go z powrotem. Towar co prawda lekko używany, ale niezaprzeczalnie należący do niej.

Rano zjedli śniadanie w pokoju, a później wysłuchali wystąpienia Chamberlaina. W apartamencie było radio. Wkrótce zawyły syreny, lecz o dziwo żadne z nich nie wpadło w panikę. Wszystko wydawało się takie nierealne. – Przypuszczam, że to tylko próbny alarm – powiedział Crighton. Ursula pomyślała, że od tej pory wszystko będzie prawdopodobnie jedną wielką próbą.

Wymeldowali się z hotelu i przeszli pieszo wzdłuż nabrzeża aż do mostu Westminsterkiego, gdzie strażnicy obrony przeciwlotniczej dmuchali w gwizdki i wołali, że „już po strachu”. Inni krążyli na rowerach z przypiętymi tabliczkami z napisem „Nie ma niebezpieczeństwa” i Crighton rzekł: – Dobry Boże, boję się o nasz kraj, skoro tylko na to nas stać w razie nalotu.

Wzdłuż mostu ułożono worki z piaskiem, ich sterty były zresztą wszędzie i Ursuli przyszło do głowy, iż dobrze się składa, że na świecie jest tyle piasku. Próbowała przypomnieć sobie fragment *Morsa i cieśli* – „Sprzątaczek siedem gdyby piach przez siedem lat sprzątało...”²⁰ – ale tymczasem doszli do Whitehall i Crighton przerwał te rozmyślenia, ujmując ją za obie dłonie i mówiąc: – Muszę już iść, najdroższa – co zabrzmiało jak kwestia z jakiegoś tandetnego, sentymentalnego filmu. Ursula postanowiła, że przeżyje tę wojnę jak zakonnica. Tak będzie o wiele łatwiej.

Patrzyła potem, jak odchodzi w dół Whitehall, i nagle poczuła się potwornie samotna. Chyba najlepiej będzie, jeśli wróci do Finchley.

Listopad 1940

Przez ścianę słyszała narzekania Emila i łagodne napomnienia pani Appleyard. Nagle sąsiadka zaczęła śpiewać kołysankę w swym ojczystym języku, który powinno się raczej nazywać macierzystym, pomyślała Ursula. Była to niezwykle smutna pieśń i Ursula przyrzekła sobie w duchu, że jeśli kiedykolwiek będzie miała dziecko (spore wyzwanie, jeśli postanowiło się wieść żywot zakonnicy), będzie mu śpiewała same wesole i skoczne piosenki.

Doskwierała jej samotność. Brakowało jej obecności czyjegoś ciepłego ciała; lepiej już mieć psa, niż samotnie spędzać noce takie jak ta. Na niebie lśnił nów. Bładolicy, jeśli przytoczyć Shelleya, a zarazem, według słów Bena Jonsona, uosobienie „królowej łowczyni, czystej i pięknej”. W jej oczach księżyc emanował taką obojętnością, że aż zadrżała.

W ułamku sekundy poprzedzającym nagły skowyt syren miała wrażenie, że słyszy dźwięk, który jeszcze nie zabrzmiał. Coś na kształt echa, a może jego przeciwieństwo. Echo jest przecież następstwem dźwięku, jak więc nazwać coś, co ów dźwięk poprzedza?

Zaraz potem wysoko w górze rozległo się wycie samolotowych silników i *bum, bum, bum, bum, bum* pierwszych spadających na miasto bomb. Już miała zaciągnąć roletę i popędzić do piwnicy, gdy w bramie naprzeciwko dostrzegła kulącego się ze strachu psa – zupełnie jakby własnymi myślami powołała go do życia. Nawet z tej odległości wyczuwała jego przerażenie. Przez moment wahała się, po czym pomyślała: „Do diabła”, i puściła się biegiem na dół.

Po drodze minęła siostry Nesbit. – Och, to zły znak, panno Todd – zachichotała Ruth. – Wie pani, że mijanie się na schodach przynosi pecha.

Ursula schodziła na dół, one zaś szły na górę. – Idą panie w złym kierunku – stwierdziła raczej bez sensu. – Zapomniałam swojej robótki – wyjaśniła Lavinia. Do sukni miała przypiętą emaliowaną broszkę w kształcie czarnego kota. W miejscu oka mrugał maleńki kryształ górski. – Dzierga rajtuzy dla synka pani Appleyard – dodała Ruth. – W ich mieszkaniu jest strasznie zimno.

Na ulicy panował okropny zgielek. Ursula słyszała, jak bomby zapalające wałęsają się z łoskotem na jeden z pobliskich dachów, jakby ktoś wytrząsał węgiel z gigantycznego kosza. Niebo płonęło. Roziskrzona flara spadła z gracją szerokim łukiem, oświetlając wszystko w dole na podobieństwo fajerwerku.

Nad jej głową z rykiem sunęła eskadra bombowców, więc Ursula jednym susem pokonała ulicę, żeby ratować psa. Całkiem nijaki terier cały trząsł się ze strachu i żałośnie popiskiwał. W chwili gdy chwyciła go na ręce, usłyszała głośny szum i już wiedziała, że jest po niej, po nich obojgu. Rozległ się niski pomruk, a zaraz potem najgłośniejszy wybuch, jaki słyszała, od kiedy zaczęły się naloty. To już koniec, pomyślała, tak właśnie zginę.

Coś walnęło ją w czoło, cegła albo coś w tym rodzaju, lecz Ursula nie straciła przytomności. Gwałtowny podmuch powietrza, jak uderzenie huraganu, przewrócił ją na ziemię. Potworny ból rozsadał jej uszy, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, był przenikliwy, melodyjny gwizd, i domyśliła się, że musiały jej popękać bębenki. Gruz sypał się na nią, raniąc skórę i wbijając się w ciało. Ursula czuła, jak wstrząsają nią kolejne fale wybuchu. Ziemia pod jej stopami jęczała i trzęsła się, przynosząc silne wibracje.

Słyszany z daleka wybuch bomby zdawał się niemal natychmiast cichnąć, ale gdy znalazła się w jego epicentrum, zdawał się rozbrzmiewać bez końca, a jego dźwięk zmieniał się i ewoluował tak, że trudno było przewidzieć, jak to się wszystko skończy – jak się *samemu* skończy. Ursula na wpół siedziała, na wpół leżała; usiłowała się czegoś przytrzymać, a zarazem nie chciała wypuścić z objęć psa (z jakiegoś powodu ta myśl zdominowała wszystkie inne) i w efekcie powoli sunęła po ziemi, przesuwana gorącym podmuchaem.

W końcu ciśnienie jakby trochę zelżało, ale z góry wciąż sypały się na nią kurz i pył; eks-

plozja nadal żyła swoim własnym życiem. Nagle Ursula poczuła uderzenie w głowę i zapadła w ciemność.

*

Obudził ją pies, liżący ją po twarzy. W pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, co się właściwie stało, ale już po chwili dotarło do niej, że brama, w której schroniła się razem z psem, właśnie przestała istnieć. Siła wybuchu wepchnęła drzwi wejściowe do środka, a ich wraz z nimi, i leżeli teraz wśród gruzów w sieni budynku. Znajdujące się w głębi schody, zawałone roztrzaskanymi cegłami i połamanym drewnem, wiodły donikąd, gdyż po wyższych piętrach nie pozostał nawet ślad.

Jeszcze oszołomiona, spróbowała dźwignąć się do pozycji siedzącej. W obolałej głowie miała kompletny mętlik, ale chyba nic nie było złamane, nie dostrzegła też nigdzie krwi, choć domyślała się, że musi być cała w sińcach i zadrapaniach. Również i pies, choć bardzo cichy, nie odniósł najwyraźniej żadnych obrażeń. – Musisz mieć na imię Lucky. Szczęściarz – zwróciła się do niego, lecz słowa z trudem przeszły jej przez gardło, bo powietrze wciąż było pełne duszącego pyłu. Ursula podniosła się ostrożnie i wyszła z sieni na ulicę.

Jej kamienica także zniknęła; gdziekolwiek spojrzeć, piętrzyły się zwały dymiących gruzów i nagie szkielety murów. Wąski sierp księżyca świecił wystarczająco jasno, żeby przebić się przez pylistą zasłonę i oświetlić miejsce tragedii. Gdyby nie pobiegła ratować psa, spaliłaby się na popiół w piwnicy Millerów. Czy to możliwe, że oni wszyscy zginęli? Panny Nesbit, pani Appleyard i mały Emil? Pan Bentley i cała gromadka Millerów?

Potykaç się, wyszła na środek ulicy, gdzie dwóch strażaków rozwijało wąż gaśniczy. Zaczęli podłączać go do hydrantu, gdy jeden z nich ją zauważył i zawołał: – Nic się panience nie stało?! – To zabawne, ale wyglądał identycznie jak Fred Smith. A drugi strażak wrzasnął: – Uwaga, mur się wali!

I rzeczywiście tak było. Niestychanie wolno, jak we śnie, cała ściana budynku odchyliła się od niewidocznej pionowej osi, nie gubiąc przy tym ani jednej cegły, jakby z gracją składała im pokłon, po czym w całości runęła, przynosząc ze sobą ciemność.

Sierpień 1926

Als er das Zimmer verlassen hatte wusst, was sie aus dieser Erscheinung machen sollte...²¹.

Pszczoły brzęczały swoją popołudniową kołysankę i odpoczywająca w cieniu jabłoni Ursula leniwie odłożyła na bok egzemplarz *Markizy O*. Przez na wpół przymknięte powieki obserwowała oddalonego o kilka metrów małego królika, który z zadowoleniem skubał trawę. Musiał być albo nieświadomy jej obecności, albo bardzo odważny. Maurice już dawno by go zastrzelił. Po skończeniu studiów wrócił do domu z zamiarem rozpoczęcia aplikacji adwokackiej i przez całe wakacje głośno dawał wyraz temu, jak potwornie się nudzi. („Mógłby przecież podjąć jakieś wakacyjne zajęcie – dziwił się Hugh. – Ostatecznie młodym, pełnym energii mężczyznom zdarzało już się pracować”).

Maurice musiał być naprawdę bardzo znudzony, bo zgodził się nauczyć Ursulę strzelania i przystał nawet na to, żeby celować do pustych butelek i puszek zamiast do tych licznych zwierzątek, na których zwykle ćwiczył oko – królików, lisów, borsuków, gołębi, bażantów, raz nawet małej sarenki, czego już Ursula i Pamela absolutnie nie mogły mu wybaczyć. Ursula polubiła strzelanie, pod warunkiem że mierzyła do nieożywionego celu. Używała starej strzelby na ptaki, należącej do Hugh, Maurice zaś dysponował fantastycznym sztucерem Purdeya, który na dwudzieste pierwsze urodziny podarowała mu jego babka. Adelaide od kilku ładnych lat odgrażała się, że wkrótce umrze, ale, jak twierdziła Sylvie, „nigdy nie dotrzymywała słowa”. Tkwiła w Hampstead „niczym wielki pajak”, jak to ujęła Izzie, wstrząsając się z obrzydzeniem nad talerzem kotletów *à la Russe*, choć niewykluczone, że to właśnie owo danie sprowokowało taką reakcję, nigdy bowiem nie należało do popisowych w repertuarze pani Glover.

Jedną z niewielu rzeczy, może nawet jedyną, jaka łączyła Sylvie oraz Izzie, była właśnie żywa antypatia do matki Hugh. – Ona jest także twoją matką – zauważył słusznie Hugh, zwracając się do siostry, na co ta odparła: – Ależ skąd, zawsze mi powtarzała, że znalazła mnie gdzieś przy drodze. Podobno byłam tak niegrzeczna, że nawet Cyganie mnie nie chcieli.

Hugh przyszedł raz popatrzeć, jak Maurice i Ursula strzelają, i stwierdził: – No, no, niedźwiadku, prawdziwa z ciebie Annie Oakley.

– Wiesz – powiedziała Sylvie, wyrastając jak spod ziemi i wrywając Ursulę ze stanu miłego półuśpienia – że w twoim życiu już nigdy nie powtórzą się takie długie leniwe dni? Wydaje ci się, że znowu nadejdą, ale tak nie będzie.

– Chyba że będę niewiarygodnie wprost bogata – odparła Ursula. – Wtedy całymi dniami będę mogła próżnować.

– Być może – przyznała Sylvie. – Ale każde lato kiedyś się kończy. – Opadła na trawę obok córki i wzięła do ręki porzuconego Kleista. – Nieuleczalny romantyk i do tego samobójca – oceniła lekceważąco. – Nadal zamierzasz studiować języki nowożytne? Twój ojciec uważa, że łacina mogłaby ci się bardziej przydać.

– Jakim cudem? Nikt jej przecież nie używa – odrzekła rozsądnie Ursula. Przez całe lato toczyła się o to w ich domu łagodna sprzeczka. Przeciągnęła się, unosząc ramiona w górę. – Pojadę na rok do Paryża i będę mówiła wyłącznie po francusku. Akurat tam będzie to bardzo *przydatne*.

– Och, Paryż. – Sylvie wzruszyła ramionami. – Paryż jest przereklamowany.

– No to do Berlina.

– W Niemczech panuje chaos.

– Do Wiednia?

– Zbyt przytłaczający.

– A zatem do Brukseli – podsunęła Ursula. – Chyba nie można mieć żadnych zarzutów do Brukseli.

Rzeczywiście, Sylvie nie zdołała wymyślić nic przeciwko Brukseli i tym samym ich wielka podróż po Europie gwałtownie dobiegła końca.

– W każdym razie zaraz po studiach – zapowiedziała Ursula. – Do tego czasu miną całe *wieki*, więc na razie możesz przestać się martwić.

– Studia nie nauczą cię, jak być żoną i matką – stwierdziła Sylvie.

– A jeśli ja nie chcę być żoną i matką?

Sylvie roześmiała się. – Pleciesz trzy po trzy, żeby mnie sprowokować. Przed domem czeka podwieczorek – dodała, wstając niechętnie. – Jest ciasto. I, niestety, Izzie.

*

Przed kolacją Ursula wybrała się na spacer polną drogą, z Jockiem drepzczącym radośnie przodem. (Okazał się niewiarygodnie wesołym psem; aż trudno było uwierzyć, że Izzie mogła tak dobrze wybrać). Podobne letnie wieczory zawsze sprawiały, że chciała pobyć sama. – Och – westchnęła Izzie – w twoim wieku jest się wprost *opętany* przez wszystko, co subtelne. – Ursula nie była pewna, co by to miało znaczyć („Nikt nigdy nie wie, o co chodzi Izzie” – podsumowała Sylvie), ale chyba trochę się domyślała. W migotliwym powietrzu czuło się coś dziwnego, jakąś *nieuchronność*, która uciskała jej piersi w taki sposób, jakby rosło w niej serce. Była w tym jakaś najwyższa świętość – Ursula nie potrafiła inaczej tego opisać. Może to przyszłość, pomyślała, która stale się ku nam przybliża.

Miała szesnaście lat i całe życie przed sobą. Zdażyła już nawet przeżyć pierwszy pocałunek, i to w dniu swoich urodzin, za sprawą dość przerażającego amerykańskiego kolegi Maurice’a. – Tylko jeden buziak – uprzedziła, po czym zdecydowanie przegoniła go, gdy zbyt się rozzuchwalił. Niestety, chłopak potknął się o własne wielkie stopy i runął na wznak prosto w krzak irgi, co wyglądało dość nieprzyjemnie i zdecydowanie żałośnie. Ursula opowiedziała o wszystkim Millie, która ryknęła śmiechem. Mimo wszystko, jak stwierdziła później przyjaciółka, pocałunek to jednak pocałunek.

Zawędrowała aż na stację, gdzie przywitała się z Fredem Smithem, który uchylił przed nią kolejarskiej czapki, jakby była już całkiem dorosła.

To, co nieuchronne, wciąż majaczyło daleko na horyzoncie, lecz jakby się oddaliło, gdy na oczach Ursuli pociąg Freda wolno wytoczył się ze stacji w kierunku Londynu – *puf, puf, puf*. Ruszyła z powrotem i w drodze do domu natknęła się na Nancy, myszkującą w poszukiwaniu okazów do swojej kolekcji przyrodniczej, wracały więc już we dwie, dopóki nie wyprzedził ich Benjamin Cole na swoim rowerze. Zahamował i zsiadł, mówiąc: – Może odprowadzę was do domu, drogie panie? – w taki sposób, jak zrobiliby to Hugh. Nancy zachichotała.

Ursula cieszyła się, że popołudniowy upał zdażył już przyprawić ją o rumieńce, czuła bowiem, że się czerwieni. Wyrwała z żywoplotu łodygę trybuli leśnej i zaczęła się nią wachlować (nadaremnie). Jak widać, nie pomyliła się, przeczuwając, że coś się rychło wydarzy.

Benjamin („Ależ mówcie mi Ben – poprosił. – Ostatnio już tylko rodzice nazywają mnie Benjaminem”) towarzyszył im aż do bramy Shawcrossów, gdzie rzucił: – No to do widzenia – i wsiadł na rower, żeby pokonać ostatni krótki odcinek dzielący go od domu.

– Ojej – szepnęła Nancy, w imieniu Ursuli wyrażając swoje rozczarowanie – myślałam, że dalej pójdziecie razem, tylko we dwoje.

– Aż tak to widać? – spytała podupadła na duchu Ursula.

– Niestety. Ale nie przejmuj się. – Nancy poklepała ją po ramieniu, jakby to ona z nich dwóch była o cztery lata starsza. I dodała: – Chyba jestem już spóźniona, nie chcę, żeby mnie ominęła kolacja – po czym, ściskając w dłoniach swe zielone skarby, ruszyła w podskokach ścieżką wiodącą do domu, podśpiewując przy tym „tralala”. Nancy była dziewczyną, która naprawdę podśpiewywała „tralala”. Ursula pożałowała, że nie jest do niej podobna. Odwróciła się, żeby pójść w swoją stronę – podejrzewała, że też jest już spóźniona na kolację – gdy naraz rozległo się wściekłe dzwonienie, zwiastujące pędzącego ku niej na rowerze Benjamin (Bena!). – Zapomniałem powiedzieć – zawołał – że w przyszłym tygodniu wydajemy przyjęcie! Sobota po południu. Mama prosiła, żebym cię zaprosił. To urodziny Dana, więc chce rozproszyć nieco tę cizbę

chłopaków obecnością dziewcząt, tak się chyba wyraziła. Przyszło jej do głowy, że mogłabyś wpaść do nas razem z Millie. Nancy jest chyba jeszcze za młoda, jak myślisz?

– Zdecydowanie – zgodziła się prędko Ursula. – Ale ja przyjdę z prawdziwą przyjemnością. Millie na pewno też. Dziękuję.

Nieuchronność znowu zawisła w powietrzu.

Patrzyła, jak Benjamin odjeżdża, pogwizdując sobie. Gdy się odwróciła, nieomal wpadła na obcego mężczyznę, który wyrósł jak spod ziemi i tkwił nieruchomo na ścieżce, najwyraźniej na nią czekając. Uchylił czapki, mamrocząc: – Dobry wieczór, panienko. – Wyglądał całkiem nieciekawie i Ursula zrobiła krok do tyłu. – Którędy na stację, panienko? – zapytał nieznajomy, więc wskazała mu polną drogę i odparła: – Tędy.

– A może pokaże mi panienska drogę? – poprosił, ponownie się do niej zbliżając.

– Nie – odrzekła. – Raczej nie. – W tej samej chwili jego ręka wystrzeliła naprzód i nieznajomy chwycił ją za przedramię. Ursula zdołała mu je wyrwać i rzuciła się do ucieczki, nie śmiejąc obejrzeć się za siebie, dopóki nie dotarła do progu domu.

– Wszystko w porządku, niedźwiadku? – zaniepokoił się Hugh, gdy wyczerpana wpadła na ganek. – Wyglądasz na strasznie zgonioną – dodał.

– Nic mi nie jest, naprawdę – zapewniła go. Hugh tylko by się zmartwił, gdyby opowiedziała mu o nieznajomym.

– Kotlety cielęce *à la Russe* – oznajmiła pani Glover, stawiając na stole duży półmisek z białej porcelany. – Mówię, bo jak ostatnio je przyrządziłam, ktoś powiedział, że za nic by nie odgadł, co to jest.

– Cole'owie wyprawiają przyjęcie – poinformowała matkę Ursula. – Millie i ja jesteśmy zaproszone.

– Jak miło – odparła nieuważnie Sylvie, przejęta zawartością półmiska z białej porcelany. Większość jego zawartości i tak miała trafić do miski znacznie mniej od nich wymagającego (lub, jak stwierdziła pani Glover, „mniej wybrednego”) teriera rasy west highland.

Przyjęcie okazało się jednym wielkim rozczarowaniem. A raczej męczącym popołudniem pełnym niekończących się szarad (nie trzeba dodawać, że Millie była w swoim żywiole) i zagadek, na które Ursula знаła większość odpowiedzi, pozostawała jednak w cieniu zawzięcie ze sobą rywalizujących i wściekle szybkich braci Cole'ów oraz ich przyjaciół. Czuli się tak, jakby była niewidzialna, i tylko raz znalazła się sam na sam z Benjaminem (który w niczym nie przypominał dawnego Bena) – w chwili gdy ten zaproponował jej owocowy poncz, a potem zapomniał go przynieść. Tańców nie było, przygotowano za to całe góry jedzenia, więc Ursula pocieszała się, korzystając z imponującego wyboru deserów. Nadzorująca zaopatrzenie stołu pani Cole zagadnęła ją nawet: – Wielkie nieba, takie z ciebie chucherko. Gdzie ty to wszystko mieścisz?

Takie ze mnie chucherko, myślała Ursula, wlokąc się do domu z nosem na kwintę, że nikt mnie nawet nie zauważy.

– Był tort? – spytał żywo Teddy, gdy tylko weszła.

– Całe mnóstwo – powiedziała. Usiedli razem na tarasie i podzielili się solidnym kawałkiem tortu, który na odchodnym rozdawała gościom pani Cole. Jock też dostał sporą porcję. Gdy na skąpany w przedwieczornym świetle trawnik wybiegł wielki lis, Ursula rzuciła mu kawałek ciasta, ale zwierzak obrzucił je tylko spojrzeniem pełnym pogardy, jak na mięsożercę przystało.

Kraina nowych początków

Sierpień 1933

– *Er kommt! Er kommt!* – zawołała jedna z dziewcząt.

– Jedzie? Nareszcie? – upewniła się Ursula, patrząc na Klarę.

– Najwyraźniej. Dzięki Bogu. Inaczej pomrzemy tu z głodu i nudy.

Obie były w jednakowym stopniu skonsternowane, co rozbawione bałwochwalczymi wyskokami swoich młodszych koleżanek. Spędziły przy tej drodze większą część upalnego popołudnia, nie mając nic do jedzenia i picia z wyjątkiem wiadra mleka, które dwie z nich przydźwigały z pobliskiego gospodarstwa. Wcześniej kilka dziewcząt usłyszało pogłoskę, że Führer ma tego dnia przybyć do swojej ulubionej górskiej posiadłości, w związku z czym już od wielu godzin cierpliwie go wyczekiwały. Niektóre z nich urządziły sobie popołudniową drzemkę na skraju łąki, żadna jednak nie zamierzała się poddać, nie zobaczywszy choćby przelotnie swojego Führera.

Naraz z położonego niżej odcinka stromej, krętej drogi prowadzącej do Berchtesgaden dobiegły gromkie owacje i dziewczęta zerwały się na nogi. Duże czarne auto przemknęło tuż obok nich, witane podekscytowanymi piskami kilku dziewcząt, ale „jego” w nim nie było. Zaraz jednak pojawił się drugi samochód, wspaniały czarny mercedes kabriolet z powiewającą na masce swastyką. Ten jechał już znacznie wolniej i w istocie podróżował nim nowo wybrany kanclerz Rzeszy.

Führer pozdrowił je skróconą wersją swojego słynnego salutu, w zabawny sposób przykładając do ucha rozpostartą dłoń, jakby chciał lepiej słyszeć ich powitalne okrzyki. Na jego widok stojąca obok Ursuli Hilda westchnęła tylko: – Och! – zawierając w tej pojedynczej sylabie pełnię iście religijnej ekstazy. A potem równie szybko wszystko się skończyło. Hanne skrzyżowała ręce na piersiach, a jej twarz przybrała szczególny wyraz, upodabniający ją do jakiejś cierpiącej na zatwardzenie świętej. – Teraz już mogę umrzeć – roześmiała się.

– Lepiej wygląda na fotografiach – mruknęła Klara.

Wszystkie od samego rana były w wyjątkowo dobrym humorze i teraz, na rozkaz swojej *Gruppenführerin* (jasnowłosej amazonki o imieniu Adelheid, niezwykle kompetentnej osiemnastolatki), szybko uformowały równy szereg i radośnie wyruszyły w długą drogę powrotną do schroniska, śpiewając w marszowym rytmie. („*One bez przerwy śpiewają* – pisała Ursula do Millie. – Jak na mój gust, trochę to za bardzo *lustig*. Czuję się, jakbym występowała w chórze jakiejś wyjątkowo wesołej opery z muzyką ludową”).

Repertuar miały urozmaicony – pieśni ludowe, sentymentalne piosenki o miłości, żwawe, nieco agresywne hymny patriotyczne, traktujące o chorągwiach unurzanych we krwi, oraz obowiązkowe przyspiewki ogniskowe. Szczególnym powodzeniem cieszyło się *Schunkeln* – branie się pod ręce i kołysanie do wtóru piosenki. Zmuszona do wykonania dowolnie wybranego utworu Ursula zaprezentowała im *Auld Lang Syne*, które okazało się wprost stworzone do *Schunkeln*.

Hilde i Hanne, młodsze siostry Klary, były zagorzałymi członkiniami Związku Niemieckich Dziewcząt, żeńskiego odpowiednika Hitlerjugend („Mówimy na nich «hajoty»” – wyjaśniła Hilde i obie z Hanne zaniósły się chichotem na samą myśl o przystojnych chłopcach w mundurach).

Przed przyjazdem do domu Brennerów Ursula nie miała pojęcia o istnieniu Hitlerjugend ani Związku Niemieckich Dziewcząt, lecz w ciągu dwóch tygodni, które tam spędziła, o niczym innym nie słyszała, przynajmniej jeśli chodzi o Hilde i Hanne. – To bardzo zdrowe hobby – twierdziła ich matka, Frau Brenner. – Propaguje pokój i zrozumienie między młodymi. Nigdy więcej wojny. No i przynajmniej nie latają za chłopakami. – Klara, podobnie jak Ursula świeżo upieczona absolwentka – studiowała malarstwo w akademii – obojętnie podchodziła do obsesji młodszych sióstr, zgodziła się wszakże być ich przyzwoitką podczas *Bergwanderung*, letniej wędrówki przez góry Bawarii, od jednego *Jugendherberge* do drugiego. – Zabierzesz się z nami, prawda? – zaproponowała Ursuli. – Jestem pewna, że będziemy się świetnie bawiły, a przy okazji zobaczysz kawałek naszego

kraju. W przeciwnym razie utkniesz tu sama, bo w mieście zostaną tylko rodzice, Mutti i Vati.

„To chyba coś jak nasz skauting” – pisała Ursula do Pameli.

„Niezupełnie” – odpisała jej siostra.

Ursula nie zamierzała zabawić dłużej w Monachium. Niemcy miały być jedynie krótkim przystankiem w jej życiu, etapem ekscytującej rocznej podróży po Europie. – To będzie moja własna wielka wyprawa – zwierzyła się Millie – choć obawiam się, że ze względów finansowych nie aż taka wielka. – Plan zakładał zwiedzanie Bolonii zamiast Rzymu czy Florencji, Monachium zamiast Berlina i Nancy zamiast Paryża (ten wybór bardzo ubawił Nancy Shawcross) – to znaczy tych wszystkich miast, w których uniwersyteccy wykładowcy Ursuli mogli jej polecić na stancję jakieś porządne domy. Żeby się utrzymać, miała dorywczo uczyć angielskiego, choć Hugh postarał się, aby regularnie otrzymywała od niego skromne środki. Ulżyło mu, że Ursula będzie przebywać głównie „na prowincji”, gdzie „ludzie generalnie są lepiej wychowani”. („To znaczy nudniejsi” – wyjaśniła Millie Ursula). Hugh zdecydowanie zawetował Paryż – był do niego szczególnie uprzedzony – i z równym brakiem entuzjazmu podszedł do propozycji Nancy, które było „tak bardzo *francuskie*”. („Pewnie dlatego, że leży we Francji” – zauważyła Ursula). Powiedział, że podczas Wielkiej Wojny zwiedził wystarczająco dużą część kontynentu i naprawdę nie pojmuje, o co ten cały rwetes.

Wbrew obiekcjom Sylvie Ursula skończyła studia na wydziale języków nowożytnych, opowiadając francuski i niemiecki, a także włoski, choć ten знаła słabo (bardzo słabo). Jako świeżo upieczona absolwentka z braku lepszego pomysłu zgłosiła się na kurs kształcący przyszłych nauczycieli i została przyjęta. Decyzję o podjęciu dalszej nauki odłożyła jednak na rok, twierdząc, że pragnie skorzystać z okazji i zobaczyć trochę świata, zanim się „ustatkuje” i na dobre utknie przy szkolnej tablicy. Takie było przynajmniej oficjalne uzasadnienie, które przedstawiła rodzicielskiemu osądowi, a w głębi ducha żywiła nadzieję, że w trakcie jej pobytu za granicą wydarzy się coś, co sprawi, że nie będzie musiała wracać na kurs. Nie wiedziała, czym miałyby być to „coś” („Może miłość?” – rzuciła tęsknie Millie). Mogło to być cokolwiek, byle tylko uchroniło ją przed losem zgorzkniałej starej panny w żeńskim gimnazjum, przedzierającej się żmudnie przez odmianę obcych czasowników, całej w kredowym pyłe, pokrywającym jej ubranie na podobieństwo łupieżu. (Inspiracją tej wizji była dyrektorka jej własnej szkoły). Poza tym przyszła posada nie wzbudzała przesadnego entuzjazmu jej najbliższych.

– Chcesz zostać *nauczycielką*? – zdumiała się Sylvie.

– Mówię ci, gdyby choć trochę wyżej uniosła brwi, wystrzeliłyby w kosmos – opowiadała później Millie Ursula.

– Ale na poważnie, naprawdę chcesz uczyć? – spytała ją Millie.

– Dlaczego każdy, kogo znam, tym samym tonem zadaje mi to samo pytanie? – odparła Ursula, dotknięta do żywego. – Czy aż tak bardzo nie nadają się na nauczycielkę?

– Owszem.

Sama Millie ukończyła kurs w akademii teatralnej w Londynie i grała teraz w teatrze repertuarowym w Windsorze, obsadzana w drugorzędnych komediach i melodramatach. – Czekam, aż ktoś odkryje mój talent – żartowała, przybierając teatralną pozę. Najwyraźniej wszyscy na coś czekamy, pomyślała Ursula. – Najlepiej jest nie czekać – nauczyła ją Izzie – tylko *działać*. – Łatwo jej było mówić.

Millie i Ursula siedziały w wiklinowych fotelach przed domem w Fox Corner, mając nadzieję, że zobaczą baraszkujące na trawie lisy. Od pewnego czasu do ogrodu zaglądała lisica z małymi. Sylvie zostawiała im resztki jedzenia, lisica była już więc prawie oswojona i potrafiła śmiało usiąść pośrodku trawnika, niczym pies czekający na kolację, podczas gdy jej potomstwo – w czerwcu już całkiem smukłe i długonogie – ganiało wokół niej i fikało koziółki.

– To co ja mam zrobić? – spytała bezradnie (i żałośnie) Ursula. Bridget przyniosła na tacy herbatę i ciasto i postawiła to wszystko na stoliku pomiędzy nimi. – Uczyć się stenografii i maszynopisania, a potem pracować w administracji państwowej? To też brzmi okropnie ponuro. Co innego może jeszcze *robić* kobieta, jeśli nie chce przejść z domu rodziców prosto do domu męża?

– Wykształcona kobieta – poprawiła ją Millie.

– Wykształcona kobieta – zgodziła się Ursula.

Bridget wymamrotała coś niezrozumiałego, na co Ursula odparła: – Dziękujemy ci, Bridget. („Ty byłaś w Europie – zwróciła się kiedyś do Sylvie oskarżycielskim tonem. – Kiedy byłaś młodsza”).

„Nie pojechałam tam sama, towarzyszył mi ojciec” – odrzekła Sylvie. Ale zaskakująco ten argument wywarł chyba na niej jakieś wrażenie i koniec końców to właśnie Sylvie stała się orędowniczką wyjazdu Ursuli za granicę, wbrew obiekcjom Hugh).

Przed wyjazdem do Niemiec Izzie zabrała ją na zakupy: jedwabna bielizna i apaszki, śliczne, obszywane koronką chustki do nosa, „porządna para butów”, dwa kapelusze i nowa torebka. – Tylko nic nie mów matce – uprzedziła ją.

W Monachium Ursula miała zamieszkać przy Elisabethstrasse u rodziny Brennerów – matka, ojciec, trzy córki (Klara, Hildegarda i Hannelore) oraz syn Helmut, który uczył się w szkole z internatem. Hugh nawiązał wcześniej intensywną korespondencję z Herr Brennerem, pragnąc upewnić się, iż będzie on odpowiednim gospodarzem. – Bardzo się mną rozczarują – powiedziała Millie Ursula. – Ojciec przygotował Herr Brennera na coś w rodzaju powtórnego przyjścia Zbawiciela. – Sam Herr Brenner był nauczycielem w Deutsche Akademie i załatwił tam Ursuli możliwość udzielania lekcji angielskiego dla początkujących. Sporządził także listę osób poszukujących prywatnych korepetycji, którym zamierzał ją przedstawić, i oznajmił jej to wszystko zaraz, jak tylko wysiadła z pociągu. Ursula poczuła się nieco przygnębiona, jako że nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić do myśli o pracy, poza tym była kompletnie wyczerpana po długiej i zdecydowanie męczącej podróży koleją. *Schnellzug* z paryskiego Gare de l’Est wcale nie był taki pośpieszny i *schnell*, a jej przyszło dzielić przedział między innymi z mężczyzną na przemian kopącym cygaro i konsumującym wielkie salami, a te czynności tak samo jej przeszkadzały. („Na dodatek w Paryżu zwiedziłam tylko peron” – poskarżyła się Millie w liście).

Gdy Ursula udała się na poszukiwanie toalety, amator salami wyszedł za nią na korytarz. Sądziła, że wybiera się do wagonu restauracyjnego, lecz gdy dotarła do drzwi toalety, ku jej przerażeniu mężczyzna usiłował wepchnąć się za nią do środka. Powiedział do niej coś, czego nie rozumiała, choć odniosła wrażenie, że było to coś wulgarnego (cygaro i salami byłyby odpowiednią przygrywką). – *Lass mich in Ruhe*, „zostaw mnie w spokoju”, rzuciła stanowczo, lecz on wciąż na nią napierał, a ona go odpychała. Przyszło jej do głowy, że ta ich przepychanka, raczej uprzejma niż gwałtowna, postronnemu obserwatorowi mogłaby się wydać komiczna. Żałowała, że na korytarzu nie ma nikogo, kogo mogłaby poprosić o pomoc. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co by ją spotkało, gdyby mężczyzna zdołał zamknąć się z nią w tym ciasnym pomieszczeniu. (Już po wszystkim zastanawiała się, dlaczego po prostu nie zaczęła krzyczeć. Ależ była z niej gąska).

„Ocaliło” ją dwóch oficerów, bardzo szykownych w swoich czarnych mundurach ze srebrnymi dystynkcjami, którzy zmaterializowali się nagle nie wiedzieć skąd i chwycili natręta w żelazny uścisk. Następnie ostro go złajali, chociaż połowy słów nie rozumiała, po czym z galanterią odprowadzili ją do innego wagonu, przeznaczonego tylko dla kobiet, o którego istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Gdy odeszli, nowe towarzyszki podróży jeszcze długo zachwycaly się przystojnymi oficerami z SS. („*Schutzstaffel* – zamruczała z podziwem jedna z nich. – Nie to, co te gbury w brązowych koszulach”).

Z opóźnieniem wjechali na stację w Monachium. Herr Brenner wyjaśnił jej, że zdarzył się wypadek – jakiś mężczyzna wypadł po drodze z pociągu.

– Coś okropnego – wzdrygnęła się Ursula.

Pomimo pełni lata było chłodno i deszczowo. Ponury nastrój nie rozwiął się niestety z chwilą jej przybycia do olbrzymiego mieszkania Brennerów, w którym żadna lampa nie rozświetlała wieczornych ciemności, a deszcz łomotał w zasłonięte koronkowymi firankami okna, jakby chciał wybić szyby.

Ursula i Herr Brenner wspólnymi siłami wtaszczyli po schodach jej ciężki kufer, co musiało dość komicznie wyglądać. Chyba ktoś mógłby nam pomóc? – myślała poirytowana Ursula. Hugh z pewnością nająłby zaraz „człowieka” – albo dwóch – i nie oczekiwał, że sama poradzi sobie z bagażem. Przypomnieli jej się oficerowie SS z pociągu i wyobraziła sobie, jak sprawnie i uprzej-

mie uporaliby się z jej kufrem.

Okazało się, że pań Brenner nie ma w domu. – Jeszcze nie wrócili – wyjaśnił niefrasobliwie Herr Brenner. – Chyba poszły na zakupy. – Wszędzie pełno było ciężkich mebli, wytartych dywaników i liściastych roślin doniczkowych, tworzących w mieszkaniu istną dżunglę. Ursula zadrżała; jak na tę porę roku panował tu nieprzyjazny chłód.

Z trudem wepchnęli kufer do pokoju, w którym miała zamieszkać. – Dawniej należał do mojej matki – oznajmił Herr Brenner. – To wszystko jej meble. Niestety, umarła przed rokiem. – Przeciągle spojrzenie, jakim obrzucił łóżko – wielki, gotycki mebel wyglądający, jakby skonstruowano go specjalnie po to, aby przyprawiać jego użytkowników o koszmary – wyraźnie mówiło, że starsza Frau Brenner dokonała żywota w tej samej puchowej pościeli. Łoże zdawało się zajmować niemal całe pomieszczenie i Ursula poczuła się nagle bardzo nieswojo. W jej pamięci wspomnienie przygody z amatorem salami w pociągu wciąż było zawstydzająco żywe i oto znów znalazła się sam na sam w obcym kraju z całkiem obcym mężczyzną. Przypomniały jej się sensacyjne opowieści Bridget o białych niewolnicach.

Ku jej ogromnej uldze usłyszeli odgłos otwieranych drzwi i wielkie zamieszanie w holu. – Ach – rozpromienił się Herr Brenner – już są!

Dziewczęta wpadły do mieszkania całe mokre od deszczu, zaśmiewając się głośno i taszcząc rozmaite paczki. – Patrzcie, kto przyjechał! – powiedział Herr Brenner, wywołując tym ogromne podniecenie dwóch młodszych córek. (Hilde i Hanne miały się okazać najbardziej afektywanymi dziewczętami, jakie Ursula kiedykolwiek знаła).

– Nareszcie jesteście! – zawołała Klara, ściskając serdecznie jej dłonie w swoich, zimnych i wilgotnych. – *Herzlich willkommen in Deutschland*.

Podczas gdy młodsze dziewczęta trajkotały jak najęte, Klara obeszła szybko mieszkanie, zapalając lampy, i nagle wszystko zaczęło wyglądać zupełnie inaczej. Dywaniki były rzeczywiście sfatygowane, ale bogato zdobione, wiekowe meble błyszcząły, wypolerowane pastą, a zimna dżungla roślin doniczkowych okazała się uroczym alkierzem pełnym paproci. Herr Brenner rozpalił w salonie w wielkim porcelanowym *Kachelofen* („Zupełnie jakby mieć w pokoju duże, ciepłe zwierzę” – zwierzała się Pameli w liście, opisując piec kaflowy) i zapewnił Ursulę, że nazajutrz pogoda wróci do normy: zrobi się ciepło i słonecznie.

Szybko nakryto stół haftowanym obrusem i podano kolację – półmisek sera, salami, krojonej w plasterki kiełbasy, sałatki oraz ciemnego chleba, który pachniał jak placek z kminkiem pani Glover, a także pyszną zupę owocową, która stanowiła niezbitą dowód na to, że Ursula znalazła się za granicą. („Zimna zupa owocowa! – napisała do Pameli. – Co by na to powiedziała pani Glover!”).

Nawet pokój należący niegdyś do nieboszczki matki Herr Brennera wydawał jej się teraz bardziej przytulny. Łóżko wyglądało miękko i zachęcająco, brzegi pościeli zdobiła ręcznie wykonana mierzka, a stojąca przy łóżku lampa miała śliczny klosz z różowego szkła, który rozsiewał wokół siebie ciepły blask. Ktoś – zapewne Klara, jak przypuszczała Ursula – postawił na toalecie wazonik z bukietem margerytek. Ursula padała ze zmęczenia, gdy wdrapywała się do łóżka (tak wysokiego, że trzeba było wchodzić do niego po specjalnym stołeczku). Z przyjemnością zapadła w głęboki sen bez snów, nieniekajona przez ducha poprzedniej lokatorki.

– Ależ koniecznie musisz wypocząć w wakacje – stwierdziła nazajutrz Frau Brenner przy śniadaniu (który to posiłek zaskakująco przypominał kolację z dnia poprzedniego). Klara była trochę zagubiona. Skończyła swoje studia malarskie i nie wiedziała, co ma dalej robić. Nie mogła się już doczekać, kiedy opuści dom i „zostanie prawdziwą artystką”, choć zarazem narzekała, że „w Niemczech brakuje pieniędzy na sztukę”. W swoim pokoju trzymała część prac – dużych, surowych, abstrakcyjnych płócien, nieprzystających zupełnie do jej życzliwej i powściągliwej natury. Ursula nie wyobrażała sobie, jak można by z nich wyżyć.

– Niewykluczone, że będę musiała uczyć – jęknęła żałośnie Klara.

– A to byłoby gorsze niż śmierć – zgodziła się Ursula.

Okazjonalnie Klara dorabiała w zakładzie fotograficznym przy Schellingstrasse, gdzie oparowała zdjęcia w ramki. Pracowała tam córka jednej ze znajomych Frau Brenner i to ona szepnęła za

nią słówko właścicielowi. Klara i owa dziewczyna – Eva – znały się od przedszkola. – Jednak oprowanie fotografii trudno nazwać sztuką, prawda? – wzdychała. Właściciel zakładu, niejaki Hoffmann, był „osobistym fotografem” nowego kanclerza, więc Klara mogła powiedzieć, że „zna doskonale rysy jego twarzy”.

Państwo Brennerowie nie byli zamożni (Ursula domyślała się, że to dlatego wynajmują jej pokój), podobnie jak inni znani Klarze ludzie, ale też w trzydziestym trzecim roku wszyscy wkoło byli biedni.

Pomimo braku środków Klara była zdeterminowana jak najlepiej wykorzystać końcówkę tego lata. Wybrały się zatem do herbaciarni w hotelu Ritz-Carlton i Café Heck przy Hofgarten, gdzie zjadły tyle różnych pączków *Pfannkuchen* i wypiły tak dużo *Schokolade*, że aż je zemdlilo. Godzinami spacerowały w Ogrodzie Angielskim, a potem kupowały lody albo piły piwo. Ich twarze zaróżowiły się od słońca. Spędzały też czas, wiosłując lub kąpiąc się z przyjaciółmi brata Klary, Helmuta – niekończącym się korowodem Walterów, Wernerów, Kurtów, Heinzów i Gerhardów. Sam Helmut przebywał akurat w Poczdamie jako kadet, *Jungmann*, w nowym rodzaju szkoły wojskowej ufundowanej przez Führera. – On uwielbia partię [*He's very keen on the Party*] – powiedziała po angielsku Klara. Mówiła w tym języku całkiem dobrze, a szlifowanie go z Ursulą sprawiało jej dużą przyjemność.

– Przyjęcia [*On parties*] – poprawiła ją Ursula. – Po angielsku powiedzilibyśmy: *He's very keen on parties*, „on uwielbia przyjęcia”. – Klara ze śmiechem pokręciła głową: – Nie, chodziło mi o *jego* partię, partię nazistowską. Nie wiesz, że od miesiąca tylko ona jedna jest u nas legalna?

„Gdy Hitler doszedł do władzy – pisała Pamela, najwyraźniej w celach dydaktycznych – doprowadził do uchwalenia ustawy o pełnomocnictwach, po niemiecku *Gesetz zur Behebung der Not von Volk und Reich*, co można przetłumaczyć jako «ustawę w celu pomocy narodowi i państwu w potrzebie». Bardzo wyszukana nazwa dla obalenia demokracji”.

Ursula odpisała jej niefrasobliwie: „Na szczęście demokracja sama sobie poradzi, jak zawsze. To wkrótce przeminie”.

„Nie bez pomocy” – stwierdziła Pamela, która stale zrzedziła na Niemcy. Łatwo było to ignorować, gdy spędzało się długie, upalne popołudnia na opalaniu w towarzystwie rozlicznych Walterów, Wernerów, Kurtów, Heinzów i Gerhardów, leniuchując na miejskim basenie albo nad rzeką. Ursula była zszokowana widokiem niemal nagich ciał tych chłopaków, ubranych w krótkie spodenki i niepokojąco dopasowane kąpielówki. Odkryła, że Niemcy generalnie bez oporów rozbiegają się publicznie.

Klara miała również inny, bardziej intelektualny krąg znajomych – przyjaciół z akademii. Ci dla odmiany preferowali mroczne wnętrza zadymionych kawiarni lub własnych niechlujnych mieszkań. Dużo pili i palili i bez przerwy dyskutowali o sztuce oraz polityce. („Tak więc, ogólnie rzecz biorąc – zwierzała się w liście Millie – dzięki obcowaniu z tymi dwiema grupami zdobywam wszechstronne wykształcenie!”). Znajomi Klary z akademii stanowili gromadę obdartych buntowników, zgodnie pogardzających Monachium, które najwyraźniej było według nich zagłębieniem „drobnomieszczańskiego prowincjonalizmu”, i stale planujących przenosiny do Berlina. Ursula zauważyła, że bardzo dużo mówili o różnych rzeczach, ale w istocie niewiele z nich robili.

Klara natomiast tkwiła w okowach innego rodzaju apatii. Jej życie „utknęło w martwym punkcie”; była potajemnie zakochana w jednym ze swych wykładowców z akademii, rzeźbiarzu, ten jednak spędzał właśnie wakacje z rodziną w Szwarewaldzie. (Klara niechętnie wyznała, że owa „rodzina” składa się w istocie z żony oraz dwójki dzieci). Twierdziła, że czeka, aż sprawy same się wyjaśnią. Kolejny wykręt, uznała Ursula. Chociaż przyganiał kocioł garnkowi.

Sama wciąż była dziewczicą, „nietkniętą”, jak to ujęła Sylvie. Wynikało to bynajmniej nie z jej postawy moralnej, ale wyłącznie z tego, że nie spotkała dotąd nikogo, kogo wystarczająco by polubiła. – Ich wcale nie trzeba *lubić* – śmiała się Klara.

– Wiem, ale to dla mnie ważne. – Zamiast tego zdawała się przyciągać rozmaite nieciekawe typy – nieznajomy z pociągu, nieznajomy spotkany na polnej drodze – i martwiła się, że dostrzegają w niej oni coś, czego sama nie jest świadoma. Czuli, że jest bardzo sztywna i angielska w porównaniu z Klarą i jej przyjaciółmi artystami czy konfratrami nieobecnego Helmuta (którzy zresztą byli

doskonale wychowani).

Pewnego razu Hanne i Hilde namówiły Klarę oraz Ursulę, aby wybrały się z nimi na imprezę odbywającą się na miejskim stadionie. Ursula błędnie sądziła, że idą na koncert, a tymczasem okazało się, że mają uczestniczyć w wiecu Hitlerjugend. Na przekór optymistycznym oczekiwaniom Frau Brenner członkostwo w Związku Niemieckich Dziewcząt nie zdołało odwrócić uwagi jej córek od chłopców.

W oczach Ursuli owe zastępy silnych, zdrowych młodzieńców prezentowały się zgoła identycznie, lecz Hilde i Hanne przez cały czas z ożywieniem pokazywały sobie kolegów Helmuta, tych samych Walterów, Wernerów, Kurtów, Heinzów i Gerhardów, którzy w skąpym przyodziewku zbijali z nimi bąki nad basenem. Teraz jednak, wciśnięci w odprasowane mundury (jeszcze więcej krótkich spodenek), wyglądali jak dzielni i szlachetni skauci.

Sporo tam było maszerowania i śpiewania przy akompaniamencie orkiestry dętej, do tego występy kilku mówców, usiłujących (bez powodzenia) naśladować barwny styl Führera, na koniec zaś wszyscy zerwali się z miejsc i odśpiewali hymn Trzeciej Rzeszy, *Deutschland über alles*. Jako że Ursula nie знаła słów, nuciła sobie pod nosem psalm *Wspaniałe rzeczy głoszą o Tobie* na śliczną melodię Haydna – ten sam, który tak często śpiewały podczas szkolnych apeli. Po skończonym śpiewie wszyscy zaczęli wołać – *Sieg Heil!* – i salutować, a Ursula ku swemu wielkiemu zdziwieniu dołączyła do skandującego tłumu. Klara na ten widok dostała spazmów ze śmiechu, niemniej jednak, jak zauważyła Ursula, sama także podniosła rękę do góry. – Powinnam myśleć tak samo jak oni – rzuciła nonszalancko. – Nie chcę być zaczepiana w drodze do domu.

Serdeczne dzięki, stwierdziła Ursula; nie zamierzała zostać z Vatim i Mutti Brennerami w gorącym, zapyłonym Monachium. Klara przeszukała więc swoją szafę i wynalazła granatową spódnicę oraz białą bluzeczkę, które spełniały wszelkie wymagania, a ich zastępową Adelheid wyszperała dla Ursuli zapasową bluzę od munduru w kolorze khaki. Stroju dopełniała trójkątna chusta z końcami przeciągniętymi przez pleciony skórzany pierścień. Ursula uważała, że prezentuje się bardzo stylowo. Nagle pożałowała, że nigdy nie była skautką, choć podejrzewała, że w skautingu chodzi o coś więcej niż tylko o mundur.

Górna granica wieku członkiń Związku Niemieckich Dziewcząt wynosiła osiemnaście lat, więc ani Ursula, ani Klara się nie kwalifikowały; mogła im jedynie przypaść w udziale rola „starszych pań”, *alte Damen*, jak mówiła Hanne. Ursula uważała, że ich opieka była całkiem zbędna, jako że Adelheid była niezwykle kompetentna i pilnowała swoich dziewcząt niczym pies pasterski. Ze swą posagową figurą i nordyckimi, jasnymi warkoczami mogłaby uchodzić za młodzieńczą Freję, przybywającą ze swego pałacu w Folkvang, i stanowiła żywe ucieleśnienie niemieckiej propagandy. Jako osiemnastolatka wkrótce będzie za stara, żeby móc należeć do związku. I co wówczas zrobi?

– Oczywiście zapiszę się do Narodowosocjalistycznej Ligi Kobiet, jakżeby inaczej – odparła Adelheid. Już teraz nosiła na swej kształtnej piersi małą, srebrną swastykę, runiczny znak przynależności.

Pojechały pociągiem, upchnąwszy plecaki na półkach bagażowych, i przed wieczorem były już w niewielkiej alpejskiej wiosce w pobliżu granicy z Austrią. Ze stacji pomaszerowały w karnym szyku (rzecz jasna, ze śpiewem na ustach) do swojego *Jugendherberge*. Ludzie zatrzymywali się, żeby na nie popatrzeć, a niektórzy nawet z aprobatą klaskali.

W przydzielonych im sypialniach stały piętrowe łóżka, z których większość była już zajęta przez inne dziewczęta. Nie pozostawało im więc nic innego, jak tylko upchnąć się na wolnych niczym sardynki. Klara i Ursula postanowiły dzielić materac na podłodze.

W jadalni wydano im kolację, którą zjadły, siedząc przy długich, ustawionych na krzyżakach stołach – zestaw, który okazał się standardowy i składał się z zupy oraz sucharów z serem. Rano na śniadanie był ciemny chleb, ser, dżem oraz herbata lub kawa. Czyste, górskie powietrze przyprawiało o wilczy apetyt, spałaszowały więc wszystko, co miały na talerzach.

Wioska i jej okolice przypominały idylliczny obrazek; był tam nawet zameczek, który pozwolono im zwiedzić. W środku budowla okazała się zimna i wilgotna, pełna zbroi, chorągwi i tarczy herbowych. Wyglądała na bardzo niegościnne miejsce.

Dziewczęta chodziły na długie spacery wokół jeziora albo do lasu, po czym łapały okazję z powrotem do schroniska, zatrzymując na drodze ciężarówkę i wozy drabiniaste. Pewnego dnia zawędrowały wzdłuż rzeki aż do wspaniałego wodospadu. Klara wzięła ze sobą szkicownik i jej szybkie, pełne życia szkice węglem okazały się dużo ładniejsze od jej obrazów. – Ach – westchnęła – są takie *gemütlich*. Milutkie rysunekzki. Moi przyjaciele by mnie wyśmiali. – Sama wioska była małą senną osadą, gdzie każdy dom miał okna całe w pelargonjach. Nad rzeką stał zajazd, gdzie piły piwo i objadały się cielęcina z kluskami, dopóki prawie nie pękły. W listach do Sylvie Ursula ani razu nie wspomniała o piwie; matka nie zrozumiałaby, jak bardzo popularny był tutaj ów napój. A nawet gdyby zrozumiała, to i tak by tego nie pochwaliła.

Następnego dnia rano miały ruszyć dalej, żeby przez parę dni mieszkać pod namiotem w dużym obozie dla dziewcząt, i Ursula żałowała, że opuszczają to urocze miejsce.

Wieczorem ostatniego dnia ich pobytu w wiosce miał się tam odbyć jarmark, połączenie pokaz rolniczego z dożynkami. Wiele z tego było dla Ursuli całkiem niezrozumiałe. („Dla mnie też – pocieszyła ją Klara. – Nie zapominaj, że jestem dziewczyną z miasta”). Wszystkie kobiety miały na sobie miejscowe stroje ludowe, a na łące odbywała się parada przyozdobionych kolorowymi girlandami zwierząt gospodarskich, które były następnie nagradzane. Wszędzie powiewały flagi, znowu ze swastyką. Piwo lało się strumieniami i przygrywała orkiestra dęta. Pośrodku pola zbudowano wielką drewnianą scenę, na której grupa chłopców ubranych w skórzane spodnie na szelkach wykonała przy akompaniamencie akordeonu taniec zwany *Schuhplattler*, klaszcząc, przytupując, klepiąc się po udach i strzelając obcasami w rytm muzyki.

Klara z nich szydziła, lecz Ursuli taniec wydał się bardzo interesujący. Doszła do wniosku, że chętnie zamieszkałaby na stałe w jakiejś alpejskiej wiosce („Jak Heidi” – pisała do Pameli. Ostatnimi czasy rzadziej ze sobą korespondowały, jako że jej siostra była bardzo poirytowana tym, co działo się w nowych Niemczech. Nawet na odległość Pamela była głosem jej sumienia, choć z drugiej strony na odległość łatwo było mieć sumienie).

Akordeonista zajął swoje miejsce w zespole i ludzie zaczęli tańczyć. Ursulę poprowadził na parkiet kolejno cały zastęp okropnie nieśmiały wiejskich chłopców, którzy poruszali się w dziwnie niezgrabny sposób, usiłując – jak się szybko zorientowała – tańczyć *Schuhplattler* w nietypowym rytmie na trzy czwarte. Piwo i tańce przyprawiły ją o zawrót głowy, była więc nieco zbita z tropu, gdy Klara podeszła do niej, ciągnąc za rękę bardzo przystojnego mężczyznę, który najwyraźniej nie pochodził z tych okolic, i oznajmiła: – Patrz, kogo spotkałam!

– Kogo? – spytała Ursula.

– Otóż nikogo innego jak dalekiego krewnego przyszywanej kuzynki naszego kuzyna – odparła wesoło Klara. – Czy coś w tym rodzaju. Pozwól, że ci przedstawię Jürgena Fuchsa.

– Po prostu dalekiego kuzyna. – Uśmiechnął się.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedziała Ursula. Mężczyzna strzelił obcasami i ucałował jej dłoń, a ona natychmiast pomyślała o księciu z *Kopciuszka*. – To wpływ mojej pruskiej krwi – wyjaśnił i roześmiał się, podobnie jak Brennerówny. – Ależ w nas nie ma ani kropli pruskiej krwi – stwierdziła Klara.

Jürgen miał piękny uśmiech, zarazem wesoły i melancholijny, i absolutnie wyjątkowe niebieskie oczy. Był niewątpliwie przystojny, trochę podobny do Benjamina Cole’a, z tym że Benjamin był jakby jego śniadym i ciemnowłosym odpowiednikiem, negatywem.

Todd i Fuchs – para lisów. Czyżby to los dawał jej jakiś znak? Doktorowi Kelletowi spodobałby się ten zbieg okoliczności.

„Jest taki przystojny” – napisała do Millie zaraz po tym spotkaniu. Do głowy przychodziły jej same banały rodem ze szmatławych romansideł. „Zabójczy”, „zapierający dech w piersiach”. W leniwe deszczowe popołudnia naczytała się wystarczająco dużo powieści z biblioteczki Bridget, żeby wiedzieć takie rzeczy.

„To miłość od pierwszego wejrzenia” – oznajmiła beztrósco swojej przyjaciółce. Rzecz jasna, podobne uczucia nie były „prawdziwą” miłością (taką, jaką pewnego dnia miała poczuć do swojego dziecka), ale jedynie fałszywym i szaleńczym upojeniem. „*Folie à deux*, szaleństwo we dwoje – odpisała jej Millie. – Jak cudownie”.

„Gratuluję” – napisała z kolei Pamela.

„Małżeństwo opiera się na nieco trwalszej miłości” – przestrzegła ją Sylvie.

„Myślę o Tobie, niedźwiadku – dopisał Hugh. – Sama, tak daleko od domu”.

Gdy zapadła noc, przez wioskę przeszła procesja z pochodniami, a następnie z blanków wielkiego zamku wystrzelono fajerwerki. Było to bardzo porywające.

– *Wunderschön, nicht wahr?* – westchnęła Adelheid z twarzą błyszczącą w świetle pochodni.

Rzeczywiście, przytaknęła jej Ursula; to było bardzo piękne.

Sierpień 1939

Der Zauberberg. Czarodziejska góra.

– Ach! *Sie ist so niedlich*. – *Pstryk, pstryk, pstryk*. Eva uwielbiała swojego rolleiflexa.

Uwielbiała też Friedę. Jest taka *śliczna*, zachwycała się. Znajdowały się na wielkim tarasie w Berghofie, opromienionym alpejskim słońcem, i właśnie czekały na lunch. O wiele przyjemniej było jeść tutaj, *al fresco*, zamiast w olbrzymiej, ponurej jadalni z wysokimi oknami, przez które widać było wyłącznie góry. Dyktatorzy zawsze lubili monumentalizm, nawet jeśli chodzi o widoki. *Bitte lächeln!* Uśmiech proszę! Frieda posłusznie usłuchała. Była posłusznym dzieckiem.

Eva przekonała ją do zdjęcia ręcznie marszczonej sukieneczki (od Bourne'a i Hollingswortha, zakupionej przez Sylvie i przysłanej Friedzie w prezencie na jej pierwsze urodziny) i dla odmiany przystroila ją w tradycyjny bawarski strój: gorsecik, bluzeczkę, spódniczkę i fartuszek oraz białe podkolanówki. Z angielskiej perspektywy Ursuli (z każdym dniem coraz bardziej angielskiej, jak się okazywało) całość przypominała kostium na bal przebierańców, ewentualnie szkolne przedstawienie. Kiedyś, gdy sama jeszcze chodziła do szkoły (jakże odległe to się jej teraz wydawało), wystawiali *Fleciście z Hameln*, a grająca wieśniaczkę Ursula ubrana była w strój bardzo podobny do tego, jaki obecnie zdobił Friedę.

Millie brawurowo wcieliła się wówczas w rolę Króla Szczurów, a Sylvie skwitowała jej występ, mówiąc: – Te małe Shawcrossówny zawsze muszą być w centrum zainteresowania. – Eva miała w sobie coś z Millie – tę samą niespokojną, pustą wesołość, stale poszukującą nowych bodźców. No ale Eva także była aktorką, i to grającą rolę swojego życia. W istocie jej życie *było* teatrem; jedno nie różniło się niczym od drugiego.

Frieda, śliczna mała Frieda, zaledwie pięcioletnia, ze swymi niebieskimi oczyma i sztywnymi, jasnymi warkoczykami. Jej cera, tak blada i mizerna, gdy tu przyjechały, była teraz zarumieniona i wyłożona alpejskim słońcem. Gdy Führer pierwszy raz ją zobaczył, Ursula dostrzegła błysk zachwyty w jego oczach, równie błękitnych i zimnych jak leżące w dole Königsee, i już wiedziała, że odmalowała się przed nim w całej krasie przyszłość tysiącletniej Rzeszy, równe zastępy jasnowłosych *Mädchen*. („Wcale nie jest do ciebie podobna, prawda?” – zauważyła Eva bez cienia złośliwości, bo też złośliwość nie leżała w jej naturze).

W dzieciństwie – tym okresie swojego życia, do którego ostatnio zdawała się niemal obsesyjnie powracać myślami – Ursula naczytała się bajek o skrzywdzonych przez los księżniczkach, które pragnąc ratować się przed pożądlivością ojca czy zawiścią macochy, smarowały sobie twarz sokiem z orzecha włoskiego oraz wcierały we włosy popiół, aby przeobrazić się w kogoś innego: Cygankę albo pogardzanego przez wszystkich wyrzutka. Teraz głowiła się, jak zdobyć sok z orzecha włoskiego – nie sądziła, aby było to coś, co dałoby się kupić w pierwszym lepszym sklepiku. Poza tym w dzisiejszych czasach niebezpiecznie było być śniadolicym wyrzutkiem; jeśli chciało się przeżyć, o wiele lepiej było już być tutaj, na stoku Obersalzbergu – czarodziejskiej góry – w krainie fantazji, na „Górze”, jak nazywali ją z poufałością właściwą wybrańcom.

Co ja tu u licha robię, zastanawiała się Ursula, i kiedy powinnam stąd wyjechać? Frieda czuła się już całkiem nieźle, jej rekonwalescencja dobiegała końca. Ursula obiecała sobie, że jeszcze dziś porozmawia o tym z Evą. Ostatecznie nie były więźniarkami, mogły wyjechać, kiedy im się spodoba.

Eva zapaliła papierosa. Führer wyjechał, a jego mysz dokazywała. Na co dzień nie życzył sobie, żeby piła, paliła czy się malowała. Ursula w sumie podziwiała Evę za te drobne akty nieposłuszeństwa. Od czasu jej przyjazdu z Friedą do Berghofu, przed dwoma tygodniami, Führer już dwukrotnie zjawiał się i wyjeżdżał, a jego przyjazdy i odjazdy za każdym razem okazywały się wielce dramatycznym przeżyciem tak dla Evy, jak i dla wszystkich pozostałych. Rzesza, jak już

dawno doszła do wniosku Ursula, była niczym innym jak jednym wielkim pantomimicznym spektaklem. „Powieścią idioty, głośną, wrzaskliwą²² – pisała do Pameli – ale niestety *nic* nieznaczącą”.

Zachęcona przez Evę, Frieda obróciła się i roześmiała. Była oczkiem w głowie Ursuli, lepszą częścią wszystkiego, co matka robiła lub co myślała. Byłaby gotowa do końca życia chodzić po rozżarzonych węglach, gdyby to miało ochronić Friedę. Spłonąć w ogniu piekielnym, byle ją tylko ratować. Utonąć w najgłębszej głębinie, gdyby dzięki temu jej córeczka mogła utrzymać się na powierzchni. (W wyobraźni przerobiła wiele takich scenariuszy. Lepiej zawczasu być przygotowaną). Wcześniej nie miała pojęcia (Sylvie nie była w tym względzie najlepszym przykładem), że miłość macierzyńska może być aż tak *boleśnie*, do szpiku kości fizyczna.

„Ależ tak – stwierdziła Pamela, jakby było to coś najbardziej oczywistego pod słońcem. – Kobieta zmienia się wtedy w prawdziwą wilczycę”. Ursula nie myślała o sobie jako o wilczycy; jakkolwiek by patrzeć, była przecież niedźwiedzicą.

Tymczasem gdzie spojrzeć, „Góra” opanowana była przez same wilczyce – Magdę, Emmy, Margaretę, Gerde – wierne żony starszych partyjnych oficjeli, rozpychające się łokciami w walce o swoją odrobinę władzy i wydające ze swych płodnych łon niezliczone zastępy dzieci, a wszystko to oczywiście dla Rzeszy, dla Führera. Wilczyce te były w istocie niebezpiecznymi drapieżnikami, nienawidzącymi Evy, „tej głupiej krowy” – *die blöde Kuh* – która w sobie tylko znany sposób zdołała je przewyższyć.

Każda z nich z pewnością oddałaby wszystko, aby zamiast niepozornej Evy stanąć u boku ich wspaniałego przywódcy. Czyż mężczyzna jego pokroju nie był godzien Brunhildy – a przynajmniej Magdy albo Leni? A może samej Walkirii, „tej Mitford”, brytyjskiej arystokratki i faszystki, *das Fräulein Mitford*, jak nazywała ją Eva. Führer żywił głęboki podziw dla Anglii, zwłaszcza tej arystokratycznej i imperialnej, choć Ursula podejrzewała, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, nie powstrzyma go to od jej unicestwienia.

Eva nie cierpiała wszelkich Walkirii, mogących z nią rywalizować o względy Führera, a źródłem jej najsilniejszych uczuć był strach. Największą antypatią darzyła wszakże Bormanna, szarą eminencję „Góry”. To on trzymał łapę na pieniądzach, on kupował dla niej podarunki w imieniu Führera i wydawał pieniądze na te wszystkie futra oraz pantofle od Ferragamo, przypominając jej na milion subtelnych sposobów, że jest jedynie kurtyzaną. Ursula była ciekawa, skąd pochodzą te futra; większość kuśnierzy, jakich знаła z Berlina, była Żydami.

Fakt, iż towarzyszką Führera została zwykła ekspedientka, musiał być dla wilczyc szczególnie trudny do przełknięcia. Eva zwierzyła się Ursuli, że gdy pierwszy raz go spotkała, jeszcze jako pracownica zakładu fotograficznego Hoffmanna, zwróciła się do niego: „Herr Wolf”. – Po niemiecku „Adolf” znaczy „szlachetny wilk” – wyjaśniła. Ależ mu się to musiało spodobać, pomyślała Ursula. Nigdy nie słyszała, aby ktokolwiek zwracał się do niego po imieniu. (Czy Eva nawet w łóżku mówiła do niego: *Mein Führer*? Wydawało się to całkiem prawdopodobne). – A wiesz, że jego ulubiona piosenka – śmiała się Eva – to *Kto się boi wielkiego, złego wilka*?

– Ta z *Trzech małych świnek* Disneya? – spytała z niedowierzaniem Ursula.

– Ta sama!

Och, pomyślała Ursula, nie mogę się doczekać, kiedy to powiem Pameli!

– A teraz jedno razem z *Mutti* – zarządziła Eva. – Weź ją na ręce. *Sehr schön*, świetnie.

Uśmiech proszę! – Ursula często obserwowała, jak Eva radośnie chodzi za Führerem krok w krok ze swoim aparatem, usiłując uchwycić moment, gdy ten nie będzie się odwracał od obiektywu albo komicznie spuszczał na oczy ronda kapelusza niczym nieudolna parodia szpiega. Nie lubił, kiedy robiła mu zdjęcia, przedkładając korzystne oświetlenie profesjonalnej sesji zdjęciowej i bardziej heroiczne pozy nad pstrykane mu przez Evę fotki. Eva dla odmiany uwielbiała być fotografowana. I nie marzyła jedynie o tym, żeby być na zdjęciach; chciała wystąpić w filmie. W *ein Kino*. Miała wyjechać do Hollywood („pewnego dnia”) i zagrać samą siebie w „historii swego życia”, jak sama mówiła. (Nie wiedzieć czemu dopiero kamera sprawiała, że wszystko stawało się dla niej realne). Podobno sam Führer jej to obiecał. Rzecz jasna, Führer obiecywał ludziom masę rzeczy. Dzięki temu zaszedł aż tak daleko.

Eva ponownie skoncentrowała się na swoim rolleiflexie. Ursula cieszyła się, że nie przy-

wiozła ze sobą starego kodaka, nie wytrzymałaby konkurencji. – Zrobię ci odbitki – obiecała Eva. – Będiesz mogła je wysłać rodzicom w Anglii. Bardzo ładnie wyglądacie z tymi górami w tle. A teraz proszę o szeroki uśmiech. *Jetzt lach doch mal richtig!*

Górska panorama stanowiła tło każdej robionej tu fotografii, wszystkiego, co się tutaj działo. Te same majestatyczne widoki, które z początku zachwyciły Ursulę, teraz ją przytłaczały. Wielkie, pokryte lodem urwiska i spienione wodospady, niekończące się lasy sosnowe – przyroda i mit stopione w jedno, tworzące esencję niemieckiej duszy. Niemiecki romantyzm, jak stwierdziła Ursula, był pełen rozmachu i mistycyzmu; w porównaniu z nim angielskie jeziora wydawały się całkiem swojskie. Siedliskiem angielskiej duszy zaś – jeśli w ogóle można było mówić o czymś takim – był z pewnością jakiś całkiem nieheroiczny przydomowy ogródek, kawałek trawnika, różana rabata, grządka fasoli.

Powinna wracać do domu. Ale nie do Berlina, na Savignyplatz, tylko do Anglii. Do Fox Corner.

Eva usadziła Friedę na balustradzie, skąd natychmiast zdjęła ją Ursula. – Ma lęk wysokości – wyjaśniła. Eva stale niebezpiecznie się wychylała przez tę balustradę albo prowadziła po niej psy lub czyjeś małe dzieci. A tymczasem ziejąca w dole przepaść przyprawiała o zawroty głowy; nic, tylko pustka, aż do Berchtesgaden i dalej, do Königsee. Ursuli żal było małego Berchtesgaden z jego niewinnie wyglądającymi skrzynkami wesołych pelargonii w oknach domów i łąkami schodzącymi łagodnie w dół aż do jeziora. Wydawało się, że wieki całe upłynęły od czasu, gdy w trzydziestym trzecim była tutaj z Klarą. Jej ukochany profesor rozwiódł się w końcu z żoną i Klara była teraz mężatką oraz matką dwójki jego dzieci.

– Tam wysoko mieszkają Nibelungowie – zwróciła się Eva do Friedy, wskazując dziewczynce widoczne z tarasu szczyty – a także demony, wiedźmy i psy z piekła rodem.

– Psy z piekła rodem? – powtórzyła niepewnie Frieda. Już i tak bała się Negusa i Stasi, irytujących szkockich terierów Evy, i naprawdę nie musiała wysłuchiwać jeszcze opowieści o karłach i demonach.

Ja z kolei słyszałam, pomyślała Ursula, że to Karol Wielki zaszył się w masywie Untersbergu i śpi w jakiejś jaskini, by zbudzić się dopiero na ostateczną bitwę między siłami dobra i zła. Była ciekawa, kiedy ona nastąpi. Może już całkiem niedługo.

– I jeszcze jedno – zarządziła Eva. – Uśmiech! – Obiektyw rolleiflexa nieustępliwie błyszczał w słońcu. Eva miała też kamerę, kosztowny prezent od jej osobistego pana Wilka, i Ursula uznała, iż właściwie powinna się cieszyć, że każdy ich krok nie jest utrwalany dla potomności na żywo i w kolorze. Wyobraziła sobie, jak w przyszłości ktoś myszkuje w (licznych) albumach Evy i głowi się nad tożsamością Ursuli, biorąc ją może omyłkowo za siostrę Evy, Gretl, albo jej przyjaciółkę Hertę, nieistotnych świadków historii.

Rzecz jasna, wszystkich ich czekał ten sam los, nawet te góry – przeznaczeniem skał jest wszak zmienić się w piasek. Większość ludzi po omacku przeżywała swoje życie i dopiero z perspektywy czasu mogła ocenić wagę pewnych wydarzeń. Führer był inny, świadomie *tworzył* historię dla przyszłych pokoleń. Tylko prawdziwy narcyz mógł tego dokonać. Speer zaś, w darze dla swego przywódcy, projektował berlińskie budynki w taki sposób, żeby nawet za tysiąc lat tworzyły malownicze ruiny. (Żeby planować na taką skalę! Ursula żyła z godziny na godzinę – jeszcze jedna konsekwencja macierzyństwa; przyszłość była dla niej równie zagadkowa jak przeszłość).

Speer jako jedyny był miły dla Evy i dlatego Ursula oceniała go łagodniej, niż być może na to zasługiwał. Jako jedyny z obecnych tu mężczyzn aspirujących do miana teutońskich rycerzy był także przystojny, a nie kulawy, pękaty jak ropucha czy gruby jak świnia albo – co gorsza – bezbarwny jak urzędnik niższego szczebla. („Na dodatek wszyscy oni noszą mundury! – informowała listownie Pammy. – Tyle że to wszystko pozory. Zupełnie jakbyśmy żyli na kartach powieści *Więzień na zamku Zenda*. To istni królowie nonsensu”). Okropnie żałowała, że nie ma przy niej Pammy – ależby się lubowała rozkładaniem na czynniki pierwsze charakteru Führera i jego pacholców. Na koniec zaś oznajmiłaby, że to zwykli szarlatani, z ustami pełnymi pustych frazesów).

Prywatnie Jürgen twierdził, iż jest świadom ich „olbrzymich” wad, lecz publicznie zachowywał się jak na wiernego sługę Rzeszy przystało. *Lippenbekenntnis*, mawiał. Hipokryzja. („Skoro

nie ma innej rady...” – powiedziałyby Sylvie). Tylko w ten sposób można coś osiągnąć, powtarzał. Ursula uważała, że pod tym względem blisko mu do Maurice’a, który twierdził, iż chcąc zrobić karierę, trzeba współpracować z głupcami i osłami. Oczywiście Maurice również był prawnikiem. Ostatnimi czasy zajmował całkiem wysoką pozycję w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Czy to mogło stanowić problem, gdyby wybuchła wojna? Czy zbroja niemieckiego obywatelstwa – z taką niechęcią przywdziana – wystarczyłaby, żeby ją ochronić? (Gdyby wybuchła wojna! Czy naprawdę mogła poważnie rozważać możliwość pozostania po tej stronie Kanału?).

Jürgen był prawnikiem. Pragnąc uprawiać swój zawód, musiał wstąpić w szeregi partii, nie miał innego wyboru. *Lippenbekenntnis*. Obecnie pracował w berlińskim Ministerstwie Sprawiedliwości. Kiedy jej się oświadczył („Po krótkich, acz intensywnych zalotach” – jak to ujęła w liście do Sylvie), z przekonania był jeszcze komunistą.

Teraz jednoznacznie odrzucał lewicową politykę, gorliwie broniąc dotychczasowych osiągnięć – kraj wreszcie funkcjonował jak trzeba – to znaczy stuprocentowego zatrudnienia, zaopatrzenia, opieki zdrowotnej i narodowej dumy. Nowe miejsca pracy, nowe drogi, nowe fabryki, nowa nadzieja – jak inaczej można było to wszystko osiągnąć? – pytał. Zmianom na lepsze towarzyszyły narodziny ekstatycznej, fałszywej religii i pełnego gniewu fałszywego mesjasza. – Wszystko ma swoją cenę – mawiał Jürgen. Choć może niekoniecznie aż tak wysoką jak ta, którą musieli płacić. (*Jak im się to udało?* – głowiła się często Ursula. Głównie za pomocą strachu i teatralnych sztuczek. Tylko *skąd* brały się te wszystkie pieniądze i miejsca pracy? Może odpowiedź kryła się w masowej produkcji flag i mundurów – tyle ich było wszędzie, że mogłyby istotnie wydzwignąć niejedną gospodarkę. „Światowa gospodarka dźwiga się niezależnie od tego – pisała Pamela. – Dla nazistów to po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności, że mogą przypisać sobie całą chwałę”). Rzeczywiście, przyznawał Jürgen, na początku zdarzały się akty przemocy, ale był to chwilowy spazm, faza przejściowa, bojówki NSDAP musiały się wyszaleć. Teraz już wszyscy zachowywali się bardziej racjonalnie.

W kwietniu oglądali w Berlinie defiladę z okazji pięćdziesiątych urodzin Führera. Jürgen dostał specjalne miejsca na trybunie dla gości honorowych. – Przypuszczam, że to duże wyróżnienie – powiedział. Ursula zastanawiała się, czym zasłużył sobie na ten „zaszczyt”. (I czy się z niego cieszył? Czasem trudno było go rozgryźć). W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku nie zdołał załatwić im biletów na olimpiadę, a teraz, proszę, obracali się w gronie najważniejszych osób w Rzeszy. Ostatnimi czasy Jürgen był stale zajęty. – Prawnik nigdy nie śpi – żartował. (Choć zdaniem Ursuli wszystko wskazywało na to, że niemieccy prawnicy gotowi są przespać najbliższe tysiąc lat).

Defilada ciągnęła się bez końca – największy jak dotąd pokaz wodzirejskich talentów Goebbelsa. Mnóstwo wojskowej muzyki, a następnie uwertura w wykonaniu Luftwaffe – robiący duże wrażenie, hałaśliwy przelot eskadry samolotów wzdłuż osi wschód–zachód. Fala za falą kolejne jednostki przelatowały w zwartym szyku nad Bramą Brandenburską. Jeszcze więcej wściekłości i wrzasku. – Heinkle i messerschmitty – wyjaśnił jej Jürgen. Skąd wiedział takie rzeczy? Wszyscy chłopcy znają się na samolotach, odparł.

Następnie rozpoczęły swój przemarsz niezliczone pułki wojsk – całe morze żołnierzy, paradujących po ulicy defiladowym krokiem. Ursuli przypomniał się kankan w wykonaniu tancerek z kabaretu Tillera. – *Stechschritt* – jęknęła – kto wymyślił krok defiladowy, na Boga?

– Oczywiście Prusacy – roześmiał się Jürgen. – A któż by inny?

Wyjęła tabliczkę czekolady, odłamała kawałek i podała Jürgenowi. Ten zmarszczył brwi i pokręcił głową, jakby Ursula okazała brak szacunku dla zgromadzonej przed nimi militarnej potęgi. Zjadła więc jeszcze jeden kawałek. Drobnie akty nieposłuszeństwa.

Nachylił się ku niej, żeby słyszała, co mówi, gdyż wokół nich panował nieludzki zgiełk. – Musisz przynajmniej przyznać, że co jak co, ale ich precyzja naprawdę zasługuje na podziw – powiedział. I tak było. Ursula szczerze ją podziwiała. To rzeczywiście *było* niezwykle. Perfekcyjni jak roboty, jakby każdy żołnierz w każdym pułku był kopia sąsiada, a wszyscy zeszli właśnie z linii produkcyjnej. Wyglądało to wręcz *nieludzko*, ale z drugiej strony do zadań armii nie należało wszak robienie ludzkiego wrażenia. („To wszystko było takie *męskie*” – pisała do Pameli). Czy brytyjska

armia zdołałaby osiągnąć podobny efekt mechanicznej musztry na tak wielką skalę? Sowietci może tak, lecz Brytyjczycy byli chyba trochę mniej *zaangażowani*.

Siedząca na jej kolanach Frieda głęboko spała, a to był ledwie początek. Przez cały ten czas Hitler pozdrawiał defilujących, trzymając przed sobą wyprostowaną rękę (z miejsca, gdzie siedzieli, Ursula nie widziała go całego, tylko tę rękę, sztywną jak pogrzebacz). Najwyraźniej władza dawała człowiekowi szczególny rodzaj wytrzymałości. Gdybym to ja obchodziła swoje pięćdziesiąte urodziny, pomyślała Ursula, wolałabym spędzić je nad brzegiem Tamizy, w Bray, Henley albo gdzieś w pobliżu, na pikniku, bardzo angielskim pikniku – z termosem pełnym herbaty, zapiekankami kielbaskami, kanapkami z jajkiem i rzeżuchą, ciastem oraz słodkimi bułeczkami. Całości dopełniałaby obecność jej rodziny, ale czy Jürgen też był częścią tego sielskiego obrazka? Dobrze by tam pasował – wylegujący się na trawie we flanelowych spodniach wioślarza i gawędzący o krykcie z Hugh. Jak dotąd spotkali się tylko raz i z miejsca przypadli sobie do gustu. W trzydziestym piątym Ursula i Jürgen wybrali się do Anglii, żeby odwiedzić Fox Corner. – Wygląda na przyjemnego gościa – stwierdził Hugh, chociaż gdy odkrył, że Ursula przyjęła niemieckie obywatelstwo, nie był już taki zachwycony. Popełniła fatalny błąd i teraz już o tym wiedziała. – Nie ma to jak spojrzeć z pewnej perspektywy – orzekła Klara. – Gdyby każdy potrafił wyciągać wnioski po fakcie, w podręcznikach historii nie byłoby o czym pisać.

Powinna była zostać wtedy w Anglii. Powinna była zostać w Fox Corner, tam gdzie łąka, zagajnik i strumień, płynący przez ukwiecony dzwoneczkami las.

Przed nimi przetaczały się teraz wielkie maszyny wojenne. – Jadą czołgi – rzucił po angielsku Jürgen, gdy w zasięgu ich wzroku pojawił się *panzer*, pierwszy z wielu wiezionych na naczepach ciężarówek. Jürgen mówił biegle po angielsku, spędziwszy rok w Oksfordzie (stąd jego znajomość krykieta). Następnie już o własnych siłach nadjechały inne czołgi, a także motocykle z bocznymi wózkami oraz wozy opancerzone, a wreszcie kłusująca z gracją kawaleria (wyjątkowa atrakcja dla tłumów – Ursula obudziła Friedę, żeby zobaczyła konie), na koniec zaś artyleria, od lekkich działek polowych po potężne działa przeciwlotnicze i ogromne armaty.

– To K-3 – zauważył z podziwem Jürgen, jakby miało jej to cokolwiek wyjaśnić.

Defiladę charakteryzowało umiłowanie porządku i geometrii, zupełnie niepojęte dla Ursuli. Pod tym względem nie różniła się od innych parad czy wieców – wszystko to teatr – tyle że akurat ta wydawała się pokazem siły. Oszałamiająca ilość prezentowanej broni; ten kraj był uzbrojony po zęby! Ursula nie miała o tym pojęcia. Nic dziwnego, że dla każdego znajdowała się praca. „Maurice twierdzi, że jeśli chce się postawić kraj na nogi, potrzebna jest wojna” – pisała Pamela. A gdzie potrzebna jest broń, jeśli nie na wojnie?

– Odnowienie armii pomogło uzdrowić naszą psychikę – tłumaczył jej Jürgen. –

Przywróciło nam narodową dumę. Gdy w osiemnastym roku generałowie ogłosili kapitulację... – Ursula wyłączyła się; był to wywód, który słyszała już nazbyt wiele razy. „Sami rozpętali ostatnią wojnę – pisała rozwścieczona do Pameli. – I doprawdy, można by pomyśleć, że tylko oni musieli się później podnosić ze zniszczeń, że nigdzie indziej nie było biednych, głodnych i osieroconych”. Frieda znów się przebudziła i rozdrażniona zaczęła marudzić. Ursula dała jej czekolady. Sama też była rozdrażniona. We dwie zjadły całą tabliczkę.

Finał defilady okazał się całkiem poruszający. Chorąży wszystkich pułków sformowali przed podium Hitlera składający się z wielu szeregów szyk – tak równy, że jego brzegi zdawały się być przykrojone brzytwą – po czym pochylili swoje chorągwie do ziemi w hołdzie wodzowi. Tłum oszalał.

– I jak ci się podobało? – spytał Jürgen, gdy noga za nogą opuszczali trybunę. Frieda siedziała mu na ramionach.

– Wspaniale – odparła Ursula. – To było wspaniale. – Czuła w skroni pierwsze ukłucia zbliżającej się migreny.

Choroba Friedy zaczęła się pewnego ranka przed kilkoma tygodniami od podwyższonej temperatury. – Żle się czuję – poskarżyła się mała. Gdy Ursula dotknęła jej czoła, było lepkie od potu. Powiedziała więc: – Nie musisz iść dzisiaj do przedszkola, możesz zostać ze mną w domu.

– Zwykle letnie przeziębienie – orzekł po powrocie z pracy Jürgen. Frieda od zawsze miała

problemy z płucami („Po mojej matce” – stwierdziła ponuro Sylvie), więc zdążyli się już przyzwyczaić do jej ciągłych katarów i bólów gardła, ale tym razem przeziębienie szybko się rozwijało, a mała gorączkowała i słabła. Jej skóra sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała stanąć w ogniu. – Trzeba ją schładzać – powiedział lekarz, więc Ursula robiła córce zimne okłady na czoło i czytała jej książeczki, ale pomimo najlepszych chęci Frieda nie była w stanie wykrzesać z siebie dla nich żadnego zainteresowania. Potem zaczęła majaczyć, a lekarz, wysłuchawszy chrobotu w jej piersiach, orzekł, że to bronchit i że trzeba go przeczekać.

Później tej samej nocy Friedzie nagle bardzo się pogorszyło, zawinęli więc w koc jej niemal nieruchome ciało i pomknęli taksówką do najbliższego szpitala – katolickiego, jak się okazało. Diagnoza brzmiała: zapalenie płuc. – Dziewczynka jest bardzo chora – powiedział oskarżycielsko lekarz, jakby to była ich wina.

Przez dwa dni i dwie noce Ursula nie odchodziła od łóżka Friedy, ściskając w dłoni jej drobną rączkę, żeby zatrzymać ją na tym świecie. – Gdybym tylko to ja mógł zachorować zamiast niej – szeptał Jürgen nad sztywną, białą pościelą, która także pomagała więzić Friedę na tym padole. Zakonnice sunęły przez szpitalną salę jak galeony w swoich wielkich, skomplikowanych nakryciach głowy zwanych podwikami. Ciekawe, ile czasu zajmuje im codziennie upinanie tego czegoś o poranku? – zastanawiała się Ursula w jednej z rzadkich chwil roztargnienia, gdy cała jej uwaga nie koncentrowała się na Friedzie. Była pewna, że sama nigdy nie zdołałaby sobie z tym poradzić jak należy. Samo nakrycie głowy było wystarczającym powodem, żeby nie chcieć być zakonnice.

Całą siłą woli zmuszali Friedę, żeby przeżyła, i tak też się stało. *Triumph des Willens*. Kryzys minął i dziewczynka rozpoczęła swoją długą rekonwalescencję. Błada i osłabiona, potrzebowała odpowiednich warunków, żeby wrócić do zdrowia. Pewnego wieczoru, po powrocie do domu ze szpitala, Ursula znalazła przed drzwiami mieszkania kopertę.

– Od Evy – powiedziała, pokazując Jürgenowi list, gdy ten wrócił z pracy.

– Jakiej Evy? – spytał.

– Uśmiech! – *Pstryk, pstryk, pstryk*. Wszystko, byle tylko sprawić Evie przyjemność, pomyślała Ursula. Zresztą nie miała nic przeciwko temu. Eva była tak miła, że zaprosiła je tutaj, aby Frieda mogła pooddychać zdrowym, górskim powietrzem i nabrać sił, jedząc świeże warzywa i jajka oraz pijąc mleko z Gusthofu, wzorcowego gospodarstwa na zboczu góry poniżej Berghofu.

– Rozumiem, że to królewski rozkaz? – spytał Jürgen. – Możesz się w ogóle nie zgodzić? Chcesz jej odmówić? Mam nadzieję, że nie. Tobie też dobrze zrobi na te bóle głowy. – Ostatnio zauważyła, że im wyżej wspinał się po szczeblach ministerialnej kariery, tym bardziej jednostronne stawały się ich rozmowy. Jürgen wyrażał swoje zdanie, zadawał pytania, sam na nie odpowiadał i formułował wnioski, nie trudząc się, aby włączyć ją w swój monolog. (A może było to zachowanie typowe dla prawnika). Co ciekawe, najwyraźniej nie był tego świadomy.

– A więc ten stary cap przygruchał sobie w końcu kobietę? Kto by pomyślał! Wiedziałaś o tym? Nie, coś byś mi chyba powiedziała. I pomyśleć, że wy się znacie. Dla nas mogą być z tego tylko same korzyści, prawda? Znaleźć się tak blisko tronu... To może być zbawienne dla mojej kariery, a ja to przecież to samo co my, *Liebling* – dodał raczej odruchowo.

Ursula uważała, że zbytnia bliskość tronu może się dla nich okazać bardzo niebezpieczna. – Właściwie to nie znam Evy – odparła – nigdy się nie spotkałyśmy. Zna ją Frau Brenner, przyjaźni się z jej matką, Frau Braun. Klara dorabiała kiedyś w zakładzie Hoffmanna i pracowała razem z Evą. Znają się od przedszkola.

– Niesłychane – stwierdził Jürgen – od *Kaffeeklatsch* na sam szczyt w trzech prostych ruchach. Ciekawe, czy Fräulein Eva Braun wie, że jej dawna koleżanka z przedszkola, Klara, wyszła za mąż za Żyda? – Zaskoczył ją sposób, w jaki wypowiedział to słowo. *Jude*. Nigdy przedtem nie słyszała, żeby tak je wymawiał – szyderczo i lekceważąco. Jakby wbił jej w serce ostry gwóźdź. – Nie mam pojęcia – odrzekła. – Nie należę do tych, którzy plotkują, uprawiają *Kaffeeklatsch*, jak się raczyłeś wyrazić.

Führer zajmował tyle miejsca w życiu Evy, że gdy go nie było, przypominała puste naczynie. Kiedy jej ukochany wyjeżdżał, co wieczór warowała przy telefonie jak pies, czujnie nastawiając uszu w oczekiwaniu na połączenie, dzięki któremu mogła usłyszeć głos swojego pana.

Poza tym właściwie nie było się tutaj czym *zająć*. Po pewnym czasie piesze wycieczki do lasu i kąpiele w (lodowatym) jeziorze, zamiast krzepić ciało, zaczynały je osłabiać. Ileż dziko rosnących kwiatów można było zbierać albo jak długo wylegiwać się w słońcu na tarasie, żeby w końcu nie oszaleć? Na „Górze” stacjonowały całe zastępy opiekunek i nianieek, wprost bijących się o opiekę nad Friedą, w związku z czym Ursula, podobnie jak Eva, miała aż nadto wolnego czasu, którego nie była w stanie wypełnić. Nierozsądnie zabrała ze sobą tylko jedną książkę, dobrze chociaż, że opasła – *Czarodziejską górę* Manna – nie zdając sobie sprawy, że pozycja ta znajduje się na indeksie. Widząc ją pogrążoną w lekturze, pewien oficer Wehrmachtu zauważył: – Jest pani bardzo odważna. Wie pani, że to jedna z tych ich zakazanych książek? – Ursula odebrała to jako deklarację, że sam nie jest jednym z „nich”. Co zresztą mieliby jej zrobić? Odebrać książkę i wrzucić do kuchennego pieca?

Miły był ten oficer Wehrmachtu. Jego babka pochodziła ze Szkocji, jak wyznał, on sam zaś spędził wiele szczęśliwych wakacji „na szkockich wyżynach”.

Im Grunde hat es eine merkwürdige Bewandnis mit diesem Sicheinleben an fremdem Orte, dieser – sei es auch – mühseligen Anpassung und Umgewöhnung – przeczytała, po czym przetłumaczyła mozolnie i dosyć nieskładnie: „Jest coś dziwnego w tym przyzwyczajaniu się do nowego miejsca, mozolnym przystosowywaniu się do niego i oswajaniu go...”. Święta prawda, pomyślała. Mann okazał się trudną lekturą. Wolałaby już cały karton gotyckich romansideł Bridget. One z pewnością nadawałyby się do czytania, nie byłyby *verboten*.

Górskie powietrze wcale jej nie pomogło na migreny (podobnie jak Tomasz Mann). Jeśli już, to tylko bardziej się nasiliły. *Kopfschmerzen* – już sam dźwięk tego słowa przyprawiał ją o ból głowy. – Nie widzę, aby cokolwiek pani dolegało – stwierdził szpitalny lekarz. – To na pewno z nerwów. – Po czym dał jej receptę na weronal.

Jeśli chodzi o Evę, trudno było ją uznać za szczególnie błyskotliwą, ale też i sama „Góra” nie była wszak matecznikiem inteligencji. Jedyną osobą, która zasługiwała tu na miano myśliciela, był Speer. Nie szło przy tym o to, że Eva wiodła nieskomplikowane życie – Ursula podejrzewała, że jest wręcz odwrotnie. Pod całą tą *Lebenslust* wyczuwało się głęboko skrywaną depresję i nerwicę, ale który mężczyzna szukałby w swojej kochance jej ukrytych lęków?

Ursula przypuszczała, że chcąc odnosić sukcesy jako kochanka (choć sama nigdy kochanką nie była, ani dobrą, ani złą), kobieta powinna nieść pociechę i ukojenie, być miękką poduszką dla znużonej głowy. Emanować *gemütlichkeit*. Eva była sympatyczna i trąkotała bez ładu i składu, nie roszcząc sobie pretensji do bycia bystrą czy przenikliwą. Posiadający władzę mężczyźni oczekiwali, że ich kobiety będą prostolinijne; dom nie miał być dla nich miejscem intelektualnej debaty. „Usłyszałam to od własnego męża, więc to musi być prawda!” – pisała do Pameli. Oczywiście Jürgen nie miał na myśli siebie, on sam nie posiadał żadnej władzy. – Przynajmniej na razie – dodawał ze śmiechem.

Świat wielkiej polityki liczył się dla Evy, ale tylko o tyle, że nazbyt często pozbawiał ją obiektu jej uwielbienia. Bezceremonialnie odsuwana od życia publicznego, pozbawiona oficjalnej pozycji czy w ogóle jakiegokolwiek pozycji, wierna jak pies, lecz mniej niż on poważana. Suka Blondi stała w ogólnej hierarchii wyżej od niej. Eva zwierzyła się Ursuli, że najbardziej żałuje tego, iż nie poznała księżnej Windsoru, gdy ta odwiedziła Berghof.

Słyszając to, Ursula zmarszczyła brwi. – Przecież wiesz, że to nazistka! – rzuciła bezmyślnie. („Chyba powinnam bardziej uważać na to, co mówię!” – pisała do Pameli). Lecz Eva odparła tylko: – Tak, istotnie – jakby fakt, że towarzyszka abdykowanego króla Anglii jest zwolenniczką Hitlera, był czymś najbardziej oczywistym pod słońcem.

W oczach społeczeństwa Führer musiał samotnie kroczyć szlachetną drogą czystości, nie mogąc nikogo poślubić, jako że był już poślubiony swojej ojczyźnie. Musiał się poświęcić dla przyszłości Niemiec – a przynajmniej tak to w skrócie wyglądało. Ursula podejrzewała, że w tym momencie musiało jej się przysnąć (był to jeden z tych jego niekończących się poobiednich monologów). Zupełnie jak nasza Królowa Dziewica, pomyślała, lecz nie powiedziała tego na głos, domyślając się, że Führer nie chciałby być porównywany do kobiety, nawet do angielskiej arystokratki, która sercem i odwagą dorównywała mężczyznom. Jej dawny szkolny nauczyciel historii

szczególnie lubował się w cytowaniu Elżbiety I: „Nie powierzajcie tajemnic tym, których wierności i umiejętności milczenia nie poddaliście jeszcze próbie”.

Eva byłaby dużo szczęśliwsza w Monachium, w drobnomieszczańskim domku, który kupił dla niej Führer, gdzie mogłaby wieść normalne życie towarzyskie. Tymczasem tutaj, w tej pozłacanej klatce, musiała sama szukać sobie rozrywki, wertując kolorowe czasopisma, dyskutując o najnowszych fryzurach i sercowych problemach gwiazd filmowych (tak jakby Ursula miała na ten temat cokolwiek do powiedzenia) oraz zmieniając stroje kilka razy na dzień niczym transformista. Kilkakrotnie Ursula miała okazję być w jej sypialni – ślicznym, kobiecym buduarze, całkiem niepodobnym do reszty pomieszczeń Berghofu, urządzonych raczej ciężką ręką; ogólne dobre wrażenie psuł portret Führera, zajmujący zaszczytne miejsce na ścianie pokoju. Jej bohater. Führer nie miał u siebie podobizny swojej kochanki. Zamiast na uśmiechającą się doń ze ściany twarzą Evy wolał spoglądać na surowe rysy *swojego* uwielbianego bohatera, Fryderyka Wielkiego. *Friedrich der Grosse*.

„Zamiast «wielki» stale słyszę *grocer*, sklepikarz” – przyznała się w liście Pamelii. Sklepikarze rzadko wszakże bywali wojennymi podżegaczami i zdobywcami. Jaką drogę przeszedł Führer, zanim sięgnął po władzę? Eva wzruszyła ramionami. Nie wiedziała. – Chyba od zawsze był politykiem. Już się nim urodził. – Nie, pomyślała Ursula; kiedy się urodził, był zwyczajnym dzieckiem, tak jak każdy. Dopiero później wybrał sobie takie życie.

Przylegająca do pokoju Evy sypialnia Führera była stanowczo poza zasięgiem Ursuli. Mimo to widywała go śpiącego, i to nie w owym uświęconym przybytku, ale zażywającego poobiedniej drzemki w ciepłym słońcu na tarasie Berghofu, ze zdradziecko rozchylonymi ustami wielkiego wojownika. Wyglądał wtedy tak bezbronne; ale, niestety, na „Górze” nie było zamachowców. Znajdowała się natomiast cała masa broni, pomyślała Ursula; łatwo można by zdobyć jakiegoś lugera i strzelić mu prosto w serce albo w głowę. Tylko co by się wówczas z nią stało? I, co gorsza, co by się stało z Friedą?

Eva siadywała obok, wpatrując się w niego z czułością jak w uspięne dziecko. Wtedy należał wyłącznie do niej i do nikogo innego.

Krótko mówiąc, Eva była – ni mniej, ni więcej – miłą, młodą kobietą. Nie powinno się przecież osądzać kobiety na podstawie tego, kim był mężczyzna, z którym sypiała. (A może jednak?).

Miała wspaniałą, wysportowaną sylwetkę, której Ursula bardzo jej zazdrościła. Była zdrową, sprawną dziewczyną – pływała, jeździła na nartach i łyżwach, tańczyła, uprawiała gimnastykę – kochającą świeże powietrze i *ruch*. A mimo to przywarła niczym pąkla do gnuśnego faceta w średnim wieku, prowadzącego nocny tryb życia – i to dosłownie – który przed południem nie zwlekał się z łóżka (a mimo to nigdy nie odmawiał sobie popołudniowej drzemki), nie pił, nie palił, nie tańczył i nie nadużywał żadnych przyjemności, cenił sobie spartański tryb życia, lecz wigorem nie dorównywał prawdziwym Spartanom. Mężczyzny, którego nigdy nie widywano obnażonego bardziej niż do *Lederhosen* (te krótkie spodnie to komiczny i wielce nieatrakcyjny widok dla kogoś, kto nie pochodził z Bawarii), którego cuchnący oddech zraził Ursulę już przy pierwszym spotkaniu i który jak cukierki łykał tabletki „na wiatry” („Słyszałem, że cierpi na wzdęcia – ostrzegł Ursulę Jürgen – więc miej się na baczności. To pewnie przez te wszystkie warzywa”). Który dbał o swą godność, lecz nie był próżny jako taki. „To zwykły megaloman” – informowała listownie Pamelę.

Przysłano po nie auto z szoferem, a gdy przybyły do Berghofu, Führer osobiście je powitał, stojąc na szerokich schodach, gdzie witał zwykle rozmaitych dygnitarzy, a przed rokiem samego Chamberlaina. Po powrocie do Wielkiej Brytanii Chamberlain oświadczył, iż „teraz już wie, co chodzi po głowie Herr Hitlerowi”. Ursula wątpiła, aby ktokolwiek posiadał taką wiedzę, nawet Eva. A może zwłaszcza Eva.

– Miło mi będzie gościć panią tutaj, *gnädiges Frau* – powiedział. – Powinnyście tu zostać, dopóki *liebe Kleine* lepiej się nie poczuje.

„Lubi kobiety, dzieci, psy – naprawdę, nic mu nie można zarzucić – pisała Pamela. – Szkoda tylko, że jest dyktatorem pozbawionym szacunku dla prawa i elementarnego człowieczeństwa”. Pamela miała w Niemczech grono znajomych jeszcze z czasów studenckich, wśród których było wielu Żydów, a na głowie dom pełen rozwrzeszczanych chłopców (w liczbie trzech) – cichutka

Frieda zostałaaby w Finchley całkiem zdominowana. Na dodatek, jak się właśnie okazało, Pamela znowu była w ciąży i „trzymała kciuki za dziewczynkę”. Ursula bardzo tęskniła za siostrą.

W obecnym reżimie Pamela nie miałaby lekkiego życia. Jej poczucie moralności i wynikające z niego oburzenie nie pozwoliłyby jej usiedzieć cicho. Nie potrafiłaby gryźć się w język, tak jak to robiła Ursula (substytut kagańca). „Ci także służą, co beczynnienie czekają”. Czy to się odnosiło także do etyki? Czy tak ma wyglądać mój opór? – zastanawiała się Ursula. Może zamiast cytować Milтона, lepiej byłoby sparafrazować Edmunda Burke’a: „Aby zło zatriumfowało, wystarczy, by dobre kobiety nic nie robiły”.

Dzień po ich przyjeździe zorganizowano w Berghofie przyjęcie dla dzieci z okazji urodzin jednej z latorośli Goebbelsa czy Bormanna – Ursula nie była pewna, bo tyle ich było, w dodatku podobnych do siebie. Skojarzenia z wojskową defiladą z okazji urodzin Führera same jej się nasuwały. Wypucowane do czysta dzieci musiały kolejno wysłuchać krótkiej pogadanki wujka Wilka, zanim wolno im było uraczyć się ustawionym na długim stole tortem. Biedna, łakoma Frieda (która pod względem słabości do słodczy zdecydowanie wdała się w swoją matkę) była zbyt umęczona, żeby skosztować choć odrobinę. W Berghofie stale serwowano jakieś ciasta, a to makowiec z kruszonką, a to placki z nadzieniem śliwkowo-cynamonowym, puszyste biszkopty z kremem albo tort czekoladowy – wspaniały, kopulasty *Schwarzwälder Kirschtorte*. Ursula była ciekawa, kto to wszystko zjada. Sama z trudem dawała radę.

Choć dzień spędzony w towarzystwie Evy bywał męczący, to nic w porównaniu z wieczorami uświetnianymi obecnością Führera. Po kolacji całymi godzinami przesiadywali w Wielkiej Sali – przepastnym, brzydkim pomieszczeniu – słuchając muzyki z gramofonu lub oglądając filmy (a często robiąc obie te rzeczy naraz). Wyboru dokonywał, rzecz jasna, sam Führer. Jeśli chodzi o muzykę, do jego ulubionych operetek zaliczały się *Zemsta nietoperza* oraz *Wesoła wdówka*. Już pierwszego wieczoru Ursula stwierdziła, że trudno jej będzie zapomnieć twarze Bormanna, Himmlera i Goebbelsa (oraz ich niebezpiecznych małżonek), zasłuchanych w arię z *Wesołej wdówki*, z fałszywymi uśmiechami przyklejonymi do wąskich ust (być może był to kolejny przykład *Lippenbekenntnis*). Będąc na uniwersytecie, Ursula miała okazję obejrzeć studenckie wystawienie tej operetki. Przyjaźniła się wówczas z dziewczyną, która grała główną rolę Hanny. Nigdy by nie przypuszczała, że gdy po raz kolejny usłyszy: *Wilio, o Wilio, rusalko z lasu*, będzie to aria śpiewana po niemiecku, ona zaś wysłucha jej w tak przedziwnym towarzystwie. Tamto przedstawienie oglądała w trzydziestym pierwszym roku. Nie podejrzewała, co czeka w przyszłości ją samą, nie mówiąc już o Europie.

Projekcje filmów odbywały się niemal co wieczór w Wielkiej Sali. Przyjeżdżał kinooperator, a wówczas zdobiący jedną ze ścian wielki gobelin związał się automatycznie jak roleta, odsłaniając ukryty pod spodem ekran. Następnie serwowano im jakąś romantyczną szmirę czy amerykański film przygodowy lub co gorsza taki, którego akcja rozgrywała się w górach. Tym sposobem Ursula zaliczyła *King Konga*, *Bengali* i *Der Berg ruft*. Tamtego pierwszego wieczoru oglądali *Der heilige Berg* (znowu góry, znowu Leni). Ulubionym filmem Führera, jak wyznała jej Eva, była *Królowna Śnieżka*. Ciekawe, z którą z postaci się identyfikował, zastanawiała się Ursula – ze złą wiedźmą czy którymś z krasnoludków? Bo chyba nie ze Śnieżką? Doszła do wniosku, że na pewno chodzi o królewicza (czy on miał w ogóle jakieś imię? Czy książętom z bajek potrzebne były imiona, a może wystarczyło im, że po prostu *byli*?). Królewicz obudził Śnieżkę, tak jak Führer obudził Niemcy. Tyle że nie pocałunkiem.

Po narodzinach Friedy Klara podarowała jej śliczne wydanie *Schneewittchen und die sieben Zwerge – Królowny Śnieżki i siedmiu krasnoludków* – z ilustracjami Franza Jüttnera. Jej profesori już dawno zabroniono prowadzenia wykładów na akademii. Zamierzali wyjechać z Niemiec, najpierw w trzydziestym piątym, potem w trzydziestym szóstym. Po *Kristallnacht* w listopadzie trzydziestego ósmego Pamela napisała bezpośrednio do Klary, choć przecież nigdy się nie spotkały, proponując jej schronienie w Finchley. Niestety, zawiniła inercja i ta przeklęta, przejawiana powszechnie tendencja, żeby *czekać*... A potem profesor Klary został zatrzymany podczas łapanki i wywieziony na Wschód, oficjalnie do pracy w jakiejś fabryce. „Gdy pomyślę o jego pięknych dłoniach rzeźbiarza...” – wzdychała smutno Klara.

(„Wiesz chyba, że to nie są żadne *fabryki*” – pisała jej Pamela).

Ursula pamiętała, że jako dziecko zaczytywała się w bajkach. Pokładała głęboką wiarę nie tyle w szczęśliwych zakończeniach, ile w ostatecznym triumfie sprawiedliwości. Teraz podejrzewała, że dała się wystrychnąć na dudka opowieściom pióra braci Grimm. „Lustreczko, powiedz przecie. Kto jest najpiękniejszy w świecie?”. Z pewnością nie ci tutaj, pomyślała Ursula, rozglądając się po Wielkiej Sali podczas swego pierwszego męczącego wieczoru na „Górze”.

Führer był człowiekiem, który przedkładał operetki nad opery, a filmy animowane nad kulturę wysokich lotów. Gdy patrzyła, jak ściska dłoń Evy, nucąc pod nosem melodie Lehara, Ursula była porażona tym, jak *zwyczajnie* (by nie rzec: głupio) wyglądał – bliżej mu było do Myszki Miki niż do Zygryda. Sylvie długo by się z nim nie cackała. Izzie zjadłaby go żywcem, a potem wypłuła, pani Glover zaś... Ciekawe, co zrobiłaby pani Glover? – zastanawiała się Ursula. Ostatnio była to jej ulubiona zabawa – zastanawianie się, jak znani jej ludzie postąpiliby z nazistowskimi oligarchami. W końcu doszła do wniosku, że pani Glover najprawdopodobniej spralaby ich wszystkich porządnie swoim tłuczkiem do mięsa. (A jak zachowałyby się Bridget? Najprawdopodobniej kompletnie by ich zignorowała).

Gdy film dobiegł końca, Führer rozpoczął (wielogodzinny) wykład na jeden ze swoich ulubionych tematów, do których zaliczały się niemiecka sztuka i architektura (uważał się za niedosłego architekta), ideologia *Blut und Boden*, czyli Krew i Ziemia (ziemia, zawsze ta ziemia), oraz jego samotna, szlachetna droga przywódcy (i znowu wilk). Był wszak zbawcą Niemiec i biedne Niemcy, jego *Schneewittchen*, miały zostać przez niego zbawione, czy tego chciały, czy nie. Potrafił snuć niekończące się monologi na temat zdrowej niemieckiej sztuki i muzyki, Wagnera i *Śpiewaków norymberskich* oraz swojego ulubionego fragmentu libretta: *Wacht auf, es nahet gen den Tag – Zbudź się, już świta* (jeżeli będzie tyle gadał, to faktycznie zostanie nas tutaj świt, pomyślała Ursula). Wrócił potem, rzecz jasna, do kwestii przeznaczenia – swojego przeznaczenia – i tego, że jest ono nierozzerwalnie splecione z losem jego *Volk. Heimat, Boden*, zwycięstwo lub ostateczna klęska (Jakie zwycięstwo? – głowiła się Ursula. I nad kim?). Później było coś, co jej umknęło, coś o Fryderyku Wielkim, następnie kilka słów o architekturze Rzymian i o „kraju ojców”. (Rosjanie mieli swoją „mateczkę Rosję” – czyżby to miało o czymś świadczyć? A Anglicy? Ci mówili po prostu o Anglii. Od biedy o Jeruzalem Williama Blake’a).

A potem znów było o przeznaczeniu i tysiącletniej Rzeszy. Führer gadał i gadał, aż migrena, która zaczęła się jeszcze przed obiadem jako tępy ból, opasała głowę Ursuli cierniową koroną. Wyobraziła sobie Hugh, mówiącego: „Niechże się pan wreszcie przymknie, Herr Hitler”, i poczuła nagle tak przemożną tęsknotę za domem, że łzy same napłynęły jej do oczu.

Chciała wrócić do siebie. Do Fox Corner.

Lecz tak jak królewskim dworzanom nie wolno było odejść, zanim ich nie odprawiono, tak oni nie mogli się ruszyć, dopóki sam monarcha nie postanowił udać się na spoczynek. W pewnym momencie Ursula zobaczyła, jak Eva, wcale się z tym nie kryjąc, ziewa teatralnie, jakby chciała powiedzieć: „Chyba już starczy, Wilczku” (Ursula zdawała sobie sprawę z tego, że wyobrażenia podsuwa jej niestworzone pomysły, co jednak było wybaczone, zważywszy na okoliczności). Dopiero wtedy – w końcu! Bogu niech będą dzięki! – Führer wstał z miejsca, a w jego ślady poszli także umęczeni słuchacze.

Wyglądało na to, że kobiety szczególnie ukochały Führera. Przysyłały mu tysiące listów, piekły dla niego ciasta, wyszywały mu na poduszkach swastyki, a inne – tak jak dziewczęta z drużyny Hilde i Hanne – czekały przy górskiej drodze prowadzącej na Obersalzberg, żeby choć przez chwilę nacieszyć oczy widokiem Wodza w wielkim, czarnym mercedesie. Wiele kobiet wykrzykiwało przy takich okazjach, że pragną urodzić jego dziecko. – Co one w nim *widzą?* – dziwowała się Sylvie. Ursula zabrała ją raz na defiladę, jeden z tych niekończących się przemarszów w Berlinie, podczas których wymachiwano flagami i wznoszono w górę transparenty, gdyż matka chciała się „na własne oczy przekonać, o co chodzi w tym całym zamieszaniu”. (Jakież to było z jej strony brytyjskie: zredukować Trzecią Rzeszę do „zamieszania”).

Na ulicy wznosił się las czerwono-czarno-białych chorągwi. – Wybrali sobie bardzo agresywne kolory – zauważyła Sylvie, jakby zamierzała zlecić narodowym socjalistom urządzenie swo-

jego salonu.

Gdy nadjechał Führer, podniecenie tłumu przerodziło się w istny szal. Skandowano gromko: *Sieg Heil!* i *Heil Hitler!* – Czy tylko na mnie to nie robi wrażenia? – spytała Sylvie. – Co to może być, twoim zdaniem? Jakaś masowa histeria?

– Wiem, co masz na myśli – odparła Ursula. – To jak z tą bajką o nowych szatach cesarza. Tylko my dwie widzimy, że król jest nagi.

– Ten człowiek to zwykły klaun – rzuciła lekceważąco Sylvie.

– Ciii – ostrzegła ją Ursula. Słowo to brzmiało tak samo po angielsku i po niemiecku, a ona nie chciała wzbudzać wrogości otaczających je ludzi. – Powinnaś podnieść rękę do góry – dodała.

– Kto, ja? – W głosie Sylvie słychać było urażoną dumę wszystkich brytyjskich kobiet.

– Tak, ty.

Sylvie niechętnie uniosła ramię. Ursuli przemknęło przez myśl, że póki życia nie zapomni widoku swojej matki z ręką uniesioną w nazistowskim pozdrowieniu. Rzecz jasna, powtarzała sobie później, to wszystko działo się w trzydziestym czwartym roku, w czasach, gdy ludzkie sumienia nie były jeszcze stłamszone i otumanione przez strach, a ona sama pozostawała ślepa na to, co się naprawdę szykowało – być może zaślepiona miłością, a może zwyczajnie głupia. (Pamela w porę dostrzegła niebezpieczeństwo; jej oczy były szeroko otwarte).

Sylvie wybrała się w podróż do Niemiec, aby poddać inspekcji człowieka, którego jej córka tak nieoczekiwanie wybrała sobie na męża. Ursula często się zastanawiała, co matka zamierzała zrobić w wypadku, gdyby Jürgen okazał się jej zdaniem nieodpowiednią partią – nafaszerować ją lekami, porwać i siłą wsadzić do pociągu? Mieszkali wówczas w Monachium – jeszcze Jürgen nie podjął pracy w Ministerstwie Sprawiedliwości w Berlinie, jeszcze nie przeprowadzili się na Savignyplatz i nie zostali rodzicami Friedy, chociaż Ursula była już wtedy w ciąży, wielka i gruba.

– Nie do wiary, że zostaniesz matką – stwierdziła Sylvie, jakby było to coś, czego nigdy by się po niej nie spodziewała. – I to małego Niemca – dodała zamyślona.

– Dziecka – poprawiła ją Ursula.

– Miło jest się tak oderwać – powiedziała Sylvie. Ciekawe, od czego? – pomyślała Ursula.

Pewnego dnia Klara umówiła się z nimi na lunch i powiedziała później Ursuli: – Twoja matka jest bardzo szykowną kobietą. – Ursula nigdy nie myślała w ten sposób o Sylvie, lecz doszła do wniosku, że w porównaniu z matką Klary, Frau Brenner, miękką i pulchną niczym *Kartoffelbrot*, Sylvie rzeczywiście wyglądała jak wycięta z żurnala.

W drodze powrotnej z restauracji Sylvie oznajmiła Ursuli, że chce wstąpić do Oberpollingera i kupić prezent dla Hugh. Gdy dotarły do domu towarowego, zastały witryny oklejone antysemitycznymi hasłami, na co Sylvie mruknęła: – Wielkie nieba, co za bałagan. – Sklep był co prawda czynny, lecz dwóch kręcących się przy wejściu rechoczących gburów w mundurach SA skutecznie odstraszało potencjalnych klientów. Ale nie Sylvie, która zdecydowanym krokiem wyminęła obie brązowe koszule, więc Ursula, chcąc nie chcąc, podążyła jej śladem do środka, a potem na górę, po wyłożonych grubym chodnikiem schodach. Mijając mundurowych, z karykaturalną bezradnością wzruszyła ramionami i wymamrotała ze wstydem: – Ona jest z Anglii. – Wydawało jej się wówczas, że Sylvie nie ma pojęcia o tym, jak wygląda życie w Niemczech, lecz z perspektywy czasu stwierdziła, że chyba doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Ach, nareszcie lunch! – zawołała Eva, odkładając aparat i biorąc Friedę za rękę. Zaprowadziła dziewczynkę do stołu i wsunęła jej jeszcze dodatkową poduszkę pod pupę, a następnie nałożyła na talerz kopiastrą porcję. Tego dnia podano im kurczaka, pieczone ziemniaki i sałatę, wszystko świeżutkie z Gusthofu. Ależ one tutaj jadały! Na deser dla Friedy był ryż na mleku, z mlekiem z porannego udoju, prosto od krów z Gusthofu. (Dla Ursuli bardziej „dorosły” sernik, a dla Evy papieros). Ursuli przypomniał się ryżowy pudding pani Glover, kremowy, gęsty i żółty pod brązową karmelową skorupką. Wciąż czuła zapach gałki muszkatołowej, choć wiedziała, że nie dano jej do porcji Friedy. Nie pamiętała, jak jest po niemiecku „gałka”, i doszła do wniosku, że nie zdoła wyjaśnić Evie, o co jej chodzi. Przypuszczała, że jedzenie będzie jedyną rzeczą, za jaką zatęskni w związku z Berghofem, uznała więc, że powinna korzystać, dopóki to możliwe, i nałożyła sobie dokładkę sernika.

Za ich lunch odpowiadał niewielki wycinek całej armii personelu obsługującego Berghof. „Góra” była zadziwiającym połączeniem alpejskiego letniska z wojskowym obozem szkoleniowym, a właściwie całym miasteczkiem: z własną szkołą, pocztą, teatrem, wielkimi koszarami SS, strzelnicą, kręgielnią, szpitalem Wehrmachtu i wieloma innymi zabudowaniami. Było tam w zasadzie wszystko z wyjątkiem kościoła, a także całe mnóstwo młodych, przystojnych oficerów Wehrmachtu, którzy byliby dla Evy zdecydowanie bardziej odpowiednimi konkurentami.

Po posiłku przeszły się do herbaciarni położonej na Mooslahner Kopf; hałaśliwe psiaki Evy biegały dookoła, szczekając i łapiąc je zębami za łydki. (Gdyby tak któryś z nich spadł z balustrady albo z tarasu!). Ursula, która miała początki migreny, z ulgą opadła na jeden z wyjątkowo szpetnych foteli z lnianą tapicerką w kwiaty. Herbata – i naturalnie ciasto – zostały im przyniesione z kuchni. Ursula łyknęła dwie tabletki kodeiny, popiła je herbatą i oznajmiła: – Myślę, że Frieda doszła już do siebie na tyle, żeby wrócić do domu.

*

Tego dnia Ursula położyła się tak wcześnie, jak to było możliwe, wsuwając się pod chłodną, białą pościel. Łóżko dzieliła z Friedą w pokoju gościnnym. Była jednak zbyt zmęczona, aby zasnąć, i o drugiej nad ranem wciąż nie mogła zmrzyć oka. W końcu zapaliła nocną lampkę – Frieda spała głębokim snem dziecka i tylko choroba mogła ją go pozbawić – po czym wyjęła papier oraz długopis i napisała kolejny list do Pameli.

Oczywiście żaden z nich nigdy nie został wysłany. Ursula nie mogła mieć stuprocentowej pewności, że nikt niepowołany ich nie przeczyta. Takich rzeczy się po prostu *nie wiedziało* i to było okropne (o ileż bardziej okropne dla innych). Teraz żałowała, że jest upalny środek lata, a stojący w pokoju gościnnym kaflowy piec jest wygaszony i zimny, bo bezpieczniej byłoby spalić całą tę korespondencję. Bezpieczniej byłoby wcale nie pisać. Nikt już nie mógł swobodnie wyrażać swoich myśli. „Bo prawda prawdą jest po wieki wieków”²³. Z czego to było? Z *Miarki za miarkę*? A może prawda pozostawała uspiona aż „po wieki wieków”? Czekala ich cała *masa* rozliczeń, gdy tylko nadejdzie odpowiednia pora.

Chciała wrócić do domu. Chciała znów znaleźć się w Fox Corner. Zamierzała wyjechać stąd już w maju, ale wtedy zachorowała Frieda. Wszystko było zaplanowane, spakowane walizki czekały pod łóżkiem, gdzie zwykle i tak leżały puste, więc Jürgen nie miał powodu, żeby do nich zaglądać. Ursula kupiła bilety na pociąg i dalej, łączone, na statek oraz pociąg. Nikomu nic nie powiedziała, nawet Klarze. Nie chciała wyjmować paszportów – na szczęście po ich podróży do Anglii w trzydziestym piątym paszport Friedy nadal był ważny – z dużej szkatuły z kolców jeżozwierz, w której przechowywali wszystkie dokumenty. Dzień po dniu sprawdzała jednak, czy są na miejscu, aż pewnego razu, w przeddzień planowanego wyjazdu, oba paszporty zniknęły. W pierwszej chwili Ursula uznała, że musiała je przeoczyć. Przetrasnęła całą zawartość szkatuły: akty urodzenia i świadectwa zgonu, akty małżeństwa, polisy ubezpieczeniowe i gwarancje, testament Jürgena (ostatecznie był prawnikiem) i stosy różnych papierów. Było tam wszystko z wyjątkiem tego, co najważniejsze. Czując narastającą panikę, wyrzuciła całość na dywan i jeszcze raz wszystko przejrziała, oglądając każdy dokument z osobna. Ich paszporty zniknęły, został tylko paszport Jürgena. Zrozpaczona przeszukała szuflady w całym domu i każde pudło po butach, jakie tylko było w szafie, zajrzała nawet pod poduszki i materace. Ani śladu.

Kolację zjedli o zwykłej porze. Ursula nie mogła przełknąć ani kęsa. – Źle się czujesz? – spytał z troską Jürgen.

– Nie – odparła. Jej głos zabrzmiał piskliwie. Cóż innego mogła powiedzieć? On wiedział, to jasne, że wiedział.

– Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać na urlop. Na Sylt.

– Sylt?

– Sylt. Tam nie będą nam potrzebne paszporty – dodał. Czyżby zauważyła na jego twarzy uśmiech? Czy to w ogóle było możliwe? A potem Frieda zachorowała i wszystko inne przestało się liczyć.

– *Er kommt!* – wykrzyknęła nazajutrz Eva przy śniadaniu. Führer był w drodze.

– Kiedy tu będzie? Zaraz?

– Nie, dziś po południu.

– Jaka szkoda, że się z nim miniemy – rzekła Ursula. I dzięki Bogu, pomyślała. – Podziękuj mu w naszym imieniu, dobrze?

Do domu wróciły jednym ze stacjonujących w garażu hotelu Platterhof czarnych mercedesów. Za kierownicą siedział ten sam szofer, który przywiózł je do Berghofu.

Następnego dnia Niemcy napadły na Polskę.

Kwiecień 1945

Od miesięcy gnieździli się w piwnicy jak szczury. Gdy za dnia miasto bombardowali Brytyjczycy, a nocami Amerykanie, nie było innego wyjścia. Piwnica pod ich kamienicą przy Savignyplatz była wilgotnym i ohydny miejscem. Jedyne źródło światła stanowiła parafinowa lampka; zamiast wychodka musiało im wystarczyć jedno wiadro. Mimo to były tu lepsze warunki niż w jakimkolwiek miejskim bunkrze. Raz w ciągu dnia w pobliżu ogrodu zoologicznego zaskoczył ją z Friedą nalot, ukryły się więc we Flaktürmie – schronie w kształcie wieży przy dworcu Zoo. W środku tłoczyły się tysiące ludzi, a ilość świeżego powietrza mierzona była za pomocą płonącej świeczki (tak jakby byli kanarkami). Ktoś jej powiedział, że gdy świeczka zgaśnie, wszyscy będą musieli wyjść na zewnątrz, nawet jeśli nalot jeszcze się nie skończy. Niedaleko miejsca, gdzie stały, przyściśnięte do muru, jakaś para splotła się w uścisku (delikatne określenie na to, co faktycznie robili), a wychodząc ze schronu, musiały przejść ponad ciałem jakiegoś staruszka, który umarł w trakcie nalotu. Najgorszą rzeczą – gorszą nawet niż to – była świadomość, że olbrzymia betonowa cytadela oprócz schronu mieści także gigantyczną baterię dział przeciwlotniczych. Kilka z nich waliło bez przerwy na dachu, aż cały schron trząsał się od wystrzałów. To miejsce było najbliższe jej wyobrażeniom o piekło i Ursula pomyślała, że gorzej już być nie może.

Potężny wybuch zakłócił betonową konstrukcję; bomba musiała spaść gdzieś w pobliżu ogrodu zoologicznego. Ursula poczuła, jak fala uderzeniowa najpierw ją zasysa, a zaraz potem rozpiera jej ciało, i zdjął ją strach, że słabe płuca Friedy mogą tego nie wytrzymać i pęknąć. Po chwili wszystko się uspokoiło. Kilka osób wymiotowało, choć w zasadzie nie mieli miejsca, żeby wymiotować, jedynie na własne albo, co gorsza, cudze buty. Ursula poprzysięgła sobie, że jej noga już nigdy nie postanie w żadnym Flaktürmie. Stwierdziła, że woli szybko zginąć na ulicy razem z Friedą. Było to coś, o czym często ostatnio myślała. Szybka, łatwa śmierć z Friedą w ramionach.

Może gdzieś tam nad nimi jest teraz Teddy i zrzuca na nie bomby. Miała nadzieję, że tak, bo to by znaczyło, że nadal żyje. Pewnego dnia w ich mieszkaniu rozległo się pukanie do drzwi – to było jeszcze, kiedy mieli drzwi, zanim w listopadzie czterdziestego trzeciego Brytyjczycy rozpoczęli niekończące się bombardowania. Gdy Ursula je otworzyła, ujrzała na progu chudego chłopaka; mógł mieć jakieś piętnaście–szesnaście lat. Wyglądał na przerażonego, przyszło jej więc do głowy, że może szuka miejsca, aby się ukryć, on jednak wcisnął jej do ręki kopertę i umknął, z nim zdążyła odezwać się choćby jednym słowem.

Koperta była zmięta i czarna od brudu. Widniało na niej jej nazwisko oraz adres i Ursula wybuchnęła płaczem, rozpoznając pismo Pameli. W środku znajdowały się cienkie, błękitne kartki, noszące datę sprzed kilku tygodni i zawierające szczegółowy opis tego, co aktualnie działo się w ich rodzinie. Jimmy był w wojsku, a Sylvie toczyła własną szlachetną walkę na domowym froncie („Nowa broń – kurczaki!”). Pamela miała się dobrze i mieszkała w Fox Corner razem z czterema już chłopcami, jak pisała. Teddy walczył w RAF-ie i był dowódcą eskadry, odznaczonym Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym. Cudowny, długi list, a potem kartka, której treść brzmiała niemal jak postscriptum. „Smutną nowinę zostawiłam na sam koniec”. Hugh nie żył. „Oszczędź spokojnie jesienią 1940 roku, na zawał”. Ursula żałowała, że ten list trafił w jej ręce, żałowała, że nie może nadal myśleć o ojcu jak o kimś żyjącym, a o Teddym i Jimmym jak o cywilach, przeczekujących wojnę w jakiejś kopalni węgla albo w obronie cywilnej.

„Stale o Tobie myślę” – pisała Pamela. Żadnych oskarżeń, żadnego „a nie mówiłam”, żadnych pytań w rodzaju: „Dlaczego nie wróciłaś do domu, kiedy jeszcze mogłaś?”. Próbowała, oczywiście zbyt późno. Dzień po tym, jak Niemcy wypowiedziały wojnę Polsce, Ursula wybrała się do miasta, sumiennie wykonując te wszystkie czynności, które uznała za konieczne w obliczu nieuniknionej wojny. Zrobiła zapasy baterii, latarek oraz świec, zaopatrzyła się w żywność w puszkach

i materiał do zaciemnienia okien, w domu towarowym Wertheima zakupiła ubrania dla Friedy – o rozmiar i dwa większe, na wypadek gdyby wojna miała potrwać dłużej. Sobie niczego nie kupiła, obojętnie przechodząc obok wszystkich tych ciepłych płaszczy i zimowych butów, pończoch i porządnych sukienek – coś, czego obecnie gorzko żałowała.

W BBC wysłuchała przemówienia Chamberlaina – owych brzemiennych w skutki słów: „Od tej godziny znajdujemy się w stanie wojny z Niemcami” – i na kilka godzin zapadła w stan dziwnego odrętwienia. Próbowała dodzwonić się do Pameli, lecz wszystkie linie były zajęte. Dopiero pod wieczór (Jürgen cały dzień spędził w ministerstwie) niespodziewanie ożyła, jak przebudzona ze snu Królewna Śnieżka. Muszą natychmiast stąd wyjechać, muszą wrócić do Anglii, z paszportem czy bez niego. Pospiesznie spakowała walizki i wraz z Friedą pognały do tramwaju jadącego na dworzec. Jeśli tylko zdołają wsiąść do pociągu, wszystko się jakoś ułoży. Od urzędnika na stacji usłyszała, że nie będzie żadnych pociągów. Granice zostały zamknięte. – Mamy wojnę, nie słyszała pani? – dodał.

Pobiegła więc do ambasady brytyjskiej na Wilhelmstrasse, ciągnąc za sobą za rękę biedną Friedę. Były co prawda obywatelkami Niemiec, zamierzała jednak zdać się na łaskę personelu ambasady, już oni z pewnością będą w stanie coś zrobić, ostatecznie nadal była Angielką. Kiedy dotarli na miejsce, zapadał zmierzch, bramy były zamknięte na kłódki, a cały budynek tonął w mroku. – Wyjechali – poinformował ją jakiś przechodzień – spóźniła się pani.

– Jak to wyjechali? Dokąd?

– Z powrotem do Anglii.

Musiała zakryć sobie dłonią usta, żeby zdusić wzbierający jej w gardle krzyk rozpacz. Jak mogła być taka głupia? Jak mogła nie przewidzieć, co się wydarzy? „Głupiec zbyt późno się trwoży, gdy niebezpieczeństwo już dawno minęło” – powiedziała przy innej okazji Elżbieta I.

Po liście od Pameli przeplakała całe dwa dni. Jürgen okazał jej wiele współczucia, przyniósł nawet prawdziwą kawę, a ona nie spytała, w jaki sposób ją zdobył. Jednak filizanka kawy (jakkolwiek cud sam w sobie) nie mogła ukoić bólu, jaki czuła, myśląc o ojcu, o Friedzie i o sobie samej. O wszystkich. Jürgen zginął w czterdziestym czwartym podczas amerykańskiego nalotu. Ursulę ogarniał wstyd na myśl o tym, z jak wielką ulgą przyjęła wiadomość o jego śmierci, zwłaszcza że Frieda była po prostu zrozpaczona. Kochała ojca, a on kochał ją, i był to jedyny okrucieństwo dobra, jaki Ursula wyniosła z tego nieszczęsnego małżeństwa.

A teraz Frieda znów była chora. Jej twarz miała te same ściągnięte rysy i chorobliwą bladeść, jakie widywało się ostatnio u większości ludzi na ulicy, a w płucach zalegała flegma, powodująca niekończące się napady paskudnego kaszlu. Gdy Ursula przykładła ucho do piersi córki, miała wrażenie, że słyszy trzeszczenie potężnego galeonu na wzburzonym morzu. Gdyby tylko mogła posadzić ją przy buzującym kominku, dać jej do picia gorące kakao, nakarmić gulaszem wołowym z kluseczkami i marchewką! Ciekawe, czy na „Górze” nadal tak dobrze jadają? I czy ktośkolwiek tam jeszcze jest?

Wysoko nad ich głowami kamienica wciąż się trzymała, choć bomba zburzyła całą przednią ścianę. Mimo to nadal wyprawiały się na górę w poszukiwaniu różnych przydatnych drobiazgów. Budynek nie został rozszabrowany tylko dlatego, że wspinaczka po zawałonych gruzem schodach przedstawiała trudność niemal nie do pokonania. Za pomocą szmat Ursula przywiązywała sobie i Friedzie do kolan kawałki poduszek, wkładała grube skórzane rękawice, należące niegdyś do Jürgena, i tak przygotowane przedzierały się przez stosy kamieni i cegieł na podobieństwo dwóch pokracznych małp.

Jedyną rzeczą, której nie mogły znaleźć w mieszkaniu, a zarazem tą, której najbardziej im brakowało, była żywność. Dzień wcześniej Ursula przez trzy godziny stała w kolejce po bochenek chleba. Gdy go wreszcie zjadły, odniosła wrażenie, że nie zawierał ani grama mąki, choć trudno byłoby dokładnie określić jego skład: pył cementowy? A może gips? Przynajmniej tak smakował. Przypomniała jej się piekarnia Rogersona w ich rodzinnej wiosce – to, jak aromat świeżego pieczywa czuło się aż na ulicy i jak na wystawie piętrzyły się zgrabnie wyrośnięte, białe bochenki z połyskującą, brązową skórką. Albo kuchnia w Fox Corner z czasów, gdy urzędowała w niej jeszcze pani Glover, i wypiekane przez nią na polecenie Sylvie ciemnobrązowe, „zdrowotne” bochny,

ale także biszkopty, tarty i słodkie bułeczki. Wyobraziła sobie, że wkłada do ust kromkę jeszcze ciepłego ciemnego chleba, suto posmarowanego masłem, z dżemem z zebranych w Fox Corner malin i czerwonych porzeczek. (Bez przerwy dręczyła się, wspominając jedzenie). Od kogoś ze stojących w kolejce po chleb usłyszała, że skończyły się zapasy mleka.

Tego ranka Fräulein Farber i jej siostra, Frau Meyer, dawniej zajmujące mieszkanie na poddaszu, a teraz rzadko opuszczające piwnicę, dały jej dla Friedy dwa ziemniaki i kawałek gotowanej kielbasy. *Aus Anstand*, jak powiedziały – z przyzwoitości. Herr Richter, lokator tej samej piwnicy, wyjawiał Ursuli, że siostry postanowiły przestać jeść. (Łatwa rzecz, kiedy nie ma się nic do jedzenia, pomyślała Ursula). Podobno obie miały już dość. Nie chciały czekać na to, co się wydarzy, gdy do miasta wejdą Rosjanie.

Wcześniej słyszeli pogłoski mówiące, że na Wschodzie ludzie jedli z głodu trawę. Co za szczęściarze, stwierdziła Ursula; w Berlinie nie było trawy, jedynie poczerniałe szkielety budowli tego niegdyś dumnego i pięknego miasta. Czy Londyn też tak wyglądał? Wydawało się to mało prawdopodobne, ale możliwe. Speer doczekał się swoich szlachtetnych ruin, tysiąc lat przed czasem.

Wczorajszy niejadalny chleb i dwa na wpół surowe ziemniaki z przedwczoraj – to wszystko, co sama miała w żołądku. Resztę jedzenia – jakkolwiek nędzne to były kąski – oddała Friedzie. Tylko co dobrego przyjdzie małej z tego, że jej matka umrze z głodu? Nie mogła jej przecież zostawić samej w tym koszmarze.

Po tamtym brytyjskim nalocie na okolice ogrodu zoologicznego wybrały się do niego, aby sprawdzić, czy nie znajdują jakichś martwych zwierząt, nadających się do jedzenia. Niestety, mnóstwo ludzi dotarło tam przed nimi. (Czy *coś podobnego* mogłoby mieć miejsce w jej własnym kraju? Londyńczycy buszujący po zoo w Regent's Park – właściwie czemu nie?).

Nadal od czasu do czasu widywały na ulicach jakiegoś ptaka, który ewidentnie nie pochodził z Berlina i jakimś cudem zdołał uniknąć rzezi, a raz natknęły się na przestraszone, sparszywiałe stworzenie, które w pierwszej chwili wzięły za psa, a dopiero później odkryły, że mają do czynienia z wilkiem. Frieda wpadła na pomysł, że powinny wziąć go ze sobą do piwnicy i spróbować oswoić. Ursula nie była sobie nawet w stanie wyobrazić reakcji ich wiekowej sąsiadki, Frau Jaeger, na widok takiego pupila.

Ich dawne mieszkanie przypominało teraz domek dla lalek – otwarte na świat, najbardziej osobiste przedmioty codziennego użytku wystawione na widok publiczny: łóżka i kanapy, obrazy na ścianach, nawet jeden czy drugi bibelot, który jakimś cudem przetrwał bombardowanie. Już wcześniej zabrały stamtąd wszystko, co naprawdę mogło im się przydać, lecz wciąż zostało trochę ubrań i książek, a raptem dzień wcześniej Ursula znalazła spory zapas świec, ukrytych pod stertą pobitych naczyń. Miała nadzieję, że uda jej się wymienić na lekarstwa dla Friedy. W łazience nadal działała toaleta, a od czasu do czasu, Bóg wie jakim cudem, z kranów leciała bieżąca woda. Jedna z nich stawiała wówczas z rozpostartym starym prześcieradłem, żeby druga mogła zachować pozory prywatności. Tylko czy takie rzeczy jak prywatność i skromność miały jeszcze jakiegokolwiek znaczenie?

Ostatecznie Ursula postanowiła wprowadzić się z powrotem na górę. Co prawda w mieszkaniu było zimno, ale przynajmniej powietrze nie cuchnęło tam fekaliami, a ona uznała, że, ogólnie rzecz biorąc, tak będzie zdrowiej dla Friedy. Miały przecież koce i kołdry, którymi mogły się otulić, dzieląc na podłodze wspólny materac ukryty za barykadą wzniesioną ze stołu oraz krzesel. Myśli Ursuli uporczywie wracały do posiłków, jakie jadali przy tym stole, a jej sny pełne były obrazów mięsa, soczystych kawałków grillowanej, pieczonej i smażonej wieprzowiny oraz wołowiny.

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze, co w połączeniu z częściowo zabarykadowaną klatką schodową mogło się okazać wystarczające, aby zniechęcić Rosjan. Z drugiej strony mogło być i tak, że ktoś potraktuje je jak zabawki na wystawie, widoczne gołym okiem w tym ich domku dla lalek. Kobieta i dziewczynka, obie gotowe do schrupania. Frieda miała wkrótce skończyć jedenaście lat, ale jeśli choć ułamek docierających ze Wschodu wieści był prawdziwy, jej młody wiek nie ocaliłby jej przed Rosjanami. Frau Jaeger stale zasypywała je nerwowymi opowieściami o tym, jak to w drodze do Berlina Sowietci gwałcą i mordują cywilów. Radio nie nadawało, pozostawały więc niesprawdzone pogłoski i sporadyczna lektura cieniutkiej gazety. Z ust

Frau Jaeger prawie nie schodziła nazwa nieszczęsnej wsi Nemmersdorf („Co za masakra!”). – Och, zamknijże się wreszcie – uciszyła ją ostatnio Ursula. Po angielsku, a więc, rzecz jasna, sąsiadka nie rozumiała ani słowa, choć oczywiście musiała zwrócić uwagę na niezyczliwy ton wypowiedzi. Frau Jaeger była wyraźnie wzburzona, słysząc język wroga. Ursuli zrobiło się przykro; ostatecznie to tylko przestraszona staruszka, upomniała się w duchu.

Z każdym dniem Wschód był coraz bliżej nich. Front zachodni już dawno przestał kogokolwiek interesować; teraz liczył się wyłącznie front wschodni. Zamiast odległych grzmotów dział słyszało się teraz ich nieprzerwany ryk. Nikt nie mógł ich już uratować. Osiemdziesiąt tysięcy niemieckich obrońców nie miało żadnych szans w starciu z półtoramilionową armią sowiecką, przy czym większość tych pierwszych zdawali się stanowić wyrostki i starcy. Niewykluczone, że biedna, stara Frau Jaeger także zostanie powołana, żeby odpierać ataki wroga kijem od miotły. Było kwestią dni, może nawet godzin, kiedy zobaczą pierwszego Rosjanina.

Chodziły też słuchy, że Hitler umarł. – Rychło w czas – mruknął Herr Richter. Ursuli przypomniało się, jak spał na swoim leżaku na słonecznym tarasie Berghofu. Ten nędzny aktor zszedł w końcu ze sceny, odegrał na niej swoją rolę. I cóż takiego osiągnął? Współczesny Armageddon. Sprowadził zagładę na połowę Europy.

W zasadzie to tym „nędznym aktorem” było u Szekspira samo życie, poprawiła się zaraz. „Życie jest tylko przechodnim półcieniem, nędznym aktorem, który swoją rolę przez parę godzin wygrawszy na scenie, w nicość przepada”²⁴. A teraz wszyscy w Berlinie byli takimi chodzącymi cieniami. Życie, niegdyś tak cenne i ważne, stało się najtańszym z towarów. Ursula wspomniała przelotnie Evę, zawsze tak nonszalancko odnoszącą się do idei samobójstwa – czy postanowiła towarzyszyć swojemu Wodzowi w drodze do piekła?

Frieda miała się coraz gorzej, wstrząsana dreszczami, gorączkująca i niemal bez przerwy uskarżająca się na ból głowy. Gdyby nie była tak chora, mogłyby włączyć się w exodus ludzi zmierzających na Zachód, byle dalej od Rosjan, jednak w obecnym stanie z pewnością nie przeżyłaby tej wędrówki.

– Mam już dosyć, mamusiu – wyszeptwała; w jej słowach makabrycznym echem powróciła desperacja sąsiadek z poddasza.

Ursula zostawiła ją samą i pobiegła do apteki, z trudem przedzierając się przez zaśmiełające ulice zwały gruzu. Tu i ówdzie widziała leżące trupy, ale widok zmarłych był jej już obojętny. Gdy kanonada dział zdawała się przybliżać, kryła się po bramach, a potem pędziła dalej, do następnego skrzyżowania. Apteka była otwarta, lecz aptekarz nie mógł jej zaoferować żadnych lekarstw. Nie chciał nawet jej bezcennych świec ani pieniędzy. Ursula wróciła pokonana.

Przez cały ten czas, gdy była z dala od córki, zamartwiała się, że pod jej nieobecność Friedzie coś się stanie. Poprzysięgła sobie, że już nigdy nie zostawi jej samej. W odległości dwóch przecznic dostrzegła rosyjski czołg. Skoro ten widok tak bardzo ją przeraził, o ileż bardziej przestraszyłaby się go Frieda? Ostrzał artyleryjski nie cichł nawet na chwilę. Opanowała ją szalona myśl, że oto nadchodzi koniec świata. Jeśli rzeczywiście tak było, Frieda powinna umrzeć w jej ramionach, nigdy samotnie. A kto ją utuli przed śmiercią? Ursula zatęskniła za poczuciem bezpieczeństwa, jakie zawsze dawał jej ojciec, i na myśl o Hugh popłynęły jej z oczu łzy.

Zanim ponownie wdrapała się do mieszkania po zawalonych gruzem schodach, była skrajnie wyczerpana, wprost ledwie żywa. Frieda majaczyła, raz za razem tracąc świadomość. Ursula położyła się obok niej na ułożonym na podłodze materacu. Głaszcząc wilgotne włosy córki, przemawiała do niej szeptem. Opowiadała jej o całkiem innym świecie, o dzwonekch rozkwitających wiosną w lesie niedaleko Fox Corner, o kwiatach porastających łąkę za zagajnikiem – Inie i ostróżkach, jaskrach, makach, lepnicy czerwonej i złocieniach. Mówiła, jak pachnie świeżo skoszona trawa w angielskim ogrodzie, opisywała aromat róż Sylvie i słodko-kwaśny smak jabłek w ich sadzie. Opowiadała o dębach przy wiejskiej drodze, o cmentarnych cisach oraz wielkim buku rosnącym w ogrodzie w Fox Corner. Mówiła jej o lisach, królikach, bażantach, zajęcach, krowach i zwalistych koniach pociągowych. O słońcu, wielkodusznie opromieniającym pola kukurydzy i zielonych zbóż. O melodyjnych trelach kosa, lirycznych pieśniach skowronka, łagodnym gruchaniu leśnych gołębi i sowim pohukiwaniu pośród nocy. – Połknij to – poprosiła, wkładając

Friedzie do ust tabletkę. – Dostałam w aptece, pomoże ci zasnąć.

Powiedziała Friedzie, że byłaby gotowa do końca życia chodzić po rozżarzonych węglach, gdyby to miało ją ochronić, spłonąć w ogniu piekielnym, byle ją tylko ratować, utonąć w najgłębszej głębinie, gdyby dzięki temu jej córeczka mogła utrzymać się na powierzchni i wreszcie zrobić dla niej tę jedną, ostatnią rzecz, najtrudniejszą ze wszystkich.

Potem kołysała ją w ramionach, całowała i szeptała do ucha. Opowiadała jej o Teddym, kiedy był jeszcze mały, o jego urodzinowym przyjęciu niespodziance, o tym, jak mądra była Pamela, jaki irytujący Maurice i jaki zabawny Jimmy, zwłaszcza jako dziecko. Jak w holu tykał zegar, a wiatr stukał w kominach i jak w wigilię Bożego Narodzenia rozpalali w kominku buzujący ogień, wieszali przy gzymsie skarpety, a nazajutrz jedli pieczoną gęś oraz pudding śliwkowy. Obiecywała, że za rok zrobią to samo, całą rodziną. – Odtąd już wszystko będzie dobrze – dodała.

Upewniwszy się, że Frieda zasnęła, wyjęła małą, szklaną kapsułkę, którą dostała od aptekarza, ostrożnie wsunęła ją córce do ust i zacisnęła jej delikatne szczęki. Kapsułka pękła z cichym chrzęstem. Gdy rozgryzała swoją kapsułkę, przyszedł jej do głowy fragment jednego z *Sonetów świętych* Donne'a. „Pędzę w śmierć i śmierć ku mnie równym pędem bieży, a rozkosze wczorajsze są dzisiejsze znoje”²⁵. Mocno przytuliła Friedę. Wkrótce obie je otuliły aksamitne skrzydła czarnego nietoperza i uleciało z nich życie, tak bardzo już nierealne.

Nigdy dotąd nie wybrała świadomie śmierci i odchodząc, czuła, że gdzieś pojawiła się rysa, coś pękło, a porządek rzeczy uległ zmianie. Ale już po chwili ciemność zatarła wszelką myśl.

Długa, ciężka wojna

Wrzesień 1940

– „Patrzcie, o patrzcie, krew Chrystusa płynie przez firmament!”²⁶ – powiedział jakiś głos w jej pobliżu. „Po firmamencie”, pomyślała Ursula, a nie „przez firmament”. Czerwona poświata fałszywego świtu zwiastowała olbrzymi pożar gdzieś na wschodzie. Stanowisko artylerii w Hyde Parku płuło ogniem, a znajdujące się nieco bliżej działka obrony przeciwlotniczej w znaczący sposób dokładały się do ogólnej kakofonii. Pociski ze świstem rozpruwały niebo niczym fajerwerki, a wybuchając wysoko w górze, robiły piekielny hałas: *trach, trach, trach*. A w tle tego wszystkiego słychać było okropny, monotonicznie pulsujący i nakładający się na siebie jęk wielu silników samolotowych. Na sam ten dźwięk ścisnęła ją w żołądku.

Umocowana do spadochronu mina opadła z gracją na to, co jeszcze pozostało z ulicy, a z zasobnika z grzechotem posypały się ładunki zapalające. W kilku miejscach wystrzeliły w górę płomienie. Jeden ze strażników – Ursula nie widziała wyraźnie jego twarzy – ruszył w kierunku buchającego ognia z ręczną pompą gaśniczą. Gdyby nie hałas, ów nocny pejzaż mógłby się nawet wydawać piękny, ale hałas *był* i tworzył brutalny dysonans; brzmiało to tak, jakby ktoś otworzył na oścież bramy piekieł, przez które dało się słyszeć wycie potępionych.

– „Przecież tu jest piekło. Ja z niego wcale nie wyszedłem” – przemówił znowu ten sam głos, jakby czytając w jej myślach. Z powodu panujących ciemności nie widziała twarzy mówiącego, nie miała jednak żadnych wątpliwości, że głos należy do pana Durkina, jednego ze strażników pełniących z nią dyżur na posterunku. Był on emerytowanym nauczycielem angielskiego z wielkim zamiłowaniem do cytatów, nie zawsze dokładnych. Głos – a właściwie pan Durkin – dodał coś jeszcze, może nawet był to jeszcze jeden cytat z *Tragicznej historii doktora Fausta*, lecz jego słowa utonęły w potężnym huku bomby, która spadła na sąsiednią ulicę.

Ziemia zatrzęsała się i inny głos, należący do kogoś pracującego na szczycie gruzowiska, zawołał: – Uwaga! – Ursula usłyszała odgłos, jakby coś się osunęło, jakby okruchy skalne z grzechotem toczyły się w dół po zboczu, zwiastując nadejście lawiny. Oczywiście był to gruz, a nie skały. A oni znajdowali się na gruzowisku, a nie na stoku góry. Otaczające ich zwały gruzu były pozostałością budynku, a raczej kilku budynków, które zawały się, mieszając ze sobą ich fragmenty. Ten gruz jeszcze pół godziny temu był kamienicami, które teraz zmieniły się w piekielną górę cegieł, połamanych belek i desek podłogowych, mebli, obrazów, dywanów, pościeli, książek, potłuczonych naczyń, kawałków linoleum i szkła. Oraz ludzkich ciał. Pogruchootanych istnień, które już nigdy nie miały połączyć się na powrót w jedną całość.

Osuwisko z wolna się uspokajało; potok gruzu zmienił się w strumyczek, by wreszcie całkiem wyschnąć. Uniknęli lawiny i ten sam głos co wcześniej krzyknął: – W porządku! Można dalej kopać! – Noc była bezksiężycowa, jedyne źródło światła stanowiły częściowo osłonięte latarki ekipy ratunkowej, upiorne błędne ogniki płasające po gruzowisku. Inną przyczyną zdradliwych, iście egipskich ciemności była gruba chmura pyłu i dymu, zalegająca w powietrzu niczym jakieś plugawe babie lato. Smród jak zwykle był nie do wytrzymania. Nie chodziło jedynie o zapach gazu koksowniczego i ładunków wybuchowych, lecz o charakterystyczny odór roztrzaskanego na kawałki budynku. Ta woń stale jej towarzyszyła. Już wcześniej Ursula obwiązała sobie usta i nos starą jedwabną chustką, jak bandyta z Dzikiego Zachodu, lecz niewiele jej to pomogło; pył i smród wciąż dostawały się do jej płuc. Przez cały czas czuła na sobie śmierć i rozkład – miała je na skórze, we włosach, w nozdrzach, płucach i pod paznokciami. Stały się częścią niej samej.

Dopiero niedawno dostali z przydziału stroje robocze, granatowe i wyjątkowo nietwarzowe. Do tej pory Ursula wkładała jednoczęściowy kombinezon do schronu, kupiony właściwie jako ciekawostka przez Sylvie w domu towarowym Simpsona tuż po wypowiedzeniu wojny. Nosila do niego stary skórzany pasek Hugh, do którego przyczepiała swoje „narzędzia pracy”: latarkę, maskę ga-

zową, apteczkę oraz notes. W jednej kieszeni trzymała scyzoryk i chustkę do nosa, w drugiej parę grubych skórzanych rękawic oraz szminek. – Och, jaki świetny pomysł – pochwaliła ją panna Woolf na widok scyzoryka. Nie oszukujmy się, pomyślała Ursula, pomimo całej masy różnych przepisów bardzo często musiały improwizować.

Pan Durkin, bo w istocie był to on, wyłonił się wreszcie z mroku i gęstego dymu. Skierował latarkę na swój notes, lecz żarówka była za słaba, żeby dobrze oświetlić kartkę. – Wielu ludzi mieszka przy tej ulicy – powiedział, wpatrując się z wysiłkiem w długą listę nazwisk i adresów, która nijak się miała do panującego wokół chaosu. – Pod jedynką Wilsonowie – dodał, jakby zachowanie właściwej kolejności miało im w czymkolwiek pomóc.

– Nie ma już jedynki – odparła na to Ursula. – Ani żadnego innego numeru. – Ulica zmieniła się nie do poznania, wszystkie znajome szczegóły zostały unicestwione. Nawet w świetle dnia trudno byłoby cokolwiek rozpoznać. Zresztą nie była to już ulica, tylko po prostu „gruzowisko”. Wysokie na sześć metrów, może nawet więcej, obstawione po bokach rusztowaniami i drabinami, żeby ratownicy mieli się jak na nie wdrapywać. Było coś prymitywnego w tym ludzkim łańcuchu, jaki tutaj stworzyli, podając sobie z rąk do rąk kosze pełne gruzu, poczynając od szczytu gruzowiska aż na sam dół. Równie dobrze mogliby być niewolnikami stawiającymi piramidy – albo, jak w tym przypadku, odkopującymi je. Ursuli przypomniały się wielkie południowoamerykańskie mrówki, które widziała w ogrodzie zoologicznym w Regent’s Park – każda posłusznie dźwigająca swój mały ciężar. Czy ewakuowano je razem z innymi zwierzętami, czy po prostu wypuszczono na wolność w parku? Jako owady tropikalne miały niewielkie szanse na przetrwanie w tym surowym klimacie. Latem trzydziestego ósmego oglądała w Regent’s Park Millie w plenerowym przedstawieniu *Snu nocy letniej*.

– Panno Todd?

– Tak, panie Durkin, przepraszam. Zamyśliłam się. – Ostatnio często jej się to zdarzało: w samym środku koszmaru przyłapywała się na tym, że wraca myślami do przyjemnych wydarzeń z przeszłości. Drobne rozbłyski światła we wszechobecnym mroku.

Znużeni ruszyli w stronę gruzowiska. Pan Durkin podał jej spis lokatorów zamieszkałych przy tej ulicy i dołączył do szeregu osób podających sobie kosze. Gruzowisko nie było przekopywane; zamiast tego odrzucali gruz rękoma, ostrożnie, jak ekipa archeologów. – Tam w górze jest trochę niepewnie – zwrócił jej uwagę jeden z pracujących na dole ratowników. Oczyszczono już szyb prowadzący w głąb rumowiska (w takim razie to raczej wulkan, a nie rumowisko, pomyślała Ursula). Wielu mężczyzn spośród ratowników pracowało wcześniej na budowach – byli murarzami, robotnikami budowlanymi i tak dalej. Ursula była ciekawa, czy nie czują się dziwnie, wdrapując się na te ruiny, zupełnie jakby jakimś dziwnym zrzędzeniem losu cofnęli się w czasie. Chociaż z drugiej strony byli ludźmi pragmatycznymi i zaradnymi, którzy z pewnością nie oddawali się podobnym fantastycznym rozmyśleniom.

Od czasu do czasu jakiś głos wołał, prosząc o całkowitą ciszę – co było niemożliwe przy wciąż trwającym nalocie – niemniej jednak wszystko na moment zamierało, podczas gdy pracujący na szczycie gruzowiska nasłuchiwali jakichkolwiek dobiegających ze środka oznak życia. Wyglądało to dość beznadziejnie, lecz jeżeli *Blitz* czegokolwiek ich nauczył, to tego, że ludzie potrafią przeżyć (i zginąć) w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach.

Ursula wypatrywała w mroku przyćmionych, błękitnych świateł, oznaczających stanowisko oficera dyżurnego, zamiast nich dostrzegła wszakże pannę Woolf, która brnęła ku niej niezamordowanie, potykając się o rozrzucone cegły. – Kiepsko to wygląda – oznajmiła rzeczowo, gdy znalazła się obok niej. – Potrzebują kogoś smukłego.

– Smukłego? – powtórzyła Ursula. Nie wiedzieć czemu to dobrze znane słowo wydało jej się nagle całkiem niezrozumiałe.

Do straży przeciwlotniczej wstąpiła po zajęciu Czechosłowacji w marcu trzydziestego dziewiątego roku, gdy nagle stało się dla niej jasne, że Europę czeka zagłada. („Ależ z ciebie ponura Kasandra” – stwierdziła Sylvie, lecz Ursula pracowała w Departamencie Obrony Przeciwlotniczej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i potrafiła przewidzieć, co się wydarzy). Podczas pierwszej, przejściowej fazy tej dziwnej wojny strażnicy byli czymś w rodzaju pośmiewiska, teraz jednak stali

się „podstawą obronności Londynu”, jak mawiał Maurice.

Pozostali członkowie jej zespołu stanowili bardzo różnorodne towarzystwo. Panna Woolf, emerytowana przełożona pielęgniarek w szpitalu, była najstarsza rangą. Chuda i prosta jak pogrzbacz, ze stalowosiwymi włosami upiętymi w schludny koczek, roztaczała wokół siebie naturalną aurę władzy. Następnie jej zastępca, wspomniany już pan Durkin, pan Simms, zatrudniony w Ministerstwie Zaopatrzenia, oraz pan Palmer, który był kierownikiem banku. Ci dwaj ostatni walczyli w poprzedniej wojnie i byli już za starzy na kolejną (pan Durkin miał dodatkowo „medyczne przeciwwskazania”, co podkreślał obronnym tonem). Był też śpiewak operowy, pan Armitage, który – jako że nie było już oper, w których mógłby występować – zabawiał ich wykonaniami *La donna è mobile* oraz *Largo al factotum*. – Tylko popularne arie – zwierzył się kiedyś Ursuli. – Większość ludzi nie trawi niczego ambitniejszego.

– Ja tam codziennie mógłbym słuchać Ala Bowlly’ego – oświadczył pan Bullock. Noszący całkiem stosowne imię John, jak ten katolicki biskup z piętnastowiecznej Szkocji, pan Bullock był zdaniem panny Woolf „nieco podejrzaną figurą”. Jego rosła sylwetka zdecydowanie przykuwała uwagę – pan Bullock zawodowo uprawiał zapasy i podnosił ciężary w lokalnym klubie sportowym, będąc przy tym stałym bywalcem kilku mniej porządných przybytków. Był także bliżej zaznajomiony z paroma olśniewającymi „tancerkami”. Jedna czy dwie z nich odważyły się „wpaść” do niego do schronu i zostały natychmiast przegnane jak kury przez wzburzoną pannę Woolf. („Tancerki, akurat” – mruzczała niezadowolona).

Ostatni na liście, lecz nie mniej ważny od innych, był Herr Zimmerman („Mówcie mi Gabi” – prosił, ale nikt go tak nie nazywał), skrzypek z berlińskiej orkiestry, „nasz uciekinier”, jak o nim mówili (Sylvie miała swoich ewakuowanych chłopców, podobnie definiowanych przez swe pochodzenie). W trzydziestym piątym, będąc na tournée z orkiestrą, zdecydował się „dać nogę”. Panna Woolf, która poznała go przez Komitet do spraw Uchodźców, zrobiła wszystko, co w jej mocy, aby Herr Zimmerman i jego skrzypce nie zostali internowani lub, co gorsza, wysłani statkiem na wrogie wody Atlantyku. Za przykładem panny Woolf wszyscy pozostali również zwracali się do niego zawsze: *Herr*, a nie „pan”. Ursula wiedziała, że panna Woolf miała dobre zamiary; chciała w ten sposób dać mu do zrozumienia, że może się u nich czuć jak w domu, a tymczasem udało jej się jedynie sprawić, że stał się jeszcze bardziej obcy.

Panna Woolf natknęła się na Herr Zimmermana dzięki swemu zaangażowaniu w pracę Centralnej Brytyjskiej Fundacji na rzecz Pomocy Niemieckim Żydom („Obawiam się, że nazwa jest nieco przydługa”). Ursula nie była pewna, czy panna Woolf jest tam kimś ważnym, czy najzwyczajniej w świecie nie jest w stanie zaakceptować odmowy. Może i jedno, i drugie.

– Kulturalne z nas towarzystwo, co? – stwierdził kiedyś pan Bullock z wyraźnym sarkazmem. – Może zamiast toczyć wojnę, powinniśmy występować w rewii? – („Pan Bullock jest bardzo emocjonalną osobą” – szepnęła Ursuli panna Woolf. I bardzo lubiącą alkohol, pomyślała Ursula. Ogólnie rzecz biorąc, pan Bullock w niczym nie znał umiaru).

Niewielka sala, należąca wcześniej do metodystów, została zaanektowana przez pannę Woolf (również metodystkę) i przekształcona w ich wojenną kwaterę. Na jej umeblowanie składało się kilka polowych łóżek, mały piecyk, czajnik do parzenia herbaty oraz zbieranina krzesel, zarówno twardych, jak i tapicerowanych. W porównaniu z innymi, a w zasadzie z większością kwater, ta była naprawdę luksusowa.

Pewnej nocy pan Bullock przytargał stół do gry w karty pokryty zielonym sukniem i panna Woolf oznajmiła, że wprost przepada za brydżem. Pan Bullock natomiast, w spokojnym okresie między kapitulacją Francji a pierwszymi nalotami na początku września, nauczył całe towarzystwo gry w pokera. – Istny z niego szuler – zauważył pan Simms. Wspólnie z panem Palmerem zostali ograni przez pana Bullocka na ładnych parę szylingów. Panna Woolf dla odmiany z początkiem bombardowań była dwa funty do przodu. Bardzo tym rozbawiony pan Bullock głośno wyraził swoje zaskoczenie faktem, iż metodystom wolno uprawiać hazard. Jako że cała jej wygrana poszła na zakup tarczy do gry w strzałki, panna Woolf stwierdziła, że pan Bullock nie powinien narzekać. Pewnego dnia, uprzątając stos kartonów w kącie sali, odsłonili ukryte za nimi pianino, a panna Woolf – która najwyraźniej była kobietą o wielu talentach – okazała się całkiem uzdolnioną pianistką.

Choć osobiście było jej bliżej do Chopina i Liszta, nie miała nic przeciwko temu, żeby – według słów pana Bullocka – „pieprznąć jakąś melodyjkę”, do której wszyscy mogli coś zaśpiewać.

Umocnili swoją kwaterę workami z piaskiem, choć żadne z nich nie wierzyło, że w przypadku trafienia na cokolwiek im się to przyda. Z wyjątkiem Ursuli, która uważała, iż rzeczą rozsądną jest się zabezpieczyć, pozostali zgadzali się raczej z panem Bullockiem, twierdzącym, że „jeśli bomba ma na sobie twoje nazwisko, to nic ci nie pomoże”, co było pewnego rodzaju deklaracją buddyjskiej obojętności wobec świata, którą z pewnością pochwaliby sam doktor Kellet. Latem „Times” zamieścił jego nekrolog. Ursula właściwie była rada, że doktor Kellet nie dożył kolejnej wojny. Bolesnie by mu przypominała, że jego syn Guy na próżno oddał życie pod Arras.

Wszyscy w ich zespole byli dyżurującymi dorywczo ochotnikami, poza panną Woolf, która otrzymywała zapłatę za pełnoetatową pracę i traktowała swe obowiązki z ogromną powagą. Poddała ich rygorystycznym musztrum i pilnowała, żeby nie opuszczali szkoleń z postępowania podczas ataku gazowego, gaszenia ładunków zapalających, wchodzenia do płonących budynków, ładowania noszy, unieruchamiania i bandażowania kończyn. Odpytywała ich z treści instrukcji, które kazała im czytać, i stanowczo nalegała, aby uczyli się sposobów oznaczania ciał, zarówno żywych, jak i martwych, aby, odpowiednio opisane niczym paczki, mogły bezbłędnie trafić do szpitala czy do kostnicy. Kilka razy ćwiczyli też na zewnątrz, odgrywając swoje role podczas symulowanego ataku z powietrza. („Co za przedstawienie” – prychnął z pogardą pan Bullock, któremu najwyraźniej nie udzielił się duch walki). Ursula dwukrotnie wcielała się w rolę ofiary: raz udawała, że ma złamaną rękę, a drugi raz odgrywała całkowitą utratę przytomności. Kiedy indziej znalazła się „po drugiej stronie barykady” i jako strażnik musiała udzielić pomocy panu Armitage’owi, symulującemu atak hysterii. Podejrzewała, że irytująco przekonujący występ zawdzięczał swojemu scenicznemu doświadczeniu. Pod koniec szkolenia z niemałym trudem nakłonili go do wyjścia z roli.

Jako strażnicy musieli znać lokatorów wszystkich budynków w swoim sektorze i wiedzieć, czy korzystają oni z własnego schronu, czy z publicznego, czy też może są takimi fatalistami, że wcale nie szukają schronienia podczas nalotów. Musieli wiedzieć o każdym, kto wyjechał albo się wyprowadził, ożenił się, wyszedł za mąż, urodził dziecko albo umarł. Musieli znać położenie każdego hydrantu, wszystkich ślepych zaułków, wąskich bocznych uliczek i przytulisk dla ofiar bombardowań.

„Patrolować i strzec” – tak brzmiało motto panny Woolf. Więc patrolowali ulice dwójkami aż do północy, gdy wszystko zwykle się uspokajało, a potem, jeśli w ich sektorze nie było akurat bombardowania, uprzejmie spierali się o to, kto z nich zajmie połowę łóżka. Rzecz jasna, gdy bomby spadały na „ich ulice”, z ust panny Woolf padała komenda: – Wszystkie ręce na pokład. – Czasami zdarzało im się „pełnić straż” w jej mieszkaniu, które znajdowało się na drugim piętrze i miało duże narożne okno, skąd był doskonały widok na całą okolicę.

Panna Woolf robiła im także dodatkowe ćwiczenia z pierwszej pomocy. Oprócz tego, że była przełożoną pielęgniarek w szpitalu, podczas ostatniej wojny prowadziła również szpital polowy i nie omieszkała im przypomnieć („O czym zapewne dobrze wiedzą ci spośród panów, którzy pełnili czynną służbę w tamtych burzliwych czasach”), że rany wojenne wyglądają całkiem inaczej niż obrażenia odniesione w zwykłych wypadkach w czasie pokoju. – Są o wiele gorsze – mówiła – i musimy być przygotowani na naprawdę przykre widoki. – Oczywiście nawet ona nie przypuszczała, jak przykre one będą, szczególnie gdy rannymi okazywali się cywile, a nie żołnierze walczący na froncie, albo kiedy przychodziło im zbierać z ulicy niemożliwe do rozpoznania szczątki czy z bólem serca wyciągać z gruzu dziecięce rączki i nóżki.

– Nie możemy odwracać głowy – powiedziała jej kiedyś panna Woolf – musimy robić, co do nas należy, i dawać świadectwo. – Ursula spytała ją, jak ma to rozumieć. – To znaczy – odparła panna Woolf – że musimy pamiętać o tych ludziach, gdy już znajdziemy się bezpiecznie w przyszłości.

– A jeśli i *my* zginiemy?

– Wówczas to inni muszą pamiętać o *nas*.

Ich pierwsza poważna akcja miała miejsce w dużym szeregowcu, w który trafiła bomba. Sąsiednie budynki wcale nie ucierpiały, tak jakby Luftwaffe specjalnie wzięło na cel tych, a nie in-

nych mieszkańców – dwie rodziny łącznie z dziadkami, kilkanaściorgiem dzieci i dwoma niemowlętami. Wszyscy oni przeżyli uderzenie, bezpiecznie ukryci w piwnicy, lecz na skutek wybuchu pękły tam dwie rury – hydrauliczna i kanalizacyjna – i zanim zdołano je zakręcić, wszyscy znajdujący się w piwnicy utonęli w ohydnej mazi.

Jednej z kobiet udało się wdrapać wyżej i przez otwór w murze widzieli, jak tkwi tam, kurczowo uczepiona ściany piwnicy. Podczas gdy panna Woolf i pan Armitage trzymali ją mocno za skórzany pasek Hugh, Ursula przechyliła się przez krawędź tego, co zostało z fundamentów budynku. Wyciągnęła do tamtej rękę i przez chwilę wydawało jej się nawet, że zdoła ją pochwycić, lecz kobieta zniknęła nagle w otchłani mętnej, cuchnącej wody, która szybko wypełniła całą piwnicę.

Gdy na miejscu zjawili się wreszcie strażacy i wypompowali wodę, wyciągnęli ze środka piętnaście ciał, z tego siedmioro dzieci, i ułożyli je na ulicy jakby do wyschnięcia. Panna Woolf poleciała im jak najszybciej przykryć je prześcieradłami i ukryć za murem do czasu przyjazdu wozu z kostnicy. – Takie widoki fatalnie wpływają na morale – powiedziała. Ursula już dużo wcześniej zwymiotowała całą kolację. Wymiotowała niemal po każdej takiej akcji, podobnie jak pan Armitage i pan Palmer; pan Simms zawsze przed. Jedynie panna Woolf i pan Bullock zdawali się w obliczu śmierci panować nad żołądkiem.

Gdy było już po wszystkim, Ursula starała się nie myśleć o najmłodszych ofiarach ani o przerażeniu malującym się na twarzy tamtej biednej kobiety, gdy nadaremnie próbowała chwycić ją za rękę (i czymś jeszcze – może niedowierzaniu na myśl, że spotyka ją coś podobnego). – Pomyśl sobie, że teraz już spoczywają w pokoju – doradziła jej później stanowczo panna Woolf, rozlewając do kubków gorącą, słodką jak ulepek herbatę. A pan Durkin dodał: – „Odeszli wszyscy do jasnego światła!” – na co Ursula natychmiast pomyślała: „Odeszli wszyscy do jasnego światła!”²⁷. Wcale nie była przekonana, że umarli dokądkolwiek odchodzą, może tylko w czarną i nieukończoną pustkę.

– Cóż, mam nadzieję, że *sam* nie umrę utyłany w gównie – mruknął pan Bullock, jak zawsze prozaicznie.

Sądziła, że nigdy nie zapomni tej strasznej tragedii, lecz wspomnienie o niej zdążyło się zatrzeć pod lawiną podobnych zdarzeń i teraz już rzadko kiedy myślała o tamtych ludziach z piwnicy.

– Kiepsko to wygląda – oznajmiła rzeczowo panna Woolf. – Potrzebują kogoś smukłego.

– Smukłego? – powtórzyła Ursula.

– Szcupłego – wyjaśniła cierpliwie panna Woolf.

– Żeby wszedł tam do środka? – Ursula z przerażeniem spojrzała na szczyt wulkanu. Nie przypuszczała, aby starczyło jej odwagi na spuszczenie się prosto w paszczę piekieł.

– Nie, tam nie – uspokoiła ją panna Woolf. – Chodź ze mną. – Chwilę wcześniej zaczęło padać i teraz lało już jak z cebra. Ursula brnęła niezdarnie za panną Woolf przez zryty teren, pełen wszelkich możliwych przeszkód i pułapek. Jej latarka była praktycznie bezużyteczna. Gdy stopa uwięzła jej między szprychami koła od roweru, Ursula zadała sobie pytanie, czy ktoś jechał nim w momencie, kiedy spadła bomba.

– Tutaj – powiedziała panna Woolf. Stały przed innym gruzowiskiem, równie wielkim jak poprzednie. Czy to już była inna ulica, czy jeszcze ta sama? Ursula całkiem straciła orientację. Ile takich rumowisk było w okolicy? Przez myśl przemknął jej koszmarny scenariusz – cały Londyn zmienił się w jedną dymiącą stertę gruzu.

Ta jednak nie przypominała wulkanu – ratownicy dostawali się do środka przez korytarz z boku rumowiska. Wyglądało to wszystko bardziej stabilnie, więc ratownicy śmiało torowali sobie drogę za pomocą kilofów i łopat.

– W tym miejscu jest niewielkie wejście – rzekła panna Woolf. Stanowczo ujęła ją za rękę, jakby Ursula była opornym dzieckiem, i zaprowadziła bliżej gruzowiska. Mimo to Ursula nigdzie nie widziała żadnego otworu. – Moim zdaniem to całkiem bezpieczne, trzeba się tylko precyzyjnie do środka.

– Przez tunel?

– Nie, przez zwykłą dziurę. Po drugiej stronie jest lekki spadek, podejrzewamy, że na dole ktoś może być. Różnica poziomów nie jest zbyt duża – dodała zachęcająco. – To nie tunel –

powtórzyła. – Najpierw głowa. – Ratownicy przestali kopać i z wyraźną niecierpliwością czekali na Ursulę.

Żeby precyzyjnie się przez otwór, musiała zdjąć hełm i trzymać latarkę niewygodnie przed sobą. Wbrew zapewnieniom panny Woolf spodziewała się zobaczyć tunel, lecz zamiast tego spojrziała w przepastny mrok. Przypominało to łażenie po jaskiniach. Poczwała ulgę, gdy dwie pary niewidzialnych dłoni chwyciły ją za stary skórzany pasek Hugh. Przesunęła latarkę, usiłując wypatrzeć coś – cokolwiek. – Halo?! – zawołała, świecąc sobie w dół. Widok przesłaniała jej bezładna plątana powykręcanych przewodów gazowych i belek rozłupanych jak zapalki. Ursula skupiła się na jedynej wyrwie w tym gąszczu, próbując przebić wzrokiem panujące poniżej ciemności. Naraz z mroku wyłoniła się upiornie blada twarz człowieka, mężczyzny, i zdawała się wznosić ku niej niczym zjawa jakiegoś zapomnianego więźnia. Głowa ta mogła należeć do jakiegoś ciała, ale Ursula nie była tego pewna.

– Halo? – powtórzyła, jakby mężczyzna mógł jej odpowiedzieć, chociaż wyraźnie widziała, że brakuje mu kawałka czaszki.

– Jest tam ktoś? – spytała panna Woolf z nadzieją w głosie, gdy Ursula wyczołgała się z otworu.

– Jeden trup.

– Da się go wyciągnąć?

– Nie.

Deszcz sprawiał, że wszystko wydawało się jeszcze bardziej plugawe, o ile to w ogóle było możliwe, zmieniając wilgotny ceglany pył w coś w rodzaju kleistej brei. Po kilku godzinach harówki w takich warunkach wszyscy byli w niej od stóp do głów utyłani, co okazało się zbyt obrzydliwe, żeby się nad tym zastanawiać.

Brakowało karet, cały ruch został sparaliżowany przez wypadek na Cromwell Road, a ponieważ lekarz i pielęgniarka również tam utknęli, choć już dawno powinni byli być na miejscu, dodatkowe ćwiczenia z pierwszej pomocy, do których zmuszała ich panna Woolf, w końcu się na coś przydały. Ursula unieruchomiła w łubkach złamane ramię, zabandażowała ranę głowy, nałożyła opatrunek na oko i obwiązała zwichniętą na wertepach kostkę pana Simmsa. Potem oznaczyła ciała dwóch nieprzytomnych ofiar (urazy głowy, złamana kość udowa, pęknięty obojczyk, pęknięte żebra i coś, co wyglądało jej na strzaskaną miednicę) oraz kilku martwych (tutaj sprawa była znacznie prostsza; wystarczyło po prostu napisać, że nie żyją), a następnie sprawdziła wszystko jeszcze raz, na wypadek gdyby odwrotnie oznakowała ciała i posłała martwych do szpitala, a żywych do kostnicy. Skierowała też liczną grupę ocalałych do przytuliska, a chodzących rannych do punktu pierwszej pomocy, obsługiwanego przez pannę Woolf.

– Postaraj się złapać Anthony'ego, dobrze? – poprosiła Ursulę zwierzchniczka, kiedy ją ujrzała. – Niech ściągnie tu kuchnię polową. – Ursula przekazała jej polecenie Tony'emu. Tylko panna Woolf nazywała go Anthonym. Chłopak miał trzynaście lat, był skautem i ich łącznikiem z ramienia obrony cywilnej, śmigającym na swoim rowerze przez usłane gruzem i szkłem ulice. Ursula uważała, że gdyby był jej synem, wysłałaby go jak najdalej od tego koszmaru, zamiast rzucać go w sam jego środek. Oczywiście nie trzeba dodawać, że była to dla niego nie lada frajda.

Po rozmowie z Tonym Ursula jeszcze raz precyzyjnie się przez dziurę do wnętrza zburzonego budynku, bo komuś wydawało się, że coś usłyszał, jednak blady, martwy mężczyzna był równie milczący jak poprzednio. – Witam ponownie – zagadnęła go. Przyszło jej do głowy, że to może być pan McColl z sąsiedniej ulicy. Może akurat wpadł do kogoś w odwiedziny i miał pecha. Była tak wykończona, że niemal zazdrościła zmarłym ich wiekuistego spokoju.

Gdy po raz drugi wydostała się na zewnątrz, kuchnia polowa była już na miejscu. Przeplukała usta herbatą i splunęła, żeby pozbyć się smaku ceglano-pyłu. – Założę się, że kiedyś była z pani prawdziwa dama – roześmiał się pan Palmer. – Czuję się dotknięta tą uwagą – odparła Ursula i też się roześmiała. – Moim zdaniem pluję w bardzo wyszukany sposób. – Ekipa ratownicza wciąż pracowała na gruzowisku, niestety bez żadnych rezultatów, lecz jako że noc dobiegała końca, panna Woolf kazała jej wracać na kwatery i trochę odpocząć. Gdzieś ze szczytu rumowiska rozległo się wołanie o linę i Ursula domyśliła się, że będą kogoś opuszczać albo wyciągać, albo i jedno,

i drugie. („Sądzą, że to kobieta” – poinformował ją pan Durkin).

Ursula czuła się kompletnie skonana. Z wysiłkiem stawiała krok za krokiem, w miarę możliwości omijając sterty gruzu. Zdążyła ująć raptem niecałe dziesięć metrów, gdy ktoś chwycił ją za ramię i szarpnął w tył tak mocno, że byłaby się przewróciła, gdyby nie to, że ta sama osoba podtrzymała ją i nie pozwoliła upaść. – Niech pani uważa, panno Todd – burknął ktoś.

– Pan Bullock? – W ciasnocie ich kwatery pan Bullock wzbudzał w niej pewien niepokój swoim lekceważącym zachowaniem, lecz o dziwo teraz, w tym pogrążonym w mroku miejscu, wydał jej się całkiem niegroźny. – O co chodzi? – spytała. – Jestem bardzo zmęczona.

Mężczyzna poświecił latarką do przodu. – Widzi pani?

– Niczego nie widzę.

– To dlatego, że niczego tam nie ma. – Ursula wyteżyła wzrok. Przed nimi ział olbrzymi krater, prawdziwa przepaść bez dna. – Sześć, a może nawet dziewięć metrów w dół – ocenił pan Bullock. – Niewiele brakowało, żeby pani do niego wpadła.

Odprowadził ją aż na kwaterę. – Jest pani zbyt przemęczona – uznał. Przez całą drogę trzymał ją za ramię; wyczuwała siłę jego mięśni w tym mocnym uścisku.

Już na miejscu padła na łóżko polowe i bardziej straciła przytomność, niż zasnęła. O szóstej obudził ją sygnał zwiastujący koniec nalotu. Miała wrażenie, jakby spała przez kilka dni, podczas gdy w rzeczywistości minęły zaledwie trzy godziny.

Pan Palmer też tam był – krzątał się, parząc herbatę. Z łatwością wyobraziła go sobie w domowym zaciszu, w kapciach i z fajką, czytającego gazetę. Jego obecność w tym miejscu wydawała się czymś absurdalnym. – Proszę bardzo – powiedział, podając jej kubek. – Powinna pani pójść do domu, moja droga – dodał – przestało już padać. – Jakby to deszcz popsuł jej minioną noc, a nie Luftwaffe.

Zamiast iść prosto do domu, Ursula wróciła jeszcze raz na gruzowisko, żeby zobaczyć, jak poszło ratownikom. W świetle dziennym wszystko wyglądało inaczej, choć sam kształt kamiennego kurhanu wydał jej się dziwnie znajomy. Coś jej przypominał, ale nie potrafiła powiedzieć co.

Przed nią rozpościerał się obraz totalnego zniszczenia: zagładzie uległa praktycznie cała ulica, lecz rumowisko – oryginalne rumowisko – nadal tętniło życiem na podobieństwo ula. Świetna inspiracja dla malarza specjalizującego się w scenach wojennych, pomyślała. „Kopacze na gruzowisku”, to byłby niezły tytuł. Bea Shawcross studiowała malarstwo, skończyła szkołę równo z początkiem wojny. Ursula była ciekawa, czy pociągało ją przedstawianie wojny na obrazach, czy próbowała raczej wykraczać poza ten temat.

Znalazłszy się u podnóża rumowiska, zaczęła ostrożnie wspinać się na górę. Jeden z ratowników wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. Na miejscu była już nowa zmiana, lecz jeden rzut oka wystarczył jej, żeby stwierdzić, że poprzednia ekipa ciągle jeszcze pracuje. Dobrze to rozumiała. Ciężko było porzucić miejsce katastrofy, które w pewnym sensie uważało się za „swoje”.

Wokół krateru wulkanu wybuchło nagle zamieszanie i rozległy się podekscytowane głosy, gdy owoce całonocnej koronkowej roboty nareszcie stały się widoczne. W wąskim otworze ukazała się kobieta, przepasana liną pod pachami (na tym etapie nie było już mowy o ostrożności). Ratownicy wyciągnęli ją na powierzchnię, a następnie znieśli z gruzowiska, przekazując ją sobie z rąk do rąk.

Ursula zauważyła, że ocalona jest cała czarna od brudu. Na przemian to traciła, to odzyskiwała przytomność. Była połamana, ale (co prawda ledwie) żywa. Ratownicy załadowali ją do karetki, która czekała cierpliwie na samym dole.

Ursula również zeszła z rumowiska. Na ziemi leżały okryte prześcieradłem zwłoki, czekające na furgonetkę z kostnicy. Odśloniła twarz zmarłego i ujrzała znanego sobie bladego mężczyznę. W świetle dnia mogła stwierdzić, że to rzeczywiście pan McColl spod numeru dziesiątego. – Witaj, kolego – powiedziała. Ani się obejrzy, a zacznie go traktować jak dobrego znajomego. Panna Woolf natychmiast kazałaby jej oznaczyć ciało, ale kiedy Ursula rozejrzała się za swoim notesem, okazało się, że go zgubiła i nie ma na czym pisać. Przeszukując kieszenie, natknęła się na szminkę. „Skoro nie ma innej rady...” – usłyszała głos Sylvie.

Już miała zacząć pisać po czole pana McColla, ale wydało jej się to jakieś upokarzające

(bardziej upokarzające niż śmierć?), więc po namyśle odsłoniła jego rękę, a potem napluła w chustkę do nosa i starła mu z przedramienia brud, jakby był małym chłopcem. Następnie za pomocą szminki zapisała tam jego nazwisko i adres. Szminka była krwistoczerwona, co w jakimś sensie wydało jej się całkiem stosowne.

– Żegnaj – powiedziała. – Chyba się już nie spotkamy.

*

Okrążając zdradziecką rozpadlinę, do której minionej nocy o mały włos nie wpadła, zauważyła pannę Woolf, siedzącą przy ocalonym z gruzów stole jadalnym. Wyglądała zupełnie, jakby była w biurze, gdy tak mówiła rozmaitym ludziom, co mają dalej robić: gdzie szukać żywności i schronienia, skąd zdobyć ubrania i kartki żywnościowe i tak dalej. Humor wciąż jej dopisywał, choć Bóg jeden wie, kiedy ostatnio spała. Ta kobieta miała stalową wolę, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Ursula niezwykle się do niej przywiązała i chyba szanowała ją bardziej niż którąkolwiek ze znanych sobie osób, może z wyjątkiem Hugh.

W kolejce stali lokatorzy dużego schronu. Wielu z nich wciąż wylaniało się na powierzchnię, mrugając oczami w oślepiającym słońcu niczym nocne zwierzęta, i z przerażeniem odkrywało, że nie mają dokąd wracać. Tego schronu nie powinno tu być, pomyślała Ursula, przecież to nie ta ulica. Musiało minąć kilka chwil, zanim zebrała myśli i zdała sobie sprawę, że przepracowała całą noc pewna, iż znajduje się zupełnie gdzie indziej.

– Wyciągnęli tę kobietę – przekazała pannie Woolf.

– Żywą?

– Można tak powiedzieć.

Gdy dotarła wreszcie do Phillimore Gardens, zastała Millie na nogach i już ubraną. – „Dzień dobrze minął?” – spytała ją przyjaciółka słowami epitafium dla poległych w pierwszej wojnie. – W imbryku jest herbata – dodała, napełniając filiżankę i podając ją Ursuli.

– Och, no wiesz – odparła Ursula, ujmując filiżankę. Herbata okazała się letnia. – Było dość paskudnie. Już tak późno? Muszę lecieć do pracy.

Następnego dnia ze zdumieniem natknęła się w pracy na jeden z meldunków panny Woolf, skreślony czytelnym pismem pewną ręką pielęgniarki. Czasami w ich płowożółtych teczkach panował istny rozgardiasz i Ursula nigdy nie była pewna, jakim sposobem niektóre z nich lądowały na jej biurku. „Godzina 5.00. Sprawozdanie z akcji niesienia doraźnej pomocy. Raport sytuacyjny. Ofiary: 55 hospitalizowanych, 30 zmarłych, 3 zaginionych. Siedem budynków całkowicie zniszczonych, około 120 osób bez dachu nad głową. Dwie jednostki straży pożarnej, dwa ambulanse, dwóch pacjentów wysokiego ryzyka, dwóch pacjentów niskiego ryzyka, jeden pies nadal szuka ocalałych. Akcja ratownicza w toku”.

Ursula nie pamiętała żadnego psa. Był to tylko jeden z wielu incydentów, jakie tej nocy miały miejsce na terenie Londynu. Ursula zebrała meldunki w jeden plik i powiedziała: – Może je pani umieścić w archiwum, panno Fawcett. – Nie mogła się już doczekać przyjazdu wózka z herbatą i przekąskami.

*

Lunch zjedli na tarasie. Była sałatka ziemniaczano-jajeczna, rzodkiewki, sałata, pomidory, nawet jeden ogórek. – Wszystko to wyhodowane delikatnymi rękoma naszej matki – śmiała się Pamela. Dla Ursuli był to naprawdę najprzyjemniejszy posiłek od dłuższego czasu. – A na deser, jak mniemam, czeka nas jeszcze szarlotka – dodała Pamela. Tylko one zostały przy stole. Sylvie poszła otworzyć drzwi, a Hugh nie wrócił jeszcze z inspekcji niewybuchu, który znaleziono podobno na polu po drugiej stronie wioski.

Chłopcy również jedli *al fresco* – wyciągnięci na trawie, pałaszowali gulasz z mięsa bizona oraz indiańską pastę z kukurydzy i fasoli zwaną *succotash* (czyli, tak naprawdę, peklowaną wołowinę i jajka na twardo). Wcześniej rozstawili w ogrodzie zatęchły stary wigwam znaleziony w szopie i swawolili do upadłego, bawiąc się w Indian i kowbojów, aż do przybycia wozu z prowiątem (to znaczy Bridget z tacą).

Synowie Pameli byli kowbojami, podczas gdy ewakuowani z Londynu chłopcy z radością wcielili się w wojowniczych Apaczów. – Ta rola chyba rzeczywiście lepiej odpowiada ich naturze – zauważyła Pamela. Własnoręcznie zrobiła im na głowy kartonowe opaski z doczepionymi kurzymi piórami. Kowboje musieli się zadowolić chustkami do nosa Hugh, którymi obwiązali sobie szyje. Ogólne podekscytowanie udzieliło się też dwóm labradorom, które wpadły w istny psi szał i ganiały wkoło jak nakręcone, podczas gdy niczego nieświadomy dziesięciomiesięczny Gerald spał spokojnie na kocu obok suczki Pameli, Heidi, zbyt statecznej na takie wybryki.

– Jak rozumiem, jest w tym towarzystwie jedyną squaw – szepnęła Pamela. – Ale przynajmniej nie rozrabiają. To istny cud! Świetna pogoda na zabawę w Indian.

– Sześciu chłopaków pod jednym dachem – westchnęła po chwili. – Chwała Bogu, że zaczęła się szkoła. Nigdy nie brakuje im energii i stale trzeba ich czymś zajmować. Domyślam się, że nie przyjechałaś na długo?

– Obawiam się, że masz rację.

Ursula poświęciła bezcenną wolną sobotę, żeby spędzić trochę czasu z Pammy i dzieciakami. Jej siostra była wyraźnie zmęczona, podczas gdy Sylvie wyglądała, jakby wojna dodawała jej animuszu. Nieoczekiwanie stała się zagorzałą działaczką Ochotniczej Służby Kobiet.

– Jestem tym zdumiona. Nigdy nie przepadała za innymi kobietami – zauważyła Pamela.

Sylvie trzymała teraz spore stado kur i znacznie zwiększyła produkcję jaj na potrzeby wojenne. – Biedactwa muszą się nieść dzień i noc – relacjonowała Pamela. – Można by pomyśleć, że nasza matka zawiaduje fabryką broni. – Ursula była ciekawa, jak można zmusić kury do pracy w nadgodzinach. – Sylvie ma dar przekonywania – parsknęła śmiechem Pamela. – Hodowca z niej pełną gębą.

Ursula nie wspomniała siostrze, że brała ostatnio udział w akcji ratowniczej na gruzach zburzonego budynku, którego mieszkańcy trzymali kury na prowizorycznym wybiegu za domem. Na miejscu okazało się, że niemal wszystkie ptaki przeżyły, ale zostały całkowicie ogołoczone z piór. – Już oskubane – zaśmiewał się niewzruszony tym widokiem pan Bullock. Ursula wcześniej widywała odarte z ubrań ludzkie ciała i drzewa w pełni lata pozbawione liści, ale o tym również wolała Pameli nie wspominać. Nie opowiadała jej też o brodeniu po pas w ściekach, a już na pewno nie o przypadkach utonięć w tej cuchnącej brei. Ani o tym, jakie to makabryczne uczucie, gdy dotyka się czyjejś klatki piersiowej, a dłoń nieoczekiwanie wsuwa się *do wewnątrz* ciała. (*Martwego* ciała; Ursula przypuszczała, że w zasadzie należało się cieszyć z tego, że było ono martwe).

Czy Harold zwierzał się Pameli ze swoich przeżyć? Ursula nie pytała; poruszanie podobnych tematów w tak piękny dzień wydawało się czymś zgoła niewłaściwym. Pomyślała za to o tych wszystkich, którzy brali udział w poprzedniej wojnie, a po powrocie do domu nikomu nie opowiadali, co się działo w okopach. O panu Simmsie, panu Palmerze, no i oczywiście o swoim własnym ojcu.

Kurza ferma Sylvie odgrywała najwyraźniej ważną rolę na lokalnym czarnym rynku. Żadnemu z mieszkańców wioski raczej niczego nie brakowało. – W okolicy kwitnie handel wymienny – poinformowała siostrę Pamela. – I wierz mi, handluje, kto żyw. Jak sądzisz, co w tej chwili załatwia przed domem nasza matka?

– Przynajmniej jesteście tutaj bezpieczni – stwierdziła Ursula. Czy aby na pewno? Pomyślała o niewybuchu, który pojechał oglądać Hugh. I o tym, jak tydzień wcześniej na pastwisko gospodarstwa należącego do Ettringham Hall spadła bomba, rozrywając na strzępy stado krów. – Sporo ludzi cichcem zajadało się potem wołowiną – opowiadała Pamela – nas nie wyłączając, co stwierdzam z prawdziwą przyjemnością. – Sylvie zdawała się sądzić, że to „okropne zdarzenie” zrównuje ich pod względem cierpienia z mieszkańcami Londynu. Wróciła już od drzwi i nie kończąc jedzenia, zapaliła papierosa. Ursula dokończyła to, co miała na talerzu, podczas gdy Pamela poczęstowała się jednym z papierosów matki i też zapaliła.

Gdy na taras wyszła Bridget i zaczęła sprzątać naczynia, Ursula zerwała się z miejsca, mówiąc: – Poczekaj, ja to zrobię. – Pamela i Sylvie zostały przy stole i w milczeniu paliły, śledząc bohaterską obronę wigwamu przed najazdem Indian. Ursula poczuła się wykorzystana. Zarówno Sylvie, jak i siostra zachowywały się w taki sposób, jakby to im było ciężko, podczas gdy to ona

całymi dniami pracowała, a noce spędzała na patrolach, gdzie była świadkiem najkoszarniejszych scen. Zaledwie poprzedniego dnia usiłowali oswobodzić kogoś z ruin, podczas gdy na głowę kapłała im krew z ciała znajdującego się piętro wyżej w sypialni, dokąd nie mogli się dostać, ponieważ cała klatka schodowa była po kolana zasypana szkłem z rozbitego gigantycznego świetlika.

– Myślę o powrocie do Irlandii – zwierzyła jej się Bridget podczas zmywania talerzy. – Nigdy nie czułam się w tym kraju jak u siebie w domu.

– Ja też nie – pocieszyła ją Ursula.

Dumnie zapowiadana szarlotka okazała się porcją duszonych jabłek, jako że Sylvie nie zgodziła się, aby zużyć na pudding bezcenny czerstwy chleb, który mógł być wszak lepiej wykorzystany jako karma dla kur. W Fox Corner nic się nigdy nie marnowało. Wszelkie odpadki wędrowały do kurnika („Teraz zamierza jeszcze kupić świnię” – wyjął Ursuli przerażony Hugh), a kości z rosołu trafiały do punktu skupu, podobnie jak każda puszka czy szklany słoik, który nie został ponownie napełniony dżemem, owocowo-warzywnym sosem, fasolą albo pomidorami. Wszystkie książki znajdujące się w domu zostały zapakowane w paczki, zanesione na pocztę i wysłane służbom mundurowym. – Myśmy je już przeczytali – uznała Sylvie – więc po co je trzymać?

Wrócił Hugh, więc Bridget, gderając, przyniosła mu talerz.

– Och – zdziwiła się teatralnie Sylvie – to pan tutaj mieszka? Śmiało, niech się pan do nas przysiądzie.

– Doprawdy, Sylvie – rzucił Hugh ostrzej, niż to miał w zwyczaju. – Czasami zachowujesz się jak dziecko.

– Jeśli nawet tak jest, to przez nasze małżeństwo – odgryzła się Sylvie.

– Zdaje się, że mówiłaś kiedyś, iż to właśnie ono jest najważniejszym powołaniem kobiety – mruknął Hugh.

– Czyżby? W takim razie musiałam być wtedy bardzo młoda i niedoświadczona.

Pamela spojrzała na Ursulę, unosząc wysoko brwi, a ona zaczęła się zastanawiać, kiedy to rodzice zaczęli toczyć ze sobą tak otwartą wojnę? Już miała zagadnąć ojca o niewybuch, gdy Pamela rzuciła lekko: – A jak się miewa Millie? – najwyraźniej pragnąc zmienić temat.

– Doskonale – odrzekła Ursula. – Bardzo przyjemnie się z nią mieszka. Choć właściwie rzadko się widzimy w Phillimore Gardens. Zapisła się do Stowarzyszenia Artystów Rozrywkowych w Służbie Narodu. Gra w objazdowej trupie, występującej po fabrykach i zabawiającej robotników podczas przerwy na lunch.

– Biedacy – roześmiał się Hugh.

– Zabawiają ich sztukami Szekspira? – spytała z powątpiewaniem Sylvie.

– Wydaje mi się, że ostatnimi czasy Millie próbuje swoich sił praktycznie we wszystkim.

Trochę śpiewu, trochę występów komediowych, sama rozumiesz. – Sylvie nie wyglądała, jakby rzeczywiście rozumiała.

– A ja mam kawalera – wypaliła Ursula, czym zaskoczyła wszystkich, siebie nie wyłączając. Chodziło jej głównie o to, żeby zmienić temat na lżejszy. Powinna była mieć więcej rozumu w głowie.

Jej „kawaler” miał na imię Ralph. Mieszkał w Holborn i był jej nowym znajomym, „kumplem”, którego poznała na lekcjach niemieckiego. Przed wojną pracował jako architekt, więc Ursula przypuszczała, że po wojnie wróci do zawodu. O ile ktokolwiek tę wojnę przeżyje, rzecz jasna. (Czy Londyn mógł zniknąć z powierzchni ziemi, tak jak Knossos czy Pompeje? Kreteńczycy i Rzymianie też pewnie powtarzali: „Przetrzymamy”, nawet gdy już rozpętało się piekło). Ralph miał mnóstwo pomysłów na odbudowę dzielnic nędzy; na ich miejscu widział nowoczesne wieżowce. Miasto dla ludzi, powtarzał, takie, które „powstanie jak Feniks z popiołów, do głębi modernistyczne”.

– Wygląda mi na niezłego ikonoklastę – stwierdziła Pamela.

– Na pewno nie jest tak nostalgiczny jak my.

– A my jesteśmy nostalgiczni?

– Owszem – odparła Ursula. – Nostalgia dotyczy czegoś, co nigdy nie istniało. My obrażamy sobie Arkadię w przeszłości, a Ralph dostrzega ją w przyszłości. Oczywiście i jedno,

i drugie jest tak samo nierealne.

– Pałace w chmurach?

– Coś w tym rodzaju?

– Ale czy on ci się podoba?

– Tak.

– Czy wy już...? No wiesz.

– Doprawdy! Co to za pytanie? – śmiała się Ursula. (Sylvie znów załatwiała coś przy drzwiach, a Hugh siedział po turecku na trawie, udając wielkiego wodza Siedzącego Byka).

– Bardzo dobre pytanie! – broniła się Pamela.

Tak się składa, że jeszcze tego nie robili. Może gdyby on bardziej o to zabiegał. Ursula pomyślała o Crightonie. – Poza tym mamy tak mało czasu na...

– Na seks? – podsunęła Pamela.

– Miałam na myśli zaloty, ale dobrze, niech ci będzie, na seks. – Sylvie wróciła i próbowała teraz na trawniku rozdzielić zwaśnione frakcje. Ewakuowani chłopcy jako wrogowie zachowali się bardzo niesportowo – Hugh został związany starym sznurkiem do prania. – Ratunku! – zwrócił się bezgłośnie do Ursuli, szczerząc przy tym zęby w uśmiechu jak jakiś uczeń. Miło było widzieć go tak szczęśliwego.

Przed wojną zaloty Ralpha (a może raczej jej zaloty) przyjęłyby zapewne formę wspólnych wyjść na tańce, do kina albo kameralnych wspólnych kolacji *à deux*, lecz w tej chwili najczęściej oglądali leje po bombach, niczym turyści zwiedzający starożytne ruiny. Odkryli, że szczególnie dobrze nadaje się do tego górny pokład piętrowego autobusu numer jedenaście.

Chodziło przy tym chyba bardziej o pewną cechę charakteru, której obojgu brakowało, niż o samą wojnę. W końcu inne pary zachowywały się zwyczajnie, jakby jej nie było.

„Zwiedzili” w ten sposób Galerię Duveena w Muzeum Brytyjskim, Hammonds w pobliżu Galerii Narodowej i olbrzymi krater przed gmachem Banku Anglii, tak wielki, że przerzucono nad nim prowizoryczny most. Dom towarowy Johna Lewisa jeszcze się dopalał, gdy obok niego przejeżdżali – poczerniałe manekiny z okien wystawowych leżały bezładnie na chodniku całkiem odarte z ubrań.

– Nie wydaje ci się, że jesteśmy jak upiory? – spytał Ursulę Ralph, a ona odparła: – Nie. My jesteśmy świadkami. – Przypuszczała, że prędzej czy później pójdzie z nim do łóżka. Ostatecznie właściwie nic nie stało temu na przeszkodzie.

Bridget wyszła na taras, niosąc herbatę i ciasto, na co Pamela stwierdziła: – Chyba już pora rozwiązać tatę.

– Napij się – powiedział Hugh, nalewając Ursuli do szklanki słodową whisky z kryształowej karafki, którą trzymał w swojej „pustelni”. – Ostatnimi czasy coraz częściej tam przesiaduję – wyznał. – To jedyne miejsce, gdzie mogę mieć święty spokój. Psom i ewakuowanym wstęp ściśle wzbroniony. Wiesz, boję się o ciebie – dodał.

– Ja też się boję.

– Jest bardzo źle?

– Koszmarnie. Ale wierzę, że tak trzeba. Myślę, że robimy to, co do nas należy.

– Sprawiedliwa wojna? Jak wiesz, większość rodziny Cole’ów jest nadal w Europie. Pan Cole opowiadał mi okropne rzeczy o tym, co spotyka tamtejszych Żydów. I wydaje mi się, że nikt u nas tak naprawdę nie chce o tym wiedzieć. Tak czy inaczej – rzekł, wznosząc szklankę, jakby chciał zmienić temat na przyjemniejszy – twoje zdrowie. Do dna.

*

Gdy odjeżdżała, było już ciemno, więc Hugh odprowadził ją przez pola na stację kolejową.

– Obawiam się, że zabrakło nam benzyny – sumitował się. – Powinnaś była wcześniej wyjechać – dodał ze smutkiem. W rękę niósł mocną latarkę, a wokół nie było nikogo, kto by na niego nawrzeszczał, żeby natychmiast ją zgasił. – Jakoś nie sądzę, żebym naprowadził na nas myśliwce – uśmiechnął się. Ursula opowiedziała mu o niemal przesadnym lęku większości ekip ratowniczych przed zapaleniem jakichkolwiek świateł, nawet w trakcie nalotu, gdy wokół płonęły budynki,

błyskały bomby zapalające i race. Tak jakby jedna mała latarka mogła stanowić różnicę.

– Pamiętam takiego gościa w okopach – odparł na to Hugh. – Wystarczyło, że zapalił zapalną, i niemal w tej samej chwili niemiecki snajper odstrzelił mu głowę. Dobry był z niego chłop – dodał zamyślony. – Nazywał się Rogerson, tak samo jak nasz piekarz we wsi. Ale nie byli spokrewnieni.

– Nigdy nie mówisz o tamtych czasach – zauważyła Ursula.

– Teraz mówię – odparł Hugh. – I niech to będzie dla ciebie nauczka, żeby nie nadstawiać głowy, a światło chować pod korcem.

– Wiem, że wcale tak nie myślisz.

– Ależ tak. Wolałbym, żebyś okazała się tchórzem, niż była martwa, niedźwiadku. To samo dotyczy Teddy’ego i Jimmy’ego.

– Teraz też nie mówisz serio.

– Owszem. No, jesteśmy na miejscu. Tak tu ciemno, że można by minąć stację i wcale jej nie zauważyć. Wątpię, aby twój pociąg był o czasie, o ile w ogóle przyjedzie. O, popatrz, to Fred! Dobry wieczór, Fred.

– Dobry wieczór, panie Todd, dobry wieczór, panno Todd. Nie wiem, czy państwo wiedzą, że to ostatni pociąg dzisiaj. – Fred Smith już dawno awansował z palacza na maszynistę.

– Ładny mi pociąg – roześmiała się Ursula. Przy peronie stała sama lokomotywa bez wagonów.

Fred spojrzął za siebie, tam gdzie powinny stać wagony, jakby zapomniał, że ich nie ma. – Hm, no tak – powiedział – kiedy ostatni raz je widziano, zwisały z mostu Waterloo. Długo by gadać – dodał, wyraźnie nie mając ochoty zagłębiać się w ten temat. Ursula nie pojmowała, dlaczego na stacji stoi sam parowóz bez wagonów, jednak mina Freda nie wróżyła nic dobrego.

– No to chyba nie wrócę dziś do Londynu – westchnęła.

– Właściwie – odparł Fred – to muszę odstawić to cudo do miasta. Mamy pełno pary pod kotłem i palacz też już czeka – o, ten tam, stary Willie – więc jeśli panią miałaby życzenie wskoczyć na pomost, panno Todd, to myślę, że moglibyśmy odtransportować panią do domu.

– Naprawdę?

– Nie będzie tak czysto i wygodnie jak na miękkich poduszkach, ale jeśli panią się na to pisze...

– Jak najbardziej.

Parowóz niecierpliwie posapywał, gotów do odjazdu, więc szybko uściskała Hugh, mówiąc: – Do zobaczenia wkrótce – i wspięła się po stopniach na pomost, gdzie przysiadła bokiem na miejscu palacza.

– Uważaj na siebie, niedźwiadku, dobrze?! – zawołał jeszcze Hugh. – Tam w Londynie. – Musiał podnosić głos, żeby przekrzyczeć syk pary. – Obiecujesz?

– Obiecuję! – odkrzyknęła. – Do zobaczenia!

Gdy lokomotywa powoli odjeżdżała, buchając kłęбами pary, Ursula odwróciła się, usiłując dostrzec na ciemnym peronie znajomą sylwetkę ojca. Ogarnęły ją nagle wyrzuty sumienia na myśl, że po kolacji dała się wciągnąć chłopcom w hałaśliwą zabawę w chowanego, zamiast, jak doradzał Hugh, wyjechać, gdy było jeszcze widno. Teraz ojciec będzie musiał sam wracać po ciemku pełną drogą. (Nieoczekiwanie przypomniała jej się biedna mała Angela, znaleziona martwa tyle lat temu). Hugh szybko rozpułnął się w mroku i kłębach dymu.

– Ależ to ekscytujące – powiedziała, odwracając się do Freda. Do głowy jej nie przyszło, że już nigdy nie ujrzy ojca.

Przejażdżka okazała się tyleż ekscytująca, ile przerażająca. Lokomotywa mknęła przez noc niczym potężna metalowa bestia, jakby maszyna ożyła, emanując nagą, brutalną siłą. Trzęsła się i kołysała, jakby próbowała pozbyć się jej ze swoich wnętrzności. Nigdy dotąd Ursula nie zastanawiała się nad tym, co się właściwie odbywa w kabinie maszynisty. Jeśli już, to wyobrażała sobie raczej stosunkowo spokojne miejsce – maszynistę uważnie wpatrzonego w tory przed sobą, palacza wesoło dosypującego węgla. Zamiast tego trwała tu nieustanna krzątanina, ciągłe konsultacje palacza i maszynisty dotyczące ciśnienia i nachylenia terenu, gorączkowe machanie łopaty i nagłe za-

mykanie zaworów. Do tego dochodził stały ogłuszający łoskot i nieznośny żar bijący od kotła oraz czarna sadza z kominów, która jakimś sposobem przedostawała się do kabiny przez zaciemnione metalowymi płytkami okna parowozu. I ten gorąc! – Gorzej niż w piekle – stwierdził Fred.

Ursula miała wrażenie, że pomimo wprowadzonych na czas wojny ograniczeń prędkości podróżują co najmniej dwa razy szybciej, niż gdyby jechała w wagonie („na miękkich poduszkach”, pomyślała; musi to koniecznie zapamiętać i powtórzyć Teddy’emu, który – choć obecnie pilot myśliwca – wciąż pielęgnował w sobie dawne chłopięce marzenie o karierze maszynisty pociągu).

Gdy dojeżdżali do Londynu, na wschodzie świeciły łuny pożarów i słychać było huk odległych dział, ale gdy zbliżyli się do pierwszych stacji rozrządowych i parowozowni, na zewnątrz panowała wprost niesamowita cisza. Zwolnili, zatrzymali się i nagle również w kabinie zapadł błogosławiony spokój.

Fred pomógł Ursuli wsiąść. – Proszę bardzo, panienko – powiedział. – Nie ma to jak w domu. Chociaż obawiam się, że może nie jest to do końca prawda. – Naraz na jego twarzy odbiło się zwątpienie. – Odprowadziłbym panienkę, ale najpierw musimy położyć to nasze cudo spać. Trafia panienska stąd do siebie? – Wyglądało na to, że znajdują się na kompletnym odludziu; nic, tylko tory, zwrotnice i majaczące w mroku cielska lokomotyw. – Marylebone zbombardowane. Jesteśmy na tyłach dworca King’s Cross – dodał Fred, jakby czytając w jej myślach. – Nie jest tak źle, jak panienska sądzi. – Mówiąc to, zapalił słabiutką latarkę, która oświetlała jedynie krąg ziemi pod ich stopami. – Trzeba bardzo uważać – wyjaśnił. – Jesteśmy dla wroga ważnym celem.

– Poradzę sobie, naprawdę – zapewniła go Ursula z przesadnym zapalem. – Bardzo dziękuję i możesz się o mnie nie martwić. Dobrej nocy, Fred. – Ruszyła żywo przed siebie i natychmiast potknęła się o szynę. Gdy jej kolano z impetem wylądowało na ostrych kamieniach między torami, z ust wyrwał się cichy okrzyk bólu.

– Proszę się mnie chwycić, panno Todd – powiedział Fred, pomagając jej wstać. – Nigdy nie odnajdzie panienska drogi w tych ciemnościach. Chodźmy, odprowadzę panienkę do bramy. – Wziął ją pod rękę i poprowadził ze sobą, jakby to był niedzielny spacer nad brzegiem Tamizy. Ursula przypomniała sobie, że jako dziewczyna trochę się w nim podkochiwała. Doszła do wniosku, że prawdopodobnie niewiele trzeba, żeby znów się w nim zadurzyła.

Dotarli do ciężkich drewnianych wrót, a Fred otworzył ukrytą w nich małą furtkę.

– Chyba już wiem, gdzie jestem – powiedziała. W rzeczywistości nie miała zielonego pojęcia, ale nie chciała już dłużej zajmować Freda. – No cóż, jeszcze raz bardzo ci dziękuję. Może się jeszcze kiedyś spotkamy, jak znów będę w Fox Corner.

– Wątpię – odparł. – Jutro zaczynam służbę w Pomocniczej Straży Pożarnej. Jest pod dostatkiem takich starych pierników jak Willie, którzy mogą prowadzić pociągi.

– Słuszna decyzja – odparła, myśląc jednocześnie o tym, jak niebezpieczna jest służba strażaka.

*

To zaciemnienie było najciemniejsze z ciemnych. Idąc, Ursula trzymała przed twarzą wyciągniętą rękę, i w końcu wpadła na jakąś kobietę, która powiedziała jej, gdzie się znajdują. Następne osiemset metrów przeszły już we dwie. Kilka minut po tym, jak się rozstały, Ursula usłyszała za sobą kroki i zawołała: – Tutaj jestem! – żeby nadchodzący mógł ją ominąć. Mężczyzna, a w zasadzie niewyraźna sylwetka w mroku, towarzyszył jej aż do Hyde Parku. Przed wojną nikomu nie przyszyłoby do głowy spacerować pod rękę z kompletnie obcą osobą – a już zwłaszcza z mężczyzną – lecz teraz niebezpieczeństwo grożące z nieba było wielokrotnie większe niż jakiegokolwiek konsekwencje owej niespotykanej wcześniej bliskości.

Gdy znalazła się z powrotem w Phillimore Gardens, wydawało jej się, że świta, choć ledwie wybiła północ. Millie, cała wystrojona, dopiero co wróciła z jakiegoś wieczornego wyjścia. – Dobry Boże! – wykrzyknęła na widok Ursuli. – Co ci się stało? Trafiałaś na bombardowanie?

Ursula przejrzała się w lustrze i odkryła, że jest cała wysmarowana sadzą i pyłem węglowym. – Co za straszycło – roześmiała się.

– Wyglądasz jak górnik – stwierdziła Millie.

– Raczej jak maszynista parowozu – odparła i w szybkich słowach zrelacjonowała przyjaciółce przygody minionego wieczoru.

– Och – jęknęła Millie. – Fred Smith, chłopak rzeźnika. Zawsze był z niego przystojniak.

– I chyba nadal jest, jak sądzę. Przywiozłam jajka z Fox Corner – dodała, wyjmując z torby podarowany jej przez Sylvie karton. Jajka zostały dla bezpieczeństwa umieszczone w słomie, teraz jednak były całkiem porozbijane od szarpania lokomotywy i uderzenia o szyny, kiedy Ursula upadła na bocznicę.

Nazajutrz z ocalałych resztek udało im się usmażyć całkiem dobry omlet.

– Fantazja – rozmarzyła się Millie. – Powinnaś częściej bywać w domu.

Październik 1940

– Co za pracowita noc – zauważyła panna Woolf. Ogromne niedopowiedzenie. Trwał właśnie wyjątkowo intensywny nalot i bomby huczały im nad głowami; co rusz któraś połyskiwała w górze, schwytna w światła reflektorów. Ładunki burząco-zapalające sypały się z rykiem, potężne baterie dział odpowiadały im ogłuszającą kanonadą, słowem – zwykły wojenny jazgot. Pociski wzbijały się w niebo z gwizdem lub przeciągłym zawrotem z prędkością półtora kilometra na sekundę, a znalazłszy się wysoko w górze, migotały jak dogasające gwiazdy. Z nieba spadał deszcz grzechoczących odłamków. (Kilka dni wcześniej kuzyn pana Simmsa zginął od szrapnela wystrzelonego ze stanowiska obrony przeciwlotniczej w Hyde Parku. „Okropnie jest zginąć z ręki swoich – powiedział potem pan Palmer. – To taka bezsensowna śmierć”). Czerwona luna nad Holborn świadczyła o tym, że gdzieś tam spadła bomba termitowa. W Holborn mieszkał Ralph, ale Ursula przypuszczała, że w taką noc jak ta miał dyżur w katedrze św. Pawła.

– Wygląda jak namalowana, prawda? – zagadnęła ją panna Woolf.

– Jak z obrazu przedstawiającego apokalipsę – zgodziła się Ursula. Na tle nocnego nieba ognie pożarów rozpościerały się wielobarwnym wachlarzem: był tam i szkarłat, i złoto, oranż, indygo i błada cytryna. Od czasu do czasu w miejscach zapłonu chemicznych substancji wystrzeliwały w górę języki zjadliwej zieleni oraz błękitu. Z jakiegoś magazynu buchały pomarańczowe płomienie i wydobywały się kłęby czarnego dymu. – Człowiek zaczyna patrzeć na wszystko z całkiem innej perspektywy, prawda? – zadumała się panna Woolf. I rzeczywiście. Widok płonącego miasta był zarazem majestatyczny i przerażający w porównaniu z ich żalostną, brudną dłubaniną. – Czuję się dumny – powiedział cicho pan Simms. – Z tego, że tak dzielnie walczymy. I to całkiem sami.

– Na przekór wszystkiemu – westchnęła panna Woolf.

Widzieli stąd całe miasto, aż do Tamizy. Ponad nimi niebo upstrzone było balonami zaporowymi; przypominały ślepe wieloryby, miotające się we wrogim sobie żywiole. Znajdowali się na dachu Shell-Mex House, zajmowanego obecnie przez Ministerstwo Zaopatrzenia, w którym pracował pan Simms, i to on zaprosił Ursulę oraz pannę Woolf, żeby przyszły „zobaczyć widok z wierzchołka budynku”.

– Spektakularny, prawda? Pełen przemocy, a jednocześnie dziwnie wspaniały – zachwycał się, jakby stali na szczycie jednego ze wzgórz w Lakeland, a nie na dachu wieżowca przy Strandzie w samym środku nalotu.

– No nie wiem, czy rzeczywiście nazwałabym go *wspaniałym* – odparła panna Woolf.

– Raz był tu w nocy sam Churchill – pochwalił się pan Simms. – To taki świetny punkt widokowy. Był wprost zafascynowany.

Później, gdy już zostały same, panna Woolf zwierzyła się Ursuli: – Wiesz, dotychczas miałam wrażenie, że pan Simms jest skromnym urzędnikiem w ministerstwie – z natury jest taki potulny – ale chyba musi piastować jakieś ważne stanowisko, skoro był tu z samym Churchilllem. (Jeden z ochotników pełniących straż ogniową na dachu budynku zwrócił się do niego: – „Dobry wieczór, panie Simms” – z takim szacunkiem, jaki ludzie czuli się zwykle w obowiązku okazywać Maurice’owi; tyle że w przypadku pana Simmsa było to o wiele bardziej naturalne). – Jest taki powściągliwy – dodała panna Woolf. – Lubię tę cechę u mężczyzn. – Podczas gdy ja wolę tych aroganckich, pomyślała Ursula.

– Naprawdę niezwykle spektakl – stwierdziła panna Woolf.

– Prawda? – zareagował pan Simms z entuzjazmem. Ursula domyślała się, że oboje doskonale zdają sobie sprawę z tego, jak paradoksalnie jest podziwiać ów „spektakl”, a zarazem być tak boleśnie świadomym wszystkiego, co on oznacza dla mieszkańców tego miasta.

– Zupełnie jakby bogowie urządzali wyjątkowo głośne przyjęcie – zauważył pan Simms.

– Jeśli tak, to wołałabym nie być na nie zaproszona – skrzywiła się panna Woolf.

Znajomy, przerażający świst kazał im się schylić i szukać kryjówki, jednak bomby wybuchły kawałek dalej i choć wyraźnie słyszeli *bum, bum, bum* kolejnych eksplozji, nie widzieli, w którym miejscu spadły ładunki. Ursula nie mogła się oswoić z myślą, że gdzieś tam nad nimi za sterami niemieckich bombowców siedzą piloci, którzy w zasadzie są tacy sami jak Teddy. Nie byli źli, robili po prostu to, czego żądała od nich ojczyzna. To sama wojna była zła, a nie ludzie. Jedyne wyjątki zrobiłaby dla Hitlera. – O tak – przyznała jej rację panna Woolf. – Moim zdaniem ten człowiek jest całkiem szalony.

W tej samej chwili, ku ich zdumieniu, z nieba runął kosz z ładunkami zapalającymi, które z grzechotem rozsypały się po dachu ministerstwa. Przy wtórze trzasków z ładunków strzeliły iskry, więc dwaj strażnicy rzucili się ku nim z ręcznymi pompami gaśniczymi. Jednak panna Woolf chwyciła wiadro piasku i ich ubiegła. („Całkiem szybko jak na taką staruszkę” – tak pan Bullock z uznaniem podsumował działania panny Woolf w sytuacji kryzysowej).

– „A gdyby to była ostatnia noc świata?” – przemówił znajomy głos.

– Ach, pan Durkin! Jednak udało się panu do nas dołączyć – powiedział życzliwie pan Simms. – Człowiek przy drzwiach nie robił żadnych problemów?

– Nie, skądże. Wiedział, że zostałem zaproszony – odparł pan Durkin, najwyraźniej rozkoszując się poczuciem własnej wartości.

– Czy choć *jedna osoba* została dzisiaj na stanowisku? – mruknęła panna Woolf, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Ursula poczuła nagle przemożną chęć poprawienia pana Durkina. – „A gdyby to *dziś* była ostatnia noc świata?”²⁸ – odezwała się. – Przyzna pan, że słowo „dziś” bardzo wiele zmienia? Ma się dzięki niemu wrażenie, jakby się było w samym sercu wydarzeń, tak jak my teraz, a nie jedynie rozważało czysto teoretyczny koncept. To się właśnie dzieje, koniec jest bliski, nic już go nie zatrzyma.

– Wielkie nieba, tyle hałasu o jedno małe słówko – prychnął pan Durkin, wyraźnie podenerwowany. – Choć oczywiście muszę przyznać pani rację. – Ursula pomyślała, że jedno słowo może bardzo wiele znaczyć. Jeśli któryś z poetów skrupulatnie traktował słowa, to właśnie Donne. Donne, niegdyś dziekan katedry św. Pawła, skończył sromotnie w płaskiej wnęce katedralnej krypty. Już po śmierci przeżył wielki pożar Londynu; czy przeżyje i ten? Grobowiec Wellingtona okazał się zbyt masywny, żeby go ewakuować, więc po prostu go zamurowano. Ralph oprowadził ją kiedyś po całej katedrze – pełnił tam nocną straż. Wiedział wszystko, co można było wiedzieć o tej świątyni, więc chyba nie był takim ikonoklastą, za jakiego miała go Pamela.

Gdy po skończonym zwiedzaniu wyszli na światło dzienne, Ralph zaproponował: – Może wstąpimy gdzieś na herbatę? – na co Ursula odrzekła: – Nie, wróćmy lepiej do twojego mieszkania w Holborn i prześpijmy się ze sobą. – Tak też zrobili i Ursula przez cały czas miała wyrzuty sumienia, ponieważ podczas gdy Ralph delikatnie dopasowywał swoje ciało do jej ciała, ona nie mogła przestać myśleć o Crightonie. Już po wszystkim sprawiał wrażenie zażenowanego, jakby nie wiedział, co ma z nią teraz począć. Powiedziała więc: – Jestem dokładnie tą samą osobą, jaką byłam, zanim to zrobiliśmy. – A on odparł: – Nie jestem tylko pewien, czy mogę to samo powiedzieć o *sobie*. Ursula pomyślała: „Dobry Boże, to prawiczek”, ale Ralph wybuchnął śmiechem i zapewnił ją, że nie, skądże znowu, nie o to chodzi – absolutnie *nie jest* prawiczkiem – tylko tak bardzo ją kocha, że to było dla niego prawdziwe... „sam nie wiem – uniesienie”.

– Uniesienie? – powtórzyła Millie. – Jak dla mnie to jakiś sentymentalny bełkot. Postawił cię na piedestale. Niech Bóg ma go w swojej opiece, gdy kiedyś odkryje, że masz gliniane nogi.

– Wielkie dzięki.

– Czy to była mieszana metafora, czy raczej zgrabny symbol? – Millie, rzecz jasna, zawsze myliła...

– Panno Todd?

– Przepraszam. Zamyśliłam się.

– Powinniśmy wracać do naszego sektora – powiedziała panna Woolf. – Dziwne, ale tu na górze człowiek czuje się całkiem bezpieczny.

– Nie byłabym tego taka pewna – odparła Ursula. I miała rację, bo zaledwie kilka dni później Shell-Mex House został zbombardowany.

Tym razem pełniła straż z panną Woolf w jej mieszkaniu. Siedziały przy wielkim narożnym oknie, popijając herbatę i zajadając herbatniki. Gdyby nie dudnienie dział obrony przeciwlotniczej, równie dobrze mogłyby być dwiema zwykłymi kobietami, spędzającymi wspólnie wieczór. Ursula dowiedziała się między innymi, że panna Woolf ma na imię Dorcas (wyznała, że nigdy go nie lubiła) i że jej narzeczony (Richard) zginął na Wielkiej Wojnie. – Wciąż ją tak nazywam – powiedziała panna Woolf – chociaż obecna jest o wiele gorsza. Ale przynajmniej tym razem racja jest po naszej stronie, taką mam nadzieję. – Panna Woolf wierzyła w słuszność wojny, lecz jej religijny zapał znacznie osłabł od początku bombardowań. – Musimy jednak wytrwać w tym, co dobre i prawdziwe. Tyle że wszystko wydaje się tak bardzo przypadkowe. Człowiek zaczyna powątpiewać w Boży plan i tak dalej.

– To zwykła jatka, a nie plan – zgodziła się Ursula.

– No i ci biedni Niemcy, wątpię, aby wielu z *nich* popierało wojnę. Oczywiście nie należy tego mówić w towarzystwie takich ludzi jak pan Bullock. Ale gdybyśmy to *my* przegrali Wielką Wojnę i zostali obciążeni kontrybucjami w momencie załamania się światowej gospodarki, może wówczas i nasz kraj stałby się tykającą bombą zegarową, czekającą na iskrę w osobie jakiegoś Moseleya czy innego brytyjskiego faszysty, równie okropnego człowieka. Jeszcze herbaty, moja droga?

– Ja to wszystko wiem – przytaknęła Ursula – ale przecież oni próbują nas *zabić*. – Jakby na poparcie jej słów rozległ się przeraźliwy świst i gwizd, zwiastujący nadlatującą bombę, więc z niesłychaną zwinnością rzuciły się na podłogę za kanapą. Mogłoby się wydawać, że ów miękki mebel nie zdoła ich ochronić, a jednak ledwie dwie noce wcześniej wydobyli zza przewróconej sofę kobietę, która przeżyła niemal bez szwanku w budynku, który został prawie całkowicie zburzony.

Eksplozja wstrząsnęła porcelanowymi mlecznikami ze Staffordshire w kształcie łaciatych krówek, stojącymi na toalecie panny Woolf, lecz obie zgodnie stwierdziły, że bomba spadła gdzieś poza ich sektorem. Jeśli chodzi o wybuchy, miały już dobrze wyrobione ucho.

Ostatnio były też obie bardzo przygnębione śmiercią pana Palmera, kierownika banku, który zginął, gdy na miejscu akcji ratowniczej, w której brali udział, wybuchła bomba z opóźnionym zapłonem. Siła eksplozji odrzuciła go na znaczną odległość; znaleźli go na wpół pogrzebanego pod żelazną ramą łóżka. Zgubił okulary, lecz poza tym wyglądał tak, jakby nic mu się nie stało. – Sprawdź, czy wyczujesz tętno – poprosiła ją panna Woolf. Ursula zdziwiła się, ponieważ panna Woolf miała pod tym względem większe doświadczenie od niej, lecz zaraz zdała sobie sprawę, że zwierchniczka jest okropnie zdenerwowana. – To całkiem inaczej, kiedy się kogoś znało – powiedziała panna Woolf, gładząc delikatnie czoło pana Palmera. – Gdzie mogły się podziąć jego okulary? – zastanawiała się. – Bez nich wygląda jakoś dziwnie, prawda?

Ursula nie wyczuła tętna. – Może go przeniesiemy? – zaproponowała i chwyciła pana Palmera za ramiona. Panna Woolf podniosła go za kostki, a wtedy ciało pana Palmera rozeszło się na dwie części jak bożonarodzeniowa zabawka z niespodzianką.

– Mogę nastawić więcej wrzątku – zaproponowała panna Woolf. Żeby ją rozweselić, Ursula opowiadała zabawne historyjki o Jimmym i Teddym z czasów, gdy byli jeszcze mali. Maurice'em nie zawracała sobie nawet głowy. Panna Woolf bardzo lubiła dzieci i żałowała jedynie, że nie została matką. – Gdyby Richard nie zginął, może wtedy... Ale nie należy oglądać się w przeszłość, tylko patrzeć prosto przed siebie. To, co minęło, skończyło się raz na zawsze. Czy nie tak mówi Heraklit? Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki?

– Mniej więcej. Jak sądzę, brzmi to dokładnie tak: „Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, bo już inne napłynęły w nią wody”.

– Jesteś taką mądrą młodą kobietą – zauważyła panna Woolf. – Nie zmarnuj swojego życia, dobrze? Jeżeli ocalejesz.

Kilka tygodni wcześniej Ursula widziała się z Jimmym. Był w Londynie na dwudniowej przepustce i nocował na sofie u nich w Kensington. – Twój mały braciszek wyrósł na prawdziwego przystojniaka – szepnęła jej Millie. Jej zdaniem wszyscy mężczyźni byli przystojni, w taki czy inny sposób. Tamtego wieczoru zaproponowała im wspólne wyjście i Jimmy chętnie się zgodził. Stwier-

dził, że już wystarczająco długo przebywał w zamknięciu, i dodał: – Pora się trochę zabawić. – Jimmy zawsze potrafił się bawić. Noc była jeszcze młoda, a na Strandzie znaleziono niewybuch, wobec czego postanowili się schronić w hotelu Charing Cross.

– Co? – spytała Ursulę Millie, kiedy usiedli.

– Co co?

– Znów masz ten dziwny wyraz twarzy, jakbyś usiłowała sobie coś przypomnieć.

– Albo o czymś zapomnieć – podsunął Jimmy.

– Nie myślałam o niczym konkretnym – odparła Ursula. Bo rzeczywiście był to drobiazg, jakieś ulotne wspomnienie, które nie dawało jej spokoju, od kiedy tu weszli. Głupstwo właściwie, jak zwykle zresztą: wędzony śledź na półce w spiżarni, pokój wyłożony zielonym linoleum, tocząca się w ciszy staroświecka obręcz. Efemeryczne chwile, które się jej wymykały.

W pewnym momencie Ursula udała się do toalety, gdzie zastała dziewczynę, która nie zważając na spustoszenie, jakie płacz siał na jej twarzy, głośno dawała upust łzom. Była mocno umalowana i tusz spływał jej ciemnymi strumykami po policzkach. Ursula już wcześniej zwróciła na nią uwagę, gdy ta piła przy stoliku z jakimś starszym od siebie mężczyzną – „dość oblesnym”, jak orzekła Millie. Z bliska dziewczyna wyglądała na dużo młodszą. Ursula pomogła jej poprawić makijaż i osuszyć łzy, wołała jednak nie wnikać, co było ich przyczyną. – Chodzi o Nicky’ego – wyjaśniła tamta niepytana. – Jest zwykłym draniem. Za to *twój* facet wygląda uroczo, może masz ochotę zabawić się we czwórkę? Mogę załatwić nam miejsce w Ritzu, w barze Rivoli, znam tam portiera.

– Hm – mruknęła z powątpiewaniem Ursula. – Ten facet w rzeczywistości jest moim bratem i nie sądzę, aby...

Dziewczyna dała jej dość bolesnego kuksańca i wybuchnęła śmiechem. – Tylko żartowałam! I tak już musi obsłużyć was dwie, no nie? – Poczęstowała Ursulę papierosem, lecz ta odmówiła. Dziewczyna miała złotą papierośnicę, która wyglądała na wartościową. – To prezent – wyjaśniła, widząc spojrzenie Ursuli. Zatrzasnęła papierośnicę i podsunęła jej do obejrzenia. Na wieczku znajdował się delikatny grawerunek okrętu wojennego, a poniżej jedno słowo: „Jutlandia”. Ursula pomyślała, że gdyby ponownie ją otworzyła, po wewnętrznej stronie wieczka znalazłaby splecione ze sobą inicjały „A” i „C” – skrót od „Aleksander” oraz „Crighton”. Instynktownie wyciągnęła rękę po papierośnicę, lecz dziewczyna szybko ją cofnęła i mruknęła: – No, muszę się zbierać. Teraz już wszystko gra jak ta lala. Wyglądasz mi na porządną babkę – dodała, jakby ktokolwiek kwestionował charakter Ursuli. Podała jej rękę. – Tak przy okazji, mam na imię Renée – to na wypadek gdybyśmy znów na siebie wpadły, chociaż wątpię, abyśmy zamieszkiwały te same *endroits*, jak to mówią. – Jej francuska wymowa była bez zarzutu; jakie to dziwne, pomyślała Ursula. Uścisnęła wyciągniętą ku sobie dłoń – twardą i rozgrzaną, jakby dziewczyna miała gorączkę – i odparła: – Bardzo mi miło. Jestem Ursula.

Dziewczyna – Renée – jeszcze raz przyjrzała się z zadowoleniem swemu odbiciu w lustrze, rzuciła: – No to *au revoir* – i już jej nie było.

Gdy Ursula wróciła do kawiarni, Renée całkowicie ją zignorowała. – Co za dziwna dziewczyna – zwróciła się do Millie.

– Przez cały wieczór robiła do mnie słodkie oczy – mruknął Jimmy.

– No to chyba trafiła pod zły numer, prawda, skarbie? – roześmiała się Millie, trzepocząc zalotnie rzęsami, absurdalnie teatralna.

– *Adres* – powiedziała z naciskiem Ursula. – Trafiła pod zły *adres*.

Resztę wieczoru ich wesoła trójka spędziła, pijąc w rozmaitych dziwnych miejscach, które o dziwo znał Jimmy. Nawet Millie, stała bywalczyni nocnych przybytków, ze zdumieniem reagowała na niektóre z nich.

– O rany – westchnęła, gdy po wyjściu z klubu przy Orange Street ruszyli chwiejnie z powrotem – to było coś nowego.

– Interesujące *endroit* – śmiała się Ursula. Była już porządnie wstawiona. To słowo tak bardzo kojarzyło jej się z Izzie; dziwnie było je usłyszeć z ust takiej osóбки jak Renée.

– Obiecuj mi, że nie zginięsz – poprosiła Jimmy’ego, gdy po omacku szukali drogi do

domu.

– Postaram się – odparł Jimmy.

Październik 1940

„Człowiek zrodzony z niewiasty krótki ma byt i bolesny, jak kwiat wyrasta i więdnie, jak cień chwilowy przemija”²⁹.

Mżyło. Ursula poczuła przemożną potrzebę, aby wyciągnąć chustkę do nosa i przetrzeć wilgotne wieko trumny. Po drugiej stronie wykopanego grobu Pamela i Bridget niczym dwa filary podtrzymywały Sylvie, która sprawiała wrażenie tak zrozpaczonej, że ledwie mogła ustać na nogach. Ursula czuła, jak jej własne serce twardnieje i ściska się boleśnie z każdym kolejnym szlochem, wyrywającym się z piersi matki. Przez ostatnie miesiące Sylvie była całkiem bez powodu niemila dla Hugh, więc ta obecna demonstracja żalu wydawała się czymś z gruntu fałszywym. – Jesteś dla niej zbyt surowa – powiedziała Pamela. – Nikt postronny nie jest w stanie zrozumieć, co się dzieje w małżeństwie, każda para jest inna.

Jimmy, który tydzień wcześniej został wysłany statkiem do Afryki Północnej, nie miał szans na zdobycie urlopu okolicznościowego, lecz Teddy zjawił się dosłownie w ostatniej chwili. Olśniewająco szykowny w mundurze pilota, wrócił właśnie z Kanady z parą „skrzydełek” („Jak anioł” – zauważyła Bridget) i stacjonował obecnie w Lincolnshire. Podczas nabożeństwa on i Nancy kurczowo ściskali się za ręce. Nancy w bardzo niejasny sposób opowiadała o swojej pracy („Zasadniczo jestem urzędniczką”) i Ursula stwierdziła, że to unik typowy dla kogoś związanego ustawą o tajemnicy państwowej.

Kościół był pełen ludzi – większość mieszkańców wioski stawiała się, aby pożegnać Hugh – lecz mimo to w tym pogrzebie było coś dziwnego, tak jakby gość honorowy nie zdołał dotrzeć na miejsce. Co oczywiście było prawdą. Hugh nie życzyłby sobie takiego zamieszania. Powiedział jej kiedyś: – Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyście wyrzucili mnie do kosza na śmieci.

Nabożeństwo nie różniło się niczym od innych – wspominki i oklepane frazy, doprawione solidną szczyptą anglikańskiej doktryny – choć Ursula była zdumiona tym, jak dobrze pastor zdawał się znać Hugh. Major Shawcross całkiem wzruszająco odczytał dziewięć błogosławieństw, a Nancy wyrecytowała „jeden z ulubionych wierszy pana Todda”, czym zaskoczyła wszystkie kobiety z jego rodziny, które nie zdawały sobie sprawy z zamiłowania Hugh do poezji. Nancy bardzo ładnie deklamowała (lepiej niż Millie, która była zanadto teatralna). – Wiersz Roberta Louisa Stevensona – zapowiedziała. – Chyba odpowiedni na te trudne czasy:

Wy, co burzę wysmagani, wy cierpiący, grzeszni, w trwodze,

Pójdźcie ku mnie, utrudzeni, ja spoczynkiem was nagrodzę.

Porzuć lęki, o wątpiacy, otrzyj z oka wszelką łzę!

Oto głos twój Zbawcy; oto świta nowy dzień.

Tu, na ziemi, w trudzie, znoju, w grzechu toczysz krwawy bój;

W cichym domu mego ojca wkrótce złożysz ciężar swój.

Wytrwaj w bólu, o znękany, przegnaj z serca wszelki cień,

Oto kroki twego Pana; twoja wolność zbliża się.

(„Brednie, i tyle – mruknęła Pamela – ale dziwnie pokrzepiające”).

Gdy stali już nad grobem, Izzie szepnęła: – Mam wrażenie, jakbym czekała, aż zdarzy się coś potwornego, a potem uświadamiam sobie, że to już się stało.

Izzie wróciła z Kalifornii zaledwie kilka dni przed śmiercią Hugh. Nieustraszenie odbyła nad podziw męczącą podróż samolotem linii Pan Am z Nowego Jorku do Lizbony, a stamtąd liniami BOAC do Bristolu. – Widziałam z okna dwa niemieckie myśliwce – chwaliła się. – Przysięgam ci, byłam pewna, że nas zaatakują.

Wyznała, iż doszła do wniosku, że jako Angielce nie wypada jej przeczekiwać wojny wśród pomarańczowych gajów. Nie dla niej szukanie zapomnienia w rozkoszach wolnego świata, stwierdziła (choć akurat Ursula była *dokładnie* przeciwnego zdania). Podobnie jak jej mąż, słynny dramaturg, Izzie miała nadzieję otrzymać liczne propozycje pisania scenariuszy do filmu, a tymczasem dostała tylko jedną – chodziło o jakiś „głupiutki” dramat kostiumowy, którego realizacja została zarzucona, zanim zdążyła się na dobre rozpocząć. Ursula odniosła wrażenie, że scenariusz Izzie nie sprostał oczekiwaniom producentów („Był zbyt inteligentny”). Ciotka wydała za to kolejne części przygód Augustusa – *Augustus idzie na wojnę*, *Augustus i zbiórka złomu* i tak dalej. Sytuację dodatkowo pogorszyło to, że słynny dramaturg stale obracał się w towarzystwie hollywoodzkich gwiazdeczek i był na tyle próżny, żeby uważać je za fascynujące.

– Prawda jest taka, że zwyczajnie się sobą znudziliśmy – przyznała Izzie. – W każdym małżeństwie tak bywa. To nieuniknione.

To właśnie Izzie znalazła Hugh. – Siedział na leżaku przed domem. – Wiklinowe meble ogrodowe dawno już się rozpadły i zostały zastąpione banalnymi leżakami. Hugh był mocno poirytowany pojawieniem się owych składanych konstrukcji z drewna i płótna. Z pewnością w tej ostatniej chwili wolałby spoczywać na wiklinowym szezlongu. Myśli Ursuli stale krążyły wokół takich sprzeczności. Łatwiej się z nimi pogodzić, stwierdziła, niż z brutalną prawdą o śmierci Hugh.

– Myślałam, że po prostu śpi – mówiła potem Sylvie szwagierka – i nie chciałam mu przeszkadzać. Lekarz stwierdził zawał.

– Wyglądał tak spokojnie – opowiadała Ursuli Izzie. – Jakby nie miał nic przeciwko umieraniu.

Ursula uważała, że prawdopodobnie miał bardzo wiele przeciwko umieraniu, ale żadna z nich nie znalazłaby w tym pocieszenia.

Jej rozmowy z matką ograniczały się do minimum. Sylvie sprawiała wrażenie, jakby przez cały czas miała ochotę wyjść z pokoju. – Nie mogę usiedzieć na miejscu – wyznała. Miała na sobie stary kardigan Hugh. – Zimno mi – powtarzała. – Tak strasznie mi zimno. – Jak komuś w ciężkim szoku. Panna Woolf wiedziałyby, jak z nią postąpić. Prawdopodobnie napiłyby ją gorącą, słodką jak ulepek herbatą i dodała kilka ciepłych słów, ale ani Ursula, ani Izzie nie były zdolne zaoferować jej żadnej z tych rzeczy. Ursula przeczuwała, że kryje się za tym chęć odwetu, lecz w istocie każda z nich liżała własne rany.

– Zostanę z nią przez pewien czas – oznajmiła Izzie. Ursula uznała, że to fatalny pomysł; przyszło jej do głowy, czy ciotka nie chce przypadkiem uniknąć w ten sposób bombardowań.

– W takim razie niech się pani postara o książeczkę z kartkami żywnościovymi – mruknęła Bridget. – Inaczej obje nas pani z całych zapasów. – Śmierć Hugh bardzo dotknęła Bridget. Zastawszy ją pochlipującą w spiżarni, Ursula wyjąkała: – Tak bardzo mi przykro – jakby to Bridget straciła ojca, a nie ona. Bridget energicznie otarła fartuchem łzy i odparła: – Muszę podać herbatę.

Jeśli chodzi o Ursulę, spędziła w domu jeszcze tylko dwa dni i w tym czasie głównie pomagała Bridget porządkować rzeczy Hugh. („Ja nie mogę – jęknęła Sylvie – po prostu nie mogę”. „Ja też nie” – stwierdziła Izzie. „W takim razie zostaliśmy tylko ty i ja” – oznajmiła Ursuli Bridget). Ubrania Hugh były tak bardzo realne, iż fakt, że człowiek, który je nosił, z dnia na dzień przestał istnieć, wydawał się czymś absurdalnym. Ursula wyjęła z szafy jeden z garniturów ojca i mocno się do niego przytuliła. Gdyby Bridget jej go nie odebrała, mówiąc: „To porządny garnitur, komuś na pewno się przyda”, byłaby się wczłogała do szafy z postanowieniem, aby też umrzeć. Dzięki Bogu Bridget już w pełni panowała nad swoimi emocjami. Ursula musiała przyznać, że w obliczu tragedii taki hart ducha bywa wprost bezcenny. Jej ojciec na pewno pochwaliłby zachowanie Bridget.

Zapakowały odzież Hugh w brązowy papier i obwiązały paczki sznurkiem, a następnie mle-

czarzą załadował je na swój wózek i odwiózł do punktu Ochotniczej Służby Kobiet.

Izzie była rozdarta żalem po śmierci brata. Snuła się za Ursulą po całym domu, siłą wspomnień usiłując przywrócić go do życia. Ursula przypuszczała, że nie jest w tym odosobniona; myślała, iż odszedł na zawsze, była tak niemożliwa do zaakceptowania, że każda z nich na swój sposób próbowała wydobyć go z nicości, a najbardziej Izzie. – Nie mogę sobie przypomnieć ostatnich słów, jakie od niego usłyszałam – wyznała. – Ani tych, jakie on ode mnie usłyszał, skoro już o tym mowa.

– To już niczego nie zmieni – westchnęła Ursula ze znużeniem. Czyja strata była zresztą boleśniejsza, córki czy siostry? Zaraz jednak pomyślała o Teddym.

Sama też próbowała odtworzyć w pamięci ostatnie słowa wypowiedziane do ojca i doszła do wniosku, że było to nonszalanckie: „Do zobaczenia wkrótce”. Co za ironia losu. – Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie ten ostatni raz – pocieszyła ciotkę i nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to jak oklepany banal. Do tej pory była świadkiem tylu cudzych cierpień, że w zasadzie zdążyła się na nie kompletnie znieczulić. Z wyjątkiem tej jednej chwili, gdy tuliła do siebie jego garnitur (w myślach nazywała ją – śmiechu warte! – swoim „garderobianym momentem”), Ursula zamknęła śmierć Hugh w najdalszym zakątku umysłu, zamierzając zmierzyć się z nią później. Najlepiej wtedy, gdy inni przestaną o niej gadać.

– Chodzi też o to, że... – podjęła Izzie.

– Proszę cię – przerwała jej Ursula. – Okropnie boli mnie głowa.

Wybierała właśnie jajka z kurzych gniazd, gdy do kurnika przywlokła się Izzie. Kury nie spokojnie gdakały – najwyraźniej brakowało im czulej opieki Sylvie, dyżurnej kokoszy. – Posłuchaj – odezwała się ciotka – muszę ci coś powiedzieć.

– Tak? – odparła nieuważnie Ursula, zajęta szczególnie wydajną nioską.

– Mam dziecko.

– Co?!

– Jestem matką – oznajmiła Izzie, wyraźnie nie mogąc się powstrzymać od melodramatycznych tonów.

– Urodziłaś dziecko, będąc w Kalifornii?

– Nie, skąd – roześmiała się Izzie. – To było wieki temu. Sama byłam wtedy dzieckiem. Miałam szesnaście lat. Urodziłam go w Niemczech. Jak możesz się domyślić, wysłano mnie za granicę, żebym nie przyniosła wstydu rodzinie. To był chłopiec.

– W Niemczech? I co, ktoś go tam adoptował?

– Tak. A właściwie został oddany. Hugh wszystkiego dopilnował i jestem pewna, że trafił do bardzo porządnej rodziny. Tym samym jednak uczynił go zakładnikiem losu, prawda? Biedny Hugh, był dla mnie wtedy prawdziwym oparciem, bo nasza matka nie chciała sobie brudzić rąk. Ale widzisz, to znaczy, że musiał znać nazwisko tych ludzi, ich adres i tak dalej. – Kury robiły coraz większy zgiełk, więc Ursula powiedziała: – Wyjdźmy na zewnątrz.

– Zawsze sądziłam – mówiła dalej Izzie, biorąc bratanicę pod rękę i skracając na trawnik przed domem – że pewnego dnia porozmawiam z Hugh o tym, co zrobił z moim dzieckiem, i może nawet spróbuję je odszukać. Mojego syna – dodała, smakując to słowo, jakby było dla niej zupełnie nowe. Z oczu pociekły jej łzy. Po raz pierwszy jej emocje zdawały się rzeczywiście pochodzić z głębi serca. – A teraz Hugh już nie ma i nigdy nie zdołam odnaleźć mojego maleństwa. Oczywiście nie jest już dzieckiem, ma tyle lat co ty.

– Co ja? – powtórzyła Ursula, usiłując jakoś to sobie wyobrazić.

– Tak. Tyle że teraz to nasz wróg. Kto wie, może właśnie jest gdzieś tam, w górze – obie automatycznie uniosły głowy i spojrzały na błękitne, jesienne niebo, wolne zarówno od swoich, jak i wrogich samolotów – albo walczy na froncie. Może już nie żyje albo wkrótce zginie, jeśli ta nieszczęsna wojna się nie skończy. – Izzie już całkiem otwarcie płakała. – Na Boga, przecież on mógł się wychowywać w żydowskiej rodzinie! Hugh nie był antysemitą, przeciwnie, bardzo się przyjaźnił z tym waszym sąsiadem – jak on się nazywał?

– Pan Cole.

– A chyba wiesz, co spotyka Żydów w Niemczech, prawda?

– Och, na litość boską – warknęła Sylvie, wyrastając naraz jak spod ziemi niczym zła wróżka. – O co znów tyle hałasu?

– Uważam, że powinnaś wrócić ze mną do Londynu – zwróciła się Ursula do Izzie. Łatwiej będzie ciotce znieść naloty Luftwaffe niż towarzystwo Sylvie.

Listopad 1940

Panna Woolf zafundowała im mały recital fortepianowy. – To tylko parę utworów Beethovena – zapowiedziała. – Żadna ze mnie Myra Hess, ale pomyślałam, że będzie nam przyjemnie. – W obydwu sprawach miała rację. Pan Armitage, śpiewak operowy, poprosił ją, aby mu akompaniowała podczas arii *Non più adrai z Wesela Figara*, na co panna Woolf, wyjątkowo chętna tego wieczoru, stwierdziła, że z przyjemnością spróbuje. Było to porywające wykonanie („zaskakująco *jur-na*”, brzmiał werdykt panny Woolf), więc nikt nie protestował, gdy pan Bullock (no jasne) i pan Simms (o dziwo) przyłączyli się do nieco sprośnej wersji pieśni o trudach żołnierskiego życia.

– Znam to, znam! – zawołała Stella, co było prawdą, tylko jeśli chodzi o melodię, bo entuzjastycznie podśpiewywała: – *Dum-di-dum, dum-di-dum, dum-di-dum-dum* – i tak dalej.

Ich zespół powiększył się ostatnio o dwóch nowych strażników. Pierwszy z nich, pan Emalie, był sklepikarzem i przeszedł do nich z innej ekipy po tym, jak w bombardowaniu stracił dom, sklep i cały sektor. Podobnie jak pan Simms, a przed nim pan Palmer, on także był weteranem poprzedniej wojny. Drugi „nabytek” miał zdecydowanie barwniejszy rodowód. Stella, bo o niej mowa, była jedną z „tancerek” pana Bullocka i wyznała (bez większych oporów), iż jako „artystka sceniczna” rozbierała się na scenie, na co śpiewak operowy pan Armitage odparł: – My tu wszyscy jesteśmy artystami, skarbie.

– Co za cholerna ciota – mruknął pan Bullock. – Wzięliby go w kamasze i od razu nabrałby rozumu. – Wątpię – rzekła panna Woolf. (Przy czym aż się prosiło zapytać, czemu taki krzepki mężczyzna jak pan Bullock nie został wcielony do aktywnej służby wojskowej). – No to teraz – podsumował pan Bullock – mamy wśród nas Żydka, pedzia i dziwkę, wypisz, wymaluj, numer z wodewilu.

– Nie bylibyśmy tutaj, gdyby właśnie nie brak tolerancji – upomniała go łagodnie panna Woolf. Od śmierci pana Palmera wszyscy chodzili poirytowani. Ursula pomyślała, że lepiej byłoby odłożyć wzajemne urazy na czas pokoju. Rzecz jasna, nie chodziło jedynie o śmierć pana Palmera, ale także o niedobór snu i nieustanne nocne naloty. Jak długo Niemcy zamierzali to ciągnąć? Bez końca?

– Poza tym... sama nie wiem – zwierzyła jej się cicho panna Woolf, parząc herbatę. – To poczucie wszechogarniającego *brudu*, jakby nikt z nas już nigdy nie miał być czysty, jakby biedny stary Londyn już nigdy nie miał być czysty. Wszystko tak okropnie *podupadło*, prawda?

Wobec powyższego z ulgą przyjęli fakt, że ich mały, spontaniczny koncert odbywa się w atmosferze wzajemnej życzliwości i po raz pierwszy od dłuższego czasu wszystkim dopisuje humor.

Po arii z *Figara* pan Armitage już bez akompaniamentu zaprezentował im płomienną wersję *O mio babbino caro* („Cóż za wszechstronny talent – zauważyła panna Woolf. – Zawsze sądziłam, że to aria kobieca”), którą nagrodzili gorącymi oklaskami. Potem ich uciekinier, Herr Zimmerman, powiedział, że zaszczytem będzie móc im coś zagrać.

– A potem ty się rozbierzesz, nie, mała? – zaczął Stellę pan Bullock, na co ta odparła: – Jeśli pan sobie życzy – i mrugnęła porozumiewawczo do Ursuli. („Ale ze mnie dureń, żeby tak utknąć z samymi komunistkami” – narzekał pan Bullock. I to bardzo często).

Panna Woolf wyglądała na zaniepokojoną. – Przyniósł pan *tutaj* swoje skrzypce? – zwróciła się do Herr Zimmermana. – Czy aby są tu *bezpieczne*? – Nigdy przedtem nie przynosił instrumentu na kwaterę. Według panny Woolf był on bardzo cenny, i to nie tylko pod względem materialnym, jako że Herr Zimmerman zostawił w Niemczech całą rodzinę i skrzypce stanowiły dla niego jedyną pamiątkę po tamtym życiu. Panna Woolf zwierzyła się Ursuli, że pewnego razu odbyła z nim „poruszającą” całonocną „pogawędkę” na temat sytuacji w Niemczech. – Dzieją się tam straszne rzeczy – dodała.

– Wiem – mruknęła Ursula.

– Naprawdę? – spytała z zaciekawieniem panna Woolf. – Masz tam kogoś znajomego?

– Nie – odrzekła Ursula. – Nie mam tam nikogo. Ale czasami takie rzeczy po prostu się *wie*, prawda?

Herr Zimmerman wyciągnął skrzypce, mówiąc: – Musicie mi państwo wybaczyć, nie jestem solistą – po czym niemal przepaszającym tonem oznajmił: – Bach, sonata g-moll.

– Jakie to zabawne – szepnęła Ursuli do ucha panna Woolf – że słuchamy aż tyle niemieckiej muzyki. Prawdziwe piękno nie ma granic. Może właśnie ono uleczy nasze rany, gdy ta wojna wreszcie się skończy. Pomyśl tylko o *IX symfonii – Alle Menschen werden Brüder*³⁰.

Ursula nie odpowiedziała, gdyż Herr Zimmerman właśnie uniósł smyczek, gotowy do występu, a w pomieszczeniu zapadła cisza jak makiem zasiał, jakby znajdowali się w sali koncertowej, a nie w podłej wojennej kwaterze. Cisza ta wynikała po części z jakości wykonania („wielce podniosłego”, jak stwierdziła później panna Woolf, „przepięknego”, jak oceniła je Stella), a po części być może z szacunku dla Herr Zimmermana i jego statusu uchodźcy. A przy tym wszystkim była jeszcze muzyka, pozwalająca każdemu z nich zatonać głęboko we własnych myślach. Ursula przyłapała się na tym, że duma nad śmiercią Hugh, a właściwie bardziej nad jego nieobecnością niż śmiercią. Od jego odejścia minęły zaledwie dwa tygodnie, a ona wciąż spodziewała się lada dzień go zobaczyć. Właśnie takie myśli chciała zachować na później i oto przyszłość niespodziewanie ją dopadła. Uniknęła na szczęście krępujących łez – co za ulga! – lecz mimo to pogrzyżała się w otchłani melancholii. Jakby wyczuwając jej nastrój, panna Woolf wyciągnęła rękę i mocno ścisnęła jej dłoń. Ursula poczuła, że zwierchniczka sama aż drży od skrywanych emocji.

Gdy muzyka się urwała, nastąpiła chwila niczym niezmaconej, głębokiej ciszy, jakby cały świat wstrzymał oddech, a następnie, zamiast zasłużonego aplauzu, ciszę tę przerwał alarm bombo-
wy – „nalot w ciągu najbliższych dwudziestu minut”. Aż dziwnie było pomyśleć, że ostrzeżenie wyszło z jej rodzimej kwatery obrony cywilnej dla obwodu londyńskiego, rozesłane przez dziewczętą z działu dalekopisów.

– No cóż, chodźmy – powiedział pan Simms, wstając i wzdychając ciężko – pora ruszać. – Zanim się zebrali, ogłoszono czerwony alert. W najlepszym razie mieli dwanaście minut, żeby zapędzić ludzi do schronów przy wtórze wyjących syren.

Ursula nigdy nie korzystała z publicznych schronów; w tym ścisłym, klaustrofobii zamkniętego pomieszczenia było coś, co sprawiało, że przechodziły ją ciarki. Pewnego razu zostali wezwani na miejsce wyjątkowo makabrycznego zdarzenia w swoim sektorze – podwieszona do spadochronu bomba trafiła w sam środek schronu. Ursula była zdania, że woli umrzeć na świeżym powietrzu niż uwięziona niby lis w norze.

Był piękny wieczór. Nów księżycy i towarzyszący mu orszak gwiazd prześwieślały czarną materię nocy. Ursula przypominała sobie hymn Romea, wygłaszany na cześć Julii: „Piękność jej wisi u nocnej opaski, jak drogi klejnot u uszu Etiopa”³¹. Była w poetycznym nastroju – niektórzy, jej samej nie wyłączając, mogliby powiedzieć, że nazbyt poetycznym – co wynikało z żalobnego stanu jej ducha. Nie było też pana Durkina, którego cytaty mogłaby poprawiać – podczas jednego z nalotów doznał zawału serca. Dzięki Bogu „szybko wracał do zdrowia”, jak przekazała jej panna Woolf. Ich zwierchniczka znalazła czas, aby odwiedzić go w szpitalu, w związku z czym Ursula nie miała żadnych wyrzutów sumienia, że sama tego nie uczyniła. Hugh nie żył, w przeciwieństwie do pana Durkina, i w jej sercu nie było miejsca na współczucie. Stanowisko zastępcy panny Woolf, sprawowane dotychczas przez pana Durkina, objął teraz pan Simms.

Wraz z początkiem nalotu zaczęła się jazgotliwa wojenna uwertura. Huk dział obrony przeciwlotniczej i ten monotony, nierytmiczny warkot silników wroga nad ich głowami, który przyprawił ją o mdłości. Artyleryjskie wystrzały, światła reflektorów niczym natarczywe palce dźgające nocne niebo, nieme oczekiwanie tragedii – wszystko to szybko wybiło jej z głowy wszelką poezję.

Gdy dotarli na miejsce bombardowania, byli tam już wszyscy święci: gazownicy i hydraulicy, oddział saperów, ekipy ratowników z lekkim i ciężkim sprzętem, sanitariusze z noszami oraz ambulans z kostnicy (za dnia furgonetka piekarza). Ulica była jednym wielkim kłębem strażackich węży, jako że po jednej jej stronie płonął właśnie w najlepsze budynek, sypiąc iskrami

i rozżarzonymi węglami. Ursuli zdawało się, że w świetle buchających płomieni mignęła jej znajoma twarz Freda Smitha, ale zaraz doszła do wniosku, że to wyobraźnia spletała jej figła.

Ratownicy jak zwykle zachowywali najwyższą ostrożność, jeśli chodzi o latarki i lampy, jakby nie pamiętali, że tuż za plecami mają ścianę ognia. Zarazem z ust każdego z nich dyndał papieros, chociaż spece z gazowni nie zdążyli jeszcze zabezpieczyć terenu, nie mówiąc już o obecności saperów, dobitnie świadczącej o tym, iż na miejscu w każdej chwili może wybuchnąć bomba. Wszyscy po prostu robili to, co do nich należało (skoro nie ma innej rady...), niefrasobliwi w obliczu możliwej katastrofy. A może niektórzy najzwyczajniej w świecie niczym się już nie przejmowali (Ursula zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem sama się do nich nie zalicza).

Ogarnął ją dziwny niepokój, coś na kształt przeczucia, że tej nocy sprawy nie potoczą się pomyślnie. – To wszystko przez Bacha – pocieszała ją panna Woolf. – Jego muzyka tak bardzo porusza duszę.

Okazało się, że ulica stanowi granicę dwóch sektorów i dowódca akcji ratunkowej klócił się właśnie z dwoma strażnikami, z których każdy rościł sobie prawa do jej przeprowadzenia. Panna Woolf nie przyłączyła się do tej utarczki, gdyż jak się okazało, nie był to nawet ich sektor. Zdarzenie było jednak na tyle poważne, że ich zwierzchniczka uznała, iż powinni zakasać rękawy i brać się do roboty niezależnie od tego, co ktoś na ten temat myśli.

– Zupełnie jak wyjęci spod prawa – zauważył z uznaniem pan Bullock.

– Bez przesady – skrzywiła się panna Woolf.

Ta strona ulicy, która się nie paliła, poważnie ucierpiała, jeśli chodzi o zniszczenia. Ich nozdrza natychmiast wypełniła ostra, kwaśna woń ceglanego pyłu i kordytu. Ursula próbowała ratować się myślą o łące na tyłach zagajnika w Fox Corner. O lnie i ostrózkach, jaskrach, makach, lepnicy czerwonej i złocieniach. Usiłowała przypomnieć sobie zapach świeżo skoszonej trawy i rześkość letniej ulewy. Był to jej najnowszy sposób na odwracanie uwagi od duszących woni gruzowiska po wybuchu bomby. („I co, to działa?” – zaciekawiał się pan Emslie. „Nieszczególnie” – przyznała Ursula). – Ja myślałam kiedyś o perfumach mojej matki – zwierzyła im się panna Woolf. – „Wiosenne Fiołki”. Niestety teraz, kiedy próbuję je sobie przypomnieć, przychodzą mi na myśl same eksplozje.

Ursula poczęstowała pana Emsliego miętówką. – Trochę pomagają – dodała.

Im bliżej gruzowiska, tym tragiczniej to wyglądało (Ursula przekonała się, że odwrotna sytuacja była rzadkością).

Na miejscu powitała ich makabryczna panorama – wszędzie wokół leżały poszarpane ciała, niczym krawieckie manekiny, całkiem odarte z ubrań. W wielu przypadkach był to sam pozbawiony kończyn tułów. Ursula przypomniła sobie prawdziwe manekiny, jakie widziała z Ralphem na Oxford Street po zbombardowaniu domu towarowego Johna Lewisa. Na razie nie odnaleziono nikogo żywego, więc z braku rannych sanitariusz układał na noszach osierocone kończyny – sterczące z gruzów ręce i nogi. Wyglądało to tak, jakby w jakimś późniejszym terminie zamierzał poskładać z nich ciała zmarłych. Czy ktokolwiek to w ogóle robił? – zastanawiała się Ursula. Na przykład w kostnicy – czy ktoś próbował dopasować do siebie oderwane członki, jak fragmenty jakiejś makabrycznej układanki? Rzecz jasna, niektórych ofiar i tak nie dałoby się rozpoznać – dwóch mężczyzn z ekipy ratowniczej za pomocą grabi i łopaty zbierało do koszy ludzkie szczątki, a jeszcze inny szczotką zeskrobywał coś z fragmentu muru.

Ursula była ciekawa, czy któraś z ofiar była jej znana. Ich mieszkanie w Phillimore Gardens znajdowało się raptem kilka ulic stąd. Może mijala kogoś z tych ludzi rano w drodze do pracy albo zamieniła z nimi kiedyś parę słów w sklepie spożywczym lub u rzeźnika?

– Podobno wielu osób nie udało się odnaleźć – poinformowała ich panna Woolf. Rozmawiała przed chwilą z dowodzącym akcją, któremu chyba ulżyło, że ma do czynienia z kimś obdarzonym zdrowym rozsądkiem. – Na pewno ucieszy was wiadomość, że od tej chwili działamy już w granicach prawa.

Piętro wyżej ponad człowiekiem ze szczotką (choć właściwie budynek nie miał już żadnych pięter) na wbitym w ścianę haku tkwił wieszak, a na nim wisiała jakaś sukienka. Ursula często przyłapywała się na tym, że bardziej wzrusza ją widok drobnych pamiątek domowego życia – czajnika, wciąż stojącego na kuchence, czy stołu nakrytego do kolacji, która nigdy się nie odbędzie –

niż całego ogromu nieszczęść i zniszczeń, jaki ich otaczał. Teraz jednak wystarczył jej drugi rzut oka na suknię, aby stwierdzić, że tkwi w niej ciało kobiety; eksplozja urwała jej głowę i nogi, ale ramiona oszczędziła. Kapryśny charakter ładunków burząco-zapalających nie przestawał jej zdumiewać. Kobieta zdawała się w jakiś sposób wtapiać w ścianę za sobą. Łuna pożaru była tak jasna, że Ursula mogła dostrzec wciąż przypiętą do sukienki broszkę: czarnego kota z kryształem górskim zamiast oka.

Gdy próbowała przedostać się do tylnej ściany budynku, gruz niepokojąco przesuwiał się jej pod stopami. Na rumowisku, plecami wsparta o mur, siedziała jakaś kobieta, z rękoma i nogami rozrzuconymi jak u szmacianej lalki. Wyglądała tak, jakby siła wybuchu wyrzuciła ją w powietrze, a następnie cisnęła byle jak na ziemię – i tak pewnie było. Ursula usiłowała przywołać sanitariusza z noszami, ale akurat nadciągnęła eskadra bombowców i nikt jej nie usłyszał w ogłuszającym ryku.

Kobieta była cała szara od pyłu, tak że trudno byłoby określić jej wiek. Na ręce miała paskudną, osmaloną oparzelinę. Ursula przetrząsnęła swoją apteczkę w poszukiwaniu tubki specyfiku na oparzenia i nałożyła trochę maści na ranę. Nie wiedzieć czemu miała wrażenie, że stan kobiety jest zbyt poważny, aby maść mogła jej pomóc. Pożałowała, że nie ma ze sobą wody; aż przykro było patrzeć na spieczoną wargi ranę. Niespodziewanie kobieta otworzyła ciemne oczy. Jej rzęsy były białe od pyłu. Chciała coś powiedzieć, ale tak zachrypla, że Ursula nie rozumiała ani słowa. Może kobieta była cudzoziemką? – O co chodzi? – zapytała. Miała przeczucie, że tamta jest o włos od śmierci.

– Dziecko – wychrypiała naraz kobieta. – Gdzie moje dziecko?

– Dziecko? – powtórzyła automatycznie Ursula i rozejrzała się dokoła. Nigdzie nie dostrzegła żadnego dziecka, ale mogło być gdziekolwiek, pogrzebane pod gruzami.

– Na imię – wyszeptała gardłowo i niewyraźnie kobieta – na imię ma Emil.

– Emil?

Kobieta niemal niedostrzegalnie skinęła głową, jakby nie była już w stanie mówić. Ursula jeszcze raz rozejrzała się za jakimkolwiek śladem dziecka. Gdy ponownie odwróciła się do rannej, żeby zapytać o wiek Emila, głowa kobiety zwisała już bezwładnie. Ursula spróbowała wyczuć puls – nadaremnie.

Zostawiła kobietę tam, gdzie siedziała, i poszła szukać żywych.

– Możesz zanieść panu Emsliemu tabletkę z morfiną? – poprosiła panna Woolf. Wyraźnie słyszały, jak jakaś kobieta wrzeszczy i klnie jak szewc, a mimo to zwierzchniczka dodała: – To dla tej pani, która robi tyle hałasu. – Generalna zasada mówiła, że im kto głośniej krzyczy, tym większe są jego szanse na przeżycie. Ta konkretna ranna sprawiała wrażenie, jakby miała o własnych siłach wydobyć się spod gruzów zawalonego domu i obieć całe Kensington Gardens.

Pan Emslie znajdował się w piwnicy budynku, więc Ursula została tam najpierw opuszczona przez dwóch mężczyzn z ekipy ratowniczej, a następnie już samodzielnie musiała przeczołgać się przez barykadę ze strzaskanych legarów i rozbitych cegieł. Nie opuszczała jej przy tym świadomość, że cała konstrukcja budynku spoczywa właśnie na tymże niepewnym fundamencie. Znalazła pana Emsliego wyciągniętego niemal na płask obok jakiejś kobiety. Jej ciało od pasa w dół było całkowicie uwięzione pod rumowiskiem, ranna była jednak przytomna i w niezwykle elokwentny sposób dawała im do zrozumienia, co myśli o swoim położeniu.

– Zaraz cię stąd wyciągniemy – uspokajał ją pan Emslie. – A potem dostaniesz filiżankę gorącej herbaty. I co ty na to? Świetny pomysł, prawda? Sam chętnie bym się napił. O, widzisz, panna Todd przyniosła ci coś na uśmierzanie bólu – ciągnął łagodnie. Ursula podała mu tabletkę z morfiną. Był tak przekonujący w swojej obecnej roli, że trudno było go sobie wyobrazić w fartuchu sklepikarza, odważającego cukier i krojącego masło.

Jedna ze ścian piwnicy została obłożona workami z piaskiem, lecz większość piasku rozsypana się na skutek wybuchu i przez krótką, niepokojąco oniryczną chwilę Ursuli wydawało się, że jest na plaży nie wiadomo gdzie, obok niej toczy się staroświecka obręcz, gnana rzeską bryzą, a mewy skrzeczą tuż nad jej głową, po czym równie gwałtownie znalazła się z powrotem w piwnicy. Pomyślała, że oto daje znać o sobie chroniczny brak snu – istotnie, fatalnie to znosiła.

– Szkoda, że nie później, do cholery – mruknęła kobieta, chciwie sięgając po tabletkę z mor-

fiń. – Można by pomyśleć, że dla was to jakaś pieprzona popołudniowa herbatka. – Wyglądała młodo i, jak stwierdziła Ursula, dziwnie znajomo. Nawet na moment nie wypuszczała z rąk sporej czarnej torebki, jakby to było koło ratunkowe, dzięki któremu mogła się utrzymać na powierzchni tego morza drewna. – Ma któreś z was szluga? – zapytała. Z pewnym trudem – biorąc pod uwagę niewygodną pozycję, w jakiej się znajdowali – pan Emslie wyciągnął z kieszeni zgniecioną paczkę playersów, po czym z jeszcze większym trudem wydobył pudełko zapalek. Palce dziewczyny niecierpliwie bębniły o skórzaną torebkę. – Nie musisz się tak spieszyć – rzuciła z sarkazmem.

– Wybaczcie – dodała zaraz, zaciągając się głęboko. – Jak człowiek utknął w takim *endroit*, to nic dziwnego, że nerwy go zawodzą.

– Renée? – spytała z niedowierzaniem Ursula.

– A co ci do tego? – warknęła tamta, wracając do wcześniejszego gburowatego tonu.

– Kilka tygodni temu spotkałyśmy się w toalecie hotelu Charing Cross.

– Chyba bierzesz mnie za kogoś innego – stwierdziła sztywno dziewczyna. – Stale mi się to zdarza. Widać mam pospolitą twarz.

Znowu głęboko się zaciągnęła, po czym powoli i z nieopisaną przyjemnością wydmuchnęła dym. – Masz więcej tych piguleczek? – zapytała. – Założę się, że na czarnym rynku dostałabyś za nie dobrą cenę. – Mówiła coraz bardziej bełkotliwie i Ursula domyśliła się, że morfina zaczęła działać. Lecz w tej samej chwili papieros wysunął się rannej z palców, oczy uciekły jej w tył głowy, a ciałem zaczęły wstrząsać gwałtowne konwulsje. Pan Emslie chwycił kobietę mocno za rękę.

Ursula spojrzała na niego i kątem oka dostrzegła w tle barwną reprodukcję obrazu Millaisa *Bańki mydlane*, dyndającą na kawałku taśmy klejącej przy jednym z worków z piaskiem. Nie cierpiała tego obrazu, nie cierpiała wszystkich prerafaelitów z tymi ich portretami omdlewających kobiet, które wyglądały jak po zażyciu narkotyków. Zaraz jednak uznała, że nie jest to dobry czas ani miejsce, żeby zabawiać się w krytyka sztuki. Zdążyła niemal całkiem zobojeźnić na otaczającą ją śmierć. Jej dusza, dotąd tak miękka, nabrała twardości kryształu. (I bardzo dobrze, stwierdziła). Była jak zahartowany w ogniu miecz. I znowu wydało jej się, że jest gdzieś indziej – taki mały przeskok w czasie. Schodziła po schodach, kwitła glicynia, a ona wypadła z okna.

Pan Emslie nie przestawał dodawać Renée otuchy. – Daj spokój, Susie, nie poddawaj nam się teraz. Ani się obejrzyj, jak cię stąd wyciągniemy, zobaczysz. Wszyscy chłopcy nad tym pracują. I wszystkie dziewczyny – dodał ze względu na obecność Ursuli. Konwulsje ustąpiły, lecz dla odmiany Renée zaczęła się okropnie trząść, więc pan Emslie powiedział, tym razem bardziej dobitnie: – Ejże, Susie, daj spokój, dziewczyno, nie zasypiaj mi tu, bardzo cię proszę.

– Ona ma na imię Renée – wtrąciła Ursula – chociaż temu zaprzecza.

– Wszystkie je nazywam „Susie” – odrzekł cicho pan Emslie. – Miałem kiedyś córeczkę o tym imieniu. Dyfteryt mi ją odebrał, jak była jeszcze całkiem malutka.

Renée drgnęła gwałtownie po raz ostatni i w jej na wpół przymkniętych oczach zgasło życie.

– Już po niej – stwierdził ze smutkiem pan Emslie. – Najpewniej obrażenia wewnętrzne. – Starannym pismem sklepikarza zanotował na kartce adres – Argyll Road – i przywiązał ją martwej dziewczynie do palca. Ursula wyciągnęła torebkę z opornych ramion Renée i wysypała jej zawartość. – Dokumenty – powiedziała, podsuwając je panu Emsliemu. Widniało tam czarno na białym: „Renée Miller”. Pan Emslie dopisał nazwisko na karteczce.

Podczas gdy pan Emslie rozpoczął skomplikowany manewr odwracania się, ażeby wydostać się z piwnicy, Ursula podniosła złotą papierośnicę, która wypadła wraz z puderniczką, szminką, jakimiś listami po francusku i Bóg wie czym jeszcze, co stanowiło zawartość torebki Renée. Nie miała wątpliwości, że to złodziejski łup, a nie prezent. W żaden sposób nie potrafiła sobie wyobrazić Renée i Crightona choćby w jednym pokoju, nie mówiąc już o jednym łóżku. Chociaż wojna łączyła ludzi w doprawdy przedziwne pary. Musiał poderwać ją w jakimś hotelu czy innym, mniej przyzwoitym *endroit*. Gdzie Renée zdołała nauczyć się francuskiego? Najprawdopodobniej знаła tylko kilka słów. Na pewno nie od Crightona; on akurat uważał, że znajomość angielskiego najzupełniej wystarcza, aby rządzić światem.

Ursula wsunęła papierośnicę do kieszeni wraz z dokumentami.

Usiłowali wydostać się z piwnicy (wcześniej zrezygnowali z prób obrócenia się w wąskim

przejściu), gdy całe rumowisko drgnęło w zatrważający sposób. Na jedną chwilę, która zdała im się wiecznością, zamarli sparaliżowani strachem, przyczajeni jak koty, nie śmiejąc choćby odetchnąć. Gdy stwierdzili, że niebezpieczeństwo minęło, okazało się, że przemieszczone belki i gruz uniemożliwiają im przedarcie się przez barykadę, a oni są zmuszeni poszukać innego krętego wyjścia z labiryntu, czołgając się na czworakach przez zmasakrowane trzewia budynku. – Przez tę dziesiętą hecę na dobre załatwię sobie kręgosłup – mrucał za jej plecami pan Emslie.

– A ja kolana – narzekała Ursula. Z uporem brnęli przed siebie, nie zważając na znużenie. Ursula pocieszała się myślą o toście posmarowanym masłem, choć w Phillimore Gardens akurat zabrakło im masła, a jeśli Millie nie wyszła, żeby odstać swoje w kolejce (co było mało prawdopodobne), to także i chleba.

Piwnica zdawała im się niekończącym labiryntem. Do Ursuli z wolna zaczynało docierać, czemu tam na górze nie mogli się doliczyć aż tylu mieszkańców – bo wszyscy byli tutaj ukryci. Najwyraźniej ta część piwnicy służyła lokatorom budynku jako schron. Obecni tu zmarli – mężczyźni, kobiety, dzieci, nawet pies – wyglądali, jakby zostali żywcem pogrzebani tam, gdzie akurat siedzieli. Od stóp do głów pokryci szarym pyłem, przypominali raczej posągi albo skamieliny. Ten widok skojarzył jej się z Pompejami i Herkulanum. Ursula odwiedziła oba te miejsca podczas swojej dumnie nazywanej „wielkiej europejskiej podróży”. Zatrzymała się w Bolonii, gdzie zaprzyjaźniła się z pewną energiczną Amerykanką o imieniu Kathy. Zanim Ursula wyruszyła do Francji, będącej ostatnim etapem jej rocznej podróży, wspólnie wybrały się na objazd Włoch i odwiedziły Wenecję, Florencję, Rzym oraz Neapol.

W Neapolu, mieście, które po prawdzie raczej je przeraziło, wynajęły gadatliwego przewodnika i spędziły najdłuższy dzień w swoim życiu, mozolnie obchodząc w bezlitosnym, południowym słońcu rozpalone, zakurzone ruiny zaginionych miast Cesarstwa Rzymskiego.

– O rany – westchnęła Kathy, gdy wlokły się przez wyludnione Herkulanum. – Żałuję, że komuś chciało się ich wykopywać. – Ich przyjaźń przez krótki czas płonęła gwałtownym płomieniem i zgasła, jak tylko Ursula wróciła do Nancy.

„Rozwinęłam skrzydła i nauczyłam się latać – pisała do Pameli zaraz po wyjeździe z Monachium, gdzie zostawiła swoich dotychczasowych opiekunów, państwa Brennerów. – Jestem teraz prawdziwie wyrobioną, światową damą”, choć wciąż była ledwo opierzonym pisklęciem. Jeśli coś sobie w ten sposób udowodniła, to tylko to, że – zważywszy na doświadczenia z całym korowodem prywatnych uczniów – ostatnią rzeczą, na jaką ma w życiu ochotę, jest uczenie.

Dlatego też, mając na względzie ewentualną posadę w administracji państwowej, zaraz po przyjeździe zapisała się na intensywny kurs stenografii i maszynopisania, prowadzony w High Wycombe przez niejakiego pana Carvera, który został później aresztowany za obnażanie się w miejscu publicznym. („Za machanie wackiem?” – wycedził Maurice, krzywiąc z obrzydzeniem wargi, na co Hugh krzyknął, żeby natychmiast wyszedł z pokoju i nigdy więcej nie używał w ich domu podobnego słownictwa. „Dziecinada – mruknął, gdy Maurice trzasnął drzwiami i wypadł do ogrodu. – Czy on aby na pewno dorósł do małżeństwa?”. – Jakiś czas wcześniej Maurice przyjechał i oznajmił im o swoich zaręczynach z panną o imieniu Edwina, najstarszą córką biskupa. „Dobry Boże – jęknęła Sylvie – może jeszcze będziemy musieli przed nim klękać?”.

„Nie bądź śmieszna” – odparł Maurice, na co Hugh krzyknął: „Jak śmiesz zwracać się tak do matki?!”. Ogólnie rzecz biorąc, była to bardzo burzliwa wizyta).

Pan Carver nie był w sumie taki zły. Pasjonował się językiem esperanto, co wówczas wydawało się Ursuli absurdalnym dziwactwem, teraz jednak była zdania, że może dobrze byłoby mieć uniwersalny język, taki jak niegdyś łacina. Zapewne, przyznała jej rację panna Woolf, wspólny język to wspaniała idea, niestety całkowicie utopijna. Jak wszystkie dobre pomysły, dodała ze smutkiem.

Ursula przyjechała do Europy jako dziewczica, ale już nią stamtąd nie wyjechała. A wszystko za sprawą pobytu we Włoszech. („Gdzie znaleźć sobie kochanka, jeśli nie we Włoszech?” – spytała retorycznie Millie). On – Gianni – robił doktorat z filologii na Uniwersytecie Bolońskim i był o wiele bardziej poważny i odpowiedzialny, niż Ursula mogła oczekiwać. (W romansach Bridget Włosi byli zawsze uwodzicielscy, ale zupełnie niegodni zaufania). Gianni nadał całemu wydarzeniu

uroczystą i podniosłą oprawę, dzięki czemu rytuał przejścia w dorosłość okazał się dla Ursuli mniej niezręczny i krępujący, niż się obawiała.

– O rany – westchnęła Kathy – aleś ty odważna! – Przypominała Ursuli Pamelę, oczywiście tylko pod pewnymi względami, bo już nie jeśli chodzi choćby o niewzruszoną negację Darwina. Kathy, zagorzała baptystka, zamierzała zachować cnotę dla przyszłego męża, lecz już kilka miesięcy po jej powrocie do Chicago Ursula odebrała od jej matki list, z którego wynikało, że Kathy utonęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku podczas przejażdżki łodzią. Matce musiał wpaść w ręce jej notes z adresami i postanowiła zawiadomić kolejno wszystkich znajomych córki. Co za okropne zajęcie. Oni po śmierci Hugh zamieścili po prostu nekrolog w „Timesie”. Biedna Kathy na próżno zachowywała wstrzemięźliwość. „Grób, myślę, ten dom zacny i wcale ozdobny, nie jest przecież do schadzki i objęć sposobny”³².

– Panno Todd?

– Przepraszam, panie Emslie. Całkiem tu jak w krypcie, prawda? Pełno zakurzonych trupów.

– Owszem, i dlatego chciałbym się stąd wydostać, zanim zmienię się w jednego z nich.

Czołgając się ostrożnie naprzód, w pewnym momencie natrafiła kolanem na coś miękkiego i giętkiego. Instynktownie się cofnęła i walnęła głową w złamaną krokiew, wzniesając obłok pyłu.

– Wszystko w porządku? – spytał pan Emslie.

– Tak – odparła.

– Zatrzymujemy się?

– Chwileczkę. – Raz zdarzyło jej się nastąpić na ciało, więc tym razem natychmiast rozpoznała charakterystyczną sprężystość surowego mięsa. Doszła do wniosku, że musi spojrzeć, choć – Bóg jej świadkiem – nie miała na to najmniejszej ochoty. Oświetliła latarką coś, co wyglądało jak przykurzona kupka szmat – skrawki materiału, kawałki szydełkowej dzianiny, wstążki i wełna – częściowo wgnieciona w ziemię. Równie dobrze mogła to być zawartość koszyeczka z robótkami. Ale oczywiście nie była. Ursula uniosła pierwszą warstwę wełny, potem jeszcze jedną, jakby odwiłała niechlujnie zapakowany prezent albo zrywała liście z wielkiej, nieporęcznej kapusty. W końcu ze zbitej masy wyłoniła się malutka, niemal nieuszkodzona dłoń, jasna jak gwiazda. Ursula pomyślała, że to może być Emil. Wobec tego lepiej, że jego matka nie żyje i o niczym nie wie, pomyślała.

– Niech pan uważa, panie Emslie – rzuciła do tyłu przez ramię. – Znalazłam niemowlę, niech się pan postara na nie nie nadepnąć.

– Wszystko w porządku? – spytała ją panna Woolf, gdy wreszcie wydostali się z tunelu jak para kretów. Pożar po drugiej stronie ulicy był już prawie ugaszony, wszystko spowijał ponury mrok, brud i sadza. – Ilu? – dodała.

– Całkiem sporo – odrzekła Ursula.

– Łatwo będzie wydobyć ciała?

– Trudno powiedzieć. – Podała zwierchnicze dokumenty Renée. – Na dole jest niemowlę, ale obawiam się, że niewiele z niego zostało.

– Herbata już czeka – poinformowała ją panna Woolf. – Idźcie się napić.

Gdy wraz z panem Emsliem szli w stronę kuchni polowej, Ursula ze zdumieniem dostrzegła w jednej z bram w głębi ulicy przerażonego psa.

– Zaraz pana dogonię – zwróciła się do swojego towarzysza. – Będzie pan tak miły i należe też dla mnie? Z dwiema kostkami cukru.

Z bliska psiak okazał się dość nijakim terierem, który żałośnie popiskiwał i cały trząsł się ze strachu. Z budynku pozostała praktycznie sama sień i Ursula zaczęła się zastanawiać, czy to przypadkiem nie był jego dom. Może cały czas liczył na schronienie albo pomoc i nie wiedział, dokąd miałby sobie pójść. Gdy jednak podeszła bliżej, zwierzę rzuciło się do ucieczki. Cholerny kundel, pomyślała, goniąc go w górę ulicy. W końcu go dopędziła i chwyciła na ręce, zanim znów zdążył jej uciec. Calutki drżał, więc go przytuliła, przemawiając do niego uspokajającym tonem, tak jak pan Emslie zwracał się do Renée. Przycisnęła twarz do jego futerka (był brudny jak nieboskie stworzenie, ale w zasadzie o niej można by powiedzieć to samo). Pomyślała, że jest taki mały i bezbron-

ny. „Rzeź niewiniątek” – westchnęła panna Woolf, gdy dotarła do nich wiadomość o zbombardowaniu szkoły na East Endzie. Ale czyż wszyscy nie byli niewinni? (Albo właśnie – winni?). – Na pewno nie ten nadęty bufon Hitler – orzekł Hugh podczas ich ostatniej rozmowy. – To wszystko jego wina, cała ta wojna. – Czy naprawdę już nigdy nie miała zobaczyć swojego ojca? Z jej ust wyrwało się łkanie, a pies zaskomlał – ze strachu albo współczucia, trudno było powiedzieć. (W rodzinie Toddów nie było nikogo – poza Maurice’em – kto nie przypisywałby psom ludzkich emocji).

W tej samej chwili z tyłu za nimi rozległ się potworny huk. Pies znowu próbował jej się wyrwać, więc musiała go trzymać ile sił. Gdy się odwróciła, ujrzała, jak ściana szczytowa budynku, w którym dogasał pożar, wali się niemal w jednym kawałku, a cegły z gruchotem sypią się na ziemię, prosto na ich kuchnię polową.

Zginęły dwie kobiety z Ochotniczej Służby Kobiet, pan Emslie, a także Tony, ich mały łącznik, który akurat przeżywał obok na rowerze, niestety niewystarczająco szybko. Panna Woolf, niepomna na ból, uklękła na rozbitych ceglach i wzięła go za rękę. Obok niej przykucnęła Ursula.

– Och, Anthony – jęknęła panna Woolf, niezdolna wykrztusić nic więcej. Włosy wymknęły się ze zwykle ciasnego koczka, nadając jej szalony wygląd bohaterki jakiejś antycznej tragedii. Tony był nieprzytomny – miał paskudną ranę głowy, bo bezceremonialnie wywleczono go spod zawalonej ściany. Ursula czuła, że powinny dodać mu jakoś otuchy, nie dając mu przy tym poznać, jak bardzo są zrozpaczone. Przypomniała sobie, że chłopak był skautem, i zaczęła mu opowiadać o wesołych wycieczkach, rozbijaniu namiotu na łące, szumie przepływającego obok strumyka, zbieraniu gałęzi na ognisko, podnoszącej się rano mgłę i śniadaniu przyrządzanym na świeżym powietrzu. – Ależ się będziesz dobrze bawił, gdy wojna się skończy – zakończyła.

– A twoja mama bardzo się ucieszy, gdy wrócisz dziś wieczorem do domu – dodała panna Woolf, przyłączając się do tej gry. Zasłoniła usta dłonią, żeby zdusić łkanie. Tony nie dawał żadnego znaku, że słyszy, co do niego mówią. Patrzyły, jak z wolna robi się coraz bledszy, aż w końcu jego twarz przybrała barwę rozwodnionego mleka. Umarł.

– O Boże – płakała panna Woolf. – Dłużej tego nie wytrzymam.

– A jednak musimy wytrwać – odparła Ursula, ocierając z policzków wierzchem dłoni łzy i smarki zmieszane z sadzą i myśląc o tym, że w innych okolicznościach to ją by tak pocieszano.

– Cholerni głupcy – grzmiał Fred Smith – po co stawiali tam tę przeklętą kuchnię polową? Tuż pod szczytową ścianą!

– Nie wiedzieli, że tak nie można – zaprotestowała Ursula.

– A powinni byli wiedzieć, do cholery.

– W takim razie ktoś powinien był ich ostrzec, do cholery – odparła, nagle rozwścieczona. – Na przykład jakiś cholerny strażak.

Świtało i alarm bombowy właśnie został odwołany.

– Wcześniej wydawało mi się, że cię widziałam, ale uznałam, że to tylko moja wyobraźnia – dodała pojednawczym tonem. Fred był zły, ponieważ tamci zginęli, a nie dlatego, że byli idiotami.

Miała wrażenie, jakby śniła, odpływała w niebyt. – Czuję się jak żywy trup – stwierdziła. – Muszę się zdrzemnąć, bo zwariuję. Mieszkam tuż za rogiem – dodała. – Całe szczęście, że nie trafiło na naszą kamienicę. I że pobiegłam za tym psem. – Któryś z ratowników dał jej kawałek sznura, żeby mogła z niego zrobić prowizoryczną smycz i uwiązać psa do sterczącego z ziemi osmalonego słupka. Pomyślała o tych wszystkich rękach i nogach, które zbierał wcześniej na nosze jeden z sanitariuszy. – Przypuszczam, że w tych okolicznościach wybór imienia jest oczywisty. Nazwę go Lucky, chociaż to trochę oklepane. Wiesz, że ocalił mi życie? Piłabym herbatę razem z innymi, gdybym za nim nie pobiegła.

– Cholerni głupcy – powtórzył Fred. – Odprowadzić cię do domu?

– Będzie mi bardzo miło – powiedziała Ursula, jednak nie zaprowadziła go za róg do Phillimore Gardens. Zamiast tego powlekli się znużeni, ręka w rękę, jak dzieci, z drepczącym u boku psem, wzdłuż Kensington High Street, o tej porze niemal całkowicie wyludnionej, zbaczając lekko tylko raz, żeby ominąć płonący gazociąg.

Ursula wiedziała, dokąd idą; to było w pewien sposób nieuniknione.

Na ścianie sypialni Izzie, naprzeciwko jej łóżka, wisiał oprawiony w szkło rysunek. Była to

jedna z oryginalnych ilustracji z pierwszego wydania *Przygód Augustusa*, szkic przedstawiający zawodniackiego bohatera i jego psa. Obrazek graniczył wręcz z karykaturą: uczniowska czapka, prze-rysowana łobuzerska mina Augustusa i kretyńsko wyglądający terier rasy west highland, który w niczym nie przypominał prawdziwego Jocka.

Ten widok klócił się z tym, jak Ursula zapamiętała sypialnię ciotki, zanim wszędzie rozłożono kulki na mole – kobiecy buduar, pełny jedwabiu w kolorze kości słoniowej i bladych atlasów, drogich kryształowych karafek i emaliowanych szczotek. Przepiękny dywan z Aubusson zwinięto w ciasny rulon, obwiązano grubym sznurkiem i złożono pod ścianą. Na innej ścianie wisiał kiedyś obraz jednego z mniej znanych impresjonistów, zakupiony, jak przypuszczała Ursula, bardziej z uwagi na to, iż pasował do wystroju wnętrza, niż z powodu uwielbienia dla konkretnego malarza. Zastanawiała się, czy Augustus miał przypominać Izzie o jej sukcesach. Impresjonistyczne dzieło zostało zawczasu ukryte w jakimś bezpiecznym miejscu, lecz o ilustracji najwyraźniej zapomniano, a może Izzie już na niej nie zależało. Tak czy inaczej, rysunek wciąż tutaj wisiał, a na szkle widniała przekątna rysa. Ursuli przypominał się wieczór, gdy wraz z Ralphem plądrowali piwniczkę z winami, wieczór, gdy na Holland Park spadły bomby; może to wtedy ucierpiał?

Izzie całkiem rozsądnie postanowiła nie przedłużać swojego pobytu w Fox Corner u „zrozpaczonej wdowy”, jak nazywała Sylvie, tłumacząc, że będą tylko „drzeć ze sobą koty”. Po czym czmychnęła do Kornwalii, do domu na szczycie urwiska („Zupełnie jak w Manderley, cudownie dziko i romantycznie, tyle że, dzięki Bogu, bez okropnej pani Danvers!”), gdzie rozpoczęła „produkcję” komiksu o przygodach Augustusa dla jednej z popularnych codziennych gazet. O ileż byłoby ciekawiej, pomyślała Ursula, gdyby ciotka pozwoliła Augustusowi dorosnąć, tak jak dorósł Teddy.

Blade jesienne słońce rozpaczliwie usiłowało wśliznąć się do pokoju przez ciężkie aksamitne zasłony. „Czemu, natręcie, przez kotary i szyby budzisz nas zawzięcie?”³³ – pomyślała. Gdyby mogła cofnąć się w czasie i wziąć sobie na kochanka dowolną historyczną postać, wybrałaby właśnie Donne’a. Nie Keatsa – wiedza o przedwczesnej śmierci tego ostatniego kładłaby się na ich miłości zbyt ponurym cieniem. Rzecz jasna, na tym polegał cały kłopot z podróżami w czasie (abstrahując od tego, że były one niemożliwe) – cofając się w przeszłość, zawsze byłoby się Kasandrą, roztaczającą wokół siebie mrok przez sam swój dar przewidywania zdarzeń. Jedyne rozwiązanie to iść naprzód, jakkolwiek by to było nużące.

Zza okna dobiegał śpiew ptaka, chociaż nastał już listopad. Ptaki były prawdopodobnie równie skołowane wojną jak ludzie. Co się z nimi działo, gdy wybuchały bomby? Podejrzewała, że mnóstwo ich ginęło, ich biedne serduszka najzwyczajniej nie wytrzymały szoku, a może maleńkie płuca pękały od fali uderzeniowej? Przy każdej takiej okazji musiały spadać z nieba jak kamienie, choć przecież daleko im było do takiego ciężaru.

– Bardzo jesteś zamyślona – zauważył Fred Smith. Leżał obok niej z ramieniem pod głową i palił papierosa.

– A ty dziwnie swobodny – odparła.

– Dobrze się tu czuję – przyznał, szczerząc zęby w uśmiechu. Nachylił się, żeby objąć ją w pasie, i pocałował w nasadę karku. Oboje byli umorusani tak, jakby mieli za sobą całonocną harówkę w kopalni węgla. Ursula pamiętała, że byli tak samo usmarowani sadzą tamtego wieczoru, gdy podróżowali razem na platformie parowozu. Kiedy ostatni raz widziała Hugh żywego.

Na Melbury Road nie było ciepłej wody, w ogóle nie było wody ani elektryczności; wszystko zostało wyłączone na bliżej nieokreślony czas. Po ciemku wśliznęli się pod prześcieradło okrywające nagi materac w łóżku Izzie i zapadli w sen podobny do śmierci. Kilka godzin później jednocześnie się przebudzili i zaczęli się kochać. Była to miłość (a właściwie pożądanie, jeśli miałyby być szczerą) dwojga rozbitków ocalałych z katastrofy albo ludzi, którzy dopiero ją przeczuwają: wolna od wszelkich zahamowań, momentami dzika, a zarazem dziwnie delikatna i czuła. Zabarwiona kropelką melancholii. Tak jak sonata Bacha w wykonaniu Herr Zimmermana, rozdarła jej duszę, rozczłonkowała umysł i ciało. Ursula próbowała przypomnieć sobie fragment wiersza Marvella, to był chyba *Dialog duszy i ciała*, coś o szkielecie, co „więzi jak rygiel stalowy”³⁴, i okowach, ale na próżno. Myśl o dwóch miękkich ciałach w tym opuszczonym (pod każdym względem) łóżku była

dla niej trudna do zniesienia.

– Myślałam o tym wierszu Donne’a – powiedziała. – No wiesz: „Słońce niesforne, bezmyślny staruchu...”. – Nie, pomyślała, mało prawdopodobne, żeby Fred go znał.

– Tak? – mruknął obojętnie; właściwie to gorzej niż obojętnie.

Niespodziewanie dopadło ją wspomnienie poszarzałych duchów w piwnicy i martwego niemowlęcia pod jej kolanem. A potem w ułamku sekundy znalazła się gdzie indziej, nie w piwnicy przy Argyll Road i nie w sypialni Izzie w Holland Park, ale w jakiejś dziwnej otchłani. Spadała i spadała...

– Papierosa? – zaproponował Fred Smith. Odpalił nowego od swojego niedopałka i podał jej, a ona go przyjęła, mówiąc: – W zasadzie nie palę.

– A ja w zasadzie nie podrywam obcych kobiet i nie pieprzę się z nimi po takich odpicowanych domach.

– Jakbym czytała Lawrence’a. Tylko że ja nie jestem obca, znamy się praktycznie od dziecka.

– Ale nie w ten sposób.

– Ja myślę! – Coraz mniej go lubiła. – Nie mam pojęcia, która godzina – dodała. – Ale mogę ci zaproponować na śniadanie znakomite wino. Obawiam się, że nic więcej nie ma.

Fred spojrzał na zegarek i stwierdził: – Już dawno po śniadaniu. Dochodzi trzecia po południu.

Drzwi uchylły się i do sypialni wbiegł pies, stukając pazurkami po ogołoconej z dywanów drewnianej podłodze. Wskoczył na łóżko i wbił w Ursulę skupiony wzrok. – Biedactwo – ulitowała się ona – na pewno umierasz z głodu.

– Fred Smith?! No i jak było? Opowiadaj!

– Rozczarował mnie.

– Jak to? W łóżku?

– O rety, nie. Broń Boże! Jeszcze nigdy... no wiesz, nie robiłam tego w ten sposób. Ale chyba miałam nadzieję, że to będzie coś bardziej romantycznego. Nie, to niewłaściwe, głupie słowo. Już raczej: „uduchowionego”.

– Transcendentnego? – podsunęła Millie.

– O, właśnie. Szukałam transcendencji.

– Przypuszczam, że to ona znajduje nas, a nie odwrotnie. Masz wysokie wymagania wobec naszego biednego Freda.

– Miałam o nim pewne *wyobrażenie* – ciągnęła Ursula – ale rzeczywistość okazała się całkiem inna. Może po prostu chciałam się zakochać.

– A zamiast tego trafił ci się świetny seks. Biedaczko!

– Masz rację, nie powinnam zbyt wiele oczekiwać. Boże, chyba zachowałam się przy nim jak ostatnia snobka! Cytowałam mu Donne’a. Uważasz, że jestem snobką?

– Okropną. Wiesz, że cuchniesz? – spytała wesoło Millie. – Papierosami, seksem, bombami i Bóg wie czym jeszcze. Przygotować ci kąpiel?

– O tak, proszę, jesteś cudowna.

– A skoro już o tym mowa – powiedziała Millie – to mogłabyś od razu wykąpać tego cholernego kundla. Potwornie śmierdzi. Chociaż jest nawet miłutki – dodała, naśladując (dość nieudolnie) amerykański akcent.

Ursula westchnęła i przeciągnęła się. – Wiesz, *naprawdę* mam już dość tych bombardowań.

– Obawiam się, że ta wojna nieprędko się skończy – mruknęła Millie.

Maj 1941

Millie miała rację. Wojna ciągnęła się bez końca. Najpierw nastąpiła koszmarne mroźna zima, a pod koniec roku miał miejsce tragiczny w skutkach nalot na londyńskie City. Ralph pomógł wtedy ocalić katedrę św. Pawła od pożaru. Ursula nie mogła przestać myśleć o wszystkich tych pięknych kościołach zaprojektowanych przez Wrena; zbudowano je po wielkim pożarze Londynu, a teraz przestały istnieć.

W pozostałym czasie robili to samo, co inni im podobni. Chodzili do kina, na tańce i na południowe koncerty w Galerii Narodowej. Jedli, pili i się kochali. Żadnego „pieprzenia”. To nie było w stylu Ralph. „Jakbym czytała Lawrence’a” – powiedziała wtedy chłodno do Freda Smitha – podejrzewała, że nie miał zielonego pojęcia, o co jej chodzi – ale to wulgarnie określenie porządnie ją wstrząsnęło. Przywykła słyszeć je podczas akcji, gdzie wchodziło w skład podstawowego słownictwa ratowników, ale nigdy w odniesieniu do *siebie*. Próbowała wymówić je na głos przed lustrem, ale aż ją skręcało ze wstydu.

– Gdzie ją znalazłaś, na Boga?

Ursula nigdy przedtem nie widziała go w stanie takiego osłupienia. Crighton zważył w dłoni złotą papierośnicę. – Myślałem, że już jej nigdy nie zobaczę.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć?

– Oczywiście, że tak – odparł Crighton. – A to jakaś tajemnica?

– Mówi ci coś nazwisko Renée Miller?

Zmarszczył z namysłem brwi, po czym pokręcił głową. – Obawiam się, że nie. A powinno?

– Prawdopodobnie zapłaciłaś jej za seks. Albo postawiłaś dobrą kolację. A może tylko świetnie się razem bawiliście.

– Ach, *ta* Renée Miller. – Roześmiał się. Po kilku chwilach milczenia dodał: – A już poważnie, to nazwisko nic mi nie mówi. Poza tym nie sądzę, abym kiedykolwiek *placił* kobiecie za seks.

– Przecież służysz w marynarce – zauważyła.

– W takim razie od bardzo, *bardzo* dawna tego nie robiłem. Ale dziękuję – rzekł – wiesz, że *ta* papierośnica wiele dla mnie znaczy. Mój ojciec...

– Dał ci ją po Jutlandii. Tak, wiem.

– Czyżbym cię nudził?

– Nie. Może dokądś pójdziemy? Do twojej meliny? Będziemy się *pieprzyć*?

Crighton wybuchnął śmiechem. – Jeśli tego właśnie chcesz.

Przyznał, że ostatnimi czasy coraz mniej zwraca sobie głowę „subtelnościami”. Ponieważ zdawał się do nich zaliczać również Moirę i dziewczynki, wkrótce na nowo nawiązali swój sekretne romans, tyle że teraz był on o wiele mniej sekretne. Crighton tak bardzo różnił się od Ralph, że Ursula właściwie nie uważała tych spotkań za zdradę. („To dopiero ciekawy argument!” – śmiała się Millie). Zresztą i tak coraz rzadziej widywała Ralph i wydawało jej się, że to wygasanie uczuć ma charakter obopólny.

Teddy odczytał na głos napis wyryty na pomniku ku czci ofiar poprzedniej wojny. – „Śmierć chwalebna”. Myślisz, że to prawda? Że śmierć jest czymś chwalebnym?

– Śmierć to śmierć – odparła Ursula. – Przypuszczam, że „chwalebna” dodano tylko po to, żeby *nam* poprawić samopoczucie.

– Nie sądzę, aby zmarłym mogło na czymś takim zależeć – przyznał Teddy. – Moim zdaniem człowiek umiera, i już. Nie wierzę, aby coś nas jeszcze czekało po śmierci, a ty?

– Przed wojną mogłam jeszcze tak myśleć – mruknęła Ursula – zanim na własne oczy zobaczyłam tyle trupów. Za bardzo przypominają wyrzucone na śmietnik odpady. – (Przypomniały jej

się słowa Hugh, mówiącego: „Wyrzucicie mnie do kosza na śmieci, i tyle”). – Ich ciała wcale nie wyglądają tak, jakby je opuściła dusza.

– Zapewne umrę za Anglię – rzucił Teddy. – Niewykluczone, że ciebie też to czeka. Myślisz, że to dobry powód, żeby zginąć?

– Tak sędzę. Tata powiedział kiedyś, że wolałby, abyśmy przeżyli jako tchórze, niż zginęli bohaterami. Ale chyba naprawdę tak nie myślał, to nie było w jego stylu uchylać się od odpowiedzialności. Pamiętasz napis na pomniku ofiar wojny u nas we wsi? „Za wasze jutro oddaliśmy nasze dziś”. Ty i twoi koledzy właśnie to robicie, rezygnujecie ze wszystkiego i z jakiegoś powodu wydaje mi się to niesprawiedliwe.

Ursula pomyślała, że wolałaby raczej umrzeć za Fox Corner niż za „Anglię”. Za łąkę i zagajnik i strumień przecinający rozkwitły dzwonekami las. Chyba to właśnie *była* Anglia, prawda? „Błogosławione królestwo”³⁵.

– Jestem patriotką – powiedziała. – Ta myśl mnie zaskakuje, choć sama nie wiem czemu. A co jest napisane na pomniku naszej pielęgniarki rozstrzelanej przez Niemców w Brukseli, Edith Cavell, tym przy kościele św. Marcina?

– „Patriotyzm nie wystarczy” – podsunął Teddy.

– Też tak sądzisz? – spytała Ursula. – Moim zdaniem to jest aż nadto. – Roześmiała się. Wzięli się za ręce i ruszyli w dół Whitehall. Wszędzie widać było ogrom zniszczeń. Ursula pokazała Teddy’emu kwatery gabinetu wojennego. – Znam dziewczynę, która tam pracuje – dodała. – Sypia schowana w szafie, tak to mniej więcej wygląda. Nie lubię bunkrów, piwnic i innych lochów.

– Bardzo się o ciebie martwię – wyznał Teddy.

– A ja o *ciebie* – odrzekła. – Tyle że żadnemu z nas nic dobrego z tego nie przyjdzie. – Jakby słyszała pannę Woolf.

Teddy („podporucznik lotnictwa Todd”) przetrwał szkolenie w jednostce w Lincolnshire, gdzie latał na whitleyach, i za jakiś tydzień miał rozpocząć służbę w Yorkshire, gdzie najpierw czekała go nauka latania na nowych halifaksach, a potem pierwsza prawdziwa misja bojowa.

Zaledwie połowa wszystkich załóg bombowców kończyła pierwszą turę żywa, jak poinformowała ją dziewczyna z Ministerstwa Lotnictwa.

(„Czy szanse nie są takie same za każdym razem, kiedy wylatują na akcję? – spytała ją Ursula. – Czy nie tak działa rachunek prawdopodobieństwa?”).

„Nie w przypadku pilotów bombowców” – odparła tamta).

Teddy odprowadzał ją do biura po przerwie na lunch, która tym razem trwała aż godzinę. W pracy było teraz znacznie spokojniej niż dawniej.

Zamierzali zjeść w jakimś eleganckim miejscu, ale koniec końców wylądowali w restauracji serwującej tradycyjną kuchnię brytyjską, gdzie zamówili pieczeń wołową i ciasto ze śliwkami, polane słodkim kremem jajecznym. Śliwki były, rzecz jasna, z puszek, ale i tak bardzo im wszystko smakowało.

– Tyle nazwisk – westchnął Teddy, wpatrując się w pomnik poległych na poprzedniej wojnie. – Tyle istnień. A teraz znowu to samo. Moim zdaniem coś jest nie tak z ludzkością. Nasze czyny podważają wszystko, w co człowiek chciałby wierzyć, nie uważasz?

– Nie ma co tracić czasu na rozmyślanie – odparła dziarsko Ursula. – Trzeba po prostu żyć. – (Naprawdę zaczynała się zmieniać w pannę Woolf). – Skoro już mamy tylko jedno życie, powinniśmy je jak najlepiej wykorzystać. Nigdy nie zrobimy tego jak *należy*, ale zawsze można *próbować*. – (Jej przemiana była już kompletna).

– A gdybyśmy tak mogli przeżywać nasze życie raz za razem – rozmarzył się Teddy – żeby wreszcie zrobić to jak *należy*? Czy to nie byłoby wspaniałe?

– Myślę, że to by było niezwykle męczące. Zacytowałabym ci Nietzschego, ale boję się, że mnie walniesz.

– Pewnie tak – przytaknęła uprzejmie Teddy. – Przecież to nazista.

– Niezupełnie. Wciąż piszesz wiersze, braciszku?

– Brak mi odpowiednich słów. Wszystko, co próbuję napisać, wydaje się sublimacją. Kolorowymi obrazkami z wojny. Straciłem do tego serce.

– To mroczne, tętniące krwią serce?

– Może to ty powinnaś pisać – roześmiał się.

Kiedy Teddy był w mieście, Ursula nie chodziła na patrole; panna Woolf zdjęła ją z grafika dyżurów. Zresztą naloty zdarzały się teraz coraz rzadziej. W marcu i kwietniu było kilka intensywnych bombardowań, które wydały się wszystkim tym gorsze, że zdążyli już trochę od nich odechnąć. – To zabawne – powiedziała panna Woolf – w czasie ciągłych nalotów człowiek ma tak napięte nerwy jak postronki, że chyba łatwiej mu je znosić.

W sektorze Ursuli panował zdecydowany spokój. – Wydaje mi się, że obecnie Hitlera bardziej interesują Bałkany – stwierdziła panna Woolf.

– Zamierza zaatakować Rosję – zdradził Ursuli Crighton i zabrzmiało to bardzo przekonująco. Millie znów ruszyła w objazd ze swoją trupą teatralną, więc mieli dla siebie całe mieszkanie w Kensington.

– Przecież to czyste szaleństwo.

– Ten człowiek to *wariat*, czego się spodziewałaś? – Westchnął ciężko i dodał: – Nie rozmawiajmy już o wojnie. – Sączyli whisky z zapasów Admiralicji, grając przy tym w karty jak stare dobre małżeństwo.

Teddy odprowadził ją aż do biura przy Exhibition Road i powiedział: – Wyobrażalem sobie, że twoja „kwatery wojenna” będzie wyglądać bardziej imponująco, portyki i filary, a tymczasem to zwykły bunkier.

– To Maurice przechadza się wśród portyków.

Gdy tylko Ursula weszła do środka, została natychmiast zaatakowana przez Ivy Jones, jedną z dziewcząt obsługujących dalekopisy, która właśnie schodziła z dyżuru. – Ależ z pani cicha woda, panno Todd – powiedziała – żeby trzymać w ukryciu takiego cudownego mężczyznę. – Na co Ursula pomyślała: „Właśnie tak się kończy spoufalanie z personelem”. – Muszę pędzić – odparła – wprost nie mogę żyć bez dobowych raportów sytuacyjnych.

*

Jej własne „dziewczęta”, to znaczy panna Fawcett i jej podobne, kompletowały, sortowały i przekazywały Ursuli płowożółte teczki, aby mogła na podstawie ich zawartości sformułować krótkie podsumowanie – raz dziennie, raz na tydzień, czasem co godzinę. Rejestry dobowe, rejestry strat, raporty sytuacyjne – rzeka dokumentów płynęła bez końca. Następnie wszystko to musiało być przepisane na maszynie i podpisane przez nią osobiście, zanim taka teczka powędrowała dalej do kogoś innego, takiego jak Maurice.

– Jesteśmy tylko trybikami wielkiej maszyny, prawda? – zauważyła kiedyś przy niej panna Fawcett, a Ursula odparła: – Ale pamiętaj, że bez trybików nie byłoby maszyny.

Teddy zaprosił ją na drinka. Był ciepły wieczór, bujnie kwitły drzewa i przez chwilę można było mieć wrażenie, że wojna się skończyła.

Nie chciał rozmawiać z nią o lataniu ani o wojnie, nie chciał nawet rozmawiać o Nancy. Gdzie teraz była? Najwyraźniej robiła coś, o czym nie mogła opowiadać. Wyglądało na to, że nikt już nie chce o niczym mówić.

– W takim razie porozmawiajmy o tacie – zaproponował Teddy. Co też uczynili i oboje poczuli się tak, jakby Hugh nareszcie miał taką stypę, na jaką zasługiwał.

Nazajutrz Teddy miał pociąg do Fox Corner, zamierzał spędzić tam kilka dni. Ursula poprosiła go: – Zabierzesz ze sobą jeszcze jednego uciekiniera? – i podała mu Lucky’ego. Pies całymi dniami siedział w domu, podczas gdy ona pracowała, chociaż często zabierała go ze sobą na kwatery, gdy akurat miała dyżur, i wszyscy tam traktowali go jak swoją maskotkę. Nawet pan Bullock, choć nie wyglądał na miłośnika psów, przynosił mu kości i ochłapy mięsa. Bywało więc, że Lucky jadał lepiej od niej. Niemniej jednak Londyn podczas nalotów to nie miejsce dla psa, oznajmiła Teddy’emu. – Wszystkie te hałasy muszą go przerażać.

– Podoba mi się – orzekł Teddy, głaszcząc psiaka. – Wygląda na prostolinijnego.

Ursula poszła na stację Marylebone, żeby ich pożegnać. Teddy wsadził sobie psa pod pachę, a drugą ręką zasalutował jej; było to słodkie i ironiczne zarazem. Potem wsiadł do wagonu. Widok

odjeżdżającego zwierzaka był dla niej niemal równie przykry jak rozstanie z bratem.

Za wcześnie się cieszyli. Majowy nalot przeszedł wszystkie inne.

Bomba uderzyła w ich dom w Phillimore Gardens. Dzięki Bogu ani Ursuli, ani Millie nie było wtedy w mieszkaniu, ale zniszczeniu uległ dach i całe górne piętro. Po wszystkim Ursula zwyczajnie wprowadziła się z powrotem i przez pewien czas tam biwakowała.

Pogoda nie była zła i w pewien dziwny sposób sprawiało jej to przyjemność. Nadal mieli wodę, chociaż prąd został odcięty. Ktoś z pracy pożyczył jej stary namiot, spała więc pod namiotem. Ostatnim razem robiła coś takiego w Bawarii, gdy towarzyszyła córkom państwa Brennerów oraz ich koleżankom ze Związku Niemieckich Dziewcząt podczas ich letniego wypadu w góry. Dzieliła wówczas namiot z najstarszą Klarą. Bardzo się polubiły, ale od czasu wypowiedzenia wojny Ursula nie miała od niej żadnych wiadomości.

Crichton nie protestował przeciwko temu pomieszkowaniu *al fresco*; to jak spanie na pokładzie pod gwiazdami gdzieś na Oceanie Indyjskim, stwierdził. Ursula poczuła ukłucie zazdrości – sama nie była nawet w Paryżu. Oś Monachium – Bolonia – Nancy wyznaczała granice nieznanego jej świata. Wspólnie ze swoją koleżanką Hillary – tą, która sypiała w szafie w kwaterze gabinetu wojennego – zamierzały wybrać się na rowerową wycieczkę objazdową po Francji, ale wojna położyła kres tym ambitnym planom. Na dobre utknęli na tej maleńkiej „berłowladnej wyspie”²⁶. Nie można było za dużo o tym rozmyślać, bo groziło to klaustrofobią.

Wróciwszy z występów, Millie oświadczyła, iż Ursula postradała zmysły, i zażądała, aby natychmiast poszukały czegoś nowego. Tym sposobem trafiły do obskurnego mieszkania w Lexham Gardens. Ursula była pewna, że nigdy go nie polubi. („Moglibyśmy razem zamieszkać, gdybyś tylko zechciała – zaproponował jej Crichton. – Co powiesz na przytulne gniazdko w Knightsbridge?”. Ursula odniosła się niechętnie do tego pomysłu).

Ale to oczywiście nie było najgorsze. Podczas tego samego nalotu prosto na ich kwaterę spadła bomba, a pod gruzami zginęli zarówno Herr Zimmerman, jak i pan Simms.

Na pogrzebie Herr Zimmermana kwartet smyczkowy złożony z samych uchodźców grał Beethovena. W przeciwieństwie do panny Woolf Ursula była zdania, że sama muzyka wielkiego kompozytora to za mało, aby uleczyć ich rany. – Przed wojną widziałam ich występ w Wigmore Hall – szepnęła jej panna Woolf. – Byli znakomici.

Po pogrzebie Ursula wybrała się do kwatery straży pożarnej na poszukiwania Freda Smitha i wspólnie wynajęli pokój we wstrętnym hoteliku przy dworcu Paddington. Po seksie, który był równie porywający jak poprzednio, do snu ukołysał ich dźwięk nadjeżdżających i odjeżdżających pociągów. Ursula pomyślała, że musi mu brakować tego dźwięku.

Gdy się przebudzili, Fred powiedział: – Przepraszam cię za ostatni raz. Zachowałem się jak ostatni dupek. – Potem wyszedł i przyniósł im po kubku herbaty. Ursula podejrzewała, że oczarował któregoś z gości hotelowych, bo nic nie wskazywało na to, aby ów przybytek posiadał kuchnię, a co dopiero obsługę pokojową. Podobnie jak Teddy’emu, Fredowi również trudno było odmówić naturalnego wdzięku, wynikającego chyba z prostolinijności. Urok Jimmy’ego był już inny, jakby nieco mniej uczciwy.

Siedzieli w łóżku, pili herbatę i palili papierosy. Ursula myślała o wierszu Donne’a zatytułowanym *Relikwia*, jednym z jej ulubionych – „kość z bransoletką z jasnych włosów wkoło”²⁷ – lecz zważywszy na to, jak fatalnie zostało to przyjęte ostatnim razem, powstrzymała się od cytowania poezji. Jakie by to było jednak zabawne, gdyby ich hotel został zbombardowany i nikt nie był w stanie zrozumieć, kim byli ani co tu razem robili, złączeni w łóżku, które stało się ich grobem. Od czasu Argyll Road nie opuszczał jej chorobliwie ponury nastrój. Przeżyła tamtą akcję całkiem inaczej niż inne. Leniwie zastanawiała się, co chciałyby mieć napisane na nagrobku. „Ursula Beresford Todd, mężna do końca”.

– Wiesz, na czym polega twój problem, panno Todd? – oznajmił Fred Smith, gasząc papierosa. Ujął ją za rękę i pocałował jej otwartą dłoń, a ona pomyślała: „Chwytaj tę chwilę, bo jest cudowna”, i odparła: – Nie, nie wiem. Na czym polega mój problem? – ale już się tego nie dowiedziała, bo w tym samym momencie zawyły syreny, a Fred rzucił: – Kurwa mać, przecież ja mam dzisiaj służbę. – Wciągnął ubranie, dał jej pospiesznego buziaka i jak wicher wypadł z pokoju. Nig-

dy więcej go nie zobaczyła.

Feralnego 11 maja aż do wczesnych godzin rannych czytała meldunki obrony cywilnej.

„Godzina – 00.45. Forma przekazu – dalekopis. Przychodzący czy wychodzący – przychodzący. Temat – zabudowania biurowe w doku Indii Południowo-Zachodnich, zniszczone przez ładunek burząco-zapalający”. Podobnie jak opactwo westminsterskie, gmach parlamentu, kwatery de Gaulle’a, mennica oraz sądy. Ursula na własne oczy widziała płonący przy Strandzie niczym gigantyczna pochodnia kościół św. Klemensa. Myślała o tych wszystkich ludziach, wiodących swój bezcenny, a przecież zwyczajny żywot w Bermondsey, Islington czy Southwark. Lista nazwisk nie miała końca. Przerwało jej wejście panny Fawcett, która powiedziała: – Wiadomość dla pani, panno Todd – i podała jej jakiś świstek.

Znajoma, która znała kogoś w straży pożarnej, przesłała jej kopię ich meldunku z dołączoną karteczką, na której było napisane: „To chyba twój przyjaciel? Bardzo mi przykro...”.

„Frederick Smith, strażak, zginął przygnieciony walącą się ścianą podczas gaszenia pożaru w Earl’s Court”.

Cholerny głupiec, pomyślała Ursula. Co za cholerny głupiec.

Listopad 1943

To Maurice przyniósł jej tę wiadomość. Jego wizyta zbiegła się z przyjazdem wózka z herbatą i przekąskami. – Mogę zamienić z tobą słowo? – rzucił.

– Napijesz się herbaty? – spytała, wstając od biurka. – Nie ubędzie nam, jeśli cię poczęstuję, choć z pewnością daleko jej do orange pekoe, darjeeling, czy co wy tam pijecie u siebie w ministerstwie. No i, jak sędzę, nasze herbatniki nie wytrzymują porównania z waszymi. – Herbaciarka robiła swoje, niewzruszona tą wymianą zdań z intruzem z samych wyżyn władzy.

– Nie, dziękuję za herbatę – odparł, zaskakująco uprzejmy i przygaszony. Uderzyła ją myśl, że Maurice niemal zawsze kipiał tłumioną wściekłością (dziwnie musiało mu się z tym żyć), pod pewnymi względami przypominając jej Hitlera (podobno Maurice ciskał gromy na swoje sekretarki. „Och, jesteś taka niesprawiedliwa! – rzekła Pamela. – Ale trudno się z tego nie śmiać”).

Jej brat nigdy nie brudził sobie rąk. Nigdy nie brał udziału w akcji ratowniczej, żadne ciało nie rozeszło mu się w rękach jak świąteczna zabawka z niespodzianką, nigdy nie uklęknął na kłębie szmat i ludzkich szczątków, które kiedyś były czyimś dzieckiem.

Czego on tu chce, chyba nie zrobi znowu wykładu na temat jej życia uczuciowego? Nigdy nie wpadłoby jej do głowy, że przyszedł po to, aby powiedzieć: – Z przykrością muszę cię zawiadomić (zupełnie jakby odczytywał oficjalny komunikat) że Ted niestety dostał.

– Co? – Nie rozumiała, co chciał jej przekazać. Co dostał? – Nie wiem, o co ci chodzi, Maurice.

– O Teda – odparł. – Jego samolot został zestrzelony.

Teddy był już bezpieczny. „Odsłużył” swoje w powietrzu i prowadził zajęcia w jednostce wyszkolenia bojowego. Był dowódcą eskadry, odznaczonym Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym (Ursula, Nancy i Sylvie były w Pałacu i wprost pękały z dumy). A potem poprosił o zgodę na powrót. („Czułem, że to mój obowiązek”). Dziewczyna, którą Ursula знаła w Ministerstwie Lotnictwa – Anne – mówiła jej, że tylko jedna załoga na czterdzieści wychodzi z życiem z drugiej tury bojowej.

– Ursulo? – przerwał te rozmyślenia Maurice. – Zrozumiałaś, co ci powiedziałem? Straciliśmy go.

– To go znajdziemy.

– Nie. Został oficjalnie uznany za „zaginionego w akcji”.

– Co nie znaczy, że *zginął* – odparła Ursula. – Gdzie to się stało?

– Nad Berlinem, kilka dni temu.

– Wyskoczył ze spadochronem i trafił do niewoli – oznajmiła Ursula, jakby stwierdzała fakt.

– Obawiam się, że nie – mruknął Maurice. – Jego samolot runął na ziemię w płomieniach.

Nikt się nie uratował.

– Skąd możesz to *wiedzieć*?

– Od świadka, innego pilota.

– Czyli od kogo? Kto go widział?

– Nie wiem. – Maurice zaczynał się niecierpliwić.

– Nie – powiedziała. I jeszcze raz: – Nie. – Serce biło jej jak szalone, w ustach zaschło.

W oczach jej się zamgliło, wszędzie widziała kropki, jak na obrazach pointylistów. Poczula, że zaraz zemdleje.

– Dobrze się czujesz? – usłyszała pytanie Maurice’a. Czy ja się dobrze czuję? – pomyślała.

Czy ja się dobrze czuję? Jak mogę się dobrze czuć?

Głos brata zdawał się dobiegać gdzieś z bardzo daleka. Słyszała, jak woła jakąś dziewczynę. Ktoś przyniósł krzesło, ktoś inny szklankę wody. Dziewczyna poprosiła: – Panno Todd,

niech pani pochyli głowę, o tak, między kolana. – To była panna Fawcett, miła dziewczyna. –
Dziękuję, panno Fawcett – wymamrotała Ursula.

– Matka też to ciężko zniosła – zauważył Maurice, jakby speszony ich rozpaczą. Nigdy nie kochał Teddy’ego tak jak oni wszyscy.

– No cóż – dodał i poklepał ją po ramieniu, a ona z trudem się powstrzymała, aby się nie wzdrygnąć – powinienem już wracać do biura, zapewne spotkamy się w Fox Corner. – Zabrzmiało to prawie jak towarzyska pogawędka, jakby teraz, gdy najgorszą część rozmowy mieli już za sobą, znów można było przejść do banałów.

– Po co?

– Jak to po co?

Ursula wyprostowała się. Woda w szklance lekko drżała. – Po co mielibyśmy się spotykać w Fox Corner? – Wyczuwała, że panna Fawcett nadal troskliwie kręci się w pobliżu.

– Cóż – odrzekł Maurice – rodzina zwykle zbiera się przy takich okazjach. Ostatecznie nie będzie pogrzebu.

– Nie będzie?

– Oczywiście, że nie. Nie ma ciała – rzucił. Czyżby jednocześnie wzruszył ramionami? Naprawdę to zrobił? Ursulą wstrząsały dreszcze, pomyślała, że chyba jednak zemdleje. Zatęskniła za tym, żeby ktoś ją przytulił. Byle nie Maurice. Panna Fawcett wyjęła jej szklankę z dłoni, a Maurice dodał: – Rzecz jasna, możesz liczyć na to, że cię podwozę. Sądząc po głosie, matka musi być okropnie przygnębiona.

Powiedział jej o tym przez telefon? Co za potworność, myślała ogłuszona. Choć przypuszczała, że to w zasadzie nieistotne, w jaki sposób się człowiek dowiaduje. Mimo to usłyszeć coś takiego z ust Maurice’a, w tym jego trzyczęściowym garniturze w prążki, opierającego się o jej biurko i oglądającego sobie paznokcie, czekającego, aż Ursula powie mu, że nic jej nie jest i może już iść...

– Nic mi nie jest. Możesz już iść.

Panna Fawcett przyniosła jej gorącą, słodką herbatę i podała ją ze słowami: – Tak mi przykro, panno Todd. Może odprowadzić panią do domu?

– To bardzo miłe z twojej strony – odparła Ursula – ale poradzę sobie. Mogłaby pani tylko podać mi płaszcz?

W dłoniach nerwowo ścisnął swoją czapkę pilota. Sama ich obecność wprawiała go w zakłopotanie. Roy Holt wielkimi haustami popijał piwo z dużego kufła z tłoczonego szkła, jakby był bardzo spragniony. Był kolegą Teddy’ego, świadkiem jego śmierci. Owym „innym pilotem”. Gdy Ursula odwiedzała Teddy’ego po raz ostatni, było lato czterdziestego drugiego, a oni siedzieli w ogródku piwiarni i zajadali kanapki z szynką oraz marynowane jajka.

Roy Holt pochodził z Sheffield; tamtejsze powietrze należało jeszcze do Yorkshire, ale nie było już chyba takie czyste. Jego matka i siostra zginęły w czasie strasznych nalotów w grudniu czterdziestego roku i Roy poprzysiął sobie, że nie spocznie, dopóki nie zrzuci bomby prosto na głowę samego Hitlera.

– Tak trzymaj – pochwaliła go Izzie. Ursula zauważyła, że ciotka ma specyficzny stosunek do młodych mężczyzn, macierzyński i kokieteryjny zarazem (dawniej wyłącznie ich kokietowała). Aż przykro było na to patrzeć.

Gdy tylko do niej dotarła wiadomość o śmierci Teddy’ego, Izzie z największym pośpiechem wyruszyła z Kornwalii do Londynu, gdzie przez swoje „znajomości” w rządzie zorganizowała auto oraz garść talonów na benzynę, żeby mogły pojechać razem do Fox Corner, a bezpośrednio stamtąd wyprawić się do jednostki Teddy’ego. („Nawet nie myśl o podróży pociągiem – powiedziała – nie teraz, kiedy jesteś w takim stanie”). Owe „znajomości” były eufemistycznym określeniem byłych kochanków („Jakim cudem udało się paniusi zdobyć taki wóz?” – spytał je gburowaty właściciel stacji przy drodze prowadzącej na północ, na której tankowały. „Przespałam się z kimś bardzo ważnym” – odparła słodko Izzie).

Ursula nie widziała jej od pogrzebu Hugh, od tamtego szokującego wyznania o urodzonym w Niemczech dziecku. Przyszło jej na myśl, że może powinna wrócić do tego w drodze do Yorkshi-

re (cóż za krępujące zadanie). Pamiętała, że Izzie była wówczas okropnie przybita, a poza Ursulą nie miała prawdopodobnie nikogo, z kim mogłaby na ten temat pomówić. Jednak słysząc pytanie: – Może chciałabyś porozmawiać jeszcze o swoim dziecku? – Izzie odparła: – Ach, o tym – jakby to była jakaś błahostka. – Zapomnij, że cokolwiek na ten temat wiesz. Byłam wtedy w ponurym nastroju. Wstąpimy gdzieś na herbatę? Mam straszną ochotę na słodką babeczkę, a ty?

Maurice miał rację. Cała rodzina rzeczywiście zebrała się w Fox Corner i faktycznie nie było żadnego „ciała”. W tym czasie status Teddy’ego i jego załogi zdążył się zmienić z „zaginionych w akcji” na „zaginionych i uznanych za zmarłych”. Maurice powiedział, że nie ma już nadziei, więc powinni przestać udawać, że jest inaczej. – Zawsze jest jakaś nadzieja – odrzekła Sylvie.

– Nie – wtrąciła się Ursula. – Czasem naprawdę nie ma żadnej. – Pomyślała o małym Emilu. Jak wyglądałby Teddy, gdyby go znaleźli? Poczerniały, zwęglony i pokurczony jak kawałek drewna sprzed wieków? A może nic nie pozostało, nie było żadnego „ciała”. Przestań, przestań, przestań! Ursula odetchnęła głęboko. Myśl o nim jak o małym chłopcu bawiącym się kolejką i samolocikami – nie, prawdę mówiąc, to było jeszcze gorsze. O wiele gorsze.

– Właściwie to żadna niespodzianka – stwierdziła ponuro Nancy. Siedziały razem na tarasie. Wcześniej wypily trochę za dużo dobrej słodowej whisky Hugh. Dziwne uczucie, pić jego alkohol, podczas gdy jego samego już z nimi nie było. Whisky stała w kryształowej karafce w jego „pustelni”, lecz dotąd to ręka ojca zawsze napełniała szklaneczkę Ursuli („Masz ochotę na kropelkę czegoś mocniejszego, niedźwiadku?”).

– Brał udział w tylu misjach – dodała Nancy – że rachunek prawdopodobieństwa działał na jego niekorzyść.

– Wiem.

– Zresztą sam się tego spodziewał. A nawet to zaakceptował. Jak cała reszta; wszyscy ci chłopcy musieli się z tym pogodzić. Wiem, że to brzmi tak spokojnie – ciągnęła cicho – ale moje serce pękło na pół. Tak bardzo go kochałam. *Kocham*. Nie wiem, dlaczego użyłam czasu przeszłego. Przecież miłość nie umiera wraz z ukochanym. Teraz kocham go nawet *bardziej*, bo tak cholernie mi go szkoda. Już nigdy się nie ożeni, nie będzie miał dzieci, nie przeżyje tego cudownego życia, do którego miał święte i niezaprzeczalne prawo. Ale nie żałuję go z powodu tego wszystkiego – zatoczyła dłonią krąg, mając na myśli Fox Corner, żywot klasy średniej, a nawet całą Anglię – tylko dlatego, że był takim *dobrym* człowiekiem. Uczciwym i prawdomównym, o spiszowym charakterze. – Roześmiała się. – To głupie, wiem. Ale nawet nie chce mi się płakać. Moje łzy w żaden sposób nie oddadzą rozmiarów tej straty.

Nancy nie chce rozmawiać, skarżył się kiedyś Teddy, a teraz nie chciała niczego innego, jak właśnie rozmawiać. Sama Ursula prawie nie mówiła, a głównie płakała. Nie było godziny, żeby łzy nieprzerwanym strumieniem nie płynęły jej po twarzy. Oczy miała stale podpuchnięte i zaczerwienione. Crighton okazał jej mnóstwo serca, tuląc w ramionach i uspokajając, parząc niezliczone filiżanki herbaty, podwędzonej – jak przypuszczała – z zapasów Admiralicji. Nie uciekał się do puystych frazesów, nie mówił, że wszystko będzie dobrze, że czas leczy rany, a Teddy’emu jest teraz lepiej – żadnych podobnych bzdur. Panna Woolf również była wspaniała. Przychodziła do nich i siedziała przy niej z Crightonem, ani razu nie zapytawszy, kim on właściwie jest, trzymała ją za rękę, głaskała po włosach i pozwalała wyplakiwać się jak niepocieszonemu dziecku.

Teraz to już przeszłość, pomyślała Ursula, dopijając whisky. Teraz nie ma już nic. Tylko wielka, nijaka pustka, ciągnąca się aż po horyzont jej umysłu. „Rozpacz za mną, śmierć przede mną szczerzy kły”.

– Zrobisz coś dla mnie? – poprosiła nagle Nancy.

– Tak, oczywiście. Co tylko chcesz.

– Spróbujesz się dowiedzieć, czy jest choć cień nadziei, że on jednak żyje? Przecież musi być jakaś szansa, choćby najmniejsza, że dostał się do niewoli? Pomyślałam, że może znasz kogoś w Ministerstwie Lotnictwa...

– No cóż, znam tam jedną dziewczynę...

– Albo Maurice zna może kogoś, kogoś, kto mógłby... to potwierdzić. – Nancy wstała gwałtownie, chwiejąc się lekko od nadmiaru wypitej whisky. – Muszę już iść – rzuciła.

– A myśmy się już spotkali – zwrócił się do Ursuli Roy Holt.

– Tak, w ubiegłym roku, kiedy przyjechałam odwiedzić Teddy’ego – przytaknęła Ursula. – Zatrzymałam się tutaj, Pod Białym Chartem, wynajmują też pokoje, ale o tym chyba wiesz. To przecież „wasz” pub, prawda? Mam na myśli pilotów.

– Pamiętam, że piliśmy wtedy razem w barze – dodał Roy Holt.

– Tak, to był bardzo udany wieczór.

Maurice jak zwykle okazał się bezużyteczny, ale Crichton stanął na wysokości zadania. Za każdym razem słyszał jednak tę samą historię: samolot Teddy’ego zapalił się i runął na ziemię, nikt z załogi nie wyskoczył.

– Byłeś ostatnią osobą, która go widziała – powiedziała Ursula.

– Właściwie do tego nie wracam – odrzekł Roy Holt. – Ted był dobrym kumplem, ale u nas takie rzeczy są na porządku dziennym. Chłopaki nie wracają. Jemy razem podwieczorek, a przy śniadaniu już ich nie ma. Człowiek oplakuje ich przez minutę, a potem przestaje o nich myśleć. Znasz statystyki?

– Tak się składa, że znam.

Roy Holt wzruszył ramionami i rzekł: – Może po wojnie, sam nie wiem... Nie wiem, co mam wam powiedzieć.

– Chcemy tylko mieć pewność – wtrąciła łagodnie Izzie – że nie wyskoczył ze spadochronem. Że naprawdę nie żyje. Atakował was nieprzyjaciół, warunki były skrajnie trudne, może nie widziałeś, jak cała ta nieszczęsna historia się skończyła.

– Wierzcie mi, on nie żyje – odparł Roy Holt. – On i cała jego załoga. Samolot płonął od dzioba po ogon. Większość z nich pewnie i tak już nie żyła. Widziałem go, bo cały czas lecieliśmy w zwartym szyku, bardzo blisko siebie. Odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Spojrzał na ciebie? – powtórzyła Ursula. Teddy, w ostatnich chwilach swojego życia, świadomy, że zaraz zginie. O czym mógł wtedy myśleć, o łące, zagajniku i strumieniu płynącym przez ukwiecony dzwonekmi las? Czy o płomieniach, które go pochłoną, kolejnego męczennika za Anglię?

Izzie wyciągnęła rękę i ścisnęła jej dłoń w swojej. – Spokojnie – szepnęła.

– Myślałem tylko o tym, żeby stamtąd zmykać. Stracili kontrolę nad swoim samolotem, nie chciałem, żeby skurczybyk w nas uderzył. – Roy Holt wzruszył ramionami. Wyglądał niesłuchanie młodo i staro zarazem.

– Powinniście żyć dalej – dorzucił dość szorstko i już łagodniej dodał: – Przyprowadziłem psa. Pomyślałem, że może będziesz go chciała zabrać.

Lucky spał teraz u nóg Ursuli; na jej widok wprost oszalał ze szczęścia. Teddy nie zostawił go w Fox Corner, jak zamierzał, tylko wziął ze sobą na północ, do bazy. „Zważywszy na jego imię i reputację, co innego mogłem zrobić?” – pisał. Przysłał jej też fotografię swojej załogi, wylegującej się na starych fotelach, z Lucky’em stojącym dumnie na baczność na kolanie Teddy’ego.

– Ale to przecież wasza maskotka – zaprotestowała Ursula. – Czy to nie tak, jakby prosić się o nieszczęście? Mam na myśli oddawanie go.

– Od kiedy Ted spadł, nawet na moment nie opuszcza nas pech – mruknął posępnie Roy Holt. – To był jego pies – dodał już łagodniej – wierny do końca, jak to mówią. Ale tęskni za nim tak, że aż się serce kraje. Powinnaś go stąd zabrać. Chłopaki nie mogą patrzeć na to, jak kręci się po płycie i czeka na powrót Teda. Tylko im przypomina, że następnym razem może trafić na nich.

– Dłużej tego nie wytrzymam – powiedziała Ursula, gdy wraz z Izzie odjeżdżały z bazy. Przypomniała sobie, że panna Woolf powiedziała to samo po śmierci Tony’ego. *Ile* właściwie człowiek mógł jeszcze znieść? Psiak siedział zadowolony na jej kolanach, może wyczuwał w niej coś z Teda. A może tylko chciałyby, żeby tak było.

– Co innego można zrobić? – spytała retorycznie Izzie.

Zabić się, na przykład. I może nawet by to zrobiła, ale czy mogła zostawić psa całkiem samego? – Czy to bardzo głupie? – zasięgnęła opinii Pameli.

– Nie, to wcale nie jest głupie – odparła Pamela. – Ten pies to wszystko, co nam zostało po Teddym.

– Czasami mam wrażenie, że to *jest* Teddy.

– A *to* już jest głupie.

Siedziały przed domem w Fox Corner, jakieś dwa tygodnie po Dniu Zwycięstwa. („Teraz to dopiero będzie nam ciężko” – stwierdziła Pamela). Nikt z rodziny go nie świętował. Sylvie uczciła zwycięstwo po swojemu i przedawkowała pigułki nasenne. – Co za egoizm – rzuciła Pamela. – Opatecznie my też byliśmy jej dziećmi.

Sylvie przyjęła prawdę na swój własny, niepowtarzalny sposób – położyła się na dziecięcym łóżku Teddy’ego, zażyła cały flakon pigułek i popiła je resztką whisky Hugh. Kiedyś był to także pokój Jimmy’ego, ale najwyraźniej nie miało to dla niej znaczenia. Teraz przypadł on w udziale dwóm młodszym synom Pameli i to oni bawili się starą kolejką Teddy’ego, rozłożoną na poddaszu w dawnej sypialni pani Glover.

Mieszkali obecnie wszyscy w Fox Corner: chłopcy, Pamela i Harold. Ku powszechnemu zaskoczeniu Bridget spełniła swoją groźbę dotyczącą powrotu do Irlandii. Sylvie, do końca tajemnicza, pozostawiła po sobie własną wersję bomby z opóźnionym zapłonem. Gdy jej testament został publicznie odczytany, okazało się, że matka zostawiła im trochę pieniędzy – w akcjach, udziałach i tak dalej; Hugh nie na darmo był bankierem – które miały być podzielone po równo, lecz to Pamela miała odziedziczyć Fox Corner. – Ale dlaczego ja? – głowiła się. – Przecież nie byłam jej ulubienicą, nie bardziej niż inni.

– Nikt z nas nie był jej ulubieńcem – odrzekła Ursula – poza Teddym. Przypuszczam, że gdyby żył, to jemu przypadłoby Fox Corner.

– Gdyby żył, to i ona by nie umarła.

Maurice był wściekły jak nigdy. Jimmy w chwili odczytywania testamentu nie wrócił jeszcze z wojny, a kiedy wrócił, niewiele go to obeszło. Jeśli chodzi o Ursulę, nie pozostała całkowicie obojętna na ten afront (łagodnie określenie wielkiej zdrady), uznała jednak, że Pamela jak nikt zasługuje na to, aby zamieszkać w Fox Corner, i bardzo się cieszyła, że dom znalazł się w jej pieczy. Pamela początkowo chciała go sprzedać i podzielić się zyskiem ze wszystkimi, ale ku zaskoczeniu Ursuli Harold wybił jej to z głowy. (A Pameli niełatwo było coś wybić z głowy). Nigdy nie lubił Maurice’a, tak ze względu na jego poglądy polityczne, jak i na charakter. Ursula podejrzewała, że w ten właśnie sposób odgrywa się na nim za to, że – no cóż – był, jaki był. Wszystko to wyglądało jak żywcem wzięte z jakiejś powieści Forstera i zapewne łatwo byłoby podsycać w sobie urazę, ale Ursula postanowiła tego nie robić.

Ruchomości miały być równo podzielone między całą czwórkę. Jimmy niczego nie chciał; miał już zarezerwowany bilet na statek do Nowego Jorku i załatwioną posadę w agencji reklamowej, dzięki komuś, kogo poznał podczas wojny. – Mam tam znajomości – mówił, jak echo powtarzając słowa Izzie. Tymczasem Maurice, który w końcu zdecydował się nie zaskarżać testamentu („Chociaż nie ulega wątpliwości, że w sądzie bym wygrał”), przysłał do Fox Corner furgonetkę firmy organizującej przeprowadzki i praktycznie ogołocił dom z całego wyposażenia. Żadna z rzeczy wówczas zabranych nie pojawiła się potem u niego w domu, stąd też wniosek, że wszystko sprzedał, bardziej z czystej złośliwości niż z autentycznej potrzeby. Pamela gorzkimi łzami opłakiwała śliczne dywaniki i bibeloty Sylvie, stół z jadalni w stylu regencji, komplet całkiem porządnymi foteli w stylu królowej Anny i szafkowy zegar z holu – „rzeczy, wśród których dorastaliśmy” – lecz najwyraźniej było to konieczne, żeby uspokoić Maurice’a i zapobiec wybuchowi totalnej wojny.

Ursula wzięła sobie tylko mały zegar podróżny Sylvie. – Niczego więcej nie chcę – powiedziała. – Chcę tylko być tutaj zawsze mile widzianą.

– I tak będzie. Przecież wiesz.

Luty 1947

„To prawie jak paczka z Czerwonego Krzyża” – napisała na odwrocie starej pocztówki z widokiem rezydencji królewskiej w Brighton i postawiła ją na gzymsie kominka obok zegara Sylvie i fotografii Teddy’ego. Wyśle ją jutro popołudniową pocztą. Oczywiście miną całe wieki, zanim dotrze do Fox Corner.

Urodzinowa kartka też w końcu do niej dotarła. Pogoda nie pozwoliła na zorganizowanie zwyczajowego przyjęcia w Fox Corner, więc zamiast tego Crighton zabrał ją do Dorchester na kolację, jak się okazało, przy świecach, gdyż w połowie posiłku wysiadła elektryczność.

– Jak romantycznie – zauważył. – Całkiem jak za dawnych czasów.

– Nie pamiętam, abyśmy spędzali czas w wyjątkowo romantyczny sposób – odparła. Ich romans zakończył się wraz z wojną, ale Crighton pamiętał o jej urodzinach, co poruszyło ją bardziej, niż to sobie wyobrażał. W prezencie podarował jej pudełko czekoladek („Obawiam się, że to niewiele”).

– Z zapasów Admiralicji? – spytała i oboje wybuchnęli śmiechem. Po powrocie do domu za jednym posiedzeniem zjadła wszystkie czekoladki.

Piąta. Wstawiła talerz do zlewu, obok innych niezmytych naczyń. Na tle ciemnego nieba szalała teraz zadymka barwy popiołu i Ursula ściągnęła cienką bawełnianą roletę, żeby nie patrzeć za okno. Roleta beznadziejnie się zacinała i Ursula poddała się, zanim zdołała opuścić ją do końca. Futryny były stare i wypaczone i do środka ciągnął lodowaty przeciąg.

Wyłączono prąd, więc po omacku odszukała stojącą na gzymsie kominka świeczkę. Czy mogło być jeszcze gorzej? Zniosła świeczkę i butelkę whisky do łóżka i nie zdejmując płaszcza, włożyła pod koldrę. Była tak strasznie zmęczona. Głód i zimno wpędzały ją w potworny marazm.

Płomień palnika gazowego zadrżał niepokojąco. Czy to by naprawdę było takie straszne? „Bardziej niż kiedykolwiek, w połowie tej nocy jakże byłoby piękne, odejść bez konania”. Były przecież gorsze rodzaje śmierci. Auschwitz, Treblinka. Halifaks Teddy’ego, spadający na ziemię w płomieniach. Jedynym sposobem na powstrzymanie łez była whisky. Kochana, wierna Pammy. Płomień palnika zamigotał i zgasł, podobnie jak kontrolka. Była ciekawa, kiedy znów puszcza gaz. I czy – jeśli zapach gazu ją zbudzi – zdoła wstać i zapalić go na nowo. Nigdy nie myślała, że umrze jak lis, zamarznięty w swojej norze. Pammy dostanie widokówkę i dowie się, że Ursula była jej bardzo wdzięczna. Zamknęła oczy. Miała takie wrażenie, jakby nie spała od z górą stu lat. Była naprawdę bardzo, ale to bardzo zmęczona.

Powoli zapadała ciemność.

Drgnęła i otworzyła oczy. Czy to już dzień? Światło było zapalone, ale za oknem zobaczyła ciemność. Śniło jej się, że była uwięziona w jakiejś piwnicy. Wygramoliła się z łóżka, wciąż mocno pijana, i zdała sobie sprawę, że to radio ją obudziło. Włączyli prąd akurat na prognozę pogody dla żeglugi.

Wrzuciła monetę do licznika i mały piecyk znowu ożył. A więc jednak się nie zagazowała.

Czerwiec 1967

Z rana Jordańczycy ostrzelali Tel Awiw, donosił reporter BBC, a w tej chwili trwało natarcie na Jerozolimę. Mężczyzna stał na ulicy, najprawdopodobniej właśnie w Jerozolimie – nie słuchała go aż tak uważnie. Gdzieś w tle grzniały artyleryjskie działa, zbyt daleko, aby stanowić realne zagrożenie, choć pseudowojskowy strój dziennikarza i jego sposób relacjonowania wypadków – ekscytacja zmieszana z powagą – sugerowały, iż uważa się za bohatera.

Benjamin Cole był teraz członkiem izraelskiego parlamentu. Pod koniec wojny walczył w Brygadzie Żydowskiej, a następnie przyłączył się w Palestynie do „bandy Sterna”, żeby bić się o nową ojczyznę. Zawsze był takim prawym chłopcem, że aż dziw myśleć o nim jako o terrorystę.

W czasie wojny zdarzyło im się pójść razem na drinka, lecz spotkanie to okazało się dość krępujące. W przypadku Ursuli romantyczne porywy dziewczęcego serca dawno już poszły w niepamięć, podczas gdy stosunek Benjamina do niej jako do przedstawicielki płci przeciwnej, dotychczas względnie obojętny, uległ diametralnej zmianie. Ledwie dopiła swój (cienki) dzin z cytryną, on już proponował, żeby „dokądś razem poszli”.

Ursula była oburzona. – Czy ja wyglądam na kobietę lekkich obyczajów? – spytała później Millie.

– A właściwie czemu nie? – wzruszyła ramionami Millie. – Jutro możemy zginąć od bomby. *Carpe diem* i tak dalej.

– Mam wrażenie, że wszyscy usprawiedliwiają obecnie w ten sposób swoje złe postępowanie – gderła Ursula. – Gdyby ludzie naprawdę wierzyli w wieczne potępienie, może rzadziej byłiby skłonni „chwycić dzień”. – Miała za sobą ciężki dzień w biurze. Jedna z archiwistek otrzymała wiadomość o zatonięciu statku swojego narzeczonego i wpadła w histerię, w wyniku czego w morzu płowozółtych teczek zapodział się pewien ważny dokument, co spowodowało dalsze udręki, choć już nieco innego rodzaju. Tak więc koniec końców nie było mowy o żadnym „chwytaniu dnia” z Benjaminem Cole’em, choć ten bardzo na to nalegał. – Zawsze czułem, że coś nas łączy, a ty nie? – zapytał.

– Spóźniłeś się – odparła, biorąc płaszcz i torebkę. – Może następnym razem się uda. – Pomyślała o doktorze Kellecie i jego teorii reinkarnacji i zaczęła się zastanawiać, w jakiej postaci chciałaby kiedyś powrócić. Jako drzewo, stwierdziła. Mocne, wysokie drzewo, tańczące na wietrze.

Uwaga BBC skupiła się teraz na Downing Street. Ktoś z rządu ustąpił ze stanowiska. Już w pracy słyszała w związku z tym jakieś plotki, ale puściła je mimo uszu.

Jadła kolację – walijską grzankę z serem – prosto z trzymanej na kolanach tacy. Wieczorami zwykle jadała w ten sposób. Nakrywanie do stołu dla jednej osoby wydawało jej się czymś idiotycznym. Miałaby rozkładać te wszystkie półmiski, podkładki pod talerze oraz pozostałe utensylia – i co potem? Jeść sama w kompletnej ciszy? Albo z nosem w książce? Byli tacy, co uważali, że jedzenie przed telewizorem to początek końca cywilizacji. (Czyżby jej zaciekle obrona takich posiłków świadczyła o tym, że sama również jest tego zdania?). Widocznie nie mieszkali samotnie. Poza tym cywilizacja już dawno temu zaczęła chylić się ku upadkowi. Może ów przełom nastąpił w Sarajewie? A już najpóźniej w Stalingradzie. Niektórzy powiedzieliby zapewne, że do początku końca doszło w rajskim ogrodzie.

Czy było coś złego w oglądaniu telewizji? Nie można co wieczór wychodzić do teatru czy do kina (albo choćby do pubu). A jeśli ktoś mieszkał sam, jego jedynym partnerem do rozmowy był kot, co oznaczało, że komunikacja stawała się nieco jednostronna. Z psami było inaczej, ale po Lukym nie miała już żadnego. Lucky zmarł latem czterdziestego dziewiątego – ze starości, jak stwierdził weterynarz. Ursula zawsze uważała go za młodego psiaka. Pochowali go w Fox Corner, a Pamela kupiła krzak róży o ciemnoczerwonych kwiatach i zasadziła na jego grobie. Ich ogród w Fox

Corner stał się istnym psim cmentarzem. Gdzie tylko spojrzeć, rósł jakiś krzak róży, a pod nim spoczywał pies, choć tylko Pamela potrafiła spamiętać, który gdzie leży.

Poza tym jaka była alternatywa dla oglądania telewizji? (Ursula łatwo się nie poddawała, nawet jeśli toczyła dyskusję sama ze sobą). Krzyżówka? Litości. Można było oczywiście czytać, ale po ciężkim dniu w pracy, wypełnionym przygotowaniem sprawozdań, notatek służbowych i harmonogramów, powinno się dać oczom choć trochę odpocząć od druku. Słuchanie radia albo płyt było oczywiście bardzo przyjemne, lecz jednak w jakiś sposób *solipsystyczne*. (Dobrze, tym razem już przesadziła). W końcu przy telewizji człowiek nie musiał *myśleć*. A to nie było takie złe.

Tego dnia jadła kolację później niż zwykle, gdyż po pracy uczestniczyła we własnym przyjęciu pożegnalnym – to prawie jakby uczestniczyć we własnym pogrzebie, tyle tylko że po wszystkim można wrócić do domu. Nic wielkiego, raptem kilka drinków w lokalnym pubie; było bardzo miło, a mimo to poczuła ulgę, gdy wcześniej skończyli (choć inni mogli się tym czuć zawiedzeni). Oficjalnie odchodziła na emeryturę dopiero w piątek, ale uznała, że pracownikom łatwiej będzie odbębnić całą sprawę w tygodniu. Podejrzewała, że nie byliby zachwyceni, gdyby musieli poświęcić swój piątkowy wieczór.

Wcześniej w biurze wręczono jej podróźny zegar z wygrawerowaną dedykacją: „Ursuli Todd, z wyrazami wdzięczności za lata wiernej służby”. Wielkie nieba, pomyślała, cóż za banalne epitafium. Zegar był jednym z tradycyjnych prezentów dla odchodzących na emeryturę, a Ursula nie miała serca się przyznać, że już jeden ma, i to znacznie lepszy. Na szczęście dostała też dwa (ważne) bilety na koncert, podczas którego miała być wykonywana *IX symfonia* Beethovena. Był to bardzo miły gest – Ursula wyczuwała w tym rękę swojej sekretarki, Jacqueline Roberts.

– Utorowała pani innym kobietom drogę do wyższych stanowisk w administracji publicznej – szepnęła Jacqueline, podając jej kieliszek dubonnetta, ostatnimi czasy jej ulubionego aperitif. Niestety nie tak znowu *wysokich*, pomyślała. Nie na szczeblu *kierowniczym*. Takie posady wciąż były zarezerwowane dla Maurice’ów tego świata.

– No cóż, na zdrowie – odparła i stuknęła się kieliszkiem z Jacqueline, która piła porto z dodatkiem soku z cytryny. Ursula rzadko pijała alkohol – od czasu do czasu kieliszek dubonnetta, w weekendy butelkę dobrego burgunda. Nie to co Izzie, która wciąż zajmowała rezydencję przy Melbury Road, snując się po jej licznych pokojach jak jakaś zawiana panna Havisham. Ursula odwiedzała ją w każdy sobotni poranek z torbą pełną zakupów, z których większość najprawdopodobniej lądowała potem w koszu na śmieci. Nikt już nie czytał *Przygód Augustusa*. Teddy’emu z pewnością by ulżyło, jednak Ursula odczuwała z tego powodu smutek, tak jakby jeszcze jedna jego częśćka uległa zapomnieniu.

– Teraz, gdy już przeszłaś na emeryturę, na pewno dostaniesz jakieś odznaczenie – stwierdził Maurice. – Order Imperium Brytyjskiego albo coś w tym rodzaju. – Sam otrzymał ostatnio tytuł szlachecki. („Dobry Boże – westchnęła Pamela – ten kraj schodzi na psy”). Oczywiście nie omieszkał rozesłać wszystkim członkom rodziny fotografii zrobionej w sali balowej pałacu, na której skłaniał głowę przed pasującą go królową. – Co za pycha – zaśmiewał się Harold.

Jeśli chodzi o symfonię Beethovena w Royal Albert Hall, panna Woolf byłaby znakomitą towarzyszką. Po raz ostatni Ursula widziała ją właśnie tam, w czterdziestym czwartym roku, na koncercie z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin dyrygenta Henry’ego Wooda. Zginęła kilka miesięcy później w trakcie ostrzału Aldwych. Anne, dziewczyna z Ministerstwa Lotnictwa, straciła życie podczas tego samego ataku. W przerwie na lunch razem z koleżankami opalały się na dachu ministerstwa, zjadając kanapki. To było tak dawno temu. A zarazem jakby wczoraj.

Ursula miała się z nią tego dnia spotkać na lunch w parku św. Jakuba. Dziewczyna z ministerstwa – Anne – chciała jej coś przekazać, jak powiedziała. Ursula była ciekawa, czy miało to jakiś związek z Teddym. Może znaleźli wrak samolotu albo jego ciało. Zdążyła się już pogodzić z tym, że więcej go nie zobaczą; w przeciwnym razie dawno dostaliby wiadomość, że trafił do obozu jenieckiego albo zdołał przedostać się do Szwecji.

W ostatniej chwili przeznaczenie dało o sobie znać w postaci pana Bullocka, który dzień wcześniej nieoczekiwanie zapukał wieczorem do jej drzwi (skąd wiedział, gdzie mieszka?) z prośbą, aby udała się z nim do sądu zaświadczyć o jego nieposzlakowanym charakterze. Okazało

się, że sądzono go za jakieś czarnorynkowe machlojki, co wcale jej nie zdziwiło. Ursula była numerem dwa na jego liście; pierwszy wybór padł na pannę Woolf, ta jednak awansowała i była obecnie odpowiedzialna za bezpieczeństwo całej dzielnicy, dwieście pięćdziesiąt tysięcy dusz, z których każda stała w jej hierarchii wyżej od pana Bullocka. Pod koniec zraził ją do siebie czarnorynkowymi „wyczynami”. Żaden ze znanych Ursuli strażników z jej sektora nie dotrwał do czterdziestego czwartego.

Wiadomość, że pan Bullock ma stanąć przed sądem karnym, poważnie Ursulę zaniepokoiła. Do tej pory sądziła, że za swoje sprawki może co najwyżej trafić przed oblicze sędziego pokoju, zajmującego się drobnymi wykroczeniami. Cały ranek na próżno czekała, aby wezwano ją na świadka. Ledwo ogłoszono obiadową przerwę w obradach, rozległ się głuchy huk eksplozji, lecz Ursula nie wiedziała, że to ładunki V1 sieją właśnie zniszczenie w Aldwych. Nie trzeba też dodawać, że pan Bullock został uwolniony od wszystkich zarzutów.

Crighton poszedł z nią na pogrzeb panny Woolf. Był dla niej opoką, ale koniec końców został w Wargrave.

– „Ciała ich w pokoju pogrzebano, a imię ich żyje w pokoleniach” – grzmiał pastor, jakby zgromadzeni mieli problemy ze słuchem. – Eklezjastyk 44, 14³⁸. – Ursula nie była wcale przekonana, że to prawda. Kto będzie kiedyś pamiętał o Emilu albo o Renée? O biednym małym Tonym, Fredzie Smisie czy samej pannie Woolf? A ci wszyscy lotnicy? Tyle straconych młodych istnień. W momencie śmierci Teddy był dowódcą eskadry, a miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Dla tych chłopców czas płynął szybciej, tak jak dla Keatsa.

Odśpiewali *Naprzód, żołnierze Chrystusa* i Crighton miał okazję zaprezentować światu swój głęboki baryton. Ursula nigdy wcześniej nie słyszała go śpiewającego. Nie miała jednak wątpliwości, że panna Woolf od porywających do boju hymnów wołałaby Beethovena.

Jej zwierzchniczka łudziła się, że Beethoven uleczy rany powojennego świata, lecz haubice wycelowane w Jerozolimę zdawały się stanowić ostateczny dowód na to, jak płonne to były nadzieje. Ursula była obecnie w tym samym wieku co panna Woolf, gdy wybuchła ostatnia wojna. Wydała jej się wówczas taka stara. – A teraz to *my* jesteśmy stare – żaliła się Pameli.

– Mów za siebie. Zresztą nie masz jeszcze nawet sześćdziesiątki. Co to za starość.

– Ale tak właśnie się czuję.

Gdy jej dzieci dorosły na tyle, że nie potrzebowały już ciągłej opieki, Pamela stała się jedną z tych kobiet, które „czynią dobro”. (W oczach Ursuli nie był to zarzut, wręcz przeciwnie). Została sędzią pokoju, a następnie przewodniczącą sądu pokoju, zasiadała w zarządach kilku organizacji charytatywnych, a przed rokiem zdobyła miejsce w lokalnym samorządzie jako niezależna kandydatka. Poza tym miała na głowie utrzymanie domu (choć akurat w tym pomagała jej „kobieta od wszystkiego”) i ogrodu. W czterdziestym ósmym, w roku narodzin publicznej służby zdrowia, Harold przejął dawny gabinet doktora Fellowesa. Wioska rozrastała się wokół nich, wciąż przybywało nowych domów. Łąka przestała istnieć, podobnie jak zagajnik, a wiele pól należących do gospodarstwa w Ettringham Hall trafiło w ręce dewelopera. Sama rezydencja, coraz bardziej zaniedbana, świeciła pustkami. (Mówiło się coś o otwarciu tam hotelu). Małe stacja kolejowa wyrokiem Beehinga, prezesa Kolei Brytyjskich, została skazana na śmierć i przed dwoma miesiącami ją zamknięto, pomimo heroicznej kampanii na rzecz jej ocalenia, prowadzonej przez nieustraszoną Pamelę.

– Mimo to nadal jest tu pięknie – twierdziła jej siostra. – Wystarczy pięciominutowy spacer, żeby znaleźć się na otwartej przestrzeni. No i nie tknęli lasu. Na razie.

Sarah. Zabierze ją ze sobą na koncert! Cierpliwość Pameli została w końcu wynagrodzona, gdy w czterdziestym dziewiątym roku urodziła córkę. Latem Sarah miała rozpocząć studia w Cambridge na wydziale nauk ścisłych – była bardzo bystra, wszechstronna jak jej matka. Ursula wprost za nią przepadała. Fakt, że znów została ciocią, pomógł jej wypełnić pustkę w sercu po stracie Teddy’ego. Ostatnio często zdarzało jej się żałować, że nie ma własnych dzieci... Przez lata miewała liczne romanse – żaden nie okazał się szczególnie porywający (wina leżała, rzecz jasna, głównie po jej stronie; ten jej brak „zaangażowania”) – lecz nigdy nie zaszła w ciążę, nie była matką ani żoną, i dopiero gdy było już za późno, gdy jej czas minął, uświadomiła sobie, co właściwie straciła. Pa-

mela po śmierci będzie żyć dalej w swoim potomstwie, rozprzestrzeniającym się po świecie niczym dopływy wielkiej rzeki, podczas gdy życie Ursuli po prostu się zakończy. Wyschnie jak strumień.

Nie obeszło się również bez kwiatów i w tym także Ursula upatrywała ręki Jacqueline. Dzięki Bogu mieli już za sobą ten wieczór w pubie. Śliczne różowe lilie stały teraz na jej kredensie, wypełniając pokój słodkim zapachem. Okna salonu wychodziły na zachód i wlewało się przez nie przedwieczne słońce. Na zewnątrz było jeszcze jasno, drzewa we wspólnych ogródkach stały pokryte świeżym listowiem. Słowem było to bardzo ładne mieszkanie, w pobliżu kościoła Brompton Oratory, a Ursula przeznaczyła na jego zakup całą odziedziczoną po Sylvie sumę pieniędzy. Miała niedużą kuchnię i łazienkę, obie z nowoczesnymi wygodami, lecz jeśli chodzi o umeblowanie, jak ognia unikała nowoczesności. Zaraz po wojnie kupiła proste, gustowne antyki, na które akurat skończył się popyt. Podłogi pokrywała wykładzina w bladzielonym kolorze, a zasłony zostały uszyte z tego samego materiału co obicia. Jako wzór wybrała ponadczasowe motywy roślinne Morrisa, te delikatniejsze. Pomalowane bladocytrynową emulsją ściany sprawiały, że mieszkanie nawet w deszczowe dni wydawało się jasne i przestronne. Było tu też trochę porcelany z Miśni i Worcester – patery i komplet wazonów – również tanio kupionej po wojnie, a w salonie zawsze stały świeże kwiaty. Jacqueline dobrze o tym wiedziała.

Jedynym plebejskim akcentem była parka porcelanowych lisów ze Staffordshire, jaskraworudych stworzeń, z których każdy trzymał w pysku martwego królika. Ursula kupiła je ze bezcen na Portobello Road. Przypominały jej o Fox Corner.

– Uwielbiam tu przychodzić – zachwyciła się Sarah. – Masz tyle ładnych rzeczy i zawsze jest tu tak czysto i porządkie, nie to co u nas w domu.

– Kiedy mieszka się samemu, łatwo o czystość i porządek – odparła Ursula, ale słowa siostrzenicy bardzo jej pochlebily. Przyszło jej do głowy, że mogłaby sporządzić testament i zapisać komuś swój ziemski dobytek. Bardzo chciała, żeby to Sarah odziedziczyła po niej mieszkanie, lecz wahała się, zbyt dobrze pamiętając awanturę o Fox Corner po śmierci Sylvie. Czy wypada tak otwarcie kogoś faworyzować? Zapewne nie. Powinna podzielić swój majątek po równo między swoich siostrzeńców i bratanków, nawet tych, których nie lubiła albo rzadko kiedy widywała. Jimmy, rzecz jasna, nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci. Obecnie mieszkał w Kalifornii. – Wiesz, że nasz brat jest homoseksualistą, prawda? – spytała ją kiedyś Pamela. – Zawsze miał takie skłonności. – Niby zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu, nie jak przygana, ale jednak w głosie Pamelii dało się wyczuć pewną afektację i cień samozadowolenia, jakby była dumna z tego, iż z taką łatwością przychodzi jej wyrażanie liberalnych poglądów. Ursula była ciekawa, czy siostra wie o Geraldzie i jego „skłonnościach”.

– Jimmy to po prostu Jimmy – mruknęła.

Tydzień wcześniej po powrocie z lunchu znalazła na swoim biurku w pracy egzemplarz „Timesa”. Gazeta została tak złożona, żeby było widać stronę z nekrologami. Ursula zobaczyła zdjęcie Crightona w mundurze, zrobione, zanim się jeszcze poznali. Już zapomniiała, jaki był przystojny. Wspomnienie pośmiertne było całkiem obszerne i oczywiście nie mogło w nim zabraknąć informacji o Jutlandii. Ursula dowiedziała się też, że żona Moira go „odumarła”, że miał kilkoro wnucząt i był zapalonym golfistą. Pamiętała, że Crighton nie cierpiał golfa – ciekawe, kiedy zmienił zdanie? I kto, u licha, zostawił na jej biurku tę gazetę? Kto jeszcze, po tych wszystkich latach, mógł uznać, że należałoby ją zawiadomić? Nie miała pojęcia i przypuszczała, że już nigdy się tego nie dowie. Jeszcze w trakcie ich romansu Crighton miał w zwyczaju przysyłać jej liściki, dosyć sprośne miłosne *billets-doux*, które pojawiały się na jej biurku jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Być może po tylu latach ta sama niewidzialna ręka podrzuciła też „Timesa”.

– Mój „człowiek z Admiralicji” nie żyje – poinformowała Pamelę. – Oczywiście wszyscy kiedyś umrą.

– To dopiero truizm – zaśmiała się Pamela.

– Nie, miałam na myśli to, że wszyscy, których znamy, pewnego dnia odejdą, nas nie wyłączając.

– Taki sam truizm.

– *Amor fati* – oznajmiła Ursula. – Nietzsche stale o tym pisał. Kiedyś tego nie rozumiałam,

myślałam, że to znaczy *a more fatty*, „trochę tłustszy”. Pamiętasz, jak chodziłam do psychiatry? Do doktora Kelleta? W głębi duszy był z niego filozof.

– „Miłość do losu”?

– Chodzi o jego akceptację. O to, że trzeba przyjmować wszystko, co nas spotyka, zarówno dobre rzeczy, jak i złe. Sądzę, że śmierć jest po prostu kolejną rzeczą, jaką musimy zaakceptować.

– Brzmi jak buddyzm. A mówiłam ci już, że Chris wybiera się do Indii do jakiegoś klasztoru? Nazywa go swoim azylem. Po Oksfordzie nie może nigdzie zagrzać miejsca. Podobno jest teraz „hipisem”. – Ursula pomyślała, że Pamela jest bardzo pobłażliwa wobec swojego trzeciego syna. Osobiście uważała Christophera za odrażającą postać. Usiłowała znaleźć jakieś inne, łagodniejsze słowo – na próżno. Był jednym z tych, którzy gapią się na ciebie ze znaczącym uśmiechem, jakby uważali się za kogoś lepszego pod względem duchowym i intelektualnym, podczas gdy naprawdę są po prostu społecznie nieprzystosowani.

Woń lilii, cudowna, gdy wstawiała je do wody, teraz zaczynała przyprawiać ją o lekkie mdłości. W pokoju panował zaduch. Powinna otworzyć okno. Wstała, żeby odnieść talerz do kuchni, i w tej samej chwili poraził ją niewyobrażalny ból w prawej skroni. Musiała usiąść i poczekać, aż minie. Od wielu tygodni jej się to przytrafiało. Przeszywający ból, a potem szum w głowie i kołowatość. A czasem tylko potworna pulsująca migrena. Podejrzewała, że to nadciśnienie, ale po całej serii badań diagnoza brzmiała: „prawdopodobnie” newralgia. Dostała receptę na silne leki przeciwbólowe i usłyszała, że po przejściu na emeryturę z pewnością czuje się lepiej. – Musi się pani zrelaksować i nie przemęczać – dodał lekarz tym charakterystycznym tonem zarezerwowanym dla starszych ludzi.

Ból minął, więc ostrożnie się podniosła.

Co teraz *pocznie* ze swoim wolnym czasem? Pomyślała, że mogłaby się przenieść na wieś, zamieszkać w uroczym domku, brać udział w sąsiedzkim życiu, może gdzieś w pobliżu Pameli. Wyobraziła sobie St Mary Mead albo Fairacre panny Read. Może i *ona* mogłaby napisać powieść? To z pewnością wypełniłoby jej czas. No i pies, pora znowu postarać się o psa. Pamela trzymała golden retrievery – cały korowód, jeden zastępował drugiego, a Ursula nigdy nie mogła ich odróżnić.

Pozmywała swoją skromną zastawę i pomyślała, że wcześniej się położy, zrobi sobie kakao i będzie czytać w łóżku. Była właśnie w trakcie lektury *Komediantów* Greena. Może faktycznie powinna więcej odpoczywać, ale ostatnimi czasy bała się zasypiać. Jej sny były tak barwne, że czasem trudno było nie brać ich za jawę. Niedawno kilkakrotnie była przekonana, że spotkało ją coś dziwnego, coś, co logicznie rzecz biorąc, nie miało prawa się wydarzyć. Do tego dochodziło spadanie. W swoich snach stale skądś spadała, ze schodów albo urwisk, a towarzyszyło temu wyjątkowo nieprzyjemne uczucie. Czyżby dopadły ją pierwsze objawy demencji? Początek końca. Koniec początku.

Z okna w sypialni widziała wschodzącą tarczę księżyca w pełni. „Królowa nocy, Luna” Keatsa, pomyślała. „Czułością noc oddycha”³⁹. Ból głowy powrócił. Napełniła szklanek wodą z kranu i przełknęła dwie tabletki przeciwbólowe.

– Gdyby Hitler zginął, zanim został kanclerzem, nie doszłoby nigdy do konfliktu między Arabami a Izraelem, mam rację? – Wojna sześciodniowa, jak ją nazywano, właśnie dobiegła końca; Izraelczycy odnieśli przytłaczające zwycięstwo. – Chcę przez to powiedzieć, że rozumiem, czemu Żydzi pragnęli niepodległego państwa i byli gotowi tak zawzięcie go bronić – ciągnęła Ursula. – Zawsze sympatyzowałam z ruchem syjonistycznym, jeszcze przed wojną, ale z drugiej strony mogę też zrozumieć pretensje krajów arabskich. Gdyby jednak Hitler nie mógł przeprowadzić Holokaustu...

– Ponieważ by nie żył?

– Właśnie, ponieważ by nie żył. Wówczas poparcie dla żydowskiego państwa byłoby w najlepszym razie bardzo niewielkie...

– Historia to nic innego jak takie „gdybanie” – stwierdził Nigel. Pierworodny Pameli i jej ulubiony siostrzeniec wykladał historię w Brasenose, dawnym college’u Hugh. Ursula zaprosiła go na lunch do Fortnuma.

– Miło jest porozmawiać wreszcie z kimś inteligentnym – zauważyła. – Spędziłam urlop na południu Francji u mojej przyjaciółki Millie Shawcross, miałeś okazję ją poznać? Nie? Oczywiście nosi teraz inne nazwisko, zmieniała mężów jak rękawiczki, a jeden był bogatszy od drugiego.

Millie, wojenna panna młoda, ochoczo dała nogę ze Stanów. Jej nowa rodzina okazała się „pastuchami”, jak to ujęła. W ojczyźnie wróciła „na teatralne deski” i zaliczyła kilka fatalnych związków, zanim udało jej się trafić na żyłę złota w osobie potomka naftowych magnatów, obecnie na wygnaniu w rajach podatkowych.

– Mieszka teraz w Monako. Nie miałam pojęcia, że to tak *niewiarygodnie* małe kraj. Niestety Millie ostatnimi czasy całkiem znikowała. Zanudzam cię, prawda?

– Skądże. Dolać ci jeszcze wody?

– Ludzie, którzy mieszkają samotnie, z reguły stają się nudziarzami. Nikt nas nie ogranicza, przynajmniej jeśli chodzi o mówienie.

Nigel uśmiechnął się. Nosił poważne okulary, a po Haroldzie odziedziczył uroczy uśmiech. Gdy zdjął szkła, żeby je przetrzeć serwetką, wyglądał bardzo młodo.

– Tak młodo wyglądasz – powiedziała Ursula. – To rozumiałe, przecież *jesteś* młody. Zaczynam gadać jak znikowana stara ciotka, co?

– Broń Boże – zaprzeczył. – Jesteś chyba najmądrzejszą osobą, jaką znam.

Posmarowała bułeczkę masłem, bardzo zadowolona z komplementu. – Ktoś kiedyś powiedział, że umiejętność przewidywania po fakcie to coś wspaniałego i bez niej nie byłoby historii.

– Zapewne miał rację.

– Pomyśl tylko, jak inny byłby świat – nie ustępowała Ursula. – Żelazna kurtyna nigdy by nie opadła, a Rosja nie pożarłaby całej wschodniej Europy.

– Nie pożarłaby?

– Cóż, jakkolwiek by patrzeć, to *był* akt czystej chciwości. Poza tym gdyby wojna nie rozruzała gospodarki, Amerykanie mogliby nie podnieść się tak prędko z kryzysu, a co za tym idzie, nie wywarliby takiego wpływu na powojenny świat...

– No i cała masa ludzi nadal by żyła.

– To oczywiście. Kulturalne oblicze Europy też by inaczej wyglądało dzięki Żydom. No i pomyśl o tych wszystkich wysiedleńcach, tułających się z jednego kraju do drugiego. Wielka Brytania zaś wciąż byłaby imperium, a przynajmniej nie rozpadłoby się ono w takim tempie – oczywiście nie twierdzę, że imperializm to coś dobrego, broń Boże. Nie doprowadzilibyśmy też kraju do ruiny i nie musielibyśmy ponosić takich kosztów podnoszenia się z upadku, zarówno pod względem finansowym, jak i psychologicznym. Natomiast wspólny rynek...

– Na którym i tak nas nie chcą.

– Pomyśl tylko, jaka silna byłaby Europa! Chociaż może Hitlera zastąpiłby jakiś Göring albo Himmler i wszystko potoczyłoby się tak samo.

– Może i tak. Ale partia nazistowska niemal aż do momentu przejścia władzy stanowiła polityczny margines. To była zbieranina fanatycznych psychopatów, ale żaden z nich nie miał takiej charyzmy jak Hitler.

– O tak, wiem – odparła Ursula. – Rzeczywiście, był niezwykle charyzmatyczny. Ludzie uważają charyzmę za zaletę, podczas gdy tak naprawdę jest to rodzaj uroku – w dawnym znaczeniu tego słowa, jak rzucanie uroku, rozumiesz, co mam na myśli? Wydaje mi się, że chodziło o jego oczy, miał *wyjatkowo* fascynujące oczy. Kiedy się w nie patrzyło, czuło się pokusę dania mu wiary...

– Miałaś okazję go *spotkać*? – spytał zdumiony Nigel.

– No cóż – odrzekła Ursula. – Niezupełnie. Co powiesz na deser, mój drogi?

Lipiec i gorąco jak w piekle. Gdy Ursula wracała Piccadilly z lunchu u Fortnuma, nawet otaczające ją kolory wydawały się rozżarzone. Ostatnio wszystko było jaskrawe i krzykliwe, a zwłaszcza tak zwana złota młodzież. Spódniczki niektórych dziewcząt z jej biura przypominały lambrekiny. Dzisiejsi młodzi ludzie mieli w sobie tyle *samozadowolenia*, jakby to oni wynaleźli przyszłość. Byli pokoleniem, dla którego stoczono ostatnią wojnę, a które teraz tak ostantacyjnie obnosiło się ze słowem „pokój”, jakby to był slogan reklamowy. Sami nie doświadczyli wojny („I

całe szczęście – usłyszała słowa Sylvie. – Choćby nawet mieli być z tego powodu nie wiem jak niewydarzeni”). Otrzymali, żeby zacytować Churchilla, należne im prawo do wolności. Co z nim teraz zrobią, to już ich sprawa, stwierdziła. (Ależ się z niej zrobiła stara zrzęda; stała się dokładnie tym, kim nigdy nie chciała być).

Przyszło jej do głowy, że mogłaby wrócić do domu przez park, przecięła więc ulicę i weszła do Green Parku. Spacery po parkach były zarezerwowane na niedziele, ale uznała, że odkąd przeszła na emeryturę, każdy dzień jest jak niedziela. Ruszyła przed siebie, minęła pałac Buckingham i weszła do Hyde Parku, gdzie kupiła lody w kiosku nad brzegiem jeziora Serpentine i stwierdziła, że chyba wypożyczy leżak. Była potwornie zmęczona, ten lunch najwyraźniej zupełnie ją wyczerpał.

Musiała na chwilę przysnąć – tyle przecież zjadła. Po jeziorze pływały łódki, ludzie na rowerach wodnych śmiali się i żartowali. A niech to, pomyślała; czuła, że nadciąga kolejna migrena, a w torebce nie miała żadnych środków przeciwbólowych. Może uda jej się złapać taksówkę na Carriage Drive, za nic w świecie nie dotrze teraz pieszo do domu – nie w tym upale i nie z takim bólem głowy. Niespodziewanie jednak ból zaczął ustępować, całkiem inaczej, niż to zwykle bywało z jej migrenami. Ponownie zamknęła oczy. Słońce wciąż niemiłosiernie grzało, jego jasność ją oślepiła. Ogarnęło ją rozkoszne lenistwo.

Dziwnie było tak spać w otoczeniu obcych ludzi. Powinna się czuć bezbronna, lecz zamiast tego odczuwała dziwny spokój. Jak to ujął Tennessee Williams – „życzliwość nieznajomych”? Ostatni sceniczny występ Millie, jej ląbędzy śpiew – rola Blanche DuBois w przedstawieniu granym w 1955 roku w Bath.

Pozwoliła, aby szum i gwar parku ukołysały ją do snu. W życiu nie chodziło przecież o stanie się, prawda? Tylko o bycie. Doktor Kellet pochwaliłby ją za tę myśl. Wszystko jest ulotne, a zarazem wieczne, pomyślała sennie. Gdzieś szczeknął pies. Gdzieś zapłakało dziecko. Jej dziecko; czuła w ramionach kruchy ciężar niemowlęcia. Co za wspaniałe uczucie. Śniła. Była na łące, wśród lnu i ostróżek, jaskrów, maków, lepnicy czerwonej i złocieni – oraz niespotykanych o tej porze roku przebiśniegów. Osobliwości świata marzeń sennych, pomyślała, lecz zaraz dobiegł ją dźwięk małego podróznego zegara Sylvie, wydzwaniającego północ. Ktoś śpiewał – jakieś dziecko – cienki dziecięcy głosik nucił czysto: „Miałam ci ja leszczynę, orzechów nie rodziła”. *Muskatnuss*, pomyślała nagle; niemieckie określenie gałki muszkatołowej. Od dawna usiłowała je sobie przypomnieć, no i proszę.

Teraz znajdowała się w jakimś ogrodzie. Słyszała delikatny brzęk odstawianych na spodeczki filiżanek oraz zgrzytanie i klekot kosiarki, czuła pieprzny i słodki zarazem aromat goździków. Jakiś mężczyzna wziął ją na ręce i podrzucił do góry; na trawnik posypały się kostki cukru. To był inny świat, a jednak ten sam. Pozwoliła sobie na stłumiony chichot, chociaż zawsze uważała, że ci, którzy w miejscach publicznych śmieją się sami do siebie, muszą być szaleni.

Pomimo lejącego się z nieba żaru zaczął sypać śnieg, ale ostatecznie nie takie rzeczy zdarzały się w snach. Białe płatki z wolna pokrywały jej twarz – jaka cudowna ochłoda w taką pogodę. A potem zaczęła spadać i spadała coraz głębiej w noc, głęboką i czarną...

I nagle znów padał śnieg – biały i przyjemny – a światło niczym ostrze miecza przesywało grube zasłony. Ktoś ją podniósł, kołysały ją jakieś miękkie ramiona.

– Dam jej na imię Ursula – odezwała się Sylvie. – Co ty na to?

– Podoba mi się – odrzekł Hugh. Zamajaczyła przed nią jego twarz. Starannie przystrzyżone wąsy i bokobrody, ciepłe spojrzenie zielonych oczu. – Witaj w domu, niedźwiadku – powiedział.

Koniec początku

„Witaj w domu, niedźwiadku”. Jej ojciec. Miała jego oczy.

Zgodnie z tradycją Hugh, pozbawiony możliwości wstępu do alkowy, nerwowo przemierzał chodnik w stylu Voyseya, wyściełający korytarz na piętrze. Szczegóły tego, co właśnie działo się za drzwiami, nie były mu znane, on zaś odczuwał wielką ulgę na myśl, że nie oczekuje się od niego gruntownej znajomości przebiegu porodu. Dobiegające ze środka krzyki Sylvie sugerowały tortury, jeśli nie istną jatkę. Kobiety są nadzwyczajnie odważne, pomyślał Hugh. Palił papierosa za papierosem, żeby dać odpór wszelkim przejawom niemieckiej słabości.

Beznamiętne, basowe instrukcje doktora Fellowesa przynosiły mu pewną pociechę, w przeciwieństwie do histerycznej celtyckiej paplaniny pomywaczki, stanowiącej niestety ich stały kontrpunkt. Gdzie była pani Glover? W chwilach takich jak ta kucharka mogła być bardzo pomocna. Ta, którą pamiętał ze swego rodzinnego domu w Hampstead, w kryzysowych momentach zachowywała isticie stoicki spokój.

Nagle dało się słyszeć znaczne poruszenie, mogące zwiastować zarówno wielkie zwycięstwo, jak i spektakularną porażkę w bitwie toczącej się po drugiej stronie drzwi sypialni. Hugh powstrzymał się od wejścia do środka, czekając na zaproszenie, które nie nadchodziło. W końcu doktor Fellowes gwałtownym ruchem otworzył wrota sali porodowej i oznajmił: – Ma pan śliczniętką, zdrowiutką dziewczyneczkę. Niewiele brakowało, żeby umarła – dodał jakby po namyśle.

Bogu dzięki, że zdążyłem wrócić do Fox Corner, zanim śnieg całkiem zasypał drogi, pomyślał Hugh. Z podróży przez kanał La Manche przywłókł ze sobą z powrotem swoją siostrę, rozwściezoną, że odrywa się ją od paryskich uciech. Na dłoni wciąż miał ślad po dość bolesnym ugryzieniu i nie przestawał się głowić, skąd w niej aż tyle agresji. Na pewno nie było w tym żadnej winy niani Mills, która doglądała ich w dzieciństwie w Hampstead.

Izzie nadal miała na palcu fałszywą obrączkę, pamiątkę haniebnego tygodnia spędzonego z kochankiem w paryskim hotelu, choć Hugh śmiał wątpić, aby Francuzi, ten zdemoralizowany naród, przejmowali się takimi błahostkami. Wyruszyła na kontynent w krótkiej sukience i słomkowym kapelusiku (matka opisała mu jej wygląd tak szczegółowo, jakby Izzie była jakimś przestępcą), lecz wróciła już w sukni od Wortha (co po wielokroć podkreślała, jakby to miało zrobić na nim wrażenie). Nie ulegało także wątpliwości, że ten łajdak wykorzystywał ją jeszcze przed ich wspólną ucieczką, ponieważ jej nowa suknia, od Wortha czy nie od Wortha, niemal pękała w szwach.

Koniec końców udało mu się wykurzyć uciekinierkę z Hôtel d’Alsace na St Germain, w jego odczuciu mocno podupadłego *endroit*, świadka ostatnich chwil Oscara Wilde’a, co już mówiło wszystko co trzeba o tym podłym miejscu.

Wywiązała się niestosowna szamotanina, i to nie tylko z Izzie, lecz również z łotrem, z którego ramion Hugh musiał ją wyrwać, zanim pociągnął ją, wyrrywającą się i wrzeszczącą, do zgrabnej dwudrzwiowej taksówki marki Renault, która, z góry opłacona, czekała na nich przed hotelem. Przeszło mu przy tym przez myśl, że miło byłoby mieć własny automobil. Czy byłoby go na niego stać przy jego obecnej pensji? I czy nauczyłyby się go prowadzić? Na ile to mogło być trudne?

Już na statku zjedli całkiem przyzwoite, różowiotkie francuskie jagnię. Izzie zażądała szampana, a Hugh nie zaprotestował; był już tak umęczony całą tą historią z jej ucieczką, że nie miał ochoty na kolejną kłótnię. Kusilo go, żeby wyrzucić siostrę za burtę, prosto w ciemnoszare wody kanału La Manche.

Wcześniej zatelegrafował z Calais do ich matki Adelaide, ażeby poinformować ją o nieszczęściu Izzie. Uznał, że lepiej będzie zawczasu przygotować ją na spotkanie z najmłodszą córką, której odmienny stan był aż nadto widoczny.

Pozostali podróżni brali ich za młode małżeństwo i pod adresem Izzie posypało się mnóstwo uroczych komplementów, dotyczących jej rychłego macierzyństwa. Hugh doszedł do wniosku, iż

lepiej nie wyprowadzać ich z tego przekonania, jakkolwiek było ono szokujące, niż wyjawić całą prawdę kompletnie obcym ludziom. Siłą rzeczy do końca podróży musiał brać udział w absurdalnym przedstawieniu, wymagającym od niego wyparcia się prawowitej małżonki oraz dzieci i udawania, że to Izzie jest jego młodziutką oblubienicą. Chcąc nie chcąc, stał się w istocie łajdakiem, który uwiódł nieopierzonego podlotka (zapominając przy tym najwyraźniej, że jego własna żona miała zaledwie siedemnaście lat, gdy się jej oświadczył).

Izzie, rzecz jasna, z radością odgrywała tę komedię i mściła się na Hugh, stawiając go w sytuacji najbardziej niekomfortowej z możliwych, mówiąc o nim *mon mari* i wygadując pod adresem tego męża rozmaite czule nonsensy, co oczywiście niesłychanie go irytowało.

– Co za urocze młodziutkie stworzenie z tej pańskiej żony – zarechotał jakiś Belg, gdy Hugh zażywał świeżego powietrza na pokładzie, rozkoszując się poobiednim papierosem. – Ledwo wyrosła z pieluch, a zaraz sama będzie matką. Najlepiej brać je właśnie, kiedy są takie młode, bo można je wtedy formować według własnego widzimisię.

– Doskonale mówi pan po angielsku, sir – odparł Hugh, ciskając niedopałek do morza i odchodząc. Ktoś inny, słabszy, zapewne uciekłby się do rękoczynów. Hugh uważał, że w razie konieczności mógłby się bić o honor swojego kraju, ale niedoczekanie, żeby miał bronić skalanej cnoty swojej nieodpowiedzialnej siostry (choć niewątpliwie miło byłoby dopasować kobietę do swoich wymagań, jak te garnitury, które szył na miarę u krawca na Jermyn Street).

Układając telegram do matki, długo szukał odpowiednich słów. Ostatecznie jego treść brzmiała: „PRZED POŁUDNIEM BĘDĘ W HAMPSTEAD STOP ISOBEL JEST ZE MNĄ STOP SPODZIEWA SIĘ DZIECKA STOP”. Był to dość bezpośredni sposób na przekazanie tego rodzaju nowiny i Hugh pożałował, że poskąpił pieniędzy na kilka przysłówków, które złagodziłyby nieco ogólny ton wypowiedzi. Jak choćby „niestety”. Jego wiadomość (niestety) przyniosła skutek odwrotny do spodziewanego i gdy zeszli na ląd w Dover, czekała już na nich odpowiedź. „POD ŻADNYM POZOREM NIE PRZYWOŻ JEJ DO MOJEGO DOMU STOP”, przy czym owo finalne, ciężkie jak ołów „stop” zwiastowało decyzję, od której nie ma odwołania. Hugh był w prawdziwej rozterce, co począc z Izzie. Na przekór wszystkiemu w wieku szesnastu lat wciąż była jeszcze dzieckiem i nie mógł jej ot tak po prostu zostawić na ulicy. Pragnąc jak najszybciej znaleźć się z powrotem w Fox Corner, nie miał innego wyboru, jak tylko zabrać ją ze sobą.

Gdy wreszcie, zmarznięci na sople, o północy dotarli na miejsce, drzwi otworzyła im rozgorączkowana Bridget, która zakrzyknęła: – O nie, myślałam, że to doktor przyjechał, jak mi Bóg miły! – Okazało się, że jego trzecie dziecko właśnie pcha się na świat. Moja córeczka, pomyślał z uczuciem, spoglądając w dół na pomarszczoną twarzyczkę. Bardzo lubił dzieci.

– Ale co my z nią *zrobimy*? – denerwowała się Sylvie. – Na pewno nie będzie rodzic pod moim dachem.

– Pod *naszym* dachem.

– Będzie musiała je oddać.

– To dziecko należy do naszej rodziny – oświadczył Hugh. – Płynie w nim ta sama krew, co w żyłach moich dzieci.

– *Naszych* dzieci.

– Powiemy, żeśmy go adoptowali – rzekł Hugh. – Że to nasz osierocony krewniak. Ludzie nie będą zadawali pytań, bo i czemu mieliby to robić?

Koniec końców dziecko – chłopczyk – *urodziło się* pod dachem Fox Corner. Gdy Sylvie go zobaczyła, nie mogła go już tak łatwo odrzucić. – Naprawdę rozkoszny z niego malec – powiedział. Dla niej wszystkie niemowlęta były rozkoszne.

Aż do końca ciąży Izzie miała zakaz oddalania się poza ogród. Oczywiście twierdziła, że jest więziona, „jak hrabia Monte Christo”. Zaraz po porodzie przekazała im dziecko i natychmiast przestała się nim interesować, jakby cała ta historia – ciąża, a potem rozwiązanie – była irytującym obowiązkiem, który został jej narzucony, i teraz, gdy już wywiązała się ze swojej części umowy, chciała odzyskać wolność. Po dwóch tygodniach leżenia w łóżku i obsługiwania jej przez zniesmaczoną Bridget Izzie została wsadzona do pociągu do Hampstead, skąd wkrótce wyprawiono ją do szkoły dla dziewcząt w Lozannie.

Hugh miał rację: pojawienie się nowego dziecka w rodzinie nie wzbudziło niczyich wątpliwości. Pani Glover i Bridget zostały zobowiązane do zachowania tajemnicy pod przysięgą, którą – za plecami Sylvie – dodatkowo osłodzono gotówką. Hugh znał wartość pieniądza, ostatecznie nie na darmo był bankierem. Jeśli chodzi o doktora Fellowesa, to miał nadzieję, że można polegać na jego zawodowej dyskrecji.

– Roland – oznajmiła Sylvie. – Zawsze podobało mi się to imię. To z *Pieśni o Rolandzie*, tym francuskim rycerzu.

– Domyślam się, że zginął w boju? – mruknął Hugh.

– Jak większość rycerzy, prawda?

Srebrny zajaczek wirował, lśnił i migotał przed jej oczami. Liście buku tańczyły, ogród kielkował, rozkwitał, owocował, a wszystko to działo się bez żadnej pomocy z jej strony. – *Luli, luli, luli* – śpiewała Sylvie – *Dzidzia biegać miała chęć i zrobiła bęc*. – Ursula nie zniechęcała się tą perspektywą i wraz ze swoim równolatkiem Rolandem niestrudzenie stawiała mozolnie pierwsze kroki.

Roland był bardzo pogodnym dzieckiem i musiało minąć trochę czasu, zanim Sylvie zauważyła, że ma „nie wszystko na swoim miejscu”, jak to zakomunikowała Hugh pewnego wieczoru, gdy wrócił do domu po ciężkim dniu w banku. Hugh dobrze wiedział, że nie ma sensu zwierzać się Sylvie z problemów finansowych, a mimo to czasami wyobrażał sobie, że wraca po pracy do żony zafascynowanej księgami i bilansami, rosnącymi cenami herbaty i niestabilnym rynkiem wełny. Do żony „uformowanej” zgodnie ze swoimi wymaganiami, zamiast do tej pięknej, mądrej i nieco kłótlivej kobiety, z którą się ożenił.

Zaraz też schronił się w swojej „pustelni”, gdzie zasiadł za biurkiem z dużą słodową whisky i niedużym cygarem, mając nadzieję, że nikt mu nie zakłóci spokoju. Niestety Sylvie wtargnęła do środka, usiadła naprzeciwko niego niczym klient banku ubiegający się o pożyczkę i oznajmiła: – Sądzę, że dziecko Izzie jest trochę niedorozwinięte. – Aż do tej pory zawsze mówiła o nim po imieniu; teraz, gdy okazał się upośledzony, znów stał się „dzieckiem Izzie”.

Hugh uznał to za nonsens, lecz czas płynął i coraz trudniej było mu nie zauważać, że Roland nie rozwija się tak samo jak pozostałe dzieci. Wolno się uczył i zdawał się całkiem pozbawiony tej naturalnej dla dzieci ciekawości świata. Można go było posadzić na dywanie przed kominkiem z książeczką obrazkową albo drewnianymi klockami i pół godziny później zastać go w tej samej pozycji, wpatzonego z zadowoleniem w palenisko (dobrze zabezpieczone przed dziećmi). Czasami towarzyszyła mu kotka Queenie (znacznie bardziej niebezpieczna niż ogień i z natury złośliwa), która siedząc obok, zajmowała się swoją toaletą. Można mu było powierzyć dowolne proste zadanie, w związku z czym większość czasu upływała Rolandowi na posłusznym przynoszeniu i dostarczaniu różnych drobiazgów dziewczynkom, Bridget, a nawet pani Glover, której zdarzało się traktować go jak chłopca na posyłki. Biedak biegał więc a to po cukier do spiżarni, a to po drewnianą łyżkę ze słoika. Wydawało się mało prawdopodobne, aby mógł pójść do dawnej szkoły Hugh czy studiować na jego byłej uczelni, i nie wiedzieć czemu Hugh jeszcze bardziej przywiązał się do niego z tego powodu.

– Może powinniśmy sprawić mu psa – podsunął. – Pies wydobywa z chłopca to, co w nim najlepsze. – I tak w Fox Corner pojawił się Bosman, wielki, przyjacielski zwierzak, idealny do obrony i pilnowania stada, który z miejsca wyczuł, że powierzono mu tutaj ważne zadanie.

Przynajmniej mały nie sprawia kłopotów, myślał Hugh, w przeciwieństwie do swojej nieznośnej matki albo dwojga jego własnych starszych dzieci, które nieustannie ze sobą wojowały. Ursula była, rzecz jasna, całkiem inna. Niezwykle czujna, jakby usiłowała wchłonąć cały świat tymi swoimi zielonymi oczkami, które należały zarówno do niej, jak i do niego. Jeśli miał być szczerzy, młodsza córka odrobinę go niepokoiła.

*

Pan Winton rozstawił swoją sztalugę tak, żeby stać twarzą do morza. Był wielce zadowolony z postępów swojej pracy – udało mu się doskonale oddać błękity, zielenie, biel oraz mroczne brzozy kornwalijskiego wybrzeża. Kilku spacerowiczów przerwało swoją wędrówkę po plaży, aby

śledzić jego malarskie poczynania. Na próżno czekał jednak na choćby jeden komplement.

Na horyzoncie przemknęło kilka białych żagli – zapewne jakieś regaty, domyślił się pan Winton. Zaraz też naniósł trochę białej farby na swój namalowany horyzont i odsunął się od płótna, żeby ocenić rezultat. Tam, gdzie on widział żaglówki, inni dostrzegliby jedynie białe maźnięcia. Pan Winton doszedł do wniosku, że mogłyby one stanowić ciekawy kontrast dla grupki kilku postaci na brzegu. Dwie dziewczynki pochłonięte budową zamku z piasku świetnie się do tego nadawały. Przygryzając koniec pędzla, wpatrywał się w swój obraz. Jak je najlepiej namalować? – zastanawiał się.

To Ursula wpadła na pomysł, żeby zbudować zamek z piasku. Powiedziała Pameli, że powinien to być najwspanialszy zamek na świecie. Roztoczyła przed siostrą tak barwną wizję piaskowej cytadeli – z fosą, blankami i wieżyczkami – że Pamela niemal widziała już średniowieczne damy w stosownych podwikach, jak machają na pożegnanie rycerzom odjeżdżającym wśród stukotu końskich kopyt po zwodzonym moście (w tym celu niezbędny był dryfujący kawałek drewna). Rzuciły się więc jednomyślnie w wir pracy, na razie wciąż na etapie ciężkich robót inżynierskich, i zaczęły kopać podwójną fosę, która – po nastaniu przypiływu – miała napęlić się wodą morską i bronić damy w podwikach przed brutalną napaścią (najpewniej ze strony kogoś takiego jak Maurice). Roland, ich zawsze wierny sługa, został wysłany na poszukiwanie w piasku ozdobnych kamyków, no i przede wszystkim materiału na ów zwodzony most.

Dziewczynki znajdowały się w pewnym oddaleniu od Sylvie i Bridget, które siedziały pogrążone w lekturze, podczas gdy najmłodsze dziecko w rodzinie, Edward zwany Teddym, spało smacznie na kocyku, osłonięte parasolką. Maurice łowił ryby w zagłębieniach z wodą w nadmorskich skałach na dalekim krańcu plaży. Zdążył już znaleźć sobie nowych kolegów, nieokrzesanych miejscowych chłopaków, z którymi chodził pływać i wspinać się na klify. Dla niego byli to po prostu chłopcy tacy jak on. Nie nauczył się jeszcze klasyfikować ich ze względu na akcent czy pochodzenie społeczne.

Maurice miał w sobie coś, co sprawiało, że robił wrażenie niezniszczalnego, i z reguły nikt się o niego nie martwił, a już najmniej jego rodzona matka.

Bosman został niestety przed wyjazdem oddany Cole'om na przechowanie.

Zgodnie z ogólnie przyjętym zwyczajem piasek z głębi fosi utworzył centralnie usypany wzgórek, stanowiąc gotowy materiał na przyszlą fortecę. Dziewczynki, obie porządnie już zgrzane i spocone z wysiłku, zrobiły sobie krótką przerwę i cofnęły się, żeby podziwiać bezkształtną kupę piachu. Pamela miała coraz większe wątpliwości co do blanków i wieżyczek, o damach w podwikach nie wspominając. Ursuli piaskowe usypisko z czymś się kojarzyło, ale z czym? Z czymś dobrze znanym, a jednak mglistym i nieokreślonym, jakimś niewyraźnym kształtem w jej pamięci. Często ulegała podobnym złudzeniom, jakby ktoś siłą wyciągał jej oporne wspomnienia z ich dotychczasowych kryjówek. Przypuszczała, że inni mają podobne odczucia.

Wkrótce jednak w miejsce niejasnego skojarzenia pojawił się strach, lekko zabarwiony podnieceniem, jak wtedy gdy słyszy się pierwsze pomruki burzy albo widzi nadciągającą z nad morza mgłę. Niebezpieczeństwo mogło czaić się wszędzie, w chmurach, falach, na pokładzie ledwo widocznych na horyzoncie żaglówek; jego źródłem mógł być też mężczyzna, stojący przy sztalugach. Ursula, nie zwlekając, puściła się biegiem w stronę Sylvie, pragnąc powierzyć jej swoje lęki i otrzymać pocieszenie.

Zdaniem Sylvie młodsza córka była szczególnym dzieckiem, o głowie pełnej niepokojących myśli. Nieustannie musiała odpowiadać na jej niezliczone pytania: „Co byśmy zrobili, gdyby w domu wybuchł pożar? Gdyby nasz pociąg się rozbił? Gdyby rzeka wylała?”. Z czasem odkryła, że praktyczna porada jest lepszym sposobem rozwiewania dziecięcych lęków niż ich lekceważące zbywanie („W takim przypadku, kochanie, pozbialibyśmy wszystkie nasze rzeczy i wspięlibyśmy się na dach, żeby poczekać, aż opadnie woda”).

Pamela tymczasem ze stoickim spokojem wróciła do pogłębiania fosi. Pan Winton był całkowicie pochłonięty oddawaniem szczegółów jej kapelusika precyzyjnymi dotknięciami pędzla. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że te dwie dziewczynki postanowiły zbudować swój zamek z piasku akurat pośrodku jego kompozycji. Pomyślał, że mógłby zatytułować swój obraz: *Kopacze*.

Albo *Zabawa w piasku*.

Sylvie drzemała nad *Tajnym agentem* i nie była wcale zachwycona tym, że ktoś ją budzi. – O co chodzi? – zapytała. Rozejrzała się po plaży i zobaczyła pracownicę kopiącą Pamelę. Dobiegające z oddali wrzaski i dzikie pohukiwania pozwalały wskazać miejsce pobytu Maurice'a.

– A gdzie jest Roland? – spytała.

– Roland? – zdziwiła się Ursula, na próżno rozglądając się za swoim i Pameli wiernym sługą. – Szuka zwodzonego mostu. – Sylvie zdążyła w tym czasie zerwać się na nogi i teraz z niepokojem przeszukiwała wzrokiem plażę.

– Czego?

– Zwodzonego mostu – powtórzyła Ursula.

Wszyscy byli zdania, że chłopiec musiał zauważyć w morzu kawałek drewna i posłusznie wszedł do wody, żeby je wyłowić. Nie potrafił przewidywać zagrożenia, no i oczywiście nie umiał też pływać. Gdyby na plaży straż trzymał Bosman, zapewne, nie zważając na niebezpieczeństwo, rzuciłby się w fale, podpłynął pieskiem do Rolanda i wyciągnął go na brzeg. W jego zastępstwie „Archibald Winton, akwarelista amator z Brighton”, jak pisała o nim miejscowa gazeta, usiłował ratować dziecko („Rolanda Todda, lat cztery, który spędzał wakacje z rodziną”). Cisnął na bok pędzel, wypłynął w morze i wyciągnął chłopca z wody, „ale niestety zbyt późno”. Artykuł został starannie wycięty i zachowany dla potomności w Birmingham. Za sprawą kilku linijek druku pan Winton awansował zarówno na bohatera, jak i na artystę malarza. Wyobrażał sobie, jak skromnie zaprzecza, mówiąc: „Przecież nic takiego nie zrobiłem”, i rzeczywiście *nic* nie zrobił, gdyż nikt nie został uratowany.

Ursula patrzyła, jak pan Winton brnie przez fale, dźwigając w ramionach bezwładne ciało Rolanda. Obie z Pamelą były przekonane, że morze się cofa, podczas gdy w istocie nadciągał przypływ; woda zdążyła już wypełnić fosę i podmywała piaskowy kopiec, który miał wkrótce zniknąć na zawsze. Obok niej przetoczyła się pchana wiatrem beżowa obręcz. Ursula stała zapałzona w morze, podczas gdy na plaży za jej plecami rozmaici nieznajomi próbowali reanimować Rolanda. W pewnej chwili podeszła do niej Pamela i dziewczynki wzięły się za ręce. Fale coraz głębiej wlewały się na piasek, liżąc je po stopach. Gdyby tylko nie były aż tak pochłonięte budową zamku, pomyślała Ursula. A przecież wydawało się, że to taki *dobry* pomysł.

*

– Bardzo mi przykro z powodu pani synka, pani Todd – wymamrotał George Glover i uchylił nieistniejącej czapki. Sylvie zorganizowała wyprawę na pole, żeby popatrzeć na żniwa. Stwierdziła, że muszą się wreszcie otrząsnąć z pełnego żalu odrętwienia. Po utonięciu Rolanda wakacyjny nastrój w naturalny sposób przygasł. Nieobecny Roland stał się naraz ważniejszy, niż był za życia.

– *Twojego* synka? – mruknęła Izzie, gdy zostawiły George'a Glovera jego obowiązkom. Zjawiła się w Fox Corner w samą porę na pogrzeb Rolanda i odziana w twarzową czerń łkała nad jego trumienką: – Moje dziecko, moje dziecko.

– Roland był *moim* dzieckiem – odparła zajadle Sylvie – i nie waż się twierdzić, że był twój – chociaż w głębi duszy miała poczucie winy, że nie opłakiwała go tak, jak robiłaby to po śmierci własnego dziecka. Ale to było chyba naturalne? Teraz, gdy go zabrakło, wszyscy jak jeden mąż rościli sobie pretensje do chłopca. (Pani Glover i Bridget również byłyby gotowe uznać go za „swojego”, gdyby tylko ktoś chciał je wysłuchać).

Hugh głęboko przeżył stratę „kochanego malca”, lecz zdawał sobie sprawę, że ze względu na rodzinę musi normalnie funkcjonować.

Izzie zabawiła u nich dłużej, niż się spodziewali, ku nieskrywanej irytacji Sylvie. Miała dwadzieścia lat i tkwiła w rodzinnym domu „jak więzień”, czekając, aż jakiś potencjalny przyszły mąż wyrwie ją ze „szponów” Adelaide. W Hampstead nie wolno było nawet wymawiać imienia Rolanda, a teraz jeszcze Adelaide nazwała jego śmierć „prawdziwym błogosławieństwem”. Hugh żał było siostry, Sylvie zaś niestrudzenie rozglądała się po okolicy za jakimś odpowiednim właścicielem ziemskim, który byłby wystarczająco cierpliwy, żeby wytrzymać z Izzie.

W męczącym upale wlokły się noga za nogą przez pola, gramoliły przez przełazy i brodziły

w strumieniach. Sylvie niosła niemowlę w przewiązonym na piersi szalu. Dziecko było ciężkie, choć może nie aż tak ciężkie jak taszczoney przez Bridget kosz piknikowy. Bosman dreptał grzecznie u ich boku; nie należał do psów, które wyrwywają się naprzód, wołał raczej zamykać pochód i pilnować maruderów. Wciąż skołowany zniknięciem Rolanda, nie chciał utracić nikogo więcej ze swego stadka. Izzie, z której zdążył już wyparować pierwotny entuzjazm dla tej sielskiej przygody, wyraźnie zostawała w tyle i Bosman robił, co w jego mocy, żeby ją ponaglić.

Wycieczka upłynęła im w podłych nastrojach, a kończący ją piknik był niewiele lepszy, ponieważ okazało się, że Bridget zapomniała spakować kanapek. – Jak, u licha, udało ci się to zrobić? – rzuciła z gniewem Sylvie. W rezultacie musieli się zadowolić zapiekaną w cieście wieprzowiną, którą pani Glover przekazała dla George’a. („Tylko nic jej nie mówcie, na litość boską” – uprzedziła je Sylvie). Pamela podrapała się w jeżynach, a Ursula wpadła w gąszcz pokrzyw. Nawet zazwyczaj pogodnemu Teddy’emu było zbyt gorąco i głośno utyskiwał.

*

George przyniósł im do obejrzenia dwa nowo narodzone króliczki. – Może chciałbyście wziąć je sobie do domu? – zaproponował, na co Sylvie warknęła: – Nie, George, wielkie dzięki. Albo zaraz zdechną, albo zaczną się rozmnażać, a żadna z tych rzeczy nie byłaby pożądana. – Pamela była zrozpaczona i uspokoiła ją dopiero obietnica, że dostanie kotka. (Ku jej zdumieniu została ona dotrzymana i wkrótce w ich domu pojawił się kotek wzięty z gospodarstwa przy Ettringham Hall. Tydzień później dostał konwulsji i umarł. Pochowano go z wszelkimi honorami. „Chyba wisi nade mną jakaś klątwa” – oznajmiła Pamela z nietypowym dla siebie melodramatyzmem).

– Ten oracz jest bardzo przystojny, prawda? – zauważyła głośno Izzie, a Sylvie odparła: – Przestań. Nawet tego nie próbuj. W żadnym wypadku. – Na co Izzie stwierdziła: – Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Po południu wcale się nie ochłodziło i w końcu nie miały innego wyjścia, jak odbyć drogę powrotną w takim samym upale, w jakim tu przywędrowały. Pamela, i tak już rozżalona z powodu królików, nastąpiła na cierń, a Ursula dostała w twarz gałęzią. Teddy płakał, Izzie przeklinała, Sylvie pluła jadem, a Bridget oświadczyła, że gdyby to nie był śmiertelny grzech, utopiłaby się w pierwszym napotkanym strumieniu.

– Patrzcie państwo – powitał je z uśmiechem Hugh, gdy ślaniając się, dotarli wreszcie do domu. – Całe wyzłocone słońcem.

– Och, błagam cię – mruknęła Sylvie, odpychając go na bok. – Muszę się położyć na gorze.

– W nocy chyba będzie burza – powiedział Hugh. I nie pomylił się. Ursula, która miała bardzo lekki sen, natychmiast się obudziła. Wyśliznęła się z łóżka, podreptała do okna na swoim poddaszu i stanęła na krześle, żeby móc przez nie wyjrzeć.

Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot niczym wystrzał armatni. Niebiosa, purpurowe i złowroźnie napęczniałe, nagle się rozwarły, przecięte trójzębem błyskawicy. Lis, skradający się przez trawnik do swojej ofiary, został na ułamek sekundy jasno oświetlony, jakby uchwycił go flesz fotografa.

Ursula z wrażenia zapomniała odliczyć i huk gromu, który rozległ się niemal tuż nad jej głową, całkowicie ją zaskoczył.

Tak brzmiał odgłos wojny, pomyślała.

*

Ursula postanowiła nie owijać w bawełnę. Bridget, siekająca przy kuchennym stole cebulę, i tak była już bliska łez. Ursula usiadła obok niej i oznajmiła: – Byłam we wsi.

– Tak? – mruknęła Bridget, ani trochę niezainteresowana tą informacją.

– Kupowałam cukierki – dodała Ursula. – W sklepiku z cukierkami.

– Naprawdę? Cukierki w sklepiku, kto by pomyślał. – Sklepik sprzedawał też inne towary, ale żaden z nich nie był interesujący dla dzieci z Fox Corner.

– Spotkałam tam Clarence’a.

– Clarence’a? – zdziwiła się Bridget. Na dźwięk imienia swojego ukochanego przestała sie-

kać.

– Też kupował cukierki – wyjaśniła Ursula. – Miętówki – dodała, żeby brzmiało to bardziej wiarygodnie, i zaraz spytała: – Znasz Molly Lester?

– Oczywiście – odparła ostrożnie Bridget. – Pracuje w tym sklepie.

– No bo Clarence ją całował.

Bridget zerwała się z krzesła z nożem w dłoni. – Całował? Dlaczego Clarence miałby całować Molly Lester?

– To samo powiedziała Molly Lester! Zapytała: „Dlaczego mnie całujesz, Clarensie Doddsie? Przecież wszyscy wiedzą, że jesteś zaręczony z tą służącą z Fox Corner”.

Bridget była dobrze zaznajomiona z melodramatami i tanimi powieściami grozy. Cierpliwie czekała na finał, który, jak wiedziała, był nieunikniony.

Ursula niezwłocznie go jej podsunęła: – A Clarence na to: „A, masz na myśli Bridget? Ona nic dla mnie nie znaczy. Straszne z niej brzydactwo. Robię jej tylko złudne nadzieje”. – Ursula, obecnie namiętna czytelniczka, również zdążyła się zapoznać z powieściami Bridget i dobrze sobie przyswoiła język romansów.

Nóż upadł na podłogę przy wtórce opętańczego krzyku, po którym licznie posypały się irlandzkie przekleństwa. – A to drań – rzuciła Bridget.

– Istna kanalia – przytaknęła skwapliwie Ursula.

Jarmarczny zaręczynowy pierścionek Bridget („błyskotka”) trafił z powrotem do Sylvie, a zapewnienia Clarence’a, który zaklinał się, że jest niewinny, zostały zlekceważone.

– Możesz przecież pojechać do Londynu z panią Glover – zwróciła się do służącej Sylvie. – No wiesz, na obchody z okazji zawieszenia broni. Wydaje mi się, że mieli podstawić późniejsze pociągi.

Pani Glover oznajmiła jednak, że ze względu na epidemię grypy za żadne skarby nie wybierze się do stolicy, Bridget zaś odparła, iż ma szczerą nadzieję, że Clarence tam pojedzie, najlepiej razem z Molly Lester, oraz że oboje zarażą się hiszpanką i umrą.

Molly Lester, która nigdy nie zamieniła z Clarence’em choćby słowa, jeśli nie liczyć niewinnego: „Dzień dobry panu, czym mogę służyć?”, wzięła udział w niewielkim ulicznym przyjęciu we wsi, natomiast Clarence rzeczywiście pojechał do Londynu z kilkoma kolegami i rzeczywiście potem umarł.

– Ale przynajmniej nikt nie został zepchnięty ze schodów – stwierdziła Ursula.

– Co to ma znaczyć, na Boga? – zdumiała się Sylvie.

– Nie wiem – odrzekła Ursula. I faktycznie nie wiedziała.

Niepokoilo ją własne zachowanie. Stale śniła o lataniu i spadaniu. Czasem, gdy stawała na krześle, żeby wyjrzeć przez okno w sypialni, ogarniała ją przemożna ochota, żeby wyleźć na zewnątrz i rzucić się z dachu. Miała dziwną pewność, że nie wyląduje na ziemi z głuchym łoskotem i nie roztrzaska się jak przejrzałe jabłko, ale że ktoś ją złapie. (Jednak kto lub co, tego nie wiedziała). Na wszelki wypadek powstrzymała się od sprawdzenia swojej teorii w praktyce, czego nie można było niestety powiedzieć o należącej do Pameli porcelanowej figurce damy w krynolinie, którą pewnego zimowego popołudnia wyrzucił przez to samo okno znudzony i rozdrażniony Maurice.

Słyszając, jak nadchodzi korytarzem przy wtórce wznoszonych głośno indiańskich okrzyków wojennych, Ursula pospiesznie umieściła swoją ulubienicę, laleczkę do dziergania zwaną Królową Solange, pod poduszką, gdzie bezpiecznie przeczekwała zagrożenie, podczas gdy nieszczęsna porcelanowa dama padła ofiarą defenestracji i rozbiła się na drobne kawałeczki. – Chciałem tylko zobaczyć, co się z nią stanie – łkał później Maurice, wzięty w obroty przez Sylvie. – No to teraz już wiesz – odparła matka. Histeryczna reakcja Pameli na całe wydarzenie kosztowała ją sporo nerwów. – Mamy wojnę – zgaśniła córkę. – Są gorsze rzeczy od stłuczonej figurki. – Ale nie dla Pameli.

Gdyby Ursula nie ukryła przed Maurice’em swojej laleczki do dziergania, zrobionej wszak z niełamliwego drewna, wówczas dama w krynolinie by ocalała.

Tej nocy Bosman, który już niedługo miał zdechnąć na nosówkę, zakradł się do ich pokoju

i ze współczuciem oparł ciężką łapę na kołdrze Pameli, po czym stęknął i ułożył się do snu na dywaniku pomiędzy ich łózkami.

Nazajutrz Sylvie, wyrzucając sobie swoją bezdusność wobec dzieci, przyniosła z farmy przy Ettringham Hall kolejnego kotka. Kocięta rodziły się tam na pniu i w okolicy stanowiły coś w rodzaju żywego środka płatniczego – koily smutki lub wynagradzały trud, przynoszone przez rodziców na wymianę za zgubioną lalkę czy zdany egzamin.

Pomimo daleko posuniętych starań Bosmana, który strzegł kociaka jak oka w głowie, cieszyli się nim zaledwie tydzień. Maurice nastąpił na niego podczas szaleńczej zabawy w wojnę z chłopcami Cole'ów. Sylvie szybko podniosła drobne ciało i oddała Bridget, żeby ta je gdzieś wyniosła, tak aby jego przedśmiertne drgawki odbyły się już za kulisami.

– To był wypadek! – darł się Maurice. – Nie wiedziałem, że ten głupi zwierzak tam jest! – Sylvie wymierzyła mu policzek i Maurice wybuchnął płaczem. Przykro było widzieć go tak zrozpaczonego, zwłaszcza że tym razem naprawdę nie zawinił. Ursula próbowała go pocieszać, co tylko rozwścieczyło chłopca, Pamela zaś przekroczyła wszelkie granice cywilizowanego zachowania, usiłując wyrwać bratu włosy z głowy. Mali Cole'owie dawno już dali drapaka do własnego domu, gdzie królowały spokój i równowaga emocjonalna.

Czasami trudniej było zmienić przeszłość niż przyszłość.

*

– Boli ją głowa – powiedziała Sylvie.

– Jestem psychiatrą – odparł na to doktor Kellet – a nie neurologiem.

– Ma też dziwne sny i koszmary – kusiła Sylvie.

Ursula pomyślała, że przebywanie w tym pokoju w dziwny sposób podnosi ją na duchu.

Dębowa boazeria, buzujący w kominku ogień, gruby dywan w czerwono-niebieskie wzory, obite skórą fotele, nawet egzotycznie wyglądający bufetowy termos – wszystko wydawało jej się znajome.

– Sny? – zainteresował się zgodnie z oczekiwaniami doktor Kellet.

– Zgadza się – przytaknęła Sylvie. – Poza tym lunatykuje.

– Ja lunatykuje? – spytała zdumiona Ursula.

– I bez przerwy cierpi na coś w rodzaju *déjà vu* – dodała Sylvie, wymawiając te słowa z pewnym obrzydzeniem.

– Doprawdy? – mruknął doktor Kellet, sięgając po ozdobną fajkę z morskiej pianki i wytrząsając z niej popiół za osłonę paleniska. Miała główkę w kształcie głowy Turka i wyglądała tak samo znajomo jak wierny, stary zwierzak.

– Och – wykrzyknęła Ursula. – Ja tu już kiedyś byłam!

– Widzi pan? – triumfowała Sylvie.

– Hm... – zadumał się doktor Kellet. Po czym zwrócił się bezpośrednio do Ursuli: –

Słyszałaś może o reinkarnacji?

– Ależ oczywiście, że tak – odparła entuzjastycznie Ursula.

– Zapewniam pana, że nie słyszała – wtrąciła Sylvie. – Czy to katolicka doktryna? A to co takiego? – spytała nagle, zainteresowana dziwnym urządzeniem do parzenia herbaty.

– To samowar, pochodzi z Rosji – wyjaśnił doktor Kellet. – Co nie znaczy, że jestem Rosjaninem, broń Boże, pochodzę z Maidstone, ale przed rewolucją miałem okazję odwiedzić Petersburg. – A zwracając się do Ursuli, zaproponował: – Może byś mi coś narysowała? – podsuwając jej ołówek i kartkę papieru. – Napije się pani herbaty? – zapytał Sylvie, która nie odrywała mrocznego spojrzenia od samowaru. Odmówiła, podejrzliwa wobec każdego naparu, który nie pochodził z porcelanowego imbryka.

Ursula skończyła swój rysunek i oddała go doktorowi do obejrzenia.

– Co to ma być? – zdziwiła się Sylvie, zaglądając jej przez ramię. – Jakiś pierścień, diadem? A może korona?

– Nie – odrzekł doktor Kellet – to wąż pożerający własny ogon. – Skinął z aprobatą głową i zwrócił się do Sylvie: – Symbolizuje kolistość czasu we wszechświecie. Czas to konstrukt, w rze-

czywistości wszystko jest w ciągłym ruchu, nie ma przeszłości ani teraźniejszości, istnieje tylko chwila obecna.

– Jakież to gnomiczne – zauważyła sztywno Sylvie.

Doktor Kellet złożył dłonie i wsparł brodę na czubkach palców. – Wiesz co – zwrócił się do Ursuli – myślę, że ty i ja bardzo się polubimy. Masz może ochotę na herbatnika?

Tylko jedna rzecz nie dawała jej spokoju. Fotografia „Guya, który zginął pod Arras” w białym stroju do krykieta zniknęła z bocznego stolika. Wcale tego nie planując – było to jedno z tych pytań, które prowokują lawinę następnych – zagadnęła o nią doktora Kelleta: – A gdzie jest zdjęcie Guya? – na co ten odparł: – Jakiego Guya?

Wyglądało na to, że nawet na niestabilnej naturze czasu nie można było polegać.

*

– To tylko austin – powiedziała Izzie. – Kabriolet, co prawda czterodrzwiowy, ale – na Boga! – jeśli chodzi o cenę, gdzie mu tam do *bentleya*! W porównaniu z *twoją* ekstrawagancją, Hugh, to właściwie auto mas pracujących. – Domyślam się, że wzięłaś go na kredyt – mruknął Hugh. – Skądże znowu, został już spleacony, i to *gotówką*. Mam teraz *wydawcę* i własne *pieniądze*, Hugh. Nie musisz się już o mnie martwić.

Podczas gdy wszyscy podziwiali wiśniowy wehikuł, Millie rzekła: – Muszę już iść, mam jeszcze dziś wieczorem pokaz taneczny. Dziękuję bardzo za uroczy podwieczorek, pani Todd.

– Chodź, odprowadzę cię – zaproponowała Ursula.

Wracając, ominęła dobrze sobie znany skrót na krańcu ogrodu i obeszała dom dłuższą drogą, w ostatniej chwili schodząc na bok, żeby przepuścić rozpędzone auto odjeżdżającej Izzie. Ciotka zasalutowała jej od niechcenia na pożegnanie.

– Kto to był?! – zawołał Benjamin Cole, skręcając rowerem w żywoplot, żeby uniknąć rozjechania przez austina. Na jego widok serce Ursuli podskoczyło, wywinęło koziołka i zamarło z wrażenia. Obiekt jej westchnień we własnej osobie! Powodem, dla którego wybrała okrężną drogę, była właśnie nieśmiała nadzieja na sprowokowanie „przypadkowego” spotkania z Benjaminem Cole’em. I oto on! Co za fart.

– Zgubili moją piłkę – oznajmił niepokieszony Teddy, gdy weszła do jadalni.

– Wiem – odparła Ursula. – Później jej poszukamy.

– A ty dlaczego jesteś taka rozpalona i masz takie rumieńce? – zaciekawiał się brat. – Czy coś się stało?

Czy coś się stało? – powtórzyła w myślach. Czy coś się *stało*? Nic – tylko najprzystojniejszy chłopiec na świecie właśnie mnie pocałował, i to *na dodatek* w dniu moich szesnastych urodzin! Odprowadzał ją do domu, pchając przed sobą rower, i w pewnym momencie ich dłonie się zetknęły, policzki poróżnowiały (istna poezja!), a Benjamin rzekł: – Wiesz, że mi się podobasz, Ursulo – i tak jak stał przy ich furtce (gdzie każdy mógł ich zobaczyć), oparł rower o mur, po czym przyciągnął ją do siebie. A potem nastąpił pocałunek! Słodki, długi i o wiele przyjemniejszy, niż to sobie wcześniej wyobrażała, chociaż już po wszystkich czuła się – no właśnie... *rozpalona*. Benjamin chyba też się tak czuł. Odsunęli się od siebie, nieco zszokowani.

– O rany – powiedział. – Jeszcze nigdy nie całowałem się z dziewczyną. Nie miałem pojęcia, że to takie... podniecające. – I potrzęsął głową jak pies, zdumiony brakiem odpowiedniego słownictwa.

To, pomyślała Ursula, już zawsze będzie najwspanialsza chwila w moim życiu, bez względu na to, co ją czekało w przyszłości. Przypuszczała, że całowałiby się jeszcze dłużej, gdyby z za zakrętu drogi nie wyjechał wóz handlarza starzyzną i jego niewyraźne zawrodożenie: „Stare szmaty, kości skupujące...”, nie zakłóciło ich romantycznych uniesień.

– Nie, nic się nie stało – odpowiedziała Teddy’emu. – Żegnałam się z Izzie. Nie zdążyłeś zobaczyć jej samochodu. Spodobałby ci się.

Teddy wzruszył ramionami i zepchnął *Przygody Augustusa* ze stołu na podłogę. – Co za brednie – skrzywił się.

Ursula wzięła do ręki niedopity kieliszek szampana, którego brzeg zdobiła czerwona szmin-

ka, i odławszy połowę do kompotierki, podała ją bratu. – Na zdrowie! – powiedziała. Brzęknęło szkło, a oni wypili do dna.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin – rzekł Teddy.

*

Jakże cudowne pędzę tutaj życie

Dojrzałe jabłka spadają obficie

Koło mej głowy, słodkie winne kiście

*Na ustach moich miazdzą się soczyście...*⁴⁰

– Co tak czytasz? – spytała podejrzliwie Sylvie.

– Marvella.

Sylvie odebrała Ursuli książkę i skontrolowała jej treść. – Bardzo to kwieciste – zauważyła.

– „Kwieciste” to chyba nie może być zarzut? – roześmiała się Ursula i nadgryzła jabłko.

– Postaraj się przedwcześnie nie dojrzewać – westchnęła Sylvie. – Nie jest to pożądana cecha u młodych dziewcząt. Co zamierzasz studiować po wakacjach? Łacinę? Grekę? Chyba nie literaturę angielską? To nie ma żadnego sensu.

– Według ciebie literatura angielska jest pozbawiona sensu?

– Nie widzę sensu jej *studiowania*. Literatura jest chyba od tego, żeby ją *czytać*, prawda? – Kolejne westchnienie. Córki w niczym jej nie przypominały. Na krótką chwilę Sylvie cofnęła się w czasie: znów miała nad sobą jasne niebo Londynu, czuła zapach pierwszych kwiatów, zroszonych wiosennym deszczem, i słyszała kojące pbrzękiwanie uprząży Tiffina.

– Sama nie wiem. Mogłabym wybrać języki nowożytne. Ale nie jestem pewna, nie mam jeszcze żadnego konkretnego planu.

– Planu?

*

Umilkły. Prosto w tę ciszę wmaszerowała niefrasobliwa lisica. Maurice już od dawna usiłował ją ustrzelić. Albo nie był tak dobrym strzelcem, za jakiego chciał się uważać, albo też lisica była od niego sprytniejsza. Ursula wraz z Sylvie przychyłały się raczej do tej drugiej możliwości. – Ależ ona jest śliczna – zauważyła Sylvie. – I jaką ma imponującą kitę. – Zwierzę usiadło na tylnych łapach, niczym pies czekający na obiad, i nie spuszczało wzroku z Sylvie. – Nic dla ciebie nie mam – powiedziała Sylvie i na dowód tych słów rozłożyła dłonie. Ursula rzuciła lisicy ogryzek jabłka – lekko, od dołu, żeby jej nie przestraszyć – ta zaś zaraz podbiegła, niezgrabnie chwyciła go w zęby, odwróciła się i znikła w zaroślach. – Zjada wszystko, co się jej da – mruknęła Sylvie. – Zupełnie jak Jimmy.

W tej samej chwili niespodziewanie nadciągnął Maurice i obie aż drgnęły, przestraszone. Przez ramię miał przerzuconą śrutówkę Purdeya. – Znów był tu ten cholerny lis? – zawołał żywo.

– Jak ty się wyrażasz, Maurice – upomniała go Sylvie.

Ukończywszy college, Maurice przyjechał na wakacje do domu, gdzie w oczekiwaniu na początek studiów prawniczych potwornie się nudził. Sylvie sugerowała, że mogłyby nająć się do pracy w gospodarstwie przy Ettringham Hall – zawsze potrzebowali tam pracowników sezonowych. – Miałbym pracować w polu jak zwykły chłop? – oburzył się Maurice. – Po to zafundowaliście mi tak kosztowne wykształcenie? („*Po co właściwie zafundowaliście mi tak kosztowne wykształcenie?*” – dziwił się Hugh).

– Skoro się tak nudzisz, to naucz mnie strzelać – zaproponowała Ursula, zrywając się na nogi i otrzepując spódnicę. – Proszę! Mogłabym wziąć taty starą strzelbę na ptaki.

Maurice wzruszył ramionami i odparł: – W sumie co mi szkodzi. Ale dziewczyny nie potrafią strzelać, to fakt ogólnie znany.

– Dziewczyny w ogóle są do niczego – przytaknęła Ursula. – *Nic* nie potrafią robić.

– Czyżbym słyszał w twoim głosie sarkazm?

– Skąd!

– Całkiem niezłe jak na nowicjuszkę – przyznał niechętnie Maurice. Strzelali koło zagajnika, do ustawionych na murze butelek, i Ursula oddała o wiele więcej celnych strzałów niż jej brat. – Na pewno nigdy wcześniej tego nie robiłaś?

– Cóż mogę powiedzieć? – uśmiechnęła się. – Szybko się uczę.

Nagle Maurice gwałtownie odwrócił lufę swojej strzelby w stronę zagajnika i nim Ursula zdołała wypatrzeć cel, pociągnął za spust, kładąc kres jakiemuś istnieniu.

– Nareszcie dorwałem tego małego drania! – wykrzyknął triumfalnie.

Ursula puściła się pędem w tamtym kierunku, lecz zanim dobiegła na miejsce, już z dala dostrzegła kupkę rudawego futerka. Biały koniuszek pięknego ogona drgał jeszcze, ale lisica Sylvie była już tylko wspomnieniem.

Po powrocie zastała matkę na tarasie, przeglądającą jakieś czasopismo. – Maurice zastrzelił lisicę – oznajmiła. Sylvie odchyliła głowę na oparcie wiklinowego fotela i z rezygnacją przymknęła powieki. – To było nieuniknione – odparła i otworzyła oczy. Były pełne łez. Ursula nigdy dotąd nie widziała jej płaczącej. – Pewnego dnia go za to wydziedziczę – zapowiedziała Sylvie i już sama myśl o smakowanej na zimno zemście zdołała osuszyć jej łzy.

Na taras wyszła Pamela i spojrzała na Ursulę, unosząc pytająco brwi. – Maurice zastrzelił lisicę.

– Mam nadzieję, że potem ty zastrzeliłaś *jego* – rzuciła całkiem serio.

– Chyba wyjdę po tatę na stację – powiedziała Ursula, gdy Pamela z powrotem zniknęła w domu.

Tak naprawdę wcale nie zamierzała wychodzić po Hugh. Od swoich ostatnich urodzin potajemnie spotykała się z Benjaminem Cole'em. Dla niej – Benem. Na łące, w lesie, na polnej drodze. (Właściwie gdziekolwiek, byle na świeżym powietrzu. „Dobrze, że pogoda sprzyja waszemu migdaleniu się” – zauważyła Millie, po wielu błazeńskich minach połączonych z podnoszeniem i marszczeniem brwi).

Przy okazji Ursula odkryła w sobie niezwykły talent do mijania się z prawdą. (Choć z drugiej strony, czy zawsze taka nie była?). „Nie potrzebujesz czegoś ze sklepu?” albo: „Skoczę tylko pozbierać maliny przy drodze”. Właściwie czy to by było takie straszne, gdyby ktoś się dowiedział? – Przede wszystkim sądzę, że twoja matka by mnie zabiła – stwierdził Ben. (Ursula wyobraziła sobie Sylvie mówiącą: – „Żyd?!”).

– No i moi rodzice – dodał. – Uznaliby, że jesteśmy jeszcze za młodzi.

– Jak Romeo i Julia – zauważyła Ursula. – Fatalna miłość i tak dalej.

– Tyle że my nie umrzemy z miłości – odparł trzeźwo Ben.

– Czy to taki zły powód, żeby umrzeć? – myślała głośno Ursula.

– Owszem.

Między nimi robiło się coraz bardziej „gorąco”, a to oznaczało sporo niezdarnych pieszczot i pojękiwania (ze strony Bena). Wyznał on Ursuli, że chyba nie zdoła się już dłużej „powstrzymać”, choć ona nie była właściwie pewna przed czym. Czyż w miłości nie chodziło właśnie o to, żeby niczego w sobie nie tłamsić? Spodziewała się, że kiedyś się pobiorą. Czy wtedy będzie się musiała przechrzcić? Zostać „Żydówką”?

Dotarli we dwoje na łąkę, gdzie legli w swoich ramionach. Ursula pomyślała, że to bardzo romantyczne, pomimo że łaskotała ją trawa, a złocienie przyprawiały o kichanie. Było to jednak nie w porównaniu z tym, co zrobił Ben. Nagle dźwignął się i spoczął na niej w taki sposób, że poczuła się tak, jakby leżała w trumnie wypełnionej ziemią. Następnie ogarnął go spazm, który – jak się obawiała – zwiastował rychłą śmierć z powodu apopleksji. Zaczęła więc głaskać go po głowie, jakby był chory, i z troską zapytała: – Nic ci nie jest?

– Wybacz – jęknął. – Nie chciałem tego zrobić. (Ale co właściwie zrobił?).

– Powinam już wracać – stwierdziła Ursula. Wstali i zanim ruszyli z powrotem, oczyścili nawzajem swoje ubrania z trawy i kwiecica.

Ursula zastanawiała się, czy pociąg Hugh już przyjechał. Ben spojrzał na zegarek i rzekł: –

O rety, już od dawna są w domu. (Hugh i pan Cole wracali z Londynu tym samym pociągiem). Opuścili łąkę i ruszyli do przełazu na pastwisko należące do mleczarni, które ciągnęło się wzdłuż polnej drogi. Krowy nie wróciły jeszcze z udoju.

Ben pomógł jej przejść przez przełaz, a potem znów zaczęli się całować. Gdy wreszcie odrywali się od siebie, zauważyli mężczyznę, który nadchodził z przeciwległego krańca pastwiska, od strony, gdzie łączyło się ono z zagajnikiem. Obdartus, zapewne jakiś włóczęga, kulejąc, pospiesznie kierował się ku polnej drodze. W pewnym momencie rozejrzał się dokoła i na ich widok przyspieszył kroku. Potknął się o kępę trawy, szybko odzyskał równowagę i po chwili znów parł przed siebie, zmierzając ku bramie.

– Co za podejrzany typ – roześmiał się Ben. – Ciekawe, co takiego zmalował?

– Obiad stoi na stole, a ty jesteś okropnie spóźniona – zrugła ją Sylvie. – Gdzieś ty się podziewała? Pani Glover znów zrobiła tę paskudną cielęcinę *à la Russe*.

– Maurice zastrzelił lisicę? – Twarz Teddy’ego wyrażała głębokie rozczarowanie.

I zaczęło się: cała rodzina kłóci się przy stole, a wszystko z powodu jednego martwego zwierzęcia, pomyślał Hugh. Miał ochotę powiedzieć im, że przecież lisy to szkodniki, ale wolał nie dolewać oliwy do ognia i dodatkowo podsycać i tak już rozbuchanych emocji. Poprosił więc tylko: – Błagam, nie rozmawiajmy o tym przy obiedzie. To świństwo jest już wystarczająco ciężko strawne. – Na próżno; nie przestawali dyskutować. Hugh próbował ich ignorować, mozolnie przeżuując kotlet cielęcy (był ciekaw, czy pani Glover kiedykolwiek sama ich próbowała?). Z ulgą też powitał pukanie do drzwi.

– Ach, major Shawcross – rzekł Hugh. – Prosimy do nas.

– Wielkie nieba, nie chciałbym przeszkadzać państwu w obiedzie – sumitował się wyraźnie skrępowany major Shawcross. – Chciałem tylko zapytać, czy Teddy nie widział przypadkiem naszej Nancy.

– Nancy? – zdziwił się Teddy.

– W rzeczy samej – odparł major. – Nigdzie jej nie ma.

Nie spotykali się już więcej w zagajniku ani na polnej drodze, ani na łące. Po tym, jak znaleziono ciało Nancy, Hugh wprowadził dla wszystkich godzinę policyjną, nie mówiąc o tym, że zarówno Ursula, jak i Ben mieli potworne poczucie winy. Gdyby wrócili wtedy do domów o wyznaczonej porze, gdyby choć pięć minut wcześniej przeszli przez pastwisko, zamiast odwlekać rozstanie, mogliby ją jeszcze uratować. Lecz gdy niczego nieświadomi wyruszyli w końcu z powrotem okrężną drogą, Nancy już nie żyła i leżała w korycie dla bydła w odległym rogu pastwiska. W istocie więc ich romans, tak jak w przypadku Romea i Julii, zakończył się śmiercią. Śmiercią Nancy, złożonej w ofierze na ołtarzu ich miłości.

– To rzeczywiście straszne – stwierdziła Pamela. – Ale przecież nie ponosisz za to żadnej odpowiedzialności, więc dlaczego zachowujesz się, jakby tak było?

Ponieważ była odpowiedzialna. Teraz wiedziała to już na pewno.

Coś się rozdarło, coś pękło, trójząb błyskawicy przeciął spęczniałe niebo.

Podczas październikowej przerwy w szkole Ursula pojechała na kilka dni w odwiedzinach do Izzie. Siedziały razem w rosyjskiej herbaciarni w South Kensington. – Sama okropnie prawicowa klientela – poinformowała ją Izzie – ale podają tu znakomite naleśniki, czy jak tam się to nazywa. – Był tam także samowar. (Czy to jego widok tak na nią wpłynął, przez skojarzenie z doktorem Kelletem? Jeśli tak, byłoby to absurdalne). Skończyły pić herbatę i Izzie powiedziała: – Zaczekaj tu chwilkę, ja tylko przypudruję nos. I poproś o rachunek, dobrze?

Ursula cierpliwie czekała na jej powrót, gdy nagle ogarnęła ją panika. Spadła na nią jak drapiezny jastrząb. Lęk przed czymś nieznanym, co jeszcze się nie wydarzyło, lecz najwyraźniej stanowiło olbrzymie zagrożenie. Za chwilę ją dopadnie, tutaj, wśród tego delikatnego pobrzękiwania łyżeczek o spodeczki. Ursula poderwała się od stolika, przewracając krzesło. Kręciło jej się w głowie, przed oczami miała gęstą mgłę. Wygląda zupełnie jak chmura pyłu po bombardowaniu, pomyślała, choć przecież nigdy nie przeżyła bombardowania.

Przedarła się jakoś przez tę białą zasłonę i wypadła z herbaciarni prosto na Harrington Road. Zaczęła biec przed siebie i biegła tak, aż znalazła się na Brompton Road, a potem dalej, na oślep, do

Egerton Gardens.

Kiedyś już tu była. Nigdy tu nie była.

Cały czas czuła, że coś jej się wymyka, coś, co jest niemal w zasięgu jej wzroku, tuż za rogiem, coś, czego nigdy nie zdoła doścignąć – coś, co ścigało ją. Była zarazem myśliwym i zwierzyną. Całkiem jak tamta lisica. Wciąż biegła, aż nagle się potknęła, a upadając, uderzyła nosem o ziemię. Poczowała niewyobrażalny ból. Wszędzie była krew. Usiadła na chodniku i rozplakała się, przygwożdżona cierpieniem. Nie sądziła, aby obok niej na ulicy był jeszcze ktoś, lecz naraz tuż za nią rozległ się głos mężczyzny, który powiedział: – Ojej, ależ się pani urządziła. Proszę pozwolić, że pomogę. Pani śliczny turkusowy szaliczek jest cały ubrudzony krwią. To turkus czy raczej akwamaryna? Nazywam się Derek, Derek Oliphant.

Znała skądś ten głos. I nigdy wcześniej go nie słyszała. Przeszłość zdawała się *naciekać* na terażniejszość, jakby coś się gdzieś rozszczelniło. A może to przyszłość przeciekała do przeszłości? Tak czy inaczej, był to jakiś koszmar, jakby jej mroczny wewnętrzny pejzaż nagle się zmaterializował. To, co w środku, znalazło się na zewnątrz. Czas uległ zwichnięciu, to jedno było pewne.

Podniosła się chwiejnie, nie śmiejąc się rozglądać. Zignorowała ból i po chwili znów biegła przed siebie. Nim całkiem opadła z sił, znalazła się w Belgravii. I znowu to samo, pomyślała. Kiedyś już tu była. Nigdy tu nie była. Poddaję się, stwierdziła. Cokolwiek to jest, niech mnie wreszcie dopadnie. Osunęła się na kolana i zwinęła w kłębek na twardym chodniku. Jak lis bez swojej nory.

Musiała stracić przytomność, bo gdy otworzyła oczy, leżała w łóżku w jakimś pokoju o białych ścianach. Było tam wielkie okno, a za nim dostrzegła gałęzie kasztanowca, wciąż jeszcze pokryte liśćmi. Odwróciła głowę i ujrzała doktora Kelleta.

– Masz złamany nos – powiedział. – Sądziliśmy, że zostałaś napadnięta.

– Nie – odparła Ursula. – Upadłam.

– Znalazł cię jakiś pastor i odwiózł taksówką do szpitala św. Jerzego.

– Ale co *pan* tutaj robi?

– Twój ojciec mnie zawiadomił – wyjaśnił doktor Kellet. – Nie wiedział, kogo innego miałby poprosić o pomoc.

– Nie rozumiem.

– Cóż, po przyjeździe do szpitala nie przestawałaś krzyczeć. Podejrzewano, że musiało cię spotkać coś okropnego.

– Ale to nie jest szpital św. Jerzego, prawda?

– Nie – przyznał łagodnie. – Jesteś teraz w prywatnej klinice. Odpoczynek, smaczne jedzenie i tak dalej. Mają tu prześliczne ogrody. Zawsze uważałem, że nic tak nie pomaga jak piękny ogród, zgodzisz się ze mną?

– Czas wcale nie jest kolisty – powiedziała Ursula, zwracając się do doktora Kelleta. – Przypomina raczej... palimpsest.

– Ojej – odparł. – To musi być bardzo męczące.

– A wspomnienia pochodzą czasem z przyszłości.

– Twoja dusza jest stara – stwierdził doktor Kellet. – I na pewno nie jest ci z tym lekko. Ale wciąż masz całe życie przed sobą. I musisz je przeżyć. – Nie był już jej lekarzem, przeszedł na emeryturę i – jak twierdził – bywał u niej „tylko jako gość”.

W sanatorium czuła się jak pacjentka z łagodną odmianą gruźlicy. W ciągu dnia siadywała na nasłonecznionym tarasie i czytała niezliczone książki, podczas gdy sanitariusze przynosili jej posiłki i napoje. Spacerowała po ogrodach, prowadziła uprzejme pogawędki z lekarzami oraz psychiatrami, rozmawiała z innymi pacjentami (przynajmniej tymi ze swojego piętra. Tych naprawdę szurniętych trzymano na poddaszu, jak panią Rochester). W swoim pokoju miała nawet świeże kwiaty w wazonie oraz misę pełną jabłek. Doszła do wniosku, że jej pobyt tutaj musi kosztować fortunę.

– To na pewno bardzo droga klinika – zagadnęła Hugh, gdy ją odwiedził, a czynił to bardzo często.

– Za wszystko płaci Izzie – odparł. – Bardzo na to nalegała.

Doktor Kellet w zadumie zapalił swoją fajkę z morskiej pianki. Siedzieli razem na tarasie.

Ursula pomyślała, że bardzo chętnie spędziłaby w ten sposób resztę swego życia. Byłoby ono tak cudownie niewymagające.

– „Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę...” – odezwał się doktor Kellet.

– „...i wszelką możliwą wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym”⁴¹ – dokończyła Ursula.

– *Caritas* to oczywiście miłość. Ale ty to przecież wiesz.

– Nie brak mi miłości – rzekła Ursula. – Po co w ogóle cytujemy List do Koryntian?

Myślałam, że jest pan buddystą.

– Och, ja jestem niczym – odparł doktor Kellet. – A zarazem wszystkim, rzecz jasna – dodał. Zdaniem Ursuli zabrzmiało to dość enigmatycznie.

– Pytanie raczej – powiedział doktor – czy ty masz już dosyć?

– Dosyć czego? – Sens tej rozmowy zaczynał jej się wymykać, lecz doktor Kellet nie odpowiedział, zajęty swoją fajką. Przeszkodziło im wniesienie podwieczorku.

– Pieką tu wyborne czekoladowe ciasto – zauważył doktor Kellet.

*

– Już ci lepiej, niedźwiadku? – spytał Hugh, delikatnie pomagając jej wsiąść do auta. Specjalnie przyjechał po nią bentleymem.

– Tak – odparła. – Jak najbardziej.

– To dobrze. Wracajmy do domu. Bez ciebie nie jest tam tak samo jak dawniej.

*

Zmarnowałam tyle cennego czasu, ale teraz mam już plan, myślała, leżąc bezsennie w ciemności we własnym łóżku w Fox Corner. W tym planie ważną rolę musi niewątpliwie odegrać śnieg. I srebrny zajaczek, roztańczone zielone liście i tak dalej. Niemiecki, a nie języki klasyczne, potem kurs stenografii i maszynopisania, może jeszcze na boku nauka esperanto, na wypadek gdyby utopia miała stać się rzeczywistością. Członkostwo w miejscowym klubie strzeleckim, potem zgłosi się do jakiejś pracy biurowej, trochę popracuje, odłoży nieco pieniędzy – nic niestosownego. Byle tylko nie zwracać niczyjej uwagi; weźmie sobie do serca radę ojca, choć jeszcze jej Ursuli nie udzielił – nie nadstawiać głowy, a światło chować pod korcem. Dzięki temu później, jak już poczuje się gotowa, będzie miała z czego żyć, gdy spróbuje się przyczaić głęboko w jaskini lwa, skąd wyrwie rosnący tam i z każdym dniem coraz większy czarny wrzód.

A potem pewnego dnia przejdzie się w dół Amalienstrasse, przystanie przed witryną zakładu fotograficznego Hoffmanna, obejrzy sobie wystawione tam kodaki, leiki i voigtländersy, a następnie pchnie drzwi wejściowe i usłyszy brzęk dzwoneczka zwiastującego jej przybycie dziewczynie za ladą, która zapewne powie: – *Guten Tag, gnädiges Fräulein* – a może tylko: – *Grüss Gott*, bo przecież to będzie rok 1930 i ludzie wciąż będą się witać słowami: *Grüss Gott* i *Tschüss*, zamiast bez końca pokrzykiwać *Heil Hitler* i absurdalnie salutować.

Wtedy Ursula wyciągnie swój stary skrzynkowy aparat marki Brownie i powie: – Mam problem ze zwinięciem kliszy – a energiczna siedemnastoletnia Eva Braun odrzeknie: – Proszę mi to dać, zaraz zobaczę.

Serce wzbierało w niej na myśl o tak doskonałej pełni. Zewsząd osaczała ją nieuchronność. Była jednocześnie rycerzem i jego błyszczącą włócznią. Była mieczem, połyskującym w otchłani nocy, świetlistą lancą przebijającą mrok. Tym razem nie będzie miejsca na błędy.

Gdy wszyscy posnęli i w domu zapanowała cisza, Ursula wstała z łóżka i stanęła na krześle w otwartym oknie swojej malutkiej sypialni na poddaszu.

Już czas, pomyślała. Skądś dobiegło ją współczujące bicie zegara. Pomyślała o Teddym i pannie Woolf, o Rolandzie i małej Angeli, o Nancy i o Sylvie. O doktorze Kellecie i Pindarze. „Stań się, kim jesteś, poznawszy to wprzód”. Teraz już wiedziała, kim jest. Nazywała się Ursula Beresford Todd i była świadkiem.

Rozpostarła ramiona na powitanie czarnego nietoperza, poleciełi ku sobie i objęli się w po-

wietrzu niczym dwie dawno rozdzielone bratnie dusze. To właśnie jest miłość, pomyślała Ursula.
A praktyka czyni mistrza.

Bądźcie waleczni

Grudzień 1930

O Evie Ursula wiedziała wszystko. Wiedziała, jak bardzo tamta lubi się stroić, malować i plotkować. Wiedziała, że umie jeździć na łyżwach oraz nartach i że kocha tańczyć. Dlatego też cierpliwie oglądała z nią drogie suknie w domu towarowym Oberpollinger, a potem szła z nią do kawiarni na kawę i ciasto albo na lody w Ogrodzie Angielskim, gdzie siadywały, obserwując dzieci na karuzeli. Chodziła też na lodowisko z Evą i jej siostrą Gretl. Zapraszano ją na obiady do domu Braunów. – Twoja angielska przyjaciółka jest bardzo miła – powiedziała Evie pani Braun.

Wyznała im, że chciałaby podszlifować trochę niemiecki, zanim przyjmie w kraju posadę nauczycielki. Eva aż westchnęła na tak nudny pomysł.

Eva uwielbiała być fotografowana i Ursula robiła jej mnóstwo zdjęć swoim skrzynkowym aparatem marki Brownie, po czym spędzały długie wieczory, wklejając je do albumów i podziwiając przyjmowane przez Evę pozy. – Powinnaś występować w filmach – powiedziała jej kiedyś Ursula, a Eva tak się z tego cieszyła, że było to aż śmieszne. Wbijiała sobie do głowy nazwiska gwiazd kina, hollywoodzkich, brytyjskich oraz niemieckich, jak również tytuły najnowszych piosek i nazwy tańców. Była dojrzałą kobietą, zainteresowaną podlotkiem. Wzięła Evę pod swoje skrzydła, a ta była całkowicie zauroczona swoją nową, wyrafinowaną przyjaciółką.

Ursula wiedziała też, że Eva durzy się w „starszym mężczyźnie”; robiła do niego słodkie oczy i wóczyła się za nim krok w krok po restauracjach i kawiarniach, przesiadując zapomniana w kącie, podczas gdy on prowadził niekończące się dysputy na tematy polityczne. W pewnym momencie zaczęła zabierać ją ze sobą na te spotkania – ostatecznie Ursula była jej najlepszą przyjaciółką. Jedyne, o czym Eva marzyła, to być blisko Hitlera. Ursuli zależało dokładnie na tym samym.

Poza tym wiedziała o Bergu i o bunkrze. I naprawdę wyświadczała tej niepoważnej dziewczynie ogromną przysługę, wtrącając się w jej życie.

I tak jak wszyscy przyzwyczaili się do tego, że Eva stale kręci się gdzieś w pobliżu, tak też przyzwyczaili się do widoku jej angielskiej przyjaciółki. Ursula była sympatyczna, była dziewczyną, była nikim. Stała się tak oczywistym elementem towarzyskiego pejzażu, że nikt by się nie zdziwił, gdyby pewnego dnia przyszła na spotkanie sama i zaczęła wzdychać do człowieka, który już wkrótce miał stać się wielki, a który wszelkie wyrazy uwielbienia przyjmował jako coś całkiem naturalnego. Mieć tak niewiele kompleksów – to dopiero musi być coś, myślała Ursula.

Niemniej jednak niemiłosiernie się przy tym wszystkim nudziła. Cała ta pusta gadanina przy kawiarnianych stolikach w Café Heck czy Osteria Bavaria, tyle pary idącej w gwizdek. Z tej perspektywy aż trudno było uwierzyć, że już za kilka lat Hitler spustoszy świat.

Było zimniej niż zwykle o tej porze roku. Minionej nocy całe Monachium pokrył śnieżny pył, bielutki jak cukier puder na bożonarodzeniowych babeczkach pani Glover. Na Marienplatz ustawiono wielką choinkę i wszędzie unosił się cudowny zapach sosnowych igieł oraz pieczonych kasztanów. Dzięki świątecznym dekoracjom Monachium sprawiało wrażenie bardziej bajkowego niż jakiegokolwiek angielskie miasto.

Mroźne powietrze dodawało animuszu i Ursula zdecydowanym krokiem zmierzała w stronę kawiarni, ciesząc się z góry na filiżankę gorącej *Schokolade* z bitą śmietanką.

Wnętrze lokalu było zadymione i w porównaniu z ożywczym chłodem za drzwiami panowała tu nieprzyjemna duchota. Kobiety miały na sobie futra i Ursula pożałowała, że nie wzięła ze sobą nerek Sylvie. Matka i tak nigdy ich nie nosiła, więc futro bezużytecznie tkwiło w szafie, naspikowane kulkami na mole.

Siedział przy stoliku w głębi sali, jak zwykle otoczony wianuszkiem swoich wyznawców. Co za gęby, pomyślała Ursula, śmiejąc się w duchu.

– Ach. *Unsere Englische Freundin* – powiedział na jej widok. – *Guten Tag, gnädiges Fräulein*. – Lekkie strzelenie palcami i z krzesła naprzeciwko poderwał się jeden z jego zauszników o wyglądzie żółtodzioba, ustępując miejsca Ursuli. Usiadła. Sprawiał wrażenie rozdrażnionego.

– *Es schneit* – powiedziała. – Pada śnieg. – Wyrzwał przez okno, jakby nie zwrócił wcześniej uwagi na pogodę. Jadł *Palatschinken*. Cienkie naleśniki wyglądały apetycznie, ale kiedy do ich sto-
lika podbiegł zaafierowany kelner, do swojej gorącej czekolady zamówiła *Schwarzwälder Kirschtorte*. Był przepyszny.

– *Entschuldigung* – wymamrotała przepraszająco, sięgając do stojącej na podłodze torebki po chustkę do nosa. Rogi obszyte koronką, monogram z jej inicjałów: „UBT”, Ursula Beresford Todd – urodzinowy prezent od Pammy. Dyskretnie otarła z ust okruszki i schyliła się, żeby schować chustkę z powrotem do torebki, a przy okazji wydobyć ukryty w niej ciężki przedmiot. Stary woj-
skowy rewolwer ojca z czasów Wielkiej Wojny, model Webley Mark V.

Ruch przecwiczony setki razy. Jeden strzał. Wszystko odbyło się błyskawicznie, poza jedną chwilą, która niczym pęcherzyk powietrza zawisała w czasie, gdy wycelowała broń w jego serce i wszystko jakby się zatrzymało.

– *Führer* – powiedziała i czar prysł. – *Für Sie*.

Siedzący wokół stołu wyszarpnęli z kabur pistolety i wycelowali je prosto w nią. Jeden od-
dech. Jeden strzał.

Ursula pociągnęła za spust.

Zapadła ciemność.

Śnieg

11 lutego 1910

Puk, puk, puk. Stukanie do drzwi sypialni Bridget wplotło się w sen, który właśnie śniła. W tym śnie była w swoim rodzinnym domu w hrabstwie Kilkenny, a do drzwi dobijał się duch jej biednego, nieżyjącego ojca, usiłującego wrócić na łono rodziny. *Puk, puk, puk!* Bridget obudziła się ze łzami w oczach. *Puk, puk, puk.* Za drzwiami naprawdę ktoś stał.

– Bridget? Bridget? – dobiegł ją z korytarza zdesperowany szept pani Todd. Bridget przeżegnała się, gdyż żadna nowina otrzymana w środku nocy nie mogła być dobra. Czyżby panu Toddowi przydarzył się w Paryżu jakiś wypadek? A może Maurice albo Pamela nagle zachorowali? Wygramoliła się z łóżka i zadrżała. W jej pokoiku na poddaszu panował przeraźliwy ziąb. W powietrzu czuło się śnieg. Otworzywszy drzwi, ujrzała zgietą wpół Sylvie, pękata jak dojrzały strąk, gotów lada moment się rozerwać. – Dziecko się pospieszyło – jęknęła. – Możesz mi pomóc?

– Ja? – pisnęła Bridget. Miała dopiero czternaście lat, ale wiedziała już sporo na temat dzieci, głównie to, że najczęściej oznaczają kłopoty. Widziała, jak jej własna matka umiera przy porodzie, ale nigdy nie wspominała o tym pani Todd. Teraz zdecydowanie nie była po temu pora. Pomogła Sylvie zejść na dół po schodach i zaprowadziła ją do sypialni.

– Nie ma sensu zawiadamiać doktora Fellowesa – powiedziała Sylvie. – I tak nie przedostanie się przez ten śnieg.

– Święta Mario, Matko Boża – jęknęła Bridget, widząc, jak Sylvie z lękiem osuwa się na czworaki jak zwierzę.

– Obawiam się, że dziecko zaraz się urodzi – wysapała Sylvie. – Już czas.

Bridget zdołała ją namówić na powrót do łóżka i tak oto rozpoczęła się ich długa, samotna, całonocna udręka.

*

– Ojej, proszę pani! – wykrzyknęła naraz Bridget – ona jest całkiem sina!

– Dziewczynka?

– Pępowina owinęła jej się wokół szyi. O Jezu Chryste i wszyscy święci, udusiła się, bidulka, udusiła się pępowiną.

– Trzeba coś zrobić, Bridget. Jak ją ratować?

– Och, pani Todd, już po niej. Umarła, zanim zdążyła sobie pożyć.

– Nie, to niemożliwe – odparła Sylvie. Dźwignęła się do pozycji siedzącej wśród zakrwawionych prześcieradeł jak na polu bitwy, białym i czerwonym, wciąż połączona z niemowlęciem pępowiną niczym liną ratunkową. Podczas gdy Bridget załośnie łkała, Sylvie jednym szarpnięciem otworzyła szufladę nocnego stolika i desperacko zaczęła przetrząsać jej zawartość.

– Och, pani Todd – zawodziła Bridget – niech się pani położy, nic się już nie da zrobić. Żeby tak pan Todd był tutaj!

– Cicho – skarciła ją Sylvie, unosząc do góry swoje trofeum, parę połyskujących w świetle lampy nożyczek chirurgicznych. – Trzeba być zawsze przygotowanym – mruknęła. – Przysuń dziecko bliżej światła, żebyśmy dobrze widziały. Prędko, Bridget. Nie ma czasu do stracenia.

Ciach, ciach.

Praktyka czyni mistrza.

Rozległe, słoneczne wyżyny

Maj 1945

Siedzieli przy stoliku w kącie pubu przy Glasshouse Street. Do Piccadilly podrzucił ich amerykański sierżant, który zgarnął ich, gdy łapali okazję na poboczu drogi pod Dover. Zamiast czekać dwa dni na samolot, załadowali się w Hawrze na statek wiozący amerykańskich żołnierzy. Ktoś mógłby uznać, że opuścili swoją jednostkę bez pozwolenia, ale żaden z nich nie zawracał sobie tym głowy.

Był to już trzeci pub, jaki odwiedzili w drodze z Piccadilly, i obaj jednogłośnie przyznawali, że są już mocno wstawieni, nie na tyle jednak, by nie móc się jeszcze bardziej zalać. Był sobotni wieczór i lokal pękał w szwach. Dzięki swoim mundurom nie musieli tej nocy płacić za żadnego drinka. W powietrzu wciąż czuło się jeśli nie euforię, to przynajmniej ulgę z powodu zwyczajstwa.

– No – odezwał się Vic, wznosząc w górę kufel – to za nasz powrót.

– Na zdrowie – zawtórował mu Teddy. – Za przyszłość.

W listopadzie czterdziestego trzeciego został zestrzelony i jako jeniec trafił do położonego na wschodzie obozu dla alianckich lotników Stalag Luft VI. Nie było mu tam źle; mógł skończyć o wiele gorzej, gdyby na przykład był Rosjaninem – Rosjan traktowano tam jak zwierzęta. Gdzieś na początku lutego w środku nocy poderwał ich z prycz znajomy wrzask: – *Raus! Raus!* – po czym popędzono ich na zachód, byle dalej od napierających Rosjan. Na wyjątkowo okrutną ironię losu zakrawał fakt, że jeszcze dzień lub dwa i by ich wyzwolono. A tak czekały ich długie tygodnie marszu o głodowych racjach, w trzaskającym mrozie, w temperaturze sięgającej zwykle minus dwudziestu stopni.

Vic był niedużym, ale zadziornym sierżantem, nawigatorem zestrzelonego nad Zagłębiem Ruhry lancastera. Na wojnie zawiązywały się najdziwniejsze przyjaźnie. Podczas marszu podtrzymywali się nawzajem na duchu. Ta przyjaźń niemal na pewno uratowała im życie – no i może od czasu do czasu jakaś paczka z Czerwonego Krzyża.

Teddy został zestrzelony nad Berlinem i w ostatniej chwili zdołał się wydostać z kokpitu. Do końca usiłował utrzymać kontrolę nad samolotem, żeby dać załodze szansę na wyskoczenie ze spadochronem. Kapitan nie schodzi z pokładu, dopóki wszyscy nie opuszczą statku. Ta sama niepisana zasada obowiązywała pilotów bombowców.

Jego halifaks płonął już od dzioba po ogon i Teddy pogodził się z myślą, że wybiła jego ostatnia godzina. Poczł się dziwnie lekki, serce w nim wezbrało i nagle ogarnęła go pewność, że wszystko będzie dobrze – że śmierć, kiedy w końcu nadejdzie, weźmie go pod opiekę. Lecz śmierć nie nadeszła, ponieważ jego australijski radiooperator wczółgał się do kokpitu i przypiął Teddy'emu spadochron, mówiąc: – Ratuj się, ty cholerny idioto. – Teddy nigdy więcej go nie zobaczył, podobnie jak pozostałych członków swojej załogi; nie wiedział, czy przeżyli, czy zginęli. Wyskoczył z samolotu dosłownie w ostatniej chwili. Ledwo jego spadochron zdążył się otworzyć, Teddy uderzył o ziemię; miał szczęście, że złamał tylko nadgarstek i nogę w kostce. Zabrano go do szpitala, gdzie przyszło po niego miejscowe gestapo i aresztowało go na oddziale, wygłaszając nieśmiertelną formułkę: – Dla ciebie wojna się już skończyła. – Było to tradycyjne powitanie, które słyszał niemal każdy wzięty do niewoli lotnik.

W obozie posłusznie wypełnił swoją kartę jeniecką i czekał na list z domu, lecz nic nie przychodziło. Przez dwa lata nie wiedział, czy figuruje jako jeniec w rejestrach Czerwonego Krzyża i czy ktokolwiek w domu wie, że on żyje.

Koniec wojny zastał ich na środku drogi gdzieś pod Hamburgiem. Vic z ogromną satysfakcją mógł wtedy powiedzieć strażnikom to, co słyszał każdy lotnik wzięty do niewoli: – *Ach so, mein Freund, für sie der Krieg ist zu ende.*

– I jak, Ted, udało ci się skontaktować z twoją dziewczyną? – zapytał Vic, gdy Teddy wrócił

od baru, gdzie wykorzystał cały swój urok osobisty, żeby przekonać właścicielkę pubu, by ta pozwoliła mu skorzystać z telefonu.

– Tak – odparł ze śmiechem. – Okazuje się, że już mnie pochowali. Chyba nie całkiem uwierzyła, że to naprawdę ja.

Pół godziny i kilka piw później Vic mruknął: – Baczość, Ted. Sądząc po uśmiechu, domyślam się, że kobieta, która właśnie weszła do środka, należy do ciebie.

– Nancy – wyszeptał Teddy.

– Kocham cię – powiedziała bezgłośnie Nancy, nie usiłując nawet przekrzykiwać wszechobecnego ggiełku.

– O, i jeszcze przyprowadziła dla mnie koleżankę, jak miło – zauważył Vic, na co Teddy parsknął śmiechem i odparł: – Uważaj, mówisz o mojej siostrze.

Nancy ścisnęła jej dłoń tak mocno, że aż bolało, lecz ona nie zważała na ból. Był tutaj, naprawdę tu był; Teddy we własnej osobie siedział przy stoliku w angielskim pubie nad kuflem angielskiego piwa. Z ust Nancy wydobyło się dziwne zdławione łkanie; Ursula dzielnie powstrzymała łzy. Były niczym dwie Marie, oniemiały na widok Zmartwychwstałego.

A potem Teddy je zauważył i jego twarz rozpromienił uśmiech. Zerwał się od stołu, niemal przewracając stojące na nim kufle. Nancy przepchnęła się przez otaczający je tłum i zarzuciła mu ramiona na szyję, Ursula zaś nie ruszyła się z miejsca, zdjeta nagłym strachem, że jeśli tylko drgnie, wszystko zniknie, na jej oczach cała ta sielankowa scena rozsypie się na milion kawałków. Zaraz jednak przysła jej do głowy uspokajająca myśl: nie, to jest fakt, to się dzieje naprawdę, i wybuchnęła radosnym śmiechem, widząc, jak Teddy na chwilę wypuszcza Nancy z objęć, staje na baczość i elegancko salutuje Ursuli.

Krzyknął coś do niej z drugiego końca pubu, ale jego słowa utonęły w ogólnej wrzawie. Wydawało jej się, że to było: „Dziękuję”, ale mogła się mylić.

Śnieg

11 lutego 1910

Pani Haddock sączyła grzany rum, usiłując robić to w sposób godny damy. Była to już jej trzecia szklaneczka i powoli zaczynała rozgrzewać się od środka. Jechała akurat pomóc przy narodzinach dziecka, gdy śnieżycą zmusiła ją do schronienia się w wydzielonej części pubu Pod Błękitnym Lwem, tuż za Chalfont St Peter. Nie był to lokal, do którego normalnie by wstąpiła, chyba że z konieczności, ale w kominku huczał ogień, a i towarzystwo okazało się zaskakująco serdeczne. Mosiężne ozdoby końskiej uprzęży połyskiwały i migotały, podobnie jak miedziane kufle. Wnętrze pubu, gdzie rozmaite napitki lały się wyjątkowo szerokim strumieniem, było zdecydowanie bardziej hałaśliwe. Jakiś czas wcześniej zaczęły się wspólne śpiewy i ku swemu zdziwieniu pani Haddock przyłapała się na tym, że wybija rytm stopą.

– Żeby pani widziała, jak sypie – zagadnął ją właściciel pubu, nachylając się nad połacią wypolerowanego, mosiężnego kontuaru. – Wygląda na to, że utknęliśmy tu na wiele dni.

– Dni?

– Może pani spokojnie zamówić jeszcze jedną szklaneczkę. Dziś wieczór nie musi się pani już nigdzie spieszyć.

Podziękowania

Chciałabym podziękować następującym osobom:

Andrew Janesowi (z Narodowego Archiwum w Kew)

dr Juliet Gardiner

ppłk. M. Keechowi z Królewskiego Korpusu Łączności, odznaczonemu Medalem Imperium Brytyjskiego

dr Perttiemu Ahonenowi (z wydziału historii Uniwersytetu Edynburskiego)

Frederike Arnold

Annette Weber

A także mojemu agentowi, Peterowi Strausowi oraz Larry'emu Finlayowi, Marianne Velmans, Alison Barrow i wszystkim z wydawnictwa Transworld Publishers, jak również Camilli Ferrer i wszystkim pracownikom Marsh Agency.

Czytelników pragnących dowiedzieć się więcej na temat powstania tej książki (oraz zapoznać się z bibliografią) zapraszam do odwiedzenia mojej strony internetowej www.kateatkinson.co.uk

- ¹ William Szekspir, *Cymbeline król Brytanii*, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.
- ² W języku angielskim farbę klejową i nosówkę określa się jednym słowem – *distemper*.
- ³ Samuel Taylor Coleridge, *Mróz o północy*, w przekładzie Zygmunta Kubiaka.
- ⁴ John Keats, *Wigilia świętej Agnieszki*, w przekładzie Zofii Kierszys.
- ⁵ John Keats, *Oda do jesieni*, w przekładzie Zofii Kierszys.
- ⁶ John Keats, *Oda do słowika*, w przekładzie Zygmunta Kubiaka.
- ⁷ „Lud za nią długim ciągnie korowodem, iżby śmierć mogła, nigdy bym nie sądził, zebrać zarazem tylu nieboszczyków”. Dante Alighieri, *Boska komedia. Piekło*, w przekładzie Juliana Kor-saka.
- ⁸ Thomas S. Eliot, *Ziemia jałowa*, w przekładzie Czesława Miłosza.
- ⁹ Jane Austen, *Mansfield Park*, w przekładzie Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej.
- ¹⁰ William Szekspir, *Makbet*, w przekładzie Józefa Paszkowskiego.
- ¹¹ John Keats, *Oda do słowika*, w przekładzie Zygmunta Kubiaka.
- ¹² Ibid.
- ¹³ Ibid.
- ¹⁴ „Stojąc przed wysokim lustrem zawieszonym na ścianie między dwoma oknami, kontem-płował w nim odbicie bardzo pięknego, bardzo młodego mężczyzny, ani wysokiego, ani niskiego, o włosach połyskujących granatowo jak upierzenie kosa”. Colette, *Chéri*, w przekładzie Anny Top-czewskiej.
- ¹⁵ Andrew Marvell, *Do cnotliwej damy*, w przekładzie Artura Międzyrzeckiego.
- ¹⁶ Jane Austen, *Emma*, w przekładzie Jadwigi Dmochowskiej.
- ¹⁷ John Donne, *Sonet I*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.
- ¹⁸ Gra słów; w języku angielskim przymiotnik *broody* znaczy zarówno „melancholijny”, jak i określa kurę nioskę.
- ¹⁹ William Szekspir, *Sonet I*, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.
- ²⁰ Lewis Carroll, *Alicja po drugiej stronie zwierciadła*, w przekładzie Hanny Baltyn.
- ²¹ „Kiedy hrabia opuścił pokój, cała rodzina nie wiedziała, jak sobie to wszystko wytłuma-czyć”. Heinrich von Kleist, *Markiza O.*, w przekładzie Edyty Sicińskiej.
- ²² William Szekspir, *Makbet*, w przekładzie Józefa Paszkowskiego.
- ²³ William Szekspir, *Miarka za miarkę*, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.
- ²⁴ William Szekspir, *Makbet*, w przekładzie Józefa Paszkowskiego.
- ²⁵ John Donne, *Sonet I*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.
- ²⁶ Christopher Marlowe, *Tragiczna historia doktora Fausta*, w przekładzie Juliusza Ky-dryńskiego.
- ²⁷ Henry Vaughan, *Odeszli wszyscy do jasnego świata*, w przekładzie Stanisława Barańcza-ka.
- ²⁸ John Donne, *Sonet XIII*, przekład Stanisława Barańczaka.
- ²⁹ Księga Hioba, 14,1, za Biblią Tysiąclecia.
- ³⁰ (z niem.) „Wszyscy ludzie będą braćmi”; cytat z *Ody do radości* Fryderyka Schillera w przekładzie Andrzeja Lama.
- ³¹ William Szekspir, *Romeo i Julia*, w przekładzie Józefa Paszkowskiego.
- ³² Andrew Marvell, *Do cnotliwej damy*, w przekładzie Artura Międzyrzeckiego.
- ³³ John Donne, *Wschód słońca*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.
- ³⁴ Andrew Marvell, *Dialog duszy i ciała*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.
- ³⁵ William Szekspir, *Król Ryszard II*, w przekładzie Leona Ulricha.
- ³⁶ Cytat z *Króla Ryszarda II*, ibid.
- ³⁷ John Donne, *Relikwia*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.
- ³⁸ Mądrość Syracha, 44,14, za Biblią Tysiąclecia.
- ³⁹ Cytat z *Ody do słowika*, ibid.
- ⁴⁰ Andrew Marvell, *Ogród*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.
- ⁴¹ List św. Pawła do Koryntian, Kor 1,13, za Biblią Tysiąclecia.

